

KARIN SLAUGHTER

DOBRA CÓRKA

*Mroźący do szpiku kości thriller o mrokach przeszłości.
Talent i serce Karin Slaughter trzymają przy lekturze
od pierwszej do ostatniej strony.*

CAMILLA LÄCKBERG

Karin Slaughter

Dobra córka

Tłumaczenie:
Dorota Stadnik

(...) to, co nazywasz moją walką o podporządkowanie... nie jest walką o to, lecz o akceptację, na dodatek żarliwą. Może nawet radosną. Wyobraź mnie sobie z odsłoniętymi zębami w wiecznej pogoni za szczęściem. I w pełni uzbrojoną, ponieważ to droga pełna niebezpieczeństw.

Flannery O'Connor

CZWARTEK, 6 MARCA 1989

CO SIĘ STAŁO Z SAMANTHĄ

Samantha Quinn czuła tysiące ukłuć w nogach, kiedy biegła długim opustoszałym podjazdem wiodącym do domu. Tennisówkom uderzającym na przemian o gołą ziemię wtórowało przyspieszone bicie serca. Pot zmienił koński ogon w grubą linię bijącą po karku. Miała wrażenie, że delikatne kostki stóp zaraz złamią się z trzaskiem jak suche gałązki.

Przyspieszyła, dławiąc się suchym powietrzem, wprost w objęcia bólu.

Charlotte czekała na nią w cieniu matki. Właściwie wszyscy stali w cieniu ich matki. Gamma Quinn budziła respekt. Miała bystre niebieskie oczy, krótkie ciemne włosy, bardzo jasną karnację i cięty język, którym umiała dotknąć do żywego. Nawet z daleka Sam widziała jej zaciśnięte usta oznaczające dezaprobatę wywołaną tym, co pokazywał stoper.

Samantha słyszała w głowie tykanie oznaczające każdą upływającą sekundę. Przyspieszyła. Ból ścięgien sprawił, że wydała z siebie jęk. Kłujące igielki przeniosły się do płuc. Plastikowa pałeczka była śliska od potu.

Dwadzieścia metrów. Piętnaście. Dziesięć.

Charlotte zajęła pozycję, odwróciła się do Sam plecami, popatrzyła przed siebie i zaczęła biec. Na oślep wyciągnęła prawą rękę do tyłu w oczekiwaniu, aż pałeczka znajdzie się w jej dłoni, a ona będzie mogła zacisnąć na niej palce i ruszyć.

To była bezwzrokowa zmiana. Przekazanie pałeczki wymagało zaufania i koordynacji. Tak, wymagało, ale przez

ostatnią godzinę ani jedna, ani druga nie potrafiła sprostać wyzwaniu. Charlotte zawahała się i zerknęła za siebie, a Samantha rzuciła się do przodu. Plastikowa pałeczka przejechała po nadgarstku Charlotte wzdłuż tej samej czerwonej linii zdartej skóry, jak dwadzieścia razy przedtem.

Charlotte krzyknęła, Sam potknęła się, a pałeczka upadła na ziemię.

Gamma zaklęła głośno.

- Mam dość - powiedziała, wsunęła stoper do kieszeni ogrodniczek i ruszyła w stronę domu. Podeszwy jej bosych stóp były czerwone od suchej ziemi.

- Kretynka. - Charlotte pocierała nadgarstek.

- Idiotka - odparowała Samantha, usiłując złapać powietrze w rozedrgane płuca. - Masz się nie oglądać.

- A ty masz nie rozcinać mi skóry.

- To się nazywa zmiana bezwzrokowa, nie panikarska.

Drzwi kuchni zamknęły się z trzaskiem. Charlotte i Sam spojrzały na bezładną bryłę stuletniego domu, pamiątkę z czasów sprzed epoki licencjonowanych architektów i pozwoleń na budowę. Przez lata pacnięto go białą farbą w aptekarskiej dawce. W brudnych oknach wisiały sfatygowane koronkowe firanki. Drewniane drzwi wejściowe były wyblakłe od wschodów słońca w północnej Georgii. Dach zapadał się, co było widowym znakiem ciężaru, jaki musiał dźwigać ten dom, odkąd zamieszkała w nim rodzina Quinnów.

Dwa lata i całe życie kłótni dzieliły Samanthę i jej trzynastoletnią młodszą siostrę, ale w tamtej chwili wiedziała, że obie myślą to samo. „Chcę wracać do domu”.

Dom oznaczał budynek z czerwonej cegły położony bliżej miasta. Ich dziecięce sypialnie udekorowane plakatami i naklejkami, a w przypadku Charlotte zielonym mazakiem. Starannie przystrzyżony trawnik od frontu, a nie gołą ziemię znaczoną kurzymi pazurami z podjazdem o długości pięćdziesięciu metrów, żeby było widać, kto się zbliża.

Nikt nie widział, kto podjeżdża pod dom z czerwonej cegły.

Ich świat zawalił się osiem dni temu, a wydawało się, że od tego czasu minęła wieczność. Tamtego wieczoru Gamma, Samantha i Charlotte poszły do szkoły na zawody lekkoatletyczne. Rusty, rzadko zwany pełnym imieniem Russel, był w pracy. Rusty vel Russell zawsze był w pracy.

Później sąsiadka przypomniała sobie nieznaną czarne auto jadące powoli ulicą, ale nikt nie widział koktajlu Mołotowa wlatującego przez okno wykuszowe do środka. Nikt nie widział dymu wydobywającego się z okien ani jezorów ognia na dachu. Zanim podniesiono alarm, dom zamienił się w zgliszcza.

Ubrania. Plakaty. Pamiątniki. Pluszowe zabawki. Prace domowe. Książki. Dwie złote rybki. Mleczaki. Pieniądze na urodziny. Ukradzione szminki. Schowane papierosy. Ślubne zdjęcia. Fotografie dzieci. Chłopięca kurtka skórzana. Liścik miłosny od tego samego chłopca. Składanki ulubionych piosenek na taśmach. Płyty CD, komputer, telewizor. Dom.

- Charlie! - Gamma stanęła na ganku przed kuchnią. Trzymała ręce na biodrach. - Chodź nakryć stół.

Charlotte odwróciła się do Samantha.

- Ostatnie słowo! - wykrzyknęła i potruchtała w stronę

domu.

- Debilka - mruknęła Sam. W grze w ostatnie słowo nie wygrywało się, mówiąc „ostatnie słowo”.

Powoli ruszyła do domu na miękkich nogach. Nie była idiotką, która nie umiała wyciągnąć ręki w tył i czekać, aż pałeczka wyląduje jej w dłoni. Samantha nie rozumiała, dlaczego siostra nie potrafi nauczyć się tak prostej rzeczy.

Zostawiła buty i skarpetki na ganku obok butów i skarpetek Charlotte. Powietrze w domu było wilgotne i nieruchome.

Zaniedbany.

To pierwszy przymiotnik, jaki przyszedł Sam do głowy, gdy tylko przestąpiła próg tego domu. Poprzedni lokator, dziewięćdziesięciosześcioletni kawaler, umarł w zeszłym roku w sypialni na parterze. Przyjaciel ich ojca pozwolił im tu zamieszkać do czasu wyjaśnienia sprawy z firmą ubezpieczeniową. O ile sprawa w ogóle zostanie wyjaśniona. Najwyraźniej istniała niezgoda w kwestii, czy działanie ich ojca nie przyczyniło się do podpalenia.

Opinia publiczna już wydała wyrok. Pewnie dlatego właściciel motelu, w którym zamieszkali po pożarze, poprosił, by znaleźli sobie inne miejsce.

Samantha trzasnęła drzwiami od kuchni. To był jedyny pewny sposób na ich zamknięcie. Na kuchence stał garnek z wodą. Na brązowym laminowanym blacie leżała paczka spaghetti. W kuchni panowały duchota i wilgoć. To było najbardziej zaniedbane pomieszczenie w całym domu. Ani jeden przedmiot nie współistniał harmonijnie z innymi przedmiotami. Staroświecka lodówka warkotała przy każdym

otwarciu drzwi. Kubeł pod zlewem trząsł się we własnym rytmie. Wokół rozchwanego stołu z płyty wiórowej stały cztery krzesła. Każde inne. Krzywe gipsowe ściany były mażnięte białą farbą tam, gdzie kiedyś wisiały zdjęcia.

Charlotte z wysuniętym językiem rzucała papierowe talerze na stół. Samantha sięgnęła po jeden z plastikowych widelców i pstryknięciem posłała go w twarz siostry.

Charlotte wydała z siebie tłumiony okrzyk, nie był on jednak wynikiem oburzenia.

- Jasna cholera, to było coś! - Widelec przekoziółkował w powietrzu i wylądował jej w ustach. Wyjęła go i podała Samancie. - Umyję wszystkie naczynia, jeśli powtórzysz ten rzut dwa razy pod rząd.

- Jeśli ty trafisz raz, zmywam przez cały tydzień - odparła Samantha.

Charlotte zmrużyła oko i wycelowwała. Samantha próbowała odsunąć od siebie myśl, że pozwolenie młodszej siostrze na rzucanie sobie w twarz widelcem to jednak głupi pomysł, kiedy do kuchni weszła Gamma z wielkim kartonem na rękach.

- Charlie, nie rzucaj w siostrę sztuczkami. Sam, pomóż mi znaleźć patelnię, którą niedawno kupiłam. - Postawiła karton na stole. Napis na kartonie głosił „Wszystko po dolarze”. W domu stały dziesiątki nierozpakowanych kartonów. Tworzyły labirynt na korytarzu i w pokojach, pełne tanich rzeczy ze sklepu z artykułami używanymi. - Pomyślcie, ile oszczędzamy. - Podniosła spłowiałą koszulkę z podobizną Enida Stricta jako Church Lady i napisem: „Well, Isn't That SPE-CIAL?”.

Tak przynajmniej wydawało się Samancie. Była zbyt zajęta chowaniem się z Charlotte w kącie, przerażona myślą, że mama będzie im kazała nosić rzeczy po innych ludziach. Skarpetki, nawet bieliznę.

Aż wreszcie wtrącił się tata, który wrzasnął:

- Na litość boską! Może zaszyjesz nas w worki i będzie z głowy, co?

Gamma zagotowała się z wściekłości.

- Teraz jeszcze oczekujesz ode mnie, że nauczę się szyć? - odwrzasnęła.

Rodzice kłócili się o nowe rzeczy, ponieważ stare - tematy ich poprzednich kłótni - przestały istnieć. Kolekcja fajek Rusty'ego. Jego kapelusze. Zakurzone książki prawnicze porozrzucane po domu. Czasopisma Gammy, opracowania z zaznaczonymi na czerwono urywkami i notatkami na marginesie. Jej tenisówki rzucone pod drzwiami. Latawce Charlotte. Spinki do włosów Samantha. Stracili patelnię matki Rusty'ego. Zielony wolnowar, który dostali w prezencie ślubnym. Toster przypalający grzanki. Kuchenny zegar w kształcie sowy, której oczy poruszały się w prawo i w lewo. Haczyki, na których wieszali kurtki. Ścianę, w którą wkręcili haczyki. Kombi Gammy przypominające skamielinę dinozaura w ciemnej pieczarze, w jaką zamienił się garaż.

Na farmie zastali pięć kiwających się krzeseł, które nie znalazły kupca podczas wyprzedaży dobytku właściciela, stary stół kuchenny, za tani, żeby nazwać go antykiem, i wielką bielizniarkę wepchniętą do małej garderoby. Mama chciała zapłacić Tomowi Robinsonowi, żeby ją porąbał. Ani

w garderobie, ani w spiżarni nie została choćby jedna rzecz. Wprowadzili się na farmę dwa dni temu, ale nie rozpakowali jeszcze rzeczy. Na korytarzu przy kuchni piętrzyły się pudła i papierowe torby, których zawartość czekała na ułożenie w szafkach. Nie można było tego zrobić, póki szafki nie zostaną umyte, a to mogła zarządzić tylko Gamma. Materace na górze leżały na podłodze. Na odwróconych skrzynkach stały lampki umożliwiające czytanie książek wypożyczonych z biblioteki publicznej w Pikeville.

Co wieczór Samantha i Charlotte prały ręcznie stroje do biegania. Te rzeczy, jako jedne z nielicznych, ocalały z pożaru.

- Sam, włącz to, żeby trochę poruszyć powietrze. - Gamma wskazała klimatyzator.

Samantha przyjrzała się uważnie metalowej skrzynce. W końcu znalazła włącznik i urządzenie ruszyło. Chłodne powietrze z domieszką woni smażonego kurczaka zasyczało w otworach. Samantha spojrzała przez okno na ogród z boku domu. Przed rozpadającą się stodołą stał rdzewiejący traktor. Obok niego leżało częściowo przysypane ziemią jakieś narzędzie rolnicze. Chevrolet chevette taty pokrywała warstwa zaschniętego brudu. Przynajmniej nie wtopił się w podłogę garażu jak kombi mamy.

- O której mamy odebrać tatę z pracy? - zapytała.

- Ktoś z sądu go odwiezie. - Gamma zerknęła na Charlotte, która pogwizdywała wesoło, próbując złożyć papierową tackę w samolot. - Dzisiaj ma tę sprawę.

Ta sprawa.

Te dwa słowa tłukły się w głowie Samantha. Tata zawsze

miał jakąś sprawę i zawsze byli ludzie, którzy go za to nienawidzili. W Pikeville w stanie Georgia nie było ani jednego domniemanego sprawcy przestępstwa z nizin społecznych, którego nie reprezentowałby Rusty Quinn. Handlarze narkotyków. Gwałciciele. Mordercy. Włamywacze. Złodzieje aut. Pedofile. Porywacze. Napadający na banki. Akta ich spraw czytało się jak szmirowatą literaturę wagonową, która zawsze kończy się tak samo źle. Ludzie w mieście nazywali Rusty'ego adwokatem potępionych. Tak samo nazywali Clarence'a Darrowa, chociaż Samantha nie słyszała, żeby ktoś wrzucił bombę zapalającą do jego domu za wybranie mordercy przed całą śmierci.

O to chodziło w tym pożarze.

Ezekiel Whitaker, czarnoskóry mężczyzna niesłusznie skazany za zabójstwo białej kobiety, wyszedł z więzienia tego samego dnia, kiedy butelka z płonąca naftą wpadła przez okno do domu Quinnów. Dla pełnej jasności podpalacz napisał sprejem na podjeździe:

WIELBICIEL CZARNUCHÓW

Teraz Rusty bronił białego mężczyzny oskarżonego o porwanie i zgwałcenie dziewiętnastoletniej białej dziewczyny. Chociaż sprawa dotyczyła białych, atmosfera była gorąca, ponieważ podejrzany pochodził z nizin społecznych, a ofiara z dobrej rodziny. Rusty i Gamma nigdy otwarcie nie rozmawiali o tej sprawie, ale szczegóły przestępstwa były tak drastyczne, że szeptami mieszkańców przekazujących sobie te informacje z ust do ust przenikały przez drzwi, wentylatory i brzęczały im w uszach, kiedy próbowały zasnąć.

Penetracja obcym przedmiotem.

Bezprawne przetrzymywanie.

Gwałt analny.

W aktach Rusty'ego były fotografie, których nawet wścibska Charlotte nie odważyła się przeglądać. Niektóre pokazywały dziewczynę wiszącą w stodole obok jej rodzinnego domu. Popęłniła samobójstwo, nie mogąc żyć z tym, co jej zrobił ten zwyrodnialec.

Samantha chodziła do szkoły z bratem nieżyjącej dziewczyny. Był dwa lata starszy od niej, ale jak wszyscy dobrze wiedział, kim jest jej ojciec. Chodzenie po korytarzu z szafkami uczniów było dla niej jak chodzenie po płonącym domu, gdy ogień palił jej skórę.

Pożar odebrał Samancie nie tylko sypialnię, ubrania i kradzione szminki. Straciła chłopaka, do którego należała skórzana kurtka, straciła przyjaciółki, które zapraszały ją na przyjęcia, do kina czy na pizamowe party. Nawet jej ulubiony trener, z którym pracowała od szóstej klasy, zaczął wymawiać się brakiem czasu na treningi z nią.

Gamma oznajmiła dyrektorowi, że nie posyła córek do szkoły i na treningi, ponieważ muszą jej pomóc w rozpakowaniu dobytku, ale Sam wiedziała, że powód jest inny. Od czasu pożaru Charlotte codziennie wracała ze szkoły zapłakana.

- Cholera. - Gamma zamknęła karton, rezygnując z szukania patelni. - Mam nadzieję, że dziś wieczorem nie macie nic przeciwko wegetarianizmowi.

Nie miały nic przeciwko, ponieważ jakież to mogło mieć

znaczenie? Gamma była koszmarem kucharką. Nienawidziła przepisów, przyprawom okazywała otwartą wrogość. Niczym zdziczały kot instynktownie jeżyła się przy próbach udomowienia.

Harriet Quinn nie była nazywana Gammą z powodu dziecięcej niezdolności do wymówienia słowa „mama”. Przydomek ten zyskała, ponieważ była posiadaczką dwóch doktoratów. Jednego z fizyki, drugiego z czegoś równie skomplikowanego, czego nazwy Samantha nawet nie pamiętała. Gdyby miała zgadywać, obstawiałaby, że miało to coś wspólnego z promieniami gamma. Jej mama najpierw pracowała dla NASA, potem przeniosła się do Chicago, gdzie otrzymała posadę w Fermilab, świątyni fizyki kwantowej. Wróciła do Pikeville, żeby zaopiekować się umierającymi rodzicami. Jeśli za rezygnacją z kariery naukowej na rzecz małżeństwa z małomiasteczkowym prawnikiem kryła się jakaś romantyczna historia, to Samantha nigdy jej nie słyszała.

- Mamo - Charlotte podparła głowę rękami - brzuch mnie boli.

- Nie masz żadnej pracy domowej? - zapytała Gamma.

- Mam. Z chemii. - Charlotte podniosła wzrok. - Pomożesz mi?

- To żadna filozofia. - Gamma wrzuciła spaghetti do garnka z zimną wodą i przekręciła palnik.

- Chcesz powiedzieć, że to łatwe i powinnam sama sobie z tym poradzić, czy pomożesz mi, bo to dla ciebie bułka z masłem?

Gamma zapaliła zapałkę. Rozległ się głośny syk gazu.

- Za bardzo kombinujesz. Idź umyć ręce.
- To pytanie było ważne.
- Idź.

Charlotte jęknęła teatralnie, wstała od stołu i poszła długim korytarzem do łazienki. Samantha usłyszała otwieranie i zamykanie drzwi, potem znowu otwieranie i zamykanie.

- Krówka! - wrzasnęła Charlotte.

To słówko zastępowało inne, niewymawialne. Ale Charlie miała prawo być zła. Na długim korytarzu było pięćdziesiąt drzwi. Ich rozkład nie miał sensu. Jedne prowadziły do przyprawiającej o gęsią skórę piwnicy. Drugie do garderoby. Za jednymi ze środkowych drzwi znajdowały się schodki wiodące do sypialni, w której umarł poprzedni właściciel domu. Kolejne wiodły do spiżarni. Ostatnie prowadziły do łazienki. Po dwóch dniach żadna z nich nie potrafiła bezbłędnie ich zlokalizować.

- Znalazłam! - zawołała Charlotte, jakby czekały na ten komunikat z zapartym tchem.

- Jeśli przymknąć oko na gramatykę, kiedyś ta dziewczyna zostanie świetną prawniczką. Taką mam przynajmniej nadzieję. Albo zarobi na utarczkach słownych, albo umrze z głodu.

Samantha uśmiechnęła się na myśl o niechlujnej i rozkojarzonej siostrze ubranej w żakiet i z elegancką aktówką w ręku.

- A ja kim będę? - zapytała.
- Kim tylko zechcesz, skarbie. Byle nie tutaj.

Ostatnio ten temat pojawiał się coraz częściej. Gamma

pragnęła, żeby Sam wyjechała z Pikeville i robiła wszystko, czego nie robiły tutejsze kobiety.

Gamma zupełnie nie pasowała do matek w Pikeville, nawet zanim przez pracę Rusty'ego stali się pariasami. Sąsiedzi, nauczyciele, przechodnie na ulicy – każdy miał swoją opinię o Gammie Quinn i rzadko kiedy pozytywną. Gamma była za inteligentna, co działało na jej niekorzyść. I trudna w obejściu. Nie umiała trzymać języka za zębami. Konsekwentnie odmawiała dostosowania się do reszty.

Kiedy Samantha była mała, Gamma, sporo wyprzedzając prowincjonalną modę, zaczęła uprawiać jogging i inne rodzaje aktywnej rekreacji. W weekendy biegała maratony, ćwiczyła przed telewizorem, wzorując się na kasetach firmowanych przez Jane Fondę. Ludzi odpychała nie tylko jej sprawność fizyczna. Gamma była niepokonana w szachy, trivial pursuit, a nawet w monopol. Znała odpowiedzi na wszystkie pytania w teleturnieju *Va banque*. Wiedziała, kiedy i kogo wykorzystać. Nie znosiła dezinformacji. Gardziła zinstytucjonalizowaną religią. W towarzystwie miała dziwny zwyczaj komunikowania nieznanych powszechnie faktów:

- Wiedzieliście, że pandy mają szósty palec rozwinięty z jednej z kości nadgarstka?

- Wiedzieliście, że przegrzebki mają rzędy oczu umieszczonych na płaszczu?

- Wiedzieliście, że granit wewnątrz terminalu Grand Central w Nowym Jorku emituje więcej promieniowania, niż dopuszczono w elektrowniach atomowych?

Czy Gamma była szczęśliwa, czy lubiła swoje życie, czy była

zadowolona ze swoich dzieci, czy kochała męża – to były strzępki informacji rozproszonych w tysiącach kawałków układanki, jaką była ich matka.

- Co twoja siostra porabia tam tak długo?

Samantha odchyliła się na krześle i spojrzała na korytarz. Wszystkie drzwi były zamknięte.

- Może spłukała się w toalecie?

- W jednym z tych pudeł jest przepychacz.

Zadzwonił wiszący na ścianie telefon. To był staroświecki aparat z tarczą. We własnym domu mieli telefon bezprzewodowy z automatyczną sekretarką, która rejestrowała połączenia przychodzące. Samantha pierwszy raz usłyszała niewymawialne słowo na „k” właśnie w automatycznej sekretarce. Była wtedy ze swoją przyjaciółką Gail mieszkającą po drugiej stronie ulicy. Telefon już dzwonił, kiedy otwierała drzwi. Nie zdążyła odebrać, dlatego włączyła się automatyczna sekretarka:

- Rusty Quinn, zajebię cię, gościu. Słyszysz? Zabiję cię, kurwa, zgwałcę twoją żonę, a córki obedrę ze skóry jak upolowanego jelenia, ty gnoju jebany.

A teraz rozległ się czwarty sygnał. Potem piąty.

- Sam – głos Gammy był poważny – nie pozwól, żeby Charlotte odebrała.

Samantha wstała od stołu. Na usta cisnęło jej się pytanie: a co ze mną? Zdjęła słuchawkę z widełek i przycisnęła ją do ucha. Odruchowo spięła się jak w oczekiwaniu na cios.

- Słucham?

- Cześć, Sammy-Sam. Daj słuchawkę mamie.

- To tata - szepnęła Samantha. Gamma stanowczo potrząsnęła głową. - Właśnie poszła na górę wziąć kąpiel. - Za późno przypomniała sobie, że tego samego wykrętu użyła kilka godzin wcześniej. - Przekazać jej, żeby oddzwoniła?

- Nasza Gamma ostatnio przywiązuje nadzwyczajną wagę do higieny - stwierdził Rusty.

- Ostatnio, czyli od pożaru? - wyrzuciła z siebie Samantha. Nie zdążyła ugryźć się w język. Agent ubezpieczeniowy w Pikeville nie był jedyną osobą, która oskarżała Rusty'ego Quinna o podpalenie.

Rusty zachichotał.

- Doceniam, że tak długo powstrzymywałaś się od uwag. - W słuchawce rozległo się ciche kliknięcie zapalniczki. Najwyraźniej Rusty zapomniał, jak przysięgał na Biblię, że rzuci palenie. - Skarbie, kiedy Gamma wyjdzie z wanny, powiedz jej, że przyślę do was szeryfa.

- Szeryfa? - w głosie Sam zabrzmiał strach, ale Gamma nie odwróciła się do niej. - Stało się coś złego?

- Nic takiego, skarbie. Dotąd nie złapali tego drania, który spalił dom, a dzisiaj kolejny niewinny człowiek wyszedł na wolność, więc niektórym może się to nie spodobać.

- Mówisz o gwałtocielu tej dziewczyny, która się zabiła?

- Tylko ona, jej oprawca i Bóg w niebiosach znają prawdę. Nie jestem żadną z tych osób, zatem nie feruję wyroków. I ty też nie powinnaś.

Samantha nie znosiła, kiedy tata mówił do niej tonem małomiasteczkowego adwokata.

- Tato, ona powiesiła się w stodole. To dowiedziony fakt.

- Dlaczego otacza mnie tyle przekornych kobiet? - Rusty zasłonił ręką słuchawkę i powiedział coś do kogoś innego. Samantha usłyszała chropawy kobiecy śmiech. To była Lenore, sekretarka taty. Gamma nigdy jej nie lubiła.

- Dobrze już. Jesteś tam, skarbie? - Rusty wrócił do rozmowy.

- A gdzie mam być?

- Odłóż słuchawkę - powiedziała Gamma.

- Kochanie. - Rusty wydmuchał dym. - Powiedz mi, co mam zrobić, żeby to naprawić, a ja natychmiast to zrobię.

Stary prawniczy chwyt. Scedować rozwiązanie problemu na inną osobę.

- Tato, ja...

Gamma wcisnęła palcem widełki.

- Mamo, przecież rozmawialiśmy.

Gamma nie odrywała palca od widełek. Zamiast wyjaśnić swoje postępowanie, powiedziała:

- Zastanów się nad etymologią sformułowania „odłóż słuchawkę”. - Wyjęła słuchawkę z dłoni Samantha i odwiesiła ją. - Wtedy „podnieś słuchawkę z widełek” zaczyna mieć sens. Oczywiście wiesz, że widełki to taka dźwigienka, która w pozycji dolnej otwiera obwód i sygnalizuje, że można odebrać rozmowę.

- Szeryf wysyła samochód - oznajmiła Samantha. - To znaczy tata go o to poprosi.

Gamma spojrzała na nią z powątpiewaniem. Szeryf nie przepadał za Quinnami.

- Umyj ręce przed obiadem.

Samantha wiedziała, że nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy. Nie chciała, żeby mama śrubokrętem rozkręciła telefon i zaczęła objaśniać zasadę działania zespołu obwodów elektrycznych, jak to zdarzało się wielokrotnie w przypadku innych drobnych sprzętów domowych. Gamma była jedyną matką w sąsiedztwie, która sama wymieniała olej w aucie.

Tyle że teraz zmienili sąsiedztwo.

Samantha potknęła się o pudło na korytarzu. Chwyciła się za palce i ścisnęła je mocno, jakby liczyła, że wycisnie z ciała ból. Kulejąc, poszła do łazienki. Po drodze minęła siostrę. Charlotte uszczypnęła ją w ramię. Cała Charlotte.

Smarkata zamknęła drzwi, więc Sam miała kłopot z trafieniem do łazienki. Muszla klozetowa była niska. Instalowano ją w czasach, kiedy ludzie byli niżsi niż dzisiaj. Spoiny narożnej kabiny prysznicowej pokrywała czarna pleśń. W umywalce leżał młotek z kulistą główką. Czarny ślad wskazywał, gdzie był najczęściej odkładany. To Gamma odkryła jego przeznaczenie. Kran był tak stary i zardzewiały, że trzeba było walić w niego młotkiem, by nie kapał.

- Naprawię go w ten weekend - zapowiedziała Gamma. Spodziewając się trudnego tygodnia, nagrodę odłożyła na koniec.

Jak zwykle Charlotte zostawiła po sobie bałagan. Zachlapała podłogę i lustro. Nawet deska klozetowa była mokra. Samantha wyciągnęła rękę po papierowe ręczniki, ale zmieniła zdanie. Ten dom był tymczasowym schronieniem, a skoro tata wysyłał do nich szeryfa z powodu zagrożenia kolejnym podpaleniem, sprzątanie wydawało się stratą czasu.

- Obiad! - zawołała Gamma z kuchni.

Samantha ochlapała sobie twarz wodą. We włosach miała pełno piasku. Na łydkach i ramionach czerwone smugi tam, gdzie pot zmieszał się z czerwoną mączką. Pragnęła zanurzyć się w gorącej kąpieli, ale w całym domu była tylko jedna wanna. Miała wygięte nóżki. Wzdłuż krawędzi biegła wyraźna linia w kolorze rdzy, wżarty w żeliwo ślad po poprzednim właścicielu, który przez lata w wannie zeszkrobywał z siebie ziemię. Nawet Charlotte nie weszła do wanny, chociaż zachowywała się jak prosię.

- Tu jest zbyt smutno - powiedziała na widok łazienki.

Nie tylko wanna budziła niepokój Charlotte. Przerazały ją: zawilgocona piwnica, strych pełen nietoperzy, skrzypiące drzwi do garderoby. No i sypialnia, w której umarł samotny farmer.

Dzisiaj rano, symulując sprzątanie, znalazły jego zdjęcie w dolnej szufladzie bielizniarki. Żadna nie odważyła się go dotknąć. Wpatrywały się w okrągłą twarz mężczyzny i miały wrażenie, że obcują z czymś złowieszczym, chociaż fotografia przedstawiała typową farmę z czasów kryzysu z traktorem i mułem. Samanthę przeraził widok żółtych zębów farmera, chociaż nie rozumiała, jak na czarno-białym zdjęciu coś mogło wyglądać na żółte.

- Sam? - Gamma stanęła w drzwiach łazienki i spojrzała na ich odbicie w lustrze.

Nie było wątpliwości, że są matką i córką. Miały tak samo mocno zarysowany podbródek, wydatne kości policzkowe, taki sam kształt brwi, które nadawały ich twarzom wyraz rezerwy.

Gamma nie była piękna, ale robiła wrażenie. Miała ciemne, niemal czarne włosy, jasnoniebieskie oczy, w których zapalały się wesołe iskierki, gdy trafiła na coś szczególnie zabawnego albo absurdalnego. Samantha była wystarczająco duża, by pamiętać czasy, gdy mama podchodziła do życia dużo mniej poważnie.

- Marnujesz wodę - zauważyła Gamma.

Samantha stuknęła kran młotkiem i rzuciła go z powrotem do umywalki. Usłyszała odgłos nadjeżdżającego samochodu. Pewnie człowiek szeryfa. Dziwne, bo Rusty rzadko dotrzymywał słowa.

Gamma stanęła za nią.

- Ciągłe ci smutno z powodu Petera?

To jego skórzana kurtka spłonęła w pożarze. To on napisał do Samanthy list miłosny, ale już nie patrzył jej w oczy, gdy mijali się na szkolnym korytarzu.

- Jesteś ładna. Wiesz o tym? - powiedziała Gamma.

Samantha zobaczyła w lustrze, że oblewa się rumieńcem.

- Ładniejsza niż ja kiedykolwiek byłam. - Gamma pogładziła ją palcami po włosach. - Szkoda, że moja mama umarła, zanim się urodziłaś.

Samantha rzadko słyszała o swoich dziadkach. Z tego, co wiedziała, nigdy nie wybaczyli Gammie wyjazdu do college'u.

- Jaka była babcia? - zapytała.

- Ładna jak Charlie - z uśmiechem odparła Gamma. - Bardzo bystra i radosna. Ciągłe wymyślała sobie jakąś robotę. Należała do tych ludzi, których po prostu się lubi. - Potrząsnęła głową. Mimo naukowych tytułów dotąd nie

rozgryzła, na czym polega sekret, że się jest lubianym. – Przed trzydziestką zaczęła siwieć. Mówiła, że bardzo dużo myśli i dlatego siwieje, ale ty oczywiście wiesz, że włosy pierwotnie są białe. To wyspecjalizowane komórki zwane melanocytami tworzą barwnik w mieszczkach włosowych.

Samantha odchyliła się wprost w ramiona matki. Zamknęła oczy, wsłuchując się w tak dobrze znaną melodię jej głosu.

– Stres i hormony mogą odbarwić włosy, ale jej życie w tamtym czasie, życie matki, żony, nauczycielki w szkółce niedzielnej, było proste i zwyczajne. Możemy zatem założyć, że wczesna siwizna była cechą genetyczną, co oznacza, że albo ty, albo Charlotte, albo wy obie możecie mieć to samo.

Samantha otworzyła oczy.

– Ty nie masz siwych włosów.

– Bo raz w miesiącu jeżdżę do salonu piękności. – Śmiech Gammy urwał się nieoczekiwanie. – Obiecuj, że zawsze będziesz opiekować się Charlie.

– Charlotte sama umie się sobą zająć.

– Mówię poważnie, Sam.

Samantha poczuła, jak jej serce drży na dźwięk stanowczego tonu matki.

– Dlaczego?

– Bo jesteś jej starszą siostrą i takie masz zadanie. – Gamma złapała ją za rękę. Nie spuszczała wzroku z jej odbicia w lustrze. – Przechodziliśmy trudny okres, moja droga. Nie chcę kłamać i obiecywać, że będzie lepiej. Charlie musi wiedzieć, że może na tobie polegać. Musisz za każdym razem pewnym ruchem wsuwać jej w dłoń paleczkę bez względu na

to, gdzie jest. Ty jej szukaj. Nie oczekuj, że ona będzie szukać ciebie.

Samantha czuła ściskanie w gardle. Gamma mówiła o czymś innym, czymś o wiele poważniejszym niż sztafeta.

- Odchodzisz od nas?

- Oczywiście, że nie. - Gamma zmarszczyła brwi. - Chcę ci tylko przypomnieć, że powinnaś starać się być użyteczna, Sam. Myślałam, że już ci minęła ta głupia faza nastoletniej skłonności do dramatyzowania.

- Ja nie...

- Mamo! - rozległ się przeraźliwy krzyk Charlotte.

Gamma odwróciła Samanthę ku sobie. Ujęła jej twarz w dłoń o stwardniałej skórze.

- Nigdzie się nie wybieram, dziecko. Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. - Pocałowała ją w czubek nosa. - Zanim zejdziesz na kolację, walnij młotkiem w kran jeszcze raz.

- Mamo! - powtórzyła rozpaczliwie Charlotte.

- Boże! - mruknęła Gamma pod nosem, wychodząc z łazienki. - Charlie Quinn, nie wydzieraj się jak ulicznica.

Samantha sięgnęła po mały młotek. Śliska drewniana rączka była ciągle mokra. Pokryta rdzą okrągła główka miała tę samą barwę co ziemia w ogrodzie. Stuknęła w kran i odczekała chwilę, by się upewnić, że woda już nie kapie.

- Samantho? - zawołała Gamma.

Zmarszczyła czoło, odwracając się ku otwartym drzwiom. Mama nigdy nie zwracała się do niej pełnym imieniem. Nawet Charlotte musiała swoje odcierpieć jako Charlie. Gamma tłumaczyła im, że pewnego dnia to docenią. Opublikowała

więcej artykułów i otrzymała więcej środków finansowych na projekty sygnowane imieniem Harry niż Harriet.

- Samantho. - Głos Gammy był chłodny, wręcz zimny. Brzmiał jak przestroga. - Upewnij się, że zawór jest dobrze dokręcony i przyjdź szybko do kuchni.

Zerknęła w lustro, jakby w swoim odbiciu szukała wyjaśnienia dziwnego zachowania mamy. Przecież nigdy tak do nich nie mówiła, po prostu nigdy, nawet kiedy wyjaśniała zasadę działania lokówki.

Bez namysłu ścisnęła w dłoni młotek. Schowała go za siebie i wolnym krokiem ruszyła długim korytarzem do kuchni.

Paliły się wszystkie światła, za oknem zapadał zmierzch. Wyobraziła sobie swoje buty do biegania obok butów Charlotte na kuchennej werandzie, plastikową pałeczkę rzuconą gdzieś na ziemię. Kuchenny stół zastawiony papierowymi tackami. Plastikowe noże i widelce.

Usłyszała kasłanie. Niskie, jakby męskie. A może był to kaszel Gammy, która po pożarze kasłała tak, jakby tamten dym został jej w płucach.

Znowu kaszel.

Włoski na karku stanęły Samancie dęba. Ten odgłos obudził jej czujność.

Tylne drzwi znajdowały się na drugim końcu korytarza. Matowe szkło otaczała blaknąca aureola. Samantha zerknęła za siebie i szła dalej w kierunku kuchni. Wyraźnie widziała gałkę u drzwi. Wyobraziła sobie, jak ją przekręca. Z każdym krokiem zadawała sobie pytanie, czy jest głupia, czy powinna się niepokoić, czy może to żart mamy, ponieważ Gamma

uwielbiała żarty. Przyklejała na przykład sztuczne oczy na dzbanek z mlekiem w lodówce albo pisała na wewnętrznej stronie rolki:

Ratunku, uwięzili mnie w fabryce papieru toaletowego!

W domu był tylko jeden telefon. Staromodny aparat z tarczą w kuchni.

Pistolet taty leżał w szufladzie w kuchni.

Naboje były w jednym z kartonów.

Charlotte uśmiełaby się na widok młotka. Samantha wetknęła go za szorty do biegania. Poczwała na skórze chłód metalu i wilgoć rączki młotka. Wzdrygnęła się. Zakryła wystający młotek koszulką, weszła do kuchni...

I zastygła w bezruchu.

To nie był żart.

W kuchni stali dwaj mężczyźni. Śmierdzieli potem, piwem i nikotyną. Mieli na rękach czarne rękawiczki, a na twarzach kominiarki.

Samantha otworzyła usta. Powietrze nagle zgęstniało, nabrało konsystencji bawełny i zablokowało gardło.

Niższy mężczyzna miał mocniejszą budowę ciała, wręcz zwalistą. Był w dżinsach i czarnej rozpinanej koszuli. Wysoki miał na sobie sprany biały T-shirt z jakiegoś koncertu rockowego, dżinsy i wysokie niebieskie trampki z rozwiązanymi czerwonymi sznurówkami. Niższy wydawał się groźniejszy, ale tego Sam nie mogła być pewna, ponieważ widziała tylko jego oczy i usta.

Nie żeby patrzyła im w oczy.

Trampek miał rewolwer.

Czarna Koszula miał strzelbę i celował w głowę Gammy.
Gamma trzymała ręce w górze.

- Wszystko w porządku - powiedziała na widok Samantha.

- Wręcz przeciwnie - odezwał się Czarna Koszula chropawym głosem, który brzmiał jak grzechot ogona grzechotnika. - Kto jeszcze jest w domu?

- Nikt. - Gamma pokręciła głową.

- Nie kłam, suko.

Uszu Samantha dobiegł stukot. Charlotte siedziała przy stole. Trzęsa się tak bardzo, że nogi krzesła uderzały o podłogę jak dzięcioł walący dziobem w pień drzewa.

Samantha obejrzała się i spojrzała na tylne drzwi, na aureolę światła.

- Siadaj. - Trampek wskazał miejsce obok Charlotte.

Przesunęła się powoli, ostrożnie zginając kolana, trzymając ręce nad stołem. Drewniana rączka młotka uderzyła o siedzisko krzesła.

- Co to? - Czarna Koszula spojrzał w jej kierunku.

- Przepraszam - wyszeptała Charlotte. Na podłodze pod krzesłem pojawiła się żółtawa kałuża. Charlotte kiwała się w przód i w tył, nie podnosząc głowy. - Przepraszam, przepraszam, bardzo przepraszam.

Samantha wzięła ją za rękę.

- Powiedzcie, czego chcecie - odezwała się Gamma. - Dostaniecie to i będziecie mogli odejść.

- A jeśli chcę tego? - Czarna Koszula utkwiał świdrujące spojrzenie w Charlotte.

- Proszę... Zrobię wszystko, co chcecie. Wszystko -

powiedziała Gamma.

- Wszystko? - Ton Czarnej Koszuli jasno wskazywał podtekst tego pytania.

- Nie - zaproponował Trampek. Jego głos brzmiał młodziej, bardziej nerwowo. Może bardziej się bał. - Nie po to przyszliśmy. - Jabłko Adama poruszyło się pod kominiarką, gdy usiłował odchrząknąć. - Gdzie twój mąż?

W oczach Gammy pojawił się błysk. Złość.

- W pracy.

- To czemu jego auto stoi przed domem?

- Mamy tylko jedno, bo...

- Szeryf... - Samantha za późno ugryzła się w język.

Czarna Koszula wbił w nią wzrok.

- O co ci chodzi, mała?

Samantha spuściła głowę. Charlotte ścisnęła ją za rękę. Rusty mówił, że szeryf wysłała po niego swojego człowieka samochodem, ale on mówił wiele rzeczy, które okazywały się nieprawdą.

- Córka się boi - przyszła jej w sukurs Gamma. - Może pójdziemy do pokoju i dokładnie omówimy sprawę, z jaką tu przyszliście.

Coś twardego uderzyło Sam w czaszkę. Poczowała w ustach metaliczny posmak. W uszach jej dzwoniło. Strzelba. Czarna Koszula przyciskał jej lufę do potylicy.

- Mówiłaś coś o szeryfie, mała. Słyszałem wyraźnie.

- Nie - zaproponowała Gamma. - Chodziło jej o to, że...

- Zamknij się.

- Ona tylko...

- Powiedziałem, żebyś stuliła, kurwa, pysk!

Samantha podniosła głowę, gdy lufa strzelby skierowała się w stronę matki.

Gamma wyciągnęła przed siebie ręce powolnym ruchem, jakby odsuwała lecące na nią zwały piasku. Nagle świat zwolnił, a ich ciała zamieniły się w glinę. Sam patrzyła, jak palce mamy zaciskają się jeden po drugim na lufie obrzyna. Widziała starannie obcięte paznokcie. Nagniotek na kciuku od trzymania ołówka.

Jej uszu dobiegło ledwie słyszalne kliknięcie.

Sekundnik w zegarku.

Domknięcie drzwi.

Uderzenie iglicy w spłonkę w naboju.

Może Samantha słyszała trzask, a może bardziej wyczuła ten dźwięk, obserwując palec Czarnej Koszuli pociągający za spust.

Powietrze spowiła czerwona mgła.

Krew trysnęła na sufit. Na podłogę. Zakrwawione kosmyki spadły Charlotte na głowę, okryły szyję i twarz Samanthy.

Gamma upadła na ziemię.

Charlotte krzyknęła.

Samantha czuła, że otwiera usta, ale głos uwiązł jej w gardle. Znieruchomiała. Krzyki Charlotte brzmiały niczym zamierające echo. Świat wokół stał się czarno-biały, jak zdjęcie farmy starego kawalera. Kropelki czarnej krwi na białej maskownicy klimatyzatora. Czarne cętki na szybie. Na ciemnoszarym niebie mrugała blado tylko jedna samotna gwiazda.

Samantha dotknęła szyi opuszkami palców. Piasek. Kość. Więcej krwi, ponieważ wszystko było poplamione krwią. Wyczuła tętno. Czy to było jej własne serce, czy serce jej matki bijące pod jej drżącymi palcami?

Krzyki Charlotte nabrały intensywności ogłuszającej syreny alarmowej. Czarna krew na palcach Sam nagle stała się purpurowa. Szary pokój nabrał wściekle intensywnych, wręcz oślepiających kolorów.

Gamma nie żyła. Nigdy więcej nie powie córce, żeby uciekała z Pikeville jak najdalej, nie objedzie za złą odpowiedź na proste pytanie w teście, nie zruga za brak zaangażowania na bieżni, za brak cierpliwości wobec Charlotte, za brak okazywanego jej wsparcia.

Potarła palce. Miała w dłoni odłamek zęba Gammy. Zebrało jej się na wymioty, oczy zaszły łzami. Drżała z rozpaczy jak struna harfy.

W ułamku sekundy jej świat stanął na głowie.

- Zamknij się! - Czarna Koszula uderzył Charlotte tak mocno, że omal nie spadła z krzesła.

Samantha złapała ją i przytuliła do siebie. Obie łkały, trzęsły się, krzyczały. To nie działo się naprawdę. Mama nie mogła tak po prostu umrzeć. Na pewno zaraz otworzy oczy i objaśni im funkcjonowanie układu sercowo-naczyniowego, powoli odzyskując panowanie nad ciałem. „Wiedziałyście, że serce pompuje średnio pięć litrów krwi na minutę?”.

- Gamma - wyszeptała Samantha. Wystrzał rozerwał jej klatkę piersiową, szyję, twarz. Lewa część szczęki zniknęła. Część czaszki również. Jej piękny złożony umysł. I łukowata

brew. Nikt już Samancie nie wytłumaczy świata. Nikt nie zainteresuje się, czy zrozumiała. - Gamma.

- Jezu! - Trampek z furią walił się rękami po klatce piersiowej, usiłując usunąć z niej kawałki kości i tkanek. - Jezu, Zach!

Samantha gwałtownie odwróciła głowę.

To imię wywołało w jej głowie lawinę skojarzeń. Zachariah Culpepper. Kradzieże samochodów. Znęcanie się nad zwierzętami. Obrza moralności publicznej. Obcowanie z nieletnią.

Charlotte nie była jedyną, która czytała akta ojca. Latami Rusty Quinn ratował Zacha Culpeppera przed odsiadką. Jego niespłacone należności były ciągłym źródłem napięcia między Gammą a Rustym, zwłaszcza po pożarze domu. Zach był mu winien ponad dwadzieścia tysięcy dolarów, ale Rusty nie chciał go ścigać z tego powodu.

- Kurwa! - wrzasnął Zach. Błysk w oczach Samantha powiedział mu, że został rozpoznany. - Kurwa mać!

- Mamo... - Charlotte nie zorientowała się, że sytuacja uległa zmianie. Ze wzrokiem utkwionym w Gammę trzęsła się jak osika, aż zęby jej dzwoniły. - Mamo, mamo, mamo...

- W porządku. - Samantha próbowała pogłodzić siostrę po włosach, ale były pokryte odłamkami kości i krwią.

- Wcale nie. - Zach zdarł z głowy kominiarkę. Wyglądał na bezwzględного typu. Miał na twarzy ślady po trądziku, a wokół oczu i ust czerwone plamy po rozprysku krwi. - Niech to szlag! Po co nazwałeś mnie po imieniu, dupku?!

- Ja nnnie... - zająknął się Trampek. - Przepraszam.

- Nikomu nie powiemy. - Samantha spuściła głowę, jakby w ten sposób mogła udawać, że nie widziała twarzy Zacha. - Nikomu nie piśniemy ani słowa. Przysięgam.

- Mała, właśnie roztrzaskałem ci mamuszkę na kawałki. Naprawdę myślisz, że wyjdiesz z tego cało?

- Nie. - Trampek wszedł mu w słowo. - Nie po to przyszliśmy.

- Przyszedłem tu anulować długi. - Zach zlustrował pokój szybkim spojrzeniem stalowoniebieskich oczu. - A teraz mi się wydaje, że to Rusty Quinn mi zapłaci.

- Nie, powiedziałem ci... - Trampek urwał nagle, gdy Zach wycelował strzelbę w jego twarz.

- Nic nie kumasz. Musimy nawiać z miasta, a to wymaga mnóstwa kasy. Wszyscy wiedzą, że Rusty Quinn trzyma gotówkę w domu.

- Dom się spalił. - Samantha usłyszała te słowa, zanim zorientowała się, że padły z jej ust. - Wszystko się spaliło.

- Kurwa! - ryknął Zach, łapiąc Trampka za ramię. Wywłókł go na korytarz, z palcem na spuście celując w dziewczynki.

Samantha słyszała gniewne szepty bandytów, ale jej mózg nie przyswajał ich treści.

- Nie! - Charlotte upadła na podłogę i trzęsącą się ręką ujęła dłoń Gammy. - Nie leż tak, mamo. Proszę... Kocham cię. Bardzo cię kocham.

Samantha spojrzała na sufit. Czerwone linie przecinały się na nim jak serpentyny w spreju. Łzy ciekły jej ciurkiem po twarzy i wsiąkały w kołnierzyk jedynej bluzki, która ocalała z pożaru. Dała bólowi ujście, po czym zamknęła go w sobie.

Gamma odeszła. Zostały w domu same z zabójcą, a człowiek szeryfa się nie zjawiał.

„Obiecuj, że zawsze będziesz opiekować się Charlie”.

- Charlie, wstań. - Pociągnęła siostrę za ramię, uciekając przy tym wzrokiem. Nie była w stanie patrzeć na otwartą klatkę piersiową mamy, na żebra sterczące jak zęby.

„Wiedziałaś, że zęby rekina to tak naprawdę stwardniałe łuski?”.

- Charlie, wstań - szepnęła.

- Nie mogę. Nie...

Samantha pchnęła ją z powrotem na krzesło i przysunęła usta do jej ucha.

- Biegnij, kiedy nadarzy się okazja. - Jej głos był tak cichy, że wiązał jej w gardle. - Nie oglądaj się. Po prostu pędź przed siebie.

- Co knujecie? - Zach przytknął lufę do czoła Sam. Metal był ciepły. Do lufy przywarły kawałki ciała Gammy. Ich zapach przypominał Samancie woń grillowanego mięsa. - Co jej kazałaś zrobić? Biec? Próbować uciec?

Charlotte pisnęła i zakryła dłonią usta.

- Co kazała ci zrobić, laleczko?

Ton, jakim mówił do jej siostry, przyprawił Sam o mdłości.

- Chodź, skarbie. - Łakomy wzrok Zacha ślizgał się po drobnych piersiach Charlotte, po jej wąskiej talii. - Chcesz się ze mną zaprzyjaźnić?

- Prze...przezań - zająknęła się Samantha. Pociła się i trzęsła z emocji. Jeszcze chwila, a tak samo jak Charlie straciłaby kontrolę nad pęcherzem. Miała wrażenie, jakby

okrągły wylot lufy wwiercał się jej w czaszkę. Mimo to zebrała się w sobie. – Zostaw ją – powiedziała.

– Do ciebie mówiłem, suko? – Zach przycisnął lufę mocniej, aż Sam uniosła brodę.

Zacisnęła pięści z całej siły. Musiała to przerwać. Musiała chronić Charlotte.

– Daj nam spokój, Zachariahu Culpepperze. – Zaskoczyła ją własna bezczelność. Była przerażona, ale w każdym gramie jej przerażenia znajdowała się domieszka narastającej wściekłości. Ten człowiek zamordował jej matkę. Pożądliwie łąpał na jej siostrę. Zapowiedział, że cało z tego nie wyjdą. Pomyślała o młotku wetkniętym w szorty. Wyobraziała sobie, jak wali nim Zacha w czaszkę. – Dobrze wiem, kim jesteś, pieprzony zbrodźcu.

Wzdrygnął się na dźwięk tego słowa. Zacisnął szczęki. Gniew wykrzywił mu twarz. Ścisnął mocniej strzelbę, aż pobielaly mu kłykcie. Ale kiedy odezwał się do Samantha, jego głos zabrzmiał spokojnie.

– Wyrwę ci powieki, żebyś mogła patrzeć, jak nożem odbieram twojej siostruni cnotę.

Spojrzała mu prosto w oczy. Cisza, jaka zapadła po tej groźbie, dzwoniła jej w uszach. Nie odwróciła wzroku. Strach wbijał jej w serce tysiące ostrzy. Nie spotkała dotąd człowieka tak do cna bezlitosnego i zwyrodniałego.

Charlie zaczęła zawodzić.

– Zach – powiedział Trampek. – Daj spokój, stary. – Urwał i czekał na reakcję. – Mieliśmy umowę, nie?

Zach ani drgnął. Nikt z pozostałej trójki też się nie poruszył.

- Mieliśmy umowę - powtórzył Trampek.

- Jasne - mruknął wreszcie Zach, pozwalając Trampkowi wyjąć sobie z rąk strzelbę. - Porządny człowiek dotrzymuje słowa.

Zaczął się odwracać, ale nagle zmienił zdanie. Błyskawicznie przeciął ręką powietrze jak biczem. Złapał Samanthę za twarz, rozcapierzając palce jak koszykarz chwytający piłkę, i uderzył ją w plecy tak mocno, że przewróciło się krzesło, a ona uderzyła głową o zlew.

- I co, teraz też myślisz, że jestem zboczeńcem? - Dłonią miażdżył jej nos, palce wetknął w oczodoły.

Samantha złapała go za gruby nadgarstek, na oślep kopiała i wierzgała, próbowała go podrapać, uderzyć, skończyć z bólem. Krew sączyła się po policzkach. Palce Zacha drżały, wpychając jej gałki oczne w głąb mózgu. Zagiął palce, usiłując oderwać jej powieki. Paznokciami skrobał po odsłoniętych oczach.

- Przestań! - krzyczała Charlie. - Przestań!

Nacisk ustał równie nieoczekiwanie, jak się zaczął.

- Sammy! - Charlie dyszała ciężko, strach paraliżował jej oddech. Dotknęła dłońmi twarzy siostry. - Sam, spójrz na mnie. Widzisz mnie? Spójrz na mnie, błagam!

Samantha ostrożnie uniosła powieki. Były naderwane. Miała wrażenie, że patrzy przez kawałek starej koronki.

- Co to, kurwa, jest? - zapytał Zach.

Młotek. Wypadł jej ze spodenek.

Zach podniósł go z ziemi. Obejrzał drewnianą rączkę, potem rzucił Charlie znaczące spojrzenie.

- Jesteś ciekawa, co mogę tym zrobić?

- Dosyć! - Trampek wyrwał mu młotek i rzucił na korytarz. Słuchali, jak metalowa główka obija się o drewnianą podłogę.

- Chciałem się trochę zabawić, bracie.

- Wstańcie. Miejmy to już za sobą - powiedział Trampek.

Jednak Charlie nie ruszyła się z podłogi. Sam mrugała powiekami, próbując pozbyć się krwi. Ledwie widziała. Światło lampy wiszącej u sufitu paliło jej oczy niczym rozgrzany olej.

- Pomóż jej wstać. - Trampek zwrócił się do Zacha. - Obiecałeś, stary. Nie pogarszaj sytuacji.

Zach szarpnął Samanthę za rękę tak mocno, że omal nie wyrwał jej ze stawu barkowego. Dźwignęła się z trudem i oparła o stół dla utrzymania równowagi. Zach popchnął ją ku drzwiom. Wpadła na krzesło. Charlie wzięła ją za rękę.

Trampek otworzył drzwi.

- Wychodźcie - zarządził.

Nie miały wyboru, musiały iść. Charlie ruszyła pierwsza, kiwając się na boki, by pomóc siostrze zejść po schodach. Poza zasięgiem jaskrawego światła kuchennej lampy pulsowanie pod powiekami Samanthy zelżało. Wzrok nie przystosował się do ciemności, przed oczami pojawiały się i znikwały cienie.

W tej chwili powinny trenować na bieżni. Pierwszy raz w życiu ubłagały mamę, żeby pozwoliła im opuścić trening. A teraz Gamma nie żyła, a one wychodziły z domu trzymane na muszce przez człowieka, który zjawił się tutaj, żeby uregulować swoje długi z pomocą broni.

- Widzisz coś? Sam, widzisz? - dopytywała Charlie.

- Tak - skłamała. Przed oczami migotała jej dyskotekowa kula, tyle że zamiast barwnych rozbłysków widziała pulsujące plamy szarości i czerni.

- Tędy - powiedział Trampek, prowadząc je nie do starej furgonetki, lecz na pole za domem. Kapusta. Sorgo. Arbuzy. To uprawiał stary farmer na swojej ziemi. W pustej szafie na górze znalazły rejestr zasiewów. Trzysta akrów uprawnej ziemi wzięli w dzierżawę właściciele sąsiedniej farmy zajmującej powierzchnię tysiąca akrów.

Samantha czuła pod bosymi stopami świeżo obsianą glebę. Wsparła się o Charlie, która mocno trzymała ją za rękę. Drugą rękę wyciągnęła przed siebie z irracjonalnej obawy, że na tym pustym polu mogłaby na coś wpaść. Im dalej od zabudowań i światła, tym bardziej gęstniała ciemność pod powiekami Sam. Charlie stała się niewyraźnym szarym kształtem. Trampek był wysokim i chudym węglem rysunkowym, a Zach Culpepper złowieszczym czarnym kwadratem naładowanym nienawiścią.

- Dokąd idziemy? - zapytała Charlie.

Samantha poczuła lufę strzelby na plecach.

- Nie zatrzymujcie się - warknął Zach.

- Nie rozumiem - powiedziała Charlie. - Dlaczego to robicie?

Skierowała to pytanie bezpośrednio do Trampka. Jak Sam wyczuła, młodszy ze zbirów był słabszy, a jednocześnie on tu decydował.

- Co panu zrobiliśmy? Jesteśmy dziećmi. Nie zasługujemy

na takie traktowanie.

- Zamknij się! - huknął Zach. - Obie się zamknijcie.

Sam ścisnęła dłoń Charlie jeszcze mocniej. W tej chwili była już prawie ślepa. Miała zostać ślepa do końca życia, tyle że ten koniec zbliżał się nieuchronnie. Ale dla Charlie istniała jeszcze szansa. Sam poluzowała uścisk ręki, dając siostrze do zrozumienia, żeby była czujna i wykorzystała stosowny moment na ucieczkę.

Kiedy wprowadzili się tu dwa dni temu, Gamma pokazała im topograficzną mapę okolicy. Próbowała przekonać je do uroków wiejskiego życia, wskazując wszystkie tereny, które będą mogły spenetrować. Teraz Sam odtwarzała w pamięci ukształtowanie terenu w poszukiwaniu drogi ucieczki. Ziemia sąsiada ciągnęły się po horyzont. Gdyby Charlie zdecydowała się uciekać tędy, z pewnością skończyłaby z kulą w plecach. Po prawej stronie na granicy posiadłości zaczynał się gęsty las. Gamma ostrzegła je, że może się tam roić od kleszczy. Po drugiej stronie strumień wpływał do tunelu schodzącego pod stację meteorologiczną i prowadzącego do utwardzonej, ale rzadko używanej drogi. Niecały kilometr na północ stała porzucona stodoła. Trzy kilometry na wschód leżała inna farma. Bagniste łowisko, na pewno pełne żab i latających nad nim motyli. Gdyby cierpliwie poczekały, mogłyby zobaczyć na polu jelenia. Miały trzymać się z dala od drogi. Uciekać na widok rośliny o potrójnych liściach, bo mógł to być groźny trujący bluszcz.

Uciekaj, Sam błagała Charlie w myślach. Nie oglądaj się, czy biegnę za tobą.

- Co to? - zapytał Zach.

Wszyscy się odwrócili.

- Samochód - powiedziała Charlie. Sam widziała tylko dwa punkty światła wolno sunące podjazdem w stronę farmy.

Człowiek szeryfa? Ktoś, kto odwoził tatę do domu?

- Cholera, zaraz zobaczą moją furgonetkę. - Zach popchnął je strzelbą w kierunku lasu. - Ruszajcie się szybciej albo zastrzelę was tutaj.

Tutaj.

Charlie zamarła. Zaczęła dzwonić zębami. W końcu dotarła do niej groza sytuacji. Zrozumiała, że idą na śmierć.

- Można to inaczej załatwić - odezwała się Sam. Zwracała się do Trampka, ale to Zach parsknął pogardliwie. - Zrobię wszystko, co chcecie. - Słyszała w uszach głos Gammy, mówiący te słowa wraz z nią. - Wszystko.

- Myślisz, że i tak nie wezmę sobie tego, czego chcę, głupia suko? - powiedział Zach.

- Nie zdradzimy, że to wy - nie rezygnowała Sam. - Powiemy, że mieliście na twarzach kominiarki i...

- Z moim wozem na podjeździe i waszą martwą mamuszką w domu? - Zach znowu parsknął. - Wy, Quinnowie, macie się za bystrzaków, którzy gadką wywiną się ze wszystkiego.

- Niech pan posłucha - ciągnęła błagalnie Sam. - I tak musi pan wyjechać z miasta. Nie ma powodu, żeby nas zabijać. - Zwróciła głowę w stronę Trampka. - Pomyśl o tym, proszę. Wystarczy, że nas zwiążecie. Zostawcie nas tam, gdzie nikt nas nie znajdzie. I tak będzie pan musiał uciec z miasta. Chyba nie chce pan mieć jeszcze więcej krwi na rękach... - Urwała

i czekała na odpowiedź.

Wszyscy czekali na odpowiedź.

Trampek chrząknął.

- Przykro mi - wykrztusił w końcu.

W rechocie Zacha rozbrzmiały nuty triumfu.

Sam nie dawała za wygraną.

- Puśćcie moją siostrę. - Musiała przerwać na chwilę, żeby przełknąć ślinę. - Ona ma zaledwie trzynaście lat. To jeszcze dziecko.

- Nie wygląda jak dziecko. Ma już niezłe cycki - rzucił Zach.

- Zamknij się - warknął Trampek. - Nie żartuję.

Zach cmoknął kilka razy.

- Ona nikomu nie powie - Sam musiała próbować dalej. - Powie, że to byli nieznajomi. Prawda, Charlie?

- Czarnuch? - zapytał Zach. - Jak ten, którego wasz tatuś uratował od odsiadki za morderstwo?

- Tak jak uratował ciebie przed więzieniem za pokazywanie fiuta małym dziewczynkom? - wyrzuciła z siebie Charlie.

- Bądź cicho, proszę cię - błagalnie powiedziała Sam.

- Niech mówi. Podoba mi się, że jest taka bojowa - stwierdził Zach.

Charlie zamilkła. I milczała dalej, gdy szli w stronę lasu.

Sam szła tuż przy siostrze. Łamała sobie głowę nad argumentem, który przekonałby tych zbirów do odstąpienia od zamiaru zrobienia im krzywdy. Niestety Zach Culpepper miał rację. Jego furgonetka zaparkowana obok domu zmieniła wszystko.

- Nie - szepnęła Charlie sama do siebie. Robiła to przez cały

czas, dając ujście sporowi, jaki toczył się w jej głowie.

Biegnij, błagała ją Sam bezgłośnie. Mną się nie przejmuj.

- Ruszaj się. - Zach pchnął ją w plecy lufą strzelby, żeby przyspieszyła kroku.

Sosnowe igły wbijały się w stopy. Wchodzili głębiej w las. Powietrze stało się rześkie. Sam zamknęła oczy. I tak nic nie widziała. Całkowicie zdała się na Charlie. Towarzyszył im szelest liści. Przystąpiły kilka zwalonych drzew. Przekroczyły wąski strumień, prawdopodobnie był to odpływ z farmy do potoku.

Biegnij, Charlie, biegnij, powtarzała w duchu Sam. Błagam cię, biegnij.

- Sam... - Charlie zatrzymała się nagle i mocno objęła ją w pasie. - Tu jest łopata. Łopata.

Sam nie rozumiała. Opuszkami palców dotknęła powiek. Były sklezione zakrzepłą krwią. Delikatnie je rozchyliła.

W srebrnej poświacie księżycy zobaczyła przecinkę. I coś więcej prócz łopaty. Kopiec świeżej ziemi obok dołu.

Jeden dół.

Jeden grób.

Skupiła wzrok na ziejącej w ziemi czarnej dziurze. To nie było włamanie ani próba wymuszenia anulacji długu u adwokata. Wszyscy wiedzieli, że po pożarze domu Quinnowie znaleźli się w tragicznej sytuacji finansowej. Spór z firmą ubezpieczeniową. Eksmisja z hotelu. Konieczność zakupów w sklepie z rzeczami używanymi. Zachariah Culpepper najwyraźniej założył, że Rusty zechce zasilić swoje konto, zmuszając klientów zalegających z zapłatą do

uregulowania długów. I niewiele się pomylił. Poprzedniego wieczoru Gamma wykrzyczała w twarz Rusty'emu, że dwadzieścia tysięcy dolarów, jakie był im winny Culpepper, pomogłoby rodzinie odzyskać wypłacalność.

To oznacza, że wszystko sprowadzało się do pieniędzy.

I co gorsza - do głupoty, ponieważ zaległa należność nie zniknęłaby wraz ze śmiercią Rusty'ego.

Sam znowu poczuła przyływ wściekłości. Ugryzła się w język aż do krwi. Nie bez powodu Zachariah Culpepper ciągle wracał do więzienia. Jak przy wszystkich jego poprzednich przestępstwach, tak i przy tym plan był zły i źle przeprowadzony. Każdy pojedynczy błąd doprowadził ich w miejsce, w którym się znaleźli. Wykopali grób dla Rusty'ego, ale ponieważ Rusty się spóźnił - zawsze się spóźniał - a one dostały pozwolenie na opuszczenie treningu, ten grób miał stać się ich grobem.

- Dobra, chłopcze. Teraz ty się wykaż. - Zach oparł kolbę strzelby na biodrze, wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i otworzył go jedną ręką. - Strzały będą za głośne. Weź to. Poderżnij jej gardło jak świni. - Jednak Trampek nie wyciągnął ręki po nóż, więc go ponaglił: - No rusz się. Rób, jak się umówiliśmy. Zajmij się tą większą. Ja biorę młodszą.

Trampek wciąż nie ruszał się z miejsca.

- Ona ma rację - oznajmił. - Nie musimy tego robić. Nie zamierzaliśmy krzywdzić kobiet. Miało ich nie być w domu.

- Że co?

Sam złapała Charlie za rękę. Ich prześladowcy odwrócili od nich uwagę. Charlie mogła teraz uciec.

- Co się stało, to się nie odstanie. Ale nie musimy pogarszać sytuacji, zabijając następnych ludzi. Niewinnych ludzi.

- Jezu! - Zach zamknął nóż i schował go do kieszeni. - W kuchni już to ustaliliśmy, stary. Nie mamy wyboru.

- Możemy się ujawnić.

Zach złapał strzelbę.

- Co ty pieprzysz?

- To ja się przyznam. Całą winę wezmę na siebie.

Sam oparła się o Charlie, dając jej znać, że czas się ruszyć, jednak Charlie ani drgnęła.

- Już to widzę. - Zach huknął Trampka w pierś. - Myślisz, że dam się zamknąć za morderstwo tylko dlatego, że w tobie nagle obudziło się sumienie?

Sam puściła rękę Charlie.

- Biegnij - szepnęła.

- Nie wydam cię - powiedział Trampek. - Powiem, że to ja.

- W mojej furgonetce?

Charlie próbowała ująć dłoń siostry.

Sam cofnęła rękę, szepcząc:

- Uciekaj.

- Sukinsyn! - Zach wycelował strzelbę w Trampka. - Będzie tak: weźmiesz mój nóż i poderzniesz gardło tej suce, albo zrobię ci pod sercem dziurę wielkości Teksasu. - Przesąpił z nogi na nogę. - I to zaraz.

Trampek uniósł rewolwer i wymierzył w głowę Zacha.

- Obaj się zgłosimy.

- Odsuń tę pukawkę ode mnie, zasrańcu.

Sam kuksnęła Charlie. Musiała się ruszyć. Miała tylko jedną

szansę.

- Uciekaj – szepnęła błagalnym tonem.
- Najpierw zabiję ciebie, potem je – powiedział Trampek.
- Nie masz jaj, żeby pociągnąć za spust.
- Zrobię to.

Charlie nie ruszyła się z miejsca. Znowu zaczęła szcząkać zębami.

- Biegnij. Musisz biec – mobilizowała ją Sam.
- Bogaty dupowaty chłoptaş. – Zach splunął na ziemię. Udał, że chce wytrzeć usta ręką, ale gwałtownie sięgnął po rewolwer Trampka.

Lecz Trampek spodziewał się tego. Odepchnął lufę strzelby, Zach stracił równowagę i runął na plecy, machając rękami.

- Biegnij! – Sam popchnęła siostrę. – Uciekaj, Charlie!

Charlie w końcu posłuchała. Rzuciła się do ucieczki. Sam ruszyła za nią, uniosła nogę, zgięła rękę...

Rozległ się huk wystrzału.

Z rewolweru wydobył się błysk.

Powietrze zawibrowało.

Głowa Sam odskoczyła tak gwałtownie, że w szyi coś trzasnęło. Ciało podążyło za głową, wyginając się nienaturalnie. Sam okręciła się wokół własnej osi jak dziecięcy bączek i runęła w ciemność niczym Alicja z Krainy Czarów wpadająca do króliczej nory.

„Wiesz, jaka jesteś ładna?”.

Stopami dotknęła jakiegoś podłoża. Poczwała, jak kolana amortyzują wstrząs.

Spojrzała w dół.

Pod rozcapierzonymi palcami stóp miała mokrą drewnianą podłogę.

Podniosła wzrok i zobaczyła w lustrze swoje odbicie.

W niewytłumaczalny sposób znalazła się z powrotem na farmie przy łaźnienkowej umywalce.

Za nią stała Gamma i obejmowała ją w pasie. W lustrze wyglądała młodziej i łagodniej. Miała uniesione brwi, jakby powątpiewała w coś, co właśnie usłyszała. To ta kobieta objaśniała nieznanemu w sklepie spożywczym różnicę między rozszczepieniem jądra atomu a syntezą; to ona każdej Wielkanocy wymyślała skomplikowane wersje gry w poszukiwanie ukrytych przedmiotów.

Jakich wskazówek udzieli teraz?

- Powiedz mi - powiedziała Sam do odbicia mamy w lustrze - co mam teraz zrobić.

Gamma otworzyła usta, ale nie wydała z siebie głosu. Jej twarz zaczęła robić się starsza. Sam poczuła żal, że nigdy nie zobaczy, jak mama naprawdę się starzeje. Wokół ust Gammy pojawiły się zmarszczki, pod oczami kurze łapki. Zmarszczki przeszły w bruzdy. Siwizna oprószyła ciemne włosy. Podbródek się zaokrąglił.

Skóra schodziła płatami.

Z ziejącej dziury w policzku wystawały białe zęby. Włosy stały się tłustym białym kołtunem. Gałki oczne wysychały.

To nie był proces starzenia. Gamma ulegała rozkładowi.

Sam próbowała uciec. Osaczała ją woń śmierci: mokra ziemia, robaki kłębiące się pod skórą. Gamma przywarła rękami do twarzy Sam, zmuszając ją, żeby się odwróciła.

Palce były już tylko wyschłymi kośćmi. Czarne zęby wyglądały jak żyłki, gdy Gamma otworzyła usta i wykrzyczała:

- Mówiłam, że masz stąd uciekać!

Sam próbowała złapać oddech i nagle się ocknęła.

Otworzyła oczy. Otaczała ją nieprzenikniona ciemność.

W ustach miała ziemię. Moką ziemię. Twarz miała zakrytą dłońmi. Czowała na nich swój ciepły oddech. Nagle coś usłyszała.

Szu, szu, szu.

Miotła. Zamiatanie.

Siekiera. Rąbanie.

Łopata zrzucająca ziemię do wykopanego grobu.

Grobu Sam.

Zakopywali ją żywcem. Ziemia ciążyła jej niczym metalowe wieko.

- Przepraszam - dobiegł ją tłumiony głos Trampka. - Boże, wybacz mi.

Spadały na nią kolejne porcje ziemi, przygniatając klatkę piersiową. Czowała się jak w imadle, które za chwilę wycisnie jej z płuc ostatnią porcję powietrza.

„Wiedziałaś, że Giles Corey był jedynym oskarżonym w procesie czarownic z Salem, którego zmiażdżono na śmierć głazami?”

Łzy wezbrały w oczach Sam, spłynęły po policzkach. Stłumiła chęć krzyku. Nie mogła ulec panice. Nie mogła zacząć wrzeszczeć ani machać rękami, ponieważ i tak nie otrzymałaby pomocy. Oprawcy dobiliby ją kolejnym strzałem. Błaganie o życie tylko przyspieszyłoby jej śmierć.

Gamma powiedziała: „Nie bądź głupia. Myślałam, że już ci

minęła ta głupia faza nastoletniej skłonności do dramatyzowania”.

Sam ostrożnie odetchnęła.

Zaskoczyło ją, że powietrze powędrowało do płuc.

Mogła oddychać!

Dłonie zakrywające jej twarz utworzyły poduszkę powietrzną. Sam zacisnęła mocniej palce. Zwolniła rytm oddychania, żeby zachować na dłużej bezcenne powietrze, które jeszcze zostało.

Charlie jej o tym powiedziała. Dawno temu. Sam przywołała obraz siostry w skautowskim mundurku. Ramiona i nogi jak patyki. Pogniecioną żółtą koszulę i brązową kamizelkę z naszywkami sprawności, jakie zdobyła. Przy śniadaniu czytała na głos podręcznik przetrwania:

Jeśli porwie cię lawina, nie krzycz ani nie otwieraj ust. Kiedy się zatrzyma, spróbuj ułożyć ręce przed twarzą i stworzyć poduszkę powietrzną.

Sam wysunęła język, starając się oszacować odległość dłoni od twarzy. Oceniała, że to nieco więcej niż pół centymetra. Spróbowała poruszyć palcami i powiększyć tę przestrzeń. Nie zdołała odsunąć ich od twarzy. Ziemia okalała jej ręce ściśle, niemal jak beton.

Starła się ustalić pozycję ciała. Nie leżała płasko na plecach. Lewe ramię było wciśnięte w ziemię, ale nie leżała też całkiem na boku. Biodra miała przekręcone w stosunku do ramion. Przez spodenki do biegania czuła oblepiający chłód. Prawe kolano miała zgięte, lewą nogę wyprostowaną.

Skręt tułowia.

Jak przy rozciąganiu. Upadając, ułożyła się w znajomej pozycji.

Usiłowała przenieść ciężar ciała. Nie mogła poruszyć nogami. Spróbowała poruszyć chociaż palcami, potem łydkami. Napiąć ścięgna podkolanowe.

Nic.

Zamknęła oczy. Była sparaliżowana. Już nigdy nie będzie chodzić, biegać, poruszać się bez pomocy innych. Paniczny strach opadł ją niczym rój moskitów. Bieganie było całym jej życiem. Wokół niego wszystko się kręciło. Po co walczyć o ocalenie, skoro nigdy już nie będzie mogła używać nóg?

Wcisnęła twarz w dłonie, żeby stłumić krzyk.

Charlie nadal mogła biegać. Sam patrzyła, jak siostra ucieka do lasu. To ostatnia rzecz, jaką widziała przed postrzałem. Przywołała obraz pędzącej Charlie, która przebierała patykowatymi nogami niewyobrażalnie szybko, bez oglądania się za siebie, bez chwili zawahania.

Nie myśl o mnie, błagała ją w duchu. Wcześniej powtarzała to siostrze milion razy. Skup się na sobie i biegnij.

Czy udało jej się uciec? Czy ktoś jej pomógł? A może zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy Sam za nią biegnie, i zamiast niej zobaczyła lufę Zachariaha Culpeppera mierzącego jej prosto w twarz?

Albo jeszcze gorzej.

Sam natychmiast odsunęła od siebie tę okropną myśl. Zastąpiła ją optymistycznym scenariuszem. Charlie udaje się uciec, wzywa pomoc i pokazuje policji grób. Orientację w terenie odziedziczyła po mamie, nigdy nie błędziła i dlatego

na pewno zapamiętała miejsce, gdzie zbiry pochowały jej siostrę.

Liczyła uderzenia serca, aż poczuła, że przestaje tłuc jej się piersiach jak szalone.

I wtedy poczuła w gardle łaskotanie.

Wszędzie miała ziemię – w uszach, w nosie, w ustach, w płucach. Nie mogła powstrzymać kaszlu. Otworzyła usta. Zakasłała, a nabierając powietrza, zassała do nosa więcej ziemi. Zakasłała drugi raz, potem trzeci. Za trzecim razem towarzyszył temu skurcz żołądka, gdy ciało napięło się jak do zwinięcia w kłębek.

Serce podskoczyło jej z radości.

Poczuła drgnięcie nóg.

Panika i strach odcięły połączenia nerwowe między mózgiem a mięśniami. Nie była sparaliżowana. To przerażenie pozbawiło ją czucia, póki nie zrozumiała, co się z nią dzieje. Teraz przerażenie ustąpiło miejsca euforii, gdy powoli odzyskiwała czucie w dolnych partiach ciała. Miała wrażenie, jakby wchodziła do wody. Najpierw bodźce dotarły do mózgu z palców u stóp, kiedy je rozcapierzyła i odrobinę rozgarnęła ziemię, co umożliwiło poruszenie stopami. A poruszywszy stopami, poczuła drobny ruch kostek.

Skoro mogła poruszać stopami, to czym jeszcze?

Napięła mięśnie łydek, by je rozgrzać. Poczuła palący ból w mięśniach czworogłowych i napięcie w kolanach. Skupiła całą uwagę na nogach, powtarzając sobie: mogę nimi poruszać, aż ciało wysłało informację zwrotną, że to prawda, że ma władzę w nogach.

Nie była sparaliżowana, miała więc szansę.

Gamma zawsze powtarzała, że Sam nauczyła się biegać, zanim nauczyła się chodzić. Nogi były najsilniejszą częścią jej ciała.

Mogła utorować sobie nimi drogę do życia.

Zaczęła wykonywać nieznaczne ruchy w przód i w tył, próbując przekopać się przez warstwę ciężkiej ziemi. Poczwała na dłoniach swój gorący oddech. Czyżby zużywała za dużo powietrza? Czy to w ogóle miało jakieś znaczenie? Raz po raz traciła świadomość tego, co robi. Poruszała dolną częścią ciała w jedną i drugą stronę. Czasem wydawało jej się, że znalazła się na pokładzie łodzi kołyszącej się na oceanie. Po chwili docierało do niej, że leży przysypana ziemią, i przyspieszała ruchy, wkładała w nie więcej siły, by zaraz ponownie kołysać się na łodzi.

Próbowała liczyć:

- Raz Missisipi, dwa Missisipi, trzy Missisipi...

Chwyciły ją skurcze w nogach. Poczwała skurcz żołądka. Całe ciało napięło się do granic wytrzymałości. Zmusiła się do zamarcia w bezruchu na kilka sekund. Przerwa przyniosła niemal tyle samo bólu co wysiłek. Kwas mlekowy zalał wyczerpane mięśnie. Żołądek podszedł do gardła. Miała wrażenie, że zamiast kręgosłupa ma ciasno skręcone śruby, od których promienieje przeszywający ból do szyi i nóg. Każdy oddech zostawał jej w dłoniach niczym uwięziony w klatce ptak.

Charlie podczas tamtego śniadania przeczytała jeszcze:

Istnieje pięćdziesiąt procent szans na przeżycie, ale tylko

pod warunkiem, że ofiara zostanie odnaleziona w ciągu godziny.

Sam nie wiedziała, ile czasu leży w grobie. Miała poczucie, że to wszystko – utrata domu, śmierć mamy, postrzał – wydarzyło się w poprzednim życiu.

Napięła mięśnie brzucha i spróbowała unieść nieco tułów. Naprężyła ramię. Napięła szyję. Wcisnęła bark głębiej w mokrą ziemię.

Potrzebowała więcej przestrzeni.

Spróbowała rozkołysać biodra. Centymetr po centymetrze zyskiwała przestrzeń, która pozwoliła jej poruszyć ciałem w pasie, potem ramieniem, szyją i głową.

Czy między twarzą a dłońmi było teraz więcej miejsca?

Znowu wysunęła język. Jego koniuszek dotknął szpary między złączonymi dłońmi. Miała ponad centymetr przestrzeni.

Postęp.

Teraz przyszedł czas na ramiona. Przesuwała je w górę i w dół, w górę i w dół. Tym razem zyskała centymetry przesuniętej ziemi. Musiała trzymać dłonie przed twarzą, żeby móc oddychać. I nagle zrozumiała, że musi kopać rękami.

Godzina. Tyle dała jej Charlie. Jej czas dobiegał końca. Miała gorące dłonie, wilgotne od skroplonych oddechów. Coraz bardziej mąciło jej się w głowie.

Wzięła ostatni głęboki wdech.

Odsunęła dłonie od twarzy. Przekręciła nadgarstki i poczuła, jakby zaraz miały pęknąć. Zacisnęła wargi i zęby,

i z wściekłym impetem zanurzyła rozcapierzone dłonie w ziemi, próbując ją usunąć.

Napotkała opór.

Pałący ból przeszył jej ramiona. Kości czworoboczne mniejsze. Mięśnie równoległoboczne. Łopatki. Setki rozżarzonych igieł w bicepsie. Miała wrażenie, że palce pękają z trzaskiem, że odchodzą paznokcie, skóra schodzi z kłykci. Zapadają się płuca. Nie mogła już wstrzymywać oddechu. Nie miała siły dalej walczyć. Była zmęczona. I sama. Mama nie żyła. Siostra zniknęła. Sam zaczęła krzyczeć. Najpierw w myślach, potem naprawdę. Była wściekła. Wściekła na mamę, że złapała lufę strzelby; wściekła na ojca, że sprowadził na nich to nieszczęście; wściekła na Charlie, że nie była dostatecznie silna; i pełna żalu, że umrze w tym przeklętym grobie.

Płytkim grobie.

Na koniuszkach palców poczuła powiew chłodnego powietrza.

Przebiła się przez warstwę ziemi. Niewiele ponad pół metra dzieliło ją od życia i śmierci.

Nie miała czasu na radość. Wypuściła już z płuc ostatni haust powietrza. Jediną nadzieją na ratunek było dalsze kopanie.

Odgarniała palcami wszystko, na co natrafiła. Liście. Szyszki. Morderca próbował zakryć świeżą ziemię, nie przypuszczał jednak, że kilkunastoletnia ofiara zdoła wydostać się z grobu. Samantha nabrała w dłoń garść ziemi, potem następną i nie przestawała, póki nie udało jej się napiąć mięśni

brzucha ostatni raz i dźwignąć się z pozycji leżącej.

Zachłysnęła się świeżym powietrzem. Wypluła ziemię i krew. Miała splątane włosy. Dotknęła koniuszkami palców boku czaszki. Mały palec trafił na niewielki otwór. Wyczuła kość. Tędy wszedł pocisk. Została postrzelona w głowę.

Postrzelona. W głowę.

Cofnęła rękę. Nie miała odwagi dotknąć oczu. Zmrużyła powieki. Las był niewyraźną plamą. Zobaczyła dwa punkciki światła. Latały jej przed oczami jak powolne trzmiele.

Usłyszała szum wody rozbrzmiewający echem jak w tunelu pod stacją meteorologiczną, który wiedzie ku utwardzonej drodze.

Ukazała się kolejna para światełek.

To nie były trzmiele.

To były reflektory auta.

28 LAT PÓŹNIEJ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Charlie Quinn szła zaciemnionymi korytarzami gimnazjum w Pikeville z narastającym niepokojem. Nie był to klasyczny poranny przemarsz wstydu. Raczej głębokiego żalu. To określenie doskonale pasowało do sytuacji, ponieważ właśnie w tym budynku pierwszy raz uprawiała seks z facetem, z którym nie powinna tego robić. A ściślej mówiąc, w sali gimnastycznej, co dowodziło, że tata miał rację w kwestii zagrożeń płynących z pozwolenia na późne powroty do domu.

Skręciła za róg, ściskając w dłoni telefon. Niewłaściwy chłopak. Niewłaściwy mężczyzna. Niewłaściwy telefon. I niewłaściwa droga, ponieważ Charlie nie wiedziała, dokąd idzie. Okręciła się na pięcie i zaczęła wracać tą samą drogą. Wszystko w tym głupim budynku wyglądało znajomo, ale nic nie znajdowało się tam, gdzie według niej powinno. Pamięć ją zawiodła.

Skręciła w lewo i znalazła się przed gabinetem dyrekcji. Puste krzesła czekały na niegrzecznych uczniów wysłanych na dywanik. Plastikowe siedzenia przypominały te, na których Charlie przesiedziała pierwsze lata. Za pyskowanie. Za kłótnie z nauczycielami, kolegami i koleżankami, wyzywanie się na martwych obiektach. Jej dorosła wersja zdzieliłaby w twarz swoją nastoletnią wersję za to, że była taką zołą.

Oparła dłoń o szybę i zajrzała do ciemnego biura. Wreszcie coś wyglądało, jak powinno wyglądać. Wysoki kontuar, za którym brylowała pani Jenkins, sekretarka szkoły. Proporczyki

zwisające z przeciekającego sufitu. Prace plastyczne uczniów na ścianach. Pojedyncze światło na końcu pomieszczenia. Charlie nie zamierzała pytać dyrektora Pinkmana o drogę do autora niewygodnej dla niej wiadomości w stylu:

Cześć, wzięłaś nie swojego iPhone'a po numerku w mojej furgonetce u Trefnego Raya wczoraj wieczorem.

Charlie nie widziała sensu w pytaniu siebie, o czym wtedy myślała, ponieważ do baru o nazwie Trefny Ray nie chodziło się rozmyślać.

Telefon, który trzymała w ręku, zadzwonił. Charlie zobaczyła wygaszacz ekranu przedstawiający owczarka niemieckiego z gryzakiem w pysku. Identyfikator rozmówcy pokazał napis: SZKOŁA.

- Tak? - zapytała.

- Gdzie jesteś? - W jego głosie było napięcie. Pomyślała o możliwych groźnych następstwach przypadkowego seksu z poznanym w barze nieznanym: chorobach wenerycznych, zazdrosnej żonie, rozwścieczonej matce nieślubnego dziecka, szantażu.

- Stoję przed gabinetem Pinka - powiedziała.

- Odwróć się i skreć w drugi korytarz na prawo.

- Dobrze. - Charlie rozłączyła się.

Złapała się na tym, że próbuje rozszyfrować ton jego głosu, po czym skarciła się w duchu. To i tak nie miało znaczenia, skoro nigdy więcej tego człowieka nie zobaczy.

Ruszyła ciemnym korytarzem, a sportowe buty skrzypiały na wypastowanej podłodze. Usłyszała za sobą cichy trzask. W sekretariacie zapaliło się światło. Zgarbiona starsza

kobieta, wyglądająca jak duch pani Jenkins, weszła za kontuar, szurając nogami. Gdzieś w oddali otworzyły się i zamknęły ciężkie metalowe drzwi. Odezwał się brzęczyk wykrywacza metali. Ktoś zadzwonił pękiem kluczy.

Z każdym nowym dźwiękiem atmosfera gęstniała, jakby szkoła szykowała się na poranny szturm. Charlie rzuciła okiem na wielki zegar na ścianie. Jeśli nic się nie zmieniło w harmonogramie zajęć, pierwszy dzwonek miał rozbrzmieć niedługo. Uczniowie, którzy wcześniej zostali przywiezieni do szkoły i czekają na lekcje w stołówce, za chwilę wypełnią korytarze.

Charlie należała do tej grupy uczniów. Przez długi czas, gdy tylko pomyślała o tacie, widziała go z łokciem wystającym z okna chevroleta chevette i zapalonym papierosem w palcach, gdy wyjeżdżał ze szkolnego parkingu.

Przystanęła.

Numery sal w końcu przykuły jej uwagę. Natychmiast zorientowała się, gdzie jest. Dotknęła czubkami palców zamkniętych drewnianych drzwi. Sala numer trzy. Jej bezpieczna przystań. Pani Beavers odeszła na emeryturę dawno temu, ale w uszach Charlie nadal brzmiały jej słowa:

- Zabiorą ci kozę tylko wtedy, kiedy pokażesz im, gdzie trzymasz siano.

Charlie nadal nie była pewna ich sensu. Domyślała się, że mają związek z klanem Culpepperów, którego przedstawiciele niestrudzenie ją prześladowali, kiedy w końcu wróciła do szkoły.

A może Etta Beavers, nauczycielka, która trenowała

dziewczęcą drużynę koszykówki, dobrze wiedziała, jak to jest być obiektem szyderstw i drwin.

Nie było nikogo, kto mógłby poradzić Charlie, jak zachować się w obecnej chwili. Pierwszy raz od czasów nauki w college'u pozwoliła sobie na jednorazową przygodę. Nie należała do kobiet, które lubią wdawać się w takie historie. Nie chodziła do barów. Nie nadużywała alkoholu. Nie popełniała niewybaczalnych pomyłek. Przynajmniej do niedawna.

Jej życie zaczęło się sypać w sierpniu zeszłego roku. Spędzała wtedy całe dni, popełniając błąd za błędem, i jak widać, w maju tego roku nic się nie zmieniło. Błędy popełniała jeszcze przed wstaniem z łóżka. Tego ranka leżała wpatrzona w sufit i wmawiała sobie, że to, co zaszło w nocy, wcale się nie wydarzyło, gdy z torebki dobiegł ją dźwięk telefonu. Nieznany dźwięk.

Odebrała, ponieważ zawinięcie aparatu w folię aluminiową, wyrzucenie go do śmietnika za biurem i kupienie nowego telefonu, do którego przerzuciłaby zawartość kopii zapasowej, nie przyszło jej do głowy aż do chwili, w której rzuciła „halo” do słuchawki.

Krótką rozmowa przebiegła tak, jak można się tego było spodziewać po dwojgu obcych sobie ludziach:

- Dzień dobry, nieznajoma. Na pewno zapytałem cię o imię, ale go nie pamiętam. Chyba mam twój telefon.

Charlie zaproponowała spotkanie w miejscu pracy nieznajomego. Nie chciała, żeby dowiedział się, gdzie mieszka, gdzie pracuje ani jakim autem jeździ. Patrząc na jego

furgonetkę i pięknie wyrzeźbione ciało, przypuszczała, że ma do czynienia z mechanikiem albo farmerem. Kiedy powiedział, że jest nauczycielem, natychmiast pomyślała o *Stowarzyszeniu Umarłych Poetów*. A kiedy uściślił, że uczy w gimnazjum, natychmiast zrodziło się w niej podejrzenie, że ma do czynienia z pedofilem.

- Tutaj. - Mężczyzna stał w otwartych drzwiach na drugim końcu długiego korytarza.

W tej samej chwili rozjarzyły się wiszące pod sufitem świetlówki, zalewając Charlie snopem najbardziej niekorzystnego światła. Natychmiast pożałowała wyboru stroju: złachanych džinsów i spłowiałej bawełnianej koszulki z długim rękawem z logo kobiecej drużyny koszykówki Duke Blue Devils.

- Boże - mruknęła pod nosem. Mężczyzna na drugim końcu korytarza nie miał tego problemu.

Pan Nie-Pamiętam-Twojego-Imienia wyglądał jeszcze lepiej, niż go zapamiętała. Rozpinana koszula i spodnie khaki nie były w stanie ukryć faktu, że ma prawdziwe mięśnie tam, gdzie zwykle u mężczyzn po czterdziestce znajduje się mięsień piwny. Jego broda była czymś więcej niż popołudniowym zarostem. Siwizna na skroniach dodawała tajemniczości. Nawet z końca korytarza Charlie wyraźnie widziała dołek w brodzie.

Z takimi facetami się nie umawiała. Wręcz przeciwnie, mężczyzn tego typu programowo unikała. Wydawał się zbyt nieprzystępny, zbyt silny, zbyt trudny do rozszyfrowania. Obcowanie z kimś takim przypominało zabawę naładowaną

bronią.

- To ja. - Wskazał tablicę ogłoszeniową pod swoją salą.

Na białym pergaminie widniały małe odciski dłoni. Wycięte z papieru litery układały się w napis PAN HUCKLEBERRY.

- Huckleberry? - zapytała Charlie.

- Tak naprawdę to Huckabee. - Wyciągnął do niej rękę. - Huck.

Charlie uścisnęła mu dłoń. Za późno zorientowała się, że Huck wyciągnął rękę po iPhone'a.

- Przepraszam. - Podała mu telefon.

Posłał jej krzywy uśmiech, który pewnie przyprawiał jego uczennice o szybsze bicie serca.

- Twój jest tutaj.

Charlie weszła za nim do klasy. Na ścianach wisiały mapy, co miało sens, ponieważ wyglądało na to, że Huck jest nauczycielem historii. O ile wierzyć w napis głoszący, że PAN HUCKLEBERRY UWIELBIA HISTORIĘ ŚWIATA.

- Może nie pamiętam wszystkiego z ostatniej nocy, ale mówiłeś chyba, że służysz w piechocie morskiej?

- Już nie, ale to brzmi lepiej niż nauczyciel w gimnazjum - skwitował autoironicznie. - Zaciągnąłem się jako siedemnastolatek, przeszedłem na emeryturę sześć lat temu. - Oparł się o biurko. - Szukałem sposobu, żeby służyć dalej, skorzystałem z możliwości darmowej edukacji dla byłych żołnierzy i tak wylądowałem tutaj.

- Założę się, że na walentynki dostajesz furę kartek ze śladami łez. - Charlie oblewałaby historię codziennie, gdyby jej nauczyciel wyglądał jak pan Huckleberry.

- Masz dzieci? - zapytał.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparła, ale nie zadała tego samego pytania. Zakładała, że mężczyzna mający dzieci nie używałby zdjęcia psa jako wygaszacza ekranu. - Jesteś żonaty?

- Nie pasował mi ten stan - odparł, potrząsając głową.

- Mnie tak. Od dziewięciu miesięcy jestem w oficjalnej separacji - wyjaśniła Charlie.

- Zdradziłaś go?

- Można by tak sądzić, ale nie. - Przesunęła palcem po książkach stojących na półce przy biurku. Homer. Eurypides. Wolter. Brontë. - Nie wyglądasz na wielbiciela *Wichrowych wzgórz* - zauważyła.

- W furgonetce nie pogadaliśmy sobie za wiele - odparł z uśmiechem.

Charlie chciała odwzajemnić ten uśmiech, ale żal wygrał. Kąciki ust jej opadły. Pod pewnymi względami te flirciarskie przekomarzanki były większym grzechem niż fizyczny akt seksualny. Przekomarzała się ze swoim mężem. Mężowi zadawała niedorzeczne pytania.

A wczoraj w nocy pierwszy raz w życiu go zdradziła.

Huck wyczuł zmianę jej nastroju.

- To nie moja sprawa, ale jest czubem, że pozwala ci odejść.

- Ze mną trudno wytrzymać. - Zatrzymała wzrok na jednej z map. W wielu punktach Europy i Bliskiego Wschodu były wbite niebieskie pineski. - To miejsca, w których byłeś?

Skinął głową, ale nie rozwinął tematu.

- Piechota morska - ciągnęła Charlie. - Byłeś w Navy

SEALS?

- Żołnierz piechoty morskiej może być komandosem, ale nie każdy komandos służy w piechocie morskiej.

Charlie już miała zwrócić mu uwagę, że nie odpowiedział na jej pytanie, ale Huck ją uprzedził:

- Twój telefon dzwonił w nocy.

Serce podeszło jej do gardła.

- Nie odebrałaś?

- Nie. Bardziej mnie bawi rozszyfrowywanie cię po identyfikatorach dzwoniącego. - Oparł się całym ciężarem o biurko. - B2 zadzwonił około piątej rano. Przypuszczam, że to twój diler ze sklepiku z suplementami.

Serce Charlie znowu załomotało.

- To Ryboflawina, mój instruktor spinningu.

Huck zmrużył oczy, ale nie drążył dalej.

- Piętnaście po piątej dzwonił niejaki Tatko. Brak czułego słówka przed tą ksywką każe przypuszczać, że to naprawdę twój ojciec.

Skinęła głową, chociaż w głowie słyszała głos mamy obruszającej się na dźwięk słowa „ksywka”.

- Inne wskazówki?

Huck udał, że gładzi długą brodę.

- Od mniej więcej wpół do szóstej zaczęły się telefony z więzienia okręgowego. Co najmniej sześć, w pięciominutowych odstępach.

- Rozszyfrowałaś mnie, Nancy Drew. - Charlie uniosła rękę w geście poddania. - Jestem dilerką. Paru moich kurierów wpadło w weekend z towarem.

- Jeszcze trochę, a ci uwierzę - zaśmiał się.

- Jestem adwokatką - przyznała w końcu. - Zwykle ludzie lepiej reagują na dilerkę.

Huck przestał się śmiać. Znowu zmrużył oczy, ale rozbawienie uleciało.

- Jak się nazywasz?

- Charlie Quinn. - Była gotowa przysiąc, że drgnął na brzmienie jej nazwiska. - To dla ciebie jakiś problem? - zapytała zaczepnie.

Zacisnął szczęki tak mocno, że grdyka stała się bardziej widoczna.

- Na karcie kredytowej jest inne nazwisko.

Charlie milczała przez chwilę. W tym stwierdzeniu było wiele nieścisłości.

- To moje nazwisko po mężu. Dlaczego oglądałeś moją kartę?

- Nie oglądałem. Rzuciłem na nią okiem, kiedy położyłaś ją na barze. - Wstał zza biurka. - Muszę przygotować się do lekcji.

- Chodzi o to, co powiedziałam? - Charlie próbowała obrócić to w żart, ponieważ oczywiście poszło o jej słowa. - Wszyscy nienawidzą prawników, póki sami ich nie potrzebują.

- Dorastałem w Pikeville.

- To nie jest wyjaśnienie.

Huck otwierał i zamykał szuflady biurka.

- Zaraz będzie dzwonek. Muszę się przygotować.

Charlie skrzyżowała ramiona. Nie pierwszy raz odbywała tego typu rozmowę z długoletnimi mieszkańcami Pikeville.

- Są dwa powody, dla których tak się zachowujesz.

Huck zignorował tę uwagę. Otworzył i zamknął kolejną szufladę.

Charlie podniosła jeden palec.

- Albo nienawidzisz mojego ojca, co mnie nie dziwi, bo wielu ludzi go nienawidzi, albo... - Podniosła drugi palec, żeby wymienić bardziej prawdopodobny powód, przez który dwadzieścia osiem lat temu jej życie po powrocie do szkoły stało się nie do zniesienia, a w mieście nadal ścigały ją nienawistne spojrzenia ludzi wspierających endogamiczny klan Culpepperów. - Albo uważasz mnie za zepsutą sukę, która pomogła zrobić Zachariaha Culpeppera i jego niewinnego młodszego braciszka, żeby mój tata położył łapę na polisie ubezpieczeniowej tych gości i ich zasranej przyczepie. Czego, nawiasem mówiąc, nigdy nie zrobił. Mógł podać ich do sądu za dwadzieścia kawałków, jakie mu wisieli, ale tego nie zrobił. Nie mówiąc już o tym, że mogłam wskazać te ścierwa z zamkniętymi oczami.

Huck kręcił głową, zanim skończyła.

- Nie chodzi o to.

- Naprawdę? - Kiedy powiedział, że dorastał w Pikeville, Charlie od razu przypięła mu łatkę zwolennika Culpepperów.

Z drugiej strony widziała służących w marynarce ludzi, którzy nienawidzili takich jak Rusty, dopóki nie wpadli za nadmiar oksykodonu albo dziwek. Jak mawiał Rusty, demokrata to republikanin, który przeszedł przez tryby systemu wymiaru sprawiedliwości.

- Kocham tatę, ale nie zajmuję się tego typu prawem jak on.

Połowa moich klientów to nieletni, druga połowa to narkomani. Pracuję z głupimi ludźmi, którzy robią głupie rzeczy i potrzebują adwokata, żeby powstrzymał prokuratora przed stawianiem im zbyt poważnych zarzutów. - Charlie wzruszyła ramionami i uniosła lekko ręce. - Po prostu wyrównuję szanse.

Huck spiorunował ją wzrokiem. W jednej chwili jego złość przeszła we wściekłość.

- Wyjdź stąd. Natychmiast.

Twardy ton jego głosu sprawił, że cofnęła się o krok. Nikt nie wiedział, gdzie ona jest, a pan Huckleberry mógł skrócić jej kark jedną ręką.

- Dobrze. - Porwała telefon z biurka i ruszyła ku drzwiom. Wbrew rozsądkowi, który mówił jej, żeby ugryzła się w język i wyszła, okręciła się na pięcie i zapytała: - Co mój ojciec ci zrobił?

Huck nie odpowiedział. Siedział za biurkiem z głową nad stosem papierów, z czerwonym długopisem w dłoni.

Charlie czekała.

Huck bębnił długopisem w blat, co było jawnym, choć niewerbalnym nakazem wyjścia.

Charlie już miała mu powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić ten długopis, gdy nagle usłyszała z korytarza donośny trzask.

Po nim nastąpiły jeszcze trzy, jeden po drugim.

To nie był dźwięk strzelającego gaźnika samochodu.

To nie były fajerwerki.

Ktoś, kto był naocznym świadkiem strzelania do człowieka z broni palnej, nigdy nie pomyli odgłosu wystrzału z niczym

innym.

Nagle znalazła się na podłodze. Huck rzucił ją za szafę na dokumenty i nakrył swoim ciałem.

Powiedział coś – widziała, że porusza ustami – ale słyszała jedynie echo wystrzałów dudniące jej w głowie. Cztery. Każdy z nich był przerażającym wspomnieniem przeszłości. Jak wtedy zaschło jej w ustach. Jak wtedy jej serce stanęło. Jak wtedy ścisnęło ją w gardle. Świat zawęził się do tunelu, na którego końcu jaśniał maleńki punkt.

Po chwili usłyszała Hucka:

- Strzelec w gimnazjum – szeptał spokojnie do telefonu. - Zdaje się, że jest w pobliżu gabinetu...

Kolejny trzask.

Kolejny wystrzelony nabój.

I następny.

I wtedy rozbrzmiał dzwonek.

- Jezu – powiedział Huck. - W stołówce jest co najmniej pięćdziesięcioro uczniów. Muszę...

Mrozący krew w żyłach kobiety krzyk nie pozwolił mu dokończyć.

- Na pomoc! Pomóżcie nam!

Charlie zamrugała.

Klatka piersiowa Gammy eksplodowała.

Zamrugała znowu.

Krew trysnęła z głowy Sam.

Uciekaj, Charlie!

Znalazła się za drzwiami, zanim Huck zdążył zareagować. Nogi same ją niosły. Serce łomotało w piersi. Uderzała butami

o wypastowaną podłogę, ale w wyobraźni czuła pod bosymi stopami ziemię, smagnięcia gałęzi na twarzy, strach ściskający jej pierś niczym drutem kolczastym.

- Na pomoc! - wołała kobieta. - Pomóżcie nam!

Huck dogonił Charlie, gdy skręcała za róg. Był niewyraźną plamą, ponieważ znowu widziała tylko tunelowo. Tym razem w tunelu znajdowało się troje ludzi na końcu korytarza.

Stopy mężczyzny były skierowane ku sufitowi.

Za nim, po jego prawej stronie, para mniejszych stóp.

Różowe buty. Białe gwiazdki na podeszwach. Światełka, które mogły migać, kiedy szła.

Starsza kobieta klęczała przy leżącej dziewczynce, kiwając się jednostajnie w przód i w tył i zawodząc.

Charlie chciała jej zawtórować.

Rozbryzgi krwi pokrywały plastikowe krzesła przed gabinetem dyrektora, ściany, sufit i podłogę.

Ta jatka wprowadziła Charlie w odrętwienie. Zwolniła do truchtu, potem przeszła w marsz. Już to kiedyś widziała. Wiedziała, że wszystko można upakować w małym pudełku i zamknąć je później; że można iść dalej przed siebie, o ile nie będzie się za dużo spało, oddychało i żyło zbyt intensywnie, by w każdej chwili być gotowym paść w objęcia śmierci.

Gdzieś z trzaskiem otworzyły się drzwi. W korytarzu rozbrzmiały głośnie kroki. Donośne głosy. Krzyki. Płacz. Charlie nie rozróżniała słów. Nagle znalazła się pod wodą. Jej ciało poruszało się wolno, ramiona i nogi walczyły ze spotęgowaną siłą grawitacji. Jej mózg w ciszy zestawiał listę tego wszystkiego, czego nie chciała widzieć.

Pan Pinkman leżał na plecach, niebieski krawat ułożył mu się na ramieniu. Biel koszuli niknęła pod powiększającą się krwawą plamą. Z lewej strony głowy miał otwartą ranę, a skóra okrywająca czaszkę wisiała jak postrzępiony papier. Tam, gdzie powinno być prawe oko, ziała czarna dziura.

Pani Pinkman nie klęczała przy mężu. To ona była krzyzącą kobietą, która nagle zamilkła. Trzymała na kolanach głowę dziewczynki, przyciskając pastelowiebieski pulower do jej szyi. Kula uszkodziła jakiś ważny organ. Pani Pinkman miała jasnoczerwone dłonie. Krew zabarwiła brylant w jej obrączce na kolor pestki wiśni.

Kolana odmówiły Charlie posłuszeństwa.

Opadła na podłogę obok dziewczynki.

Zobaczyła siebie leżącą na ziemi w lesie.

Ile miała lat? Dwanaście? Trzynaście?

Patykowate nogi. Krótkie czarne włosy jak u Gammy. Długie rzęsy jak u Sam.

- Pomóż mi - wychrypiała pani Pinkman ledwie słyszalnym szeptem. - Proszę.

Charlie wyciągnęła przed siebie ręce, nie bardzo wiedząc, gdzie je położyć. Ranna dziewczynka przewróciła oczami, potem nagle skupiła wzrok na Charlie.

- Wszystko w porządku - powiedziała do niej Charlie. - Wszystko będzie dobrze.

Pani Pinkman modliła się nad dzieckiem.

- Panie, nie opuszczaj tego aniołka, błagam, Panie, nie bądź daleko od niej. Wspomóż ją.

Mózg Charlie zaklinał rzeczywistość: „Nie umrzesz, nie

poddasz się, skończysz liceum, pójdziesz do college'u, wyjdiesz za mąż. Nie zostawisz po sobie wyrwy wśród najbliższych, którzy cię kochają”.

- Śpiesz mi na pomoc, zbawienie moje, o Panie - ciągnęła pani Pinkman.

Charlie zwróciła się do dziewczynki:

- Spójrz na mnie. Wyjdiesz z tego.

Ale dziewczynce nie było to dane.

Powieki zaczęły jej drżeć. Zsiniałe usta rozchyliły się, odsłaniając drobne zęby, zbielełe dziąsła i jasnoróżowy czubek języka.

Powoli krew odpływała z jej twarzy. Charlie skojarzyło się to z zimą nadchodzącą od strony gór. Zabarwione na czerwono, pomarańczowo i żółto jesienne liście stopniowo rudzieją, potem brązowieją i zaczynają opadać, a kiedy lodowate macki chłodu sięgają pagórków za miastem, wszystko jest już martwe.

- O Boże - załkała pani Pinkman. - Biedny aniołek. Biedny mały aniołek.

Charlie nie pamiętała, kiedy wzięła dziewczynkę za rękę, ale teraz trzymała w dłoni jej drobne palce. Były zimne jak rękawiczka zgubiona na placu zabaw w zimowy dzień. Czuła, jak palce dziewczynki wysuwają się z jej dłoni. Chuda ręka opadła bezwładnie na podłogę.

Koniec.

- Kod czarny!

Charlie drgnęła na dźwięk tego okrzyku.

- Kod czarny! - Po korytarzu biegł policjant. W jednej ręce

trzymał krótkofalówkę, w drugiej broń. W jego głosie brzmiała panika. – Przyjedźcie do szkoły! Przyjedźcie do szkoły!

Na ułamek sekundy skrzyżował spojrzenie z Charlie. Zorientowała się, że ją rozpoznał. Potem przeniósł wzrok na ciało martwego dziecka. Na jego twarzy odmalowało się przerażenie, które ustąpiło miejsca żalowi. Czubkiem buta stanął w kałuży krwi. Pośliznął się i upadł na ziemię z głośnym stęknieniem. Strzelba wypadła mu z ręki i potoczyła się po podłodze.

Charlie spojrzała na dłoń, którą trzymała dziewczynkę. Potarła palce. Krew była lepka. Inaczej niż u Gammy, której krew wydawała się śliska i tłusta jak olej.

Biała kość. Kawałki serca i płuca. Strzępy ścięgien, tętnic i żył sterczących z ziejących ran.

Pamiętała powrót na farmę po tym wszystkim. Rusty wynajął kogoś do sprzątnięcia domu, ale ten człowiek zrobił to niedokładnie. Kilka miesięcy później, szukając miseczki na tyłach jednej z szafek, Charlie znalazła kawałek zęba Gammy.

– Nie! – wrzasnął Huck.

Charlie podniosła głowę, wstrząśnięta tym, co zobaczyła. Co przeoczyła i z czego nie zdawała sobie sprawy, choć rozgrywało się ledwie czterdzieści metrów od niej.

Na podłodze oparta plecami o szafki siedziała nastolatka. Mózg Charlie wydobył wspomnienie ulotnego obrazu – dziewczyny widocznej gdzieś na obrzeżach jej wizji – gdy biegła w stronę ciała. Natychmiast rozpoznała ten typ: czarne ubranie, czarna konturówka do oczu. Gotka. Zero krwi. Puciołowata twarz wyrażająca szok, nie ból. Nic jej nie jest,

pomyślała, mijając ją w pędzie ku pani Pinkman i rannej dziewczynce. Ale z młodocianą gotką coś było nie tak.

To ona strzelała.

Miała w dłoni rewolwer. Zamiast mierzyć z niego do kolejnych ofiar, celowała nim we własną pierś.

- Odłóż to! - Stojący kilka metrów dalej policjant mierzył do niej z broni. Każdy jego ruch zdradzał przerażenie, od kołysania się na piętach po kurczowe zaciskanie palców na lufie. - Powiedziałem, kurwa, odłóż!

- Ona pana posłucha. - Huck kucnął plecami do dziewczyny, zasłaniając ją przed policjantem. Uniósł ręce. Mówił pewnym, spokojnym głosem. - Już dobrze, wszystko będzie dobrze, tylko zachowajmy spokój.

- Zejdź mi z drogi! - Policjant nie był spokojny, tylko jeszcze bardziej się spinał, gotów pociągnąć za spust, gdy tylko zyska sposobność oddania czystego strzału. - Zejdź mi, kurwa, z drogi!

- Ona ma na imię Kelly. Kelly Wilson - powiedział Huck.

- Odsuń się, dupku!

Charlie nie patrzyła na mężczyzn. Obserwowała broń.

Rewolwer i strzelba.

Strzelba i rewolwer.

Poczuła znajome odrętwienie, które ogarniało ją już tyle razy przedtem.

- Rusz się! - zawołał policjant. Przesunął lufę w jedną, potem w drugą stronę, usiłując wycelować obok Hucka. - Zejdź mi z drogi!

- Nie. - Huck nie zmienił pozycji. Klęczał na ziemi plecami

do Kelly, trzymał ręce w górze. - Nie rób tego, stary. Ona ma dopiero szesnaście lat. Chyba nie chcesz zabić...

- Zejdź mi z drogi! - powtórzył policjant. Powietrze było naelektryzowane jego strachem. - Na ziemię!

- Przestań, człowieku. - Huck przesuwiał się to w lewo, to w prawo, blokując linię strzału. - Ona już nie chce zabić nikogo innego, tylko siebie.

Dziewczyna otworzyła usta. Charlie nie zrozumiała jej słów, ale policjant tak.

- Słyszałeś te sukę? - wrzasnął. - Niech to zrobi albo zejdź mi z drogi!

- Niech pan przestanie - wyszeptała pani Pinkman. Charlie niemal o niej zapomniała. Żona dyrektora ukryła twarz w dłoniach, żeby nie patrzeć na rozgrywającą się scenę. - Błagam.

- Kelly - spokojnym głosem odezwał się Huck, wyciągając za siebie rękę wnętrzem dłoni do góry. - Oddaj mi broń. Nie musisz tego robić, skarbie. - Odczekał kilka sekund. - Kelly, spójrz na mnie.

Powoli dziewczyna spojrzała mu w twarz. Miała lekko otwarte usta, szkliste oczy.

- Główny korytarz! Główny korytarz! - Kolejny policjant minął Charlie. Kucnął na jedno kolano i wykonał ślizg po podłodze, trzymając w obu rękach glocka i wrzeszcząc: - Odłóż broń!

Pani Pinkman łkała, nie odrywając dłoni od twarzy.

- Proszę cię, Boże, wybaczyć jej grzech.

- Kelly - nie odpuszczał Huck. - Oddaj mi broń. Nikomu

więcej nie stanie się krzywda.

- Na ziemię! - ryknął drugi policjant groteskowo wysokim tonem zabarwionym histerią. Charlie widziała, jak palec tężeje mu na spuście. - Na ziemię!

- Kelly! - Huck zwrócił się do niej stanowczo, jak rodzic rozzłoszczony wybrykami dziecka. - Więcej nie poproszę. Oddaj mi broń w tej chwili. - Potrząsnął otwartą dłonią dla podkreślenia wagi tych słów. - Nie żartuję.

Kelly Wilson nieznacznie skinęła głową. Charlie dostrzegła w jej oczach błysk zrozumienia. Wreszcie zaczął docierać do niej sens słów Hucka. Ktoś jej mówił, co ma robić, pokazywał drogę wybrnięcia z sytuacji. Stężałe ramiona opadły lekko. Zamknęła usta, zamrugała. Charlie wiedziała, co dzieje się z dziewczyną. Czas stanął w miejscu, a potem ktoś jakimś cudem znalazł właściwy klucz i na nowo uruchomił mechanizm.

Bardzo powoli Kelly położyła rewolwer na otwartej dłoni Hucka.

Mimo to policjant nacisnął spust.

ROZDZIAŁ DRUGI

Charlie patrzyła, jak lewy bark Hucka odskakuje, gdy kula przeszła mu rękę. Nozdrza mu się rozszerzyły. Otworzył usta, łapiąc powietrze. Na białej koszuli pojawiła się i powiększała krwawa plama. Mimo rany nie wypuścił z ręki rewolweru, który oddała mu Kelly.

- Jezu Chryste - rozległ się czyjś szept.

- Nic mi nie jest - powiedział Huck do policjanta, który go postrzelił. - Możesz schować broń do kabury? - Ręce policjanta trzęsły się tak bardzo, że ledwie był w stanie utrzymać w nich broń. - Rodgers, niech pan schowa broń i weźmie ode mnie ten rewolwer.

Charlie bardziej wyczuła, niż zobaczyła chmarę mijających ją policjantów. Powietrze zawirowało wokół nich jak na filmie rysunkowym, kiedy z chmur spływają na ziemię cienkie faliste linie obrazujące ruch.

Potem ratownik medyczny chwycił ją mocno za ramię. Ktoś zaświecił jej w oczy latarką, zapytał, czy jest ranna, czy jest w szoku, czy chce jechać do szpitala. Nie chciała.

- Nie - powiedziała też pani Pinkman, którą zajął się inny ratownik i sprawdzał, czy nie odniosła obrażeń. Jej czerwona bluzka była przesiąknięta krwią. - Nic mi nie jest. Zostawcie mnie.

Nikt nie sprawdzał stanu pana Pinkmana.

Nikt nie pochylił się nad leżącą dziewczynką.

Charlie spojrzała na swoje dłonie. Kosteczki w czubkach

palców drżały. To wrażenie powoli rozlewało się na nią całą, aż poczuła, jakby stanęła obok własnego ciała, a każdy jej oddech był echem oddechu, który już wzięła.

Pani Pinkman dotknęła dłonią policzka Charlie. Kciukiem otarła jej łzy. Ból był wyryty w każdej głębokiej zmarszczce na jej twarzy. Gdyby ten gest wykonał ktokolwiek inny, odsunęłaby się, ale ciepło pani Pinkman miało kojącą moc.

Już kiedyś znalazły się w takiej sytuacji.

Dwadzieścia osiem lat temu pani Pinkman była jeszcze panną Heller i mieszkała z rodzicami niecałe trzy i pół kilometra od starej farmy. To ona zareagowała na niepewne pukanie do drzwi. Na ganku stała pokryta potem i krwią trzynastoletnia Charlie, która zapytała, czy mają lody.

Na tym skupiali się ludzie opowiadający tę historię. Nie że Gamma została zamordowana, a Sam pogrzebana żywcem, ale że Charlie pochłoneła dwie porcje lodów, zanim wyznała pannie Heller, że stało się coś złego.

- Charlotte. - Huck złapał ją za ramię. Patrzyła, jak porusza ustami, gdy powtarzał jej imię, które nie było już jej imieniem. Miał rozwiązany krawat, zobaczyła czerwone plamy na białym bandażu wokół ramienia. - Charlotte. - Potrząsnął nią ponownie. - Musisz zadzwonić do taty. Natychmiast.

Podniosła wzrok, rozejrzała się wokół. Czas popłynął bez niej. Pani Pinkman zniknęła, ratownicy zniknęli, niezmiennie pozostały tylko ciała. Leżały bezwładnie tuż obok niej. Pan Pinkman z krawatem zarzuconym na ramię. Dziewczynka w poplamionej krwią różowej kurteczce.

- Zadzwon do niego - powtórzył Huck.

Charlie sięgnęła po telefon w tylnej kieszeni. Huck miał rację. Rusty mógłby się martwić. Powinna dać mu znać, że wszystko z nią w porządku.

- Powiedz mu, żeby zabrał ze sobą kogoś z prasy, szefa policji, wszystkich, których da radę przywieźć. - Huck spojrzał do tyłu na korytarz. - Sam ich wszystkich nie powstrzymam.

Charlie poczuła ucisk w klatce piersiowej. Ciało mówiło jej, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Podążyła za wzrokiem Hucka.

Huck nie martwił się o nią.

Martwił się o Kelly Wilson.

Nastolatka leżała twarzą do ziemi z rękami skutymi na plecach. Była drobna, nie większa od Charlie, ale przygwoździli ją do podłogi niczym groźnego zbira. Jeden z policjantów przyciskał kolanem jej plecy, drugi klęczał na jej nogach, a trzeci opierał but o bok jej twarzy.

To zachowanie można było od biedy uznać za dopuszczalne środki przymusu i nie dlatego Huck kazał jej dzwonić do Rusty'ego. Wokół dziewczyny stało jeszcze pięciu gliniarzy. Charlie nie słyszała ich wcześniej, ale teraz każde ich słowo brzmiało echem w jej głowie. Mężczyźni krzyczeli, przeklinali, wymachiwali rękami. Niektórych pamiętała ze szkoły, sali sądowej albo z obu tych miejsc. Ich twarze wyrażały tę samą niepowstrzymaną i zajadłą furję. Wściekali się z powodu śmierci ludzi w szkole i z poczucia własnej bezsilności. To było ich miasto. Ich szkoła. Chodziły do niej ich dzieci, uczyli w niej ich przyjaciele i znajomi.

Jeden z policjantów wyrznął pięścią w szafkę tak mocno, że

uszkodził zawias w metalowych drzwiczkach. Inni raz po raz zaciskali pięści. Kilku przemierzało korytarz w tę i z powrotem jak zwierzęta w klatce. Może naprawdę byli zwierzętami. Jedno niebaczne słowo sprowokowałoby do wymierzenia kopniaka, potem ciosu pięścią, potem wyciągnięcia paralizatorów, następnie broni ostrej i policjanci rzuciliby się na Kelly Wilson jak stado szakali.

- Moja córka jest w jej wieku - wysyczał któryś przez zaciśnięte zęby. - Chodziły do tej samej klasy.

Kolejna pięść wylądowała na kolejnej szafce.

- Pink mnie uczył.

- Już nikogo niczego nie nauczy.

Z zawiasów spadły następne drzwiczki.

- Ej, wy... - Głos jej się załamał, zanim dokończyła zdanie. Robiło się groźnie. Coraz groźniej. - Przestańcie - powiedziała, po czym dodała błagalnym tonem: - Proszę was, przestańcie.

Albo jej nie usłyszeli, albo zignorowali jej apel.

- Charlotte - powiedział Huck - nie mieszaj się do tego. Po prostu...

- Pieprzona suka! - Policjant przygważdżający Kelly kolanem do ziemi gwałtownym szarpnięciem wyrwał jej garść włosów z głowy. - Czemu to zrobiłaś? Czemu ich zabiłaś?!

- Przestań - odezwała się Charlie. Huck złapał ją za ramię, ale mimo tej interwencji wstała. - Przestań - powtórzyła.

Nikt jej nie słuchał. Jej głos był zbyt słaby i zdławiony, ponieważ każda komórka ciała ostrzegała ją, żeby nie zbliżać się do strefy rażenia tej naładowanej testosteronem

wściekłości. Równie dobrze mogłaby próbować rozdzielić walczące psy, tyle że te psy miały naładowaną broń.

- Ej - wykrztusiła przez ściśnięte strachem gardło. - Zabierzcie ją na komisariat. Zamknijcie w areszcie.

Jonah Vickery, mięśniak i dupek, którego znała z czasów liceum, sięgnął po metalową pałkę.

- Jonah... - Charlie drżały kolana i musiała oprzeć się plecami o ścianę, żeby nie osunąć się na ziemię. - Musicie poinformować ją o jej prawach i...

- Charlotte - Huck siłą posadził ją na podłodze - nie wtrącaj się. Zadzwoń po tatę. On może to powstrzymać.

Huck miał rację. Policjanci bali się jej ojca. Wiedzieli o jego procesach, znali jego działalność publiczną. Charlie usiłowała wcisnąć w telefonie przycisk MENU, ale palce odmówiły jej posłuszeństwa. Pot zmienił wyschlą krew w gęstą maź.

- Pośpiesz się - ponaglił Huck - bo w końcu ją zabiją.

Charlie patrzyła, jak czyjaś stopa trafia w bok Kelly tak mocno, że jej biodro odrywa się od ziemi.

Kolejny policjant sięgnął po pałkę.

W końcu Charlie udało się wcisnąć właściwy przycisk. Ekran wypełniło zdjęcie psa Hucka. Nie zapytała Hucka o kod dostępu. Było za późno na telefon do Rusty'ego. Nie zdążyłby przyjechać do szkoły. Dotknęła palcem ikonkę kamery, wiedząc, że w ten sposób pomija ekran blokady. Dwa kopniaki później telefon już nagrywał. Charlie zrobiła zbliżenie na twarz dziewczyny.

- Kelly Wilson, spójrz na mnie. Możesz oddychać?

Kelly zamrugnęła. Przy czarnym policyjnym bucie opartym na

jej policzku jej głowa wyglądała jak główka lalki.

- Kelly, spójrz w kamerę - powtórzyła Charlie.

- Niech to szlag - zaklął Huck. - Mówiłem, żebyś...

- Musicie przestać. - Podchodząc bliżej legowiska Iwa, Charlie ocierała się ramieniem o rząd szafek. - Zabierzcie ją na komisariat. Zróbcie jej zdjęcie. Weźcie odciski palców. Inaczej to się obróci przeciwko wam.

- Ona nas nagrywa - powiedział jeden z policjantów. Był to Greg Brenner, kolejny dupek. - Odłóż to, Quinn.

- Ona ma szesnaście lat. - Charlie nie przerywała nagrywania. - Pojadę z nią waszym wozem. Możecie ją aresztować i...

- Każcie jej przestać - powiedział Jonah. To on butem przyciskał głowę Kelly Wilson do ziemi. - Ona jest gorsza od jej przekłętego ojca.

- Dajcie jej porcję lodów - zasugerował Al Larrisy.

- Jonah, zdejmij but z jej głowy - powiedziała Charlie, po kolei filmując twarze każdego z nich. - Jest odpowiedni sposób postępowania. Wszyscy go znacie. Nie stwarzajcie powodu, przez który ta sprawa już na wejściu będzie przegrana.

Jonah docisnął but tak mocno, że zmusił Kelly do rozwarcia szczęk. Krew leciała jej z ust. Aparat korekcyjny uszkodził skórę po wewnętrznej stronie policzka.

- Widzisz tę martwą dziewczynkę? Widzisz, gdzie dostała?

- A jak myślisz? - odpowiedziała Charlie pytaniem na pytanie, ponieważ miała na rękach krew tej małej.

- Bardziej się przejmujesz tą przekłętą morderczynią niż dwiema niewinnymi ofiarami.

- Dość tego. - Greg próbował wyrwać jej telefon. - Wyłącz to.

Charlie odsunęła się i filmowała dalej.

- Wsadźcie nas obie do radiowozu. Zabierzcie nas na komisariat i...

- Daj mi to. - Greg znowu sięgnął po jej telefon.

Charlie próbowała się uchylić, ale był szybszy. Wyrwał jej aparat i cisnął na podłogę. Charlie schyliła się, żeby go podnieść.

- Zostaw to - warknął Greg.

Charlie nie posłuchała.

Bez ostrzeżenia Greg wymierzył jej cios łokciem w nasadę nosa. Głowa Charlie odskoczyła i uderzyła w szafkę. Ból był straszny. Miała wrażenie, jakby bomba wybuchła gdzieś w niej, w jej twarzy. Otworzyła usta i zakasłała krwią.

Nikt się nie ruszył.

Nikt nie powiedział ani słowa.

Charlie przyłożyła dłonie do twarzy. Krew ciekła z nosa jak z kranu. Była ogłuszona. Greg wyglądał na oszołomionego. Uniósł ręce, jakby mówił, że tego nie chciał. Ale to się stało. Charlie zatoczyła się i przewróciła o własne nogi. Greg wyciągnął ręce, żeby ją złapać. Nie zdążył.

Ostatnie, co zobaczyła, padając na ziemię, to sufit wirujący jej nad głową.

ROZDZIAŁ TRZECI

Charlie siedziała na podłodze w pokoju przesłuchań z głową wciśniętą w kąt. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło od chwili, gdy znalazła się w komisariacie. Co najmniej godzina. Ciągle była skuta. Ciągle miała zwitek papieru toaletowego wetknięty w złamany nos. Szwy z tyłu czaszki swędziały ją i drapały, głowa pulsowała. Widziała jak przez mgłę, żołądek podchodził do gardła. Została sfotografowana, pobrano jej odciski palców. Nadal miała na sobie to samo ubranie. Dżinsy były upstrzone ciemnymi plamami zaschłej krwi, koszulkę z logo Duke Blue Devils pokrywał taki sam wzór. Na rękach miała zakrzepłe krwawe smugi. W celi, do której ją wprowadzono, by mogła skorzystać z toalety, z brudnego kranu leciała tylko strużka zimnej, na dodatek brązowej wody.

Dwadzieścia osiem lat temu ubłagała pielęgniarki w szpitalu, żeby pozwołyły jej wziąć kąpiel. Krew Gammy wgrzyła się jej w skórę. Wszystko się lepiło. Charlie nie zanurzała się w ciepłej wodzie od chwili pożaru domu. Chciała poczuć otulające ją ciepło, patrzeć, jak krew i drobinki kości odpływają niczym zły sen ulatujący z pamięci.

Tak naprawdę nic nie uleciało. Czas po prostu złagodził kanty.

Westchnęła cicho, oparła skroń o ścianę, zamknęła oczy. Pod powiekami miała obraz martwej dziewczynki leżącej na szkolnym korytarzu, bladą jak kreda buzię, rękę wyslizgującą się bezwładnie z jej dłoni tak samo jak ręka Gammy.

Dziewczynka nadal leżała na zimnym korytarzu obok pana Pinkmana. Oboje nie żyli, a ich ciała były poddane ostatniemu aktowi niesprawiedliwości. Miały tak leżeć – nieosłonięte, wystawione na widok publiczny – podczas gdy wokół nich kręcili się ludzie. Tak działał wydział zabójstw. Nikt niczego nie ruszał, nawet dziecka, nawet ulubionego trenera, póki każdy centymetr miejsca zbrodni nie został obfotografowany, skatalogowany, zmierzony, przedstawiony w formie schematu, zbadany i sprawdzony.

Charlie otworzyła oczy.

Dobrze znała ten stan: obrazy, których nie można wyrzucić z pamięci, ciemne miejsca, do których uparcie powracał jej mózg, jakby wpadł w pętlę czasu.

Oddychała ustami. Nos pulsował boleśnie. Ratownicy stwierdzili, że nie jest złamany, ale Charlie im nie ufała. Chociaż miała na głowie szwy, policjanci kryli się wzajemnie, raportując zgodnie, że Charlie była wrogo do nich nastawiona, że sama nadziała się na łokieć Grega, a telefon uległ zniszczeniu, gdy przypadkowo na niego nadepnęła.

Telefon Hucka.

Pan Huckleberry powtórzył wielokrotnie, że telefon i jego zawartość należą do niego. W ich obecności usunął nawet z pamięci aparatu nagranie zrobione przez Charlie.

Kiedy to się działo, Charlie nie była w stanie kręcić głową. Zrobiła to teraz. Bezpodstawnie zrobili zdjęcie Huckowi, a on wziął ich stronę. Widziała takie zachowanie niemal w każdej jednostce policji, z jaką miała do czynienia.

Bez względu na wszystko ci faceci zawsze kryli się

nawzajem.

W otwartych drzwiach stanął Jonah. Przyniósł dwa składane krzesła. Puścił oko do Charlie, zadowolony, że trzyma ją pod kluczem. Takim samym sadystą był w liceum. Mundur tylko usankcjonował jego skłonności.

- Chcę się widzieć z moim ojcem - powiedziała. Powtarzała to zdanie za każdym razem, gdy ktoś wchodził do pokoju przesłuchań.

Jonah znowu puścił do niej oko i ustawił krzesła po obu stronach stołu.

- Mam prawo do adwokata.

- Właśnie rozmawiałem z nim przez telefon. - To zdanie nie padło z ust Jonaha, lecz Bena Bernarda, zastępcy prokuratora okręgowego. Ledwie na nią spojrzął, rzucając teczkę na stół i siadając na krześle. - Rozkuj ją - polecił Jonahowi.

- Mam przyczepić jej smycz do stołu? - zapytał Jonah.

Ben posłał mu groźne spojrzenie, po czym poprawił krawat.

- Powiedziałem, żebyś zdjął mojej żonie te cholerne kajdanki. Natychmiast.

Wypowiedział te słowa podniesionym głosem, ale nie krzyczał. Ben nigdy nie krzyczał, a przynajmniej nie zrobił tego ani razu w ciągu osiemnastu lat ich znajomości.

Jonah zakręcił kluczykami na palcach, dając do zrozumienia, że robi to na własnych warunkach. Odczekał jeszcze chwilę, po czym rozpiął kajdanki i zerwał je brutalnie z nadgarstków Charlie, ale zamiar zadania jej bólu się nie powiódł, ponieważ Charlie była tak odrętwiała, że nic nie poczuła.

Jonah wyszedł, trzaskając drzwiami.

Charlie słuchała, jak echo tego dźwięku odbija się o betonowe ściany. Została na podłodze. Czekwała na jakąś żartobliwą uwagę Bena, choćby na cytata z *Dirty Dancing*: „nikt nie będzie sadzał Baby w kącie”. Ponieważ jednak Ben miał na głowie dwie ofiary zabójstwa w szkole, aresztowaną nastoletnią zabójczynię i niedoszlą samobójczynię w jednej osobie oraz siedzącą w kącie żonę pokrytą zakrzepłą krwią, Charlie odnalazła pocieszenie w sposobie, w jaki uniósł brode i wskazał jej krzesło po drugiej stronie stołu, sugerując, żeby usiadła.

- Co z Kelly? - zapytała, nie ruszając się z kąta.

- Jest pod stałą obserwacją. Czuwają nad nią dwie policjantki.

- Ona ma szesnaście lat - powiedziała Charlie, chociaż oboje wiedzieli, że Kelly Wilson może być sądzona jak dorosła. Jedynym plusem tej sytuacji był fakt, że wobec nieletnich nie orzekano już kary śmierci. - Jeśli poprosi o obecność któregoś z rodziców, można to uznać za równoznaczne z prośbą o adwokata.

- To zależy od sędziego.

- Wiesz, że tata wniesie o zmianę miejsca procesu. - Charlie była świadoma, że Rusty jest jedynym adwokatem w mieście, który weźmie tę sprawę.

Światło wiszącej u sufitu lampy odbiło się w okularach Bena, gdy znowu skinął głową w kierunku krzesła.

Charlie z trudem dźwignęła się z podłogi, cały czas wspierając się plecami o ścianę. Zakręciło jej się w głowie i musiała zamknąć oczy.

- Potrzebujesz lekarza? - zapytał Ben.

- Ktoś już o to pytał. - Nie chciała jechać do szpitala. Prawdopodobnie miała wstrząśnienie mózgu, mimo to mogła chodzić, o ile jakaś część jej ciała utrzymywała kontakt z solidną podporą. - Nic mi nie jest.

Ben nic nie powiedział, ale milczące „oczywiście, że nic ci nie jest, u ciebie zawsze wszystko w porządku” rozbrzmiało w pokoju jak salwa.

- Widzisz? - Charlie dotknęła ściany opuszkami palców, stając w pozycji linoskoczka.

Ben nie podniósł wzroku. Poprawił okulary, otworzył teczkę z papierami. W środku był tylko jeden formularz. Charlie nie mogła odczytać słów, chociaż Ben pisał swoimi wielkimi kulfoniastymi literami.

- O co jestem oskarżona?

- O utrudnianie działań wymiaru sprawiedliwości.

- To bardzo pojemny i wygodny termin.

Ben nie przerywał pisania.

- Widziałeś, co mi zrobili, prawda?

Odpowiedzią było jedynie skrobanie długopisu Bena.

- Nie patrzysz na mnie, bo już mnie widziałeś przez to. - Wskazała lustro weneckie na jednej ze ścian. - Kto jeszcze tam jest? Coin? - Prokurator okręgowy Ken Coin był szefem Bena, irytującym złamasem, który widział wszystko w czarno-białych barwach, a ostatnio w brązowych, ponieważ boom mieszkaniowy wywołał napływ meksykańskich imigrantów z Atlanty.

Charlie patrzyła na odbicie swojej ręki w lustrze, na

środkowy palec wyciągnięty w geście przywitania prokuratora Coina.

- Zebrałem zeznania od dziewięciu świadków, którzy twierdzą, że rozpaczałaś na miejscu zdarzenia, a kiedy funkcjonariusz Brenner cię uspokajał, nastąpiło zetknięcie twojego nosa z jego łokciem - powiedział Ben.

Skoro zamierzał mówić do niej jak prawnik, ona postanowiła być prawniczką.

- Czy taką wersję zdarzenia widać na nagraniu w telefonie, czy mam zażądać specjalistycznej analizy wszystkich usuniętych z telefonu plików?

- Rób, co musisz. - Ben wzruszył ramionami.

- Dobrze. - Charlie oparła dłonie na stole, żeby móc bezpiecznie usiąść. - To jest ta scena, w której ty proponujesz mi wycofanie nieprawdziwych zarzutów o utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości w zamian za rezygnację z wniesienia skargi o nieuzasadnione użycie siły?

- Już wycofałem zarzuty o utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości. - Długopis Bena powędrował na początek nowej linijki. - Możesz złożyć tyle skarg, ile chcesz.

- Chcę tylko przeprosin.

Usłyszała dobiegający zza lustra dźwięk. Coś jak tłumiony okrzyk. W minionych dwunastu latach wytoczyła policji w Pikeville dwie sprawy w imieniu swoich klientów. Obie wygrała. Ken Coin prawdopodobnie zakładał, że Charlie siedzi tu, już licząc wszystkie pieniądze, jakie dostanie od miasta, zamiast opłakiwać śmierć dziewczynki, która umarła jej na rękach, albo stratę dyrektora, który zamiast wyrzucić ją ze

szkoły, kazał tylko zostać po lekcjach, chociaż oboje wiedzieli, że Charlie zasługuje na surowszą karę.

Ben nie podnosił głowy. Stukał długopisem w blat stołu. Starła się nie myśleć o Hucku robiącym to samo za biurkiem w klasie.

- Jesteś pewna? - zapytał.

Charlie pomachała w stronę lustra, mając nadzieję, że Coin rzeczywiście za nim stoi.

- Gdybyście potrafili przyznać, że zrobiliście coś nie tak, to ludziom łatwiej byłoby uwierzyć w wasze deklaracje, że zrobiliście coś jak należy.

Ben w końcu spojrzał na nią. Uważnie przyjrzał się jej twarzy, oceniając szkody. Zobaczyła zmarszczki wokół jego ust, a kiedy ściągnął brwi, głębokie bruzdy na czole. Była ciekawa, czy on też dostrzegł na jej twarzy te same oznaki upływu czasu.

Poznali się na studiach prawniczych. Ben przeniósł się do Pikeville dla niej. Planowali spędzić ze sobą resztę życia.

- Kelly Wilson ma prawo do... - zaczęła.

Przerwał jej uniesieniem dłoni.

- Wiesz, że zgadzam się ze wszystkim, co chcesz powiedzieć.

Charlie rozsiadła się wygodniej na krześle. Musiała sobie przypomnieć, że ani ona, ani Ben nigdy nie dali się przekonać do wizji Rusty'ego i Kena Coina „my przeciwko nim”.

- Oczekuję oficjalnych przeprosin od Grega Brennera. Na piśmie. Prawdziwych przeprosin, nie bełkotu w stylu „przykro mi, że tak to odebrałaś”, jakbym ja była histeryczką, a on nie

zachował się jak faszysta w brunatnej koszuli.

- Dobrze. - Ben skinął głową.

Charlie sięgnęła po formularz i długopis. Widziała słowa jak przez mgłę, ale w życiu przeczytała tyle zeznań świadków, że wiedziała, gdzie złożyć podpis. Potem przesunęła formularz w stronę Bena.

- Ufam ci i wierzę, że dotrzymasz słowa. Napisz oświadczenie według własnego uznania.

Ben zerknął na formularz. Jego palce zawisły nad kartką. Nie patrzył na podpis Charlie, ale na brązowawe odciski palców, które zostawiła na białym papierze.

Charlie zamrugnęła, żeby przepędzić mgłę z oczu. To był ich najbliższy kontakt od dziewięciu miesięcy.

- Dobrze. - Ben zamknął teczkę i podniósł się z krzesła.

- Są inne ofiary prócz pana Pinka i tej dziewczynki? - zapytała Charlie.

- Nie. - Ben zawahał się, zanim znowu usiadł. - Jeden z woźnych zamknął stołówkę, a zastępca dyrektora zatrzymał autobusy na ulicy.

Nawet nie chciała sobie wyobrazić masakry, jaką urządziłaby Kelly Wilson, gdyby zaczęła strzelać po dzwonku zamiast przed.

- Wszystkich trzeba przesłuchać. Uczniów. Nauczycieli. Personel.

Wiedziała, że miasto własnymi siłami nie jest w stanie tego przeprowadzić. W Pikeville pracowało siedemnastu pełnoetatowych policjantów, Ben był jednym z sześciu prawników w biurze prokuratora okręgowego.

- Czy Ken ma zamiar prosić o pomoc?

- Już tu są - odparł Ben. - Właśnie przyjechali, policja stanowa, biuro szeryfa. Nawet nie musieliśmy ich wzywać.

- To dobrze.

- Tak. - Skubnął palcami róg teczki. Wykrzywił usta jak zawsze, kiedy przygryzał czubek języka. Nie wyzbył się tego przyzwyczajenia. Charlie widziała kiedyś, jak jego matka sięgnęła przez stół i uderzyła go po ręce, żeby przestał to robić.

- Widziałeś ciała?

Nie odpowiedział, ale nie musiał tego robić. Charlie wiedziała, że Ben widział scenę zbrodni. Poznała to po ponurym tonie jego głosu, opuszczonych ramionach. Pikeville rozwinęło się w ostatnich dwóch dekadach, pozostało jednak małym miastem, w którym heroina stanowiła większy problem niż zabójstwa.

- Wiesz, że to trwa, ale kazałem im zabrać ciała najszybciej, jak to możliwe.

Spojrzała w sufit, żeby powstrzymać łzy napływające do oczu. Ben budził ją dziesiątki razy z najstraszniejszego koszmaru sennego: zwyczajny dzień życia, ona i Rusty krzątają się po starej farmie, przygotowują posiłki, robią pranie, zmywają naczynia, podczas gdy ciało Gammy gnije pod ścianą, ponieważ policja o nim zapomniała.

Chodziło pewnie o kawałek zęba, który znalazła w szafce, bo cóż innego przeoczyli?

- Twój samochód stoi zaparkowany za twoim biurem. Zamknęli szkołę, prawdopodobnie otworzą ją dopiero

w przyszłym tygodniu. Zjawił się już wóz transmisyjny telewizji z Atlanty – powiedział Ben.

- Czy tam jest tata i przygląda włosy?

Uśmiechnęli się blado, ponieważ oboje wiedzieli, że jej ojciec uwielbiał oglądać się w telewizji.

- Kiedy do niego zadzwoniłem, powiedział, że masz się trzymać. Dokładnie tak powiedział. „Przekaż jej, że ma się trzymać”.

To oznaczało, że Rusty nie zamierza przybyć jej z odsieczą. Widocznie zakładał, że twarda córka poradzi sobie w pomieszczeniu pełnym nieudolnych gliniarzy rodem z *Keystone Kops*, podczas gdy on popędził do domu Kelly Wilson po podpis jej rodziców na umowie dotyczącej jego honorarium.

Kiedy ludzie mówili o tym, jak bardzo nienawidzą prawników, właśnie Rusty przychodził im do głowy.

- Mogę nakazać, żeby zawieźli cię radiowozem do biura.

- Nie wsiądę do wozu z żadnym z tych dupków.

Ben przeczesał włosy palcami. Potrzebował fryzjera, miał wygniecioną koszulę, przy marynarce brakowało guzika. Charlie chciała myśleć, że zapuścił się tak z powodu rozstania, ale prawda była taka, że zawsze był nieco niechlujny. Charlie prędzej porównałaby go w żartach do menelowatego hipstera, niż sięgnęła po igłę i nitkę.

- Kelly Wilson wylądowała w areszcie. W chwili, gdy ją skuli, wzięli odpowiedzialność za jej bezpieczeństwo.

- Córka Grega chodzi do tej szkoły.

- Kelly też. - Charlie przysunęła się do Bena. - Nie jesteśmy

w Abu Ghraib, prawda? Kelly Wilson ma konstytucyjne prawo do uczciwego procesu. Wyrok zależy do sędziego i ławy przysięgłych, nie od zgrai policjantów, których kręci bicie nastolatki.

- Wiem. Wszyscy o tym wiemy. - Ben uznał, że Charlie gra dla widzów zgromadzonych po drugiej stronie lustra. - Sprawiedliwe społeczeństwo kieruje się zasadami praworządności. Nie możesz być porządnym gościem, jeśli zachowujesz się jak bandzior - zacytował Rusty'ego.

- Chcieli jej wpierdolić. Albo jeszcze gorzej.

- I zgłosiłaś się na ochotnika zamiast niej?

Charlie poczuła nieznośne pieczenie. Odruchowo zaczęła zdrapywać z rąk zaschłą krew, z której powstawały cieniutkie wałeczki. Pod paznokciami miała czarne obwódki. Spojrzała na męża.

- Mówiłeś, że masz zeznania dziewięciu świadków?

Ben niechętnie skinął głową. Wiedział, skąd to pytanie.

Ośmiu gliniarzy. Pani Pinkman nie było, kiedy Charlie oberwała w nos. Dziewiąte zeznanie musiało zatem pochodzić od Hucka, co oznaczało, że Ben już z nim rozmawiał.

- Już wiesz? - zapytała. W tej chwili między nimi liczyła się tylko ta jedna jedyna rzecz: czy Ben zna powód, dla którego Charlie znalazła się rano w szkole. Jeśli on wiedział, to wiedzieli też wszyscy inni. A co za tym idzie, Charlie znalazła kolejny wyjątkowo okrutny sposób na upokorzenie męża. - Ben? - ponagliła, a on znowu przeczesał włosy palcami i wygładził krawat. Zdradzało go tyle gestów, że nigdy nie mogła grać z nim w karty. - Przepraszam, skarbie -

wyszeptała. - Bardzo przepraszam.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi. Przez ułamek sekundy Charlie miała nadzieję, że to jej ojciec, ale do pokoju weszła starsza ciemnoskóra kobieta w granatowym kostiumie ze spodniami i białej bluzce. W jej krótkich czarnych włosach lśniły srebrne nitki. Miała na ramieniu dużą wypchaną torbę, niemal tak wielką jak ta, którą Charlie targała do pracy. Z szyi zwisał jej laminowany identyfikator, ale Charlie nie była w stanie przeczytać widniejącego na nim napisu.

- Jestem agentka specjalna Delia Wofford z Biura Śledczego Stanu Georgia. Pani Charlotte Quinn? - Agentka GBI wyciągnęła rękę na powitanie, ale zmieniła zdanie na widok zaschniętej krwi na rękach Charlie. - Zrobili pani zdjęcia? - Gdy Charlie skinęła głową, niemal zawołała: - Na litość boską! - Otworzyła torbę i wyjęła paczkę chusteczek odświeżających. - Proszę wziąć, ile pani potrzebuje. Mogę przynieść więcej.

Jonah przyniósł dla niej krzesło. Delia wskazała szczyt stołu, dając mu do zrozumienia, gdzie chce usiąść.

- To ty jesteś kretynem, który nie pozwolił tej kobiecie się umyć? - zapytała.

Jonah nie wiedział, jak zareagować. Być może nigdy przedtem nie musiał odpowiadać na pytania żadnej kobiety prócz matki, a i to dawno temu.

- Zamknij za sobą drzwi. - Delia odesłała go machnięciem ręki i usiadła. - Pani Quinn, postaram się, żeby to trwało możliwie jak najkrócej. Nie przeszkadza pani, że będę nagrywać naszą rozmowę?

- Niech pani robi, co konieczne.

Delia Wofford wcisnęła w telefonie kilka przycisków, by uruchomić funkcję nagrywania, i rzuciła na stół wyjęte z torby notatniki, książki i papiery.

Przez wstrząśnienie mózgu Charlie nie była w stanie niczego przeczytać, otworzyła więc paczkę chusteczek i zaczęła doprowadzać się do porządku. Najpierw oczyściła przestrzenie między palcami, usuwając czarne drobinki przypominające cząstki sadzy. Krew wżarła się w pory skóry. Ręce Charlie wyglądały jak dłonie staruszki. Nagle poczuła się śmiertelnie wyczerpana. Zapragnęła wrócić do domu i wziąć gorącą kąpiel. Chciała spokojnie wszystko przemyśleć, przeanalizować szczegóły zdarzenia, ułożyć je w całość, po czym wsadzić do pudełka i odstawić na najwyższą półkę, i nigdy więcej już do tego nie wracać.

- Pani Quinn? - Delia Wofford podała wodę mineralną.

Charlie omal nie wyrwała jej butelki z ręki. Dopiero teraz poczuła dokuczliwe pragnienie. Połowę zawartości wypija jednym haustem, zanim racjonalna część mózgu przebiła się do świadomości z argumentem, że tak szybkie picie przy podrażnionym żołądku to zły pomysł.

- Przepraszam. - Zakryła dłonią usta, by stłumić donośne beknięcie.

Agentka z pewnością miała do czynienia z gorszymi przypadkami.

- Jest pani gotowa? - zapytała.

- Tak. - Charlie wyjęła z paczki kolejną chusteczkę. - Po pierwsze, potrzebuję nieco informacji o Kelly Wilson.

Delia Wofford była wystarczająco doświadczona, by stłumić

irytację, którą niewątpliwie odczuwała.

- Została przebadana przez lekarza. Jest pod ciągłą obserwacją.

Nie o to Charlie chodziło, o czym agentka Wofford doskonale wiedziała.

- Jest dziewięć czynników, które trzeba wziąć pod uwagę przed ustaleniem, czy zeznanie nieletniej jest...

- Pani Quinn - Delia weszła jej w słowo - niech pani przestanie martwić się o Kelly Wilson i zacznie martwić się o siebie. Na pewno nie chce pani spędzić tu ani chwili dłużej, niż to konieczne.

Charlie przewróciła by oczami, gdyby nie strach przed kolejnym zawrotem głowy.

- Dziewczyna ma szesnaście lat. Jest za młoda na...

- Osiemnaście.

Charlie znieruchomiała. Spojrzała na Bena, nie na Delię Wofford, ponieważ oboje zgodzili się na początku małżeństwa, że zatajenie czegoś to też kłamstwo.

Ben popatrzył jej w oczy, ale z jego spojrzenia nic nie wyczytała.

- Z aktu urodzenia Kelly Wilson wynika, że dwa dni temu skończyła osiemnaście lat.

- Widziała pani... - Charlie musiała odwrócić wzrok od Bena, ponieważ rozpad ich małżeństwa zszedł na dalszy plan w obliczu możliwego wyroku śmierci. - Widziała pani jej akt urodzenia?

Delia przewertowała stos papierów, aż znalazła to, czego szukała. Położyła przed nią dokument. Charlie widziała tylko

okrągłą pieczęć, która wyglądała na urzędową.

- Szkolna dokumentacja to potwierdza, ale oficjalną kopię przefaksowali nam ze stanowego Wydziału Zdrowia. - Wskazała palcem miejsce, w którym musiała być zapisana data urodzenia Kelly. - Skończyła osiemnaście lat o szóstej dwadzieścia trzy w sobotę rano, ale wie pani, że według prawa oficjalnie staje się pełnoletnia po północy.

Charlie poczuła falę mdłości. Dwa dni. Czterdzieści osiem godzin oznaczało różnicę między życiem z możliwością zwolnienia warunkowego a śmiertelnym zastrzykiem.

- Powtarzała klasę. Pewnie stąd to zamieszanie.

- Co robiła w gimnazjum?

- Wiele pytań wciąż pozostaje bez odpowiedzi - Delia pogrzebała w przepastnej torbie i wyjęła z niej pióro. - A teraz zapytam panią oficjalnie: czy chce pani złożyć zeznanie? Ma pani prawo odmówić. Wie pani o tym.

Charlie z trudem nadążała za słowami agentki. Położyła dłoń na brzuchu, żeby uspokoić żołądek. Nawet jeśli jakimś cudem Kelly Wilson uniknie kary śmierci, prawo siedmiu grzechów głównych w stanie Georgia sprawi, że nigdy nie wyjdzie z więzienia.

Czy byłoby w tym coś złego?

W tej sprawie nie było niejasności, Kelly została schwytana z narzędziem zbrodni w ręku.

Charlie spojrzała na swoje dłonie nadal pokryte krwią dziewczynki, która umarła na jej rękach. Umarła, ponieważ Kelly Wilson ją zastrzeliła. Zamordowała, tak samo jak zamordowała pana Pinkmana.

- Pani Quinn? - Delia zerknęła na zegarek. Charlie jednak dobrze wiedziała, że agentka jest dokładnie w tym miejscu, w jakim powinna teraz być.

Znała też zasady działania systemu prawnego. Wszyscy w taki sposób przedstawią zdarzenia dzisiejszego poranka, by przygwoździć Kelly Wilson. Wszyscy. Ośmiu policjantów. Huck Huckabee. Może nawet pani Pinkman, której mąż został zamordowany kilka metrów od drzwi jej klasy.

- Zgadzam się na złożenie zeznania - zadeklarowała.

Delia położyła przed sobą duży żółty brulion i zdjęła z pióra nasadkę.

- Pani Quinn, najpierw muszę pani powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że została pani wplątana w tę historię. Znam historię pani rodziny. Na pewno było pani trudno być naocznym świadkiem...

Charlie dała jej znak ręką, żeby darowała sobie resztę tego wstępu i przeszła do meritum.

- Dobrze - powiedziała Delia. - Następnej kwestii nie mogę pominąć. Musi pani wiedzieć, że drzwi za moimi plecami są otwarte. Nie jest pani aresztowana. Nie jest pani zatrzymana. Jak powiedziałam wcześniej, może pani stąd wyjść w każdej chwili, chociaż pani dobrowolne zeznanie jako jednego z naocznych świadków dzisiejszej tragedii może odegrać zasadniczą rolę w wyjaśnieniu tych wydarzeń.

Charlie zwróciła uwagę, że Delia Wofford nie ostrzegła jej, że za okłamanie agenta GBI grozi kara więzienia.

- Chce pani, żebym pomogła wam zebrać dowody przeciwko Kelly Wilson.

- Chcę usłyszeć od pani prawdę.

- Mogę powiedzieć tylko to, co wiem. - Charlie zorientowała się, że czuje wrogość, kiedy spojrzała na swoje skrzyżowane ramiona.

Delia odłożyła pióro na stół, ale nie wyłączyła nagrywania.

- Pani Quinn, ta sytuacja jest bardzo trudna dla nas wszystkich.

Charlie czekała na dalszy ciąg.

- Czy czułaby się pani swobodniej, gdyby pani mąż stąd wyszedł?

- Ben zna powód mojej dzisiejszej obecności w szkole.

Nawet jeśli Delia była rozczarowana, że as wyciągnięty z rękawa nie spełnił swojej roli, nie dała tego po sobie poznać. Sięgnęła po pióro.

- W takim razie zacznijmy od tego momentu. Wiem, że zostawiła pani auto na parkingu dla nauczycieli na wschód od głównego wejścia. Jak weszła pani do budynku?

- Bocznymi drzwiami. Były otwarte.

- Zauważyła pani, że są otwarte, kiedy parkowała pani auto?

- Zawsze są otwarte. - Charlie potrząsnęła głową. - To znaczy zawsze były, kiedy chodziłam do tej szkoły. To krótsza droga z parkingu do stołówki. Zawsze tędy chodziłam... - Urwała, ponieważ to nie miało znaczenia dla sprawy. - Zaparkowałam na bocznym parkingu i weszłam bocznym wejściem. Uznałam, że najpewniej jest otwarte, jak w czasach mojej nauki w tej szkole.

Delia skrobała piórem po papierze. Nie podniosła głowy, kiedy zadała kolejne pytanie:

- Skierowała się pani prosto do klasy pana Huckabee?

- Musiałam zawrócić i przeszłam obok sekretariatu.

W środku było ciemno, tylko w gabinecie pana Pinkmana paliło się światło.

- Widziała pani kogoś?

- Nie widziałam pana Pinkmana, tylko światło.

- A innych?

- Panią Jenkins, szkolną sekretarkę. Wydaje mi się, że wchodziła do biura, ale byłam już wtedy na korytarzu. Gdy rozbłysło światło, odwróciłam się. Dzieliło mnie od sekretariatu około dziesięciu metrów. - Stała w miejscu, gdzie stanęła Kelly Wilson po zastrzeleniu dziewczynki i pana Pinkmana. - Nie jestem pewna, czy to pani Jenkins wchodziła do pokoju nauczycielskiego, ale zobaczyłam starszą kobietę podobną do pani Jenkins.

- I ta starsza kobieta to jedyna osoba, którą pani widziała, jak wchodzi do biura?

- Tak. Drzwi do klas były zamknięte. Niektórzy nauczyciele byli w środku, więc ich też mogłam widzieć. - Charlie przygryzła wargi, usiłując zebrać myśli. Nic dziwnego, że jej klienci pakowali się w kłopoty. Ona sama nie była nawet podejrzaną, tylko świadkiem, a nie potrafiła podać szczegółów.

- Nie rozpoznałam żadnego z nauczycieli za drzwiami. Nie wiem, czy mnie widzieli, ale możliwe, że tak.

- Potem poszła pani do klasy pana Huckabee?

- Tak. Byłam w klasie, kiedy usłyszałam strzał.

- Jeden strzał?

Charlie zwinęła zużyte chusteczki w kulkę i położyła je na

stole.

- Cztery strzały.

- Jeden po drugim?

- Tak. Nie. - Charlie zamknęła oczy. Usiłowała odtworzyć to w pamięci. Minęło zaledwie parę godzin, więc dlaczego miała wrażenie, że wszystko stało się wieki temu? - Usłyszałam dwa strzały, potem dwa kolejne. A może trzy, a potem jeszcze jeden?

Dłoń agentki z piórem zawisała nad kartką.

- Nie pamiętam kolejności zdarzeń - po chwili milczenia przyznała Charlie. I znowu przypomniała sobie, że to zeznanie pod przysięgą. - O ile pamiętam, słyszałam cztery strzały. Pamiętam, że je liczyłam. A potem Huck pchnął mnie na ziemię. - Odchrząknęła, zwalczając chęć spojrzenia na Bena, by przekonać się, jak reaguje na jej słowa. - Pan Huckabee pchnął mnie za szafę, chciał, żebym się tam schowała.

- Słyszała pani więcej strzałów?

- Hm... - Charlie pokręciła głową, ponieważ znów nie miała pewności. - Nie wiem, nie pamiętam.

- W takim razie cofnijmy się nieco - powiedziała Delia. - W klasie byliście tylko pani i pan Huckabee?

- Tak. Nikogo innego w holu nie widziałam.

- Jak długo była pani w klasie pana Huckabee, zanim usłyszała pani strzały?

Charlie znowu potrząsnęła głową.

- Dwie, może trzy minuty.

- Więc wchodzi pani do jego klasy, mijają dwie, może trzy minuty, słyszy pani cztery strzały, a pan Huckabee pociąga

panią za szafę. Co potem?

- Potem zaczęłam biec. - Charlie wzruszyła ramionami.

- W stronę wyjścia?

- W kierunku strzałów. - Charlie zerknęła na Bena.

Ben podrapał się po brodzie. To była jedna z kości niezgody między nimi. Charlie zawsze biegła w sam środek niebezpieczeństwa, podczas gdy wszyscy inni uciekali jak najdalej.

- Rozumiem - powiedziała Delia, nie przerywając pisania. - Czy pan Huckabee był z panią, kiedy biegła pani w kierunku strzałów?

- Był za mną. - Charlie pamiętała, że sprintem minęła Kelly, przeskakując jej wyciągnięte nogi. Tym razem pamięć podsunęła jej obraz Hucka klęczącego obok dziewczyny. To miało sens. Huck dostrzegł broń w ręku Kelly. Kiedy ona patrzyła na umierającą dziewczynkę, on usiłował przekonać nastolatkę, żeby oddała mu broń. - Może mi pani powiedzieć, jak się nazywała ta zastrzelona dziewczynka?

- Lucy Alexander. Jej matka uczy w tej szkole.

Charlie przypomniała sobie twarz dziewczynki, różową kurteczkę, pasujący kolorem plecak. Czy jej imię rzeczywiście było wyszyte na spodzie kurtki, czy ten szczegół sobie wymyśliła?

- Nie ujawniliśmy jej nazwiska prasie - dodała agentka - ale rodzice zostali już powiadomieni.

- Nie cierpiała. Tak mi się wydaje. Nie wiedziała, że... - Charlie znowu potrząsnęła głową, zdając sobie sprawę, że wypełnia białe plamy tym, co chciała, żeby okazało się

prawdą.

- Więc biegła pani tam, skąd dochodziły strzały, w kierunku sekretariatu - powiedziała Delia i przewróciła kartkę. - Pan Huckabee biegł za panią. Kogo jeszcze pani widziała?

- Nie pamiętam, czy widziałam Kelly Wilson. To znaczy przypomniałam sobie później, że ją widziałam, kiedy usłyszałam krzyki policjantów, ale gdy biegłam, Huck mnie dogonił i minął przy skřęcie, potem ja go minęłam... - Charlie znowu zagryzła wargi. Takie chaotyczne relacje doprowadzały ją do szału podczas rozmów z klientami. - Przebiegłam obok Kelly. Myślałam, że jest dzieckiem... uczennicą. - Kelly Wilson była jednym i drugim. Mimo osiemnastu lat była drobna, należała do tych kobiet, które zawsze wyglądają dziewczęco mimo lat i własnych dzieci.

- Zgubiłam się, jeśli chodzi o sekwencję zdarzeń - przyznała Delia.

- Przepraszam. Człowiekowi w głowie się miesza, kiedy znajdzie się w takiej sytuacji - usprawiedliwiała się Charlie. - Czas przestaje być linią ciągłą i zmienia się w kulę, dopiero potem widzi się ją z różnych stron, i wtedy dochodzi się do wniosku: o, teraz pamiętam, najpierw stało się to, potem tamto, i tak dalej... Dopiero po fakcie można to wszystko ułożyć w całość, która ma sens.

Ben pilnie ją obserwował. Wiedziała, o czym myśli. Lepiej znała jego myśli niż własne. Tymi kilkoma zdaniemizdradziła więcej na temat własnych uczuć po śmierci Gammy i postrzeleniu Sam, niż przemyciła w aluzjach i niedomówieniach w trakcie szesnastu lat małżeństwa.

Charlie popatrzyła na Delię Wofford.

- Powiem to inaczej. Nie pamiętam, żebym widziała Kelly w pierwszej chwili. Zobaczyłam ją dopiero za drugim razem. To jak *déjà vu*, ale prawdziwe.

- Rozumiem. - Delia pokiwała głową, wracając do pisania. - Proszę kontynuować.

Charlie potrzebowała chwili skupienia.

- Kelly nie ruszyła się między pierwszym a drugim razem, kiedy ją widziałam. Siedziała oparta plecami o ścianę. Nogi miała wyprostowane, wyciągnięte na całą długość. Pamiętam, że kiedy biegłam korytarzem i zobaczyłam ją pierwszy raz, zerknęłam na nią. Chciałam się upewnić, że nic jej nie jest, że nie jest ofiarą. Wtedy nie widziałam broni. Była ubrana na czarno, jak gotka, ale nie patrzyłam na jej ręce. - Charlie urwała, żeby złapać oddech. - Dramat rozgrywał się na drugim końcu korytarza, przed sekretariatem. Pan Pinkman leżał na ziemi. Wyglądał na nieżywego. Powinnam sprawdzić mu puls, ale podbiegłam do dziewczynki, do Lucy. Była tam pani Heller.

- Heller? - pióro Delii znieruchomiało.

- Co?

Patrzyły na siebie wyraźnie zdezorientowane.

Ciszę przerwał Ben:

- Heller to panięńskie nazwisko Judith Pinkman - wyjaśnił.

Charlie pokręciła bolącą głową. Może jednak powinna pojechać do szpitala.

- Dobrze. - Delia przewróciła kartkę w brulionie. - Co robiła pani Pinkman, kiedy zobaczyła ją pani na drugim końcu

korytarza?

Charlie znowu musiała odtworzyć całą sytuację w myślach.

- Krzyczała. Nie wtedy, ale wcześniej. Przepraszam, umknęło mi to. W klasie, kiedy Huck pchnął mnie za szafę, usłyszeliśmy krzyk kobiety. Nie wiem, czy to było przed dzwonkiem, czy po dzwonku, ale krzyczała „Na pomoc! Pomóżcie nam!”.

- Pomóżcie nam? - upewniła się Delia.

- Tak. - Właśnie dlatego Charlie pobiegła w tamtym kierunku. Znała z własnego doświadczenia straszliwą desperację i rozpacz oczekiwania na kogoś, na kogokolwiek, kto pomógłby na nowo poukładać świat.

- Co dalej? W którym miejscu korytarza była pani Pinkman?

- Klęczała przy Lucy, trzymała ją za rękę. Modliła się. Ja wzięłam Lucy za drugą rękę. Spojrzałam jej w oczy. Wtedy jeszcze żyła. Poruszała oczami, otworzyła usta. - Charlie przełknęła ślinę, próbując stłumić żal. Kilka ostatnich godzin spędziła, odtwarzając w pamięci śmierć dziewczynki, ale mówienie o tym na głos było bardzo trudne. - Pani Heller recytowała następną modlitwę. Ręka Lucy wysunęła się z mojej dłoni i...

- Umarła? - podsunęła Delia.

Charlie zacisnęła pięść. Po tylu latach nadal pamiętała uczucie, które jej towarzyszyło, gdy trzymała drżącą dłoń Sam.

Nie wiedziała, co trudniejsze: być świadkiem gwałtownej śmierci czy powolnego osuwania się w niebyt, jak to było z Lucy Alexander.

Oba zdarzenia i tak należały do sfery gromadzącej niewyobrażalne cierpienia i najstraszliwszy ból.

- Potrzebuje pani przerwy? - zapytała Delia.

Charlie odpowiedziała milczeniem. Ponad ramieniem Bena spojrzała w lustro. Pierwszy raz od chwili, gdy znalazła się w pokoju przesłuchań, przyjrzała się swojemu odbiciu. Ubrała się niedbale. Nie chciała starannym strojem wysłać Huckowi błędnego komunikatu. Postawiła na dżinsy, tenisówki i za dużą koszulkę z długimi rękawami. Spłowiałe logo Duke Blue Devils było poplamione krwią. Twarz nie wyglądała lepiej. Czerwone przebarwienie wokół prawego oka przechodziło w regularny siniak. Wyciągnęła z nosa kulki z chusteczki higienicznej, a razem z nimi płatki skóry. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie musi się pani śpieszyć - powiedziała Delia.

Charlie nie chciała tego przedłużyć.

- Usłyszałam, jak Huck mówi policjantowi, żeby opuścił broń. Miał karabin. Potknął się wcześniej, wdepnął w krew na podłodze i... - Potrząsnęła głową. Ciągle miała przed oczami spanikowaną twarz policjanta i determinację wynikającą z poczucia obowiązku. Był przerażony, ale jak ona biegł w stronę niebezpieczeństwa, zamiast uciekać.

- Proszę obejrzyć te zdjęcia. - Delia znowu sięgnęła do przepastnej torby i rozłożyła na stole trzy fotografie. Zdjęcia twarzy. Trzej biali mężczyźni. Trzy grube szyje. Gdyby nie byli policjantami, pasowaliby na gangsterów.

Charlie wskazała środkowe zdjęcie.

- To ten miał karabin.

- Funkcjonariusz Carlson - powiedziała Delia.

Ed Carlson chodził do szkoły o klasę wyżej niż Charlie.

- Mierzył do Hucka, który powtarzał Carlsonowi, żeby się uspokoił. Nie zacytuję dokładnie, ale taki był sens. - Wskazała drugą fotografię z podpisem „Rodgers”. Charlie nigdy wcześniej go nie spotkała. - Rodgers też tam był. Miał pistolet.

- Pistolet?

- Tak, glocka 19.

- Zna się pani na broni?

- Tak. - Przez dwadzieścia osiem lat Charlie zgłębiła wiedzę o każdym rodzaju broni palnej, jaką kiedykolwiek wyprodukowano.

- Funkcjonariusze Carlson i Rodgers mierzyli do kogo?

- Do Kelly Wilson, ale pan Huckabee klęczał przed nią i ją zasłaniał, więc formalnie rzecz biorąc, celowali do niego.

- Co robiła wtedy Kelly Wilson?

Charlie uświadomiła sobie, że nie wspomniała o broni.

- Miała rewolwer.

- Pięciopistołowy? Sześciopistołowy?

- Mogę tylko zgadywać. Wyglądał na starszy model. Nie krótkolufowy, ale... - Charlie urwała. - Była inna broń? Strzelał jeszcze ktoś?

- Skąd to pytanie?

- Pytała pani, ile strzałów słyszałam i ile naboju było w rewolwerze.

- Nie wyciągałabym takich wniosków z moich pytań, pani Quinn. Na tym etapie śledztwa możemy stwierdzić z dużą dozą prawdopodobieństwa, że nie było innej broni i innego

strzelca.

Charlie zacisnęła usta. Czy na początku słyszała więcej niż cztery strzały? Więcej niż sześć? Nagle dotarło do niej, że nie jest już pewna niczego.

- Powiedziała pani, że Kelly Wilson miała rewolwer. Co z nim robiła? - zapytała Delia.

Charlie zamknęła oczy, żeby dać pamięci czas na odtworzenie tej sytuacji.

- Jak mówiłam, Kelly siedziała na podłodze oparta plecami o ścianę. Wycelowała rewolwer prosto w swoją pierś. O tak. - Charlie złożyła dłonie, pokazując, jak dziewczyna trzymała broń obiema rękami, z kciukiem na kabłąku spustowym. - Wyglądała, jakby chciała się zabić.

- Trzymała lewy kciuk na kabłąku spustowym?

Charlie spojrzała na swoje ręce.

- Przepraszam, to moje przypuszczenie. Jestem leworęczna. Nie wiem, który kciuk był na kabłąku spustowym, ale jeden z nich na pewno był.

- I? - zapytała Delia, nie przerywając pisania.

- Carlson i Rodgers krzyczeli do niej, żeby odłożyła broń. Panikowali, wszyscy panikowaliśmy, ale z wyjątkiem Hucka. Być może kiedyś był świadkiem walki albo... - Urwała, by nie snuć niepotrzebnych domysłów. - Wyciągnął do niej rękę. Mówił, żeby oddała mu rewolwer.

- Czy Kelly Wilson cokolwiek powiedziała?

Charlie nie zamierzała tego potwierdzać, ponieważ nie wierzyła, że dwaj mężczyźni, którzy słyszeli jej słowa, przekazali ich treść zgodnie z prawdą.

- Huck przekonywał Kelly, żeby się poddała, a ona zaczęła się ku temu skłaniać. - Spojrzenie Charlie powędrowało w stronę lustra, za którym (przynajmniej taką miała nadzieję) Ken Coin był bliski posikania się ze strachu. - Kelly położyła rewolwer na dłoni Hucka. Oddała go. I wtedy funkcjonariusz Rodgers strzelił do pana Huckabee.

Ben otworzył usta, ale Delia powstrzymała go gestem.

- Gdzie go postrzelił?

- Tutaj. - Charlie wskazała biceps.

- Jak zachowywała się Kelly Wilson?

- Wyglądała na oszołomioną. - Charlie zgromiła się w duchu za odpowiedź na to pytanie. - To tylko moje przypuszczenie. Nie znam jej. Nie jestem specjalistką. Nie mogę ocenić stanu jej umysłu.

- Rozumiem. Czy pan Huckabee był nieuzbrojony, kiedy padł strzał?

- Trzymał w ręce rewolwer, ale bokiem, tak jak podała mu go Kelly.

- Pokaże mi pani? - Delia wyjęła z torby glocka 45, opróżniła magazynek i położyła broń na stole.

Charlie nie chciała wziąć glocka do ręki. Nienawidziła broni, chociaż dwa razy w miesiącu ćwiczyła na strzelnicy. Nigdy więcej nie chciała znaleźć się w sytuacji, w której nie wiedziałaby, jak posługiwać się bronią.

- Pani Quinn - powiedziała Delia - nie musi pani tego robić, ale bardzo by mi pani pomogła, gdyby pokazała, w jakiej pozycji był rewolwer, kiedy znalazł się w ręku pana Huckabee.

- Mhm... - Charlie miała wrażenie, jakby nad głową

rozbłysła jej ogromna żarówka. Przejęta zabójstwami nie uświadamiała sobie, że równolegle toczy się drugie śledztwo w sprawie użycia broni przez funkcjonariuszy. Gdyby Rodgers choć trochę przesunął broń w złą stronę, Huck byłby teraz trzecim ciałem leżącym na korytarzu przed sekretariatem. – Było tak. – Charlie sięgnęła po glocka. Poczowała chłód czarnego metalu na skórze. Wzięła go lewą ręką, ale tam było inaczej. Huck wyciągnął po broń prawą ręką. Charlie położyła pistolet bokiem na otwartej prawej dłoni, z lufą skierowaną w tył, tak jak zrobiła to Kelly z rewolwerem.

Delia trzymała już w rękach telefon komórkowy. Zrobiła kilka zdjęć, jednocześnie pytając:

– Mogę? – chociaż doskonale wiedziała, że jest za późno na jakikolwiek protest ze strony Charlie.

– Co się stało z rewolwerem?

Charlie odłożyła glocka na stół lufą skierowaną w tylną ścianę.

– Nie wiem. Huck właściwie się nie ruszył. To znaczy drgnął, myślę, że z powodu bólu przy postrzale, ale nie upadł ani nic takiego. Powiedział Rodgersowi, żeby wziął rewolwer, ale nie pamiętam, czy Rodgers go wziął, czy zrobił to kto inny.

Delia przerwała pisanie.

– Pan Huckabee najpierw został trafiony, a potem powiedział Rodgersowi, żeby wziął rewolwer?

– Tak. Był bardzo spokojny, choć sytuacja była napięta, bo nikt nie wiedział, czy Rodgers znowu nie strzeli. Ciągle mierzył do Hucka. A Carlson ciągle miał karabin.

– Ale kolejny strzał nie padł?

- Nie.

- Widziała pani, czy ktoś jeszcze trzymał palec na spuście?

- Nie.

- I nie widziała pani, czy pan Huckabee podawał komuś rewolwer?

- Nie.

- Widziała pani, czy go przekładał? Odkładał na ziemię?

- Nie. - Charlie pokręciła głową. - Bardziej zajmowało mnie to, że jest ranny.

- Rozumiem. - Delia dokończyła pisanie i podniosła głowę znad brulionu. - Pamięta pani, co było potem?

Charlie nie wiedziała, co pamięta. Czy spojrzała na swoje ręce, jak to zrobiła teraz? Pamiętała głośnie oddechy Carlsona i Rodgersa. Obaj wyglądali na tak samo przerażonych jak ona, pocili się obficie, dyszeli ciężko pod kamizelkami kuloodpornymi.

„Moja córka jest w jej wieku”.

„Pink był moim trenerem”.

Carlson nie zapiął kamizelki. Jej boki kołysały się bezładnie, gdy wbiegł do szkoły z karabinem. Nie miał pojęcia, co go czeka za rogiem: leżące ciała, masakra czy kula w głowę.

Jeśli człowiek nigdy przedtem tego nie widział, to mogło go złamać.

- Czy potrzebuje pani przerwy, pani Quinn? - zapytała Delia.

Charlie pomyślała o przerażeniu na twarzy Carlsona, kiedy poślizgnął się na plamie krwi. Czy miał łzy w oczach? Czy bał się, że martwa dziewczynka to jego córka?

- Chciałabym już wyjść. - Nie wiedziała, że to powie, póki

nie usłyszała własnego głosu. – Wychodzę.

– Powinna pani dokończyć zeznanie. – Delia posłała jej uśmiech. – To potrwa jeszcze tylko kilka minut.

– Wolałabym to dokończyć w innym terminie. – Charlie złapała się brzegu stołu, żeby wstać. – Mówiła pani, że mogę wyjść w każdej chwili.

– Oczywiście. – Delia Wofford po raz kolejny udowodniła, że trudno ją wyprowadzić z równowagi. Wręczyła Charlie wizytówkę. – Z niecierpliwością czekam na kolejną rozmowę z panią.

Charlie nie widziała wyraźnie napisu na wizytówce. Kwaśna zawartość żołądka podeszła jej do gardła.

– Wyprowadzę cię tylnym wyjściem – powiedział Ben. – Dasz radę dotrzeć do swojego biura?

Charlie była pewna tylko jednego: musiała jak najszybciej stąd wyjść. Z czterech stron napierały na nią ściany. Nie mogła oddychać przez nos. Czuła, że się udusi, jeśli zostanie tu choćby chwilę.

Ben wsunął do kieszeni marynarki jej butelkę z wodą i otworzył drzwi. Charlie wytoczyła się na korytarz i ciężko oparła się rękami o ścianę naprzeciw drzwi do pokoju przesłuchań. Czterdzieści lat malowania wygładziło powierzchnię pustaków. Charlie przytknęła policzek do chłodnej powierzchni. Wzięła kilka głębokich wdechów i czekała, aż miną jej mdłości.

– Charlie? – powiedział Ben.

Odwróciła się. Nagle między nimi pojawił się tłum ludzi. W budynku zaroilo się od stróżów prawa. Muskularni

mężczyźni i dobrze umięśnione kobiety z karabinami na szerokich piersiach biegali po korytarzu w tę i z powrotem. Policja stanowa. Zastępcy szeryfa. Drogówka. Ben miał rację. Pojawili się wszyscy. Charlie ujrzała litery na plecach koszul. GBI. FBI. ATF. SWAT. ICE. BOMB SQUAD.

Kiedy w końcu korytarz opustoszał, zobaczyła, że Ben trzyma w ręce telefon i w milczeniu przesuwając kciuki po ekranie.

Oparła się o ścianę i czekała, aż mąż skończy esemesować. Może pisał do tej dwudziestosześcioletki z biura. Kaylee Collins. Była w jego typie. Charlie to wiedziała, ponieważ mając tyle lat co tamta, też była w typie swojego męża.

- Cholera. - Kciuki Bena niestrudzenie biegały po ekranie. - Daj mi jeszcze chwilę.

Charlie mogła sama wyjść z komisariatu. Mogła sama przejść sześć przecznic dzielących ją od biura.

Nie zrobiła tego.

Patrzyła na czubek głowy Bena, na spiralnie rosnące włosy na ciemieniu. Chciała wtulić się w niego. Zatracić się w nim.

Zamiast tego bezgłośnie powtarzała frazy, które ćwiczyła w samochodzie, w kuchni, czasem przed lustrem w łazience:

„Nie mogę bez ciebie żyć”.

„Nigdy nie czułam się tak samotna jak przez dziewięć ostatnich miesięcy”.

„Wróć do domu, bo dłużej tego nie znoś”.

„Przepraszam”.

„Przepraszam”.

„Przepraszam”.

- Ugoda w innej sprawie nie doszła do skutku - powiedział Ben i wsunął telefon do kieszeni. Aparat uderzył o pustą w połowie butelkę z wodą. - Gotowa?

Nie miała wyjścia, musiała iść. Nie odrywała palców od ściany. Odwracała się bokiem, gdy mijali ją kolejni policjanci w czarnych mundurach bojowych. Z ich chłodnych twarzy nie można było wyczytać żadnych emocji. Albo gdzieś jechali, albo skądś wracali, wszyscy z zaciśniętymi szczękami, zjednoczeni przeciwko złu tego świata.

Strzelanina w szkole.

Charlie była tak skupiona na tym, co się wydarzyło, że zapomniała o miejscu zdarzenia.

Nie była ekspertką, ale wiedziała, że każda strzelanina w szkole inspirowała kolejnych sprawców. Columbine, Virginia Tech, Sandy Hook. Agencje porządku publicznego analizowały te tragedie, by zapobiec następnym, a w najgorszym razie zrozumieć.

Agenci ATF przeczeszą szkołę w poszukiwaniu ładunków wybuchowych, ponieważ ataki z ich użyciem już się zdarzały. GBI będzie szukać ewentualnych współsprawców, ponieważ czasem, na szczęście rzadko, tacy również się zdarzali. Policjanci z psami sprawdzą każdą szafkę, każde biurko na obecność materiałów wybuchowych. Śledczy będą szukać pamiętnika Kelly albo czarnej listy osób do wyeliminowania, planów szkoły, skrytek z bronią, planów ataku. Informatycy przeszukają komputery, telefony, strony na Facebooku, konta na Snapchacie. Wszyscy będą szukać motywu, ale jaki motyw znajdą? Jakiej odpowiedzi mogła udzielić osiemnastolatka, by

wyjaśnić powód, dla którego zabiła z zimną krwią?

Teraz to był problem Rusty'ego. Ten rodzaj drażliwych, moralnych i prawnych kwestii, które codziennie rano napędzały go do działania.

Właśnie takiej odmiany prawa Charlie nigdy nie chciała praktykować.

- Chodź. - Ben ją wyprzedził. Zawsze sadył wielkimi susami i zawsze stawiał najpierw pięty.

Czy Kelly Wilson padła ofiarą nękania? Od tego zacznij dociekania Rusty. Czy wystąpiły jakieś okoliczności łagodzące, które ocala ją przed wyrokiem śmierci? Powtarzała przynajmniej jedną klasę. Czy to oznaczało niski iloraz inteligencji? Ograniczoną poczytalność? Czy Kelly Wilson umiała odróżnić dobro od zła? Czy mogła czynnie uczestniczyć we własnym procesie?

Ben otworzył drzwi wyjściowe.

Czy Kelly Wilson była diabelskim nasieniem? Czy to jedyne wytłumaczenie, które nigdy nie będzie miało sensu? Czy Delia Wofford powie rodzicom Lucy Alexander i pani Pinkman, że stracili swoich najbliższych, bo Kelly Wilson była zła?

- Charlie - ponaglił ją Ben. Przytrzymał dla niej drzwi. W ręce znowu trzymał iPhone'a.

Wychodząc na ulicę, Charlie osłoniła oczy. Blask słońca był ostry jak brzytwa. Łzy popłynęły jej po policzkach.

- Masz. - Ben podał jej okulary przeciwsłoneczne.

Należały do niej. Musiał je zabrać z jej auta. Wzięła okulary, ale nie mogła włożyć ich na obolały nos. Otworzyła usta, żeby odetchnąć głębiej, ale nagły kontakt z rozgrzanym powietrzem

okazał się zgubny. Pochyliła się i oparła dłonie na kolanach.

- Będiesz wymiotować?

- Nie - powiedziała. - Może - poprawiła się i zwymiotowała.

Ben nie odsunął się od niej. Zebrał jej włosy z twarzy, nie dotykając skóry. Charlie zwymiotowała jeszcze dwukrotnie, zanim zapytał:

- Już w porządku?

- Może. - Otworzyła usta. Czekwała na kolejny atak torsji. Strużka śliny wypłynęła jej z ust, ale nic więcej. - W porządku.

Puścił jej włosy, które opadły na ramiona.

- Ratownik powiedział, że masz wstrząśnienie mózgu.

Charlie nie mogła podnieść głowy, ale starała się trzymać fason.

- Nic z tym nie zrobią.

- Mogą cię obserwować pod kątem symptomów: mdłości, zaburzenia widzenia, bólu głowy, chwilowej utraty pamięci i kłopotów z odpowiedzią na proste pytania.

- I tak nie znają imion, które mogłam zapomnieć - stwierdziła. - Nie chcę spędzić nocy w szpitalu.

- Zostań w Pieprzniku. - Nazwa, którą Sam nadała starej farmie, przyjęła się na stałe. - Rusty może cię doglądać.

- Żeby umarła wskutek biernego palenia zamiast tętniaka mózgu?

- To nie jest śmieszne.

Z opuszczoną głową Charlie wyciągnęła za siebie rękę i namacała ścianę. Twardy beton pod palcami dał jej wystarczające oparcie, żeby zaryzykować powrót do pozycji wyprostowanej. Przytknęła dłoń do czoła nad oczami,

osłaniając je przed słońcem. Przypomniała sobie, jak dziś rano przyłożyła dłoń do przeszklonej ściany sekretariatu.

Ben podał jej butelkę z wodą, już odkręcił nakrętkę. Wolno pociągnęła kilka łyków, starając się nie interpretować opacznie jego troskliwości. Jej mąż okazywał życzliwość wszystkim.

- Gdzie była pani Jenkins, kiedy zaczęła się strzelanina? - zapytała.

- W archiwum.

- Widziała coś?

- Rusty dowie się wszystkiego.

- Wszystkiego - powtórzyła. W nadchodzących miesiącach Ken Coin będzie na mocy prawa zmuszony do przekazania każdego materiału zdobytego w toku śledztwa, który można uznać za dowód w sprawie. Tyle że w przypadku Coina uznaniowość mogła wpłynąć na dobór materiałów.

- Z panią Pinkman wszystko w porządku? - zapytała.

Ben nie wytknął jej pomyłki z nazwiskiem Heller, ponieważ nie było to w jego zwyczaju.

- Jest w szpitalu. Musieli podać jej środki uspokajające.

Charlie powinna ją odwiedzić, wiedziała jednak, że znajdzie wiele wymówek, by tego nie zrobić.

- Utrzymałaś mnie w błędnym przekonaniu, że Kelly ma szesnaście lat.

- Myślałem, że wyczytasz to z trzymanej w ręku kuli i rozłożenia czasu na składowe.

- To wyższy poziom bełkotu, który tam zaprezentowałam - odparła z uśmiechem.

- Nie da się ukryć.

Charlie wytarła usta rękawem. Znowu poczuła woń zaschniętej krwi. Jak wszystko inne, wciąż pamiętała ten zapach z przeszłości. Pamiętała ciemne drobinki osypujące się niczym proch z jej włosów. Pamiętała, że nawet po kąpieli, podczas której szorowała każdy skrawek ciała aż do żywego mięsa, odór śmierci nadal jej towarzyszył.

- Dzwoniłeś do mnie dziś rano - powiedziała.

Ben wzruszył ramionami, jakby według niego nie miało to znaczenia.

Charlie polala resztką wody brudne ręce.

- Rozmawiałeś z mamą i siostrami? Będą się martwić.

- Rozmawiałem. - Znowu wzruszył ramionami. - Powinienem wrócić do środka.

Czekała, ale Ben nie ruszył się z miejsca. Rozpaczliwie szukała pretekstu, żeby go zatrzymać.

- Jak Barkzilla?

- Szczekliwa. - Ben wziął od niej pustą butelkę, zakręcił ją i wsunął do kieszeni.

- A Eleanor Roosevelt?

- Spokojna.

Opuścił głowę, przyciągając brodę do klatki piersiowej, i zamilkł. Nie była zdziwiona. Jej zazwyczaj elokwentny i rozmowny mąż nie odzywał się do niej za wiele w ciągu minionych dziewięciu miesięcy.

Jednak nie odchodził. Nie dawał jej do zrozumienia, żeby już poszła. Nie powiedział, że jest tylko jeden powód, dla którego nie pyta jej o samopoczucie. Usłyszałby od niej, że wszystko

w porządku, nawet gdyby było zupełnie inaczej. Zwłaszcza gdyby było zupełnie inaczej.

- Dlaczego dzwoniłeś do mnie dziś rano? - zapytała.

Ben jęknął. Oparł się głową o ścianę.

Charlie zrobiła to samo.

Patrzyła na mocny zarys jego szczęki. Ben był w jej typie - chudy wyluzowany mózgowiec, który cytował kwestie z Monty Pythona równie swobodnie, co konstytucję Stanów Zjednoczonych. Czytał powieści graficzne. Codziennie przed snem wypijał szklankę mleka. Uwielbiał sałatkę ziemniaczaną, *Władcę Pierścieni* i kolejki elektryczne. Przedkładał grę w ligę futbolu amerykańskiego online nad prawdziwe rozgrywki. Nie tył, nawet kiedy karmiło się go na siłę masłem. Miał sto osiemdziesiąt dwa centymetry wzrostu, kiedy stał wyprostowany, ale nie zdarzało mu się to często.

Bardzo go kochała. Serce pękało jej na samą myśl, że nigdy więcej nie będzie go trzymać w ramionach.

- Jako nastolatka Peggy przyjaźniła się z dziewczynką, która miała na imię Violet. - Peggy była najbardziej apodyktyczną z jego trzech starszych sióstr. - Zginęła potrącona przez samochód, kiedy jechała na rowerze. Pojechaliśmy na pogrzeb. Nie wiem, dlaczego mama zabrała mnie ze sobą. Byłem za mały, żeby oglądać takie rzeczy. Trumna była otwarta. Carla mnie podniosła, żebym mógł zobaczyć Violet. - Ben przełknął ślinę. - Wpadłem w histerię. Mama musiała wyprowadzić mnie na parking. Potem długo śniły mi się koszmary. Myślałem, że to najgorsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Martwe dziecko, dziewczynkę. Ale ona była czysta,

miała makijaż. Nie było po niej widać, jak zginęła, nie było widać, że samochód na nią najechał i że wykrwawiła się na śmierć. Ale to był krwotok wewnętrzny. Nie tak jak ta dziewczynka dzisiaj w szkole.

Miał łzy w oczach. Każde jego słowo łamało kolejną część serca Charlie. Musiała zacisnąć pięści, żeby oprzeć się ochocie wyciągnięcia do niego ręki.

- Morderstwo to morderstwo. Z tym sobie radzę. Dilerzy, gangsterzy, nawet przemoc domowa. Ale dziecko? Mała dziewczynka? - Pokręcił głową. - Nie wyglądała, jakby spała, prawda?

- Prawda.

- Wyglądała jak zamordowana. Jakby ktoś strzelił jej w szyję, kula rozerwała gardło, a ona umarła straszną gwałtowną śmiercią.

Charlie spojrzała w słońce, ponieważ nie chciała znowu widzieć powracającego obrazu śmierci Lucy Alexander.

- Facet jest bohaterem wojennym. Wiedziałaś o tym? - Ben mówił o Hucku. - Uratował pluton czy coś w tym rodzaju, ale o tym nie mówi, bo jest jak Batman albo inny superbohater. - Odsunął się od ściany, od Charlie. - A dzisiaj rano wziął na siebie kulę i został ranny w ramię, żeby uratować życie zabójcy. Potem stanął w obronie gościa, który omal go nie zabił. Skłamał w trakcie zeznania, żeby drugi gość nie wpadł w tarapaty. Jest zabójczo przystojny, co? - Ben był zły, ale mówił wyciszonym głosem, stłumionym przez poníženie, które zafundowała mu jego podła żona. - Kiedy widzisz takiego faceta na ulicy, nie wiesz, czy chcesz się z nim bzyknąć, czy

napić się piwa.

Charlie popatrzyła pod nogi. Oboje wiedzieli, że zrobiła jedno i drugie.

- Jest Lenore.

Przed bramą zatrzymała się czerwona mazda sekretarki Rusty'ego.

- Ben, przepraszam cię. To był błąd. Straszny błąd - powiedziała Charlie.

- Pozwoliłaś mu być na górze?

- Oczywiście, że nie. Nie bądź śmieszny.

Lenore zatrąbiła klaksonem. Opuściła okno i zamachała. Charlie odmachnęła i rozstawiła palce, dając znać Lenore, że potrzebuje jeszcze chwili.

- Ben...

Było za późno. Już zamykał za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Idąc do auta Lenore, Charlie powąchała swoje okulary przeciwsłoneczne. Wiedziała, że zachowuje się jak głupiutka dziewczyna w romansie dla nastolatków, ale chciała poczuć zapach Bena. Zamiast tego poczuła odór własnego potu pomieszanego z wymiocinami.

Lenore przechyliła się i otworzyła jej drzwi od strony pasażera.

- Okulary wkłada się na nos, skarbie, a nie trzyma przed nim.

Charlie nie mogła niczego włożyć na nos. Kiedy zajęła miejsce pasażera, wrzuciła tanie okulary do schowka.

- Tata cię przysłał? - zapytała.

- Dostałam esemesa od Bena, ale twój tata chce, żebyśmy pojechały do Wilsonów i przywiozły ich do biura. Coin próbuje uzyskać nakaz przeszukania. Przywiozłam ci strój do sądu, żebyś miała się w co przebrać.

Charlie zaczęła kręcić głową zaraz po słowach „twój tata chce”.

- Gdzie Rusty? - zapytała.

- W szpitalu przy córce Wilsonów.

Charlie parsknęła śmiechem. Ben naprawdę udoskonalił swoje umiejętności oszukiwania.

- Ile czasu minęło, zanim tata ustalił, że nie trzymają jej w komisariacie?

- Niewiele ponad godzinę?

Charlie zapięła pasy bezpieczeństwa.

- Myślałam o tym, jak Coin uwielbia te swoje gierki. - Nie miała wątpliwości, że prokurator okręgowy umieścił Kelly Wilson w karetce, żeby ją zawieźć do szpitala. Zachowując pozory, że dziewczyna nie została aresztowana, mógł dowodzić, że cokolwiek powiedziała pod nieobecność adwokata, było dobrowolne. - Ona ma osiemnaście lat.

- Rusty mi mówił. W szpitalu zachowywała się jak katatoniczka. Ledwie udało się od niej wydobyć numer telefonu jej matki.

- Tak się zachowywała, kiedy ją zobaczyłam. Zupełnie jakby zapadła na amnezję. - Charlie miała nadzieję, że Kelly Wilson niedługo wyrwie się z tego stanu. W tej chwili była najcenniejszym źródłem informacji dla Rusty'ego. Bez materiałów od Kena Coina - listy świadków, raportów policyjnych, notatek śledczych, wyników ekspertyz kryminalistycznych - jej ojciec będzie poruszał się po omacku.

Lenore położyła rękę na skrzyni biegów.

- Dokąd cię zawieźć?

Charlie wyobraziła sobie, że jest w domu, bierze gorący prysznic i kładzie się do łóżka obłożona poduszkami. A potem przypomniała sobie, że Bena tam nie będzie.

- Do Wilsonów.

- Mieszkają na peryferiach Holler. - Lenore uruchomiła silnik, zawróciła i ruszyła ulicą w kierunku, z którego przyjechała. - Nie ma konkretnego adresu, ale twój tata dał mi wskazówki. Mam skręcić w lewo przy starej białej ruderze, potem w prawo przy pochyłym dębie.

- To chyba dobra wiadomość dla Kelly. - Rusty mógł podważyć ważność nakazu przeszukania bez właściwego adresu albo przynajmniej właściwego opisu domu. Wątpliwe, by Ken Coin spełnił te warunki. Na obrzeżach Holler stały setki domów i przyczep do wynajęcia. Nikt nie wiedział, ilu dokładnie ludzi tam mieszka, jak się nazywają, czy ich dzieci chodzą do szkoły. Właściciele tych ruder nie zawracali sobie głowy umowami czy sprawdzaniem tożsamości lokatorów, o ile regularnie co tydzień gotówka z najmu spływała im do kieszeni.

- Ile mamy czasu, zanim Ken zlokalizuje dom Wilsonów? - zapytała Charlie.

- Nie mam pojęcia. Godzinę temu sprowadzili z Atlanty helikopter, ale z tego, co wiem, jest po drugiej stronie góry.

Charlie wiedziała, co może zastać w domu Wilsonów. Bywała w Holler przynajmniej dwa razy w miesiącu, egzekwując zaległe opłaty za usługi prawnicze. Ben był przerażony, kiedy od niechcienia wspomniała o swoich nocnych wypadach. Sześćdziesiąt procent przestępstw w Pikeville popełniano w samym Sadie's Holler lub w pobliżu.

- Przywiozłam ci kanapkę - powiedziała Lenore.

- Nie jestem głodna. - Charlie zerknęła na zegar na desce rozdzielczej. Była jedenasta pięćdziesiąt dwie. Niecałe pięć godzin temu zaglądała do środka spowitego w ciemnościach sekretariatu gimnazjum. Niecałe dziesięć minut później dwoje ludzi nie żyło, trzecia osoba była ranna, a ona miała uszkodzony nos.

- Powinnaś coś zjeść - napomniała ją Lenore.

- Zjem, ale potem. - Charlie spojrzała przez okno. Promienie słońca prześwitywały przez liście wysokich drzew za budynkami. Pod wpływem migocącego światła jej mózg wyświetlił obrazy jak w staroświeckim pokazie slajdów. Zatrzymała się na dłużej przy obrazach Gammy i Sam, które utrwaliły na zawsze bieg długim podjazdem w kierunku farmy i chichotanie przy rzucaniu plastikowym widelcem. Wiedziała, co nastąpi potem, dlatego przewinęła obrazy do przodu, pozostawiając Sam i Gamme w przeszłości, aż dotarła do obrazów dzisiejszego poranka.

Lucy Alexander. Pan Pinkman.

Mała dziewczynka. Dyrektor gimnazjum.

Ofiary nie miały ze sobą wiele wspólnego. Połączyło je to, że znalazły się w złym miejscu w niewłaściwym czasie. Charlie przypuszczała, że plan Kelly Wilson był prosty: stanąć na środku korytarza z rewolwerem w dłoni i czekać na dzwonek.

Mała Lucy Alexander wyłoniła się zza rogu.

Trach.

Pan Pinkman wybiegł z gabinetu.

Trach, trach, trach.

Wtedy zadzwonił dzwonek. Gdyby nie przytomność umysłu któregoś z pracowników, fala potencjalnych ofiar znalazłaby się na tym samym korytarzu.

Gotka. Samotniczka. Drugoroczna.

Kelly Wilson idealnie pasowała na ofiarę szkolnych prześladowań. Sama przy stole podczas lunchu, wybierana jako ostatnia do drużyny podczas lekcji wuefu, zapraszana na szkolną potańcówkę przez chłopaka, któremu chodziło tylko

o jedno.

Dlaczego sięgnęła po broń, a Charlie tego nie zrobiła?

Lenore wytrąciła ją z rozmyślań:

- Wypij chociaż colę z lodówki. Pomoże ci złagodzić szok.

- Nie jestem w szoku.

- Na pewno uważasz, że nie masz złamanego nosa.

- Wręcz przeciwnie, sądzę, że jest złamany. - Pod wpływem ciągłych uwag Lenore na temat jej stanu, Charlie w końcu uświadomiła sobie, że nie jest z nią najlepiej. Miała wrażenie, że ktoś ściska jej głowę imadłem. Nos pulsował według własnego rytmu. Powieki były ciężkie, jakby oblane gęstym miodem. Zamknęła je na kilka sekund, z zadowoleniem witając pustkę.

Przez szum silnika słyszała, jak stopy Lenore naciskają na pedały. Lenore zawsze prowadziła na bosaka. Buty na wysokich obcasach kładła na podłodze obok siedzenia. Lubiła krótkie spódniczki i barwne pończochy. Ten wizerunek kłócił się z jej wiekiem - miała siedemdziesiąt lat - ale zważywszy na to, że Charlie miała w tej chwili więcej włosków na nogach niż Lenore, nie powinna ferować wyroków.

- Powinnaś wypić trochę coli - powtórzyła Lenore.

Charlie otworzyła oczy. Świat istniał nadal.

- No już, pij.

Nie miała siły protestować. Sięgnęła po lodówkę samochodową opartą o siedzenie. Wyjęła colę, ale kanapkę zostawiła. Zamiast otworzyć butelkę, przyłożyła ją do karku.

- Dasz mi aspirynę?

- Wykluczone. Aspiryna zwiększa ryzyko krwotoku.

Charlie wolała zapaść w śpiączkę niż znosić ból. Oślepiający blask słońca zamienił jej głowę w olbrzymi grzmiący dzwon.

- Szumi mi w uszach - powiedziała.

- Staną, jeśli zaraz nie wypijesz tej coli - zagroziła Lenore.

- I pozwolisz, żeby policja dotarła do domu Wilsonów przed nami?

- Po pierwsze, musieliby jechać tędy; po drugie, nawet jeśli znajdą lokalizację domu, a sędzia będzie pod ręką, przygotowanie nakazu potrwa co najmniej pół godziny; po trzecie, zamknij się w końcu i rób, co mówię, bo walnę cię w nogę.

Charlie otworzyła butelkę przez tkaninę koszulki. Pociągnęła kilka łyków i spojrzała w boczne lustro, w którym odbijało się śródmiście.

- Wymiotowałaś? - zapytała Lenore.

- Już mi przeszło. - Charlie znowu poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Świat za oknem wprowadził ją w dezorientację. Musiała zamknąć oczy, żeby odzyskać równowagę.

Mózg znowu zaczął wyświetlać jej pokaz slajdów. Lucy Alexander. Pan Pinkman. Gamma. Sam. Szybkimi kliknięciami zmieniała obrazy, jakby szukała w komputerze konkretnego pliku.

Czy powiedziała agentce specjalnej Delii Wofford coś, co mogłoby zaszkodzić Kelly Wilson? Rusty będzie chciał to wiedzieć. Na pewno zapyta o liczbę i sekwencję strzałów, o pojemność magazynku, o słowa, które Kelly wyszeptała, gdy Huck prosił ją o oddanie broni.

Odpowiedź na to ostatnie pytanie miała decydujące znaczenie dla dalszych losów Kelly. Jeśli się przyznała, jeśli skomentowała swój czyn albo zdradziła jego ponury motyw, wtedy żadne oratorskie popisy Rusty'ego nie ocala jej przed śmiertelnym zastrzykiem. Ken Coin nigdy nie wypuści z rąk tak głośnej sprawy. Miał już na koncie takie, w których zapadły wyroki śmierci. Żaden sędzia przysięgły w Pikeville nie oparłby się jego wnioskowi o karę śmierci przez podanie śmiertelnego zastrzyku. Coin miał szczególny autorytet. Jeszcze jako policjant osobiście dokonał egzekucji.

Dwadzieścia osiem lat temu dziewiętnastoletni Daniel Culpepper, brat Zachariaha Culpeppera, oglądał telewizję w swojej przyczepie, gdy zajechał pod nią radiowozem funkcjonariusz Ken Coin. Było wpół do dziewiątej wieczorem, ciało Gammy znaleziono już na farmie, a Sam wykrwawiała się na śmierć w płytkiej strudze pod wieżą meteorologiczną. Trzynastoletnia Charlie siedziała w karetkce i błagała sanitariuszy, żeby pozwolili jej pójść do domu. Funkcjonariusz Coin kopniakiem otworzył drzwi przyczepy Daniela Culpeppera. Gdy podejrzany sięgnął po broń, Coin zastrzelił go siedmioma strzałami w pierś.

Do dzisiaj większość członków klanu Culpepperów utrzymywała, że Daniel był niewinny, ale śledczy zebrali przeciwko niemu niezbite dowody. Rewolwer znaleziony przy Danielu okazał się bronią, z której postrzelono Sam w głowę. W beczce za przyczepą tliły się zakrwawione dzinsy i charakterystyczne niebieskie trampki. Nawet rodzony brat Daniela Culpeppera potwierdził, że pojechali do Pieprznika

z zamiarem zabicia Rusty'ego. Bali się, że stracą dach nad głową z powodu nieuregulowanych długów za usługi prawne Rusty'ego. Kiedy Quinnowie stracili wszystko w pożarze, Culpepperowie spodziewali się rachunku i wezwania do zapłaty. Charlie przeżyła duchową masakrę, gdy dotarło do niej, że życie jej rodziny zostało zredukowane do ceny używanej przyczepy.

- Będziemy przejeżdżać obok szkoły - powiedziała Lenore.

Charlie otworzyła oczy. Gimnazjum w Pikeville było w jej szkolnych czasach szkołą średnią. Budynek rozrósł się przez lata, pośpiesznie rozbudowywany, by pomieścić tysiąc dwustu uczniów także z pobliskich miejscowości. Stojące obok liceum było jeszcze większe. Chodziło do niego prawie dwa tysiące nastolatków.

Tam, gdzie zaparkowała swoje auto, było pusto. Taśma policyjna odgradzała parking od reszty terenu. Między policyjnymi wozami, rządowymi sedanami, karetkami, wozami strażackimi, furgonetkami techników kryminalistycznych i wozem koronera stały samochody nauczycieli. Nisko nad szkołą latał helikopter jakiejś stacji telewizyjnej. Scena wyglądała surrealistycznie, zupełnie jakby reżyser miał za chwilę zawołać „Cięcie!”, by wszyscy mogli gremialnie ruszyć na lunch.

- Pani Pinkman musieli podać środki uspokajające - poinformowała Charlie.

- To dobra kobieta. Nie zasłużyła na taki los. Nikt nie zasługuje.

Charlie skinęła głową. Nie była w stanie mówić. Miała

wrażenie, że utkwily jej w gardle kawałki tłuczonego szkła. Judith Heller-Pinkman była przez lata swoistym probierzem. Widywały się na korytarzu, gdy Charlie w końcu wróciła do szkoły. Pani Heller zawsze uśmiechała się do niej, ale nigdy nie nakłaniała do opowiadania o tragedii, która je do siebie zbliżyła. Zachowywała dystans, który z perspektywy czasu wymagał od niej samodyscypliny, jaką niewielu ludzi mogło się poszczycić.

- Ciekawe, ile potrwa zainteresowanie mediów? - rzuciła Lenore, spoglądając na helikopter. - Dwie ofiary. Pikuś w porównaniu z większością innych strzelanin.

- Dziewczyny nie zabijają. Przynajmniej nie tak.

- Nie lubię poniedziałków.

- Naprawdę nie lubisz poniedziałków czy mówisz o piosence Boomtown Rats?

- Mówię o piosence - odparła Lenore. - Nawiązuje do strzelaniny w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym. Szesnastolatka przyniosła karabin snajperski na plac zabaw. Nie pamiętam, ile osób zabiła. Na pytanie policjantów, dlaczego to zrobiła, powiedziała: „Nie lubię poniedziałków”.

- Jezu - jęknęła Charlie. Miała nadzieję, że Kelly Wilson nie wyszeptała niczego równie bezdusznego na korytarzu szkoły. Zaraz potem zastanowiła się, dlaczego tak przejmuje się losem dziewczyny, skoro była zabójczynią.

Nagle zobaczyła istotę rzeczy jasno i wyraźnie.

Jeśli odsunąć na bok wszystko, co zdarzyło się tego ranka - strach, śmierć, wspomnienia, cierpienie i smutek - miała do

czynienia z niezbitym faktem, że Kelly Wilson zamordowała z zimną krwią dwie osoby.

I co z tego? – usłyszała z tyłu głowy głos Rusty’ego.

Kelly nadal miała prawo do procesu. Prawo do najlepszej obrony. Charlie powiedziała to grupie wściekłych policjantów, którzy chcieli zatłuc dziewczynę na śmierć. Teraz, siedząc z Lenore w samochodzie, zadawała sobie pytanie, czy stanęła w obronie Kelly dlatego, że nikt inny tego nie zrobił.

Kolejna wada, która stała się drażliwą kwestią w jej małżeństwie.

Sięgnęła po strój do sądu leżący na tylnym siedzeniu. Znalazła coś, co Ben nazywał koszulą amiszów, a ona uważała za ostatni krok przed burką. Sędziowie w Pikeville byli bez wyjątku grupą skrajnie konserwatywnych zręczliwych tetryków. Prawniczki musiały wybierać między długimi spódnicami i skromnymi bluzkami a oddalaniem każdego ich sprzeciwu, każdego wniosku i kwestionowaniem każdego ich słowa.

- Dobrze się czujesz? – zapytała Lenore.

- Nie, nie bardzo. – Wyznanie prawdy sprawiło Charlie ulgę. Zawsze mówiła Lenore rzeczy, których nie powiedziałaby nikomu innemu. Lenore znała Rusty’ego od ponad pięćdziesięciu lat. Była niczym czarna dziura, w której znikwały wszystkie sekrety rodziny Quinnów. – Głowa mi pęka. Mam złamany nos. Czuję, jakbym wypluła płuca. Słabo widzę, nie mogę czytać, ale to wszystko się nie liczy, bo wczoraj wieczorem zdradziłam Bena.

Lenore w milczeniu zmieniała biegi, wjeżdżając na

dwupasmową autostradę.

- Gdy to się działo, uważałam, że jest okej. Facet nawet się spisał. - Charlie ostrożnie zdjęła koszulkę, starając się nie dotknąć nosa. - Ale rano obudziłam się zapłakana. Ryczałam i nie mogłam przestać. Leżałam w łóżku przez pół godziny, gapiałam się w sufit i chciałam się zabić. A potem zadzwonił telefon.

Lenore znów zmieniła bieg. Wyjeżdżały poza granice Pikeville. Podmuch mocnego wiatru od strony gór uderzył w kompaktowego sedana.

- Nie powinnam odbierać tego głupiego telefonu. Nawet nie pamiętałam, jak facet ma na imię. On też nie pamiętał mojego imienia, a przynajmniej udawał, że nie pamięta. To było krępujące i obrzydliwe. A teraz Ben wie o wszystkim, GBI też. Wszyscy w jego biurze wiedzą. - Zamilkła na chwilę. - Dlatego przyszedłam do szkoły dziś rano. Miałam spotkać się z tym facetem, bo przez pomyłkę wziął mój telefon. Zadzwonił, kiedy się zorientował, i... - Charlie włożyła wykrochmaloną bluzkę z żabotem, którą chciała zademonstrować sędziom, że szanuje powagę miejsca. - Nie wiem, co sobie wtedy myślałam.

Lenore wrzuciła szósty bieg.

- Że czujesz się samotna - podsunęła.

Charlie zaśmiała się, chociaż w tej prawdzie nie było nic śmiesznego. Zapinając bluzkę, przyglądała się swoim palcom. Nagle guziki stały się za małe. A może dłonie jej się pociły. Albo wróciło drżenie palców, wibracje w kościach, jakby w jej piersi ktoś szarpał strunę harfy.

- Kochanie, wyrzuć to z siebie.

Charlie pokręciła głową. Nie chciała tego robić, wolała zatrzymać dla siebie, schować wszystkie przerażające obrazy do pudełka, odłożyć na półkę i nigdy więcej nie otwierać.

Nie udało się. Łza popłynęła po policzku.

Potem druga.

Po chwili Charlie płakała już rzewnymi łzami, a potem szlochała spazmatycznie, zginając się w pół i skrywając twarz w dłoniach, ponieważ dłużej nie była w stanie udźwignąć swojej rozpacz.

Lucy Alexander. Pan Pinkman. Pani Heller. Gamma. Sam. Ben.

Auto zwolniło. Spod opon wystrzelił żwir, gdy Lenore zjechała na pobocze. Pogładziła Charlie po plecach.

- Już dobrze, skarbie.

Nie było dobrze. Charlie potrzebowała swojego męża. Potrzebowała swojego beznadziejnego ojca. Gdzie się podziewał Rusty? Dlaczego nigdy nie było go przy niej w tych chwilach, kiedy go najbardziej potrzebowała?

- Już dobrze - powtórzyła Lenore, nie przestając gładzić jej po plecach.

Charlie wciąż płakała, ponieważ już nigdy nie miało być dobrze.

Gdy w klasie Hucka usłyszała pierwsze strzały, wróciła do niej cała najpotworniejsza godzina w jej życiu. Nieustannie słyszała te same słowa. Biegła. Nie oglądała się za siebie. Prosto do lasu. Do domu pani Heller. Szkolnym korytarzem. W kierunku strzałów. Było jednak za późno. Charlie zawsze się spóźniała.

Lenore pogłaskała ją po włosach.

- Oddychaj głęboko, kochanie.

Charlie poczuła, że popada w stan hiperwentylacji. Zaczęła widzieć nieostro, pot wystąpił na czoło. Oddychała, póki płuca mogły zabsorbować więcej niż łyżeczkę powietrza naraz.

- Nie śpiesz się - powiedziała Lenore.

Charlie wzięła jeszcze kilka głębokich oddechów. Zaczęła widzieć wyraźniej, przynajmniej na ile to było możliwe. Przy kolejnej serii wdechów wstrzymywała oddech na sekundę, może dwie, by udowodnić sobie, że może.

- Lepiej?

- Czy to był atak paniki? - zapytała Charlie.

- Nadal może być.

- Pomóż mi. - Charlie wyciągnęła rękę do Lenore. Krew odpłynęła jej z głowy. Odruchowo dotknęła bolącego nosa i ból się spotęgował.

- Naprawdę cię wzięło, skarbie.

- Powinnaś zobaczyć tego faceta. Wyszedł z tego cało.

Lenore nawet się nie uśmiechnęła.

- Przepraszam. Nie wiem, co mnie naszło.

- Nie bądź głupia. Wiesz, co cię naszło.

- Niech ci będzie - powiedziała Charlie. Te trzy słowa powtarzała zawsze, kiedy nie chciała o czymś rozmawiać.

Zamiast włączyć silnik, Lenore musnęła palcami drobne palce Charlie. Mimo wszystkich jej minispódniczek, miała męskie dłonie, szerokie z guzowatymi kłykciami i pojawiającymi się ostatnio starczymi plamami. Pod wieloma względami dała Charlie więcej macierzyńskiej troski niż

Gamma. To Lenore nauczyła ją nakładać makijaż, zabrała do sklepu i kupiła pierwszą paczkę tamponów oraz przestrzegała, by nigdy nie zrzucić odpowiedzialności na mężczyznę w kwestiach antykoncepcji.

- Ben napisał do ciebie, żebyś po mnie przyjechała. To już coś, prawda?

- Jasne.

Charlie otworzyła schowek i wyjęła chusteczki, ale nie mogła wydmuchać nosa, osuszyła tylko miejsce pod nim. Zmrużyła oczy i spojrzała przez okno. Ucieszyła się, że widzi więcej niż kształty. Na jej nieszczęście był to widok najgorszy z możliwych. Znajdowały się trzysta metrów od miejsca, gdzie Daniel Culpepper zginął w swojej przyczepie.

- Nie mogę nawet powiedzieć, że to najgorszy dzień mojego życia. I to jest najbardziej gówniane z tego wszystkiego.

Lenore zaśmiała się chrapliwie, przyznając Charlie rację. Uruchomiła silnik i wróciła na autostradę. Nawierzchnia drogi była równa, póki nie skręciły w Culpepper Road. Głębokie wyboje przeszły w żwir, który w końcu zastąpił ubity czerwony ił. Nastąpiła subtelna, ale odczuwalna zmiana temperatury, gdy zbliżyły się ku górcom. Charlie miała ochotę się wzdrygnąć, ale zapanowała nad tym odruchem. Czuła, że swój niepokój może utrzymać w zamkniętej dłoni. Dostała gęsiejszej skóry. Zawsze tak reagowała, gdy wjeżdżała do Holler. Nie chodziło wyłącznie o brak poczucia przynależności, ale wystarczyło skręcić w niewłaściwą drogę, spotkać niewłaściwego Culpeppera i zagrożenie przestawało być abstrakcją.

- Cholera! - zawołała zaskoczona Lenore, gdy za

metalowym ogrodzeniem pojawiło się stado psów. Ich szaleńcze szczekanie brzmiało jak tysiące młotów uderzających w karoserię auta.

- Uwaga, wieśniaki! - rzuciła Charlie. Nie sposób było zjawić się w Holler bez asysty dziesiątek psów ujadaniem obwieszczających czyjeś przybycie. Im dalej człowiek się zapuszczał, tym więcej widział młodych białych mężczyzn stojących na werandach domów z komórką w jednej ręce i gładzących się po brzuchu drugą ręką. Ci młodzi ludzie byli zdolni do pracy, ale wystrzegali się jej jak ognia. Całymi dniami palili trawkę, grali w gry wideo, kradli, kiedy potrzebowali pieniędzy, na głodzie bili swoje dziewczyny, posyłali swoje dzieci na pocztę po odbiór renty, a ich życiowe wybory położyły fundament pod kancelarię Charlie.

Miała wyrzuty sumienia, że widzi całe Holler przez pryzmat Culpepperów. Wiedziała, że mieszkają tu też porządni ludzie. Ciężko pracujący mężczyźni i ciężko pracujące kobiety, których jedyną winą była bieda. Nie umiała jednak powstrzymać się od generalizowania.

Sześć dziewczyn z klanu Culpepperów w różnym wieku zamieniło jej życie w piekło, kiedy wróciła do szkoły. Były ordynarnymi flejami o długich pomalowanych pazurach i niewyparzonych gębach. Nękały ją na każdym kroku. Kradły pieniądze na lunch, darły podręczniki. Jedna z nich nawet podłożyła odchody do sportowej torby Charlie.

Do dzisiaj Culpepperowie utrzymywali, że Charlie wcale nie widziała Zachariaha ze strzelbą. Według nich kłamała zgodnie z niecnym planem uknutym przez Rusty'ego, który chciał

rościć sobie prawo do marnej polisy na życie i przyczepy z dwoma sypialniami, które były do wzięcia po śmierci Daniela i skazaniu Zachariaha. Tak jakby człowiek, który uczynił swoją misją życiową dążenie do sprawiedliwości, miał zamiar przehandlować swą moralność za kilka srebrników.

To, że Rusty nigdy nie pozwał Culpepperów o zapłatę należnych mu honorariów, wcale nie zamknęło ust rodzinie, która nadal snuła chore teorie spiskowe. Jej członkowie nadal wierzyli, że Ken Coin podrzucił dowody do przyczepy i zostawił je na ciele Daniela. Zamordowanie Daniela było dla Coina początkiem kariery politycznej. Keith, brat Kena Coina, pomógł podmienić dowody w stanowym laboratorium kryminalistycznym.

To jednak na Charlie skrupił się prawie cały ich gniew. To ona zidentyfikowała braci. To ona dała początek serii kłamstw, na dodatek uparcie obstawała przy swoim. Tym sposobem zabójstwo jednego z braci Culpepperów i kara śmierci dla drugiego obciążały właśnie ją.

Nie do końca się mylili, a przynajmniej nie w przypadku Zachariaha. Mimo wyraźnej dezaprobaty, trzynastoletnia Charlie stanęła w zajętej do ostatniego miejsca sali sądowej i poprosiła sędziego o skazanie Zachariaha Culpeppera na śmierć. Zrobiłaby to samo na procesie Daniela, gdyby Ken Coin nie pozbawił jej tej przyjemności.

- Co to za hałas? - zapytała Lenore.

Charlie usłyszała nad głową warkot helikoptera. Rozpoznała logo jednej ze stacji telewizyjnych w Atlancie.

Lenore podała jej telefon i poprosiła:

- Przeczytaj mi, jak jechać.

Charlie wstukała kod - swoją datę urodzenia - i odszukała wiadomość od Rusty'ego. Jej ojciec skończył prawo na uniwersytecie stanowym i był jednym z najbardziej znanych adwokatów w Georgii, ale pisząc, ciągle robił literówki.

- Tutaj skręć w lewo. - Wskazała drogę gruntową oznaczoną białym masztem z wielką flagą konfederatów. - Teraz w prawo przy tej przyczepie.

Charlie omiotła wzrokiem otoczenie. Poznała tę drogę. Już kiedyś nią jechała. Miała klienta z problemem z metamfetaminą, który sprzedawał ją innym ćpunom z tym problemem. Kiedyś próbował zapłacić jej towarem. Okazało się, że mieszka o dwie przyczepy od Wilsonów.

- Skręć w prawo, potem znowu w prawo u podnóża pagórka.

- Włożyłam ci do torebki umowę o honorarium.

Charlie już miała zapytać po co, ale sama sobie odpowiedziała:

- Tata chce, żebym reprezentowała Wilsonów, więc jestem spalona jako świadek oskarżenia Kelly.

Lenore dwa razy z niedowierzaniem zwróciła głowę w jej stronę.

- Jakim cudem nie domyśliłaś się tego dwadzieścia minut temu?

- Nie wiem - odparła Charlie, chociaż znała powody. Była w szoku. Tęskniła za mężem. Okazała się idiotką, ponieważ znowu oczekiwała od ojca, że przejmie się córką, tak jak przejmował się losem alfonsów, gangsterów i morderców. - Nie mogę tego zrobić. Każdy sędzia z prawdziwego zdarzenia

pośle mnie do diabła, zanim cofną mi licencję.

- Nie będziesz musiała miotać się po całym Holler, kiedy złożysz pozew. - Lenore wskazała głową telefon. - Musisz tylko sfotografować swoją twarz, póki sińce są świeże i wyraźne.

- Powiedziałam Benowi, że nie zamierzam wytaczać sprawy. - Gdy Lenore zdjęła stopę z gazu, dodała: - Chcę tylko szczerych przeprosin. Na piśmie.

- Przeprosiny niczego nie zmieniają - stwierdziła Lenore. Dotarły do podnóża pagórka, Lenore skręciła ostro w prawo. Charlie nie musiała długo czekać na kazanie, które wisiało w powietrzu. - Takie dupki jak Ken Coin propagują ograniczenie roli rządu, ale i tak kończą, wydając dwa razy więcej na procesy, niż wydaliby na odpowiednie wyszkolenie policjantów.

- Wiem.

- Jedyne sposoby, by skłonić ich do zmiany, to uderzyć po kieszeni.

Charlie miała ochotę zatkać uszy.

- Usłyszę to od taty. Nie muszę tego wysłuchiwać od ciebie. To tutaj.

Lenore wcisnęła hamulec. Samochodem szarpnęło. Lenore cofnęła się i skręciła we wskazaną przez Charlie drogę gruntową. Zielsko wrzynało się w bieżnik opon. Minęły szkolny autobus zaparkowany pod wierzbą płaczącą. Mazda podskoczyła na wyboju. Po chwili oczom Charlie i Lenore ukazały się cztery domki stojące na planie dużego owalu. Charlie znowu zajrzała do wiadomości od Rusty'ego

i zidentyfikowała dom Wilsonów. Stał najdalej po prawej stronie. Nie prowadził do niego żaden podjazd, tylko skraj drogi. Dom był zbudowany z pomalowanych pustaków. Okno wykuszowe sterczało od frontu jak dorodny pryszcz. Pustaki leżące na ziemi zastępowały schody.

- Ava Wilson prowadzi szkolny autobus - powiedziała Lenore. - Była w szkole dziś rano, kiedy zamknęli budynek.

- Ktoś jej powiedział, że to Kelly strzelała?

- Nie wiedziała o niczym, póki Rusty nie zadzwonił do niej na komórkę.

Charlie uradowała się w duchu, że Rusty nie scedował na nią tego przykrego zadania.

- Jest jakiś ojciec?

- Ely Wilson. Pracuje dorywczo w Ellijay. To jeden z tych facetów, którzy codziennie rano czekają przed składem drewna, aż ktoś weźmie ich do pracy.

- Czy policja go znalazła?

- Nic nam o tym nie wiadomo. Rodzina dysponuje tylko jedną komórką i ma ją żona.

Charlie popatrzyła na smutno wyglądający dom.

- Więc jest tam sama.

- Już niedługo. - Lenore podniosła głowę, gdy na niebie pojawił się następny śmigłowiec. Ten był pomalowany w charakterystyczne niebiesko-srebrne pasy policji stanowej.

- Umieszczą na nakazie mapę z Google'a i będą tu za pół godziny.

- Załatwię to szybko. - Charlie chciała otworzyć drzwi, ale Lenore ją zatrzymała.

- Masz. - Podała jej torebkę leżącą dotąd na tylnym siedzeniu. - Ben mi ją dał, kiedy przyprowadził twoje auto.

Charlie chwyciła za pasek, zastanawiając się, czy trzyma go tak samo jak Ben.

- To już coś, prawda?

- Prawda.

Charlie wysiadła z auta i ruszyła w stronę domu. Pogrzebała w torebce w poszukiwaniu miętówek. Musiała zadowolić się kilkoma tic tacami, które utkwiły jak wszy w szwach przedniej kieszeni.

Wiedziała z doświadczenia, że mieszkańcy Holler przeważnie otwierają drzwi z bronią w ręku. Zamiast wejść prowizorycznymi schodkami z pustaków, podeszła do odsłoniętego okna wykuszowego, pod którym stały trzy doniczki z pelargoniami oraz pusta popielniczka ze szkła.

W środku zobaczyła drobną ciemnowłosą kobietę. Siedziała na kanapie ze wzrokiem wlepionym w telewizor. Wszyscy w Holler mieli ogromne płaskie telewizory, które najwyraźniej spadły z tej samej ciężarówki. Ava Wilson oglądała program informacyjny. Dźwięk był tak głośny, że Charlie słyszała głos reportera:

- ...według najnowszych informacji z naszego oddziału w Atlancie...

Charlie podeszła do drzwi frontowych i zapukała mocno trzy razy.

Czekała. Nasłuchiwała. Zapukała drugi raz. Potem trzeci.

- Halo! - zawołała.

W końcu telewizor zacichł i Charlie usłyszała szuranie stóp,

potem szczęk zamka i brzęk łańcucha. Oraz szczęk kolejnego zamka. To dodatkowe zabezpieczenie było fikcją, zważywszy na to, że złodziej mógł jednym ciosem przebić cieką ścianę.

Ava Wilson patrzyła na nieznaną kobietę, mrugając powiekami. Była drobna jak córka, ubrana w jasnoniebieską piżamę w kolorowe słonie. Miała przekrwione oczy. Była młodsza od Charlie, ale w ciemnobrązowych włosach połyskiwały srebrne nitki.

- Nazywam się Charlie Quinn - przedstawiła się Charlie. - Mój ojciec Rusty Quinn jest adwokatem pani córki. Prosił, żebym przywiozła panią do jego kancelarii.

Kobieta nie poruszyła się. Milczała. Tak wygląda szok.

- Czy policja już z panią rozmawiała? - zapytała Charlie.

- Nie, proszę pani - odpowiedziała Ava Wilson z charakterystycznym dla Holler akcentem łączącym słowa w jedno. - Pani tata mówił, żebym nie odbierała telefonów, jeśli nie znam numeru.

- Ma rację. - Charlie przestąpiła z nogi na nogę. Słyszała szczekanie psów z oddali. Słońce paliło ją w czubek głowy. - Wiem, że jest pani wstrząśnięta z powodu córki, ale muszę przygotować panią na to, co nastąpi. Jedzie do pani policja.

- Przywożą Kelly do domu?

Charlie była zdeprymowana nadzieją w głosie Avy Wilson.

- Nie. Przeszukają pani dom. Prawdopodobnie zaczną od pokoju Kelly, potem...

- Wezmą dla niej czyste ubrania?

- Nie. Chcą zrobić w domu rewizję, będą szukać broni, zapisków, komputerów...

- My nie mamy komputera.

- Rozumiem. Czy Kelly odrabiała lekcje w bibliotece?

- Ona nic nie zrobiła. Nie zabiła... - Ava Wilson urwała, jej oczy zalśniły od łez. - Niech mnie pani posłucha. Moje dziecko nie zrobiło tego, o czym oni mówią.

Charlie spotkała wiele matek przekonanych, że ich dzieci zostały wrobione, ale nie miała czasu wygłaszać zwyczajowej przemowy o dobrych ludziach, którzy czasami robią złe rzeczy.

- Proszę posłuchać, pani Avo. Policja tu wejdzie bez względu na to, czy pani na to pozwoli, czy nie. Usuną panią z domu, zrobią dokładne przeszukanie. Mogą coś popsuć albo znaleźć coś, co wołałaby pani ukryć. Wątpię, żeby panią zamknęli, ale zrobią to, jeśli nabiorą podejrzeń, że pani manipuluje dowodami. Dlatego proszę tego nie robić. Bardzo proszę. Nie może im pani powiedzieć ani słowa o Kelly, o ewentualnych motywach jej działania, o tym, co mogło się stać. Oni nie chcą jej pomóc i nie są jej przyjaciółmi. Rozumie pani?

Ava sprawiała wrażenie, że nic do niej nie dociera. Skamieniała w bezruchu.

Śmigłowiec zszedł niżej. Za wypukłą szybą kabiny Charlie widziała twarz pilota, który coś mówił do mikrofonu. Być może podawał współrzędne domu do nakazu rewizji.

- Możemy wejść do środka? - zapytała, a gdy Ava nie ruszyła się z miejsca, Charlie złapała ją za ramię i wprowadziła do domu. - Mąż się z panią kontaktował?

- Ely dzwoni dopiero po powrocie z pracy z telefonu publicznego przed składem drzewnym.

To oznaczało, że ojciec Kelly usłyszy o zbrodni córki z radia w samochodzie.

- Ma pani walizkę albo niewielką torbę, do której mogłaby pani spakować trochę rzeczy?

Ava nie odpowiedziała. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w ściszony telewizor.

W informacjach mówili o gimnazjum. Ujęcie z lotu ptaka pokazywało dach budynku szkoły, na którym prawdopodobnie stała ekipa telewizyjna. Na pasku u dołu ekranu przewijał się napis:

ODDZIAŁ SAPERÓW PRZESZUKAŁ BUDYNEK NA OBECNOŚĆ PODEJRZANYCH URZĄDZEŃ. DWIE OFIARY ŚMIERTELNE - OŚMIOLETNIA DZIEWCZYNKA I BOHATERSKI DYREKTOR, KTÓRY PRÓBOWAŁ JĄ URATOWAĆ.

Lucy Alexander miała tylko osiem lat.

- Ona tego nie zrobiła - odezwała się Ava. - Nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

Zimna dłoń Lucy.

Drżące palce Sam.

Niespodziewana biel i woskowatość skóry Gammy.

Charlie otarła oczy. Rozejrzała się po pokoju, walcząc z przerażającymi obrazami podsuwanymi przez pamięć. Dom Wilsonów był nędzny, ale schludny. Przy drzwiach wejściowych wisiał krzyż. Na prawo od ciasnego salonu znajdowała się kuchnia. Na suszarce stały umyte naczynia. Żółte rękawiczki wisiały na brzegu zlewu. Błat kuchenny był zagracony, ale panował na nim porządek.

- Przez jakiś czas nie będzie pani mogła wrócić do domu - powiedziała Charlie. - Będą pani potrzebne ubrania na zmianę, przybory toaletowe.

- Toaleta jest za panią.

Charlie spróbowała ponownie.

- Musi pani spakować trochę rzeczy. - Czekąca, aż Ava wreszcie zrozumie, co się do niej mówi. - Ubrania, szczoteczkę do zębów. Nic więcej.

Ava pokiwała głową, lecz albo nie mogła, albo nie chciała oderwać oczu od ekranu telewizora.

Helikopter wzniósł się i odleciał. Charlie walczyła z czasem. Coin prawdopodobnie już zdobył podpis sędziego na nakazie, a cała ekipa wyjeżdżała z miasta na sygnale.

- Mam spakować pani rzeczy? - zapytała Charlie i czekała na kolejne skinienie. Nie doczekała się. - Avo, przyniosę pani jakieś ubrania, a potem poczekamy przed domem na przyjazd policji.

Ava wzięła do ręki pilota i przysiadła na brzegu kanapy.

Charlie otwierała po kolei szafki kuchenne, póki nie znalazła plastikowej torby. Włożyła jedną z gumowych rękawiczek, minęła łazienkę i poszła krótkim wyłożonym boazerią korytarzem w stronę dwóch sypialni. Kelly zamiast drzwi miała grubą purpurową zasłonę. Na wyrwanej z zeszytu kartce przypiętej do materiału widniał napis:

DOROSŁYM WSTEMP WZBRONIONY

Charlie dobrze wiedziała, że nie powinna wchodzić do pokoju podejrzanej o zabójstwo, ale Lenore zrobiła telefonem zdjęcie napisu.

Sypialnia Wilsonów znajdowała się po prawej. Okno wychodziło na strome wzgórze za domem. Spali na dużym łóżku wodnym, które zajmowało prawie całą przestrzeń. Wysoka komoda z szufladami uniemożliwiała otwarcie drzwi do końca. Charlie cieszyła się, że włożyła rękawiczkę, chociaż musiała uczciwie przyznać, że Wilsonowie mieli większy porządek niż ona. Znalazła damską bieliznę, kilka par męskich bokserek i dżinsy wyglądające na kupione w dziale dziecięcym. Złapała dwie koszulki i włożyła wszystko do plastikowej torby. Ken Coin słynął z niepotrzebnego przedłużania rewizji. W najlepszym wypadku Wilsonowie będą mogli wrócić do domu dopiero w weekend.

Charlie odwróciła się i już miała iść do łazienki, lecz coś ją powstrzymało.

WSTEMP

Jakim cudem Kelly Wilson w wieku osiemnastu lat nie wiedziała, jak napisać poprawnie tak proste słowo?

Wahała się przez chwilę, potem odchyliła kotarę. Nie miała zamiaru wchodzić do środka. Chciała zrobić zdjęcia z korytarza, co okazało się niełatwym zadaniem. Sypialnia Kelly miała rozmiar sporej garderoby.

Albo więziennej celi.

Światło wpadało przez wąskie poziome okno umieszczone wysoko nad podwójnym łóżkiem. Boazeria na ścianach była pomalowana na jasnoliliowy kolor. Włochaty dywan był pomarańczowy. Narzuta na łóżku przedstawiała Hello Kitty z walkmanem i wielkimi słuchawkami na uszach.

To nie był pokój nastoletniej gotki. Brakowało czarnych

ścian i plakatów z heavymetalowymi zespołami. Szafa była otwarta. Na dolnej półce leżały stosy starannie złożonych koszulek. Dłuższe ubrania wisiały na wygiętym pręcie. Cała garderoba Kelly była kolorowa, miała wzorki w kucyki i zajączki, barwne aplikacje pasujące raczej do dziesięcioletniej dziewczynki niż do osiemnastolatki, już prawie kobiety.

Charlie sfotografowała wszystko, co mogła: narzutę, plakaty z kociętami, cukierkoworóżowy błyszczak do ust na komodzie. Jednocześnie skupiała się na tym, czego tu brakowało. Osiemnastolatki zazwyczaj miały rozmaite kosmetyki do makijażu. Zdjęcia z przyjaciółkami, liściki od chłopaków i sekrety, które zachowywały tylko dla siebie.

Serce podskoczyło jej w piersi na odgłos pisku opon. Weszła na łóżko i wyjrzała przez okno. Czarna furgonetka z napisem SWAT na boku zatrzymała się przed szkolnym autobusem. Wskoczyli z niej dwaj mężczyźni z karabinami i weszli do autobusu.

- Jak... - Charlie zaczęła mówić do siebie, ale natychmiast urwała. Zrozumiała, że nieważne, jakim cudem dotarli tu tak szybko, ponieważ kiedy sprawdzą autobus, przewrócą do góry nogami dom, w którym teraz stała.

Tyle że ona stała na łóżku Kelly Wilson w sypialni Kelly Wilson.

- Ja pierdolę - zaklęła, ponieważ tylko takie słowo wydało jej się adekwatne do sytuacji. Zeskoczyła z łóżka. Dłonią w gumowej rękawiczce strzepnęła ziemię z tenisówek. Na grubym materiale nie było widać wzorów podeszwy, ale

technik z wprawnym okiem będzie znał rozmiar, markę i model buta przed zachodem słońca.

Charlie musiała stąd wyjść. Wyprowadzić Avę na zewnątrz z rękami w górze. Okazać uzbrojonym po zęby policjantom z oddziału specjalnego chęć współpracy.

- Ja pierdolę - powtórzyła. Ile czasu jej zostało? Stanęła na palcach i zerknęła przez okno. Dwaj policjanci przeszukiwali autobus. Reszta siedziała w vanie. Albo wierzyli w efekt zaskoczenia, albo szukali ładunków wybuchowych.

Charlie dostrzegła bliżej domu jakiś ruch.

Lenore stała przy samochodzie. Patrzyła na Charlie szeroko otwartymi oczami, ponieważ każdy głupiec mógł się zorientować, że wąskie okno, przez które wyglądała, znajduje się w jednej z sypialni.

Lenore wskazała głową drzwi od frontu i wypowiedziała bezgłośnie dwa słowa:

- Wyjdź stamtąd.

Charlie wepchnęła do torby ubrania w reklamówce i ruszyła do wyjścia.

Fioletowe ściany. Hello Kitty. Plakaty z kotkami.

Trzydzieści, może czterdzieści sekund. Tyle mogło im zająć wyjście z autobusu, powrót do furgonetki i podejście do drzwi wejściowych.

Dłonią w rękawiczce otwierała kolejne szuflady komody. Ubrania. Bielizna. Długopisy i pisaki. Żadnego pamiętnika. Żadnych notatników. Uklękła i włożyła rękę pod materac, potem zajrzała pod łóżko. Nic. Zaglądała pod złożone ubrania na półkach szafy, kiedy usłyszała trzask drzwi i pisk opon vana

podjeżdżającego bliżej domu.

Pokoje nastolatek nigdy nie były tak zadbane i uporządkowane. Charlie jedną ręką przerzucała zawartość niewielkiej szafy, wyrzuciła zabawki z dwóch pudełek po butach, zdjęła z wieszaków rzeczy i rzuciła je na łóżko. Pomacała kieszenie, przewróciła czapki na lewą stronę. Stała na palcach i sięgnęła do górnej półki.

Gumowa rękawiczka trafiła na coś płaskiego i twardego.

Ramka zdjęcia?

- Panowie - przez cienkie ściany dobiegł ją niski głos Lenore
- w domu są dwie kobiety, obie nieuzbrojone.

Policjanci nie okazali zainteresowania tą informacją.

- Niech pani wraca do auta! Już!

Serce omal nie wyskoczyło Charlie z piersi. Chwyciła tajemniczy przedmiot z półki w szafie. Okazał się cięższy, niż myślała. Ostry kant trafił ją w głowę.

Księga pamiątkowa klasy.

Gimnazjum w Pikeville, klasa rocznik dwa tysiące dwanaście.

Rozległo się ogłuszające łomotanie do drzwi. Ściany zadrżały.

- Policja stanowa! - huknął męski głos. - Mamy nakaz przeszukania! Otwierać!

- Idę! - Charlie wetknęła księgę do torby. Zdążyła wrócić do kuchni, kiedy drzwi z trzaskiem wyleciały z futryny.

Ava wrzasnęła jak oblana wrzątkiem.

- Na ziemię! Na ziemię! - Wiązki lasera omiatały wnętrze domu. Dom zatrzęsł się w posadach. Okna zostały wybite.

Policjanci weszli do środka razem z drzwiami. Wyrzucali z siebie gardłowe polecenia. Ava nie przestawała krzyczeć. Charlie uklękła z rękami w górze i szeroko otwartymi oczami. Chciała zobaczyć, który z nich do niej strzeli.

Nikt jej nie zastrzelił.

Nikt się nie ruszył.

Krzyk Avey urwał się nagle.

Sześciu rosyjskich policjantów w pełnym rynsztunku zajęło każdy skrawek pokoju. Ręce trzymające karabiny AR-15 mieli tak napięte, że Charlie widziała każde włókno mięśni powstrzymujących palce przed naciśnięciem spustu.

Powoli spojrzała na swoją pierś.

Na sercu miała czerwoną kropkę.

Przeniosła wzrok na Awę.

Na jej klatce piersiowej zobaczyła pięć kropek.

Ava stała na kanapie z ugiętymi kolanami. Miała otwarte usta, ale strach sparaliżował jej struny głosowe. Z niewiadomego powodu trzymała w uniesionych rękach szczoteczki do zębów.

Policjant stojący najbliżej niej opuścił karabin.

- Szczoteczki do zębów - zakomunikował.

Kolejny karabin powędrował w dół.

- Wyglądały jak detonator.

- Znam się na tym.

Następne karabiny zostały opuszczone. Ktoś zachichotał.

Stopniowo napięcie opadło.

- Panowie? - Sprzed domu dobiegł donośny kobiecy głos.

- Czysto - odkrzyknął pierwszy policjant. Złapał Awę za

ramię i wypchnął ją z domu. Odwrócił się, żeby zrobić to samo z Charlie, ale ona wyszła sama z rękami w górze.

Nie opuściła ich, póki nie znalazła się na podwórku przed domem. Wciągnęła w płuca haust świeżego powietrza, starając się odsunąć od siebie nieprzyjemną myśl, jak niewiele dzieliło ją od śmierci, gdyby jeden z tych mężczyzn nie poświęcił chwili na odróżnienie szczoteczki do zębów od detonatora ładunków pasa szahida.

W Pikeville.

- Jezu Chryste - powiedziała, licząc, że uznają to za modlitwę.

Lenore stała przy aucie. Wyglądała na wściekłą i według Charlie miała do tego święte prawo, ale wysunęła tylko brodę z bezgłośnym pytaniem:

- W porządku?

Charlie skinęła głową twierdząco, chociaż wcale nie czuła się dobrze. Była zła, że Rusty ją tu wysłał; że tak głupio ryzykowała; że złamała prawo z powodów zupełnie dla niej nieznanych; że naraziła się na śmierć od strzału w serce rozrywającym się pociskiem próżniowym.

Wszystko dla przeklętej klasowej księgi pamiątkowej.

- Co się dzieje? - wyszeptała Ava.

Charlie spojrzała na dom. Ciągle drżał od ciężkich kroków wchodzących i wychodzących atletycznych uzbrojonych po zęby mężczyzn.

- Szukają czegoś, co mogliby wykorzystać w sądzie przeciwko Kelly.

- Czego na przykład?

Charlie wyliczyła rzeczy, których sama szukała:

- Wyznania. Wyjaśnienia. Planu szkoły. Listy osób, na które Kelly była wściekła.

- Ona nigdy nie była wściekła na nikogo.

- Ava Wilson? - W ich kierunku zmierzała wysoka kobieta w stroju bojowym i z karabinem u boku. W zaciśniętej dłoni trzymała zwinięty w rulon papier. To dlatego zjawili się tak szybko. Dostali nakaz faksem bezpośrednio do furgonetki. - Pani Ava Wilson, matka Kelly Rene Wilson?

Ava zeszywniała na dźwięk tak oficjalnie sformułowanego pytania.

- Tak, proszę pana. Proszę pani.

- To pani dom?

- Wynajmujemy go.

- Pani Wilson, jestem kapitan Isaac z policji stanowej. Mam nakaz przeszukania pani domu.

- Już go przeszukujecie - zauważyła Charlie.

- Mamy podstawy przypuszczać, że mogło dojść do manipulacji dowodami. - Isaac przyjrzała się sińcowi pod okiem Charlie. - Czy została pani przypadkowo poturbowana podczas wejścia oddziału?

- Nie. Uderzył mnie dzisiaj inny policjant.

Isaac zerknęła na Lenore, nadal siną z wściekłości, potem znowu zwróciła się do Charlie:

- Są panie razem?

- Tak - odparła Charlie. - Pani Wilson chciałyby zobaczyć nakaz.

Isaac obrzuciła wymownym spojrzeniem żółtą rękawiczkę

na dłoni Charlie.

- Rękawica do mycia naczyń - stwierdziła Charlie, zasadniczo nie mijając się z prawdą. - Pani Wilson chce zobaczyć nakaz - powtórzyła.

- Czy jest pani adwokatem pani Wilson?

- Jestem adwokatem - powiedziała z naciskiem Charlie. - Tutaj znalazłam się w charakterze przyjaciółki rodziny.

- Pani Wilson, na prośbę pani przyjaciółki wręczam pani kopię nakazu.

Charlie musiała unieść ramię Avy, by nakaz trafił do jej ręki.

- Pani Wilson, czy w domu jest jakaś broń?

- Nie, proszę pana. - Ava potrząsnęła głową.

- Igły, które mogłyby budzić niepokój? Coś, czym moglibyśmy się zranić?

Ava znowu pokręciła głową. Wyglądała na zaniepokojoną tym pytaniem.

- Materiały wybuchowe?

Ava z przestraszeniem zasłoniła dłonią usta.

- Gaz się ulatnia? - zapytała.

Isaac spojrzał na Charlie, oczekując wyjaśnienia. Charlie wzruszyła ramionami. Życie matki stanęło na głowie. Logiczne myślenie było tym ostatnim, czego powinni od niej oczekiwać.

- Czy wyraża pani zgodę na rewizję osobistą? - ciągnęła Isaac.

- Ta...

- Nie - przerwała Charlie. - Nie macie zgody na przeszukanie czegokolwiek i kogokolwiek poza tym, o czym mowa w nakazie.

Isaac zerknęła na torbę Charlie, która nie maskowała prostokątnych kształtów książki pamiątkowej.

- Czy mam przeszukać pani torebkę? - zapytała.

Serce podeszło Charlie do gardła.

- Na jakiej podstawie?

- Jeśli ukryła pani dowody albo wynosi coś z domu w celu ukrycia, to byłoby...

- Sprzeczne z prawem - dopowiedziała Charlie. - Tak jak przeszukiwanie szkolnego autobusu, jeśli nie figuruje w nakazie i nie jest częścią obejścia.

Isaac skinęła głową.

- Racja, chyba że zaistniałby powód.

Charlie zerwała z dłoni gumową rękawiczkę.

- Wyniosłam to z domu, ale nie celowo.

- Dziękuję za otwartość. - Teraz Isaac zwróciła się do Avy. Musiała postępować zgodnie ze scenariuszem. - Może pani zostać na zewnątrz albo stąd odjechać, ale nie może pani wejść do domu, póki nie zakończymy czynności. Rozumie pani?

Ava potrząsnęła głową.

- Rozumie - odezwała się Charlie.

Isaac dołączyła do mężczyzn znajdujących się w domu. Przy drzwiach stały plastikowe pojemniki z formularzami do ewidencji dowodów, plastikowymi zapinkami i torebkami. Ava zaglądała do środka przez okno wykuszowe. Telewizor ciągle grał. Ekran był tak wielki, że Charlie mogła przeczytać napisy na pasku:

POLICJA W PIKEVILLE: NAGRANIA ZE SZKOLNEGO MONITORINGU NIE ZOSTANĄ UJAWNIONE.

Monitoring. Dziś rano w szkole nie zauważyła kamer, ale teraz przypomniała sobie kamery umieszczone na końcu każdego korytarza.

Scena zabójstwa została zarejestrowana.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Ava.

Charlie ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć: „Będziemy patrzeć, jak twoją córkę przypinają pasami do łóżka i podają śmiertelny zastrzyk”. Zamiast tego odparła:

- Mój ojciec wyjaśni wszystko u siebie w biurze. - Wyjęła zrolowany nakaz ze spoczonej dłoni Avey. - W ciągu czterdziestu ośmiu godzin Kelly zostanie postawiona w stan oskarżenia. Prawdopodobnie będą ją trzymać w więzieniu stanowym, ale postaramy się o przeniesienie jej do innego zakładu karnego. Trzeba będzie często stawiać się w sądzie i będzie wiele sposobności, żeby ją zobaczyć. Ale nie nastąpi to szybko, będzie się działo w swoim czasie. - Charlie przebiegła wzrokiem nakaz rewizji. Skojarzył się jej z listem miłosnym od sędziego, który zezwala policji na wszystko, co sobie tylko zamarzy. - Czy to pani adres? - zapytała Awe.

Ava Wilson spojrzała na papier.

- Tak, proszę pani, to numer domu.

Przez otwarte drzwi Charlie zobaczyła, jak kapitan Isaac gwałtownie otwiera w kuchni szufladę po szufladzie. Usłyszała brzęk sztućców. Policjanci usunęli dywan. Żaden nie był delikatny. Ciężkimi butami tupali w podłogę i nasłuchiwali głuchych dźwięków pod deskami, które mogłyby świadczyć o obecności skrytki pod podłogą. Dłubali w pustakach na suficie.

Ava złapała Charlie za ramię.

- Kiedy Kelly wróci do domu?

- O tym musi pani porozmawiać z moim ojcem.

- Nie stać nas na to. Nie mamy pieniędzy, jeśli po to pani tu przyjechała.

Rusty'emu nigdy nie zależało na pieniądzach.

- Za jej obronę zapłaci stan. To będzie niewygórowana kwota, ale mogę pani obiecać, że mój ojciec poruszy niebo i ziemię dla pani córki.

Ava zamrugła powiekami. Najwyraźniej nie rozumiała, co Charlie do niej mówi.

- Kelly ma różne prace domowe do zrobienia.

Charlie zajrzała jej w oczy. Żrenice miała małe, ale może było to spowodowane intensywnym słońcem.

- Brała pani coś? - zapytała.

- Nie, przecież nie pozwolili nic zabrać.

Charlie czekała na uśmiech jako komentarz do tego niestosownego żartu, ale Ava Wilson mówiła poważnie.

- Brała pani jakieś leki? A może wypaliła pani jointa, żeby się wyluzować?

- Och nie, proszę pani. Prowadzę szkolny autobus. Nie mogę nic brać. Dzieci na mnie polegają.

Charlie znowu zajrzała jej w oczy, tym razem w poszukiwaniu przebłysku rozumu.

- Czy mój ojciec wyjaśnił, co się dzieje z Kelly?

- Powiedział, że dla niej pracuje, ale sama nie wiem. - Urwała, a po chwili dodała szeptem: - Moja kuzynka mówi, że Rusty Quinn to zły człowiek. Że reprezentuje ludzi

z marginesu, gwałcicieli i morderców.

Charlie poczuła nagłą suchość w gardle. Ta kobieta nie rozumiała, że Rusty Quinn jest właśnie tym człowiekiem, jakiego jej córka potrzebuje.

- Jest Kelly. - Ava znowu patrzyła w telewizor.

Twarz Kelly Wilson wypełniła cały ekran. Ktoś najwyraźniej zdobył jej szkolne zdjęcie. Zamiast mrocznego gotyckiego makijażu i czarnych ubrań miała na sobie jedną z koszulek z tęczowym kucykiem, jakie Charlie widziała u niej w szafie.

Po chwili zdjęcie zastąpiła relacja na żywo, pokazująca Rusty'ego Quinna wychodzącego ze szpitala hrabstwa Derrick. Spojrzał gniewnie na reportera podtykającego mu mikrofon pod nos, ale wyszedł frontowymi drzwiami nie bez powodu. Stworzył pozór, że niechętnie się zatrzymuje, by udzielić wywiadu. Z ruchu jego warg Charlie domyśliła się, że wygłasza chwytliwe kwestie, które potem będą emitowane przez stacje telewizyjne o zasięgu ogólnokrajowym. Tak to działało w przypadku głośnych spraw. Rusty musiał wyprzedzić inne gadające głowy i przedstawić Kelly Wilson jako zagubioną nastolatkę, której grozi najwyższy wymiar kary, a nie potwora, który z zimną krwią zamordował dziecko i dyrektora swojej szkoły.

- Czy rewolwer to broń? - wyszeptała Ava.

Żołądek podszedł Charlie do gardła. Pociągnęła Awę dalej od domu i stanęła z nią na środku drogi.

- Macie rewolwer?

Ava skinęła głową.

- Ely trzyma go w schowku w swoim aucie.

- Tym, którym pojechał dzisiaj do pracy?

Odpowiedzią było kolejne skiniecie.

- Ma pozwolenie na tę broń?

- My nie kradniemy rzeczy, proszę pani. Pracujemy i zarabiamy na nie.

- Przepraszam. Pytałam o to, czy pani mąż ma na koncie jakieś wyroki.

- Nie, proszę pani. Jest uczciwym człowiekiem.

- Wie pani, ile naboju mieści się w bębenku?

- Sześć - odpowiedziała Ava pewnym tonem, po czym dodała: - Tak mi się wydaje, że sześć. Widziałam go tysiące razy, ale nigdy nie zwracałam na to uwagi. Przepraszam, ale nie pamiętam.

- Nic się nie stało. - Charlie czuła to samo, gdy przesłuchiwała ją Delia Wofford. Ile strzałów pani słyszała? W jakiej sekwencji? Czy pan Huckabee był z panią? Co się stało z rewolwerem?

Charlie znajdowała się w centrum wydarzeń, ale strach zmącił jej pamięć.

- Kiedy ostatni raz widziała pani ten rewolwer? - zapytała.

- Nie wiem. Och... - W kieszeni piżamy zadzwonił jej telefon. Ava wyjęła tani aparat z klapką i spojrzała na wyświetlacz. - Nie znam tego numeru - stwierdziła.

Charlie zobaczyła numer swojego iPhone'a. Najwyraźniej Huck ciągle miał jej telefon.

- Proszę wsiadać - rzuciła do Avy i dała znak Lenore, żeby jej pomogła. - Ja odbiorę.

Ava posłała Lenore nieufne spojrzenie.

- Nie wiem, czy...
- Wsiadaj do auta, kobieto. - Charlie tak naprawdę odepchnęła ją od siebie. Odebrała po piątym sygnale.
- Halo?
- Pani Wilson, mówi Huckabee, nauczyciel Kelly z gimnazjum.
- Jak ci się udało odblokować mój telefon?
Huck milczał przez długą chwilę, nim stwierdził:
- Powinnaś mieć lepszy kod niż 1-2-3-4.
Słyszała to wielokrotnie od Bena. Odeszła dalej, żeby zyskać trochę prywatności.
- Dlaczego dzwonisz do Avy Wilson?
Huck zawahał się po raz drugi.
- Uczyłem Kelly przez dwa lata. Byłem jej korepetytorem, gdy poszła do szkoły średniej.
- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.
- Przez cztery godziny odpowiadałem na pytania dwojga dupków w GBI i godzinę w szpitalu.
- Jakich dupków?
- Atkins i Avery. Wałkowali mnie na zmianę chłoptaś z opadającym na czoło kosmykiem i czarna babka. Starsza.
- Cholera - wymamrotała Charlie. Huck mówił chyba o Louisie Averym, działającym w terenie agencji FBI z biura w Georgii Północnej. - Dał ci wizytówkę?
- Wyrzuciłem ją - przyznał Huck. - A tak na marginesie, ramię w porządku. Kula przeszła na wylot.
- A ja mam złamany nos i wstrząśnienie mózgu - odparowała Charlie. - Dlaczego dzwoniłeś do Avy?

Westchnienie Hucka zdradziło, że będzie chciał ją udobruchać.

- Ponieważ troszczę się o swoich uczniów. Chciałem pomóc, zapewnić jej adwokata. Zapewnić opiekę kogoś, kto jej nie wykorzysta i nie wpakuje w jeszcze większe kłopoty. - Nagle zmienił ton. - Kelly nie jest bystra, Charlotte. Nie jest zabójczynią.

- Nie trzeba być inteligentnym, żeby kogoś zabić. Zwykle jest wręcz przeciwnie. - Odwróciła się, żeby spojrzeć na dom Wilsonów. Kapitan Isaac niosła plastikowe pudło z ubraniami Kelly. - Jeśli naprawdę chcesz jej pomóc, trzymaj się z dala od reporterów, unikaj kamer, nie daj zrobić sobie wyraźnego zdjęcia, nie rozmawiaj z przyjaciółmi o tym, co się stało, ponieważ wtedy oni zaczną występować przed kamerami albo rozmawiać z reporterami, a ty nie będziesz w stanie kontrolować tego, co powiedzą.

- Dzięki za dobrą radę. - Huck odetchnął głęboko, po czym dodał: - Chcę cię przeprosić.

- Za co?

- Za BB, czyli Bena Bernarda. Twój mąż zadzwonił dziś rano. Prawie odebrałem.

Charlie poczuła, że się czerwieni.

- Nie wiedziałem o tym, póki jeden z gliniarzy mi nie powiedział. To było już po mojej rozmowie z nim, kiedy wyjaśniłem, co się zdarzyło i dlaczego znalazłaś się w szkole.

Charlie schowała twarz w dłoniach. Wiedziała, jak pewnego typu mężczyźni mówią o kobietach, zwłaszcza takich, które pieprzyli w swoich furgonetkach obok barów.

- Mogłaś mnie uprzedzić. To jeszcze pogarsza naszą sytuację.

- Przepraszasz, ale czy to moja wina? - Charlie nie wierzyła własnym uszom. - Kiedy miałam ci o tym powiedzieć? Zanim Greg Brenner mnie znokautował? Czy później, kiedy skasowałeś nagranie? A twoje fałszywe zeznanie na temat okoliczności złamania mojego nosa? Krycie tyłka gliniarzowi to przestępstwo. W przeciwieństwie do bierności, kiedy zwalisty osiłek rozkwasza kobiecie twarz. To jest absolutnie zgodne z prawem.

Huck wydał z siebie kolejne głośne westchnienie.

- Nie wiesz, jak to jest znaleźć się w takiej sytuacji. Ludzie popełniają błędy.

- Ja nie wiem, jak to jest? - Charlie zatrzęsa się z wściekłości. - Byłam tam, Huck. Znalazłam się tam przed tobą, więc doskonale wiem, jak to jest. Nie bez powodu. Jeśli naprawdę wychowałeś się w Pikeville, to musisz wiedzieć, że już mnie to kiedyś spotkało. Więc wal się z tym twoim „nie wiesz, jak to jest”.

- Masz rację. Przepraszam.

Charlie jeszcze nie skończyła.

- Okłamałeś mnie w kwestii wieku Kelly.

- Szesnaście, siedemnaście. - Wyobraziła sobie, jak Huck potrząsa głową. - Jest w jedenastej klasie. Co za różnica, ile ma lat?

- Ma osiemnaście lat, a różnicą jest kara śmierci.

Huck wydał z siebie tłumiony okrzyk wywołany gwałtownym szokiem.

Charlie czekała, aż się odezwie. Bawiła się telefonem, w końcu nie wytrzymała:

- Halo, co się dzieje?

Huck odchrząknął.

- Daj mi chwilę.

Charlie też potrzebowała chwili. Czegoś tu nie rozumiała. Dlaczego Huck był przesłuchiwany aż cztery godziny? Zwykle przesłuchanie trwało od pół godziny do dwóch godzin. Charlie siedziała w komisariacie około czterdziestu pięciu minut. Ona i Huck znajdowali się w miejscu strzelaniny krócej niż dziesięć minut. Dlaczego Delia Wofford sprowadziła FBI, by odegrać przed nim dobrego i złego glinę? Wątpliwe, żeby był świadkiem zeznającym na niekorzyść powołującej go strony. Został ranny w ramię. Powiedział jednak, że został przesłuchany, zanim jeszcze znalazł się w szpitalu, a Delia Wofford nie należała do funkcjonariuszy lekceważących procedury. Poza tym FBI nie lubiło tracić czasu.

Dlaczego w takim razie trzymali głównego świadka na komisariacie aż przez cztery godziny? Tak się traktuje podejrzanego, który nie chce współpracować.

- Dobra, już mogę mówić - odezwał się Huck. - Kelly... Jak to teraz nazywają? Upośledzenie umysłowe? Niepełnosprawność intelektualna? Idzie programem podstawowym. Nie przyswaja pojęć.

- Prawo zdefiniowałoby to jako ograniczoną poczytalność, to znaczy że Kelly nie jest zdolna wprowadzić się w taki stan psychiczny, w jakim popełnia się zbrodnię, ale to bardzo trudne do udowodnienia - odparła Charlie. - Państwowy

system szkolnictwa i państwowy system ścigania za zabójstwo mają zupełnie inne priorytety. Pierwszy usiłuje jej pomóc, drugi próbuje ją zabić.

Huck milczał. Charlie słyszała tylko jego oddech.

- Czy Wofford i Avery rozmawiali z tobą przez cztery godziny, czy robili jakieś przerwy? - zapytała.

- Co? - Huck wydawał się zaskoczony tym pytaniem. - Jedno z nich zawsze było w pokoju przesłuchań. Czasem pojawiał się twój mąż. I ten facet... Jak mu tam? Nosi te lśniące garnitury.

- Ken Coin. Prokurator okręgowy. - Charlie zmieniła taktykę. - Czy Kelly była nękana?

- Nie w mojej klasie. - Po chwili dodał: - Poza szkołą, w mediach społecznościowych, tego nie jesteśmy w stanie kontrolować.

- To znaczy, że była nękana?

- To znaczy, że była inna, a inność w dzieciństwie nigdy nie jest łatwa.

- Byłeś nauczycielem Kelly. Dlaczego nie wiedziałeś, że zatrzymali ją na drugi rok w tej samej klasie?

- Co roku mam ponad stu dwudziestu uczniów. Nie zaglądam do ich akt, chyba że dadzą mi powód.

- To, że się jest mało pojętnym, to jeszcze nie powód?

- Mam wielu mało pojętnych uczniów. Kelly zaliczała na solidną trójcę i nigdy nie pakowała się w kłopoty. - Charlie słyszała stukanie pióra w brzeg stołu. - Kelly to dobra dziewczyna. Niezbyt bystra, ale miła. Szła za tym, co widziała. To, co się stało dzisiaj, nie jest w jej stylu. To nie ona.

- Byłeś z nią w zażyłych stosunkach?

- O czym ty mówisz?
 - O bzykaniu. Pieprzeniu. Wiesz, o czym mówię.
 - Jasne, że nie. - Huck nie krył zniesmaczenia. - Była jedną z moich uczennic, na litość boską.
 - Czy kto inny uprawiał z nią seks?
 - Nie. Gdyby było inaczej, zgłosiłbym to.
 - Pan Pinkman?
 - Nawet nie...
 - Któryś z uczniów?
 - Skąd mam...
 - Co się stało z rewolwerem?
- Gdyby nie nadstawiła ucha, nie wychwyciłaby subtelnej zmiany w rytmie jego oddechu.
- Jakim rewolwerem? - zapytał po długiej chwili.
- Pokręciła głową, gromiąc się w duchu za przeoczenie oczywistości.
- W trakcie przesłuchania przez Delię Wofford była zbyt zdezorientowana, żeby złożyć wszystko w jedną całość, ale teraz wyraźnie zobaczyła, że tak naprawdę agentka wszystko jej powiedziała. „Widziała pani, czy pan Huckabee oddał komuś rewolwer? Widziała pani, żeby gdzieś go odkładał? Na ziemię?”.
- Co z nim zrobiłeś? - zapytała.
- Znowu zwlekał z odpowiedzią. Robił tak, kiedy kłamał.
- Nie wiem, o czym mówisz.
 - Tak odpowiedziałeś przesłuchującym cię agentom?
 - Powiedziałem im to co tobie. Nie wiem. Tyle się działo. Charlie mogła tylko pokręcić głową nad własną głupotą.

- Czy Kelly powiedziała ci coś w holu?

- Nie słyszałem... - Urwał po raz kolejny. - Mówiłem, że tyle się działo.

Facet został postrzelony i ledwie się skrzywił. Strach na pewno nie zaburzył mu pamięci.

- Po czyjej jesteś stronie? - zapytała Charlie.

- Nie ma takiej rzeczy jak strony. Jest robienie tego, co właściwe.

- Przykro mi, że obalam twoją teorię, Horacy, ale skoro jest to, co właściwe, jest też to, co niewłaściwe. Jako osoba z wykształceniem prawniczym informuję cię, że kradzież narzędzia zbrodni w sprawie o podwójne zabójstwo, a potem okłamanie agentki FBI w kwestii tego narzędzia może sprawić, że wylądujesz po niewłaściwej stronie krat, i to na cholernie długo.

Huck milczał przez dwie sekundy, po czym odparł:

- Nie wiem, czy my się w nim znaleźliśmy, ale w kamerach monitoringu jest martwe pole.

- Przestań mówić.

- Ale jeśli...

- Milcz. Jestem świadkiem. Nie mogę być twoim adwokatem. To, co mi powiesz, nie będzie objęte tajemnicą zawodową.

- Charlotte, ja...

Zakończyła rozmowę, zanim Huck zaczął pogarszać swoją i tak kiepską sytuację.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jak można się było spodziewać, starego mercedesa Rusty'ego nie było jeszcze na parkingu, kiedy zajechała tam Lenore. Charlie widziała w telewizji relację na żywo, jak jej ojciec wychodzi ze szpitala. Do biura miał mniej więcej pół godziny drogi, tyle samo ile one od domu Wilsonów, więc pewnie pojechał okrężną drogą.

- Rusty jest w drodze. - Lenore poczęstowała Awę tym samym kłamstwem, jakim codziennie częstowała klientów wiele razy w ciągu dnia.

Ava nie okazała zainteresowania miejscem pobytu Rusty'ego. Patrzyła z otwartymi ustami, gdy brama zamknęła się za nimi bezszelestnie. Przestrzeń najeżona reflektorami i kamerami monitoringu, zakratowane okna oraz trzyipółmetrowe ogrodzenie z drutu kolczastego wyglądały jak sceneria supernowoczesnego więzienia.

Przez te wszystkie lata Rusty wciąż otrzymywał listy z pogrózkami, ponieważ uparcie nie zmieniał stylu pracy i reprezentował członków gangów motocyklowych, narkotykowych i morderców dzieci. Jeśli dodać do tego organizacje związkowe, ludzi pracujących na czarno i kliniki aborcyjne, wkurzył niemal każdego w tym stanie. Charlie miała teorię, że najwięcej grózb pochodziło od klanu Culpepperów, a tylko ułamek od uczciwych i prawych obywateli, którzy naprawdę wierzyli, że Rusty Quinn jest prawą ręką szatana.

Nie było wątpliwości, co zrobią, kiedy się rozniesie, że Rusty reprezentuje sprawczynię strzelaniny w szkole.

Lenore zaparkowała mazdę obok subaru Charlie. Odwróciła się i spojrzała na Avę Wilson.

- Pokażę pani, gdzie można się odświeżyć.

- Macie telewizor? - zapytała Ava.

- To nie jest najlepszy pomysł... - zaczęła Charlie.

- Chcę oglądać telewizję.

Charlie nie mogła odmówić dorosłej kobiecie dostępu do telewizora. Wysiadła z auta i otworzyła drzwi. W pierwszej chwili Ava nie zareagowała, tylko wpatrywała się w oparcie przedniego siedzenia z rękami wspartymi na kolanach.

- To się dzieje naprawdę, tak? - zapytała.

- Przykro mi, ale tak - odparła Charlie.

Ava odwróciła się powoli. Jej nogi wyglądały jak dwa patyki w spodniach od pizamy. Miała tak bladą skórę, że w ostrym świetle dnia sprawiała wrażenie przezroczystej.

Lenore cicho zamknęła drzwi od strony kierowcy, ale jej mina mówiła, że ma ochotę trzasnąć nimi z całej siły. Była wściekła na Charlie, odkąd zobaczyła ją w sypialni domu Wilsonów. Gdyby nie Ava Wilson, urwałaby jej głowę i wyrzuciła z auta po drodze.

- To jeszcze nie koniec - wymamrotała.

- Świetnie! - Charlie posłała jej szeroki uśmiech, świadomie dolewając oliwy do ognia. I tak nie usłyszałyby od Lenore niczego nowego o swoim głupim zachowaniu, czego sama by nie wiedziała. Jeśli w czymkolwiek osiągnęła mistrzostwo, to w roli najsurowszej cenzorki własnych poczynań.

Podala Avie Wilson plastikową torbę z ubraniami, żeby swobodnie poszukać kluczy.

- Gotowe. - Lenore otworzyła stalową osłonę i przesunęła ją w bok. Otwarcie ciężkich metalowych drzwi wymagało kodu i kolejnego klucza uruchamiającego sztabę antywłamaniową biegnącą przez całą szerokość, osadzoną solidnie po obu stronach stalowej ościeżnicy. Lenore musiała użyć siły, żeby obrócić dźwignię. Donośny szczęk metalu obwieścił zwolnienie blokady i wreszcie można było otworzyć drzwi.

- Pieniądze tu trzymacie czy jak? - zapytała Ava.

Charlie wzdrygnęła się na to pytanie. Weszła do środka za Lenore i Avą.

Znajoma woń papierosów uderzyła ją w nozdrza. Zabroniła Rusty'emu palić w budynku, ale zakaz był spóźniony o trzydzieści lat. Rusty wnosił smród ze sobą jak brudas Pig Pen z *Fistaszków*. Nieważne, ile razy sprzątała, malowała ściany, a nawet zmieniała wykładzinę. Zapach nikotyny nie dawał się usunąć.

- Tędy. - Lenore rzuciła Charlie kolejne groźne spojrzenie, po czym poprowadziła Avę do recepcji, przygnębiająco ciemnego pomieszczenia, w którym metalowa roleta zasłaniała okno i odcinała dostęp światła.

Charlie ruszyła do swojego biura. Najpierw chciała zadzwonić do ojca i kazać mu jak najszybciej przyjechać. Ava Wilson nie powinna utknąć na starej sofie i czerpać informacji o córce z programów w kablówce.

Na wszelki wypadek poszła najpierw do biura Rusty'ego. Może zaparkował od frontu i dlatego nie widziały jego auta.

Biała farba na drzwiach jego biura pożółkła od nikotyny. Plamy przechodziły na regipsy i sufit. Nawet gałkę w drzwiach pokrywała wieloletnia warstewka tytoniowego smogu. Charlie naciągnęła rękaw na dłoń i dotknęła gałki. Drzwi były zamknięte.

Rusty'ego nie było.

Charlie westchnęła ciężko i poszła długim korytarzem do siebie. Specjalnie zażądała gabinetu na drugim końcu budynku, gdzie przedtem mieściło się zaplecze administracyjne sieci sprzedającej artykuły papiernicze i biurowe. Jednopiętrowy budynek przypominał strukturą starą farmę. Charlie dzieliła recepcję z ojcem, ale biuro miała oddzielne. Inni prawnicy przychodzili i odchodzili, wynajmując pomieszczenia na miesiąc. Uniwersytet stanowy, władze stanowe, Morehouse College i Emory College sporadycznie przysyłali stażystów, którzy potrzebowali biurka i telefonów. Pracujący dla Rusty'ego prywatny detektyw Jimmy Jack Little zajął pomieszczenie po magazynie. Według Charlie wykorzystywał je jako skład akt i materiałów operacyjnych. Pewnie miał nadzieję, że policja zastanowi się dwa razy, zanim zorganizuje nalot na biuro w budynku pełnym prawników.

Po stronie Charlie wykładzina była grubsza, wystrój ładniejszy. Na drzwiach biura Charlie ojciec powiesił tabliczkę z napisem „Dewey, Pleadem & Howe”, czyli trawestacją nazwy kancelarii w serialu komediowym. W ten żartobliwy sposób dawał do zrozumienia, że większość swoich klientów Charlie trzymała z dala od sali sądowej. Nie miała nic przeciwko występowaniu w sądzie, ale większości jej klientów

nie było stać na proces, poza tym za dobrze znali sędziów z Pikeville, by tracić czas na walkę z systemem.

Natomiast Rusty walczyłyby o anulowanie mandatu za parkowanie przed Sądem Najwyższym Stanów Zjednoczonych, gdyby dać mu swobodę działania.

Charlie zanurzyła rękę w torebce w poszukiwaniu kluczy do biura. Pasek zsunął jej się z ramienia i otwarta torebka rozwarła się na całą szerokość. Na okładce książki pamiątkowej Kelly Wilson pokazał się rysunek przedstawiający generała Lee, ponieważ maskotką szkoły był Rebeliant, żołnierz Południa.

Obrońca będący w posiadaniu przedmiotu wskazującego na zachowanie przestępcze klienta powinien wskazać jego lokalizację bądź dostarczyć go przedstawicielom organów ścigania.

Charlie nie zapomniała, że pouczając Hucka o ukrywaniu dowodów, sama trzymała pod pachą klasową książkę pamiątkową Kelly Wilson.

Możliwe, że miała do czynienia z prawnym odpowiednikiem paradoksu kota Schrödingera. Nie dowie się, czy w książce natrafi na jakiś dowód, póki do niej nie zajrzy. A jak dotąd nie zajrzała. Grzebała w torebce, nie mogąc znaleźć kluczy. Najprościej byłoby rzucić książkę na biurko Rusty'ego, żeby on się nią zajął.

- Chodźmy. - Lenore wróciła, gotowa zmyć Charlie głowę.

Charlie wskazała łazienkę. Nie była gotowa na wysłuchanie tyrady z pełnym pęcherzem.

Lenore poszła za nią i zamknęła drzwi.

- Część mnie zastanawia się, czy w ogóle warto cię objechać, bo jesteś zbyt tępa na dostrzeżenie własnej głupoty.

- Błagam, posłuchaj tej części.

- Daruj sobie te swoje celne riposty. - Lenore wycelowała palec w Charlie.

Charlie miała w zanadrzu cały pakiet kąśliwych komentarzy, ale ugryzła się w język. Rozpięła dzinsy i usiadła na sedesie. Lenore kąpała ją, kiedy ona, pogrążona w bólu, nie miała siły zająć się sobą. A skoro tak, to teraz mogła patrzeć, jak Charlie się załatwia.

- Nigdy nie myślisz, Charlotte. Po prostu działasz. - Lenore przemierzała niewielkie pomieszczenie tam i z powrotem.

- Masz rację - przyznała Charlie. - Cokolwiek mi jeszcze powiesz, i tak nie poczuję się gorzej, niż czuję się w tej chwili.

- Tak łatwo się nie wykpisz.

- Łatwo? - Charlie rozpostarła szeroko ramiona. - Tego ranka znalazłam się w strefie wojny. Wkurzyłam gliniarza, który zrobił mi to. - Wskazała swoją twarz. - Znów upokorzyłam swojego męża. Przeleciałam faceta, który jest albo męczennikiem, albo pedofilem, albo psychopatą. Rozkleiłam się przy tobie. I nawet nie chcesz wiedzieć, co robiłam, kiedy zjawiała się jednostka specjalna. Mówię serio, naprawdę nie chcesz wiedzieć, ponieważ musisz zostawić sobie możliwość wiarygodnego zaprzeczenia.

- Widziałam ich karabiny wycelowane w twoją pierś, Charlotte. Sześciu mężczyzn z bronią. Tylko ruch palca wskazującego dzielił ich od zamordowania ciebie, a ja stałam przed domem i załamywałam ręce jak bezradna stara kobieta

- wyrzuciła z siebie Lenore.

Charlie uświadomiła sobie, że nie gniew przez nią przemawia. Lenore była przerażona.

- Coś ty sobie myślała, na litość boską? Dlaczego narażałaś życie? Co było aż tak ważne?

- Nic takiego. - Widok łez płynących po twarzy Lenore potęgował wstyd Charlie. - Przepraszam. Masz rację, nie powinnam tego robić. Zachowałam się głupio. Jestem idiotką.

- Żebyś wiedziała. - Lenore złapała rolkę papieru toaletowego i odwinęła kawałek do wydmuchania nosa.

- Wolę, kiedy na mnie wrzeszczysz - przyznała Charlie. - Nie mogę znieść, kiedy widzę cię w takim stanie.

Lenore odwróciła wzrok. Charlie zalała fala nienawiści do samej siebie. Ile razy toczyła podobną dyskusję z Benem? Kiedy w sklepie spożywczym pchnęła mężczyznę, który uderzył w twarz swoją żonę. Kiedy omal nie została potrącona przez samochód, próbując pomóc ofierze wypadku. Kiedy nie unikała konfrontacji z Culpepperami spotykanymi w mieście. Kiedy w środku nocy jeździła do Holler. Kiedy całą energię poświęcała na obronę szemranych typów uzależnionych od metamfetaminy czy brutalnych przestępców. Ben powtarzał, że rzuciłaby się nawet na piłę tarczową, gdyby okoliczności tego wymagały.

- Nie możemy płakać obie - powiedziała Lenore.

- Ja nie płaczę - skłamała Charlie.

Lenore podała jej rolkę papieru.

- Skąd ci przyszło do głowy, że ten facet jest psychopatą?

- Nie mogę ci powiedzieć. - Charlie zapięła dzinsy i podeszła

do umywalki.

- Mam się martwić, że powtórzy się historia z przeszłości?

Charlie nie chciała myśleć o przeszłości.

- W systemie monitoringu jest martwe pole.

- Ben ci powiedział?

- Wiesz, że Ben i ja nie rozmawiamy o sprawach. - Charlie przetarła pachy mokrym ręcznikiem papierowym. - Psychopata ma mój telefon. Muszę go zdezaktywować i zastąpić nowym. Dzisiaj straciłam dwie rozprawy.

- Na wieść o strzelaninie wydali zakaz opuszczania budynku sądu.

Charlie przypomniała sobie te procedury. Kiedyś już przeżyła fałszywy alarm. Tak samo jak Ava Wilson nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

- Na biurku masz dwie kanapki w pojemniku. Jeśli je zjesz, pojedę po nowy telefon dla ciebie.

- Zgoda. Przepraszam za dziś. Postaram się poprawić.

- Niech ci będzie. - Lenore przewróciła oczami. - Idę.

Charlie czekała, aż drzwi łazienki zamkną się za Lenore. Przemysła twarz i obejrzała się w lustrze. Wyglądała gorzej niż godzinę temu. Z ciemniejącymi sińcami pod jednym i drugim okiem wyglądała jak ofiara przemocy domowej. Grzbiet nosa przybrał ciemnoczerwoną barwę, ślad po poprzednim złamaniu pokrywał świeży guz.

- Musisz raz na zawsze przestać zachowywać się jak idiotka - powiedziała do odbicia w lustrze i napotkała swój powątpiewający wzrok.

Wróciła do biura. W poszukiwaniu kluczy wyrzuciła na

ziemię zawartość torebki, potem biedziła się, żeby wszystko upchnąć z powrotem. Na koniec okazało się, że Lenore już otworzyła drzwi. Lenore zawsze była dwa kroki przed nią. Charlie rzuciła torebkę na kanapę przy drzwiach i włączyła światło. Jej biurko. Jej komputer. Jej fotel. Dobrze czuła się w otoczeniu znanych sobie przedmiotów. Biuro nie było jej domem, ale spędzała w nim mnóstwo czasu, zwłaszcza po wyprowadzce Bena.

W pośpiechu przełknęła jedną z kanapek z masłem orzechowym i dżemem, zostawionych na biurku przez Lenore. Przejrzała skrzynkę odbiorczą i odpowiedziała na mejle z zapytaniami o samopoczucie. Powinna odsłuchać wiadomości na sekretarce, zadzwonić do klientów i dowiedzieć się w sądzie o nowe terminy rozpraw, ale była zbyt roztrzęsiona, żeby się skupić.

Huck prawie się przyznał, że zabrał narzędzie zbrodni.

Dlaczego?

Właściwie należałoby zapytać: jak?

Rewolwer nie jest mały. Zważywszy na to, że był narzędziem zbrodni, policja musiała zacząć go szukać prawie natychmiast. Jak Huck wyniósł go z budynku? W spodniach? Wsunął niepostrzeżenie do torby sanitariusza? Charlie przypuszczała, że miejscowa policja trzymała się od Hucka z daleka. Nie rewiduje się niewinnego cywila, który został przypadkiem postrzelony przez funkcjonariusza. Poza tym Huck skasował nagranie, które ona zrobiła, udowadniając w ten sposób, że jest po ich stronie. O tyle, o ile pan Huckleberry wierzył w strony.

Agenci Delia Wofford i Louis Avery nie wykazali się taką lojalnością wobec pana Huckabee. Nic dziwnego, że maglowali go przez cztery godziny, nie zważając na krew sączącą się z rany postrzałowej. Prawdopodobnie podejrzewali, że to on zabrał broń, i uznali miejscowych policjantów za idiotów, ponieważ pozwolili mu wyjść ze szkoły bez dokładnego przeszukania.

Za okłamanie agenta FBI groziła kara do pięciu lat więzienia i dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów grzywny. Jeśli dodać do tego zniszczenie dowodu, kłamstwo w celu utrudnienia śledztwa i możliwość oskarżenia o współsprawstwo po podwójnym zabójstwie, Huck nigdy nie mógłby już pracować w szkole, a właściwie to już nigdzie.

Wszystko to stawiało Charlie w trudnej sytuacji. Jeśli nie chciała zniszczyć mu życia, musiała wymyślić jakiś sposób, by opowiedzieć ojcu o broni bez wskazywania Hucka. Wiedziała, co robi Rusty, gdy poczuje krew. Huck był przystojnym i sympatycznym naprawiaczem świata, który miałby ławę przysięgłych po swojej stronie. Jednak jego wojenne dokonania i szlachetny wybór zawodu straciłyby na znaczeniu, gdyby zeznawał w pomarańczowym więziennym kombinezonie.

Charlie spojrzała na zegar nad kanapą. Szesnaście po drugiej.

Ten dzień był kulą bez początku i końca.

Otworzyła nowy dokument w komputerze. Powinna spisać wszystko, co zapamiętała, i przekazać to Rusty'emu. Pewnie już zdążył usłyszeć historię Kelly Wilson. Charlie mogła go

poinformować, co usłyszała prokuratura.

Jej dłonie zawisły nad klawiaturą. Patrzyła na migający kursor. Nie wiedziała, od czego zacząć. Powinna od początku, co oczywiste, ale właśnie ten początek nastroczał jej trudności.

Każdy jej dzień toczył się według ściśle ustalonego porządku. Wstawała o piątej. Karmiła zwierzęta. Szła biegać. Brała prysznic. Jadła śniadanie. Jechała do pracy. Wracała do domu. Po wyprowadzce Bena wieczory wypełniało jej czytanie akt, oglądanie głupich programów telewizyjnych i niecierpliwe zerkanie na zegarek w oczekiwaniu na stosowną godzinę, by położyć się spać.

Dzisiaj było inaczej i Rusty musiał wiedzieć dlaczego.

Charlie mogła przynajmniej poznać imię Hucka.

Otworzyła w komputerze wyszukiwarkę i wpisała hasło „kadra gimnazjum w Pikeville”.

Na ekranie zaczęło się kręcić małe tęczowe kółko. W końcu na ekranie wyświetlił się komunikat: STRONA NIE ODPOWIADA.

Próbowała obejść to sposobem. Wpisała nazwiska pojedynczych nauczycieli, kółka zainteresowań, drużyny sportowe, nawet gazetkę szkolną, ale za każdym razem wyskakiwał ten sam komunikat. Serwery wydziału oświaty w Pikeville nie były w stanie obsłużyć ruchu wygenerowanego przez tysiące internautów usiłujących wejść na ich stronę.

Otworzyła nową stronę wyszukiwania. Napisała „Huckabee Pikeville”.

- Cholera - wymamrotała. Wyszukiwarka zapytała: „Czy

chodziło Ci o *huckleberry*?”.

Na pierwszym miejscu znalazła się Wikipedia, według której *huckleberry*, czyli borówka amerykańska, to owoc-symbol stanu Idaho. Potem informacje o decyzji kilku rad szkół usiłujących zakazać lektury *Przygód Hucka* Marka Twaina, których głównym bohaterem jest Huckleberry Finn. Na dole strony pojawiło się odwołanie do miejskiego słownika slangu. Z wpisu wynikało, że w XIX wieku słowo *huckleberry* oznaczało „właściwego człowieka na właściwym miejscu”.

Charlie kliknęła myszką. Powinna obejrzeć CNN, MSNBC, może nawet Fox, ale nie była w stanie wpisać tych nazw do wyszukiwarki. Od godziny nie dręczyły jej powracające obrazy. Nie chciała prowokować powrotu złych wspomnień.

Poza tym to była sprawa Rusty’ego, a ona najpewniej zostanie powołana na świadka przez prokuratora. W sądzie potwierdzi wersję Hucka, ale to będzie dla ławy przysięgłych tylko niewielką częścią układanki.

Jeśli ktokolwiek wiedział coś więcej, to pani Pinkman. Jej klasa znajdowała się naprzeciwko miejsca, w którym prawdopodobnie Kelly Wilson zaczęła strzelać. Judith Pinkman mogła być tam pierwsza. Znalazła martwego męża. I umierającą Lucy.

„Pomóżcie nam!”.

Charlie ciągle miała w uszach jej krzyk. Wtedy padły już cztery strzały, a Huck pociągnął ją za szafę. Kiedy wzywał policję, usłyszała jeszcze dwa.

Była zdumiona nagłą wyrazistością tego wspomnienia.

Sześć strzałów. Sześć naboju w rewolwerze.

Gdyby było inaczej, Judith Pinkman zostałaby zastrzelona natychmiast po otwarciu drzwi klasy.

Charlie spojrzała w sufit. Ta myśl wydobyła z magazynu pamięci stary obraz, którego nie chciała oglądać.

Musiała wyjść z biura.

Wzięła plastikowy pojemnik z drugą kanapką i wyszła poszukać Avy Wilson. Była pewna, że Lenore już zaproponowała jej jedzenie – kierował nią typowy dla południowców odruch karmienia wszystkich napotykanych ludzi – wiedziała też, że Ava jest zbyt zestresowana, by cokolwiek przełknąć. Nie chciała jednak, by zbyt długo była sama.

W recepcji zobaczyła znajomą scenę: Ava Wilson na kanapie przed huczącym telewizorem.

- Chce pani kanapkę? - zapytała.

Ava nie zareagowała. Już chciała powtórzyć pytanie, ale zauważyła zamknięte oczy Avy. Usta miała nieco rozchylone. Przez szczelinę, w której brakowało zęba, wydobywało się ciche poświstywanie.

Charlie postanowiła jej nie budzić. Silny stres potrafi odciąć bodźce zewnętrzne, kiedy cierpienie staje się nie do zniesienia. Jeśli Ava Wilson mogła zaznać dzisiaj choć odrobiny spokoju, Charlie nie chciała jej tego odbierać.

Pilot leżał na stoliku. Nigdy nie pytała, dlaczego tak się kleił. Większość przycisków nie działała, inne były zablokowane. Przycisk włączania nie reagował, przycisk regulacji głośności wyparował, w miejscu po nim ziała prostokątna dziura. Charlie podeszła do telewizora, żeby sprawdzić, czy może go

wyłączyć w inny sposób.

Na ekranie program wszedł w fazę zastoju, kiedy z braku aktualnych informacji dziennikarze organizują naprędce lożę ekspertów od ludzkiej psychiki, przepytując ich na okoliczność zdarzenia i zmuszając do spekulacji, co mogło zająć, o czym Kelly mogła wtedy myśleć i dlaczego mogła zrobić to, co zrobiła.

- Jest już precedens - stwierdziła ładna blondynka. - Jeśli pamiętają państwo piosenkę Boomtown Rats z...

Charlie już miała wyrwać wtyczkę z kontaktu, kiedy prowadzący program przerwał pani psychiatrze:

- Mamy najnowsze wieści. W Pikeville trwa właśnie konferencja prasowa.

Na ekranie pojawiła się znana Charlie przestrzeń. Stołówka na komisariacie. Policjanci wynieśli stoły i przypięli do ściany niebieską flagę z logo miasta.

Pucołowaty mężczyzna w zaprasowanych w kant spodniach khaki i białej koszuli stanął za mównicą. Spojrzał w lewo, a wtedy kamera pokazała Kena Coina, który machnął mu ręką na znak, by zaczął. Wyglądał na zirytowanego. Najwyraźniej chciał zabrać głos jako pierwszy.

Mężczyzna opuścił mikrofon, podniósł go, potem znowu opuścił. Pochylił się, przysunął do niego usta zbyt blisko i zaczął:

- Nazywam się Rick Fahey. Jestem wujkiem Lucy Alexander.
- Urwał i otarł łzy wierzchem dłoni. Twarz mu poczerwieniała.
- Rodzina poprosiła mnie, żebym... Och... - Z tylnej kieszeni wyjął złożoną kartkę. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że

papier zatrzepotał jak poruszony nagłym podmuchem wiatru. W końcu zdołał rozprostować kartkę na mównicy. – Na prośbę rodziny odczytam oświadczenie.

Charlie zerknęła na Avę. Spała w najlepsze.

– Lucy była cudownym dzieckiem – zaczął Fahey. – Miała artystyczną duszę i mnóstwo pomysłów. Uwielbiała śpiewać i bawić się ze swoim psem Shaggym. Studiowała Biblię na zajęciach z panią Dillard w kościele baptystów. Bardzo lubiła czytać Ewangelię. Lato spędzała na farmie swoich dziadków w Ellijay, gdzie pomagała im zbierać j...jabłka. – Zająknął się, wyjął z kieszeni chusteczkę, otarł z twarzy pot i łzy. – Rodzina pokłada ufność w Bogu, wierzy głęboko, że Pan pomoże im przejść przez ten trudny czas. Prosimy miejscową społeczność o wsparcie nas modlitwą. Pragniemy także zadeklarować nasze pełne poparcie dla działań policji w Pikeville oraz biura prokuratora okręgowego w hrabstwie Dickerson, pana Kena Coina, które mają na celu jak najszybsze postawienie przed sądem morder... – Głos uwiązł mu w gardle. – Morderczyni Lucy – dokończył po chwili. Spojrzał na dziennikarzy. – Tym jest Kelly Wilson. Bezwzględna morderczynią.

Fahey odwrócił się do Kena Coina. Obaj uroczyście skinęli głowami, jakby potwierdzali dotrzymanie danej wcześniej obietnicy.

– Rodzina prosi media oraz opinię publiczną – ciągnął Fahey – o uszanowanie jej prywatności. Nie ma na razie żadnych ustaleń dotyczących pogrzebu. – Spojrzał przed siebie, ponad lasem mikrofonów, ponad kamerami. Czy myślał o pogrzebie Lucy? O tym, że jej rodzice będą musieli wybrać trumnę

w dziecięcym rozmiarze?

Lucy była bardzo drobna. Charlie pamiętała jej kruchą rączkę, którą zamknęła w uścisku swojej dłoni.

- Panie Fahey - odezwał się jeden z reporterów - czy może nam pan powiedzieć...

- Dziękuję. - Fahey zszedł z mównicy, a Ken Coin poklepał go po plecach.

Charlie patrzyła, jak szef jej męża zajmuje miejsce na mównicy i chwytą ją po bokach, jakby chciał zniewolić.

- Nazywam się Ken Coin, jestem prokuratorem okręgowym naszego hrabstwa - przedstawił się tłumowi. - Jestem tu, żeby odpowiedzieć na wasze pytania dotyczące toku postępowania w sprawie tego ohydneho morderstwa. Nie ulega wątpliwości, proszę państwa, że będziemy żądać respektowania zasady oko za oko, ząb za ząb w tej bulwersującej...

Charlie wyłączyła telewizor i odwróciła się. Chciała się upewnić, że Ava nadal śpi. Leżała w tej samej pozycji, ciągle w piżamie. Na podłodze u jej stóp stała torba z ubraniami. Charlie usiłowała sobie przypomnieć, czy mają gdzieś w biurze koc, kiedy drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły z hukiem.

Tylko Rusty robił tyle hałasu, wchodząc do budynku.

Na szczęście nie obudził Avy Wilson, która tylko zmieniła pozycję, głowa opadła jej na bok.

Charlie zostawiła na stoliku kanapkę i poszła szukać ojca.

- Charlotte? - zagrzemiał Rusty. Usłyszała trzask otwieranych drzwi jego biura. Gałka zdążyła już wyźłobić dziurę w ścianie. Rusty nie przepuszczał żadnej okazji do

robienia hałasu. – Charlotte?

– Tu jestem, tato. – Zatrzymała się w drzwiach. Biuro Rusty’ego było tak zagracone, że wewnątrz nie miałyby gdzie stanąć. – Ava Wilson jest w recepcji.

– Dobra dziewczynka. – Rusty nawet nie podniósł głowy znad papierów. Był rozedrganym zadaniowcem, nigdy nie koncentrował się w pełni na jednej rzeczy. Nawet teraz stukał stopą o podłogę, czytał, nucił i prowadził coś na podobieństwo rozmowy. – Jak sobie radzi?

– Kiepsko. Zasnęła jakiś czas temu – powiedziała Charlie do czubka jego głowy. Rusty miał siedemdziesiąt cztery lata i zbyt długie po bokach szpakowate włosy. – Musisz mówić do niej powoli i prostym językiem. Nie jestem pewna, ile z tego wszystkiego rozumie.

– Odnotowałem. – Rusty zapisał coś w papierach. Kościstymi palcami trzymał pióro w taki sam sposób jak papierosa. Każdy, kto rozmawiał z nim przez telefon, wyobrażał go sobie jako pułkownika Sandersa z logo KFC albo Kuraka Leghorna. Nic z tych rzeczy. Rusty Quinn był wysokim tyczkowatym mężczyzną, ale innym niż Ben, ponieważ Charlie wolałaby rzucić się w przepaść, niż poślubić kogoś podobnego do jej ojca.

Prócz wysokiego wzrostu i organicznej niechęci do wyrzucania starej bielizny, tych dwóch mężczyzn nic nie łączyło. Ben był niezawodnym sportowym minivanem, Rusty przemysłowym buldożerem. Mimo dwóch ataków serca i podwójnych by-passów ochoczo oddawał się swojej słabości do burbona, kurczaków w panierce, cameli bez filtra,

pyskówek. Ben wolał rzeczowe dyskusje, piwo IPA i lokalne sery wytwarzane tradycyjnymi metodami.

Charlie uświadomiła sobie, że tych dwóch mężczyzn połączyło nowe podobieństwo. Dzisiaj obaj z trudem na nią patrzą.

- Jaka ona jest? - zapytała.

- Ta dziewczyna? - Rusty naskrobał kolejną notkę, nucąc pod nosem do wtóru ruchów pióra. - Chuchro. Coin musi robić w spodnie ze strachu. Sędziowie przysięgli pokochają ją od razu.

- Rodzina Lucy Alexander będzie miała coś do powiedzenia na ten temat.

- Jestem gotowy do walki.

Charlie wwierciała się palcami stopy w wykładzinę. Rusty wszystko umiał zamienić w walkę.

- Mógłbyś spróbować pójść na ugodę z Kenem, o ile wycofa się z żądania kary śmierci.

- Akurat - odparł, ponieważ oboje wiedzieli, że Ken Coin nie pójdzie na ugodę. - Moim zdaniem mamy jednoroźca.

Charlie poczuła nagły zawrót głowy. Słowem „jednorożec” nazywali niewinnego klienta. Jednorożec to mityczne stworzenie, które zobaczyło niewielu szczęśliwców.

- Nie mówisz serio.

- Oczywiście, że mówię serio. Dlaczego miałbym kłamać?

- Byłam tam, tato. - Charlie miała ochotę nim potrząsnąć. - W środku tego wszystkiego.

- Ben zdał mi krótką relację z tego, co się zdarzyło. - Rusty zakasłał w zgięciu ramienia. - Wygląda na to, że przeżyłaś

ciężkie chwile.

- Mało powiedziane - mruknęła.

- Słynę z delikatności. - Charlie obserwowała, jak Rusty przerzuca papiery. Znowu zaczął nucić. Doliczyła do trzydziestu, zanim spojrzał na nią znad okularów do czytania, a po dziesięciu sekundach uśmiech okraślił mu twarz. - Ale limo, twardzielko. Wyglądasz jak bandyta.

- Dostałam łokciem w twarz.

- Już mówiłem Coinowi, żeby przygotował książeczkę czekową.

- Nie złożyłam oficjalnej skargi.

Rusty nie przestawał się uśmiechać.

- Dobry pomysł, skarbie. Wstrzymaj ogień, póki kurz nie opadnie. Nigdy nie kop świeżego krowiego placka w upalny dzień.

Charlie przyłożyła dłoń do oczu. Była zbyt zmęczona, żeby wysłuchiwać ludowych mądrości.

- Tato, muszę ci coś powiedzieć.

Rusty pozostawił jej słowa bez odpowiedzi. Opuściła ręce, czekała.

Wreszcie Rusty zaczął mówić:

- Chodzi o powód, dla którego znalazłaś się w szkole dziś rano? - Spojrzał jej prosto w oczy, a ona poczuła się nieswojo i odwróciła wzrok. - Teraz już wiesz, że ja wiem.

- Ben ci powiedział?

- Nie, nie. - Rusty potrząsnął głową. - Stary Ken Coin miał tę przyjemność.

Charlie nie zamierzała za to przeproszać.

- Napiszę wszystko, co pamiętam z dzisiejszego dnia, wszystko, co powiedziałam agentce specjalnej z GBI, która mnie przesłuchiwała. Nazywa się Delia Wofford. Mam jej wizytówkę. Przesłuchiwała innego świadka z agentem o nazwisku Avery albo Atkins. Ben był ze mną. Przypuszczam, że Coin obserwował zza lustra albo siedział w drugim pokoju.

Rusty odczekał chwilę, by mieć pewność, że już skończyła.

- Charlotte, zakładam, że gdyby coś było z tobą nie tak, to powiedziałaś mi o tym.

- Russell, zakładam, że jesteś wystarczająco bystry, żeby wywnioskować to na podstawie danych surowych. - Czyli nieobrobionych, pierwotnych w swej formie.

- Witamy znajomy impas. - Rusty upuścił papiery na biurko.
- Kiedy ostatnim razem próbowałem odgadnąć twój nastrój, znaczek na list priorytetowy kosztował dwadzieścia dziewięć centów, a ty nie rozmawiałaś ze mną przez szesnaście dni i kawałek siedemnastego.

Charlie już dawno straciła chęć do szukania u niego współczucia i zrozumienia.

- Słyszałam, że w nagraniu ze szkolnego monitoringu jest dziura.

- Gdzie?

- W najważniejszym punkcie.

- Dowiedziałaś się jeszcze czegoś na komisariacie?

- Łamię sobie głowę nad narzędziem zbrodni. Tak jakby nie wiedzieli, gdzie się podziała ta broń.

Rusty uniósł brwi.

- To jest kłopot.

- To tylko domysł - powiedziała Charlie, nie chcąc rzucać podejrzeń na Hucka. - Agentka GBI wypytywała mnie o tę broń: gdzie była, kiedy widziałam ją ostatni raz, kto ją miał, gdzie i kiedy. Rewolwer. Nie jestem całkiem pewna, ale chyba sześćostrzałowy.

- Jest coś jeszcze, prawda? - Rusty zmrużył oczy. - O ile wolno mi wysnuwać wnioski z danych surowych.

Odwróciła się, wiedząc, że ojciec pójdzie za nią. Była w połowie budynku, kiedy usłyszała za sobą jego ciężkie kroki. Chodził szybko, sadził długimi susami, ponieważ wierzył, że taki chód może zastąpić trening cardio. Bębnił palcami w ścianę. Nucił coś, co przypominało *Happy Birthday*. Jedyne miejsce, w którym Charlie widziała ojca zupełnie spokojnego i nieruchomego, była sala sądowa.

Sięgnęła po torbę leżącą na sofie w jej biurze. Wyjęła z niej książkę pamiątkową.

Rusty zamarł w napięciu.

- Co to jest?

- Klasowa księga pamiątkowa. Czasem mówią na to kronika.

Rusty skrzyżował ramiona na piersi.

- Mów jaśniej do swojego starego papcia.

- Kupujesz to na koniec roku szkolnego. W środku są zdjęcia klasowe, zdjęcia poszczególnych uczniów. Ludzie wpisują tam różne rzeczy, na przykład „Nigdy cię nie zapomnę” albo „Dzięki za pomoc w biologii”. - Charlie wzruszyła ramionami.

- To głupie. Im więcej masz wpisów, tym bardziej jesteś lubiany.

- Już wiem, dlaczego nigdy nie przyniosłaś żadnej książki do

domu.

- Ha, ha, bardzo śmieszne.

- Nasza dziewczynka była lubiana? Czy wręcz przeciwnie?

- Nie otwierałam tego. - Zamachała Rusty'emu książką przed nosem, dając do zrozumienia, że powinien ją wziąć.

Rusty nadal trzymał skrzyżowane ramiona, ale Charlie dostrzegła w jego oczach błysk, jaki widywała na sali sądowej.

- Gdzie to znalazłaś?

- W domu Kelly Wilson, w szafie w jej pokoju.

- Przed wykonaniem nakazu rewizji?

- Tak.

- Czy którykolwiek z przedstawicieli prawa poinformował cię, że zostanie wystawiony nakaz?

- Nie.

- Czy matka...

- Ava Wilson.

- Czy Ava Wilson dała ci to na przechowanie?

- Nie.

- Czy to twoja klientka?

- Nie. I dzięki, że próbujesz mi pomóc stracić licencję.

- Miałabyś najlepszego adwokata w kraju, który by do tego nie dopuścił. - Rusty ruchem głowy wskazał księgę. - Otwórz ją dla mnie.

- Weź tę książkę ode mnie albo upuszczę ją na ziemię.

- Cholera, sprawiasz, że tęsknię za twoją mamą. - Głos Rusty'ego dziwnie zadrżał. Rusty rzadko wspominał Gamme, jeśli już, to tylko kiedy robił niekorzystne dla Charlie porównanie. Wyjął jej z ręki książkę i zasalutował. - Stokrotne

dzięki.

Patrzyła, jak energicznym krokiem rusza korytarzem.

- Ej, dupku! - zawołała.

Odwrócił się i szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, wrócił do niej takim samym krokiem. Teatralnym gestem otworzył książkę. Na wewnętrznej stronie okładki widniały rozmaite wpisy niebieskim, czarnym, nawet różowym tuszem. Różne charakterystyki pisma. Różne podpisy. Rusty przewrócił kartkę. Więcej kolorów. Więcej pośpiesznie nagryzmołonych wpisów.

Jeśli Kelly Wilson była odludkiem, to najbardziej popularnym w szkole.

- Wybacz, moja panno - odezwał się Rusty - ale czy nie narażę na szwank twojego sumienia, jeśli poproszę, żebyś mi to przeczytała? - Postukał się palcem w skroń. - Nie mam okularów.

Charlie dała znak, żeby odwrócił książkę. Przeczytała pierwszy wpis, który rzucił się jej w oczy. Kanciaste drukowane litery wyglądały jak napisane chłopięcą ręką:

Dzięki za obciążenie laski. Jesteś beznadziejna.

Charlie spojrzała na ojca i mruknęła:

- O rany.

- W rzeczy samej - powiedział Rusty, chociaż minę miał niewzruszoną. Charlie już dawno zarzuciła próby wywołania w nim emocjonalnych reakcji. - Czytaj dalej.

- „Zgwałcę cię, suko”. Bez podpisu. - Przebiegła wzrokiem następnymi wpisami. - Kolejna groźba gwałtu. „Wyrucham cię w dupę, suko”. Z błędami.

- Jakimi?

- Wszystkimi możliwymi. - Charlie szukała wzrokiem różowego tuszu. Miała nadzieję, że dziewczęta okażą się mniej okrutne. - „Jesteś pieprzoną zdzirą, nienawidzę cię i chcę żebyś zdechła”, sześć wykrzykników. B-w-k, Mindy Zowada.

- B-w-k?

- Bądźmy w kontakcie.

- Wzruszające.

Charlie przejrzała pozostałe wpisy. Były równie wulgarne i obelżywe jak pierwsze.

- Wszystkie są takie, tato. Albo nazywają ją dziwką, albo odnoszą się do seksu, albo grożą gwałtem.

Rusty przewrócił kartkę. Była czysta, żeby koleżanki i koledzy z klasy mieli więcej miejsca na wpisy. Na tej stronie nie było wpisów. Zamiast nich widniał rysunek gigantycznego penisa i jąder. Na górze kartki była postać dziewczyny z włosami w strąkach i wielkimi oczami. Miała otwarte usta. Ku jej głowie biegła strzałka z napisem KELLY.

- Powoli wyłania nam się obraz sytuacji - stwierdził Rusty.

- Idź dalej.

Rusty przewracał kartkę za kartką. Zobaczyli więcej rysunków, więcej sprośnych wpisów, kilka grózb gwałtu. Zdjęcie klasowe Kelly zostało splugawione. Na twarz Kelly sphywała sperma z nadnaturalnie wielkiego penisa.

- To musiało krążyć po całej szkole. Tu są setki wpisów.

- Ile mogła mieć wtedy lat?

- Dwanaście? Trzynaście?

- I trzymała to przez tyyyyle lat. - Przeciągnął to słowo, jakby

sprawdzał, jak zabrzmiał na sali sądowej przed ławą przysięgłych. Charlie nie mogła mieć mu tego za złe. Trzymał w rękach podręcznikowy przykład okoliczności łagodzących.

Kelly Wilson była w szkole nie tylko prześladowana. Seksualna agresja we wpisach innych uczniów wskazywała na coś znacznie bardziej mrocznego.

- Czy matka mówiła, że córka była napastowana seksualnie?

- Jej matka uważa, że dziewczyna jest czysta i niewinna.

- Jeśli coś zaszło, to ślad po tym powinien być w jej aktach.

Może jest ktoś w biurze prokuratora, kogo mogłabyś...

- Nie. - Charlie nie dała mu dokończyć. - Możesz powiedzieć Avie, żeby poprosiła w szkole o dokumenty Kelly albo wystosować zapytanie w tej sprawie do sądu dla nieletnich.

- Tak zrobię.

- Potrzebujesz dobrego specja od komputerów. Kogoś, kto może poprzeglądać konta w mediach społecznościowych. Jeśli tę książkę przygotowała grupa osób, mogła powstać nawet osobna strona na Facebooku.

- Nie potrzebuję specja. Mam CNN.

Media miały specjalistów, którzy już przeszukiwali sieć. Reporterzy polowali na koleżanki i kolegów z klasy Kelly, jej nauczycieli, przyjaciół albo tych, którzy mienili się przyjaciółmi, gotowych wystąpić przed kamerami i powiedzieć o niej cokolwiek - wszystko jedno, czy zgodne z prawdą, czy nie.

- Miałaś okazję porozmawiać z panią Pinkman?

- Próbowałem ją odwiedzić, ale była na silnych środkach

uspokajających. - Rusty westchnął ciężko. - Stracić kogoś bliskiego to trauma, ale stracić w taki sposób, to istna męczarnia.

Charlie przyglądała mu się, próbując wysnuć jakiś wniosek z tych słów. Już drugi raz nawiązał do Gammy. Przypuszczała, że przez nią, zważywszy na to, w czym brała udział dziś rano. Kolejna strzała, którą wypuściła w kierunku ojca.

- Dokąd pojechałeś po wyjściu ze szpitala? - zapytała.

- Pojechałem do Kennesaw na wywiad do telewizji. Dzisiaj wieczorem zobaczysz na ekranie swojego przystojnego tatę.

Gdyby mogła, trzymałaby się jak najdalej od telewizora.

- Musisz być ostrożny z Avą, tato. Ona niewiele rozumie. Moim zdaniem to nie tylko szok. Ona po prostu wolno myśli.

- Córka ma ten sam problem. Oceniam jej iloraz inteligencji na niewiele ponad siedemdziesiąt. - Rusty postukał palcem w książkę. - Dzięki za pomoc, moja droga. Czy Ben skontaktował się z tobą dzisiaj rano?

Serce podskoczyło jej w piersi tak samo jak za pierwszym razem, gdy usłyszała o telefonie Bena.

- Nie. Wiesz, dlaczego do mnie dzwonił?

- Wiem.

W tej samej chwili rozległ się sygnał telefonu stojącego na jej biurku. Rusty ruszył do wyjścia.

- Tato?

- Będziesz potrzebowała parasola. Prawdopodobieństwo deszczu jutro przed południem wynosi sześćdziesiąt trzy procent. - Zanucił całkiem znośne *Happy Birthday*, zasalutował i ruszył korytarzem, unosząc wysoko kolana

niczym tamburmajor.

- Zafundujesz sobie następny zawał - powiedziała.

- Chciałabyś!

Przewróciła oczami. Zawsze musiał mieć imponujące wyjście. Podniosła słuchawkę dzwoniącego telefonu.

- Charlie Quinn, słucham.

- Nie powinnam z tobą rozmawiać - powiedziała Terri, najmłodsza siostra Bena - ale chciałam się upewnić, że jesteś cała i zdrowa.

- Nic mi nie jest. - Charlie słyszała w tle krzyczące bliźniaki Terri, które Ben nazywał Denica i Deniec. - Ben mówił, że dzwonił do was rano.

- Był bardzo zdenerwowany.

- Zdenerwowany na mnie czy przeze mnie?

- Dobrze wiesz, że to pozostawało tajemnicą przez dziewięć miesięcy.

Było inaczej, ale Charlie wiedziała, że cokolwiek powie Terri, ta przekaże Carli i Peggy, która powtórzy matce Bena, wolała więc trzymać język za zębami.

- Jesteś tam? - zapytała Terri.

- Przepraszam, jestem w pracy.

Terri nie zrozumiała aluzji.

- Kiedy Ben zadzwonił, pomyślałam sobie, jaki jest śmieszny z tym swoim owijaniem w bawełnę. Trzeba go szturchnąć raz, drugi, trzeci, dopiero wtedy może w końcu wydusi z siebie, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym zwinęłaś mu z talerza frytkę, co go bardzo zabolalo.

Terri mówiła dalej, ale Charlie przełączyła się na słuchanie

jej dzieci, które próbowały się pozabijać. Już kiedyś dała się nabrać złośliwym siostronom Bena, kiedy wzięła za dobrą monetę ich słowa, podczas gdy powinna zrozumieć, dlaczego Ben widuje się z nimi tylko w Święto Dziękczynienia. Były apodyktycznymi bezmyślnymi babami, które rządziły Benem żelazną ręką. Dopiero w college'u zorientował się, że chłopakom wolno sikać na stojąco.

- Rozmawiałam z Carlą o tym, co się z wami dzieje - ciągnęła Terri. - To nie ma sensu. Wiesz, że on cię kocha, ale ma kołek w tyłku i nic nie powie. - Przerwała na chwilę, żeby nawrzeszczyć na dzieci, po czym wróciła do przerwane go wątku: - Czy Benny coś ci powiedział? Podał powód?

- Nie - skłamała Charlie. Gdyby siostry знаły Bena, wiedziałyby, że nigdy nie wyprowadziły się bez powodu.

- Nie dawaj mu spokoju, wciąż go szturchaj. Założę się, że chodzi o jakiś drobiazg.

Nie chodziło o drobiazg.

- On jest za wrażliwy. Opowiadałam ci kiedyś, jak w Disneylandzie...

- Możemy tylko nad tym pracować.

- Postarajcie się bardziej. Dziewięć miesięcy to za długo, Charlie. Niedawno Peggy mówiła, że przez dziewięć miesięcy doczekała się dziecka, więc dlaczego wy nie możecie... O cholera.

Charlie czuła, jak jej dłoń zaciska się na słuchawce.

- Cholera - powtórzyła Terri. - Wiesz, że najpierw mówię, potem myślę. Taka już jestem.

- Nic się nie stało, naprawdę. Nie przejmuj się. Mam klienta

na drugiej linii. - Charlie mówiła z prędkością karabinu maszynowego, nie dając wejść sobie w słowo. - Dziękuję za telefon. Pozdrów resztę. Porozmawiamy później.

Z impetem odłożyła słuchawkę na widełki.

Schowała twarz w dłoniach. Najgorsze w tej rozmowie było to, że dziś wieczorem nie będzie mogła położyć się do łóżka z Benem, oprzeć mu głowy na piersi i powiedzieć, jaką wredną suką jest jego siostra.

Odchyliła się na krześle. Zobaczyła, że Lenore dotrzymała słowa. Do komputera był podłączony nowy iPhone. Włączyła ekran startowy. Wpisała 1-2-3-4 jako kod dostępu, ale nie zadziałał. Spróbowała datę urodzenia. Telefon został odblokowany.

Zaczęła od sprawdzenia poczty głosowej. Jedna wiadomość od Rusty'ego dziś rano. Kilka wiadomości od przyjaciółek po strzelaninie.

Od Bena nic.

Grzmiący głos Rusty'ego niósł się echem po budynku. Ojciec Charlie prowadził Avę Wilson do biura. Z intonacji jego głosu domyśliła się, co mówił. Wygłaszał swoją zwyczajową formułkę, z jaką zwracał się do klientów:

- Nie musisz mówić mi całej prawdy, ale musisz powiedzieć prawdę.

Zastanawiała się, czy Ava jest w stanie wyłapać subtelność zawartą w tym zdaniu. I modliła się w duchu, żeby Rusty nie wyskoczył z teorią jednoroźca. Ava już łudziła się fałszywą nadzieją. Nie potrzebowała kolejnej dawki złudzeń od Rusty'ego.

Odpaliła komputer. Wyszukiwarka nadal była otwarta na „borówkach amerykańskich”. Wpisała nowe hasło: „Mindy Zowada Pikeville”.

Dziewczyna, która w książce pamiątkowej nazwała Kelly Wilson „pieprzoną zdzirą”, miała konto na Facebooku z ustawieniami prywatnymi, ale Charlie mogła zobaczyć baner pełen zdjęć Justina Biebera. Zdjęcie profilowe przedstawiało Mindy w stroju cheerleaderki Rebelsów. Wyglądała dokładnie tak, jak ją sobie wyobrażała: ładna, wredna i zadowolona z siebie.

Charlie przestudiowała listę sympatii i antypatii Mindy, zirytowana, że jest za stara, by zrozumieć połowę z tego, co zajmowało tę nastolatkę.

Kliknęła myszką.

Miała na Facebooku dwa konta. Jedno prawdziwe pod własnym nazwiskiem, drugie fałszywe. Początkowo to fałszywe miało być żartem. Przynajmniej tak sobie wmawiała. Po utworzeniu adresu mejlowego do konta i wstawieniu zdjęcia świni w krawacie jako zdjęcia profilowego w końcu przyznała sama przed sobą, że będzie go używać do śledzenia dziewczyn z rodziny Culpepperów, jej prześladowczyń z liceum. Fakt, że wszystkie przyjęły Ionę Trayler do grona znajomych, potwierdził niskie mniemanie Charlie o ich inteligencji. Co dziwniejsze, dołączyli do grona jej znajomych liczni reprezentanci rodziny Traylerów, którzy ślali jej życzenia w fałszywe urodziny, prosili o modlitwę za chore ciotki i dalekie kuzynki.

Charlie zalogowała się na konto Iony Trayler i wysłała do

Mindy Zowady prośbę o przyjęcie do grona znajomych. Strzelała w ciemno, ale była ciekawa, co dziewczyna kiedyś tak podła wobec Kelly pisze o niej teraz. Poszerzenie kręgu zainteresowania o prześladowców innej dziewczyny było przejawem obsesji. Jej analiza mogła poczekać.

Zamknęła przeglądarkę. Na pulpicie miała pusty dokument w Wordzie. Nie mogła dłużej zwlekać. Zaczęła spisywać zeznanie dla Rusty'ego. Relacjonowała zdarzenia sucho i konkretnie, myśląc o minionym poranku jak o historii opisanej w gazecie. Najpierw stało się to, potem to, potem tamto i tak dalej.

Straszne historie łatwiej przetrwać, kiedy człowiek odsunie na bok emocje.

Szkolna część relacji nie odbiegała od tego, co Charlie powiedziała Delii Wofford. Ten dokument mógł zostać przedstawiony w sądzie. Nie przypominała sobie niczego nowego. Tyle że teraz miała pewność. Cztery strzały przed krzykiem pani Pinkman. Dwa strzały po.

Przestała pisać. Wpatrywała się w ekran, aż litery zaczęły się zamazywać. Czy pani Pinkman otworzyła drzwi po usłyszeniu czterech strzałów? Czy krzyknęła na widok męża i dziewczynki na ziemi? Czy Kelly Wilson wystrzeliła pozostałe naboje, żeby ją uciszyć?

Jeśli Kelly się nie otworzy, prawdę poznają dopiero po upływie tygodni, może nawet miesięcy, gdy Rusty będzie miał w ręku raport ekspertów kryminalistycznych i zeznania świadków.

Charlie zamrugła, wcisnęła ENTER i zaczęła od nowego

akapitu. Opuściła rozmowę z Benem na komisariacie i przeszła do rozmowy z Delią Wofford. Mimo wymysłów o kuli miała rację co do tego, że upływ czasu wyostrza perspektywę. Tu znowu zyskała pewność. Przed podpisaniem zeznania będzie musiała wnieść do niego poprawki.

Komputer zaćwierkał.

TraylerLvr483@gmail.com:

Mindy Zowada przyjęła cię do grona znajomych!

Charlie otworzyła stronę Mindy. W miejsce poprzedniego baneru pojawiła się płonąca świeca.

- Ożeż ty - wymamrotała i przewinęła ekran w dół.

Sześć minut wcześniej Mindy napisała:

Nie wiem co robić jest mi smutno myślałam że kelly jest dobra zostaje tylko modlitwa?

Zabawne, zważywszy na to, co myślała o Kelly Wilson pięć lat temu.

Charlie zaczęła czytać odpowiedzi. Ton trzech pierwszych współgrał z nastrojem Mindy. Autorki były w szoku - w szoku! - że dziewczyna gnębiona przez całą szkołę w końcu nie wytrzymała. Czwarty komentarz stworzył dupek, jakich pełno w sieci i jacy plują jadem na wszystko - od niewinnego zdjęcia kota po film z urodzinowego przyjęcia dziecka.

Nate Marcus napisał:

Wiem co z nią było nie tak to pieprzona szmata bzykała się z całą drużyną futbolową może dlatego to zrobiła bo ma aids

Chale Lovette odpowiedział:

Rany powieszę tę sukę obciągała mi może moja grzeszna sperma kazała jej to zrobić

Alicia Todd skomentowała:

Suka będzie się smażyć w piekle kelly wilson jaka szkoda!

Charlie spisała wszystkie nazwiska. Sądziła, że Rusty zechce zamienić z nimi słowo. Jeśli chodzili z Kelly do gimnazjum, niektórzy mogli mieć już ponad osiemnaście lat, co oznaczało, że nie potrzebował zgody rodziców na rozmowę.

- Lenore zabrała Avę Wilson na spotkanie z mężem.

Charlie podskoczyła na dźwięk jego głosu. Najbardziej hałaśliwy z żyjących ludzi zdołał ją zaskoczyć.

- Chcą być przez chwilę sami, porozmawiać o tym. - Rusty klapnął na sofę stojącą naprzeciw jej biurka. Zaczął przebierać palcami po nogach. - Nie wiem, czy stać ich na hotel. Chyba będą spać w samochodzie. Nawiasem mówiąc, rewolweru w schowku nie ma.

Charlie spojrzała na zegar. Była osiemnasta trzydzieści osiem. Czas najpierw pełzał, potem się rozpędził.

- Nie rozmawiałeś z nią o niewinności? - zapytała.

- Nie. - Rozparł się wygodnie. Jedną rękę położył na poduszkach, drugą nadal bębnił się po nodze. - Szczerze mówiąc, w ogóle niewiele z nią o tym rozmawiałem. Zapisałem jej parę rzeczy, żeby pokazała mężowi. Informacje o tym, czego mogą się spodziewać w najbliższych tygodniach. Ona wierzy, że córka wróci do domu.

- Jak grzeczny jednorożec?

- Misiaczku Charlie, jest niewinność i uznanie za niewinnego, a między tym całe pole interpretacji. - Puścił do niej oko. - Może podrzucisz swojego starego ojca do domu?

Nie znosiła jeździć na farmę, nawet jeśli było to tylko

odwiezienie Rusty'ego. Od lat nie była w środku Pieprznika.

- Gdzie twoje auto?

- Musiałem zostawić w warsztacie. - Rusty zwiększył intensywność bębnienia palcami w kolano. Robił to w sobie tylko znanym rytmie. - Domyśliłaś się już, dlaczego Ben dzwonił do ciebie rano?

Charlie potrząsnęła głową.

- A ty wiesz? - Widziała, że otworzył usta, ale zamiast powiedzieć coś konkretnego, uśmiechnął się szeroko. - Russell, nie mam nastroju na twoje skurwysyńskie gierki. Powiedz mi prawdę.

Jęknął głośno, wstając z kanapy, po czym oznajmił:

- Całą prawdę rzadko daje się odsłonić.

Wyszedł, zanim Charlie znalazła coś, czym mogłaby w niego cisnąć.

Nie śpieszyła się do samochodu, ponieważ Rusty zawsze się spóźniał, chociaż wszędzie pędził. Wydrukowała swoje zeznanie. Wysłała mejlem kopię do siebie, na wypadek gdyby chciała zerknąć na nie w domu. Wzięła akta, które czekały na przejrzenie. Sprawdziła, czy na Facebooku pojawiły się nowe wpisy. W końcu zebrała rzeczy i zamknęła biuro. Po wyjściu z budynku wpadła na Rusty'ego dopalającego papierosa.

- Taka gniewna mina na takiej pięknej buzi - powiedział, gasząc papierosa o obcas buta i wrzucając niedopałek do kieszeni płaszcza. - Będziesz miała takie same zmarszczki wokół ust jak twoja babcia.

Charlie rzuciła torbę na tylne siedzenie auta i usiadła za kierownicą. Czekala, aż Rusty zamknie budynek. Przyniósł ze

sobą do samochodu woń dymu. Zanim wjechała na drogę, czuła się jak w fabryce cameli.

Opuściła okno, poirytowana, że musi jechać na farmę.

- Nie powiem ani słowa o tym, jaką bezbrzeżną głupotą jest palenie papierosów po dwóch zawałach i operacji na otwartym sercu.

- To się nazywa paralipsa albo z greckiego apophasis - poinformował ją Rusty, przytupując wesoło. - Chwył retoryczny polegający na zapowiedzi pominięcia czegoś, na co chce się zwrócić szczególną uwagę. Lub sarkazm, figura retoryczna pokrewna ironii, który, jak sędzę, towarzyszył ci w szkole.

Charlie sięgnęła na tylne siedzenie i wyjęła z torby wydruk swojego zeznania.

- Przeczytaj to. W aucie obowiązuje zakaz rozmowy z kierowcą do samego Pieprznika.

- Tak jest, proszę pani. - Rusty wyjął z kieszeni okulary do czytania. Włączył górną lampkę. Przytupywał, czytając pierwszy akapit. Potem jego stopa znieruchomiała.

Charlie wyczuła, że wbił w nią badawcze spojrzenie.

- Dobra, przyznaję. Nie znam imienia tego faceta.

Kartki zaszeleściły, gdy ręka Rusty'ego opadła bezwładnie na kolana.

Charlie spojrziała na ojca. Zdjął okulary. Nie tupął, nie bębnił, nie podskakiwał. W milczeniu wyglądał przez okno ze wzrokiem utkwionym gdzieś daleko.

- Co się dzieje?

- Ból głowy.

Rusty nigdy nie skarżył się na dolegliwości ciała.

- Chodzi o tego faceta? - Kiedy nie odpowiedział, ponowiła pytanie: - Wściekasz się na mnie za tego faceta?

- Ależ skąd.

Poczuła niepokój. Mimo obcesowości wobec ojca, nie mogła znieść myśli, że go zawiodła.

- Jutro dowiem się, jak ma na imię.

- To nie twoje zadanie. - Rusty zatknął okulary za kieszonkę koszuli. - Chyba że masz zamiar się z nim spotykać.

Charlie wyczuła w tej sugestii coś dziwnego.

- To miałyby jakieś znaczenie?

Rusty nie odpowiedział. Znowu wyglądał przez okno.

- Albo zaczniesz nucić i opowiadać głupie dowcipy, albo wiozę cię do szpitala, żeby zbadali ci serce - zagroziła.

- Nie o moje serce się martwię. - Powiedział to wprost, bez zwyczajowej emfazy. - Co zaszło między tobą a Benem?

Stopa Charlie omal nie spadła z pedału gazu.

W ciągu dziewięciu miesięcy Rusty ani razu o to nie zapytał. Dopiero po pięciu dniach powiedziała mu o odejściu Bena. Stała w drzwiach jego biura. Planowała przekazać tę informację i nic ponad to. Jak zaplanowała, tak zrobiła. Rusty skinął tylko głową, jakby przypomniawszy mu o ostrzyżeniu włosów. Jego milczenie wywołało u niej słowotok, jakiego nie doświadczyła od dziewiątej klasy. Usta jej się nie zamykały. Wyraziła nadzieję, że Ben wróci do domu w weekend; że oddzwoni; że odpowie na jej esemesy, na wiadomości w poczcie głosowej, na liścik, który wetknęła za wycieraczkę jego auta.

Wreszcie Rusty zacytował strofę z wiersza Emily Dickinson. Pewnie po to, by w końcu zamilkła.

*„Nadzieja” jest tym upierzonym
Stworzeniem na gałązce
duszy^[1].*

- Tato - zaczęła Charlie, ale nic więcej nie przyszło jej do głowy. Reflektory nadjeżdżającego z naprzeciwka auta zaświeciły jej w oczy. Po chwili spojrzała we wsteczne lustro, obserwując znikające czerwone światła pozycyjne. Nie chciała tego, jednak to opowiedziała: - Nie poszło o jedną rzecz. Nagromadziło się wiele spraw.

- Może powinnaś zadać sobie pytanie, jak to naprawisz?

Charlie zrozumiała, że rozmowa na ten temat była błędem.

- Dlaczego zakładasz, że tylko ja mogę to naprawić?

- Ponieważ Ben nigdy by cię nie zdradził ani celowo nie zranił, więc musiało pójść o to, co ty zrobiłaś albo czego nie robisz. - Gdy Charlie zagryzła mocno wargi, dodał: - Ten mężczyzna, z którym się widzisz...

- Nie widuję się - warknęła. - Spotkaliśmy się tylko raz, pierwszy i ostatni, i wypraszam sobie...

- Chodzi o poronienie?

Charlie wstrzymała oddech.

- To było trzy lata temu. - I sześć. I trzynaście. - Poza tym Ben nie byłby tak okrutny.

- Właśnie. Ben nigdy nie byłby tak okrutny.

Zastanowił ją ten komentarz. Czy Rusty sugerował, że ona mogłaby zachować się okrutnie?

Rusty westchnął ciężko. Zwinął papiery w rulon. Dwa razy

stuknął stopą w podłogę.

- Miałem wiele czasu na przemyślenia. Najbardziej kochałem w twojej matce to, że trudno było ją kochać.

Charlie poczuła nagłe ukłucie w sercu z powodu nasuwającego się porównania między nią a Gammą.

- Jej problem, jedyny problem, jeśli zapytasz o zdanie uwielbiającego ją mężczyznę, polegał na tym, że była zbyt inteligentna. - Trzykrotnym stuknięciem stopy podkreślił trzy ostatnie słowa. - Wiedziała wszystko. Sypała informacjami jak z rękawa. Nie potrzebowała nawet chwili namysłu. Jak pierwiastek kwadratowy z trzech. Odpowiedziałyby od razu, że... Cholera, nie znam odpowiedzi, ale...

- Jeden siedemdziesiąt trzy.

- Właśnie. A gdyby ktoś zapytał, powiedzmy, o najczęściej występującego ptaka na ziemi?

- Kura - z westchnieniem odparła Charlie.

- Najbardziej zabójcza istota na ziemi?

- Komar.

- Najważniejszy produkt eksportowy Australii?

- Hm... Ruda żelaza? - Charlie zmarszczyła brwi. - Tato, do czego zmierzasz?

- Zadam ci pytanie: jaki był mój wkład do naszej wymiany zdań?

Charlie nie nadążała za tokiem jego myślenia.

- Jestem zbyt zmęczona na rozwiązywanie zagadek.

- Pomoc wizualna... - Rusty zaczął bawić się przyciskiem do otwierania i zamykania okna. Opuścił je nieco, podniósł, potem znowu opuścił i podniósł.

- Twój wkład to działanie mi na nerwy i zamiar zepsucia mojego auta.

- Charlotte, pozwól, że udzielę ci odpowiedzi.

- Niech ci będzie.

- Nie, skarbie. Słuchaj, co mówię. Czasami, nawet jeśli znasz odpowiedź, powinnaś pozwolić drugiej osobie spróbować. Jeśli ludzie ciągle czują się przy tobie źle, nigdy nie będą mieli szansy, żeby poczuć się dobrze.

Charlie znowu zagryzła wargi, nic nie odpowiedziała.

- Wróćmy do pomocy wizualnej. - Rusty ponownie nacisnął przycisk, ale tym razem opuścił okno do końca. Potem uruchomił funkcję zamykania i okno pojechało do góry. - Łatwe i przyjemne. Do przodu i do tyłu. Jakby uderzanie z woleja piłeczki na korcie, tyle że nie muszę biegać, żeby ci to unaocznic.

Charlie usłyszała, jak wybija stopą rytm w takt kliknięć kierunkowskazu, który włączyła, by skręcić w prawo w podjazd prowadzący na farmę.

- Powinieneś zostać terapeutą małżeńskim - stwierdziła.

- Próbowałem, ale z jakiegoś powodu żadna kobieta nie chciała wsiąść ze mną do samochodu. - Kuksnął ją łokciem w bok, aż w końcu uśmiechnęła się niechętnie.

- Pamiętam, jak twoja mama powiedziała mi kiedyś: Russell, przed śmiercią muszę rozstrzygnąć, czy wolę być szczęśliwa, czy mieć rację.

Charlie poczuła dziwne ściskanie w sercu, ponieważ zabrzmiało to dokładnie tak jak wiele stwierdzeń Gammy.

- Była szczęśliwa?

- Myślę, że zbliżała się do tego stanu. - Rusty wydał z siebie świszczący oddech. - Była nieprzenikniona. Była piękna. Była...

Nagle w światłach subaru zobaczyli długą ścianę farmy, na której ktoś sprejem napisał KOZOJEBCA.

- Zabawne - powiedział Rusty. - „Koza” jest tu od tygodnia, może dwóch. „Jebca” pojawił się dzisiaj. - Klepnął się w kolano. - Bardzo racjonalne zachowanie, nie sądzisz? Koza już tu jest. Nie trzeba wyjeżdżać z Szekspirem.

- Musisz wezwać policję.

- Skarbie, to może być dzieło policji.

Charlie podjechała od strony drzwi kuchennych. Włączyły się lampy. Ich światło było tak jasne, że zobaczyła wszystkie chwasty w zarośniętym ogrodzie.

- Powinam wejść z tobą i upewnić się, że nikogo tam nie ma - powiedziała wbrew sobie.

- Nie. - Rusty otworzył drzwi i wysiadł. - Nie zapomnij jutro o parasolce. Jestem pewien, że będzie padać.

Patrzyła, jak żwawym krokiem zmierza do domu. Stał na werandzie, gdzie wiele lat temu ona i Sam zostawiały skarpetki i tenisówki. Otworzył dwa zamki i pchnął drzwi. Zamiast wejść do środka, odwrócił się i zsalutował, dobrze wiedząc, że stoi między KOZO i JEBCA.

- Co się stało, odstać się nie może! Do łóżka, do łóżka, do łóżka! - krzyknął.

Charlie wrzuciła wsteczny bieg.

Nie było potrzeby przywoływać Szekspira.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Charlie siedziała w garażu z rękami zaciśniętymi na kierownicy.

Nienawidziła wszystkiego, co wiązało się z powrotami do pustego domu.

Ich pustego domu.

Nienawidziła wieszać kluczy na haczyku przy drzwiach, ponieważ haczyk Bena był pusty. Nienawidziła siedzieć na kanapie, ponieważ Ben nie siedział na drugim końcu z palcami stóp opartymi o stolik do kawy. Nie mogła nawet siadać w kuchni przy kontuarze, ponieważ na widok pustego stołka Bena czuła dojmujący smutek. Większość wieczorów spędzała, jedząc płatki przy zlewie i patrząc za okno wprost w ciemność.

Niemożliwe, żeby kobieta po niemal dwudziestu latach małżeństwa żywiła tak intensywne uczucie do męża, ale pod jego nieobecność Charlie usychała z miłości, co jej się nie zdarzyło od czasów szkoły średniej.

Nie uprała poszewki na poduszkę Bena. Jego ulubione piwo nadal zajmowało miejsce na drzwiach lodówki. Zostawiła jego brudne skarpetki na podłodze przy łóżku. Wiedziała, że jeśli je pozbiera, Ben nie wróci, żeby zostawić następną parę.

W pierwszym roku małżeństwa najczęściej kłócili się właśnie o skarpetki. Ben miał zwyczaj, że wieczorem rzucał je na podłogę po swojej stronie łóżka. Charlie zaczęła kopać je pod łóżko, gdzie on nie zaglądał. Któregoś dnia zorientował

się, że nie ma ani jednej czystej pary. Charlie wybuchnęła śmiechem, on na nią nawrzeszczał, ona nie pozostała mu dłużna, a ponieważ oboje mieli po dwadzieścia pięć lat, awantura skończyła się dzikim seksem na podłodze. W magiczny sposób furia, do jakiej doprowadzał Charlie widok skarpetek na ziemi, z upływem czasu przeszła w łagodne rozdrażnienie.

Po miesiącu bez Bena, kiedy w końcu do niej dotarło, że to coś więcej niż chwilowy kryzys, usiadła obok skarpetek i rozszlochała się jak dziecko.

Wtedy i tylko wtedy dała ujście swojej rozpacz. Po długiej jak wieczność przepłakanej nocy postanowiła wreszcie wcześniej wstawać, myć zęby przynajmniej dwa razy dziennie, kąpać się regularnie i robić inne rzeczy konieczne do udowodnienia światu, że jest normalnie funkcjonującą istotą ludzką. Doświadczyła tego wcześniej. W chwili, w której opuszczała gardę, świat osuwał się w znajomą otchłań.

Cztery pierwsze lata w college'u były szaloną galopadą nieustających zabaw, jakich nie zaznała w szkole średniej. Bez Lenore u boku, która stawiała ją do pionu, Charlie folgowwała sobie do woli. Nadmiar alkoholu. Nadmiar chłopaków. Poranki na kacu, kiedy nie poznawała chłopaka w swoim łóżku albo właściciela łóżka, w którym się budziła, i nie pamiętała, czy powiedziała tak czy nie, czy może urwał jej się film po hektolitrach piwa, jakie w siebie wlała.

Jakimś cudem ocknęła się w porę i z doskonałym wynikiem zdała egzamin obowiązujący przy rekrutacji na studia prawnicze. Papiery złożyła tylko na wydział prawa Duke

University. Chciała zacząć wszystko od nowa. Nowa uczelnia. Nowe miasto. Ryzyko się opłaciło, bo wreszcie jej życie zaczęło się układać. Poznała Bena na zajęciach ze wstępu do podstaw prawa. Na trzeciej randce ustalili, że skoro mają zamiar pobrać się w przyszłości, równie dobrze mnogą pobrać się od razu.

Z zamyślenia wyrwały ją zgrzytliwe odgłosy. Sąsiad ciągnął pojemnik na śmieci w stronę krawężnika. U nich w domu ten obowiązek spoczywał na Benie. Po jego odejściu produkowała tak mało śmieci, że raz w tygodniu kładła na końcu podjazdu ledwie jedną torbę odpadków.

Spojrzała na siebie we wstecznym lusterku. Sińce pod oczami nabrały już głębokiej czerni, zupełnie jak u futbolisty. Była obolała, nos pulsował. Miała ochotę na zupę, krakersy i gorącą herbatę, ale nie było nikogo, kto mógłby je dla niej zrobić.

Pokręciła głową.

- Jesteś kurewsko żałosna - powiedziała do siebie. Miała nadzieję, że słowne upokorzenie pomoże jej wyrwać się z marazmu.

Nie pomogło.

Wygramoliła się z auta, zanim pojawiła się pokusa zamknięcia drzwi garażu i uruchomienia silnika.

Zignorowała puste miejsce po pikapie Bena. Półki, na których stały starannie podpisane pudełka i sprzęt sportowy, którego jeszcze nie zabrał. W metalowej szafce, którą złożył zeszłego lata, znalazła torbę kociej karmy.

Skrycie śmiali się z tych, którzy mieli tak zagracone garaże,

że nie mogli trzymać w nich aut. Dbłość o porządek była jedną z tych rzeczy, która świetnie im obojgu wychodziła. Co sobota razem sprząтали dom. Charlie robiła pranie. Ben składał ubrania. Charlie sprzątała kuchnię. Ben odkurzał dywany i wycierał kurze z mebli. W tym samym czasie czytali te same książki, żeby móc o nich dyskutować. Namiętnie oglądali Netflixa i Hulu. Siadali przytuleni na sofie i rozmawiali o tym, jak im minął dzień w pracy, o swojej rodzinie i o planach na następny dzień.

Wstydziała się na wspomnienie tego, jacy byli zadowoleni ze swojego fantastycznego małżeństwa. W tylu sprawach się zgadzali. Jak wiesztać rolkę papieru toaletowego. Ile kotów powinno przypadać na jednego człowieka. Jak długo powinna trwać żałoba po współmałżonku zaginionym na morzu. Kiedy ich przyjaciele kłócili się w towarzystwie albo sobie docinali, Charlie patrzyła na Bena albo Ben patrzył na nią i wymieniali uśmiech, ponieważ ich związek był tak cholernie mocny i trwały.

Charlie go lekceważyła i deprecjonowała.

O to poszło Benowi.

Jej przemiana z oddanej i wspierającej żony we wściekłą jędzę nie nastąpiła stopniowo. Z dnia na dzień przestała być zdolna do kompromisów. Już nie umiała odpuścić. Wszystko, co robił Ben, budziło jej irytację. To nie skarpetki. Tego nie mogli załatwić szaleńczym seksem. Charlie zdawała sobie sprawę ze swojego męczącego zachowania, ale nie umiała się powstrzymać. Nie chciała przestać. Najbardziej złościło ją, kiedy udawała zainteresowanie tematami, które wcześniej

naprawdę budziły jej zainteresowanie: intrygami w firmie Bena, dziwactwami czworonożnych pupilów czy dziwną naroślą, jaką jeden ze współpracowników Bena miał na szyi.

Poszła do lekarza. Hormony miała w normie. Tarczycę zdrową. To nie był medyczny problem. Okazała się po prostu jędzowatą apodyktyczną żoną.

Siostry Bena nie posiadały się z radości. Pamiętała ich wielkie oczy, kiedy w Święto Dziękczynienia pierwszy raz naskoczyła na Bena jak dzikuska.

Uznały wtedy, że jest jedną z nich.

Od tamtej pory na zmianę wydzwaniały do niej prawie codziennie, a ona dawała upust swojej irytacji przywarami Bena. Garbienie się. Niedbały krok. Przygryzanie koniuszka języka. Nucenie przy myciu zębów. Dlaczego przyniósł do domu mleko odtłuszczone zamiast dwuprocentowego? Dlaczego zostawiał worek ze śmieciami przy tylnych drzwiach zamiast wrzucić go do pojemnika, chociaż wiedział, że dobiorą się do niego szopy?

Potem zaczęła opowiadać siostrze Bena o osobistych sprawach. Jak Ben próbował nawiązać kontakt z długo nieobecny ojcem. Dlaczego przez pół roku nie rozmawiał z Peggy, gdy poszła do college'u. Co się stało z dziewczyną, którą wszystkie lubiły – ale nie bardziej niż Charlie – i którą ponoć rzucił, chociaż według nich to ona złamała mu serce.

Kłóciła się z nim przy innych. Przerywała mu w pół słowa na przyjęciach.

To było coś więcej niż deprecjonowanie. Po dwóch latach ciągłego wchodzenia Benowi na głowę Charlie skutecznie

wdeptała go w ziemię. Rozżalenie i uraza w jego oczach, ciągłe prośby, żeby chociaż raz wzięła na wstrzymanie, trafiały w próżnię. Dwa razy udało mu się zaciągnąć ją na terapię dla par. Charlie była tak złośliwa i agresywna, że terapeutka zasugerowała osobne sesje.

To cud, że Ben miał jeszcze siły na spakowanie walizek i wyjście z domu.

- Kuuurwa - zaklęła Charlie.

Rozsypała suchą karmę dla kota na tylnym tarasie. Ben miał rację co do odpowiedniej liczby kotów. Kiedy zaczęła karmić bezpieczne koty, po nich pojawiły się inne zwierzęta - wiewiórki szare, wiewiórki ziemne i ku jej przerażeniu opus wielkości niedużego psa, który co wieczór szurał na tarasie i wpatrywał się w nią zza szyby, a jego świdrujące czerwone oczka lśniły w świetle telewizora.

Rękami zgarnęła kocie jedzenie. Przeklinała Bena, że wziął na weekend psa, ponieważ Barkzilla, ich żarłoczny Jack Russell terier, pochłonałby to wszystko w mgnieniu oka. Rano zaniedbała obowiązki, więc miała więcej do zrobienia wieczorem. Dosypała karmy i wlała wodę do misek, widłami przerzuciła siano na ściółkę dla zwierzątek. Napełniła karmniki dla ptaków, umyła taras. Szczotką na długim kiju usunęła część pajęczyn. Robiła wszystko, byle tylko nie wchodzić do domu, aż zrobiło się za ciemno i za chłodno, żeby zostać na zewnątrz.

Przy drzwiach powitał ją pusty haczyk na klucze Bena. Dalej pusty stółek. Pusta kanapa. Ta pustka przywędrowała za nią do sypialni, potem do łazienki i pod prysznic. Na mydle nie

było włosów Bena, po jego stronie umywalki nie leżała szczoteczka do zębów, po jej stronie nie było jego maszynki do golenia.

Żałość jej położenia była tak dolegliwa, że kiedy Charlie zwlokła się po schodach w piżamie, nawet wsypanie płatków do miseczki zdawało się wysiłkiem ponad siły.

Opadła na kanapę. Nie miała ochoty czytać. Nie miała ochoty gapić się w sufit i jęczeć. Zrobiła to, czego unikała przez cały dzień – włączyła telewizor.

Był już nastawiony na CNN. Ładna jasnowłosa nastolatka stała przed szkołą. Trzymała w dłoni płonąca świecę. Najwidoczniej przed gimnazjum odbywała się milcząca manifestacja. Na pasku widniał napis:

CANDICE BELMONT, PÓŁNOCNA GEORGIA.

- Pani Alexander ciągle opowiadała o swojej córce. Nazywała ją „dzieciątkiem”, bo była słodka jak małe dziecko. Widać było, jak bardzo ją kocha.

Charlie wyciszyła dźwięk. Media wykorzystywały tę tragedię tak samo jak ona wykorzystywała odejście Bena do użalania się nad sobą. Jako osobie, która na własnej skórze doświadczyła tego rodzaju przemocy i musiała żyć z jej skutkami, robiło się jej niedobrze za każdym razem, gdy widziała relacje o takich zdarzeniach. Przerysowana w dosłowności grafika, sugestywna muzyka, ujęcia pokazujące zrozpaczonych ludzi. Stacje telewizyjne walczyły o widzów, a najprostszym sposobem ich zatrzymania było przekazywanie na bieżąco wszystkich zasłyszanych informacji, a dopiero w drugiej kolejności odsiewanie prawdy od zmyśleń.

Kamera powędrowała od ładnej blondyneczki ku przystojnemu reporterowi z rękawami koszuli podwiniętymi do połowy przedramienia na tle płonącej świecy. Charlie obserwowała teatralny żal na jego twarzy, gdy oddawał głos do studia. Prowadzący program z równie zboląłą miną powtarzał znane już informacje. Charlie przeczytała tekst przesuwający się na pasku u dołu ekranu:

WUJEK LUCY ALEXANDER: KELLY RENE WILSON
„BEZWZGLĘDNA MORDERCZYNI”.

Opinia publiczna poznała drugie imię Kelly Wilson. Charlie przypuszczała, że jakiś producent telewizyjny w Nowy Jorku uznał, że to brzmi bardziej złowrogo.

Napisy zniknęły. Zniknął też prowadzący. Na ekranie pojawiła się ilustracja przedstawiająca szkolny korytarz z rzędem metalowych szafek. Była trójwymiarowa, ale wyglądała dziwnie płasko. Charlie domyślała się, że chodziło o wyraźne zaznaczenie, że to tylko model, a nie obraz prawdziwego korytarza. Pewnie skorygowano to po interwencji prawnika. W prawym górnym rogu pojawiło się mrugające na czerwono słowo REKONSTRUKCJA.

Obraz ożył. Do holu weszła sztywno poruszająca się postać narysowana kanciastą kreską. Długie włosy i ciemne ubranie sugerowały, że to Kelly Wilson.

Charlie włączyła dźwięk.

- ...około szóstej pięćdziesiąt pięć domniemana sprawczyni strzelaniny Kelly Rene Wilson weszła do holu. - Animowana Kelly przystanęła na środku ekranu. W ręku miała broń bardziej podobną do pistoletu, tak zwanej dziewiątki, niż do

rewolweru. - Z relacji wynika, że stała w tym miejscu, gdy Judith Pinkman otworzyła drzwi swojej klasy.

Charlie przesunęła się na brzeg kanapy.

Kanciasta pani Pinkman otworzyła drzwi. Z jakiegoś powodu twórca rekonstrukcji zamienił jej sięgające do ramion rozpuszczone blond włosy przetykane siwizną w szarosrebrzysty kok.

- Wilson zobaczyła Pinkman i oddała dwa strzały - ciągnął prowadzący. Z broni w ręku Kelly uniosły się dwa obłoczki dymu. Lot kul sugerowały proste linie bardziej przypominające strzały. - Oba niecelne. Na dźwięk wystrzałów z gabinetu wybiegł Douglas Pinkman, mąż Judith Pinkman od dwudziestu pięciu lat.

Wirtualny pan Pinkman wyłonił się z gabinetu. Jego nogi poruszały się w innym tempie niż cała sylwetka.

- Wilson zobaczyła swojego byłego dyrektora i strzeliła dwa razy. - Z lufy wydobyły się dwa kolejne obłoczki dymu. Strzałki obrazujące lot naboju prowadziły ku piersi pana Pinkmana. - Douglas Pinkman zginął na miejscu.

Charlie patrzyła, jak wirtualny pan Pinkman osuwa się na ziemię, łapiąc się za serce. Dwie plamki krwi przypominające kształtem kałamarnice pojawiły się na środku niebieskiej koszuli z krótkim rękawem.

To był błąd, ponieważ pan Pinkman miał białą koszulę z długim rękawem. I nie nosił krótko wystrzyżonych włosów.

Zupełnie jakby twórca animacji uznał, że dyrektor gimnazjum musi wyglądać jak agent federalny z lat siedemdziesiątych, a nauczycielka angielskiego jak babunia

z koczką.

- Następnie - mówił prowadzący - na korytarzu pojawiła się Lucy Alexander.

Charlie zacisnęła powieki.

- Lucy zapomniała wziąć pieniądze na lunch od swojej mamy, nauczycielki biologii, która w chwili strzelaniny brała udział w zebraniu po drugiej stronie ulicy. - Zapadła cisza. Wyobraźnia podsunęła Charlie inny obraz Lucy Alexander, przedstawionej nie kanciastą kreską, lecz prawdziwej małej dziewczynki idącej korytarzem i machającej wesoło rękami. - W jej kierunku Wilson wystrzeliła dwukrotnie. Pierwsza kula trafiła w górną część tułowia ośmiolatki. Druga przebiła szybę w oknie gabinetu za nią.

W tej samej chwili rozległo się trzykrotne pukanie do drzwi. Głośne.

Charlie otworzyła oczy. Ściszyła telewizor.

Po chwili ktoś zastukał jeszcze dwa razy.

Serce podeszło jej do gardła. Zawsze czuła strach, kiedy ktoś nieznajomy pukał do jej drzwi.

Wstała z kanapy. Pomyślała o broni w szafce nocnej przy łóżku i wyjrzała przez okno.

Uśmiechała się, zmierzając ku drzwiom.

Przez cały dzień intensywnie rozmyślała, co złego może ją jeszcze spotkać, i przez myśl jej nie przeszło, że może wydarzyć się coś dobrego.

- Cześć. - Ben stał na werandzie z rękami w kieszeniach. - Wybacz, że zawracam ci głowę tak późno, ale muszę wziąć akta.

- Aha... - Tylko tyle Charlie umiała z siebie wydusić. Nagła tęsknota ścisnęła ją za gardło. Ben przebrał się w spodnie dresowe i koszulkę, której nie widziała. Przyszło jej do głowy, że być może kupiła ją Kaylee Collins, dwudziestosześcioletka z jego biura. Co jeszcze w nim zmieniła? Charlie miała ochotę powąchać jego włosy i sprawdzić, czy nadal używa ich szamponu. I czy nosi bieliznę tej samej firmy co przed wyprowadzką.

- Mogę wejść? - zapytał.

- To nadal twój dom. - Dopiero teraz uświadomiła sobie, że blokuje sobą wejście. Cofnęła się, przytrzymując drzwi.

Ben przystanął przed telewizorem. Rekonstrukcja dobiegła końca. Na ekranie znowu pojawił się prowadzący.

- Ktoś ujawnia szczegóły, ale niezgodne z prawdą - stwierdził.

- Wiem - odparła Charlie.

Nie mylili się co do sekwencji zdarzeń, lecz w kwestii wyglądu ludzi, ich umiejscowienia i przemieszczania się. Źródłem przecieku do mediów był prawdopodobnie ktoś z zewnątrz, ale będący na tyle blisko kręgu dobrze poinformowanych, by dostarczyć wiarygodnej dla telewizji wersji wydarzeń.

Ben podrapał się w ramię i spojrzał w ziemię, po czym podniósł wzrok.

- Terri do mnie dzwoniła - oznajmił.

Charlie skinęła głową. Oczywiście, że siostra do niego dzwoniła. Jaki sens miało powiedzenie Charlie czegoś okropnego, gdyby Ben o tym nie wiedział?

- Przykro mi, że poruszyła ten temat.

- Nic się nie stało. - Charlie uniosła jedno ramię.

Dziewięć miesięcy temu powiedziałaby, że jednak się stało, ale teraz po prostu wzruszył ramionami.

- Skoro tak, to pójde na górę, dobrze?

Charlie gestem wskazała mu schody niczym szefowa sali.

Słuchała, jak wbiega na górę lekkim krokiem, i zastanawiała się, jak mogła zapomnieć ten odgłos. Poręcz zaskrzypiała pod jego ręką, gdy wylądował na podeście. W tym miejscu politura była już całkiem wytarta.

Dlaczego tego szczegółu nie umieściła w księdze strat?

Stała w miejscu, w którym ją zostawił. Wpatrywała się beznamiętnie w płaski ekran telewizora. Był olbrzymi, większy niż cokolwiek w Holler. Ben biedził się nad podłączeniem przez cały dzień, dopiero około północy zapytał:

- Chcesz obejrzeć wiadomości?

Kiedy skinęła głową twierdząco, wcisnął kilka klawiszy w komputerze i nagle Charlie zobaczyła na ekranie stado antylop gnu.

To było kiedyś.

Z góry dobiegł odgłos otwieranych drzwi. Skrzyżowała dłonie na podbrzuszu. Co powinna zrobić żona męża, który oszedł i pierwszy raz od dziewięciu miesięcy zjawił się w domu?

Znalazła Bena w pokoju gościnnym, który był raczej składem na nadprogramowe książki, szafki na dokumenty i robionych na zamówienie półek, na których Ben trzymał kolekcję gadżetów związanych ze *Star Trekiem*.

Dopiero kiedy cała kolekcja zniknęła, do Charlie dotarło, że Ben nie żartuje.

Był w garderobie i przeglądał zawartość pudeł z dokumentami.

- Pomóc ci? - zapytała.

- Nie.

Charlie uderzyła się o kant łóżka. Powinna wyjść? Zdecydowanie tak.

- Moja dzisiejsza ugoda - powiedział Ben. Charlie domyśliła się, że szuka starych akt dotyczących sprawy. - Facet skłamał w kwestii współnika.

- Przykro mi. - Charlie usiadła na łóżku. - Powinieneś zabrać piszczącego gryzaka Barkzilli. Znalazłam go obok...

- Kupiłem mu nowego.

Charlie spojrzała na podłogę. Starła się nie dopuścić do siebie myśli o Benie kupującym bez niej zabawkę dla ich psa. Albo w towarzystwie innej kobiety.

- Zastanawiam się, czy człowiek, który przekazał mediom błędną chronologię zdarzeń, zrobił to dla przyciągnięcia uwagi, czy dla pozbycia się prasy.

- Prokuratura okręgu Dickerson przegląda nagrania monitoringu ze szpitala.

- Świetnie - rzuciła Charlie, chociaż nie widziała związku.

- Twojemu tacie przebił opony zapewne jakiś nieszkodliwy idiota, ale prokuratura traktuje ten incydent poważnie.

- Dupek - mruknęła Charlie, ponieważ Rusty okłamał ją w sprawie powodu, dla którego potrzebował odwiezienia na farmę.

Ben wytknął głowę z garderoby.

- Co?

- Nic - rzuciła. - Ktoś pomazał mu dom sprejem. Napisali „kozojebca”. A raczej „jebca”, bo koza już tam była.

- „Kozę” widziałem w zeszły weekend.

- Co tam robiłeś w zeszły weekend?

Ben wyszedł z garderoby z pudłem w rękach.

- Widuję się z twoim tatą w każdą ostatnią niedzielę miesiąca. Wiesz o tym.

Rusty'ego i Bena zawsze łączył dziwny rodzaj zażyłości. Mimo różnicy wieku odnosili się do siebie jak rówieśnicy.

- Nie wiedziałam, że kontynuujecie tę tradycję.

- Kontynuujemy. - Położył pudło na łóżku. Materac ugiął się pod ciężarem papierów. - Zawiadomię Keitha o „jebcy”. - Mówił o Keicie Coinie, szefie policji i starszym bracie Kena Coina. - Powiedział, że przyśle kogoś w związku z tą kozą, ale wzięwszy pod uwagę to, co stało się dzisiaj... - Umilkł, otwierając pudło.

Charlie patrzyła, jak przerzuca teczki z dokumentami.

- Ben, czy według ciebie nigdy nie pozwałam ci odpowiedzieć na pytania?

- Czyż nie pozwalasz mi na to teraz?

Uśmiechnęła się.

- Chodzi mi o to, że... Tata zawile wyjaśniał mi coś za pomocą okna w aucie i... To akurat nie jest ważne. Generalnie stwierdził, że trzeba wybierać: albo ma się rację, albo jest się szczęśliwym. Gamma powiedziała mu kiedyś, że musi przed śmiercią zdecydować, czy chce mieć rację, czy być szczęśliwa.

Spojrzał na nią znad pudła.

- Nie rozumiem, dlaczego nie można mieć i jednego, i drugiego.

- Wydaje mi się, że jeśli za często masz rację, bo za dużo wiesz, jesteś zbyt inteligentny i dajesz to innym odczuć... - Nie była pewna, jak to wyjaśnić. - Gamma знаła odpowiedź na mnóstwo pytań. Właściwie na wszystkie pytania.

- I twój tata twierdzi, że byłaby szczęśliwsza, gdyby udawała mniej inteligentną, niż była?

- Gamma to powiedziała, nie on - poprawiła Charlie, instynktownie broniąc ojca.

- To problem dotyczący ich małżeństwa, nie naszego. - Ben położył rękę na pudle. - Charlie, jeśli boisz się, że jesteś jak twoja mama, nie ma w tym nic złego. Z tego, co o niej słyszałem, wynika, że była wspaniała.

Ben był tak cholernie dobry, że aż zaparło jej dech w piersiach.

- Jesteś niesamowity.

Zaśmiał się krótko, sarkastycznie. Próbowwała tych sztuczek wcześniej, chcąc zrównoważyć swoją złośliwość i traktując go jak dziecko potrzebujące nagrody za sam udział w konkursie czy zawodach.

- Mówię poważnie, Ben. Jesteś inteligentny, zabawny i... - Jego zdziwione spojrzenie nie pozwoliło jej dokończyć zdania.

- Co jest?

- Ty płaczesz?

- Cholera. - Charlie starała się płakać wyłącznie w obecności Lenore. - Przepraszam. Robię to, odkąd

otworzyłam oczy.

- To znaczy od szkoły? - Ben sprawiał wrażenie nieporuszonego.

- Wcześniej.

- Wiesz chociaż, co to za facet?

Miała dość tego pytania.

- Cały sens spotkania z nieznanym polega na tym, że to nieznajomy. W świecie idealnym nigdy więcej się już nie zobaczycie.

- Dobrze wiedzieć. - Ben wyjął akta i zaczął je wertować.

Charlie klęknęła na materacu, żeby zajrzeć Benowi w oczy.

- To się nigdy wcześniej nie wydarzyło. Ani razu. Nigdy nie było sytuacji choćby zbliżonej do tej.

Ben potrząsnął głową.

- Kiedy byłam z tobą, nawet nie spojrzałam na innego mężczyznę.

Odłożył do pudła przejrzaną teczkę i wyjął następną.

- Doszłaś z nim?

- Nie - skłamała. - Tak - poprawiła się - ale musiałam użyć ręki. To nie było nic wielkiego. Jak kichnięcie.

- Kichnięcie - powtórzył. - Świetnie. Teraz przy każdym kichnięciu będę myślał o tobie dochodzącej z pieprzonym Batmanem.

- Byłam samotna.

- Samotna - powtórzył.

- Co mam ci powiedzieć, Ben? Że chcę dojsć z tobą? Chcę z tobą być? - Próbowała dotknąć jego ręki, ale ją cofnął. - Zrobię wszystko, żeby to naprawić. Tylko mi powiedz, co mam

zrobić.

- Wiesz, czego chcę.

Znowu terapia małżeńska.

- Nie potrzebujemy licencjonowanej terapeutki w fatalnych ciuchach i niegustownej fryzurze, żebym się dowiedziała, że to ja stanowię problem. Wiem, że to ja jestem problemem. Próbuję to naprawić.

- Zapytałaś, czego chcę, a ja ci odpowiedziałem.

- Jaki jest sens w rozgrzebywaniu czegoś, co się stało trzydzieści lat temu? - Westchnęła zirytowana. - Wiem, że jestem zła z tego powodu, Ben. Jestem cholernie wściekła. Nie próbuję tego ukryć. Nie udaję, że tego nie było. Gdybym miała obsesję na tym punkcie i ciągle o tym mówiła, usłyszałabym od terapeutki, że to też źle.

- Wiesz, że nie to powiedziała.

- Boże, Ben, jaki to wszystko ma sens? Czy ty mnie w ogóle jeszcze chcesz?

- Oczywiście, że tak. - W tej samej chwili zrobił minę, jakby pożałował tych słów i chciał je cofnąć. - Dlaczego nie możesz zrozumieć, że to akurat nie ma znaczenia?

- Właśnie że ma. - Przysunęła się do niego. - Tęsknię za tobą, kochany. Ty za mną nie?

Ben znowu potrząsnął głową.

- Charlie, to niczego nie naprawi.

- Może odrobinę. - Pogładziła go po włosach. - Pragnę cię, Ben.

Nie przestawał potrząsać głową, ale jej nie odtrącił.

- Zrobię wszystko, czego chcesz. - Charlie przysunęła się

jeszcze bliżej. Dotąd wypróbowała wszystkie metody prócz rzucania się na niego. – Powiedz mi, a to zrobię.

– Przestań – powiedział, ale jej nie powstrzymał.

– Pragnę cię. – Pocałowała go w szyję. Reakcja jego skóry na dotyk jej warg sprawiła, że Charlie miała ochotę zapłakać. Przesunęła wargami po jego szczęce i powędrowała ku uchu. – Chcę cię poczuć w sobie – szepnęła.

Ben jęknął cicho, gdy położyła mu ręce na piersiach.

Charlie nie przestawała go całować, wilgotnym językiem znaczyła ślad na jego skórze.

– Jeśli pozwolisz, zrobię ci loda.

Ben wciągnął gwałtownie powietrze.

– Możesz mieć wszystko, co zechcesz, kochany. Moje usta. Moje ręce. Mój tyłek.

– Chuck – odezwał się lekko chrypliwym głosem – nie możemy...

Pocałowała go w usta i nie przestawała, póki nie oddał jej pocałunku. Miał jedwabiste wargi. Dotyk jego języka wywołał w niej dreszcz. Każdy nerw w jej ciele zapłonął pożądaniem. Dłoń Bena powędrowała ku jej piersi. Charlie poczuła, jak twardnieje. Sięgnęła tam ręką, żeby stwardniał jeszcze bardziej.

Ben nakrył jej dłonie swoimi dłońmi. Najpierw pomyślała, że chce jej pomóc, ale po chwili zorientowała się, że ją powstrzymuje.

– Boże... – Odsunęła się szybko, zeskoczyła z łóżka i stanęła pod ścianą zawstydzona, upokorzona, rozgorączkowana. – Przepraszam, przepraszam.

- Charlie...

- Nie! - Uniosła ręce jak policjant kierujący ruchem. - Jeśli teraz coś powiesz, to będzie koniec, a to nie może być koniec, Ben. To się nie może wydarzyć. To za wiele po... - Ugryzła się w język, ale jej własne słowa brzmiały jej w głowie jak ostrzeżenie.

Ben badawczo przyglądał się Charlie. Przełknął ślinę.

- Po czym?

Słuchała szumu krwi w uszach. Była roztrzęsiona, miała wrażenie, że otwiera się pod nią bezdenna otchłań.

Telefon Bena rozbrzmiał pierwszymi taktami tematu przewodniego z *COPS*. Piosenkę przyporządkował wydziałowi policji w Pikeville.

Bad boys, bad boys, whatchu gonna do...

- To praca. Musisz odebrać - powiedziała Charlie.

- Nie muszę. - Ben przekrzywił głowę i czekał.

Bad boys, bad boys...

- Powiedz mi, co się dzisiaj stało.

- Byłeś tam, kiedy składałam zeznanie.

- Pobiegłaś w stronę wystrzałów. Dlaczego? Coś ty sobie myślała?

- Nie pobiegłam w stronę wystrzałów. Biegłam do pani Pinkman, która wzywała pomocy.

- Mówiłaś Heller.

- Właśnie takie teksty à la Oprah usłyszałabym od terapeutki. - Charlie musiała podnieść głos, żeby przekrzyknąć dzwoniący telefon Bena. - Że narażam się na niebezpieczeństwo, bo kiedy trzydzieści lat temu ktoś

naprawdę mnie potrzebował, ja uciekłam.

- I zobacz, do czego to doprowadziło! - zabrzmiał w ciszy gniewny głos Bena. Telefon zamilkł.

Cisza dzwoniła w uszach.

- O co ci, kurwa, chodzi?

Ben zacisnął szczęki tak mocno, że niemal słyszała zgrzytanie jego zębów. Porwał pudło z łóżka i wrzucił je do garderoby.

- O czym ty mówisz, Ben? - Charlie miała wrażenie, jakby rozbiła coś, czego nie da się skleić. - Chcesz powiedzieć: zobacz, do czego to doprowadziło wtedy, czy do czego doprowadziło dzisiaj?

Ben przesuwiał pudła na półkach w garderobie.

Stała w progu garderoby, blokując mu wyjście.

- Nie możesz opowiadać takich rzeczy, a potem odwracać się do mnie plecami.

Ben milczał.

Charlie usłyszała odległy dźwięk swojej komórki z czeluści torebki pozostawionej na dole. Przeczekała pięć długich sygnałów, wstrzymując oddech w trakcie pauz, aż włączyła się poczta głosowa.

Ben nie przestawał przesuwając pudeł.

Cisza gęstniała. Charlie była już gotowa znowu się rozplakać, ponieważ dzisiaj tylko tyle była w stanie zrobić.

- Ben? - złamała się w końcu. - Wyjaśnij mi, proszę, co miałeś na myśli.

Zdjął pokrywkę z jednego z pudeł. Przesunął palcem po oznaczonych etykietkami aktach. Myślała, że nadal będzie ją

ignorował, ale w końcu się odezwał:

- Dzisiaj jest trzeci.

Charlie odwróciła wzrok. To dlatego dzwonił do niej rano. Dlatego Rusty nucił pod nosem *Happy Birthday*, kiedy ona jak idiotka domagała się raz po raz, żeby jej powiedział, co wie.

- Patrzyłam w zeszłym tygodniu na kalendarz, ale...

Telefon Bena znowu zadzwonił. Tym razem rozległa się normalna melodia. Jeden sygnał. Drugi. Odebrał po trzecim. Słyszała lakoniczne pytania rzucone do słuchawki.

- Kiedy? Jaki stan? - I na końcu poważne: - Czy lekarz mówił...

Charlie oparła się ramieniem o futrynę. Wiele razy słyszała różne warianty tej rozmowy. Ktoś w Holler za mocno uderzył żonę albo chwycił nóż, żeby zakończyć kłótnię, kto inny złapał broń, i teraz zastępca prokuratora okręgowego musi jechać na komisariat i zaproponować układ pierwszej osobie, która zacznie mówić.

- Wyjdzie z tego? - zapytał Ben. Kiwał głową, słuchając odpowiedzi. - Dobrze. Załatwię to. Dzięki.

Patrzyła, jak rozłącza się i chowa telefon do kieszeni.

- Niech zgadnę. Aresztowali kogoś z Culpepperów?

Ben nie odwrócił się w jej stronę. Złapał się brzegów półki, jakby potrzebował jakiejś podpory.

- Ben? Co się dzieje? - zaniepokoiła się.

Pociągnął nosem. Nie był wprawdzie stuprocentowym stoikiem, ale momenty, w których widziała swojego męża płaczącego, mogła policzyć na palcach jednej ręki. Tyle że w tej chwili nie tylko płakał. Ramiona mu drżały. Sprawiał

wrażenie wstrząśniętego.

Charlie też zaczęła płakać. Komuś z jego bliskich stało się coś złego. Którejś z sióstr? Matce? Samolubnemu ojcu, który odszedł, gdy Ben miał sześć lat?

Położyła mu rękę na ramieniu. Czuła drżenie.

- Skarbie, co się stało? Przerażasz mnie.

Ben wytarł nos. Odwrócił się do niej. Łzy spływały mu po policzkach.

- Przykro mi.

- Co? - zniżyła głos do szeptu. - Ben, co się stało?

- Chodzi o twojego tatę. - Ben z trudem przełknął ślinę. - Musieli przetransportować go śmigłowcem do szpitala.

Kolana ugięły się pod nią. Ben złapał ją, zanim osunęła się na podłogę.

„Wyjdzie z tego?”.

- Wasz sąsiad go znalazł. Na końcu podjazdu.

Charlie wyobraziła sobie, jak Rusty maszeruje żwawo do skrzynki pocztowej, nucąc i strzelając palcami, nagle chwytając się za serce i pada na ziemię.

- On jest taki... - Chciała powiedzieć: głupi, uparty, ze skłonnościami do autodestrukcji, ale w porę się zmitygowała. - Dzisiaj w moim biurze powiedziałam mu, że znowu dostanie zawału i teraz...

- To nie było serce.

- Ale...

- Twój tata nie dostał zawału. Ktoś dźgnął go nożem.

Charlie poruszyła bezgłośnie ustami, zanim zdołała wydobyć z siebie głos.

- Dźgnął nożem? - Musiała to powtórzyć, ponieważ ta informacja nie miała sensu. - Dźgnął nożem?

- Chuck, musisz zadzwonić do siostry.

CO SIĘ STAŁO Z CHARLOTTE

Charlotte odwróciła się do Samantha i zawołała:

- Ostatnie słowo!

Pobiegła do Pieprznika, nie dając siostrze czasu na ripostę. Wzbijała stopami czerwony pył, który osiadał na spoconych nogach. Susami pokonała schody na werandę, zrzuciła buty, zdjęła skarpetki i otworzyła drzwi w chwili, w której Gamma mówiła do siebie:

- Kurwa!

Była zgięta w pół, jedną ręką opierała się o kontuar, drugą przyłożyła do ust, jakby kasłała.

- Mamo, to brzydkie słowo - upomniała ją Charlotte.

Gamma wyprostowała się, wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła usta.

- Powiedziałam „krówka”, Charlie. A ty myślałaś, że co?

- Powiedziałaś... - Charlotte w porę zorientowała się, że to pułapka. - Jeśli powiem to brzydkie słowo, będziesz wiedziała, że je znam.

- Jakaś ty sprytna, skarbie. - Gamma włożyła chusteczkę do kieszeni i wyszła na korytarz. - Nakryj stół, zanim wrócę.

- Dokąd idziesz?

- Nie pytaj.

- Skąd mam wiedzieć, jak szybko nakryć stół, skoro nie wiem, kiedy wrócisz? - zawołała Charlotte.

Odpowiedział jej tylko gwałtowny kaszel Gammy.

Charlotte złapała papierowe talerze i rzuciła na stół pudełko

z plastikowymi widelcami. Gamma kupiła prawdziwe sztucce i talerze w sklepie z używanymi rzeczami, ale nikt nie mógł znaleźć właściwego pudła. Charlotte wiedziała, że jest w gabinecie Rusty'ego. Miały jutro wszystko rozpakować, co oznaczało, że któraś będzie musiała wieczorem myć naczynia przy zlewie.

Samantha trzasnęła drzwiami do kuchni tak mocno, że aż zadrżała ściana.

Charlotte nie połknęła haczyka. Rzuciła papierowe talerze na stół.

Nagle bez ostrzeżenia Samantha rzuciła jej widelcem w twarz.

Charlotte otworzyła usta, żeby zawołać Gammę, kiedy poczuła, jak zęby widelca trafiają ją w dolną wargę. Odruchowo zamknęła usta. Widelec został jej w buzi i drgał niczym strzała, która właśnie dosięgła tarczy.

- Jasna cholera, to było coś! - powiedziała.

Samantha wzruszyła ramionami, jakby chwytanie koziółkujących widelców ustami nie było niczym nadzwyczajnym.

- Umyję naczynia, jeśli powtórzysz ten rzut dwa razy pod rząd - zaproponowała Charlotte.

- Ty wceluj raz, a będę zmywać przez cały tydzień - odparła Samantha.

- Dobra. - Charlotte zmrużyła oko, rozważając dwie możliwości: celowo trafić siostrę w twarz czy naprawdę się przyłożyć i spróbować umieścić widelec w jej buzi?

Do kuchni wróciła Gamma.

- Charlie, nie rzucaj w siostrę sztućcami. Sam, pomóż mi znaleźć patelnię, którą ostatnio kupiłam - powiedziała.

Stół był już nakryty, ale Charlie nie chciała zostać włączona w poszukiwanie patelni. Pudła pachniały naftaliną i stęchlizną. Charlie poprawiła ułożenie talerzy i wyrównała widelce. Dzisiaj na kolację będzie spaghetti, potrzebowały więc noży. Gamma nigdy nie dogotowywała makaronu, który sklejał się i upodabniał do ściągien.

- Sam... - Gamma znowu zaczęła kasłać. Wskazała klimatyzator. - Włącz to, żeby trochę poruszyć powietrze.

Samantha spojrzała na wielkie pudło w oknie, jakby nigdy wcześniej nie widziała klimatyzatora. Od pożaru była oswiała. Charlotte też, ale starała się tego nie okazywać. Rusty i bez tego czuł się fatalnie.

Charlotte sięgnęła po dodatkowy talerz. Próbowwała zrobić z niego samolot dla taty.

- O której mamy odebrać tatę z pracy? - zapytała Samantha.

- Ktoś z sądu go odwiezie - odparła Gamma.

Charlotte miała nadzieję, że to będzie Lenore. Sekretarka Rusty'ego pożyczyła jej książkę zatytułowaną *Koronka*, opowiadającą o czterech przyjaciółkach, z których jedna - nie wiadomo która - zostaje zgwałcona przez szejka, zachodzi w ciążę i rodzi córkę, która nic nie wie o swoim pochodzeniu, aż jako dorosła i bardzo bogata kobieta staje przed nimi i pyta: „Która z was, dziewczyny, jest moją matką?”.

- Cholera. - Gamma wstała znad kartonu. - Mam nadzieję, że dziś wieczorem nie macie nic przeciwko wegetarianizmowi.

- Mamo. - Charlotte osunęła się na krzesło i podparła głowę rękami. Udawała, że jej niedobrze, w nadziei na puszkę zupy zamiast twardego spaghetti. - Brzuch mnie boli.

- Nie masz pracy domowej? - zapytała Gamma.

- Mam. Z chemii. - Charlotte podniosła wzrok. - Pomożesz mi?

- To żadna filozofia.

- Chcesz powiedzieć, że to łatwe i sama powinnam sobie z tym poradzić, czy to łatwe i dlatego mi pomożesz, że to dla ciebie bułka z masłem? - zapytała Charlie.

- Za bardzo kombinujesz. Idź umyć ręce - odparła Gamma.

- To było ważne pytanie.

- Idź już.

Charlotte wybiegła na korytarz. Był tak długi, że stojąc w kuchni, można było używać go jako toru do gry w kręgle. Tak przynajmniej twierdziła Gamma i Charlotte miała zamiar to sprawdzić, gdy tylko zdobędzie kulę do gry.

Otworzyła jedne z pięciorga drzwi i zobaczyła schody prowadzące do przerażającej piwnicy. Otworzyła drugie. Krył się za nimi korytarz wiodący do strasznej sypialni starego kawalera, poprzedniego właściciela farmy.

- Krówka! - zawołała z myślą o Gammie.

Otworzyła kolejne drzwi. Bieliźniarka. Charlotte uśmiechnęła się szeroko, ponieważ bawiła się kosztem Samantha. Próbowwała ją przekonać, że Pieprznik jest nawiedzonym domem.

W jednym z pudeł ze sklepu z używanymi rzeczami znalazła wczoraj dziwną czarno-białą fotografię. Postanowiła ją

pokolorować. W trakcie malowania zębów na żółto wpadła na pomysł, żeby wsadzić fotografię do dolnej szuflady bieliźniarki, by tam znalazła ją Samantha.

Jej siostra była już wystarczająco przestraszona, pewnie dlatego, że poprzedniego wieczoru Charlotte tak długo chodziła po trzeszczących deskach pod jej pokojem, aż Samantha zeszła za nią do przerażającej sypialni, w której zmarł stary farmer. Tam Charlotte podpuściła siostrę, snując przypuszczenia, że w domu pozostał duch starego kawalera i teraz straszy.

Charlotte otworzyła kolejne drzwi.

- Znalazłam!

Zapaliła światło. Opuściła spodenki, ale znieruchomiała na widok kropelek krwi na sedesie.

Nie przypominały śladów, jakie czasem zostawiała po sobie Samantha, gdy miała okres. To był krwawy rozprysk, coś, co wylatuje z ust, gdy człowiek zaczyna gwałtownie kasłać.

Gamma bardzo często kasłała.

Charlotte podciągnęła szorty. Odkręciła wodę i nabrała jej trochę w złożone dłonie. Spryskała nią sedes, żeby usunąć czerwone plamki. Wtedy zobaczyła więcej czerwonych plamek. Tym razem na podłodze. I na lustrze. Polała je kolejnymi porcjami wody. Krew była nawet na pokrytym grzybem brzegu narożnego prysznicza.

W kuchni zadzwonił telefon. Charlotte liczyła sygnały. Po trzecim zaczęła się zastanawiać, czy ktoś podniesie słuchawkę. Gamma czasem nie pozwalała im odbierać, przypuszczając, że dzwoni Rusty. Ciągle była wstrząśnięta

z powodu pożaru, ale nie snuła się z kąta w kąt z żalną miną jak Samantha. Przeważnie krzyczała. Owszem, również popłakiwała, ale tylko Charlotte o tym wiedziała.

Rączka młotka z kulistą główką była już mokra, kiedy Charlotte walnęła nim w kran. Sama miała mokrą pupę po kontakcie z sedesem. Narobiła w łazience bałaganu. Woda, którą splukiwała ślady krwi, zabarwiła się na różowo. Podciągnęła spodenki. Zaczęła zbierać wodę zwitkiem papieru toaletowego. Rozmiękczony papier zaczął się rozpadać, więc użyła go więcej. Potem jeszcze więcej. Papier powinien wchłonąć wilgoć, tymczasem Charlotte miała w rękach coraz większy mokry zwój, który zatkałby muszlę, gdyby próbowała spuścić go w toalecie.

Wyprostowała się i rozejrzała po łazience. Różowy kolor zniknął, ale woda pozostała. W tym pomieszczeniu panowała wieczna wilgoć. Pleśń pod prysznicem kojarzyła jej się z filmem, w którym z mokradeł wyłania się potwór.

Z korytarza dobiegł głuchy odgłos przesuwanego pudła i tłumiony okrzyk Sam. Musiała potknąć się o pełny karton i uderzyć w palec.

- Krówka - powiedziała pod nosem Charlotte, tym razem na serio.

Zwój papieru toaletowego był różowy od krwi. Wetknęła go do przedniej kieszeni szortów. Nie miała czasu na zrobienie siku. Pośpiesznie zamknęła za sobą drzwi łazienki. Od Samanthi dzieliły ją ledwie trzy metry. Mijając ją, Charlotte uszczypnęła ją w ramię, żeby odwrócić uwagę siostry od mokrej wypukłości w szortach. Resztę korytarza pokonała

pędem.

- Kolacja! - zawołała Gamma. Stała przy kuchence, kiedy Charlotte weszła do kuchni.

- Jestem tutaj - powiedziała Charlotte.

- Ale twojej siostry nie ma.

Charlotte zobaczyła grube wstążki makaronu, które Gamma wyjęła szczypcami z garnka.

- Mamo, proszę cię bardzo, nie każ nam tego jeść.

- Nie pozwolę, żebyście głodowały.

- Mogę zjeść miseczkę lodów.

- Chcesz dostać ataku biegunki?

Charlotte miała dolegliwości żołądkowe po wszystkim, co zawierało mleko, była jednak pewna, że paskudne spaghetti przyniesie ten sam efekt.

- Mamo, co by się stało, gdybym zjadła dwie porcje lodów? Naprawdę duże porcje.

- Jelita by ci wybuchły i umarłabyś.

Charlotte patrzyła na plecy matki. Czasem nie wiedziała, czy Gamma żartuje, czy mówi poważnie.

Zadzwoił telefon. Charlotte podniosła słuchawkę, zanim Gamma nie pozwoliła jej tego zrobić.

- Halo?

- Cześć, misiaczku Charlie - zachichotał Rusty, jakby mówił to pierwszy, a nie milionowy raz. - Miałem nadzieję, że porozmawiam z naszą kochaną Gammą.

Gamma słyszała jego słowa, ponieważ Rusty zawsze mówił przez telefon za głośno. Potrząsnęła głową i bezgłośnie powiedziała „nie”.

- Myje zęby - odparła Charlotte. - A może nitkuje? Słyszałam skrzypienie, ale może to była mysz...

Gamma wyrwała jej słuchawkę, wyrecytowała frazę z wiersza Emily Dickinson:

*„Nadzieja” jest tym upierzonym
Stworzeniem na gałązce
Duszy - co śpiewa melodie
Bez słów i nie milknące^[2].*

Po czym odwiesiła słuchawkę.

- Wiedziałaś, że kura jest najpowszechniej występującym ptakiem na ziemi? - zwróciła się do Charlie.

Charlotte potrząsnęła przecząco głową. Tego nie wiedziała.

- Pomogę ci z chemią po kolacji, i nie będą to lody.

- Chemia nie będzie lodami czy kolacja?

- Bystra dziewczyna. - Gamma ujęła Charlotte pod brodę. - Pewnego dnia spotkasz mężczyznę, który straci głowę dla twojej inteligencji.

Charlotte wyobraziła sobie męskie ciało pozbawione głowy.

- Na co mi taki bez głowy? Bez głowy nie da się żyć.

Gamma ucałowała Charlotte w czubek głowy i wyszła z kuchni.

Charlotte usiadła na krześle i odchyliła się do tyłu. Zobaczyła, że Gamma idzie do spiżarni. Albo do piwnicy. Albo do bielizniarki. Albo do sypialni. Albo do łazienki. Wróciła z krzesłem do poprzedniej pozycji i podparła się łokciami.

Nie była pewna, czy chce, żeby jakiś mężczyzna się w niej zakochał. Do szkoły chodził chłopak, który kochał się w Samancie. Peter Alexander. Grał na gitarze jazzowej. Po

skończeniu szkoły chciał przenieść się do Atlanty i dołączyć do jakiegoś zespołu. Tak przynajmniej napisał w długim nudnym liście, który Samantha trzymała pod materacem.

Samantha cierpiała najbardziej z powodu straty Petera. Charlotte widziała, jak pozwoliła mu wsadzić rękę pod bluzkę, a to znaczyło, że naprawdę go lubi. Gdyby było inaczej, nie zachowywałyby się tak. Peter miał świetną skórzaną kurtkę. Pożyczył ją Samancie, ale kurtka spłonęła w pożarze domu. Rodzice nie mogli mu darować tej straty, w rezultacie Peter przestał rozmawiać z Samantha.

Wiele szkolnych koleżanek też nie rozmawiało z Charlotte. Rusty stwierdził, że to przez rodziców idiotów, którzy nie widzieli nic złego w straceniu czarnoskórego mężczyzny na krześle elektrycznym, nawet jeśli był niewinny.

Pogwizdywała cicho, zginając brzegi papierowe talerzyka i usiłując przemienić go w samolot. Rusty powiedział jej, że pożar trochę namieszał w rodzinnych układach. Gamma i Samantha, które były ostoją logiki i rozsądku, zamieniły się miejscami z Rustym i Charlotte, emocjonalną częścią rodziny. Zupełnie jak w *Zakręconym piątku*, tyle że bez basset hounda, ponieważ Samantha miała alergię na psy.

Charlotte polizała zagięcia samolotu, mając nadzieję, że ślina pomoże mu zachować kształt. Nie przyznała się Rusty'emu, że zamiana na logikę z Samantha była pozorna. Charlie tylko udawała, że wszystko jest w porządku, a tymczasem wcale nie było. Ona też straciła wiele rzeczy, na przykład komplet książek i filmów o Nancy Drew, złotą rybkę, która była przecież żywą istotą, kolekcję skautowskich odznak

i sześć martwych owadów, które trzymała na przyszły rok szkolny, wiedząc, że pierwszym zadaniem z biologii będzie przyszpilanie owadów do tablicy i wykazanie się umiejętnością ich rozpoznania.

Kilka razy próbowała podzielić się swoim smutkiem z Samantha, ale siostra zaczynała wyliczać swoje straty, jakby chodziło o rywalizację na nieszczęście. Kiedy szukała innych tematów do rozmowy – szkoła, programy telewizyjne, książka, którą właśnie czytała – Samantha w milczeniu mierzyła ją groźnym wzrokiem, póki Charlotte nie zrozumiała, że ma sobie pójść.

Tylko raz starsza siostra potraktowała ją jak normalnego człowieka. To było wieczorem, kiedy prały koszulki, szorty i sportowe staniki w umywalce w łazience. Po pożarze zostały im tylko stroje i buty treningowe, ale Samantha o nich nie mówiła. Powoli i cierpliwie udzielała wskazówek dotyczących zachowania w strefie zmiany, jakby ze wszystkich rzeczy, jakie im pozostały z tamtego życia, tylko to się liczyło.

– Zegnij nogę wykroczną, wyciągnij za siebie wyprostowaną rękę, pochyl się, ale nie ruszaj, póki nie minę znaku kontrolnego. Biegniesz co sił w nogach, kiedy poczujesz w dłoni pałeczkę.

– Nie oglądaj się – powtarzała Samantha. – Musisz ufać, że tam jestem. Trzymasz głowę nisko i biegniesz.

Samantha od zawsze uwielbiała biegać. Chciała dostać stypendium sportowe, żeby wybiegać sobie drogę do college'u i nigdy więcej nie wracać do Pikeville. To oznaczało, że może wyjechać już za rok, ponieważ Gamma miała zamiar pomóc jej

zrobić dwie klasy w rok, jeśli zdobędzie tysiąc sześćset punktów na egzaminie SAT.

Charlotte zrezygnowała z dokończenia samolotu. Talerz papierowy nie chciał utrzymać nowych kształtów, tylko chciał pozostać talerzem. Powinna była wyrwać kartę z zeszytu i zrobić samolot jak należy. Zamierzała wypuścić go ze starej wieży meteo. Rusty obiecał, że ją tam zabierze, ponieważ szykował dla Gammy niespodziankę.

Poprzedni właściciel farmy należał do krajowej sieci obserwatorów pogody. W stodole Rusty znalazł pudła pełne formularzy, na których stary farmer codziennie od tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku zapisywał wartości temperatury, ciśnienia barometrycznego, opadów atmosferycznych, siły wiatru i wilgotności powietrza.

Był jednym z tysięcy wolontariuszy, którzy nadsyłał wyniki pomiarów do Amerykańskiej Narodowej Służby Oceanicznej i Meteorologicznej, by pomóc naukowcom w przewidywaniu burz i tornad. Wymagało to ciągłych obliczeń, a jeśli istniało coś, co uszczęśliwiała Gamme, to był to codzienny kontakt z matematyką.

Wieża meteo miała być największą niespodzianką w jej życiu.

Charlotte usłyszała samochód na podjeździe. Złapała nieudany samolot i podarła go na strzępy, żeby ukryć swoje zamiary, ponieważ Rusty już jej zabronił wspinania się na metalową wieżę i puszczania stamtąd samolotu. Wyciągnęła z szortów zwój wilgotnego papieru toaletowego i wrzuciła go do śmieci, wytarła ręce w koszulkę i pobiegła do drzwi na

spotkanie z tatą.

- Mamo! - zawołała, ale nie dodała, że tata wrócił.

Uśmiechnięta otworzyła drzwi i nagle uśmiech zamarł jej na wargach. Na werandzie stali dwaj mężczyźni.

Jeden z nich cofnął się na schody. Charlotte zobaczyła jego szeroko otwarte oczy, jakby nie spodziewał się, że ktoś stanie w drzwiach. Dopiero po chwili zobaczyła coś jeszcze. Mężczyzna miał czarną kominiarkę, czarną koszulę i skórzane rękawiczki. Nagle na wysokości swojej twarzy ujrzała lufę strzelby.

- Mamo! - wrzasnęła.

- Zamknij się - syknął Czarna Koszula i popchnął Charlotte w stronę kuchni. Jego ciężkie buty znaczyły podłogę śladami czerwonej glinki. Charlotte powinna być przerażona, powinna krzyczeć wniebogłosy, ale w tej chwili tylko jedna myśl zaprzętała jej głowę: Gamma będzie wściekła, że znowu musi zmywać podłogę.

- Charlie Quinn - zawołała Gamma z łazienki - nie drzyj się jak ulicznica.

- Gdzie twój tatuś? - zapytał Czarna Koszula.

- Ppproszę - zająknęła się Charlotte. Zwracała się do drugiego mężczyzny. Prócz kominiarki i rękawiczek miał na sobie biały T-shirt z podobizną Jona Bon Joviego, co czyniło go mniej przerażającym, mimo broni, którą trzymał w ręku. - Nie róbcie nam krzywdy.

Bon Jovi patrzył na korytarz ponad głową Charlie. Słyszała wolne kroki Gammy. Musiała go zobaczyć po wyjściu z łazienki. Wiedziała, że dzieje się coś złego i że Charlotte nie

jest sama w kuchni.

- Ej! - Czarna Koszula pstryknął palcami, żeby zwrócić na siebie uwagę Charlie. - Gdzie twój pieprzony tatulek?

Charlotte potrząsnęła głową. Po co im był Rusty?

- Kto jest jeszcze w domu? - zapytał Czarna Koszula.

- Moja siostra jest w... - zaczęła.

Nagle Gamma zasłoniła jej usta dłonią i wbiła palce w ramię.

- Mam w torebce pięćdziesiąt dolarów - powiedziała. - I dwieście w słoiku w stodole.

- Chrzanić to. Zawołaj drugą córkę. I nie próbuj żadnych sztuczek - zarządził Czarna Koszula.

- Nie. - Bon Jovi sprawiał wrażenie zdenerwowanego. - One miały być na treningu, stary. Lepiej...

Nagle Charlotte została wyrwana z ramion Gammy. Czarna Koszula złapał ją za szyję i przycisnął do siebie. Czubkiem głowy dotykała jego piersi.

- Wołaj ją, suko - rzucił Czarna Koszula do Gammy.

- Sam... - Zdjęta strachem Gamma nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. - Samantho?

Nasłuchiwali. I czekali.

- Daj spokój, stary - powiedział Bon Jovi. - Jego tu nie ma. Bierzmy kasę, o której mówiła, i zwijajmy się stąd.

- Miej jaja, cioto. - Palce Czarnej Koszuli zacisnęły się mocniej na krtani Charlie. Czują palący ból. Nie mogła oddychać. Stała na palcach. Chciała go odepchnąć, ale była za słaba. - Sprowadź ją tutaj, zanim... - zwrócił się złowieszczo do Gammy.

- Samantho! - zawołała Gamma ostrym tonem. - Upewnij

się, że kran jest dobrze zakręcony i szybko przyjdź do kuchni.

Bon Jovi cofnął się spod schodów, żeby Samantha go nie zobaczyła.

- Daj spokój, stary. Zrobiła, co jej kazałeś. Puść ją - zwrócił się do Czarnej Koszuli.

Czarna Koszula powoli poluzował uścisk. Charlie zakrztusiła się haustem gwałtownie wciągniętego powietrza. Chciała podejść do matki, ale Czarna Koszula opuścił rękę na jej piersi i przycisnął ją ciasno do siebie.

- Nie musicie tego robić. - Gamma skierowała te słowa do Bon Joviego. - Nie wiemy, kim jesteście. Nie znamy waszych imion. Możecie po prostu stąd wyjść, a my nikomu o tym nie powiemy.

- Zamknij się, kurwa. - Czarna Koszula przestąpił z nogi na nogę. - Nie jestem taki głupi, żeby wam wierzyć.

- Nie możecie... - Gamma zasłoniła usta dłonią i zakasłała. - Proszę, puśćcie moje córki. A ja... - Znowu zakasłała. - Możecie pojechać ze mną do banku. Możecie wziąć auto. Dam wam wszystko, co mamy. Do ostatniego centa.

- I tak wezmę, co zechcę. - Czarna Koszula zsunął rękę na klatkę piersiową Charlie, potem na mostek i przycisnął mocno do siebie.

Poczuła na plecach jego genitalia. Zebrało jej się na mdłości. Czowała, że za chwilę straci kontrolę nad pęcherzem. Policzki jej płonęły.

- Przestań. - Bon Jovi złapał Charlotte za ramię i pociągnął do siebie. Dopiero przy drugim szarpnięciu wyrwał ją z uścisku Czarnej Koszuli.

- Skarbie. - Gamma otoczyła ją ramionami, ucałowała ją w głowę, potem w ucho. - Uciekaj, jeśli...

Nagle wypuściła ją z objęć, niemal odpychając od siebie. Cofnęła się o dwa kroki i oparła o kontuar. Trzymała ręce w górze.

Czarna Koszula mierzył jej prosto w pierś.

- Proszę. Błagam... - Wargi Gammy drżały. Mówiła cicho, jakby kierowała swoje słowa tylko do Czarnej Koszuli. - Ze mną możesz zrobić wszystko, ale nie krzywdź mojego dziecka.

- Nie martw się - szeptem odpowiedział jej Czarna Koszula.
- To boli tylko kilkanaście pierwszych razy.

Charlotte zaczęła się trząść. Wiedziała, o czym mówił. Mroczne spojrzenie, wysunięty język, wilgotne usta, sposób, w jaki TO otarło się o jej plecy, zdradzały wszystko.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Cofnęła się i osunęła na krzesło. Pot wystąpił jej na twarz. Strużka popłynęła po plecach. Spojrzała na swoje dłonie. Nie przypominały jej własnych rąk. Kości wibrowały w środku, jakby były wprawiane w ruch strunami harfy.

- Wszystko w porządku - powiedziała Gamma.

- Wręcz przeciwnie - odparł Czarna Koszula.

Już nie mówili do siebie. W drzwiach stała zastygła z przerażenia Samantha.

- Kto jeszcze jest w domu? - zapytał.

- Nikt. - Gamma potrząsnęła głową.

- Nie kłam.

Dźwięki docierały do uszu Charlotte jak tłumione grubą warstwą waty. Usłyszała imię ojca, zobaczyła gniew w oczach

Gammy.

Rusty. Szukali Rusty'ego.

Zaczęła kiwać się w przód i w tył, instynktownie szukając w tym ruchu ukojenia. To nie film. W domu byli dwaj uzbrojeni mężczyźni. Nie chcieli pieniędzy. Przyszli po Rusty'ego, ale już wiedzieli, że go tu nie ma. Czarna Koszula stwierdził, że chce czegoś innego. Wiedziała, o co mu chodzi. Czytała o tym w książce Lenore. Gamma była tu tylko dlatego, że Charlotte ją zawołała. Samantha musiała tu przyjść, ponieważ Charlotte powiedziała intruzom, że jej siostra jest w domu.

- Przepraszam - wyszeptała. Nie mogła dłużej panować nad pęcherzem. Poczula ciepłą strugę płynącą po nodze. Zamknęła oczy. - Przepraszam, przepraszam, przepraszam, bardzo przepraszam - powtarzała jak w transie, nie przestając się kiwać.

Samantha ścisnęła ją za rękę tak mocno, jakby chciała zgruchotać jej kości.

Charlotte zbierało się na wymioty. Jej żołądek wyczyniał dzikie harce, podchodził do gardła i przewracał się w brzuchu, jakby znalazła się na rozkołysanym morzu w maleńkiej łupince. Zacisnęła powieki. Pomyślała o bieganiu. O podeszwach stóp uderzających w podłogę. O palącym bólu mięśni. O płucach spazmatycznie chwytających powietrze. Samantha była obok. Jej koński ogon falował na wietrze. Uśmiechała się, dawała wskazówki.

Oddychaj. Powoli i równomiernie. Czekać, aż ból minie.

- Powiedziałem stul, kurwa, pysk! - usłyszała wrzask Czarnej Koszuli.

Uniosła głowę. Miała wrażenie, że porusza się w gęstym oleju.

Nastąpiła eksplozja. Odrzucona podmuchem Charlotte obita się o Samanthę. Gorąca maź okryła jej twarz i szyję, spłynęła po rękach, po ciele.

Zaczęła krzyczeć, zanim zorientowała się, co naprawdę zaszło.

Wszędzie była krew. Zupełnie jakby ktoś włączył zraszacz.

- Zamknij się! - Czarna Koszula uderzył Charlotte w twarz.

Samantha złapała ją w objęcia. Charlotte łkała, trzęsła się i krzyczała jednocześnie.

- Gamma - wyszeptała Samantha.

Charlie przywarła do siostry. Odwróciła głowę. Zmusiła się do spojrzenia na mamę. Chciała mieć pewność, że nigdy nie zapomni tego, co zrobiły te sukinsyny.

Biała kość. Strzępki serca i płuc. Z otwartych ran ziały włókna ścięgien, rozerwane tętnice i żyły, z których uszło życie.

- Jezu, Zach! - wrzasnął Bon Jovi.

Charlie nie zareagowała. Nie wykonała żadnego ruchu. Zdecydowała, że już nigdy więcej się nie zdradzi.

Zachariah Culpepper.

Czytała jego akta. Rusty reprezentował go przynajmniej cztery razy. Wczoraj wieczorem Gamma powiedziała, że gdyby Zach Culpepper uregulował swoje rachunki, ich rodzina nie musiałaby mieszkać na farmie.

- Kurwa! - Zach świdrował Samanthę wzrokiem. Ona też czytała jego akta. - Kurwa mać!

- Mamo... - Charlotte starała się odwrócić jego uwagę, przekonać go, że o niczym nie mają pojęcia. - Mamo, mamo, mamo...

- W porządku - Samantha próbowała ją uspokoić.

- Wcale nie. - Zach zdarł z głowy kominiarkę i rzucił ją na podłogę. Przypominał szopa pracza. Wokół oczu miał czerwone obwódki z krwi Gammy. Wyglądał jak na zdjęciu z kartoteki policyjnej, ale był jeszcze brzydszy. - Niech to szlag! Dlaczego użyłeś mojego imienia, chłopcze?

- Ja nnnie... - zająknął się Bon Jovi. - Przepraszam.

- Nikomu nie powiemy. - Samantha patrzyła w podłogę, jakby nie było jeszcze za późno. - Nikomu nie piśniemy ani słowa. Przysięgam.

- Dziewczyno, właśnie rozwaliłem ci mamę. Naprawdę myślisz, że wyjdiesz z tego cało?

- Nie - powiedział Bon Jovi. - Nie po to przyszliśmy.

- Przyszedłem tu anulować długi. A teraz mi się wydaje, że to Rusty Quinn mi zapłaci.

- Nie - powtórzył Bon Jovi. - Powiedziałem ci...

Zach uciszył go, mierzając mu prosto w twarz.

- Nie rozumiesz sytuacji. Musimy wiać z miasta, a to wymaga mnóstwa kasy. Wszyscy wiedzą, że Rusty Quinn trzyma gotówkę w domu.

- Dom się spalił. Wszystko się spaliło - powiedziała Samantha.

- Kurwa! - ryknął Zach i wypchnął Bon Joviego na korytarz. Wycelował w głowę Samantha z palcem na spuście.

- Nie! - Charlotte pociągnęła siostrę na podłogę, byle jak

najdalej od lufy strzelby. Poczuła pod kolanami kłujące drobiny. Na podłodze leżały odłamki roztrzaskanych kości. Spojrzała na Gammę. Ujęła jej białą woskową dłoń. – Nie bądź taka nieżywa, mamó. Proszę... Kocham cię. Bardzo cię kocham.

– Dlaczego zachowujesz się, jakbyś nie wiedział, jak to się skończy? – usłyszała głos Zacha.

Samantha pociągnęła ją za ramię.

– Wstań, Charlie.

– Nie wyjdziemy stąd, póki ty sobie też krwią rąk nie ubrudzisz – powiedział Zach.

– Charlie, wstań – powtórzyła Samantha.

– Nie mogę – odpowiedziała Charlotte, wyęzając słuch. Chciała usłyszeć odpowiedź Bon Joviego.

Samantha siłą podniosła ją z podłogi i usadziła na krześle.

– Biegnij, kiedy nadarzy się okazja – szepnęła jej do ucha. To samo próbowała powiedzieć jej Gamma. – Nie oglądaj się. Po prostu biegnij.

– Co tam knujecie? – Zach podszedł do stołu. Pod jego butami coś zazgrzytało. Przytknął lufę do czoła Samanthy. Charlie zobaczyła strzępki ciała Gammy przyklejone do lufy. – Co jej kazałaś zrobić? Biec? Uciekać?

Charlotte chrząknęła, chcąc odwrócić jego uwagę od siostry.

Zach nie przestawał mierzyć do Sam, ale uśmiechnął się do Charlie, odsłaniając rząd krzywych przebarwionych zębów.

– Co kazała ci zrobić, laleczko?

Charlie próbowała odsunąć od siebie dręczącą myśl o zmianie tonu jego głosu, gdy się do niej zwracał.

– Chodź, skarbie. – Zach łakomym wzrokiem ślizgał się po

jej piersiach. Obliział wargi. – Zostaniemy przyjaciółmi?

– Ppprzestań – zająknęła się Samantha. Spod wylotu lufy, który wwiercał się jej w czoło, zaczęła sączyć się krew. – Zostaw ją w spokoju – powiedziała pewniejszym już tonem.

– Do ciebie mówię, suko? – Zach naparł na strzelbę całym ciałem, aż głowa Sam uniosła się od tego ciężaru.

Zacisnęła szczęki, zacisnęła pięści. Była niczym garnek, w którym zaczyna wrzeć woda, tyle że w niej gotowała się wściekłość.

– Zostaw nas, Zachariahu Culpepperze! – krzyknęła.

Przestąpił z nogi na nogę i odchylił się na pięty, zaskoczony jej odwagą.

– Dobrze wiem, kim jesteś, pieprzony zboczeńcu.

Ścisnął mocniej strzelbę i wykrzywił usta.

– Wyrwę ci powieki, żebyś mogła patrzeć, jak nożem odbieram twojej siostruni cnotę – wycedził.

Spiorunował ją wzrokiem. Sam odpłaciła tym samym. Nie zamierzała się cofnąć. Charlie widziała ją taką niejedną raz. Znała to zawzięte spojrzenie. Tyle że teraz Sam nie konfrontowała się z Rustym czy wrednymi dziewczynami ze szkoły. Naprzeciw niej stał człowiek ze strzelbą, nieobliczalny i porywczy, który w zeszłym roku omal nie pobił innego człowieka na śmierć. Charlie widziała zdjęcia w aktach u Rusty'ego. Czytała raport policyjny. Zachariah gołymi rękami ścisnął facetowi czaszkę i spowodował jej pęknięcie.

Wydała z siebie głośny jęk.

– Zach – powiedział Bon Jovi. – Daj spokój, stary.

Charlie czekała, aż Sam odwróci wzrok. Nie zrobiła tego.

Nie mogła. Nie chciała.

- Mieliśmy umowę, nie? - Bon Jovi nie dawał za wygraną.

Zach ani drgnął. Żadne z nich się nie ruszyło.

- Mieliśmy umowę - powtórzył Bon Jovi.

- Jasne. - Zach rzucił mu strzelbę. - Porządny człowiek dotrzymuje słowa.

Zaczął się odwracać, jakby chciał odejść, ale nagle przeciął ręką powietrze jak atakujący grzechotnik. Złapał Sam za twarz i pchnął ją tak mocno, że uderzyła głową o zlew.

- Nie! - zawołała rozpaczliwie Charlie.

- Teraz też myślisz, że jestem zboczeńcem? - Był tak blisko Sam, że opryskał ją śliną. - Chcesz jeszcze coś o mnie powiedzieć?

Sam otworzyła usta, ale nie mogła krzyczeć. Złapała go obiema rękami za ramię i machała nimi, usiłując go podrapać. Zach wetknął jej paznokcie w oczy. Zamiast łez popłynęła z nich krew. Sam kopała i wierzgała na oślep. Rozpaczliwie łapała powietrze.

- Przestań! - Charlie skoczyła Zachowi na plecy i zaczęła okładać go pięściami. - Przestań!

Zrzucił ją z siebie. Poleciała pod ścianę i uderzyła w nią głową. Przez chwilę widziała podwójnie, ale zaraz skupiła wzrok na Sam. Zach zostawił ją na podłodze. Krew ciekła jej po policzkach i zbierała się na kołnierzyku koszuli.

- Sammy! - krzyknęła Charlie. Próbowwała zajrzeć siostrze w oczy, sprawdzić, jak bardzo są uszkodzone. - Sam, spójrz na mnie. Widzisz coś? Spójrz na mnie, błagam!

Samantha ostrożnie spróbowała unieść powieki. Były

rozerwane jak kawałki mokrego papieru.

- Co to, kurwa, jest? - powiedział nagle Zach. Podniósł z ziemi młotek do kranu. - Jesteś ciekawa, co mogę tym zrobić? - mrugnął do Charlie.

- Dosyć! - Bon Jovi wyrwał mu młotek i cisnął na korytarz.

- Chciałem się trochę zabawić, bracie - powiedział Zach.

- Wstańcie obie. Miejmy to już za sobą - powiedział Bon Jovi.

Charlie nie ruszyła się z podłogi. Sam zamrugła, próbując usunąć z oczu krew.

- Zach, pomóż jej wstać - nalegał Bon Jovi. - Obiecałeś, stary. Nie pogarszaj sytuacji.

Zach szarpnął Sam za rękę tak mocno, że w stawie barkowym coś jej chrupnęło. Zawadziła o stół. Pchnął ją ku drzwiom. Wpadła na krzesło. Charlie złapała ją za rękę, żeby uchronić przed upadkiem.

Bon Jovi otworzył drzwi.

- Wychodźcie - zarządził.

Charlie wyszła pierwsza. Szurała nogami i kiwała się na boki, pomagając zejść po schodach Sam, która szła z wyciągniętą przed siebie ręką jak niewidoma. Charlie zobaczyła ich buty i skarpetki. Gdyby mogły je włożyć, zyskałyby szansę na ucieczkę. Pod warunkiem, że Sam widziałyby, dokąd biegnie.

- Widzisz coś? Widzisz? - dopytywała Charlie.

- Tak - odparła Sam, ale najwyraźniej kłamała. Nie mogła nawet do końca otworzyć oczu.

- Tędy. - Bon Jovi wskazał świeżo obsadzone pole za

Pieprznikiem. Nie powinni go deptać, ale Charlie szła tam, gdzie jej kazali, prowadząc za sobą Sam i pomagając jej brnąć przez głębokie bruzdy.

- Dokąd idziemy? - zwróciła się do Bon Joviego.

Zach lufą strzelby dźgnął Sam w plecy.

- Nie zatrzymujcie się - warknął.

- Nie rozumiem - ciągnęła Charlie. - Dlaczego to robicie?

Bon Jovi potrząsnął głową.

- Co wam zrobiłyśmy? Jesteśmy dziećmi. Nie zasługujemy na takie traktowanie.

- Zamknij się - zgromił ją Zach. - Obie się zamknijcie.

Sam mocniej ścisnęła dłoń Charlie. Uniosła głowę jak węszący pies szukający tropu. Charlie instynktownie wiedziała, co robi jej siostra. Dwa dni temu Gamma pokazała im topograficzną mapę okolicy. Sam starała się rozpoznać punkty orientacyjne, ustalić swoje położenie.

Charlie robiła to samo.

Ziemie sąsiada ciągnęły się aż po horyzont. Ten teren był zupełnie płaski. Nawet gdyby Charlie biegła zygzakiem, Sam potknęłaby się i upadła. Po prawej stronie na granicy posiadłości rósł las. Gdyby Charlie zdołała poprowadzić Sam w tamtą stronę, mogłyby się tam ukryć. Po drugiej stronie lasu strumień wpływał do tunelu schodzącego pod wieżę meteorologiczną. Dalej ciągnęła się utwardzona droga, z której miejscowi nie korzystali. Niecały kilometr na północ stała porzucona stodoła. Druga farma leżała trzy kilometry na wschód. To było najlepsze rozwiązanie. Gdyby Charlie udało się dotrzeć tam z Sam, mogłyby zadzwonić do Rusty'ego, a on

je uratuje.

- Co to? - zapytał nagle Zach.

Charlie obejrzała się. W oddali zobaczyła dwa przemieszczające się punkty świtała. To nie był van Lenore.

- Samochód - powiedziała.

- Cholera, zaraz zobaczą moją furgonetkę. - Zach popchnął Sam lufą, nakazując jej zmianę kierunku. - Ruszajcie się albo zastrzelę was tutaj.

Tutaj.

Charlie zeszywniała na te słowa. Modliła się w duchu, żeby Sam ich nie dosłyszała, nie zrozumiała ich sensu.

- Można to załatwić inaczej. - Sam odwróciła głowę w stronę Bon Joviego, chociaż i tak go nie widziała.

Zach parsknął pogardliwie.

- Zrobię wszystko, czego chcecie. - Odchrząknęła i zebrała się w sobie. - Wszystko.

- Myślisz, że i tak nie wezmę tego, czego chcę, głupia suko?
- odparł Zach.

Charlie zebrało się na mdłości. Na wprost zobaczyła przesiekę. Mogłaby tam pobiec z Sam, poszukać kryjówki.

- Nie zdradzimy, że to wy. Powiemy, że mieliście na twarzach kominiarki i...

- Z moją ciężarówką na podjeździe i waszą martwą mamuszką w domu? - Zach znowu parsknął. - Wy, Quinnowie, macie się za bystrzaków, którzy gadką wywiną się ze wszystkiego.

Charlie nie знаła żadnych kryjówek w lesie. Odkąd wprowadzili się na farmę, była zajęta rozpakowywaniem pudeł

i nie miała czasu na eksplorację otoczenia. Największą szansę dawał bieg z powrotem na farmę, naprzeciw policjantowi, który tam jechał. Charlie mogła przeprowadzić Sam przez pole. Siostra musiałaby jej zaufać, tak jak oczekiwała od niej zaufania podczas bezwzrokowej zmiany pałeczki. Sam biegała szybko, szybciej od Charlie. O ile by się nie potknęła...

- Posłuchajcie mnie - ciągnęła Sam. - I tak musicie wyjechać z miasta. Nie ma powodu, żeby nas zabijać. - Zwróciła się bezpośrednio do Bon Joviego: - Przemyśl to, proszę. Wystarczy, że nas zwiążecie. Zostawcie nas tam, gdzie nikt nas nie znajdzie. I tak musicie uciekać z miasta. Chyba nie chcesz mieć więcej krwi na rękach.

Bon Jovi potrząsał głową.

- Przykro mi.

Charlie poczuła palec wędrujący w górę jej pleców. Wzdrygnęła się, a Zach zarechotał.

- Puśćcie moją siostrę - powiedziała Sam. - Ona ma trzynaście lat. To jeszcze dziecko.

- Na moje oko nie wygląda jak dziecko. - Zach wykonał w powietrzu gest uszczypnięcia. - Cycki ma niezłe.

- Zamknij się - warknął Bon Jovi. - Mówię serio.

- Ona nikomu tego nie zdradzi - nie dawała za wygraną Sam. - Powie, że to byli jacyś obcy. Prawda, Charlie?

- Czarnuch? - zapytał Zach. - Jak ten, którego wasz tatuś uratował przed odsiadką za morderstwo? - Przejechał palcami po piersiach Charlie.

- Tak jak uratował ciebie przed więzieniem za pokazywanie fiuta małym dziewczynkom? - wyrzuciła z siebie

rozwścieczona tym gestem.

- Charlie, bądź cicho, proszę cię - powiedziała błagalnie Sam.

- Niech mówi. Podoba mi się, że jest taka bojowa - stwierdził Zach.

Charlie rzuciła mu wrogie spojrzenie. Szła przez las, ciągnąc za sobą siostrę. Ze względu na nią starała się nie iść za szybko, a jednocześnie chciała iść jak najszybciej, żeby Zach nie mógł dotrzymać jej kroku.

- Nie - szepnęła do siebie. Dlaczego szła tak szybko? Powinna zwolnić. Im bardziej oddalały się od Pieprznika, tym niebezpieczniejsza stawała się ewentualna ucieczka. Charlie przystanęła i odwróciła się. Ledwie widziała światła w oknie kuchni.

- Rusz się. - Zach znowu dźgnął Sam lufą w plecy.

Sosnowe igły wbijały się w bosc stopy Charlie, gdy weszli głębiej w las. Powietrze stało się wyraźnie chłodniejsze. Tkanina szortów zeszywniała od zaschniętej uryny i ocierała jej skórę po wewnętrznej stronie ud. Z każdym krokiem Charlie czuła nieprzyjemne szczypanie. Obejrzała się na siostrę. Sam miała zamknięte oczy, szła z wyciągniętą przed siebie ręką. Liście szeleściły im pod nogami. Charlie pomogła Sam pokonać zwałone drzewo. Gdy przekraczały wąski strumień, w stopy zakłuły tysiące lodowatych igiełek. Spomiędzy chmur przebierała srebrzysta poświata księżyca. W oddali Charlie ujrzała zarys wieży meteo, zardzewiałej stalowej budowli, która wyglądała na tle nieba jak olbrzymi szkielet.

Charlie nareszcie odzyskała orientację w terenie. Skoro wieżę miała po lewej ręce, to znaczy, że szli na wschód. Druga farma leżała niewiele ponad trzy kilometry po jej prawej.

Trzy kilometry.

Analizowała swój najlepszy czas na kilometr. Sam była od niej szybsza na płaskiej nawierzchni, tyle że las nie był płaski, a światło księżycy mogło spleść figła. Sam nie widziała. Może udałoby im się zmieścić w szesnastu minutach. Może gdyby ona skoncentrowała się najlepiej, jak umie, gdyby patrzyła prosto przed siebie, zamiast się odwracać.

Mierzyła wzrokiem teren rozciągający się przed nimi, szukając najlepszej możliwej trasy ucieczki.

Wszystko za późno.

- Sam... - Charlie zatoczyła się i przystanąła. Znowu poczuła na nodze ciepłą strużkę. Mocno objęła siostrę w pasie. - Tu jest łopata. Łopata.

Sam pomogła sobie palcami, żeby rozchylić powieki. Gwałtownie wciągnęła powietrze na widok tego, co zobaczyła jak przez mgłę.

Dwa metry przed nimi ziemia otwierała się niczym głęboka rana.

Charlie zaczęła dzwonić zębami. Zach i Bon Jovi wykopali grób dla Rusty'ego, a teraz mieli go wykorzystać do pogrzebania jej i Sam.

Musiały uciekać.

Teraz to wiedziała, czuła każdą cząstką swojego jestestwa. Sam widziała przynajmniej na tyle, żeby zobaczyć grób. To oznaczało, że da radę biec. Nie miały wyboru. Nie mogły stać

tu pokornie i czekać na śmierć.

I na to, co Zachariahowi Culpepperowi chodziło jeszcze po głowie.

Charlie ścisnęła dłoń Sam. Sam odpowiedziała tym samym na znak, że jest gotowa. Pozostawało czekać na odpowiednią chwilę.

- Dobra, chłopcze. Teraz czas na ciebie. - Zach oparł kolbę strzelby na biodrze. Wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i otworzył go drugą ręką. - Strzały będą za głośne. Weź to. Poderżnij jej gardło jak świni.

Bon Jovi trwał w bezruchu.

- No dalej, rób, jak się umówiliśmy. Zajmij się tą większą. Ja biorę młodszą.

- Ona ma rację - odezwał się Bon Jovi. - Nie musimy tego robić. Nie planowaliśmy skrzywdzić kobiet. Miało ich nie być w domu.

- Co ty powiesz?

Sam ścisnęła rękę Charlie z całej siły. Obie obserwowały ich i czekały.

- Co się stało, to się nie odstanie - powiedział Bon Jovi. - Ale nie musimy pogarszać sytuacji zabijaniem kolejnych ludzi. Niewinnych ludzi.

- Jezu! - Zach zamknął nóż i schował go do kieszeni. - W kuchni już to ustaliliśmy, stary. Nie mamy wyboru.

- Możemy się ujawnić.

- Chyba cię po-gię-ło.

Sam oparła się o Charlie, popychając ją o kilka kroków w prawo, sygnalizując, że ma być gotowa do biegu.

- To ja się przyznam. Całą winę wezmę na siebie - powiedział Bon Jovi.

- Już to widzę. - Zach trącił go w pierś. - Myślisz, że dam się przymknąć za morderstwo tylko dlatego, że w tobie nagle obudziło się sumienie?

Sam puściła rękę siostry.

Charlie poczuła, jak serce jej zamiera.

- Biegnij, Charlie - szepnęła Sam.

- Nie wydam cię - powiedział Bon Jovi. - Powiem, że to ja.

Charlie próbowała znowu złapać siostrę za rękę. Musiały pozostać blisko siebie, żeby mogła wskazywać Sam drogę.

- W mojej furgonetce?

Sam zaczęła nieznacznie odpychać Charlie od siebie.

- Uciekaj - szepnęła.

Charlie potrząsnęła głową. O co jej chodziło? Przecież nie mogła uciekać sama. Nie mogła zostawić siostry.

- Ty sukinsynu. - Zach skierował strzelbę w pierś Bon Joviego. - Będzie tak. Albo weźmiesz mój nóż i poderzniesz gardło tej suce, albo ja zrobię ci pod sercem dziurę wielkości Teksasu. - Przesąpił z nogi na nogę. - I to zaraz.

Bon Jovi wycelował swój rewolwer w głowę Zacha.

- Obaj się zgłosimy.

- Weź tę pukawkę ode mnie, zasrańcu.

Sam szturchnęła Charlie, dając jej znać, żeby się ruszyła.

- Uciekaj - szepnęła.

Charlie nie ruszyła się z miejsca. Nie zamierzała zostawić siostry.

- Najpierw zabiję ciebie, potem je - powiedział Bon Jovi.

- Nie masz jaj, żeby pociągnąć za spust.

- Zrobię to.

Charlie znowu zaczęła szczękać zębami. Powinna rzucić się do ucieczki? Czy Sam za nią pobiegnie? Czy o to jej chodziło?

- Biegnij. Musisz biec - mobilizowała ją błagalnym szeptem Sam.

„Nie oglądaj się. Musisz ufać, że jestem za tobą”.

- Złamas. - Zach zrobił błyskawiczny zamach wolną ręką.

Bon Jovi odepchnął od siebie lufę jego strzelby.

- Biegnij! - Sam mocno popchnęła siostrę. - Uciekaj, Charlie!

Charlie zachwiała się i klapnęła pośladkami na ziemię. Zobaczyła jasny rozbłysk i usłyszała huk pocisku wylatującego z lufy rewolweru. Zaraz potem bok głowy Sam eksplodował.

Sam okręciła się w powietrzu jak plastikowy widelec i runęła do dołu.

Bum!

Charlie wpatrywała się w ziejący dół. Czekwała, błagała, modliła się, by Sam dała jakikolwiek znak życia.

- Cholera - powiedział Bon Jovi. - Jezu Chryste. - Rzucił rewolwer jak fiolkę trucizny.

Charlie widziała błysk metalu, gdy broń upadła na ziemię. Szok na twarzy Bon Joviego. I biel zębów, gdy Zach wyszczerzył je w szerokim uśmiechu.

Uśmiechał się do niej.

Do niej.

Zaczęła gramolić się na czworakach do tyłu, byle dalej od niego.

Ruszył w jej kierunku, ale Bon Jovi złapał go za koszulę.

- I co teraz, kurwa? - zawołał.

Charlie trafiła plecami w drzewo. Podniosła się. Kolana jej drżały. Ręce drżały. Całe ciało trzęsło się jak osika. Spojrzała na grób, w którym leżała jej siostra. Sam dostała postrzał w głowę. Charlie jej nie widziała, nie umiała powiedzieć, czy żyje, czy nie, czy potrzebuje pomocy...

- W porządku, kwiatuszku - rzucił w jej stronę Zach. - Zaczekaj tam na mnie.

- Ja... ja... - zająknął się Bon Jovi - właśnie zabiłem...
Zabiłem.

Nie mógł zabić Sam. Nabój z rewolweru był mały, znacznie mniejszy od naboju w strzelbie. Może nie zrobił jej krzywdy. Może Sam nic się nie stało, a teraz chowała się w grobie, gotowa wyskoczyć z niego i biec.

Jednak nie wyskakiwała. Nie ruszała się, nie mówiła, nie krzyczała, nie dyrygowała wszystkimi.

Charlie potrzebowała rady siostry. Wskazówki, co robić. Zastanawiała się, jak Sam zachowałaby się w tej chwili. Co by teraz powiedziała.

- Ty zakopujesz tę sukę, a ja biorę tę małą na stronę - powiedział Zach.

- Jezu.

Sam nic by teraz nie mówiła. Raczej wrzeszczałyby, wściekła na Charlie, że stoi jak słup soli, traci szansę ratunku, nie wykorzystuje rad starszej siostry.

„Nie oglądaj się...”.

„Musisz ufać, że tam jestem...”.

„Trzymaj głowę nisko i...”.

Charlie zaczęła biec.

Rękami młóciła powietrze. Szukała oparcia dla stóp. Gałęzie drzew biły ją po twarzy. Nie mogła oddychać. W płucach miała tysiące kłujących igieł.

Oddychaj. Powoli i regularnie. Czekaj, aż ból minie.

Były najlepszymi przyjaciółkami. Wszystko robiły razem. A potem Sam poszła do gimnazjum i Charlie została sama. Jedynym sposobem, w jaki mogła zwrócić na siebie uwagę siostry, była prośba o naukę techniki biegania.

„Nie napinaj się. Oddychasz w rytmie: wdech na dwa kroki, wydech na jeden”.

Charlie nienawidziła biegania, ponieważ uważała tę czynność za głupią, która na dodatek sprawia ból. Bardzo chciała jednak spędzać czas z siostrą, robić to, co ona, może któregoś dnia ją prześcignąć. Chodziła więc z Sam na stadion, dołączyła do szkolnej drużyny i codziennie mierzyła czas, ponieważ codziennie poprawiała swoje wyniki.

- Wracaj tu! - wrzasnął Zach.

Ponad trzy kilometry do najbliższej farmy. Dwanaście, może trzynaście minut. Charlie nie biegała szybciej niż chłopcy, ale mogła biec dłużej. Miała wytrzymałość, była wytrenowana. Umiała ignorować ból. Umiała kontrolować oddech, gdy każda porcja powietrza wydawała się ostra jak brzytwa.

Na jedno nie była przygotowana. Na bieg w stanie paniki wywołanej odgłosem ciężkich kroków dudniących o ziemię za jej plecami, na bum-bum-bum, które przenikało ją do samego serca.

Zachariah Culpepper biegł za nią.

Przyśpieszyła. Przyciągnęła ręce do tułowia. Zminimalizowała napięcie w ramionach. Wyobraziła sobie, że jej nogi to tłoki w maszynie działającej na najwyższych obrotach. Wyłączyła ból, jaki sprawiały jej bosym stopom szyszki i ostre kamyki, na które następowała. Myślała o mięśniach, które wspomagały jej ruch...

„Łydki, mięśnie czworogłowe, ścięgna podkolanowe, napnij środek, chroń plecy”.

Zachariah się zbliżał. Miała wrażenie, że goni ją parowóz.

Przeskoczyła zwalone drzewo. Spojrzała w lewo, potem w prawo, świadoma, że nie powinna biec w linii prostej. Musiała zlokalizować położenie wieży meteo, upewnić się, że biegnie w dobrym kierunku. Wiedziała jednak, że jeśli obejrzy się na Zachariah Culpeppera, na jego widok spanikuje jeszcze bardziej, a w stanie paniki może się potknąć. A jeśli się potknie, to upadnie.

A wtedy on ją zgwałci.

Charlie skręciła ostro w prawo. W ostatniej chwili zobaczyła następne zwalone drzewo. Przeskoczyła je, ale wylądowała niefortunnie. Wykręciła stopę i kostką dotknęła ziemi. Ból przeszył jej nogę do pachwiny.

Biegła dalej.

I dalej.

I dalej.

Stopy miała lepkie od krwi, pot po niej ściekał, klatka piersiowa płonęła, ale byłoby o wiele gorzej, gdyby Zachariah Culpepper znowu uszczypnął ją w pierś. Zamiast wnętrzości

miała gigantyczny supeł, ale jelita zamieniły się w płyn. Wszystko było lepsze niż perspektywa bólu, jaki zadałby jej Zachariah, wkładając jej TO do środka.

Poszukała wzrokiem światła, jakiegokolwiek oznaki cywilizacji.

Ile czasu minęło?

Jak długo zdoła jeszcze biec?

Wyobraź sobie linię mety. Musisz chcieć do niej dotrzeć bardziej niż osoba biegnąca za tobą.

Zachariah czegoś chciał. Ona chciała czegoś innego – uciec, sprowadzić pomoc dla siostry, znaleźć Rusty’ego, który wiedziałby, jak temu wszystkiemu zaradzić.

Nagle szarpnięcie głowy w tył pozbawiło ją równowagi. Miała wrażenie, że ktoś oderwał jej głowę od szyi.

Zobaczyła swoje stopy w powietrzu.

Uderzyła plecami o ziemię.

Ujrzała własny oddech gwałtownie wypychany z płuc. I nie była to wyobraźnia.

Zachariah Culpepper przygwoździł ją swoim ciężarem. Czowała na sobie jego ręce. Wszędzie. Łapał ją za piersi. Ciągnął za szorty. Chwytał zębami jej zaciśnięte wargi. Próbowwała podrapać mu oczy, trafić kolanem w krocze, ale nie mogła zgiąć nogi.

Zachariah uniósł się i usiadł na niej okrakiem.

Charlie okładała go pięściami, usiłowała zrzucić z siebie. Na próżno.

Rozpiął sprzączkę paska.

Charlie otworzyła usta. Brakowało jej powietrza na krzyk.

Kręciło jej się w głowie, zawartość żołądka podeszła do gardła. Zamknęła oczy i zobaczyła pod powiekami obracającą się w powietrzu Sam. Usłyszała głucho bum! towarzyszące upadkowi jej siostry do grobu, zupełnie jakby wszystko rozgrywało się na nowo. Potem zobaczyła Gamme. Na podłodze w kuchni dotykającą plecami szafki.

Biała kość. Strzępki serca i płuc. Włókna ścięgien, tętnice i żyły ziejące z otwartych ran, przez które uszło życie.

- Nie! - Zacisnęła pięści i zaczęła okładać Zachariaha. Zdzieliła go w szczękę tak mocno, że rzucił głową w bok. Krew trysnęła mu z ust. Spadała wielkimi kroplami w przeciwieństwie do Gammy, która pozostawiła po sobie w łazience krwawe punkciki.

- Pieprzona suka! - Zamierzył się na nią.

Kątem oka Charlie dostrzegła jakiś ruch.

- Zostaw ją!

Bon Jovi rzucił się na Zacha i przygwoździł go do ziemi. Usiadł na nim okrakiem jak chwilę wcześniej Zach na Charlie i młócił pięściami bez opamiętania.

- Skurwielu! Zabiję cię! - wrzeszczał jak opętany.

Charlie odczołgała się od nich i podparła obiema rękami, żeby wstać. Zachwiała się. Przetarła oczy. Pot zmienił w płyn zaschlą krew na jej twarzy i szyi. Okręciła się wokół własnej osi jak Sam. Nie mogła się zorientować, gdzie jest. Nie wiedziała, dokąd biec, ale jedno wiedziała na pewno: musi uciekać.

Kostka bolała dotkliwie, gdy Charlie ruszyła w głąb lasu. Nie szukała wzrokiem wieży meteo. Nie nasłuchiwała szumu

strumienia. Nie próbowała szukać Sam ani kierować się w stronę Pieprznika. Po prostu biegła przed siebie, potem szła, potem poczuła się tak wyczerpana, że miała ochotę się czołgać.

W końcu dała za wygraną, opadła na ziemię i posuwała się na czworakach.

Wytężyła słuch. Nikt za nią nie biegł. Słyszała jedynie swój ciężki oddech.

Zwymiotowała. Wymiociny opryskały jej twarz. Chciała się położyć, zamknąć oczy, zasnąć i obudzić się za tydzień, kiedy będzie już po wszystkim.

Sam.

W grobie.

Z kulką w głowie.

Gamma.

W kuchni.

Biała kość.

Strzępki serca i płuc.

Włókna ścięgien, tętnic i żył.

Życie odebrane jednym wystrzałem przez Zachariah Culpeppera.

Charlie znała jego imię i nazwisko. Zapamiętała budowę ciała Bon Joviego, jego głos, jego spokój, gdy Gamma była mordowana, ruch ręki, kiedy postrzelił Sam w głowę, moment, w którym Zachariah nazwał go bratem.

Bratem.

Zobaczy ich martwych. Będzie patrzeć, jak kat przypina ich pasami do drewnianego krzesła, wkłada im na głowę stalowy

hełm z mokrą gąbką pod spodem, żeby się nie zapalili, a ona spojrzy w to miejsce między nogami Zachariaha Culpeppera, by widzieć, jak moczy się w ostatnich chwilach życia, rozumiejąc, że nie ma już dla niego ratunku.

Wstała.

Zachwiała się kilka razy, odzyskała równowagę, zaczęła iść, potem truchtać i truchtała do momentu, w którym zobaczyła światło na werandzie farmy sąsiadów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sam Quinn naprzemiennie poruszała rękami w podgrzewanej wodzie basenu. Przy co trzecim wymachu wystawiała głowę znad wody i nabierała powietrza. Nogami wykonywała nożyce. Czekwała na następny oddech.

Lewa-prawa-lewa-wdech.

Zawsze lubiła spokój i prostotę stylu dowolnego. Koncentrując się na właściwym rytmie ruchów, uwalniała się od innych myśli. Na basenie nie dzwoniły telefony, laptopy nie przynosiły wieści o pilnych spotkaniach, nie było czytania mejli.

Zobaczyła linię oznaczającą dwa metry, znak zbliżającego się końca toru. Po chwili dotknęła palcami ściany basenu.

Oddychając ciężko, sprawdziła czas. Dwa tysiące czterysta metrów w tempie stu pięćdziesięciu sekund na sto metrów dawało trzydzieści siedem i pół sekundy na jedną długość dwudziestopięciometrowego basenu.

Poczuła lekkie rozczarowanie wynikiem gorszym o kilka sekund od wczorajszego. Jej ambicja stała w jawnej sprzeczności z fizycznymi możliwościami. Rzuciła okiem na drugi koniec basenu, szukając w sobie resztek energii do pokonania kolejnego dystansu.

Nie.

Dzisiaj miała urodziny. Nie chciała zmachać się tak, żeby do biura iść o lasce.

Wydostała się na brzeg basenu i szybko zmyła z siebie słoń

wodę. Skórę na czubkach palców miała pomarszczoną i nierówną. Wytarła się ręcznikiem z egipskiej bawełny. Gdzieś w zakamarkach umysłu usłyszała głos matki wyjaśniający, że ciało reaguje na długie zanurzenie w wodzie pofałdowaniem opuszków palców u rąk i stóp, ponieważ musi zwiększyć chwytność.

W chwili śmierci Gamma miała czterdzieści cztery lata. Tyle lat kończyła dzisiaj Sam.

A ściślej mówiąc, kończyła za trzy i pół godziny.

Jadąc windą do mieszkania, miała jeszcze na nosie specjalne okulary pływackie. W gładkiej chromowanej powierzchni drzwi widziała swoje niewyraźne odbicie. Szczupła sylwetka. Czarny jednoczęściowy kostium. Kilkakrotnie przejechała palcami po włosach, żeby przyspieszyć ich suszenie. Dwadzieścia osiem lat temu weszła do lasu za farmą jako dziewczyna o kruczoczarnych włosach. Niecały miesiąc później obudziła się w szpitalu i doznała szoku na widok białej szczeciny porastającej jej ogoloną głowę.

Przywykła do niedowierzających spojrzeń, zaskoczenia w oczach nieznanym, kiedy orientowali się, że ta siwowłosa starsza kobieta w klasie, kupująca wino w supermarkecie czy idąca przez park, jest tak naprawdę młodą dziewczyną.

Ostatnio jednak zdarzało się to coraz rzadziej. Mąż uświadomił jej, że któregoś dnia dysonans zniknie, gdyż jej twarz w końcu dogoni włosy.

Drzwi windy rozsunęły się bezszelestnie.

Słońce wlewało się do mieszkania przez rząd okien sięgających od podłogi do sufitu. W dole dzielnica finansowa

pulsowała życiem. Do środka docierał tłumiony potrójnymi szybami zgiełk ulicy.

Sam poszła do kuchni, gasząc po drodze światła. Zmieniła okulary pływackie na korekcyjne. Napełniła miseczkę kocią karmą. Nalała wody do czajnika. Przygotowała zaparzaczkę do herbaty, kubek i łyżeczkę, ale przed zagotowaniem wody poszła do salonu poćwiczyć na macie.

Zdjęła okulary. Wykonała serię ćwiczeń rozciągających na wzmocnienie mięśni. Na koniec usiadła na macie ze skrzyżowanymi nogami. Oparła grzbiety dłoni na kolanach, połączyła opuszki kciuka oraz palca środkowego i wskazującego, zamknęła oczy. Oddychając głęboko, skupiła się na swoim mózgu.

Kilka lat po postrzale psychiatra pokazał Sam ośrodki ruchu w korze mózgowej. Chciał, żeby z pomocą symulacji komputerowej zobaczyła, jaką drogę przebył w jej mózgu nabój i które struktury uszkodził. Poradził jej, żeby myślała o uszkodzonych strukturach przynajmniej raz dziennie, kontemplowała poszczególne zwoje i szczeliny oraz wizualizowała mózg i ciało działające niczym tandem idealny jak przed postrzałem.

Nie miała do tego przekonania. To ćwiczenie wydawało jej się połączeniem myślenia życzeniowego z rytuałem wudu.

Teraz było jedynym sposobem na powstrzymanie bólu głowy i zachowanie równowagi psychicznej.

Zaczęła na własną rękę pogłębiać wiedzę o mózgu, oglądała wyniki rezonansu magnetycznego, studiowała opasłe tomy z dziedziny neurobiologii, ale to tamten pierwszy obraz mózgu

stał się przewodnikiem w medytacji. W wyobraźni Sam przekrój poprzeczny lewej kory ruchowej i czuciowej świeciły się zawsze na żółto i zielono. Każda część była oznakowana etykietką z nazwą części ciała, za którą odpowiadała. Palce u stóp. Kostka. Kolano. Biodro. Tułów. Ramię. Nadgarstek. Palce u rąk.

Czuła mrowienie w tych częściach ciała, które akurat były obiektem jej medytacji.

Pocisk wszedł w czaszkę z lewej strony, tuż nad uchem. Lewa półkula mózgu kontroluje prawą stronę ciała, prawa półkula - lewą stronę. Z medycznego punktu widzenia uszkodzeniu uległa powierzchowna część mózgu. Sam zawsze uważała słowo „powierzchnowy” za mylące. To prawda, że pocisk nie przeszedł przez śródmózgowie ani głębiej położony układ limbiczny, lecz funkcje ośrodka Broki odpowiadającego za generowanie mowy, ośrodka Wernickiego odpowiadającego za rozumienie mowy oraz ośrodków kontrolujących ruch po prawej części ciała uległy zakłóceniu.

„Powierzchnowy - znajdujący się na powierzchni lub tuż pod powierzchnią; niesięgający w głąb czegoś; płytki, błahy, pobieżny, raczej pozorny niż rzeczywisty”.

Sam miała w głowie metalową płytkę, a nad uchem bliznę o rozmiarach wskazującego palca.

Jej wspomnienia tamtego dnia pozostały fragmentaryczne. Była pewna ledwie kilku rzeczy. Pamiętała bałagan pozostawiony przez Charlie w łazience. Pamiętała braci Culpepperów, ich zapach, dojmujące poczucie zagrożenia. Nie pamiętała chwili śmierci Gammy. Nie pamiętała wyczołgiwania

się z grobu. Pamiętała, że Charlie posikała się ze strachu. Pamiętała, że nawrzeszczała na Zachariaha Culpepera. Pamiętała organiczną wręcz potrzebę umożliwienia Charlie ucieczki, zapewnienia jej bezpieczeństwa bez względu na konsekwencje dla siebie.

Fizjoterapia. Terapia zajęciowa. Logopedia. Terapia kognitywna. Ćwiczenia w wodzie. Sam musiała od nowa uczyć się mówić, myśleć, tworzyć połączenia między wyrazami, rozmawiać, pisać, czytać, rozumieć, ubierać się. Zaakceptować to, co ją spotkało. Pogodzić się z tym, że wszystko się zmieniło. Na nowo nauczyć się uczyć. Wrócić do szkoły. Artykułować swoje myśli. Rozumieć retorykę, logikę, ruch, działanie i formę.

Często porównywała pierwszy rok rekonwalescencji do nagrania na starym gramofonie. Kiedy ocknęła się w szpitalu, jej świat spowolnił. Bełkotała, myślała w zwolnionym tempie. Powrót do prędkości trzydziestu trzech i pół obrotu na minutę wydawał się niemożliwy. Nikt nie wierzył w sukces Sam, chociaż jej wiek mógł zadziałać jak magiczna różdżka. Jeden z chirurgów powiedział, że skoro miała dostać postrzał w głowę, dobrze, że spotkało ją to w wieku piętnastu lat.

Coś otarło się o jej ramię. Hrabia Fosco skończył śniadanie i domagał się jej uwagi. Podrapała kota za uszami, wsłuchując się w jego kojące mruczenie. Zastanawiała się, czy nie lepiej zrezygnować z medytacji i po prostu adoptować więcej kotów.

Włożyła okulary. Wróciła do kuchni i włączyła czajnik. Słońce wędrowało nad dolnym Manhattanem. Zamknęła oczy, chcąc poczuć ciepło. Kiedy uniosła powieki, zobaczyła, że

Fosco robi to samo. Uwielbiał ciepło promieniujące spod kuchennej podłogi. Sam nie mogła przywyknąć do ciepła pod bosymi stopami po wstaniu z łóżka. W nowym mieszkaniu królowały nowoczesne cuda, których nie było w poprzednim.

Z takim zamiarem się tu przeprowadziła. Nie chciała, żeby cokolwiek przypominało jej przeszłość.

Gdy czajnik zagwizdał, zalała wrzątkiem herbatę, a potem nastawiła minutnik do gotowania jajek na trzy i pół minuty, żeby herbaciane listki naciągnęły. Wyjęła z lodówki jogurt i wymieszała go z płatkami. Zdjęła okulary do chodzenia i włożyła okulary do czytania. Jej oczy nigdy nie przyzwyczyły się do szkieł zmiennoogniskowych.

Włączyła telefon.

Zobaczyła kilka mejli służbowych, kilka z życzeniami urodzinowymi od przyjaciół i znajomych, ale przewinęła ekran w dół w poszukiwaniu spodziewanego mejla od Bena Bernarda, męża jej siostry. Spotkali się jeden jedyny raz dawno temu. Teraz pewnie nie poznaliby się na ulicy, ale Ben czuł się uroczo odpowiedzialny za Charlie i robił za nią to, czego ona nie robiła.

Sam uśmiechnęła się na widok zdjęcia Spocka pokazującego gest salutu wolkańskiego z podpisem:

Logika nakazuje, bym życzył ci wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

Tylko raz odpowiedziała na mejl Bena. Jedenastego września, żeby dać mu znać, że jest bezpieczna.

Minutnik zabrzączał. Sam wlała do herbaty trochę gorącego mleka i usiadła przy kontuarze.

Wyjęła z teczki notes i pióro, po czym zajęła się służbowymi mejlami. Na niektóre odpowiedziała, inne przesłała dalej, zrobiła stosowne notatki i pracowała, póki herbata nie wystygła, a jogurt z płatkami nie zniknął.

Fosco wskoczył na blat, by dokonać inspekcji miseczki.

Sam spojrzała na zegarek. Powinna wziąć prysznic i iść do biura.

Zerknęła na telefon. Zabębniła palcami po blacie.

Przeciągnęła palcem po ekranie, idąc do zakładki z pocztą głosową.

Kolejna oczekiwana wiadomość urodzinowa.

Nie widziała się z ojcem od ponad dwudziestu lat. Przestali rozmawiać, kiedy była na studiach prawniczych. Nie doszło między nimi do żadnej kłótni ani oficjalnego zerwania kontaktów, ale jednego dnia Sam była dobrą córką, która dzwoniła do ojca dwa razy w miesiącu, a na drugi dzień już nie.

Początkowo Rusty próbował wyciągnąć do niej rękę, ale kiedy nie reagowała na te próby, zaczął dzwonić do jej akademika, kiedy ona była na zajęciach, i zostawiał wiadomości. Nie był namolny. Jeśli zdarzyło się, że Sam była akurat w akademiku, nie prosił jej do telefonu. Nigdy nie prosił, żeby oddzwoniła. Najczęściej mówił, że jest do jej dyspozycji, jeśli będzie potrzebowała pomocy; że myśli o niej albo chce się dowiedzieć, co u niej słychać. W następnych latach dzwonił regularnie w drugi piątek miesiąca i w jej urodziny.

Kiedy przeniosła się do Portlandu i zaczęła pracę w biurze

prokuratora okręgowego, zostawiał jej wiadomości w drugi piątek miesiąca i w jej urodziny.

Kiedy przeprowadziła się do Nowego Jorku, gdzie zajęła się prawem patentowym, zostawiał wiadomości w jej biurze w drugi piątek miesiąca i w jej urodziny.

Potem pojawiły się telefony komórkowe i w drugi piątek każdego miesiąca oraz urodziny Rusty zostawiał Sam wiadomości w jej kolejnych telefonach, od komórki z klapką, przez Motorolę, Nokię i BlackBerry po najnowszego iPhone'a, który powiedział Sam, że jej ojciec dzwonił dzisiaj rano o godzinie piątej trzydzieści dwie.

Sam znała już wzorzec tych wiadomości, nawet jeśli nie była w stanie dokładnie przewidzieć ich treści. Przez lata Rusty rozwinął osobliwą formułę. Zaczynał od wesołego przywitania, informował o pogodzie, ponieważ z niezrozumiałych względów uznał, że pogoda w Pikeville ma jakieś znaczenie, potem podawał powód swojego telefonu – dzień jej urodzin albo drugi piątek miesiąca – a na koniec coś z sufitu zamiast pożegnania.

Był czas, kiedy marszczyła brwi na widok imienia ojca w powiadomieniach z kategorii „kto dzwonił, kiedy cię nie było”, bez namysłu usuwała wiadomości od niego albo tak długo zwlekała z odsłuchiwaniami, że znikają z systemu.

Teraz wcisnęła funkcję „play”.

- Dzień dobry, Sammy-Sam! - zagrzemiał ojciec. - Mówi Russell T. Quinn, do usług. W tej chwili jest sześć stopni Celsjusza, lekki wiatr południowo-zachodni wieje z prędkością czterech kilometrów na godzinę. Wilgotność wynosi trzydzieści dziewięć procent. Ciśnienie w normie. - Sam

pokręciła głową w bezgranicznym zdumieniu. - Dzwonię do ciebie dzisiaj, w rocznicę tego samego dnia tysiąc pięćset trzydziestego szóstego roku, kiedy to Anna Boleyn została w Londynie aresztowana i umieszczona w Tower, z napomnieniem, droga Samantho, byś nie traciła głowy w dniu swoich czterdziestych czwartych urodzin. - Zaśmiał się, ponieważ zawsze śmiał się ze swoich żartów. Sam czekała na pożegnanie. - Kończę, bo ściga mnie niedźwiedź.

Uśmiechnęła się lekko. Już miała skasować tę wiadomość, gdy pojawił się w niej nowy element. Rusty coś dopowiedział:

- Twoja siostra przesyła ci pozdrowienia.

Sam zmarszczyła brwi. Cofnęła wiadomość, żeby jeszcze raz posłuchać ostatniego fragmentu.

- ...niedźwiedź - mówił Rusty, a po krótkiej przerwie: - Twoja siostra przesyła ci pozdrowienia.

Sam szczerze wątpiła, by Charlie rzeczywiście przesyłała jej pozdrowienia.

Ich ostatnia rozmowa - kiedy przebywały razem w jednym pomieszczeniu - była jednocześnie definitywnym końcem ich relacji. Sam zrozumiała wtedy, że nie będą miały ani potrzeby, ani chęci, by więcej się ze sobą spotykać.

Charlie była na ostatnim roku studiów w Duke. Przyleciała do Nowego Jorku odwiedzić Sam i odbyć kilka rozmów kwalifikacyjnych w prestiżowych firmach. Sam uświadomiła sobie, że siostra nie tyle odwiedza ją, ile traktuje jej mieszkanie jak darmowy hotel w jednym z najdroższych miast na ziemi. Ponieważ minęła niemal dekada, odkąd widziała młodszą siostrę, miała nadzieję, że ponownie zbliżą się do

siebie już jako dorosłe kobiety.

Pierwszy szok przeżyła, kiedy okazało się, że nieznajomy, z którym przyjechała Charlie, jest jej mężem. Po niecałym miesiącu randkowania wyszła za człowieka, którego wcale nie znała. Decyzja była niemądra i nieodpowiedzialna. Gdyby Ben nie okazał się jednym z najprzystojniejszych i najlepszych ludzi na świecie - nie mówiąc już o tym, że był na zabój zakochany w Charlie - Sam byłaby wściekła na siostrę za ten nieprzemyślany akt.

Drugi szok przeżyła na wieść o tym, że Charlie odwołała wszystkie rozmowy kwalifikacyjne. Za pieniądze, które wysłała jej Sam na stosownie elegancki strój, kupiła bilety na koncert Prince'a w Madison Square Garden.

Trzeci szok - najgorszy - był logicznym następstwem drugiego.

Charlie planowała pracę z Rustym.

Twierdziła, że będzie miała tylko biuro w tym samym budynku co on i nie będzie się angażować w jego działalność, ale dla Sam nie miało to znaczenia.

Ryzyko, które Rusty podejmował w pracy, podążało za nim do domu jak cień. Ludzie przychodzący do jego biura należeli do tej samej kategorii co ci, którzy spalili dom Quinnów, wdarli się do ich tymczasowego lokum w poszukiwaniu Rusty'ego, a kiedy go nie zastali, zamordowali matkę Charlie, jej starszą siostrę postrzelili w głowę, a ją samą gonili po lesie ze strzelbą, bo chcieli ją zgwałcić. I ona chciała z nim pracować.

Ostatnia kłótnia między Sam a Charlie była apogeum serii sprzeczek, jakie wybuchały między nimi przez trzy długie dni

w trakcie pobytu, który Charlie zaplanowała na pięć dni.

Czwartego dnia Sam w końcu wybuchła.

Wściekłość zawsze narastała w niej powoli. To sprawiło, że naskoczyła na Zachariaha Culpeppera w kuchni, kiedy jej matka leżała martwa u jej stóp, siostra posikała się ze strachu, a pokryta krwią lufa była wycelowana prosto w jej twarz.

W następstwie uszkodzenia mózgu temperament Sam stał się praktycznie nie do opanowania. Niezliczone badania pokazywały, że pewien typ uszkodzeń płatów czołowych i skroniowych mógł prowadzić do niepohamowanych wybuchów złości, a nawet agresji, ale intensywność napadów szału w przypadku Sam wymykała się naukowemu opisom.

Nigdy nikogo nie uderzyła, co było wątpliwym zwycięstwem, za to ciskała różnymi przedmiotami, niszczyła rzeczy – nawet te cenne – zupełnie jak opętana szaleństwem. Akty fizycznej destrukcji blakły w porównaniu ze szkodami, jakie powodowała ostrym językiem. Furia brała górę, Sam otwierała usta i nienawiść wylewała się z nich niczym jad.

Teraz medytacja pomagała jej studzić emocje.

Pływanie w basenie pomagało przeistoczyć gniew w pozytywną energię.

Wtedy jednak nic nie było w stanie powstrzymać jej przed wybuchem.

Wygarnęła Charlie wszystko. Że jest zepsuta. Samolubna. Dziecinna. Niepoważna. Że jest dziwką. Że za bardzo chce zadowolić ojca. Że nigdy nie kochała Gammy. Nigdy nie kochała jej. Że to przez nią wszyscy znaleźli się wtedy w kuchni. Że to przez nią Gamma została zamordowana. Że ją

zostawiła na pewną śmierć. Że uciekła wtedy, tak jak miała zamiar uciec teraz.

Ostatni zarzut znalazł swoje potwierdzenie w życiu.

Charlie i Ben wrócili do Durham w środku nocy. Nie wpadli nawet po rzeczy.

Sam oczywiście przeprosiła. W tamtym czasie studenci nie mieli poczty głosowej ani mejli, więc wysłała list polecony na adres mieszkania Charlie poza kampusem wraz ze starannie zapakowanymi rzeczami, które ona i Ben zostawili w Nowym Jorku.

Napisanie tego listu było najtrudniejszym wyzwaniem w jej życiu. Wyznała w nim siostrze, że ją kocha i zawsze kochała; że jest wyjątkowa; że bardzo sobie ceni ich siostrzaną więź; że Gamma ją uwielbiała i hołubiła. Rozumie, że Rusty jej potrzebuje, a Charlie chce być potrzebna ich ojcu. Zasługuje na szczęście, na udane małżeństwo, na dzieci – mnóstwo dzieci. Jest wystarczająco dorosła, żeby podejmować własne decyzje. Wszyscy są z niej dumni i cieszą się jej szczęściem. A ona zrobi wszystko, żeby Charlie jej wybaczyła.

List zakończyła słowami:

Musisz mi wierzyć. Błagam, żebyś mi uwierzyła. Jedyńm, co pozwoliło mi znieść długie miesiące cierpienia, lata leczenia i rehabilitacji, życie z chronicznym bólem, jest fakt, że moje poświęcenie, a nawet poświęcenie Gammy dało ci szansę na ucieczkę i ocalenie.

Odpowiedź nadeszła po sześciu tygodniach.

Charlie napisała jedno proste, szczere zdanie podrzędnie złożone:

Kocham cię, wiem, że ty też mnie kochasz, ale przy każdym naszym spotkaniu wracają tamte wspomnienia, a żadna z nas nigdy nie pójdzie dalej, jeśli ciągle będziemy spoglądać wstecz.

Młodsza siostra była o wiele mądrzejsza, niż Sam kiedykolwiek przypuszczała.

Zdjęła okulary i delikatnie potarła oczy. Blizny na powiekach tworzyły pod palcami wzór podobny do alfabetu Braille'a. Bardzo starała się ukryć ślady po ranach. Nie dlatego, że się ich wstydziła, ale z powodu ludzkiej ciekawości. Nie było skuteczniejszego sposobu na zakończenie rozmowy niż „zostałam postrzelona w głowę”.

Makijaż pokrywał różowe zrosty w miejscach, gdzie powieki zostały rozdarte. Fryzura za trzysta dolarów zasłaniała bliznę z boku głowy. Zazwyczaj Sam nosiła luźne czarne spodnie i bluzki, by zamaskować niepewny chód. Kiedy mówiła, robiła to jasno i wyraźnie, a kiedy zmęczenie groziło utratą kontroli nad językiem, zachowywała swoje zdanie dla siebie. Zdarzały się dni, kiedy musiała chodzić o lasce, ale przez lata nauczyła się, że jedyną nagrodą za wysiłek fizyczny jest więcej wysiłku fizycznego. Jeśli zostawała w biurze do późna i chciała wrócić do domu autem, brała auto.

Dzisiaj pokonała sześć przecznic między domem a biurem na piechotę bez szczególnych trudności. Aby uczcić swoje urodziny, włożyła barwny szal, by rozjaśnić zwyczajową czerń. Kiedy skręciła w lewo w Wall Street, znad East River powiał mocny wiatr, rozwiewając szal. Zaśmiała się, walcząc z niesfornym jedwabiem. Owinęła go sobie wokół szyi

i trzymała końce, by nie uciekły.

Mieszkała w tej dzielnicy od niedawna, ale od zawsze była pod wrażeniem jej historii. Podobało jej się, że Wall Street była ziemnym wałem biegnącym wzdłuż palisady mającej chronić północną granicę Nowego Amsterdamu; że Pearl Street, Beaver Street i Stone Street zostały nazwane od towarów, jakimi holenderscy kupcy handlowali wzdłuż błotnistych traktów, które zaczynały się tuż przy cumujących statkach.

Kiedy siedemnaście lat temu przeprowadziła się do Nowego Jorku, mogła wybrać dowolną kancelarię prawniczą. W świecie prawa patentowego jej dyplom inżynierii mechanicznej z Uniwersytetu Stanforda znaczył o wiele więcej niż dyplom prawa z Northwestern University. Nie miała kłopotów ze znalezieniem pracy. Była kobietą w zdominowanym przez mężczyzn środowisku, które potrzebowało różnorodności. Mogła przebierać w ofertach, które firmy podawały jej na srebrnej tacy.

Zatrudniła się w pierwszej firmie, w której wysokość jednorazowej premii za podpisanie umowy wystarczyła na sfinansowanie zaliczki na mieszkanie własnościowe w Chelsea w budynku z windą i podgrzewanym basenem.

Średniej wysokości przedwojenny budynek miał wysokie sufity i basen w podziemiach, który stylem przypominał erę wiktoriańską. Mimo gwałtownej poprawy sytuacji finansowej, w następnych latach Sam wiodła szczęśliwe życie w ciasnym dwupokojowym mieszkaniu aż do śmierci męża.

- Wszystkiego dobrego z okazji urodzin. - Asystent już

czekał na nią przy windzie, gdy drzwi się otworzyły. Sam tak ściśle trzymała się ustalonego porządku dnia, że Eldrin mógł co do sekundy przewidzieć jej ruchy.

- Dziękuję. - Pozwoliła wyjąć sobie z rąk aktówkę, ale nie torebkę.

Idąc korytarzem wzdłuż biur, jak zawsze słuchała informacji o czekających ją spotkaniach.

- O dziesiątej trzydzieści masz spotkanie z UXH w sali konferencyjnej numer sześć. O trzeciej ma dzwonić Atlanta, ale powiedziałem Laurensowi, że najpóźniej o piątej musisz wyjść na bardzo ważne spotkanie.

Sam uśmiechnęła się na te słowa. Dzisiaj wychodziła na drinka z przyjaciółką.

- Jest istotny szczegół do dopracowania na przyszłotygodniowe spotkanie z partnerami - mówił dalej Eldrin. - Musisz się tym zająć. Zostawiłem ci przesyłkę na biurku.

- Dziękuję. - Sam zatrzymała się w biurowej kuchni. Nie oczekiwała od asystenta, że codziennie rano będzie jej przynosił herbatę, ale z powodu rozkładu ich zajęć był skazany na obserwację tego procesu w wykonaniu Sam.

- Dziś rano dostałam mejla od Curtisa. - Wyjęła z metalowej puszkę torebkę z herbatą. - Chcę być w Atlancie w przyszłym tygodniu w sprawie Coca-Coli. - Podobnie jak inne kancelarie, kancelaria Stehlik, Elton, Mallory & Sanders miała swój oddział w Atlancie. Sam raz w miesiącu latała do Atlanty, zatrzymywała się w hotelu Four Seasons, szła dwie przecznice do biura przy Peachtree Street i konsekwentnie ignorowała

fakt, że od Pikeville dzielą ją dwie godziny jazdy drogą międzystanową.

- Dam znać, żeby zarezerwowali ci bilety. - Eldrin wyjął z lodówki karton mleka. - Mogę też zapytać Graingera, czy...
O nie - spojrzał w ściszony telewizor w rogu.

Ekran wypełniał złowróżbny komunikat:

STRZELANINA W SZKOLE

Jako ofiara przestępstwa z bronią palną Sam zawsze czuła przerażenie na wieść o kolejnej strzelaninie, ale jak większość Amerykanów przywykła - przynajmniej do pewnego stopnia - do ich niemal comiesięcznej częstotliwości.

Po zniknięciu napisu na ekranie pojawiła się fotografia małej dziewczynki, najwyraźniej z kroniki klasowej. Zobaczyła podpis pod zdjęciem:

LUCY ALEXANDER

Wlała mleka do herbaty.

- W szkole chodziłam z chłopakiem, który nazywał się Peter Alexander.

Eldrin uniósł brwi i wyszedł za nią z kuchni. Sam niechętnie mówiła o swoim życiu osobistym.

W drodze do biura Eldrin podawał jej kolejne punkty grafiku, ale słuchała jednym uchem. Od dawna nie myślała o Peterze Alexandrze. Był posepnym chłopcem, który lubował się w wygłaszaniu nudnych tyrad o mękach stanowiących nierozdzieloną część duszy artysty. Pozwoliła mu dotknąć swoich piersi tylko dlatego, że chciała się przekonać, jak to jest.

Było nijak, ponieważ Peter nie miał pojęcia, co robi.

Rzuciła torebkę obok biurka ze szkła i stali, które dominowało w jej rozświetlonym narożnym biurze. Z okna, jak z większości innych okien w dzielnicy finansowej, rozciągał się widok na inny budynek po drugiej stronie ulicy. Kiedy wznoszono biurowce przy Wall Street, nie obowiązywały żadne przepisy regulujące odstępy między budynkami. Za ledwie sześć metrów chodnika dzieliło większość budynków od ulicy.

Eldrin skończył gadać, gdy Sam postawiła kubek herbaty na podkładce obok komputera. Czekala, aż wyjdzie. Usiadła na krześle, znalazła w teczce okulary do czytania i zaczęła przeglądać notatki przygotowane na spotkanie o dziesiątej trzydzieści.

Kiedy postanowiła zająć się zawodowo prawem patentowym, zrozumiała, że ta praca polega głównie na próbach transferu gigantycznych sum. Niesamowicie bogata korporacja pozywa inną niesamowicie bogatą korporację o używanie podobnego zestawu pasków na nowym modelu sportowych butów czy wykorzystywanie konkretnego koloru powiązanego z ich marką, w związku z czym świetnie opłacani prawnicy muszą spierać się przed obliczem znudzonych sędziów o procentową zawartość niebieskozielonej barwy według systemu standaryzacji kolorów.

Dawno minęły czasy, kiedy Newton i Leibniz walczyli o prawo do tytułu twórcy rachunku różniczkowego. Przez większość czasu Sam ślęczała nad schematami projektów i wnioskami patentowymi, które niekiedy sięgały wczesnych lat rewolucji przemysłowej.

Uwielbiała każdą spędzoną w ten sposób chwilę.

Uwielbiała połączenie nauki i prawa, czerpiąc radość z faktu, że udało jej się z najlepszych części swoich rodziców ułożyć satysfakcjonujące życie.

W przeszklone drzwi zastukał Eldrin.

- Chciałem przekazać ci najnowsze wieści. Ta strzelanina w szkole wydarzyła się w północnej Georgii.

Sam skinęła głową. Pojemnym mianem północnej Georgii określano tereny poza Atlantą.

- Wiedzą, ile było ofiar? - zapytała.

- Tylko dwie.

- Dzięki. - Sam starała się nie czepiać słówka „tylko”. Eldrin miał rację, że dwie ofiary to niski koszt strzelaniny w szkole. Ta historia z pewnością zdominuje wszystkie programy informacyjne i pierwsze strony gazet.

Otworzyła plik ze streszczeniem materiałów potrzebnych na spotkanie o dziesiątej trzydzieści. Pracownik z dwuletnim stażem podjął próbę napisania odpowiedzi na wniosek o rozpatrzenie w trybie uproszczonym sprawy „SaniLady, oddział Holdingu Finansowego UXH, spółki z o.o., przeciwko LadyMate Corp, oddziałowi Nippon Development Resources S.A.”.

Po sześciu latach przepychanek, dwóch nieudanych mediacjach i zajadłych kłótniach toczonych głównie w Japonii, sprawa miała w końcu trafić do sądu.

Przedmiotem sporu był projekt zawiasu, który regulował ruch samozamykającej się kłapy montowanego na ścianie w publicznych toaletach kosza na zużyte podpaski i tampony.

Firma LadyMate Corporation produkowała kilka wersji wszechobecnego pojemnika, od modelu o nazwie FemmyGeni i oryginalnego LadyMate po model o dziwacznej nazwie Tough Guy.

Sam, jako jedyna wśród osób zaangażowanych w sprawę, naprawdę używała tych koszy. Gdyby ktoś pytał ją o zdanie na etapie projektowania, poradziłaby reklamować je wszystkie pod zbiorczą nazwą Wkurwiacze, ponieważ zwykle to myślały kobiety, którym przyszło z nich korzystać.

Sam zaprojektowałaaby sprężynowy zawias taśmowy jako element dwuczęściowy, co zwiększyłoby koszty produkcji zaledwie o jedną trzecią centa, zamiast użyć pojedynczego zintegrowanego zawiasu, który stał się powodem procesu o naruszenie patentu mogącego skutkować wielomilionowym odszkodowaniem, nie mówiąc już o szkodach, jakie poniósłby Nippon w przypadku przegranej w sądzie.

Jeśli informacje w jej komputerze miały jakieś odniesienie do stanu faktycznego, UXH nie miał szans na wygraną. Prawo patentowe raczej nie dawało okazji do stosowania figur stylistycznych, ale pracownik, który przygotował dla niej ten tekst, operował językiem jak heblem.

Właśnie dlatego Sam pojechała na trzy lata do biura prokuratora okręgowego w Portlandzie. Chciała zdobyć umiejętność posługiwania się językiem sali sądowej.

Przewinęła dokument, robiąc notatki, upraszczając długie i zawile fragmenty, dodając na końcu nieco ozdobników. Wiedziała, że to zdenerwuje adwokata strony przeciwnej. Podczas pierwszego spotkania z Sam facet zażyczył sobie,

żeby przyniosła mu kawę i dwie porcje cukru, po czym oznajmił jej szefowi, że nie lubi czekać.

Gamma miała rację w wielu sprawach. Samantha Quinn nie mogła liczyć na tyle szacunku co Sam Quinn.

Dokładnie o dziesiątej trzydzieści cztery jako ostatnia weszła do sali konferencyjnej. Spóźnienie było zamierzone. Nie lubiła strofować maruderów.

Zajęła miejsce u szczytu stołu i omiotła spojrzeniem młodych białych mężczyzn, którym dyplomy ukończenia Michigan University, Harwardu i MIT dawały wysokie mniemanie o sobie. Może ta pyszałkowatość miała swoje uzasadnienie. Siedzieli w lśniącej szklanej siedzibie jednej z najważniejszych firm patentowych w kraju. Jeśli myśleli o sobie jak o kapitanach przemysłu, przypuszczalnie wkrótce nimi zostaną.

W tej chwili musieli jednak udowodnić Sam swoją wartość. Słuchała najnowszych informacji, które przynieśli, komentowała proponowane przez nich strategie i pozwoliła przerzucać się pomysłami, póki nie uznała, że zaczynają gonić własny ogon. Słyszeła z krótkich narad. Poprosiła o przestudiowanie istniejącego orzecznictwa, przeformułowanie briefów na jutro i wbudowanie w nie pewnego wniosku patentowego z lat sześćdziesiątych.

Wstała z krzesła. Reszta zgromadzonych poszła za jej przykładem. Wygłosiła grzecznościową formułkę o czekaniu na efekty ich pracy i wyszła z sali.

Poszli za nią, utrzymując stosowną odległość, ponieważ wszyscy pracowali po tej samej stronie budynku. Podczas

długich powrotów do gabinetu po naradzie Sam często czuła się jak obiekt nękania przez stadko gęsi. Zawsze ktoś wysforował się naprzód z nadzieją, że jego nazwisko zostanie zapamiętane, albo by udowodnić pozostałym, że się jej nie boi. Paru odłączyło się od stadka w drodze na inne spotkania, składając jej na odchodnym najlepsze życzenia urodzinowe. Ktoś zapytał ją o wrażenia z ostatniej podróży po Europie. Inny młody człowiek, nieco zbyt gorliwy, odkąd rozeszły się słuchy, że Sam wkrótce zostanie współpracowniczką i jej nazwisko znajdzie się w nazwie firmy, towarzyszył jej do drzwi gabinetu, opowiadając długą historię zakończoną informacją, że jego babcia urodziła się w Danii.

Mąż Sam urodził się w Danii.

Profesor Anton Mikkelsen był od niej dwadzieścia jeden lat starszy. Wykładał na Uniwersytecie Stanforda. W ramach zajęć z „Technologii w społeczeństwie” chodziła na jego wykłady z dziedziny projektowania technicznego w cesarstwie rzymskim. Urzekł ją pasją do tego przedmiotu. Zawsze przyciągali ją ludzie, którzy zachwycali się światem i obserwowali go z uwagą.

Kiedy była studentką Antona, zachowywał się wobec niej powściągliwie, nawet z rezerwą. Nabrała wtedy przekonania, że zrobiła coś nie tak. Dopiero kiedy znalazła się na drugim roku Northwestern, zainicjował kontakt.

Na Uniwersytecie Stanforda była jedną z nielicznych kobiet studiujących dziedzinę zdominowaną przez mężczyzn. Zdarzało jej się dostawać mejle od profesorów. W rubryce „temat” znajdowała sformułowania wyrażające mieszaninę

desperacji i luźnego podejścia do użycia wielokropka:

Nie mogę przestać... o tobie myśleć...

albo

...Musisz... mi... pomóc...

Zupełnie jakby żądza prowadziła ich na skraj szaleństwa i tylko Sam mogła ulżyć im w bólu. To zbiorowe poczucie męskiego zagubienia było jednym z powodów, dla których postanowiła iść na studia prawnicze, zamiast robić doktorat na wydziale inżynierskim. Myśl, że któryś z tych żalonych rozpusztników miałby być jej promotorem, wydawała się nieznośna.

Kiedy Anton pierwszy raz napisał do niej mejla, dobrze wiedział, jaką reputację mają jego koledzy:

Jeśli uznasz, że się narzucam, to z góry przepraszam. Trzy lata czekałem, by zyskać pewność, że moja pozycja zawodowa nie będzie kolidować ani wpływać na twój wybór specjalizacji.

Odszedł z uniwersytetu na wcześniejszą emeryturę i objął posadę konsultanta w zagranicznej firmie inżynieryjnej. Przeniósł się do Nowego Jorku, żeby być bliżej Sam. Pobrali się cztery lata po tym, jak Sam zaczęła pracować w firmie.

Anton wzbogacił i urozmaicił jej życie w sposób, jakiego nawet nie oczekiwała.

Ich pierwsza wspólna podróż zagraniczna była magiczna. Poza nieprzemyślanym wypadem do Tijuany na pierwszym roku studiów, Sam nigdy nie wyjeżdżała za granicę. Anton zabrał ją do Irlandii, gdzie jako chłopiec spędzał lato z rodakami swojej matki. Do Danii, gdzie pokochał design. Do

Rzymu, gdzie pokazał jej starożytne ruiny. Do Florencji, gdzie pokazał jej katedrę Duomo. I do Wenecji, gdzie pokazał jej miłość.

W trakcie trwania ich małżeństwa odbyli wiele podróży. Anton przyjmował oferty pracy, a Sam jeździła na konferencje tam, gdzie jeszcze nie byli. Dubaj. Australia, Brazylia, Singapur, Bora-Bora. W każdym odwiedzanym kraju, w każdym odwiedzanym mieście Sam myślała o Gammie. Wspominała, jak mama namawiała ją do wyjazdu, zwiedzenia świata, życia gdziekolwiek, byle nie w Pikeville.

To, że Sam dokonała tego z mężczyzną, którego kochała całym sercem, czyniło każdą podróż jeszcze bardziej satysfakcjonującą.

Zadzwonił jej biurowy telefon.

Rozsiadła się wygodniej na krześle i zerknęła na zegar. Czekala ją zapowiadana na trzecią rozmowa z Atlantą. Znowu zatraciła się w pracy, zapomniała o lunchu pochłonięta niuansami technicznymi w zgłoszonym do opatentowania zawiasem drzwiowym wkręcany.

Laurens Van Loon był Holendrem mieszkającym w Atlancie i ich firmowym specjalistą w dziedzinie międzynarodowego prawa patentowego. Dzwonił w sprawie UXH, ale ponieważ tak jak Sam był zapalonym podróżnikiem, zanim przeszedł do meritum, wypytał ją o dziesięciodniowy wyjazd do Włoch i Irlandii, z którego wróciła przed paroma tygodniami.

Były czasy, kiedy opowiadała o zwiedzanych miastach przez pryzmat ich kultury, architektury, mieszkańców, ale pieniądze i upływ czasu sprawiły, że chętniej rozmawiała o hotelach.

Opowiedziała Laurensowi o pobycie w hotelu Merrion w Dublinie, gdzie apartament z widokiem na ogród miał widok na boczną uliczkę. Za to Aman przy Canal Grande był zachwycający, obsługa znakomita, a niewielki dziedziniec, na którym codziennie piła poranną herbatę, okazał się jednym z najspokojniejszych miejsc w Wenecji. We Florencji zatrzymała się w Westin Excelsior, z którego rozciąga się bajeczny widok na Arno, ale hałas z baru na dachu czasem dawał się słyszeć w jej pokoju. W Rzymie, jak powiedziała Laurensowi, zatrzymała się w Cavalieri dla ich cudownych łazienek i basenów.

W tym ostatnim punkcie skłamała.

W Rzymie zamówiła pokój w Raffaello, ponieważ tani hotel był jedynym miejscem, na które było stać ją i Antona podczas ich pierwszej magicznej podróży do stolicy Włoch.

Ze względu na Laurensa opowiadała dalej, polecając restauracje i muzea z poprzednich wyjazdów. Nie przyznała się, że w bibliotece Trinity College w Dublinie patrzyła na przepiękne sklepienie kolebkowe ze łzami w oczach. A we Florencji w Galeria dell'Accademia, gdzie można obejrzeć posąg Dawida, siedziała na jednej z ławek i szlochała.

Pobyt w Rzymie też był pełen nostalgii i bólu. Fontanna di Trevi, Schody Hiszpańskie, Panteon, Koloseum, Piazza Navona, gdzie Anton się jej oświadczył, kiedy popijali wino w świetle księżyca. Pierwszy raz widziała te wszystkie cudowne miejsca w towarzystwie męża, a po śmierci Antona nie umiała czerpać z ich oglądania dawnej radości.

- Brzmi niesamowicie - powiedział Laurens. - Irlandia

i Italia. Kraje na „I”. Powinnaś dopisać do tej listy jeszcze Indie.

- Islandię, Indonezję, Izrael... - Sam uśmiechnęła się lekko, słysząc jego śmiech. - Skończmy gadać o hotelach i przejdźmy do ekscytującego świata koszy na zużyte podpaski.

- Oczywiście. Ale czy mogę zapytać... Mam nadzieję, że nie uznasz tego za niedyskrecję.

Sam odetchnęła głęboko, spodziewając się pytania o Antona. Rok po jego śmierci ludzie nadal pytali.

- Chodzi o tę strzelaninę w szkole - ciągnął Laurens.

Zawstydziała się, że zapomniała o tym zdarzeniu.

- Sądysz, że to nieodpowiedni moment na mówienie o tym?

- To straszna historia. Ale widziałem w telewizji tego gościa.

Russell Quinn, adwokat podejrzanej.

Sam ścisnęła mocno słuchawkę, aż do drżenia kciuka. Dotąd nie połączyła faktów, ale to, że Rusty zaoferował się bronić kogoś, kto zastrzelił dwie osoby w szkole, nie powinno jej dziwić.

- Wiem, że jesteś z Georgii, więc się zastanawiałem, czy coś was łączy. - Urwał na chwilę. - Wygląda na to, że gość jest orędownikiem liberalizmu.

Sam z trudem szukała słów.

- To popularne nazwisko - wydusiła w końcu.

- Tak? - Laurens zawsze chętnie dowiadywał się czegoś nowego o mieście, które stało się jego domem, i o stanie, w którym powstało to miasto.

- Tak, od czasów wojny secesyjnej. - Sam potrząsnęła głową, ponieważ stać ją było na lepsze kłamstwo. Teraz mogła

już tylko zmienić temat. - Słyszałam od ludzi z UXH, że w Nipponie będą przetasowania na szczycie.

Laurens wahał się przez chwilę, zanim podjął temat. Sam jednym uchem słuchała, jak relacjonuje zasłyszane plotki, ale uwagę skupiła na ekranie komputera.

Otworzyła stronę *New York Timesa*. Lucy Alexander. Strzelanina miała miejsce w gimnazjum w Pikeville.

W jej gimnazjum.

Patrzyła na twarz dziewczynki, szukając w kształcie oczu czy wykroju ust podobieństwa do Petera Alexandra. Niczego takiego nie znalazła. Pikeville było jednak małym miastem, dlatego istniało duże prawdopodobieństwo, że dziewczynka miała jakiś związek z jej byłym ukochanym.

Przeszła do artykułu o strzelaninie. Osiemnastoletnia dziewczyna przyszła do szkoły z bronią i zaczęła strzelać tuż przed dzwonkiem. Broń odebrał jej nauczyciel - jego nazwiska nie podano - odznaczony był żołnierz piechoty morskiej, który uczył gimnazjalistów historii.

Przewinęła kursor na zdjęcie drugiej ofiary.

Douglas Pinkman.

Telefon wypadł jej z ręki. Musiała podnieść go z podłogi.

- Przepraszam - przerwała Laurensowi drżącym głosem. - Możemy wrócić do tej rozmowy jutro?

Ledwie usłyszała jego potwierdzenie. W tej chwili jej świat zawęził się do fotografii Douglasa Pinkmana.

Kiedy chodziła do gimnazjum, Douglas Pinkman trenował drużynę futbolową i biegaczy. Był jej pierwszym mistrzem. Głęboko wierzył, że ciężki trening da Sam przepustkę do

każdego college'u, jaki sobie wymarzy. Sam wiedziała, że taką przepustkę może zdobyć dzięki swojej inteligencji, ale fascynowała ją perspektywa udoskonalenia ciała, by stało się równie wydajne jak umysł. Poza tym bieganie sprawiało jej przyjemność. Świeże powietrze. Pot. Endorfiny. Samotność.

A teraz w złe dni musiała chodzić o lasce, a pan Pinkman został zamordowany przed swoim gabinetem.

Przewinęła stronę w poszukiwaniu szczegółów. Dwa trafienia w pierś nabojem typu hollow point z wycięciem na czubku. Śmierć, według anonimowego źródła, nastąpiła od razu.

Otworzyła stronę *Huffington Post*, wiedząc, że ta gazeta poświęci więcej uwagi tej historii niż *Times*. Strzelanina zajęła całą pierwszą stronę. Nagłówek głosił:

TRAGEDIA W PÓŁNOCNEJ GEORGII

Zdjęcia Lucy Alexander i Douglasa Pinkmana były umieszczone obok siebie.

Sam przebiegła wzrokiem odsyłacze:

BOHATERSKI MARINE WOLI POZOSTAĆ ANONIMOWY
ADWOKAT PODEJRZANEJ WYDAJE OŚWIADCZENIE
STRZELANINA KROK PO KROKU: CHRONOLOGIA
WYDARZEŃ

ŻONA PINKMANA PATRZYŁA NA ŚMIERĆ MĘŻA

Sam nie chciała oglądać adwokata podejrzanej. Kliknęła w ostatni link.

I otworzyła usta ze zdumienia.

Pan Pinkman ożenił się z Judith Heller.

Dziwny jest ten świat.

Nigdy nie spotkała Judith Heller, ale oczywiście znała jej nazwisko. Kiedy Daniel Culpepper postrzelił ją w głowę, a Zachariah próbował zgwałcić Charlie, co mu się na szczęście nie udało, Charlie pobiegła na farmę Hellerów po pomoc. Kiedy pani Heller zajęła się nią, jej stary ojciec siedział na werandzie uzbrojony po zęby na wypadek, gdyby jeden z Culpepperów zjawiał się u nich przed przyjazdem policji.

Z oczywistych przyczyn Sam dowiedziała się o tym dużo później. W pierwszym miesiącu od postrzelenia nie potrafiła odtworzyć sekwencji zdarzeń. Miała mgliste wspomnienia Charlie siedzącej na szpitalnym łóżku i powtarzającej raz po raz historię ich ocalenia, ponieważ pamięć krótkotrwała Sam przypominała sito. Ciągle miała zabandażowane oczy. Nic nie widziała i była zupełnie bezradna. Poznawała Charlie po głosie, wyciągała do niej rękę i nieodmiennie zadawała te same pytania:

- Gdzie ja jestem?
- Co się stało?
- Dlaczego nie ma tu Gammy?

Za każdym razem, dziesiątki, może nawet sto razy, Charlie cierpliwie odpowiadała:

- Jesteś w szpitalu.
- Zostałaś postrzelona w głowę.
- Gamma została zamordowana.

Potem Sam albo zasypiała, albo leżała bez słowa przez jakiś czas, po czym znowu wyciągała rękę do Charlie i znowu pytała:

- Gdzie ja jestem?
- Co się stało?
- Dlaczego nie ma tu Gammy?

Inny wariant odpowiedzi Charlie brzmiał:

- Gamma nie żyje. Ty żyjesz. Wszystko będzie dobrze.

Przez wiele lat nie myślała o emocjonalnych konsekwencjach, jakie poniosła jej trzynastoletnia siostra zmuszona do nieustannego opowiadania tej historii. Wiedziała, że po jakimś czasie łzy Charlie obeschły, emocje osłabły. A przynajmniej były skrywane. Choć Charlie nie miała oporów w mówieniu o tych wydarzeniach, zaczęła je relacjonować jakby z zewnątrz. Niezupełnie tak, jakby przydarzyły się komu innemu, ale jakby chciała pokazać, że uporała się z tragedią.

Najwyraźniej było to widać w zapisach z procesu. W różnych momentach swojego życia Sam czytała liczący tysiąc dwieście pięćdziesiąt osiem stron dokument, by ćwiczyć pamięć. Najpierw stało się to, potem tamto, a tak udało mi się przeżyć.

Zeznania Charlie złożone przed prokuratorem były suche. Przypominały raczej relację reporterską. To spotkało Gamme. To spotkało Sam. To Zachariah Culpepper próbował zrobić. To powiedziała pani Heller, kiedy otworzyła tylne drzwi.

Na szczęście zeznanie Judith Heller uzupełniło luki. Opisała szok, jakiego doznała na widok pokrytej krwią przerażonej dziewczynki stojącej na werandzie. Charlie była tak roztrzęsiona, że w pierwszej chwili nie mogła mówić. Kiedy weszła do domu Hellerów i w końcu była w stanie coś

powiedzieć, z niewiadomych powodów poprosiła o lody.

Pani Heller spełniła prośbę Charlie, a jej ojciec powiadomił policję. Nie miała pojęcia, że po lodach Charlie się rozchoruje. Podała jej dwie porcje. Po ich zjedzeniu Charlie pobiegła do toalety. Dopiero zza zamkniętych drzwi łazienki wyznała pani Heller, że jej siostra i mama nie żyją.

Głośny ciągły sygnał wyrwał Sam z zamyślenia.

Laurens rozłączył się już kilka minut temu, ale ciągle trzymała słuchawkę, więc ją odłożyła, a ręka zawisała w powietrzu. Sam pomyślała, że można też „odwiesić słuchawkę”. Kiedyś musi się zastanowić się nad etymologią tej frazy.

Strona internetowa *Huffington Post* automatycznie się załadowała. Na ekranie pojawił się przekaz z konferencji prasowej.

Sam ściszyła głos. W imieniu rodziny Alexander przemawiał Rick Fahey. Słuchała jego prośby o uszanowanie prywatności bliskich ofiary, wiedząc, że ten apel trafi w próżnię. Uważała, że jasną stroną jej śpiączki był fakt, że nie musiała słuchać niekończących się spekulacji mediów na temat tej historii.

Rick Fahey patrzył prosto w obiektyw kamery.

- Tym jest Kelly Wilson. Bezwzględna morderczynią - powiedział.

Potem odwrócił głowę i wymienił spojrzenia z człowiekiem, którym mógł być tylko Ken Coin. Zamiast źle leżącego munduru Coin miał na sobie świecący granatowy garnitur. Sam wiedziała, że teraz jest prokuratorem okręgowym, nie pamiętała jednak, skąd wzięła tę informację.

Spojrzenie tych dwóch mężczyzn potwierdziło oczywistość, że w tym procesie stawką będzie kara śmierci. To wyjaśniało zaangażowanie Rusty'ego. Od dawna był zdeklarowanym przeciwnikiem kary śmierci. Jako obrońca i człowiek, który przyczynił się do oczyszczenia z zarzutów ludzi już skazanych, uważał, że możliwość pomyłki jest zbyt duża.

Z akt sprawy Culpepperów Sam wyczytała, że jej ojciec prawie przez godzinę wygłaszał płomienną mowę w obronie Zachariaha Culpeppera, argumentując, że państwo nie ma moralnego prawa nikomu odbierać życia.

Charlie równie zaciekle domagała się kary śmierci.

Sam znalazła się gdzieś pośrodku. W tamtym momencie nie potrafiła jasno formułować myśli. W liście do sądu poprosiła o dożywocie dla Zachariaha Culpeppera. Nie była to demonstracja współczucia na pokaz. Przebywała wtedy w centrum rehabilitacyjnym w Atlancie. Ludzie towarzyszący jej w mozolnym i żmudnym procesie odzyskiwania zdrowia i sprawności byli profesjonalni i empatyczni, mimo to czuła się jak królik w sidłach.

Nie mogła wstać z łóżka ani położyć się bez cudzej pomocy.

Nie mogła sama skorzystać w toalety.

Nie mogła sama opuścić pokoju.

Nie mogła jeść, kiedy chciała ani co chciała.

Ponieważ nie była w stanie zapiąć guzika ani zamka błyskawicznego, nie mogła ubierać się, jak chciała.

Ponieważ nie była w stanie zawiązać sznurowadeł, musiała nosić ohydne ortopedyczne buty zapinane na rzepy.

Wszystko, co jej dotyczyło - mycie ciała, mycie zębów,

czesanie, spacer, wyjście na zewnątrz na słońce czy na deszcz – zależało od czyjegoś uznania.

Rusty, kierujący się swoimi wysokimi moralnymi standardami, prosił sędziego o dożywocie dla Zachariaha Culpeppera. Charlie, kierowana pragnieniem zemsty, chciała dla niego kary śmierci. Sam życzyła mu długiej i nędznej wegetacji pozbawionej przywileju samostanowienia, ponieważ przekonała się na własnej skórze, jak to jest być więźniem.

Właściwie wszyscy dostali to, co chcieli. Dzięki apelacjom, odroczeniom egzekucji i kruczkom prawnym, Zachariah Culpepper stał się jednym z najdłużej siedzących w celi śmierci skazańców w Georgii.

Konsekwentnie utrzymywał, że jest niewinny, i powtarzał to wszystkim, którzy chcieli go słuchać. Twierdził, że to Charlie i Sam zmówiły się, by zrobić jego i brata, ponieważ był winien Rusty'emu kilka tysięcy dolarów zaległych honorariów.

Z perspektywy czasu Sam uważała, że powinna żądać kary śmierci.

Zamknęła wyszukiwarkę w komputerze.

Napisała wiadomość do przyjaciółki, żeby odwołać wieczorne spotkanie na urodzinowym drinku. Poprosiła Eldrina, żeby nie łączył rozmów. Włożyła okulary do czytania i wróciła do analizy szczegółów patentu zawiasu wkręcanego drzwiowego.

Kiedy oderwała wzrok od ekranu komputera, świat za oknem spowijała ciemność. Eldrin wyszedł, w biurze panowała cisza. Nie pierwszy raz została sama na piętrze.

Za długo siedziała w bezruchu. Zrobiła kilka ćwiczeń rozciągających na siedząco. Miała zeszywniałe ciało, ale w końcu zdołała wstać. Rozłożyła składaną laskę, którą trzymała w dolnej szufladzie biurka, i owinęła szyję szalikiem. Zastanawiała się, czy nie zamówić auta, ale zamiast czekać, wolała przejść sześć przecznic do domu.

Pożałowała tej decyzji natychmiast po wyjściu z budynku.

Od strony rzeki powiał przejmujący wiatr. Przytrzymała szal jedną ręką, drugą kurczowo trzymała laskę. Teczka i torebka ciążyły jej na ramieniu. Powinna była zaczekać na samochód. Powinna była pójść na drinka z przyjaciółką. Powinna była wiele rzeczy zrobić dzisiaj inaczej.

Nocny portier złożył jej życzenia urodzinowe, gdy weszła do budynku. Zatrzymała się, żeby mu podziękować i zapytać o dzieci, ale boląca noga nie pozwoliła na zbyt długie stanie.

Wjechała windą na górę.

W stalowych drzwiach kabiny widziała swoje odbicie.

Patrzyła na nią siwowłosa kobieta.

Drzwi rozsunęły się cicho. Fosco przewrócił się na grzbiet, a potem przeciągnął, gdy weszła do kuchni. Miała do zjedzenia resztki tajskiej potrawy z sobotniej imprezy urodzinowej. Na wysokim stołku było jej wyjątkowo niewygodnie. Usiadła na brzegu, opierając stopy na ziemi. Ból powędrował w górę nogi, jakby ktoś rozpalonym ostrzem rozplątał jej mięsień.

Spojrzała na zegarek. Za wcześnie na sen. Była zbyt zmęczona, żeby skupić się na pracy. I żeby czytać książkę, którą dostała na urodziny.

W starym mieszkaniu w Chelsea ona i Anton unikali

oglądania telewizji. W pracy Sam po całych dniach wpatrywała się w ekrany. Mogła znieść określoną dawkę niebieskiego światła, potem gdzieś za oczami rodził się narastający ból głowy.

W nowym mieszkaniu, gdy się wprowadzała, już był zainstalowany wielki telewizor. Często siadywała w ciemnym pokoju, jednym z tych pozbawionych okien kubików, które budowniczowie nazywali „dodatkową powierzchnią”, ponieważ zgodnie z prawem nie mogli ich nazwać sypialniami.

Usiadła na kanapie i postawiła pusty kieliszek na stoliku kawowym. Obok umieściła butelkę wina Tenuta Poggio San Nicolò z 2011 roku.

Ulubione wino Antona.

Fosco wskoczył jej na kolana. W roztargnieniu podrapała go między uszami. Studiowała elegancką etykietkę na butelce, subtelny rollwerk wokół brzegu, prostą czerwoną pieczęć lakową pośrodku.

Płyn w butelce równie dobrze mógł być trucizną.

Uważała, że to wina takie jak San Nicolò zabiły jej męża.

W miarę rozwoju doradczej firmy Antona i praktyki Sam stać ich było na coraz lepsze rzeczy. Pięciogwiazdkowe hotele. Bilety lotnicze w pierwszej klasie. Apartamenty. Prywatne zwiedzanie z przewodnikiem. Jedną z namiętności Antona było wino. Lubił wypić kieliszek w trakcie lunchu. Kolejny kieliszek, może dwa, do kolacji. Najbardziej lubił wina czerwone wytrawne. Od czasu do czasu, kiedy nie było przy nim Sam, łączył je z cygarem.

Lekarze Antona mówili o zrządzeniu losu i cygarach, ale

Sam kładła śmierć męża na karb wysokiego poziomu garbników w winach.

Rak przełyku.

Mniej niż dwa procent wszystkich nowotworów u ludzi.

Tanina, naturalny garbnik roślinny, odstrasza szkodniki i zwierzęta roślinożerne. Znajduje się w wielu owocach i roślinach strączkowych. Tanoidy mają wiele zastosowań. Naturalne i syntetyczne wykorzystuje się w produkcji skór. W przemyśle farmaceutycznym sole kwasu garbnikowego służą do wytwarzania leków przeciwhistaminowych i przeciwkaszlowych.

W czerwonym winie tanina działa jak główny składnik strukturalny, reakcja skórki winogrona na kontakt z pestkami. Wina z wyższym poziomem garbników starzeją się lepiej niż wina o ich niższej zawartości. Im dojrzsze wino, im droższa butelka, tym wyższe stężenie garbników.

Tanina występuje też naturalnie w herbacie, ale jej działanie powodujące denaturację białek neutralizują proteiny istniejące w mleku.

Według Sam to właśnie proteiny i taniny legły u podstaw choroby Antona. Zwłaszcza histatyny, czyli białka zawarte w ślinie, produkowane przez gruczoły w tylnej części języka. Mają właściwości przeciwbakteryjne i przeciwgrzybiczne, odgrywają też ważną rolę w gojeniu się ran.

Ta ostatnia właściwość jest być może najważniejsza. Rak jest przecież rezultatem nieprawidłowego rozrostu komórek. Jeśli histatyna nie chroni przed patogenami i nie regeneruje tkanki wyściełającej przełyk, wtedy DNA komórek może ulec

mutacji i zapoczątkować proces chorobowego rozrostu.

Garbniki hamują produkcję histatyny w jamie ustnej.

Z każdym wzniesionym toastem Anton dokładał cegielkę do guza rosnącego w tkankach wyściełających jego przełyk, potem atakującego węzły chłonne, a wreszcie inne organy.

Taką teorię Sam stworzyła na własne potrzeby. Obserwując przez dwa długie lata, jak jej wspaniały i pełen życia mąż słabnie i odchodzi, uczepiła się tego, co wydawało się racjonalnym wyjaśnieniem: przyczyna x wywołała rezultat y. Badanie na obecność wirusa brodawczaka ludzkiego dało wynik negatywny, a temu wirusowi przypisuje się około siedmiu procent nowotworów w obrębie głowy i szyi. Anton palił rzadko. Nie był alkoholikiem. Nikt w jego najbliższej rodzinie nie chorował na raka.

Czyli – taniny.

Ani intelektualnie, ani emocjonalnie Sam nie umiała poradzić sobie z faktem, że w chorobie Antona decydującą rolę odegrał ślepy traf i że piorun trafił w nią nie dwa, ale trzy razy.

Fosco przycisnął głowę do jej ramienia. Był kotem Antona. Prawdopodobnie był to swoisty odruch Pawłowa na zapach wina.

Łagodnie odsunęła kota od siebie i przysunęła się na brzeg kanapy. Nalała kieliszek wina. Nie miała zamiaru pić za męża, którego nie mogła zobaczyć.

Potem zrobiła coś, czego unikała od trzeciej po południu.

Włączyła telewizor.

Kobieta, o której zawsze myślała jako o pannie Heller, stała przed głównym wejściem szpitala Dickerson County.

Wyglądała na zdruzgotaną, co zrozumiałe. Siwe włosy z blond kosmykami szarpał podmuchami wiatr. Miała zaczerwienione oczy. Wąskie usta przybrały niemal ten sam kolor co skóra.

- Dzisiejszej tragedii nie wymaże śmierć kolejnej młodej dziewczyny. - Urwała, zacisnęła usta. Sam słyszała trzask aparatów fotograficznych i chrząkanie dziennikarzy. Głos pani Pinkman był mocny, kiedy kontynuowała swoją przemowę: - Modłę się za rodzinę Lucy Alexander. Modłę się za duszę swojego męża. Modłę się o własne zbawienie. - Znowu zacisnęła usta. W jej oczach zalśniły łzy. - Ale modłę się także za rodzinę Wilsonów, ponieważ dzisiaj cierpieli tak samo jak my wszyscy. - Spojrzała wprost do kamery, wyprostowała ramiona. - Wybaczam Kelly Wilson. Przebaczam jej doprowadzenie do tej straszliwej tragedii. Jak mówi święty Mateusz: „Jeśli odpuścicie ludziom grzechy ich, odpuści też wam Ojciec wasz niebieski grzechy wasze”^[3].

Po tych słowach odwróciła się i weszła do szpitala. Ochroniarze zablokowali drzwi, żeby uniemożliwić dziennikarzom pójście za nią.

Sam wypuściła z płuc powietrze, które nieświadomie wstrzymywała. Znowu wzięła Fosca na kolana.

Na ekranie pojawił się prowadzący program. Siedział w studiu z kilkoma samozwańczymi ekspertami oferującymi naprędce formułowane diagnozy.

Angielski znajomy Sam twierdził, że Anglia przestała trzymać fason w dniu śmierci księżnej Diany. W jedną noc społeczeństwo nawykłe do zastępowania emocji kąśliwymi komentarzami zamieniło się w płaczący tłum. Znajomy nazwał

to zjawisko kolejnym niepożądanym przejawem amerykanizacji - Brytyjczycy nieustannie narzekali na Amerykę, chociaż łakomie konsumowali amerykańskie produkty i amerykańską kulturę - i powiedział, że publiczny wybuch żalu po śmierci księżnej na zawsze odmienił sposób reakcji jego rodaków na tragedię.

Może w tej teorii tkwiła część prawdy, choćby o winie Ameryki, ale według Sam najgorszym rezultatem tych narodowych tragedii było wypracowanie formuły radzenia sobie z nimi. Atak podczas maratonu w Bostonie. Masakra w San Bernardino. Strzelanina w nocnym klubie Pulse.

Ludzie byli poruszeni i oburzeni. Tkwili przyklejeni do telewizorów, internetu, Facebooka. Wyrażali żal, smutek, ból, przerażenie, wściekłość. Nawoływali do zmian. Organizowali zbiórki pieniędzy. Domagali się konkretnych działań.

A potem wracali do swojego życia do czasu kolejnej tragedii.

Sam znowu spojrzała na ekran. Prowadzący program mówił:

- Pokażemy wcześniejsze nagranie. Widzów, którzy dopiero teraz do nas dołączyli, informujemy, że to odtworzenie zdarzenia, do którego doszło dziś rano w Pikeville, dwie godziny drogi na północ od Atlanty.

Sam patrzyła na toporną grafikę. Przypominało to raczej symulację niż odtworzenie.

Prowadzący zaczął:

- Około szóstej pięćdziesiąt pięć rano domniemana sprawczyni strzelaniny Kelly Rene Wilson weszła do holu.

Sam patrzyła, jak postać przemieszcza się do centrum holu.

Otworzyły się drzwi. Starsza kobieta zrobiła unik, gdy padły

dwa strzały.

Sam zamknęła oczy, ale słuchała.

Pan Pinkman pada na ziemię martwy. Lucy Alexander zostaje trafiona. Pojawiają się dwie nowe postacie niepodpisane imieniem ani nazwiskiem. Wyjawiono tylko tyle, że to kobieta i mężczyzna. Kobieta biegnie do Lucy Alexander, mężczyzna walczy z Kelly Wilson o broń.

Sam otworzyła oczy. Pot wystąpił jej na czoło. Zacisnęła dłonie tak mocno, że wbiła paznokcie w skórę.

Zadzwoiła jej komórka. W kuchni, w torebce.

Nie ruszyła się z kanapy, tylko dalej oglądała. Prowadzący rozmawiał z łysym mężczyzną, którego muszka pod szyją zdradzała psychiatrę.

- Zazwyczaj sprawcy tego rodzaju strzelanin to samotnicy. Czują się wyobcowani i niekochani, często są ofiarami nękania.

Komórka przestała dzwonić. Muszka ciągnął dalej:

- Fakt, że w tym przypadku zabójczynią jest kobieta...

Sam wyłączyła telewizor. W pokoju zrobiło się zupełnie ciemno, ale Sam przywykła do poruszania się po ciemku. Upewniła się, że Fosco śpi obok niej. Ostrożnie wyciągnęła rękę po wino i kieliszek i zaniósła je do kuchni, gdzie ich zawartość wylądowała w zlewie.

Sprawdziła telefon. Wyświetlił się nieznany numer. Możliwe, że telemarketer, chociaż wpisała swój telefon na Listę Robinsona. Kciukiem przewijała kolejne ekrany, żeby zablokować ten numer.

Telefon zawibrował jej w dłoni, informując o nadejściu mejla.

Spojrzała na godzinę. W Hongkongu zaczynała dzień pracy giełda. Jeśli w życiu Sam było coś stałego, to mnóstwo pracy do zrobienia.

Nie chciała szukać okularów do czytania, o ile nie było w poczcie pilnej wiadomości. Zmrużyła oczy i przejrzała listę nowych mejli.

Nie otworzyła ani jednego.

Odłożyła komórkę na kontuar. Oddała się rutynowym wieczornym czynnościom. Napełniła wszystkie miseczki Fosca wodą, pogasiła światła, opuściła żaluzje, sprawdziła, czy alarm jest włączony.

Poszła do łazienki i umyła zęby. Zażyła tabletki. W garderobie przebrała się w piżamę. Na szafce nocnej leżała bardzo dobra powieść, ale dzisiaj Sam chciała po prostu odpocząć, mieć ten dzień za sobą, obudzić się jutro z nową perspektywą.

Gdy położyła się do łóżka, Fosco wyrósł przy niej jak spod ziemi i zajął miejsce na poduszce przy głowie Sam. Zdjęła okulary. Zgasiła światło. Zamknęła oczy.

Zrobiła długi spokojny wydech.

Przeszła do codziennej serii wieczornych ćwiczeń. Napinała, a potem rozluźniała każdy mięsień ciała, od *musculus flexor digitorum brevis* w stopie po *galea aponeurotica* w sklepieniu czaszki.

Czekała, aż jej ciało się rozluźni i nadejdzie upragniony sen, ale dzisiaj nie chciało współpracować. Cisza dzwoniła w uszach. Nawet Fosco nie wydawał z siebie zwyczajowych kocich westchnień, chrapnięć i pomruków.

Sam otworzyła oczy.

Wbiła wzrok w sufit. Czekwała, aż ciemność przejdzie w szarość, a szarość ustąpi smużkom światła, które zawsze przezierały spomiędzy żaluzji.

- *Widzisz coś? Sam, widzisz? - dopytywała Charlie.*

- *Tak - skłamała Sam. Pod bosymi stopami czuła świeżo obsianą glebę. Im dalej od zabudowań i światła, tym bardziej gęstniała ciemność pod powiekami. Charlie była niewyraźnym szarym kształtem. Daniel był wysoki i chudy jak węgiel rysunkowy. Zachariah Culpepper był złowieszczym czarnym kwadratem emanującym nienawiścią.*

Usiadła i zwiesiła nogi z łóżka. Wcisnęła dłonie w uda, napinając zeszywniałe mięśnie. Ciepło bijące od podłogi rozgrzało jej stopy.

Czuła powolne i miarowe bicie swojego serca. Węzeł zatokowo-przedsionkowy, węzeł przedsionkowo-komorowy, układ bodźcotwórczo-przewodzący przesyłający impulsy do ściany komór serca, powodujący jego kurczenie się i rozkurczanie.

Wstała. Poszła do kuchni. Wyjęła z aktówki okulary do czytania. Wzięła do ręki komórkę.

Otworzyła nowego mejla od Bena.

Charlie cię potrzebuje.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Sam siedziała na tylnym siedzeniu czarnego mercedesa, raz po raz zaciskając dłoń na komórce. Kierowca wjechał na drogę międzystanową numer pięćset siedemdziesiąt pięć.

Dwie dekady postępu dokonały spustoszeń w krajobrazie północnej Georgii, nic nie uchowało się w stanie nietkniętym. Centra handlowe wyrosły jak grzyby po deszczu, billboardy zasłaniały krajobraz. Zniknęły nawet pasy rozdzielcze na drogach, kiedyś porośnięte bujną trawą i kwiatami. Teraz obie nitki szosy międzystanowej oddzielał mur. Codziennie rano sunęli po niej do Atlanty amerykańscy chłopcy w furgonetkach, żeby zarobić parę centów, a wieczorem wracali do domów, pomstując na bezbożnych liberałów, którzy napychali sobie kieszenie, korzystając z dopłat do usług komunalnych, opieki zdrowotnej, lunchów dla dzieci i szkół.

- Powinniśmy dotrzeć na miejsce mniej więcej za godzinę - oznajmił kierowca z wyraźnym chorwackim akcentem. - Ta budowa... - Wzruszył ramionami. - Kto wie, ile to jeszcze potrwa.

- Nic nie szkodzi - Sam spojrzała przez okno. Kiedy przyjeżdżała do Atlanty, zawsze prosiła o Stanisława. Należał do tych nielicznych kierowców, którzy rozumieli jej potrzebę milczenia. A może brał ją za nerwową pasażerkę. Nie mógł wiedzieć, że Sam tak przywykła do podróżowania na tylnym siedzeniu czarnego sedana, że rzadko kiedy zauważała drogę.

Nigdy nie nauczyła się dobrze prowadzić samochodu. Kiedy

skończyła piętnaście lat, Rusty wsiadł z nią do kombi Gammy, żeby nauczyć ją jeździć. Niestety, jak w przypadku większości zobowiązań rodzinnych, wkrótce zaczął przekładać kolejne lekcje jazdy, tłumacząc się nawałem pracy. Gamma próbowała go zastąpić, ale była wiecznie krytycznym kierowcą, a jako pasażer okazała się wyjątkowo złośliwa. Jeśli dodać do tego skłonność ich obojga do zażartych sporów, domowa nauka jazdy nie wypaliła. Stanęło na tym, że w jesiennym semestrze w średniej szkole Sam pójdzie na oficjalny kurs prawa jazdy.

Zanim do tego doszło, w kuchni Pieprznika zjawili się bracia Culpepperowie.

Kiedy rówieśnice Sam uczyły się do egzaminu na prawo jazdy, ona próbowała odtworzyć połączenia między palcami u stóp, stopami, kostkami, kolanami, udami, pośladkami i biodrami, wiedziona nadzieją, że znowu będzie chodzić.

Trudności w poruszaniu nie były jedyną przeszkodą. Uszkodzenia oczu spowodowane przez Zachariaha Culpeppera były – znowu to przeklęte słowo – powierzchowne. Problem nadwrażliwości na światło dał się łatwo rozwiązać. Rozdarte powieki zszył chirurg plastyczny. Krótkie nierówne paznokcie Zachariaha przebiły twardówkę, ale nie naczyniówkę oka, nerw wzrokowy, siatkówkę czy rogówkę.

Złodziejem wzroku okazał się udar krwotoczny, następstwo pęknięcia wrodzonego tętniaka mózgu podczas operacji. Uszkodzeniu uległa część włókien przewodzących informacje z oczu do mózgu. Wzrok Sam poprawił się do poziomu dwadzieścia na czterdzieści, czyli progu wymaganego w większości stanów, ale widzenie obwodowe w prawym oku

miało wartość poniżej dwudziestu stopni.

Z punktu widzenia prawa Sam była uważana za niewidomą.

Na szczęście nigdy nie musiała sama prowadzić. Transport z lotniska i na lotnisko zamawiała. Pieszko chodziła do pracy, na bazar, na wizyty i spotkania towarzyskie w sąsiedztwie. Jeśli musiała dostać się do centrum, mogła zamówić taksówkę albo poprosić Eldrina o wynajęcie auta. Nigdy nie należała do tych nowojorczyków, którzy deklarowali miłość do tego miasta, ale nie mogli doczekać się, aż czmychną do Hamptons albo na Martha's Vineyard, kiedy tylko będzie ich stać na drugi dom. Sam i Anton nigdy nie brali pod uwagę takiej możliwości. Jeśli chcieli zobaczyć otwarte wody, mogli polecieć na Milos albo Korčulę, a nie zamknąć się w ekskluzywnej enklawie i powielać manhattańskie wzorce podczas wakacji na plaży.

Jej telefon zawibrował. Ścisnęła go tak mocno, że zobaczyła własny pot na obrzeżach ekranu.

Odkąd wczoraj wieczorem odpisała Benowi na mejla, Ben od czasu do czasu przekazywał jej najświeższe nowiny. Najpierw Rusty był na sali operacyjnej, potem wyjechał z niej na oddział intensywnej terapii, potem wrócił na salę operacyjną z powodu krwotoku, który przeoczono, potem znów wylądował na oddziale pooperacyjnym.

Najnowsza informacja brzmiała tak samo jak ta, którą widziała przed startem samolotu.

Bez zmian.

Sam spojrzała na zegarek. Ben śledził lot, którego numer mu podała. Napisał mejla dziesięć minut po planowanym lądowaniu samolotu. Nie miał pojęcia, że Sam skłamała

w sprawie numeru lotu i samego lotu. Kancelaria Stehlik, Elton, Mallory & Sanders dysponowała firmowym odrzutowcem dla wspólników według hierarchii starszeństwa. Nazwiska Sam nie było jeszcze na stalowej tablicy naprzeciw wind, ale umowa została już podpisana, jej zgoda wysłana do centrali, a odrzutowiec był już gotowy, gdy prosiła Eldrina o telefon w tej sprawie.

Tyle że Sam nie wyleciała zeszłej nocy.

Poszukała numeru wczesnego lotu Delty i wysłała go Benowi. Spakowała torbę, napisała mejla do opiekunki kota i usiadła przy blacie w kuchni. Wsłuchiwała się w pochrapywanie i pomrukiwanie Fosca, który zajął stołek obok niej, i płakała rzewnymi łzami.

Z czego rezygnowała, by wrócić do Pikeville?

Obiecała Gammie, że nigdy tam nie wróci.

Gdyby matka nadal żyła, gdyby nadal mieszkała w Pieprzniku, na pewno Sam wracałaby tam na Boże Narodzenie, może nawet częściej. Gamma przyjeżdżałaby na kolacje do Atlanty, by spotkać się z Sam przebywającą w tym mieście w interesach. Sam zabrałaby ją do Brazylii, Nowej Zelandii czy w każde inne miejsce, które Gamma chciałaby zobaczyć. Nie doszłoby do zerwania kontaktów z Charlie. Sam byłaby dobrą siostrą, szwagierką, może nawet ciocią.

Jej relacja z Rustym pozostałaby pewnie taka sama, jeśli nie gorsza. Musiałaby się z nim widywać, a Rusty rozkwitał w obliczu godnego siebie przeciwnika. Może ona też zaczęłaby – ale w innym życiu. W tym, które z pewnością by wiodła, gdyby nie postrzał w głowę.

Byłaby zdrowa i pełnosprawna.

Biegałaby co rano zamiast pływać. Chodziłaby bez bólu. Podnosiłaby rękę bez zastanawiania się, jak wysoko dzisiaj sięgnie. Miałaby pewność, że usta wyraźnie będą artykułować słowa, które pojawiają się w jej głowie. Mogłaby sama wyjechać na drogę międzystanową. Cieszyłaby się faktem, że jej ciało, umysł i mózg są jednością.

Poczuła ściskanie w gardle. Odsunęła od siebie smutne myśli. Nie układała scenariuszy „co by było, gdyby” od czasu wyjścia z centrum rehabilitacyjnego. Gdyby teraz pozwoliła sobie na luksus pogrążenia się w smutku, to uczucie by ją sparaliżowało.

Spojrzała na telefon i odszukała pierwszego mejla od Bena.

Charlie cię potrzebuje.

Znalazł jedną właściwą frazę, na którą zareagowała.

Jednak nie od razu. Nie bez wahania.

W nocy po przeczytaniu mejla chodziła po mieszkaniu z bolącą nogą, aż zaczęła kuleć. Wzięła gorący prysznic, zaparzyła herbatę, próbowała zrobić serię ćwiczeń rozciągających, usiadła do medytacji – ale ciekawość wygrała.

Charlie nigdy wcześniej jej nie potrzebowała.

Zamiast zadać Benowi oczywiste pytania:

- Dlaczego?
- Co się stało?

Sam włączyła telewizor. Dopiero po upływie trzydziestu minut stacja MSNBC poinformowała o ataku nożownika. Informacje były skąpe. Rusty'ego znalazł sąsiad. Leżał na końcu podjazdu. Korespondencja była rozrzucona na ziemi.

Sąsiad wezwał policję. Policja wezwała karetkę. Karetka wezwała helikopter. I teraz Sam wracała tam, dokąd – jak przyrzekła Gammie – miała nigdy nie wracać.

Ściśle rzecz biorąc, nie jechała do samego Pikeville. Szpital znajdował się trzydzieści minut drogi od Pikeville, w Bridge Gap. Kiedy Sam była nastolatką, Bridge Gap wydawało się dużym miastem. Tam można było pojechać, jeśli chłopak albo przyjaciółka mieli samochód i pobłażliwych rodziców.

Może kiedy Charlie była młodsza, jeździła do Bridge Gap z chłopakiem albo grupą przyjaciół. Rusty był pobłażliwy. To Gamma zawsze pilnowała dyscypliny. Sam wiedziała, że bez matczynego nadzoru Charlie puściły hamulce. Najgorzej było w college'u. Zdarzały się nocne telefony z Athens, gdzie Charlie robiła licencjat na Uniwersytecie Georgii. Potrzebowała pieniędzy na jedzenie, na mieszkanie, na lekarza, a kiedyś na coś, co miało być ciążą, a okazało się fałszywym alarmem.

– Pomożesz mi czy nie? – krzyczała Charlie do słuchawki, a jej agresywny ton ucinął niewypowiedziane jeszcze pretensje Sam.

Sądząc po Benie, Charlie wyszła na prostą. To przejście było nie tyle przemianą, ile powrotem do własnej natury. Charlie nigdy nie była buntowniczką. Należała do tych popularnych, wszędzie chętnie zapraszanych dziewcząt, które miały łatwość obcowania z ludźmi. Sam była pozbawiona wrodzonej otwartości, życzliwości i przyjaznego stosunku do bliźnich jeszcze przed postrzałem.

Jak teraz wyglądało życie Charlie?

Nawet nie wiedziała, czy siostra ma dzieci. Przypuszczała, że tak. Charlie zawsze je uwielbiała. Przed pożarem domu opiekowała się połową dzieci z sąsiedztwa. Okazywała serce bezpiecznym zwierzętom, zostawiała przed domem orzechy pekan dla wiewiórek, na skautowskich zbiórkach budowała karmniki dla ptaków, a kiedyś skonstruowała klatkę dla królików i postawiła ją w ogrodzie za domem, chociaż ku jej rozczarowaniu króliki wołały opustoszałą psią budę na posesji sąsiada.

Jak teraz wygląda? Ma siwe włosy jak Sam? Nadal jest szczupła i umięśniona dzięki ciągłej aktywności? Czy Sam w ogóle ją pozna?

Za oknem mignął znak witający przybyszów na terenie hrabstwa Dickerson.

Powinna przykazać Stanislavowi, żeby jechał wolniej.

W wyszukiwarce w telefonie odszukała stronę stacji MSNBC i znalazła aktualne informacje na temat Rusty'ego. Stan ciężki, rokowania niepewne. Mimo tylu pobytów w szpitalu nie miała pojęcia, co to znaczy. Lepiej niż stan krytyczny? Gorzej niż stabilny?

U schyłku życia Antona, kiedy w końcu znalazł się w szpitalu, nie otrzymywała żadnych informacji co do jego bieżącego stanu. Wiadomo było, że dzisiaj Anton czuje się lepiej, następnego dnia będzie czuł się gorzej, a wszyscy rozumieli bez słów, że jutra nie będzie.

Sam przeszła na stronę *Huffington Post*, licząc na więcej szczegółów. Wstrzymała oddech zaskoczona widokiem aktualnej fotografii Rusty'ego.

Z niezrozumiałych dla siebie powodów, odsłuchując wiadomości od ojca na automatycznej sekretarce, wyobrażała go sobie jako Burla Ivesa w reklamach herbaty Luzianne: krzepkiego puciołowatego mężczyznę w białym kapeluszu, w jasnym garniturze i czarnej krawatce spiętej jarmarczną zapinką.

Jej ojciec ani trochę go nie przypominał. Ani wtedy, ani tym bardziej teraz.

Gęste czarne włosy Rusty'ego były siwe. Jego twarz przypominała suszone mięso wołowe, jeśli nie barwą, to strukturą skóry. Nadal miał w sobie to wymizerowanie, nadające mu wygląd człowieka, który dopiero co wyszedł z dżungli. Policzki miał zapadnięte, oczy też. Na zdjęciach wypadwał gorzej niż w rzeczywistości. W bezpośrednim kontakcie był ruchliwy, nie mógł usiedzieć na miejscu, gestykulował żywo jak Oz Wielki i Potężny, co nie pozwalało za tą zasłoną widzieć słabego starego człowieka.

Zastanawiała się, czy nadal był z Lenore. Nawet jako nastolatka rozumiała, dlaczego Gamma tak bardzo nie lubiła kobiety, z którą Rusty spędzał większość czasu. Czy zadziałał według dobrze znanego schematu i ożenił się z sekretarką po zakończeniu żałoby? Lenore była dość młoda, kiedy zginęła Gamma. Czy w szpitalu będzie na nią czekało przyrodnie rodzeństwo?

Włożyła telefon do torebki.

- Zostały niecałe dwa kilometry - powiedział Stanislaw, wskazując iPada. - Dwie godziny i wracamy?

- Mniej więcej. Może mniej.

- Przyniosę lunch z restauracji. W szpitalnych stołówkach jedzenie jest niedobre. - Podał Sam wizytówkę. - Pani napisze esemesa. Przyjadę po panią w pięć minut.

Miała ochotę poprosić, żeby czekał na nią w aucie z włączonym silnikiem i maską zwróconą w stronę Atlanty, ale zamiast tego powiedziała tylko:

- Dobrze.

Stanislav włączył kierunkowskaz i wjechał szerokim łukiem w kręty podjazd wiodący do szpitala.

Sam poczuła ściskanie w żołądku.

Dickerson County Hospital był znacznie większy, niż pamiętała. Może po prostu w ciągu trzydziestu lat dobudowano nowe skrzydła. Rodzina Quinnów była na oddziale ratunkowym tylko raz, zanim Culpepperowie brutalnie wkroczyli w ich życie. Charlie spadła z drzewa i złamała rękę. Powód był typowy dla niej: próbowała ratować kota. Sam pamiętała, jak w trakcie jazdy do szpitala Gamma mimo wrzasków Charlie wygłosiła wykład - nie o idiotyzmie ratowania stworzenia idealnie wyposażonego przez naturę do wdrapywania się na drzewa i schodzenia z nich - ale o budowie anatomicznej:

- Kość idąca od stawu barkowego do łokcia to kość ramieniowa. Tę część kończyny górnej nazywamy po prostu ramieniem. Kość ramieniowa łączy się z dwiema kośćmi w stawie łokciowym: łokciową i promieniową, które tworzą przedramię.

Żadna z tych informacji nie uciszyła krzyków Charlie. Ten jeden raz Sam nie zarzucała siostrze przesady. Złamana kość

ramieniowa Charlie sterczała z przerwanej skóry jak płetwa rekina.

Stanislav wjechał pod szerokie betonowe sklepienie przed głównym wejściem do szpitala. Był potężnie zbudowanym mężczyzną. Samochód zakołysał się, gdy gramolił się z kierownicy. Obszedł wóz z tyłu i otworzył Sam drzwi. Musiała unieść rękami prawą nogę, żeby wysiąść. Dzisiaj używała laski, ponieważ wszyscy, których miała zobaczyć, wiedzieli, co ją spotkało.

- Pani wysłała wiadomość, przyjeżdżam za pięć minut - powtórzył, po czym wsiadł do samochodu.

Sam ze ściśniętym gardłem patrzyła za odjeżdżającym autem. Powtarzała sobie w duchu, że ma numer Stanislava w torebce; że w każdej chwili może go wezwać; że ma kartę kredytową bez limitu, odrzutowiec do dyspozycji i możliwość ucieczki w każdej chwili.

Mimo to czuła, jakby w miarę oddalania się auta kaftan bezpieczeństwa zaciskał się wokół jej ramion.

Okręciła się na pięcie i spojrzała na szpital. Na ławce przy wejściu siedzieli dwaj reporterzy z przepustkami prasowymi dyndającymi na szyi. Kamery leżały na ziemi u ich stóp. Podnieśli głowy znad telefonów, spojrzeli na wchodzącą do środka Sam, po czym jednocześnie opuścili głowy.

Sam rozejrzała się po holu. Liczyła, że zobaczy czekającego na nią Bena, a zobaczyła tylko snujących się pacjentów i odwiedzających. W rogu była recepcja, ale kolorowe strzałki na podłodze wystarczyły za przewodnika. Poszła za zielonymi w stronę wind. Na tablicy informacyjnej znalazła napis:

ODDZIAŁ INTENSYWNEJ TERAPII DLA DOROSŁYCH

Jechała windą sama. Miała wrażenie, że większość życia spędziła na jeżdżeniu windami, podczas gdy inni chodzili po schodach. Dzwonek intercomu obwieszczał kolejne mijane piętra. W windzie było czysto, ale wisiał w niej lekki zapach wymiocin.

Patrzyła prosto przed siebie, siłą woli powstrzymując się przed liczeniem pięter. Wewnętrzna strona drzwi windy była pokryta polerowaną stalą nierdzewną, ale zobaczyła w niej anamorficzny zarys siebie: zdystansowanie, bystre niebieskie oczy, krótkie siwe włosy, skórę białą jak papier i ostry język gotów kąsać i zadawać małe bolesne rany w niewygodnych miejscach. Mimo zniekształcenia obrazu, widziała cienką linię zaciśniętych ust wyrażających dezaprobatę. Patrzyła na złą zgorzkniałą kobietę, która nigdy nie opuściła Pikeville.

Winda stanęła, drzwi się rozsunęły.

Na podłodze Sam zobaczyła czarną linię, podobną do malowanych na dnie basenu, która prowadziła prosto ku zamkniętym drzwiom oddziału intensywnej terapii.

Do Rusty'ego.

Do siostry.

Do szwagra.

Ku nieznanemu.

Tysiące mrówek biegalo jej po nodze w górę i w dół, gdy szła długim wymarłym korytarzem. Dźwięk jej butów dudniących o szpitalną posadzkę współbrzmiał z biciem serca, mokre od potu kosmyki przykleiły się do karku. Bała się, że nadgarstek i kostka trzasną za chwilę jak sucha gałązka.

Szła bez zatrzymywania, dusząc się wonią środka odkażającego, zanurzona w bólu.

Drzwi automatyczne rozsunęły się, zanim do nich dotarła.

Stała w nich jakaś kobieta. Wysoka, o wysportowanej sylwetce, z długimi czarnymi włosami i jasnoniebieskimi oczami. Jej nos wyglądał na świeżo złamany. Pod oczami widniały ciemne sińce.

Sam zebrała się w sobie, żeby przyspieszyć kroku. Ściągnięta zareagowała przeszywającym bólem. Mrówki przemieściły się do klatki piersiowej. Rączka laski zrobiła się śliska od potu.

Sam zżerały nerwy. Dlaczego aż tak się denerwowała?

- Wyglądasz jak mama - rzuciła Charlie na powitanie.

- Naprawdę? - odparła drżącym głosem.

- Tyle że ona miała czarne włosy.

- Bo chodziła do salonu piękności. - Sam przejechała dłonią po włosach. Palce natrafiły na bruzdę w miejscu, w którym przeszła kula. - Naukowcy z University College w Londynie przebadali grupę mieszkańców Ameryki Południowej i odkryli gen odpowiedzialny za siwienie włosów. To IRF4.

- Fascynujące - odparła Charlie.

Stała ze skrzyżowanymi ramionami. Powinny rzucić się sobie w ramiona? Powinny uścisnąć sobie dłonie? Powinny stać i patrzeć na siebie, aż noga odmówi Sam posłuszeństwa?

- Co ci się stało z twarzą? - zapytała.

- Właśnie, co się stało?

Sam czekała, że siostra wyjaśni przyczynę krwiałków pod oczami i guza na nosie, ale Charlie jak zwykle nie miała zamiaru się tłumaczyć.

- Sam? - Ben przerwał niezręczną ciszę między siostrami. Otworzył ramiona i zamknął ją w uścisku, jakiego nie doświadczyła od śmierci Antona.

Poczuła łzy napływające do oczu. Zauważyła, że Charlie ich obserwuje, i odwróciła wzrok.

- Stan Rusty'ego jest stabilny - powiedziała Charlie. - Przez cały ranek dominowała niepewność, ale lekarze uważają, że niedługo się obudzi.

Ben trzymał dłoń na plecach Sam.

- Wyglądasz tak samo jak wtedy - powiedział.

- Dziękuję - wymamrotała zakłopotana.

- Szeryf ma się tu zjawić - odezwała się Charlie. - Keith Coin. Pamiętasz tego gnojka?

Sam pamiętała.

- Wydali oświadczenie, że użyją wszelkich dostępnych środków do znalezienia sprawcy bestialskiego napadu na Rusty'ego, ale nie wpadaj w euforię. - Charlie ciągle trzymała ręce skrzyżowane na piersiach. Ta sama kąśliwa zadufana w sobie Charlie. - Nie zdziwię się, jeśli to zrobił jeden z jego zastępców.

- Rusty reprezentuje tę dziewczynę - powiedziała Sam. - Sprawczynię strzelaniny w szkole.

- Kelly Wilson. Daruję ci szczegóły długiej i nudnej opowieści.

Sam zadumała się nad doborem przymiotników przez siostrę. Zginęło dwoje ludzi. Rusty został ugodzony nożem. W tej historii nie dostrzegła ani jednego aspektu, który można by uznać za długi albo nudny. Przypomniała sobie, że

nie przyjechała tu ustalać szczegółów.

Znalazła się tu z powodu mejla.

- Dasz nam chwilę? - zwróciła się do Bena.

- Oczywiście - odparł, ale nadal trzymał rękę na jej plecach.

Sam zrozumiała, że gest Bena wynika z jej niepełnosprawności, nie zaś szczególnej sympatii do niej.

- Nic mi nie jest, dziękuję.

- Wiem. - Pogłaskał ją po plecach. - Muszę wracać do pracy. Jeśli będziesz mnie potrzebować, daj znać.

Charlie wyciągnęła do niego rękę, ale Ben już okręcił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Automatyczne drzwi zasunęły się za nim. Sam obserwowała przez szybę jego długi powolny krok. Czekala, aż zniknie za rogiem. Powiesiła sobie laskę na przedramieniu, po czym gestem wskazała Charlie rząd plastikowych krzeseł w głębi korytarza.

Charlie ruszyła pierwsza. Szła pewnym sprężystym krokiem. Inaczej niż Sam. Bez laski czuła się tak, jakby chodziła po pochyłej podłodze w beczce śmiechu. Udało jej się w końcu dotrzeć do krzesła. Oparła dłoń na siedzeniu i powoli zginając rękę, usadowiła się na nim.

- Rusty zrobił tym co razem? - Zamknęła oczy, gdy do jej uszu dotarły poprzestawiane słowa. - Chciałam zapytać...

- Podejrzewają, że został zaatakowany, bo reprezentuje Kelly Wilson - odparła Charlie. - Komuś w mieście to nie w smak. Judith Heller możemy wykluczyć, była tu całą noc. Wyszła za pana Pinkmana dwadzieścia pięć lat temu. Dziwne, prawda?

Sam miała nadzieję, że udało jej się skinać głową.

- Zostaje zatem rodzina Alexandrów. - Charlie cicho postukała stopą w podłogę. Sam zapomniała już, że siostra umiała być równie ruchliwa i nerwowa jak Rusty. - Nie ma to związku z Peterem. Pamiętasz Petera ze szkoły, prawda?

Sam znów skinęła głową. Ugryzła się w język, żeby nie złać Charlie za stary nawyk kończenia każdego zdania pytaniem „prawda?“, jakby chciała zdjąć z Sam ciężar konieczności porozumiewania się słowami i ograniczyć komunikację do twierdzących i przeczących ruchów głowy.

- Peter przeniósł się do Atlanty - wyjaśniła Charlie. - Parę lat temu przejechał go samochód. Przeczytałam o tym na czyjejs stronie na Facebooku. Smutne, prawda?

Sam skinęła głową po raz trzeci. Ku swojemu zaskoczeniu poczuła ukłucie żalu w sercu.

- Tata pracował jeszcze nad inną sprawą - ciągnęła Charlie. - Nie wiem, kogo dotyczy, ale ostatnio wracał później niż zwykle. Lenore nie puszcza pary z ust. Rusty wkurza ją tak samo jak innych, mimo to chroni jego sekrety.

Sam uniosła brwi.

- Wiem, wiem. Jakim cudem wytrzymała tyle lat pracy z nim i go nie zabiła? - Charlie roześmiała się. - Na wypadek, gdybyś się zastanawiała, to Lenore była w domu, kiedy tatę napadli.

- Gdzie? - zapytała Sam. Chodziło jej o to, jakie miejsce jest dla Lenore domem, ale Charlie inaczej zrozumiała jej pytanie.

- Pan Thomas, facet, który mieszka przy tej ulicy, znalazł go na końcu podjazdu. Nie było wiele krwi. Miał plamę na spodniach i koszuli. To był krwotok wewnętrzny w jamie

brzuszej. Tak to chyba jest z tego typu ranami. – Wskazała własny brzuch. – Tu, tu i tu. Jak szybkie dźgnięcia więziennym majchrem. Raz, dwa, trzy, jedno obok drugiego. Dlatego myślę, że to może mieć związek z jego drugą sprawą. Tata ma talent do wkurzania skazanych.

– Jak jasna cholera – przytaknęła Sam.

– Może coś od niej wyciągniesz? – Charlie wstała, gdy drzwi oddziału się rozsunęły. Musiała dostrzec przez szybę nadchodzącą Lenore.

Ujrzawszy Lenore, Sam otworzyła szeroko usta.

– Samantho. – Chropawy głos Lenore brzmiał tak samo znajomo jak dźwięk telefonu w kuchni. Jego dźwięk oznaczał, że Rusty znowu wróci późno. – Jestem pewna, że ojciec doceni twoją obecność. Lot minął spokojnie?

Zszokowana Sam ograniczyła się do skinięcia.

– Przypuszczam, że rozmawiacie tak, jakby nic się nie stało i wszystko było w największym porządku? – Nie czekając na odpowiedź, dodała: – Idę sprawdzić, co z waszym ojcem.

Ścisnęła Charlie za ramię i poszła w stronę dyżurki pielęgniarek. Sam patrzyła, jak dzierży pod pachą ciemnoniebieską kopertówkę. Miała na sobie granatowe szpilki i krótką spódniczkę pod kolor, sięgającą zdecydowanie za wysoko nad kolanem.

– Nie wiedziałaś, prawda? – zagadnęła Charlie.

– Że Lenore jest... – Sam nie umiała znaleźć odpowiednich słów. – Że... to znaczy, że jest...

Charlie zasłoniła dłonią usta i zatrzęsła się ze śmiechu.

– To wcale nie jest śmieszne.

Charlie rozchichotała się jeszcze bardziej.

- Przestań. Zachowujesz się okropnie.

- Tylko wobec ciebie - wydusiła Charlie między jednym chichotem a drugim.

- Nie wierzę, że... - Sam nie była w stanie dokończyć zdania.

- Zawsze byłaś za mądra, żeby wiedzieć, jaka jesteś głupia.

- Charlie nie przestawała się śmiać. - Naprawdę nigdy się nie domyślałaś, że Lenore jest transpłciowa?

Sam wróciła do kręcenia głową. W Pikeville żyła pod kloszem, ale tożsamość płciowa Lenore wydawała się oczywista. Jak mogła przegapić, że Lenore urodziła się mężczyzną? Miała co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a głos niższy od Rusty'ego.

- Leonard. Najlepszy przyjaciel taty w college'u - wyjaśniła Charlie.

- Gamma jej nie znosiła. - Sam zwróciła się do siostry tknięta nagłą myślą. - Czy mama była transfobką?

- Nie. A przynajmniej tak mi się wydaje. Najpierw chodziła z Lennym. Prawie się pobrali. Myślę, że wściekała się, bo... Gamma odkryła, że Lenore nosiła niektóre jej rzeczy. Nie mówiła które, ale pierwsze, co mi przyszło do głowy, kiedy o tym powiedziała, to bielizna. Wiem to od Lenore. Gamma nigdy o tym ze mną nie rozmawiała. Naprawdę się nie zorientowałaś?

I znowu Sam mogła tylko pokręcić przecząco głową.

- Myślałam, że Gamma podejrzewa ich o romans.

- Nie życzylabym tego nikomu. Znaczy się romansu

z Rustym.

- Dziewczęta? - Obcasy Lenore stukały o posadzkę, gdy wracała do nich z dyżurki pielęgniarek. - Rusty jest przytomny, przynajmniej jak na niego. Mogą do niego wejść tylko dwie osoby jednocześnie.

Charlie zerwała się z krzesła i wyciągnęła rękę do Sam.

Sam ciężko oparła się na lasce i dźwignęła ciało do pozycji stojącej. Nie chciała, żeby bliscy traktowali ją jak inwalidkę.

- Kiedy będzie można porozmawiać z lekarzami? - zapytała.

- Za godzinę jest obchód - odparła Lenore. - Pamiętasz Melissę LaMarche z klasy pani Pendleton?

- Tak - potaknęła Sam, chociaż nie rozumiała, dlaczego Lenore pamięta nazwisko jednej z jej koleżanek i nauczycielki ze szkoły średniej.

- Teraz jest doktor Melissą LaMarche. To ona operowała Rusty'ego.

Sam przypomniała sobie rozpacz Melissy po każdym teście, w którym miała wynik niższy niż sto procent. Właśnie kogoś takiego chciałoby się jako lekarza dla ojca.

Ojciec.

Od lat nie wiązała tego słowa z Rustym.

- Ty idź pierwsza - powiedziała Charlie do Lenore. Jej chęć zobaczenia Rusty'ego wyraźnie zmaląła. Stała naprzeciw ogromnych okien. - Sam i ja wejdziemy po tobie.

Lenore zostawiła je bez słowa.

Charlie milczała. Podeszła do okna i wyjrzała na parking.

- Teraz masz szansę - powiedziała w końcu.

Szansę na wyjście ze szpitala. Zanim Rusty zobaczy Sam.

Zanim na nowo wciągnie ją tutejszy świat.

- Naprawdę byłam ci potrzebna? Czy to wyszło od Bena?

- To wyszło ode mnie, ale Ben mnie wyręczył, bo ja nie mogłam zebrać się w sobie, a myślałam, że tata umrze. - Charlie dotknęła czołem szyby. - Dwa lata temu miał atak serca. Poprzedni był lekki, ale po ostatnim miał wszczepione by-passy i po operacji wdały się komplikacje.

Sam milczała. Nic nie wiedziała o kłopotach Rusty'ego z sercem. Nigdy nie opuścił comiesięcznego telefonu. Sądziła przez te wszystkie lata, że zdrowie mu dopisuje.

- W pewnym momencie nie mógł oddychać samodzielnie i do mnie należała decyzja, czy podłączyć go do aparatury podtrzymującej życie, czy nie - ciągnęła Charlie.

- Rusty nie ma DNR? - zapytała Sam. Deklarację, z której wynikało, czy człowiek w chwili zatrzymania krążenia lub oddechu chce być poddany procedurze resuscytacji krążeniowo-oddechowej, czy nie godzi się na reanimację i chce umrzeć śmiercią naturalną, zwyczajowo sporządzano podczas spisywania testamentu. Sam zobaczyła problem, zanim Charlie zdążyła odpowiedzieć na pytanie. - Rusty nie spisał testamentu?

- Nie, nie spisał. - Charlie odwróciła się i oparła plecami o okno. - Podjęłam właściwą decyzję. Teraz to oczywiste, bo przeżył i miał się dobrze, ale tym razem, kiedy Melissa przyszła do nas podczas operacji i powiedziała, że mają kłopot z zatamowaniem krwotoku, a rytm serca jest niemiary, i być może będę musiała podjąć decyzję, czy zastosować procedury ratujące życie...

- Chciałaś, żebym to ja go zabiła.

Charlie zrobiła przestraszoną minę, ale nie z powodu obcesowości Sam. Chodziło raczej o ton jej głosu, o złość buzującą pod powierzchnią słów.

- Jeśli chcesz się wściekać, to wyjdźmy na zewnątrz.

- Żeby dziennikarze nas usłyszeli?

Charlie wyglądała, jakby śledziła zegar odmierzający czas do odpalenia głowicy nuklearnej.

- Wyjdźmy stąd.

Sam zacisnęła pięści. Poczowała, jak wzbiera w niej dawno zapomniane zło. Wzięła głęboki wdech, potem drugi i trzeci, aż fala opadła i została jej w piersi tylko ciasno zwinięta kulka.

- Nie masz pojęcia, Charlotte, jak bardzo się mylisz co do mojej chęci albo zdolności zakończenia czyjegoś życia - powiedziała.

Po tych słowach ruszyła o lasce w stronę dyżurki pielęgniarek. Spojrzała na tablicę wiszącą za pustą recepcją i znalazła numer sali Rusty'ego. Podniosła rękę, żeby zapukać, ale Lenore otworzyła drzwi, zanim kostki palców dotknęły drewna.

- Powiedziałam mu, że tu jesteś. Nie chciałam, żeby dostał zawału - oznajmiła.

- Masz na myśli kolejny zawał - rzuciła Sam.

Nie dała Lenore czasu na odpowiedź, tylko weszła do sali, w której leżał jej ojciec.

Powietrze wydawało się zbyt rozrzedzone.

Światła zbyt jaskrawe.

Zamrugła, walcząc z bólem rodzącym się za gałkami

ocznymi.

Sala Rusty'ego była ekonomiczną wersją prywatnej sali szpitalnej, w której umarł Anton. Nie było drewnianych paneli na ścianach, wygodnej kanapy, płaskiego telewizora czy biurka, przy którym Sam mogła pracować, ale urządzenia były te same: pikający kardiomonitor, sycząca maszyna dostarczająca tlenu, zgrzytliwe odgłosy wydawane przez mankiet do pomiaru ciśnienia krwi, który nadymał się rytmicznie na ramieniu Rusty'ego.

Rusty wyglądał jak swoja fotografia. Twarz miał białą jak kreda. Aparat nigdy nie był w stanie oddać diabelskiego błysku w oku czy dołeczków w gumowatych policzkach.

- Sammy-Sam! - zagrzemiał na jej widok. Przy ostatniej głosce zakasłał. - Podejdz tu, dziewczyno. Chcę cię zobaczyć z bliska.

Sam nie ruszyła się z miejsca. Zmarszczyła nos. Rusty śmierdział mieszanią dymu papierosowego i wodą Old Spice, dwoma zapachami, które szczęśliwie od dawna nie towarzyszyły jej w codziennym życiu.

- A niech mnie, wyglądasz jak mama - rzucił wesoło. - Czym sobie zasłużył twój stary ojciec na taki zaszczyt?

Nagle po prawej stronie Sam pojawiła się Charlie. Wiedziała, że to martwy punkt w widzeniu Sam.

- Tato, myśleliśmy, że umrzesz.

- Jestem źródłem nieustannych rozczarowań kobiet mojego życia. - Rusty poskrobał się w policzek, a pod kołdrą poruszał stopą w sobie tylko znanym rytmie. - Cieszę się, że nie padłem pod gradem zajadłych strzałów losu.

- To się jeszcze okaże. - Charlie podeszła do łóżka z drugiej strony. Ciągle miała skrzyżowane ramiona. Nie wzięła Rusty'ego za rękę. - Jak się czujesz?

- Cóż... - Rusty zadumał się na chwilę. - Ktoś dźgnął mnie nożem. W gwarze ulicznej mówią „sprzedać kosę”.

- To był cios najokrutniejszy z okrutnych.

- Trzy razy w brzuch, raz w nogę.

- Nie mów.

Sam wyłączyła się, nie chciała słuchać ich przekomarzanek. Zawsze była niechętną obserwatorką retorycznych popisów Rusty'ego i Charlie. W przeciwieństwie do niej Rusty wtedy rozkwitał. Było oczywiste, że obcowanie z Charlie nadal sprawia mu ogromną przyjemność. Oczy mu błyszczały, gdy stawiała przed nim intelektualne wyzwania.

Sam zerknęła na zegarek. Nie mogła uwierzyć, że wysiadła z auta zaledwie szesnaście minut temu.

- Co się stało, Rusty? - zapytała, podnosząc głos, żeby oboje mogli ją usłyszeć.

- Jak to, co się stało? - Spojrzał na swój brzuch. Dreny chirurgiczne zwisały po obu stronach tułowia. Przeniósł wzrok na Sam, udając szok. - Och, zabity jestem!

Tym razem Charlie nie podjudziła go do dalszych nawiązań literackich.

- Tato, Sam ma samolot po południu.

Sam zaskoczyły słowa siostry. Na chwilę zapomniała, że w każdej chwili może stąd wyjść.

- Przestań już pajacować i powiedz, co się stało - napomniała go Charlie.

- Dobrze, niech wam będzie. - Rusty jęknął, próbując usiąść. Pierwszy raz dał po sobie poznać, że jest ranny. - Cóż... - Zakasłał, a z jego piersi wydobył się odgłos potrząsanej grzechotki napełnionej wodą. Skrzywił się z wysiłku, zakasłał ponownie, znowu się skrzywił, po czym odczekał chwilę, aż ból przejdzie.

Kiedy w końcu był gotów na wyjaśnienia, zwrócił się do Charlie, swojej najwdzięczniejszej słuchaczki:

- Kiedy wysadziłaś mnie przed domem, wrzuciłem coś na ząb, napiłem się trochę, a potem przypomniało mi się, że nie zajrzałem do skrzynki pocztowej.

Sam nie pamiętała, kiedy ostatni raz dostała coś tradycyjną pocztą. Ten rytuał wydawał się przynależać do ubiegłego stulecia.

- Włożyłem buty i poszedłem do skrzynki. Wczoraj był piękny wieczór. Częściowe zachmurzenie, możliwość opadów dziś rano. O... - Nagle przypomniał sobie, że ranek już minął.
- Padało?

- Tak - odparła Charlie i gestem nakazała mu przyspieszyć akcję. - Widziałeś, kto to zrobił?

Rusty znowu zakasłał.

- To trudne pytanie, na które odpowiedź jest równie trudna.

Charlie czekała. Obie w milczeniu czekały na ciąg dalszy.

- Dobrze już. Poszedłem do skrzynki po pocztę. Piękna noc. Księżyc wysoko na niebie. Ziemia oddawała ciepło otrzymane w ciągu dnia od słońca. Piękny obrazek, czyż nie?

Sam pokiwała głową razem z Charlie, zupełnie jakby czas cofnął się o trzydzieści lat, a one znowu były małymi

dziewczynkami i z zapartym tchem słuchały opowieści taty.

Wyraźnie cieszyła go ta uwaga. Jego policzki nabrały kolorów.

- Byłem na zakręcie, kiedy usłyszałem coś nad głową. Spojrzałem w górę, rozglądając się za ptakiem. Pamiętasz, jak opowiadałem ci o jastrzębiu, Charlotte?

Charlie skinęła głową.

- Pomyślałem, że spryciarz znowu upolował wiewiórkę ziemną, aż tu nagle... ta-dam! - klasnął w dłonie - poczułem piekący ból w nodze.

Sam poczerwieniała. Razem z Charlie podskoczyła jak oparzona na dźwięk kłaśnięcia.

- Spoglądam w dół, muszę się wykręcić, żeby zobaczyć, co się dzieje, i wtedy to widzę. Duży nóż myśliwski sterczy mi z tyłu uda.

Sam zasłoniła dłonią usta.

- Padam na ziemię - ciągnął Rusty - jak kamień wpadający do wody, bo nóż w udzie cholernie boli. I wtedy widzę tego gościa. Podchodzi do mnie i zaczyna mnie kopać. Kopie i kopie w ramię, w żebra, w głowę. Poczta leży na ziemi, ja próbuję wstać, ciągle z nożem w udzie. Gość kopie mnie ostatni raz w głowę, a ja łapię go za nogę i walę w nabiął.

Serce Sam waliło w piersi jak młot. Wiedziała, jak to jest walczyć o życie.

- Szarpiemy się, on podskakuje, bo trzymam go za nogę, próbuję utrzymać się w pionie, i wtedy on przypomina sobie o nożu w mojej nodze. Łapie za rękę, wyszarpuje go z rany i zaczyna dźgać mnie w brzuch. - Rusty wykonał gest

szybkiego dźgnięcia z przekręceniem noża. - Po tym wszystkim jesteśmy wykończeni. Ja kuśtykam jak najdalej od niego i trzymam się za brzuch. A on tam stoi. Zastanawiam się, czy dam radę dotrzeć do domu i wezwać policję, kiedy widzę, że gość wyciąga broń.

- Broń? - zawołała Sam. Czyżby Rusty dostał też ranę postrzałową?

- Pistolet - potwierdził Rusty. - Jeden z tych zagranicznych modeli.

- Jasny gwint, tato - mruknęła Charlie. - Zrzuciłeś mu wtedy na głowę kontener?

- Cóż...

- Tak się kończy „Zabójcza broń 2”. Mówiłeś, że oglądałeś to dzień wcześniej.

- Tak? - Rusty zrobił minę niewiniątka, co oznaczało, że nabroił.

I że Sam jest idiotką.

- Ty dupku. - Charlie oparła rękę na biodrze. - Co naprawdę się stało?

Sam czuła, że porusza ustami, ale nie była w stanie wyartykułować choćby słowa.

- Ktoś dźgnął mnie nożem. Było ciemno. Nie widziałem go. - Wzruszył ramionami. - Wybaczcie staremu ojcu, że próbuje zwrócić na siebie uwagę dwóch wymagających córek.

- Okłamałeś nas? - Sam złapała torebkę. - To wszystko wzięłeś z durnego filmu? - Zanim się zorientowała, co robi, zamachnęła się torebką, celując w głowę Rusty'ego. - Ty dupku - syknęła, powtarzając epitet za Charlie. - Dlaczego?

Rusty zaśmiał się i zasłonił rękami przed ciosem.

- Dupek - powtórzyła, wymierzając kolejny cios.

Rusty skrzywił się i złapał za brzuch.

- To nie ma sensu. Podnoszę ręce, a boli mnie brzuch.

- Przecieli ci mięśnie brzucha, ty durny łgarzu. To jest rdzeń, wewnętrzna podstawa mięśniowa stabilizująca sylwetkę.

- Boże, jakbym słyszał Gammę.

Sam upuściła torebkę na podłogę, żeby nie ulec pokusie zadania ojcu kolejnego ciosu. Trzęsły jej się ręce. Wzbierały w niej gorycz, zgryźliwość, oburzenie i wszystkie gwałtowne emocje, które tak długo trzymały ją z dala od rodziny.

- Na litość boską! - krzyknęła. - Co się z tobą dzieje, do jasnej cholery?

Rusty zaczął liczyć na palcach.

- Ktoś dźgnął mnie nożem kilka razy. Choruję na serce. Używam wulgarnego języka, co jak widać, przeszło na moje córki. Przypuszczam, że picie i palenie to dwie oddzielne rzeczy, ale...

- Zamknij się - przerwała mu Charlie. Najwyraźniej wybuch Sam zadziałał niczym zapalnik. - Zdajesz sobie sprawę, co przeżyliśmy w nocy? Spałam na krześle. Lenore gotowa była rwać sobie włosy z głowy. Ben jest... Ben powie ci, że wszystko dobrze, ale to nieprawda, tato. Zdenerwował się. To on mi przekazał, że zostałeś ranny. Potem musiał napisać mejla do Sam, a wiesz, że ona nie chce tu przyjeżdżać za żadne skarby. - W końcu przerwała, żeby złapać oddech. Łzy napłynęły jej do oczu. - Myśleliśmy, że umrzesz, samolubny

draniu.

Rusty pozostał niewzruszony.

- Śmierć szczyrzy się do nas wszystkich, moja droga. Odwieczny lokaj nie będzie wiecznie trzymał mojego płaszcza.

- Pieprz się, daruj sobie cytowanie Eliota. - Charlie wytarła oczy opuszkami palców, po czym odwróciła się do Sam. - Chyba dam radę zmienić ci przez internet rezerwację na wcześniejszy lot. - Spojrzała na Rusty'ego. - Zostaniesz w szpitalu przynajmniej przez tydzień. Powiem, żeby Lenore powiadomiła twoich klientów. Załatwię odroczenie...

- Nie. - Rusty spowaźniał nagle i usiadł. - Musisz jutro zająć się sprawą Kelly Wilson, kiedy będą jej przedstawiać zarzuty.

- Do jasnej... - Wyraźnie zirytowana Charlie uniosła rękę. - Rusty, mam to już za sobą. Nie mogę...

- On mówi o mnie - powiedziała Sam, ponieważ Rusty nie spuszczał z niej oka, odkąd wyartykułował tę prośbę. - Chce, żebym to ja zajęła się sprawą.

Błysk zazdrości pojawił się w oczach Charlie, chociaż odmówiła ojcu wykonania zadania.

Rusty wzruszył ramionami, spoglądając na Sam.

- Jutro o dziewiątej. Bułka z masłem. Wejdiesz i wyjdiesz, góra dziesięć minut.

- Ona nie jest w stanowym rejestrze adwokatów - zauważyła Charlie. - Nie może...

- Sam ma licencję. - Rusty puścił oko do starszej córki. - Powiedz siostrze, że mam rację.

Sam nie zapytała ojca, skąd wie, że zdała egzamin adwokacki obowiązujący w Georgii. Zamiast tego spojrzała na

zegarek.

- Mam już zarezerwowany lot na dzisiaj.
- Plany można zmienić.
- Delta policzy opłatę za zmianę daty wylotu i...
- Mogę rozpisać pożyczkę na pokrycie kosztów.

Sam strzepnęła urojony pyłek z rękawa bluzki za sześćset dolarów. Wszyscy wiedzieli, że nie chodzi o pieniądze.

- Za kilka dni stanę na nogi, wtedy zajmę się sprawą. To wielkie wyzwanie, moja droga. Dużo się tam dzieje. Powiedz, że pomożesz staremu ojcu pchnąć wszystko do przodu.

Sam pokręciła głową, chociaż wiedziała, że Rusty jest przypuszczalnie jedyną szansą Kelly Wilson na żarliwą obronę. Nawet gdyby sąd miał jej przydzielić obrońcę z urzędu, raczej nie udałooby się znaleźć nikogo w tak krótkim terminie, zwłaszcza że obecny adwokat dziewczyny został pchnięty nożem.

To był nadal problem Rusty'ego.

- Mam terminową pracę w Nowym Jorku. Prowadzę własne sprawy. Bardzo ważne sprawy. Za trzy tygodnie zaczynam proces.

Charlie i Rusty w milczeniu wpatrywali się w nią intensywnie.

- Co? - zapytała.
- Usiądź, Sam - powiedziała cicho Charlie.
- Nie muszę.
- Bełkoczesz.

Sam wiedziała, że Charlie ma rację. Wiedziała też, że prędzej padnie trupem, niż da się pokonać upośledzeniu mowy

wywołanemu fizycznym i psychicznym wyczerpaniem.

Potrzebowała chwili.

Zdjęła okulary. Wyjęła chusteczkę z pudełka przy łóżku Rusty'ego. Wytarła szkła, jakby problem stanowiła plamka, którą łatwo usunąć.

- Skarbie, zejdź na dół z siostrą, zjedz coś. Porozmawiamy, kiedy poczujesz się lepiej - powiedział Rusty.

Sam potrząsnęła głową.

- Ja...

- O nie - Charlie weszła jej w słowo. - To nie moja broszka, szanowny panie. Ty jej powiedz o jednoroźcu.

- Przestań. - Rusty cmoknął zniecierpliwiony. - W tej chwili Sam nie musi tego wiedzieć.

- Nie jest idiotką, Rusty. W końcu zapyta, a nie chcę, żeby usłyszała to ode mnie.

- Ja tu jestem. - Sam włożyła okulary. - Możecie przestać mówić o mnie w trzeciej osobie?

Charlie oparła się plecami o ścianę. Znowu skrzyżowała ręce na piersiach.

- Jeśli postawią Kelly w stan oskarżenia, będziesz musiała złożyć oświadczenie o niewinności.

- I? - zapytała Sam. Przyznanie się do winy rzadko następowało podczas rozprawy, na której stawiano podejrzanego w stan oskarżenia.

- Nie pro forma. Tata naprawdę uważa, że Kelly Wilson jest niewinna.

- Niewinna? - W tej chwili proces przetwarzania słuchowego odbył się błyskawicznie. Rusty'emu i Charlie

w końcu udało się doprowadzić do zwania w newralgicznych partiach jej mózgu. – To jasne, że jest winna.

– Powiedz to naszemu Kogutowi Leghornowi. On uważa, że Kelly jest niewinna.

– Ale...

Charlie uniosła ręce w geście poddania.

– Mnie nie musisz przekonywać – powiedziała.

Sam zwróciła się do Rusty'ego. Jeśli nie umiała zadać oczywistego pytania, to wcale nie z powodu skutków postrzału. Jej ojciec w końcu stracił rozum.

– Porozmawiaj z Kelly Wilson osobiście – powiedział. – Zjedz coś i pojedź na komisariat. Powiedz im, że jesteś współbrońcą. Zostań z Kelly na chwilę sama w pokoju przesłuchań i porozmawiaj z nią. Pięć minut, więcej nie trzeba. Zrozumiesz, o co mi chodzi.

– Widzisz? – zaperzyła się Charlie. – Z zimną krwią zamordowała mężczyznę i małą dziewczynkę. Chcesz wiedzieć, co widziałam? Byłam tam w niecałą minutę po tym, co się stało. Zobaczyłam Kelly trzymającą dymiącą broń. Patrzyłam na śmierć tej dziewczynki. Ale nasz Ironside twierdzi, że Wilson jest niewinna.

Sam potrzebowała czasu, żeby przetrwać szokującą informację o obecności Charlie na miejscu zbrodni.

– Co ty tam robiłaś podczas strzelaniny? Skąd się tam...

– Nieważne. – Charlie nie spuszczała wzroku z Rusty'ego. – Pomyśl, o co prosisz, tato. Co dla niej oznacza zaangażowanie w tę sprawę. Chcesz, żeby ją też zaatakował jakiś powodowany chęcią zemsty maniak? – Prychnęła szyderczo. –

Znowu?

Rusty był odporny na ciosy poniżej pasa.

- Sammy-Sam, po prostu porozmawiaj z tą dziewczyną. Poza tym opinia drugiej osoby bardzo mi pomoże. Nawet wielki człowiek, jakiego masz przed sobą, nie jest nieomylny. Potraktuję twoje słowa jak opinię koleżanki po fachu.

To oczywiste pochlebstwo tylko ją rozjuszyło.

- Czy strzelanina w szkole wchodzi w zakres własności intelektualnej? A może zapomniałeś, jaką dziedziną prawa się zajmuję?

Rusty puścił do niej oko.

- Czyżby biuro prokuratora okręgowego w Portlandzie było siedliskiem naruszeń prawa patentowego?

- Portland był dawno temu.

- A teraz jesteś zbyt zajęta, pozywając Bzdurę spółkę z o.o. w imieniu firmy Bzdura S.A. z powodu jakiejś bzdury?

- Każdy ma prawo do własnych bzdur. - Sam nie dała się zbić z tropu. - Nie jestem prawnikiem, jakiego potrzebuje Kelly Wilson. Już nie. Właściwie nigdy takim nie byłam. Bardziej przydałabym się stronie oskarżenia, ponieważ zawsze stałam po tej stronie.

- Oskarżenie, obrona... Liczy się czucie pulsu sali sądowej, a ty masz to we krwi. - Rusty znowu usiadł. Zakrył usta dłonią i zakasłał. - Skarbie, wiem, że przejechałaś kawał drogi, spodziewając się zobaczyć mnie na łożu śmierci, i przysięgam na własne życie, że w końcu znajdę się w tym punkcie, ale teraz powiem coś, czego nie powiedziałem ci nigdy przez czterdzieści cztery piękne lata na ziemi: potrzebuję cię w tej

sprawie.

Sam kręciła głową, bardziej z powodu frustracji niż niezgody. Nie chciała tu być. Wyczerpany mózg odmawiał współpracy. Z jej ust wydobyło się niezrozumiałe syczenie.

- Wyjeżdżam stąd - wydukała z najwyższym wysiłkiem.

- Zgoda, ale jutro - odparł Rusty. - Skarbie, nikt inny nie zajmie się Kelly Wilson. Jest sama na świecie. Jej rodzice nie rozumieją, w jakich jest tarapatach, a sama sobie nie pomoże. Nie jest w stanie się bronić. Nikomu na niej nie zależy. Ani policji, ani śledczym, ani Kenowi Coinowi. - Rusty wyciągnął do niej rękę i palcami poślizgniętymi od nikotyny dotknął rękawa jej bluzki. - Oni ją zabiją. Wstrzykną jej w żyłę truciznę i zakończą osiemnastoletnie życie tej dziewczyny.

- Jej życie skończyło się w chwili, kiedy postanowiła przyjść do szkoły z naładowaną bronią i zabić dwoje ludzi.

- Samantho, nie powiem, że się z tobą nie zgadzam, ale proszę, wysłuchaj tej dziewczyny. Daj jej szansę. Bądź jej głosem. W tym stanie niczego nie zdołałam. Jesteś jedyną osobą na świecie, której mogę powierzyć rolę adwokata Kelly Wilson.

Sam zamknęła oczy. Głowa jej pulsowała. Maszyny zgrzytały. Światło nad głową było zbyt intensywne.

- Porozmawiaj z nią - ciągnął niezrażony Rusty. - Naprawdę ci ufam. Z czystym sumieniem mogę ci powierzyć los tej dziewczyny. Jeśli nie zgodzisz się na nieprzyznanie się do winy, idź do sądu i zamachaj flagą ograniczonej poczytalności. Przynajmniej w tej kwestii możemy się zgodzić.

- To pozorny wybór, Sam - powiedziała Charlie. - Tak czy

siak, wysyła cię do sądu.

- Tak, Charlie, znam się na manipulacjach retorycznych. - Sam czuła ściskanie w żołądku. Nie jadła od piętnastu godzin. Nie spała jeszcze dłużej. Bełkotała, kiedy udawało się jej wypowiedzieć pełne zdanie. Nie mogła chodzić bez laski. Czuła złość, prawdziwą złość, jakiej nie czuła od lat. I słuchała Rusty'ego bardziej jak ojca niż człowieka, który zrobiłby wszystko i poświęcił każdego dla klienta.

Nawet własną rodzinę.

Podniosła z podłogi torebkę.

- Dokąd idziesz? - zapytała Charlie.

- Do domu - odparła Sam. - Tak mi potrzebne babranie się w tym gównie, jak druga dziura w głowie.

Za plecami słyszała chrapliwy wybuch śmiechu Rusty'ego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sam usiadła na drewnianej ławce w rozległym ogrodzie za budynkiem szpitala. Zdjęła okulary, zamknęła oczy, zwróciła twarz ku słońcu i wciągnęła w płuca haust świeżego powietrza. Ogród był ogrodzony murem, przy wejściu szemrał wodotrysk z wodą pitną. Tuż pod napisem OGRÓD SPOKOJU – WITAMY widniał znak przekreślonego czerwoną linią telefonu.

Najwyraźniej ten znak wystarczył, by odstraszyć potencjalnych chętnych. Sam miała spokój na wyłączność. I mogła w spokoju próbować odzyskać spokój wewnętrzny.

Od chwili, kiedy Stanislav zostawił ją przed szpitalem, do chwili, w której ona zostawiła Rusty'ego, upłynęło trzydzieści sześć minut. Kolejnych trzydzieści minut minęło, zanim znalazła Ogród Spokoju. Nie miała oporów przed zakłóceniem lunchu swojemu kierowcy, ale potrzebowała czasu na zebranie się w sobie. Ręce ciągle jej drżały. Nie wiedziała, czy będzie w stanie mówić. Ból miażdżył jej głowę jak ciasna obręcz.

Zostawiła leki na migrenę w domu.

Dom.

Pomyślała o kocie Antona wyginającym grzbiet w kształt odwróconej litery C, kiedy leżał w nonszalanckiej pozie na podłodze. O słońcu rzucającym snopy światła przez okna. O ciepłej wodzie w basenie. O wygodnym łóżku.

O Antonie.

Dała sobie chwilę na rozmyślanie o mężu. O jego dużych

silnych dłoniach. O śmiechu. O zamiłowaniu do nowych potraw, nowych doświadczeń, poznawania nowych kultur.

Nie mogła pozwolić mu odejść.

Nie wtedy, kiedy to miało znaczenie. Nie kiedy poprosił ją, błagał, zaklinał, żeby pomogła mu położyć kres cierpieniu.

Początkowo walkę podjęli razem. Pojechali do doktora Andersona w Houston, do kliniki Mayo w Rochester, z powrotem do Centrum Sloan Kettering w Nowym Jorku. Każdy specjalista, każdy światowej sławy ekspert dawał Antonowi od siedemnastu do dwudziestu procent szans na przeżycie.

Sam uchwyciła się kurczowo tej szansy.

Terapia fotodynamiczna. Chemioterapia. Radioterapia. Endoskopia z dylatacją. Endoskopia z wszczepieniem stentu. Elektrokoagulacja. Terapia antyangiogenna. Lekarze usunęli mu przełyk, podnieśli żołądek i połączyli go z górną częścią gardła. Usunęli węzły chłonne. Zrobili operację rekonstrukcyjną. Umieścili zgłębnik do karmienia. Worek stomijny. Próby kliniczne. Leczenie eksperymentalne. Żywienie przez sondę. Operacja rekonstrukcyjna. Kolejne metody eksperymentalne.

W którym momencie Anton się poddał?

Kiedy stracił głos i możliwość mówienia? Kiedy nie miał siły poruszyć nogami na szpitalnym łóżku? Sam nie pamiętała tego dokładnie, nie zauważyła zmiany. Wyznał jej kiedyś, że zakochał się w niej, ponieważ była waleczna, ale pod koniec jedna z najważniejszych cech jej charakteru – niezdolność do rezygnacji – przedłużyła cierpienia Antona.

Otworzyła oczy i włożyła okulary. Gdzieś w strefie jej zawężonego widzenia pojawiła się niebiesko-biała machająca plama.

- Przestań - upomniała swoją siostrę.

Charlie weszła w jej pole widzenia. Znowu skrzyżowała ręce na piersiach.

- Dlaczego tu siedzisz?

- A dlaczego miałabym siedzieć tam?

- Dobre pytanie. - Charlie zajęła miejsce na ławce naprzeciwko. Spojrzała w górę, na liście drzew kołysane lekkimi podmuchami wiatru.

Sam odziedziczyła po Gammie oschłość, która odstraszała wielu ludzi. Uprzejmość i otwartość siostry stanowiły jej zupełne przeciwieństwo. Charlie mimo sińców nadal miała piękną twarz. Swoją inteligencję okazywała w sposób, który ludzi rozbawiał, zamiast odrzucać. Radosna, powiedziała o niej Gamma. Typ osoby, którą się lubi.

Chociaż nie dzisiaj. Bo dzisiaj było w Charlie coś innego, niemal namacalna melancholia, która nie miała nic wspólnego ze stanem ich ojca.

Dlaczego poprosiła Bena, żeby wysłał mejla?

Charlie przeniosła wzrok na Sam i rozparła się wygodniej na ławce.

- Gapisz się na mnie - powiedziała.

- Pamiętasz, jak mama cię tu przywiozła? Złamałaś rękę, bo ratowałaś kota.

- To nie był kot. Próbowałam ściągnąć z dachu wiatrówkę.

- Gamma rzuciła ją tam, żebyś więcej nie mogła się nią

bawić.

- Właśnie. - Charlie przewróciła oczami i pochyliła się ku Sam. Miała czterdzieści jeden lat, ale równie dobrze mogła znowu mieć trzynaście. - Nie daj mu się przekonać, żebyś tu została.

- Nie planowałam tego. - Sam wyciągnęła rękę po kubek. W szpitalnym bufecie kupiła gorącą wodę i kanapkę, której nie mogła skończyć. Wyjęła z torebki woreczek strunowy, w którym trzymała saszetki z herbatą.

- Mamy tu herbatę - rzuciła Charlie.

- Lubię ten gatunek. - Zanurzyła saszetkę w wodzie. Na chwilę wpadła w panikę na widok serdecznego palca bez obrączki. Na szczęście zaraz przypomniała sobie, że zostawiła ją w domu.

Nie uszło to uwagi Charlie.

- Co się stało?

Sam potrząsnęła głową, po czym spytała:

- Masz dzieci?

- Nie. - Charlie nie zapytała o to samo. - Nie sprowadziłam cię tutaj, żebyś zabiła Rusty'ego. W końcu sam to zrobi. Ma chore serce, kardiolog powiedział, że jest o włos od śmierci. Ale nie przestał palić i nie ograniczył picia. Wiesz, jaki z niego uparty dupek. Nikogo nie słucha.

- Wierzyć mi się nie chce, że nie raczył spisać testamentu.

- Jesteś szczęśliwa?

To pytanie wydało się Sam jednocześnie dziwne i obcesowe.

- Raz jest lepiej, raz gorzej.

Charlie postukała stopą w ziemię.

- Czasem wyobrażam sobie siebie samą w tym zagraconym głównianym mieszkaniu, i smutno mi się robi.

Sam nie przyznała się siostrze, że to zagracone mieszkanie poszło za trzy miliony dwieście tysięcy dolarów. Zamiast tego powiedziała:

- Wyobraź mnie sobie z odsłoniętymi zębami w wiecznej pogoni za szczęściem.

- Flannery O'Connor. - Charlie zawsze była dobra z cytatów.
- Gamma czytała *The Habit of Being*, prawda? Całkiem o tym zapomniałam.

Sam nie zapomniała. Wspominała swoje zdziwienie, gdy Gamma przyniosła z biblioteki zbiór esejów. Otwarcie gardziła symbolizmem religijnym, co wykluczało większość kanonu literatury angielskiej.

- Tata mówi, że próbowała być szczęśliwa przed śmiercią - powiedziała Charlie. - Może dlatego, że wiedziała o swojej chorobie.

Sam spojrzała na kubek z herbatą. Podczas sekcji zwłok Gammy koroner odkrył w jej płucach nowotwór. Gdyby nie zginęła od kuli, zapewne i tak umarłaby w ciągu roku.

Zachariah Culpepper użył tego argumentu w swojej obronie, jakby kilka bezcennych miesięcy z Gammą nie miało żadnego znaczenia.

- Przykazała mi, żebym się tobą opiekowała - powiedziała Sam. - W łazience tamtego dnia. Była w tym wręcz natarczywa.

- Zawsze brzmiała natarczywie.

- Cóż... - Sam przewiesiła sznurek od herbaty przez brzeg

kubka.

- Pamiętam, jak się z nią kłóciłaś. Czasem w ogóle nie rozumiałam, o czym mówicie. - Charlie poruszyła palcami dłoni, naśladując poruszające się usta. - Tata mówi, że byłyście jak dwa magnesy, zawsze naładowane przeciwnymi ładunkami.

- Magnesy się nie ładują. Albo się przyciągają, albo odpychają w zależności od ustawienia biegunów. Północny z południowym albo południowy z północnym się przyciągają, a dwa północne albo dwa południowe się odpychają - wyjaśniła Sam. - Jeśli je naładujesz, a zakładam, że Rusty mówił o oddziaływaniu prądem elektrycznym, tylko zwiększysz moc ich biegunów.

- Rany, to się nazywa argument na udowodnienie tezy.

- Nie bądź taka cwana.

- A ty nie bądź taka durna.

Sam złapała spojrzenie Charlie. Uśmiechnęły się do siebie.

- Fermilab pracuje nad terapią neutronową w leczeniu raka - powiedziała Charlie.

Sam była zdziwiona, że siostra interesuje się takimi tematami.

- Mam trochę jej papierów. To znaczy artykułów. Zostały opublikowane.

- Artykułów jej autorstwa?

- Są stare, z lat sześćdziesiątych. Znalazłam odwołania do jej prac w przypisach, ale nigdy nie trafiłam na oryginały. Dwa udało mi się ściągnąć z Międzynarodowej Bazy Współczesnej Fizyki. - Sam otworzyła torebkę i wyjęła z niej gruby plik

stron, które wydrukowała rano na lotnisku Teterboro. - Nie wiem, czemu je przywiozłam. - To były najszczęśliwsze słowa, jakie powiedziała siostrze od chwili przyjazdu. - Pomyślałam, że może zechcesz je mieć, odkąd... - Urwała. Obie wiedziały, że wszystko inne strawił pożar. Rodzinne filmy wideo. Świadectwa szkolne. Albumy z wycinkami. Zęby mleczne. Zdjęcia z wakacji.

Ocalało tylko jedno zdjęcie Gammy. Niepozowane, naturalne, zrobione na świeżym powietrzu. Gamma spogląda przez ramię, nie patrzy jednak w obiektyw aparatu, lecz na kogoś poza kadrem. Widać na nim trzy czwarte jej twarzy. Uniesione brwi. Rozchylone usta. Zdjęcie stało na biurku Rusty'ego w biurze w centrum miasta, kiedy spłonął ceglany dom.

Charlie przeczytała tytuł pierwszego artykułu.

- „Fototransmutacyjne wzbogacenie środowiska międzygwiazdowego: badania obserwacyjne Mgławicy Tarantuli”. - Prychnęła z niedowierzaniem i spojrzała na tytuł drugiego. - „Dominujące szlaki procesu P zachodzące w powłokach gazowych supernowej”.

Sam zrozumiała swój błąd.

- Może ich nie rozumiesz, ale dobrze je mieć.

- Racja, dzięki. - Charlie przebiegała wzrokiem treść artykułów, usiłując rozszyfrować znaczenie niektórych zdań. - Czuję się zawsze głupia jak but, kiedy przypominam sobie, jaka ona była inteligentna.

Dopiero teraz Sam uświadomiła sobie, że przez całe dzieciństwo tak się czuła. Może i były magnesami, ale o różnej

mocy. Cokolwiek wiedziała Sam, Gamma wiedziała więcej.

- Ha, ha - zaśmiała się Charlie, która najwidoczniej trafiła na wyjątkowo skomplikowaną frazę.

Sam odpowiedziała jej tym samym.

Czy do tego tęskniła przez lata? Do tych wspomnień? Do tych opowieści? Do tej łatwości obcowania z Charlie, która według Sam uleciała po śmierci Gammy?

- Naprawdę wyglądasz jak ona - stwierdziła Charlie, po czym złożyła kartki i położyła je na ławce obok siebie. - Tata nadal ma to zdjęcie na biurku.

To zdjęcie.

Sam zawsze chciała mieć odbitkę, ale była zbyt dumna, by dać Rusty'emu szansę na przyjemność zrobienia czegoś dla niej.

- On naprawdę uważa, że stanę w obronie kogoś, kto zastrzelił dwoje ludzi?

- Tak. Rusty jest przekonany, że potrafi każdego przekonać do czegokolwiek.

- Uważasz, że powinnam to zrobić?

Charlie namyślała się przez chwilę.

- Czy Sam, z którą dorastałam, zrobiłaby to? Może, ale nie z powodu rodzinnych więzi. Byłaby zła, tak samo jak ja, kiedy dzieje się jakaś niesprawiedliwość. A to nie fair, że w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów nie ma innego prawnika, który potraktowałby Kelly Wilson jak człowieka, a nie ciężar. Ale co zrobiłaby dzisiejsza Sam? - Charlie wzruszyła ramionami. - Jeśli mam być szczerą, to nie znam cię już. Tak jak ty nie znasz mnie.

Charlie mówiła prawdę. I ta prawda zaboląa.

- Rozumiem, to jest fair - odparła Sam.

- A było fair, że poprosiłam cię, żebyś tu przyjechała?

Sam nie przywykła do sytuacji, w których nie znajduje natychmiastowej riposty.

- Dlaczego tak naprawdę chciałaś, żebym przyjechała?

Charlie pokręciła głową. Nie odpowiedziała od razu. Skubała luźną nitkę u dołu dżinsów. Westchnęła ciężko. Powietrze ze świstem wydobyło się ze złamanego nosa.

- Wczoraj w nocy Melissa zapytała, czy ma podjąć nadzwyczajne środki. Co tak naprawdę oznacza: Pozwolić mu umrzeć? A może nie pozwolić mu umrzeć? Powiedz mi to tu i teraz. Spanikowałam, ale nie z powodu strachu przed podjęciem decyzji. Czułam, że nie mam prawa decydować o tym sama. - Spojrzała na siostrę. - Zawały serca były czymś, z czym w moim pojęciu musiałam walczyć. Wiem, że sam sobie je zafundował paleniem i piciem, ale wtedy czułam w nim wewnętrzną siłę, jego organizm walczył, a ja chciałam mu pomóc w tej walce.

Sam pamiętała to uczucie z czasów choroby Antona.

- Chyba cię rozumiem.

Po twarzy Charlie przemknął cień niepewnego uśmiechu, uśmiechu niedowierzania.

- Jeśli znowu dojdzie do podobnej sytuacji i koniec będzie bliski, zamknę cię z nim w sali i będziesz mogła wykończyć go torebką.

Sam wstydziła się tego wybuchu.

- Ciągle powtarzałam sobie, że w mojej porywczoci jest

jeden jedyny plus: nigdy nikogo w złości nie uderzyłam.

- To tata. Ja go biję cały czas. On przyjmuje ciosy.

- Mówię poważnie.

- Kiedyś prawie mnie uderzyłaś. - Głos Charlie stał się o ton wyższy, co oznaczało, że stara się przydać lekkości temu, co poważne. Nawiązywała do ich ostatniego spotkania. Sam pamiętała przerażenie w oczach Bena, kiedy stał między nią a Charlie.

- Przepraszam cię za tamto. Straciłam kontrolę nad sobą. Mogłabym cię uderzyć, gdybyś została. Była taka możliwość. Przykro mi.

- Wiem, że ci przykro. - Charlie nie powiedziała tego ostrym tonem, ale przez to jej słowa zabolowały bardziej.

- Już taka nie jestem. Wiem, że trudno w to uwierzyć, mając w pamięci moje poprzednie zachowanie, ale w tym miejscu jest coś, co wyzwala we mnie całą podłość.

- W takim razie powinnaś wracać do Nowego Jorku.

Sam wiedziała, że siostra ma rację, ale w tej chwili, w krótkiej chwili z Charlie, nie chciała stąd wyjeżdżać. Pociągnęła łyk herbaty, która zdążyła ostygnąć. Wylała ją na trawnik za ławką.

- Wyjaśnij mi, dlaczego byłaś w szkole wczoraj rano, kiedy doszło do strzelaniny.

Charlie zacisnęła wargi.

- Zostajesz czy wyjeżdżasz? - zapytała po chwili.

- To nie powinno mieć wpływu na twoje wyjaśnienie. Prawda to prawda.

- Nie ma dwóch stron. Jest tylko dobro i zło.

- Bardzo zgrabna logika.

- W rzeczy samej.

- Powiesz mi, skąd te sińce na twarzy?

- Muszę rozważyć za i przeciw. - Charlie zrobiła z tego pytania ćwiczenie filozoficzne. Skrzyżowała ramiona. Spojrzała na drzewa. Mocno zacisnęła szczęki. Sam widziała napięte mięśnie rysujące się na szyi siostry. Był w niej tak bezbrzeżny smutek, że Sam chciała usiąść obok niej, objąć mocno i trzymać w uścisku, póki Charlie nie wyzna, co się dzieje.

Tyle że Charlie pewnie by ją odepchnęła.

- Co robiłaś w szkole wczoraj rano? - powtórzyła wcześniejsze pytanie. Charlie nie miała dzieci. Nie miała powodu tam przychodzić, zwłaszcza przed ósmą rano. - Charlie?

Charlie uniosła lekko ramiona, jakby chciała nimi wzruszyć.

- Większość moich spraw dotyczy młodocianych. Byłam w gimnazjum po list polecający od nauczyciela.

Charlie z pewnością zrobiłaby to dla klienta, jednak w jej tonie była nutka nieszczerości.

- Byliśmy w klasie, kiedy usłyszeliśmy strzał. Potem rozległ się krzyk kobiety wołającej o pomoc, więc pobiegłam, żeby pomóc.

- Kim była ta kobieta?

- Pani Heller. Dasz wiarę? Kiedy tam dobiegłam, była z tą dziewczynką. Patrzyłyśmy, jak umiera. Jak umiera Lucy Alexander. Trzymałam ją za rękę. Była zimna. Nie kiedy tam dobiegłam, ale kiedy umarła. Wiesz, jak szybko zmarli stają

się zimni.

Sam wiedziała.

Charlie wciągnęła powietrze i przez chwilę wstrzymywała oddech.

- Potem Huck odebrał broń Kelly. To był rewolwer. Przekonał ją, żeby mu go oddała.

Nagle Sam poczuła, że jeżą jej się włoski na karku.

- Kim jest ten Huck?

- Pan Huckabee. On był tym nauczycielem, z którym miałam się spotkać z powodu klienta. Uczył Kelly...

- Mason Huckabee?

- Nie poznałam jego imienia. Czemu pytasz?

Sam przeszedł dreszcz.

- Jak on wygląda? - zapytała.

- Czy to ważne? - Charlie pokręciła głową.

- Mniej więcej twojego wzrostu, rudawobrazowe włosy, trochę starszy ode mnie, dorastał w Pikeville? - Z miny siostry Sam wyczytała, że ma rację. - Och, Charlie. Trzymaj się od niego z daleka. Nic nie wiesz?

- Co?

- Mary-Lynne Huckabee była siostrą Masona. Zgwałcił ją ten... Jak mu było? Jakiś Mitchell z Bridge Cap. Kevin Mitchell?

- Dlaczego wszyscy o tym wiedzą prócz mnie? - Charlie pokręciła głową.

- Zgwałcił ją, ona powiesiła się w stodole, a tata go wybronił.

Szok na twarzy Charlie dowodził, że zrozumiała.

- Powiedział, żebym zadzwoniła do taty. Huck, Mason, jak zwał, tak zwał. Kiedy Kelly aresztowali, policja zachowywała się jak, no cóż... jak policja. A Huck kazał mi dzwonić do taty, żeby reprezentował Kelly.

- Mason Huckabee musi wiedzieć, jakim adwokatem jest Rusty.

Charlie była wyraźnie wstrząśnięta.

- Zapomniałam o tej sprawie. Jego siostra była w college'u.

- Wróciła do domu na wakacje. Pojechała z koleżankami do kina w Bridge Cap, poszła do toalety, a tam Kevin Mitchell ją zaatakował.

Charlie spojrzała na swoje dłonie.

- Widziałam zdjęcia w aktach taty.

Sam też je widziała.

- Czy Mason cię rozpoznał, kiedy poprosiłaś go o pomoc w sprawie twojego młodocianego przestępcy?

- Niewiele rozmawialiśmy. Dużo się działo. Wszystko toczyło się bardzo szybko.

- Przykro mi, że musiałaś na to patrzeć. Mała dziewczynka. Obecność pani Heller musiała przywołać wspomnienia.

Charlie wpatrywała się intensywnie w swoje dłonie. Kciukiem jednej pocierała nadgarstek drugiej.

- Było trudno.

- Cieszę się, że masz przy sobie Bena. - Sam czekała, aż Charlie powie coś o mężu, wyjaśni powody ich dziwnego zachowania.

Charlie nie dawała spokoju nadgarstkowi, wreszcie stwierdziła:

- Śmieszne, co powiedziałaś tacie. O tej drugiej dziurze w głowie.

Sam przyglądała się siostrze. Charlie była mistrzynią w omijaniu niewygodnych tematów.

- Zwykle nie sięgam po takie prostackie odzywki, ale dałam wyraz swojemu nastrojowi.

- Brzmisz jak ona. Wyglądasz jak ona. Nawet stoisz jak ona.

- Głos Charlie złagodniał. - Dziwnie się poczułam, kiedy zobaczyłam cię w holu. Przez ułamek sekundy myślałam, że to Gamma.

- Mnie też się to zdarza - przyznała Sam. - Patrząc na siebie w lustrze i... - Był powód, dla którego nie zaglądała często do lustra. - Jestem teraz w jej wieku.

- Rzeczywiście. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

- Dzięki.

Charlie nadal nie podnosiła głowy, zajęta własnymi dłońmi.

Jako dorosłe kobiety mogły być dla siebie obce, ale były rzeczy, których czas, choćby najbardziej perfidny, nie zmienił.

Opuszczone ramiona Charlie. Miękkość jej głosu. Drżenie wargi, kiedy próbowała zapanować nad emocjami. Miała złamany nos i krwiaki pod oczami. Jej swoboda w kontakcie z Benem była wyraźnie podszyta fałszem. Ewidentnie coś ukrywała, może nawet wiele, ale najwyraźniej miała powód.

Wczoraj rano trzymała za rękę umierającą dziewczynkę, a przed północą dowiedziała się, że jej ojciec może umrzeć - nie pierwszy raz, na pewno nie ostatni - ale tym razem oddelegowała Bena, żeby napisał do Sam.

Charlie nie wezwwała tu siostry, żeby pomogła jej podjąć

decyzję, którą już kiedyś podjęła.

Nie zwróciła się do niej osobiście, ponieważ nawet jako dziecko zawsze prosiła o to, co chciała, nigdy o to, czego potrzebowała.

Sam znowu uniosła twarz do słońca i zamknęła oczy. Ujrzała siebie, jak stoi przed lustrem w łazience na dole. I Gamnę za plecami. Odtworzyła słowa Gammy: „Musisz za każdym razem pewnym ruchem wsuwać jej w dłoń pałeczkę bez względu na to, gdzie jest. Ty jej szukaj. Nie oczekuj, że ona będzie szukać ciebie”.

- Chyba musisz jechać - odezwała się Charlie. Gdy Sam otworzyła oczy i w milczeniu spojrzała na nią, dodała: - Raczej nie chcesz spóźnić się na samolot.

- Rozmawiałaś z Wilson?

- Nie. - Charlie wyprostowała się i potarła oczy. - Huck powiedział, że jest opóźniona w rozwoju. Rusty ocenia jej iloraz inteligencji na nieco powyżej siedemdziesięciu. - Pochyliła się ku Sam, opierając łokcie na kolanach. - Poznałam matkę. Ona też nie powala intelektem. Poczciwi wiejscy ludzie, skoro już nawiązujemy do Flannery O'Connor. Lenore umieściła ich na noc w hotelu. Zatrzymani nie mają prawa do odwiedzin, póki nie zostaną postawieni w stan oskarżenia. Rodzice na pewno bardzo chcą ją zobaczyć.

- Więc mamy przynajmniej ograniczoną poczytalność - stwierdziła Sam. - To znaczy jej obrona - poprawiła się.

Charlie wzruszyła jednym ramieniem.

- To jedyna sensowna strategia w przypadku każdej strzelaniny. Chyba tylko wariaci robią takie rzeczy.

- Gdzie ją trzymają?

- Chyba w więzieniu w Pikeville.

Pikeville.

Ta nazwa zaboliała jak okruch szkła w sercu.

- Nie mogę być na przedstawieniu aktu oskarżenia, ponieważ jestem świadkiem. Nie żeby tata miał jakieś etyczne opory, ale... - Charlie potrząsnęła głową. - Nieważne. Tata podtrzymuje znajomość z profesorem z czasów studiów. Nazywa się Carter Grail. Odszedł na emeryturę parę lat temu. Ma dziewięćdziesiąt lat, pije i nienawidzi całego świata. Może jutro pójść do sądu.

- Ja to zrobię. - Sam z trudem dźwignęła się z ławki.

- Nie. - Charlie też wstała.

Sam znalazła w torebce wizytówkę Stanislava, wyjęła telefon i napisała:

Czekaj przed szpitalem.

- Sam, nie możesz tego zrobić. Nie pozwolę ci. Jedź do domu. Żyj własnym życiem. Bądź tą mniej wredną kobietą.

Sam spojrzała na siostrę.

- Charlotte, naprawdę sądzisz, że pozwolę młodszej siostrze mówić mi, co mam robić? Uważasz, że aż tak bardzo się zmieniłam?

Charlie jęknęła głośno.

- Nie słuchaj mnie. Słuchaj swojego instynktu. Nie pozwól, żeby Rusty wygrał.

Stanislav odpisał:

PIĘĆ MINUT

- Tu nie chodzi o Rusty'ego. - Sam zarzuciła torebkę na

ramię i sięgnęła po laskę.

- Co robisz?

- Moja torba podróżna jest w samochodzie. - Planowała nocleg w Four Seasons, a jutro rano przed powrotem do Nowego Jorku chciała wstąpić do firmowego biura w Atlancie.
- Mój kierowca może mnie zawieźć na komisariat albo pojedę z tobą. Decyduj.

- Jaki to ma sens? - Charlie ruszyła za nią do furtki. - Mówię poważnie. Dlaczego miałabyś robić cokolwiek dla tego dupka?

- Już to powiedziałaś. Bo to nie fair, że Kelly Wilson nie ma nikogo po swojej stronie. - Sam otworzyła bramkę. - Nadal nie lubię, kiedy coś jest nie fair.

- Sam, przestań. Proszę cię. - Gdy siostra odwróciła się do niej, ciągnęła dalej: - Wiem, że to dla ciebie trudne, wiem, że czujesz się tak, jakbyś grzęzła w ruchomych piaskach.

- Nigdy tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś. - Charlie położyła jej rękę na ramieniu. - Nigdy nie pozwoliłabym Benowi napisać tego mejla, gdybym wiedziała, jak to na ciebie wpłynie.

- Sądysz po kilku bełkotliwych słowach? - Sam spojrzała na brukowaną ścieżkę prowadzącą do szpitala. - Gdybym słuchała lekarzy w kwestii moich ułomności, to umarłabym w szpitalnym łóżku.

- Nie mówię, że nie dasz rady tego zrobić. Pytam, czy powinnaś.

- To nie ma znaczenia. Już podjęłam decyzję. - Sam widziała tylko jeden sposób zakończenia tej rozmowy. Zatrzasnęła Charlie furtkę przed nosem i rzuciła: - Ostatnie słowo.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jadąc autem z Charlie, Sam zrozumiała, że nigdy nie była nerwowym pasażerem, ponieważ nigdy przedtem nie była wieziona przez młodszą siostrę. Przy zmianie pasa Charlie rzucała przelotne spojrzenie w lusterka. Nie żałowała klaksonu. Wydawała polecenia innym kierowcom, jednemu kazała zwolnić, drugiemu przyśpieszyć, innemu zjechać jej z drogi.

Sam kichała raz po raz. Oczy jej łzawiły. Samochód Charlie, połączenie kombi z hybrydowym suvem, pachniał mokrym sianem i zwierzętami.

- Masz psa?

- Czasowo wypożyczony do Guggenheima.

Sam chwyciła się deski rozdzielczej, gdy Charlie gwałtownie zmieniła pas.

- Nie powinnaś włączać kierunkowskazu na dłużej?

- Chyba wraca ci parafazja - stwierdziła Charlie. - Powiedziałaś „nie powinnaś” zamiast „powinnaś”.

Sam zaśmiała się, co wydawało się niewłaściwe, zważywszy na to, że jechały do aresztu.

Chociaż reprezentowanie Kelly Wilson było drugorzędne wobec konieczności ustalenia, co dzieje się z Charlie fizycznie i emocjonalnie, to wcale nie oznaczało, że Sam lekceważąco podeszła do zadania prawniczego. Pierwszy raz od wielu lat denerwowała się na myśl o rozmowie z klientką, i co gorsza, na myśl o wejściu do nieznanej sali sądowej.

- Sprawy w Portlandzie odbywały się w sądzie rodzinnym. Nigdy nie siedziałam naprzeciw kogoś oskarżonego o morderstwo - powiedziała.

Charlie posłała jej uważne spojrzenie, jakby podejrzewała, że coś z nią nie tak.

- Obie siedziałyśmy, Sammy.

Sam machnęła ręką. Nie miała ochoty tłumaczyć, że zawsze dzieliła swoje życie na kategorie. Sam, która siedziała przy kuchennym stole naprzeciw braci Culpepperów, nie była tą samą Sam, która praktykowała prawo w Portland.

- Minęło wiele czasu, odkąd miałam do czynienia ze sprawą karną.

- To tylko odczytanie aktu oskarżenia. Wszystko sobie przypomnisz.

- Nigdy nie byłam po tej stronie.

- Cóż, od razu zauważysz, że sędzia nie będzie ci nadskakiwać.

- W Portlandzie też tego nie robili. Nawet gliniarze mieli na zderzakach naklejki „Pieprzyć papugi”.

Charlie potrząsnęła głową. Sam prawdopodobnie nie zaznała choćby części tej niechęci.

- Zwykle mam pięć minut na rozmowę z klientem przed wejściem na salę. Niewiele jest do omówienia. Najczęściej zrobili to, o co są oskarżeni, czyli kupowali prochy, sprzedawali prochy, używali prochów, kradli albo zajmowali się paserką, żeby kupić więcej prochów. Przeglądam ich papiery i widzę, czy kwalifikują się na odwyk, czy inne leczenie, a potem informuję, co się po kolei będzie działo. O to

najczęściej pytają. Nawet jeśli byli na sali sądowej setki razy, chcą znać sekwencję zdarzeń. Co się stanie najpierw? Co potem? Powtarzam im to setki razy, a oni i tak pytają.

Sam pomyślała, że ten opis pasuje do roli Charlie na wczesnym etapie jej powrotu do zdrowia.

- Czy to nie uciążliwe?

- Zawsze przypominam sobie, że są przerażeni, a wiedza, co ich czeka na sali, daje jakieś poczucie kontroli nad sytuacją. Dlaczego zrobiłaś sobie licencję na Georgię?

Sam była pewna, że prędzej czy później to pytanie padnie.

- Moja firma ma biura w Atlancie.

- Daruj sobie. Jeden miejscowy gość może ogarnąć lokalne sprawy. Jesteś wspólnikiem od mikrozarządzania, który przylatuje tu co kilka miesięcy i zagląda mu przez ramię.

Sam znowu się zaśmiała. Charlie miała trafną intuicję. Zasadniczo Laurens Van Loon był ich delegatem w Atlancie, ale Sam chciała mieć możliwość przejęcia sterów w razie potrzeby. Poza tym spodobało jej się, że weszła na egzamin adwokacki i wyszła z niego pewna, że go zdała bez wcześniejszego otwierania podręczników.

- Lista członków Izby Adwokackiej stanu Georgia jest dostępna w sieci. Jestem nad Rustym, a on nad tobą - nie dawała za wygraną Charlie.

Sam pomyślała o ich imionach pojawiających się razem.

- Czy Ben też pracuje z tatą?

- Nie ma „też”, bo ja nie pracuję z tatą. I nie, Ben jest zastępcą prokuratora okręgowego Kena Coina.

Sam zignorowała wrogi ton w głosie Charlie.

- Czy to nie prowadzi do konfliktu interesów?

- Tylu przestępców chodzi po świecie, wystarczy dla nas obojga. - Charlie pokazała za okno. - Mają tam dobre tacos z rybami.

Sam uniosła brew. Na poboczu stał foodtruck z meksykańskim jedzeniem, widywała takie w Nowym Jorku czy Los Angeles. Stała przed nią co najmniej dwudziestoosobowa kolejka. Do innych foodtrucków - z kuchnią koreańską, z kurczakami, z kuchnią fusion - stały nawet dłuższe kolejki.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała.

- Jakąś minutę temu wjechałyśmy do Pikeville.

Sam odruchowo położyła rękę na sercu. Nie zauważyła tablicy ani znaku demarkacyjnego. Nie poczuła nagłej zmiany w ciele, przerażenia czy przygnębienia, które towarzyszyłyby powrotowi do domu.

- Ben uwielbia to miejsce, ja go nie cierpię. - Charlie wskazała budynek z logo Alpine Design pasującym do nazwy restauracji Biergarten.

Dom w stylu alpejskim nie był jedynym nowym elementem. Centrum zmieniło się nie do poznania. Na parterze dwu- i trzypiętrowych ceglanych budynków mieściły się sklepy z odzieżą, starociami, lokalnymi olejami i serami, a na górze były mieszkania.

- Kto w Pikeville zapłaci tyle za ser? - zapytała Sam.

- Po pierwsze weekendowi goście. Ludzie, którzy przeprowadzili się tu z Atlanty. Pokolenie z wyżu demograficznego, które przeszło już na emeryturę. Bogaci

pracownicy branży nowoczesnych technologii. Garstka homoseksualistów. Prohibicja się skończyła. Wprowadzili zezwolenie na sprzedaż alkoholu pięć czy sześć lat temu.

- Co sądzi o tym stara gwardia?

- Przedstawiciele władz lokalnych chcieli zwiększyć podstawę opodatkowania i liczbę dobrych restauracji, co wiąże się ze sprzedażą alkoholu. Religijni wariaci byli wściekli. Można było kupić metamfetaminę na każdym rogu, ale trzeba było jechać do Ducktown po rozwodnione piwo. - Charlie stanęła na czerwonym świetle. - Teraz myślę, że religijni nawiedzeńcy mieli rację, bo alkohol zmienił wszystko. Właśnie wtedy zaczął się boom budowlany. Meksykanie przyjechali z Atlanty za pracą. Przez cały dzień przyjeżdżają autobusy. Marina wypożycza łodzie i organizuje imprezy firmowe. Ritz Carlton buduje ośrodek golfowy. To, czy uważasz te zmiany za dobre, czy złe, zależy przede wszystkim od powodu, dla którego tu mieszkasz.

- Kto ci złamał nos?

- Powiedziano mi, że tak naprawdę nie jest złamany. - Charlie skrzyła w prawo bez włączenia kierunkowskazu.

- Nie odpowiadasz, bo nie chcesz, żebym wiedziała, czy chcesz mnie wkurzyć?

- To skomplikowane pytanie z równie skomplikowaną odpowiedzią.

- Wskoczę z auta, jeśli zaczniesz cytować tatę.

Charlie zwolniła.

- Żartowałam - przyznała Sam.

- Wiem. - Charlie zjechała na pobocze i zatrzymała

samochód. Odwróciła się ku siostrze. - Cieszę się, że tu przyjechałaś. Wiem, że powód jest okropny, ale dobrze cię widzieć. Jestem szczęśliwa, że udało nam się porozmawiać.

- Ale?

- Nie rób tego dla mnie.

Sam przyglądała się podbitym oczom Charlie i zdeformowanemu nosowi.

- Co postawienie zarzutów Kelly Wilson ma wspólnego z tobą?

- Ona jest pretekstem - odparła Charlie. - Nie chcę, żebyś się mną opiekowała, Sam.

- Kto złamał ci nos?

Charlie przewróciła oczami.

- Pamiętasz, jak próbowałaś nauczyć mnie bezwzrokowej zmiany?

- Jak mogłabym zapomnieć? Byłaś koszmarną uczennicą. Nigdy mnie nie słuchałaś. I ciągle się wahałaś.

- Ciągle się odwracałam, a ty uważałaś, że na tym polega problem. Nie mogę biec naprzód, bo oglądam się za siebie.

Sam usłyszała w tych słowach echo listu, który Charlie napisała wiele lat temu:

Żadna z nas nie ruszy naprzód, jeśli zawsze będziemy oglądać się za siebie.

- Jestem leworęczna. - Charlie uniosła rękę.

- Jak Rusty. Chociaż uważa się, że ręka dominująca jest cechą poligenową. Jest mniej niż dwadzieścia pięć procent szans, że odziedziczyłaś po tacie jeden z czterdziestu locusów, które...

Charlie zaczęła wydawać z siebie głośne odgłosy chrapania, póki Sam nie przerwała.

- Chodzi o to, że uczyłaś mnie przyjmować prawą.

- Byłaś na drugiej zmianie. Taka jest zasada: pałeczka wędruje z prawej, z lewej, z prawej, z lewej.

- Nigdy nie pomyślałaś, żeby zapytać, w czym tkwi problem.

- A ty nigdy nie pomyślałaś, żeby powiedzieć, na czym polega problem. - Sam nie rozumiała zarzutów siostry. - Na pierwszej albo trzeciej zmianie zawiodłabyś. Notorycznie popełniałaś falstart i fatalnie biegałaś po łuku. Miałaś szybkość, żeby finiszować, ale zawsze za bardzo chciałaś biec na czele stawki.

- Chcesz powiedzieć, że zawsze biegłam tylko tyle, ile musiałam, żeby być pierwsza.

- Tak, na tym polega ta strategia. - Sam czuła narastającą irytację. - Druga zmiana współgrała z twoimi mocnymi stronami. Miałaś niesamowite przyspieszenie, biegałaś najszybciej w drużynie. Musiałaś tylko opanować przekazanie. A przy odpowiedniej praktyce nawet szympans opanowałby ten manewr na dwudziestu metrach. Nie rozumiem, o co ci chodzi. Chciałaś wygrać, tak?

Charlie mocno ścisnęła kierownicę. Przy każdym oddechu z nosa wydobywał się świst.

- Chyba próbuję się z tobą pokłócić.

- Udaje ci się.

- Przepraszam. - Charlie włączyła silnik i wjechała z powrotem na drogę.

- To koniec? - zapytała Sam.

- Tak.

- Kłócimy się?

- Nie.

Sam odtwarzała w myślach rozmowę, analizując momenty, w których siostra usiłowała wyprowadzić ją z równowagi.

- Nikt nie zmuszał cię, żebyś dołączyła do drużyny biegaczek.

- Wiem, nie powinnam nic mówić. To było wieki temu.

Sam nadal była podminowana.

- Nie chodzi o drużynę, prawda?

- O cholera. - Charlie zwolniła i zatrzymała auto pośrodku ulicy. - Culpepperowie.

Sam zebrało się na mdłości, zanim mózg zdążył przetworzyć znaczenie tego słowa.

-To pikap Danny'ego Culpeppera - powiedziała Charlie. - Najmłodszego syna Zachariaha. Dali mu imię po Danielu.

Daniel Culpepper.

Człowiek, który ją postrzelił.

Człowiek, który pogrzebał ją żywcem.

Powietrze uszło jej z płuc.

Odruchowo podążyła spojrzeniem za wzrokiem Charlie. Jarmarcznie ozdobiona czarna furgonetka ze złotym brzegiem i kołpakami obrotowymi zajęła jedyne dwa miejsca parkingowe dla niepełnosprawnych przed komisariatem policji. Imię „Danny” było napisane złotym lustrzanym pismem na przyciemnionej tylnej szybie. W powiększonej kabinie kierowcy było miejsce dla czterech osób. Dwie młode kobiety stały oparte o zamknięte drzwi. Papierosy w krótkich

i grubych palcach. Paznokcie pomalowane na czerwono. Mocna czerwień na ustach. Ciemne cienie na powiekach. Grube kreski wokół oczu. Tłenione włosy. Czarne obcisłe spodnie. Jeszcze bardziej obcisłe koszulki. Wysokie obcasy. Odstრęczające. Złowrogie. Agresywnie prymitywne.

- Mogę cię wysadzić za budynkiem - zaproponowała Charlie.

Sam chciała tego. Gdyby sporządzić listę powodów, dla których opuściła Pikeville, Culpepperowie znaleźliby się na samej górze.

- Nadal sądzą, że kłamałyśmy? Że uknułyśmy spisek, żeby ich zrobić?

- Oczywiście. Założyli nawet stronę na Facebooku.

Sam wyłączyła się z życia w Pikeville, kiedy Charlie kończyła szkołę średnią. Co miesiąc dostawała uaktualnione informacje o działaniach perfidnych dziewczuch z klanu Culpepperów. Cała rodzina zgodnie utrzymywała, że Daniel był w domu w dniu ataku, a Zachariah pracował w Alabamie, i że to córki Quinnów, jedna urodzona kłamczucha, a druga ograniczona umysłowo, wrobiły ich, ponieważ Zachariah był winien Rusty'emu dwadzieścia tysięcy dolarów honorariów adwokackich.

- To te same dziewczyny ze szkoły? Wyglądają za młodo.

- Córki albo bratanice, wszystkie siebie warte - odparła Charlie.

Ich bliskość wywołała u Sam dreszcze.

- Jak możesz codziennie znosić ich widok?

- Jeśli mam szczęście, to udaje mi się ich nie zobaczyć.

Wysadzę cię za rogiem.

- Nie, nie dam się im upokarzać. - Sam złożyła teleskopową laskę i schowała ją do torby. - Ale nie pozwolę, żeby mnie z tym zobaczyli.

Charlie powoli podjechała na parking. Większość miejsc zajmowały radiowozy, wany techników kryminalistycznych i czarne nieoznakowane auta. Musiała wjechać na koniec parkingu. Od wejścia do budynku dzieliło je kilkanaście metrów.

Charlie wyłączyła silnik.

- Dasz radę iść? - zapytała.

- Tak.

- Nie chcę truć, ale...

- Truj.

- Jeśli przewrócisz się na oczach tych suk, będą się z ciebie śmiać. Mogą spróbować zrobić coś gorszego i będę musiała je zabić.

- Użyj mojej laski, jeśli do tego dojdzie. Jest metalowa. - Sam otworzyła drzwi, chwyciła się podłokietnika i wygramoliła się z auta.

Charlie obeszła samochód, ale nie po to, by jej pomóc. Chciała dołączyć do Sam. Iść z nią ramię w ramię w kierunku dziewczyn z rodziny Culpepperów.

Wiatr się wzmógł, kiedy ruszyły przez parking. Sam przeżyła moment refleksji nad własną śmiesznością. Niemal słyszała pobrzękiwanie ostróg przy każdym kroku po asfalcie. Panny Culpepperówny zmrużyły oczy, na co Charlie uniosła brodę. To mogła być scena wyjęta z westernu albo filmu Johna

Hughesa, gdyby John Hughes kiedykolwiek napisał scenariusz o głęboko skrzywdzonych kobietach w (prawie) średnim wieku.

Komisariat mieścił się w niskim kompleksie budynków władz lokalnych w stylu lat sześćdziesiątych z wąskimi oknami i dachem jak u Jetsonów. Charlie zajęła ostatnie wolne miejsce parkingowe położone najdalej wejścia. Żeby dojść do chodnika, musiały pokonać kilkanaście metrów lekkiej stromizny. Do położonego wyżej budynku nie wiódł żaden podjazd. Zamiast niego były trzy szerokie betonowe stopnie, za nimi pięciometrowy odcinek chodnika obsadzony bukszpanem i prowadzący do przeszklonych drzwi frontowych.

Sam mogła pokonać ten dystans, ale potrzebowała pomocy Charlie na schodach. Może wystarczyłaby metalowa poręcz. Musiałaby tylko oprzeć się o nią, żeby wyglądało to tak, jakby lekko kładła na niej dłoń. Musiałaby najpierw unieść lewą nogę, przyciągnąć prawą, a potem mieć nadzieję, że prawa utrzyma jej ciężar bez dodatkowego oparcia, kiedy znowu uda jej się unieść nogę.

Przeciągnęła palcami po włosach.

Poczuła brzeg stwardniałej skóry nad uchem.

Przyśpieszyła kroku.

Wiatr zmienił kierunek. Sam dobiegły głos dziewczyn. Wyższa pstryknęła papierosem w kierunku Charlie i Sam i podniosła głos, zwracając się do swojej towarzyszki:

- Suka nareszcie dostała wpierdol.

- Widzę. Lezie jak paralityk - zachichotała druga. -

Następnym razem jak wyjdiesz na miasto, przynieś tej drugiej cipie kubek lodów.

Sam poczuła nagle dygotanie mięśni w prawej nodze. Oplotła rękę wokół ramienia Charlie, jakby spacerowały po parku.

- Już zapomniałam, jak brzmi socjolekt autochtonów z Appalachów - powiedziała głośno.

Charlie zaśmiała się i objęła siostrę.

- Słyszałaś? - wyższa dziewczucha Culpepperów zwróciła się do swojej towarzyszki. - Jak ona cię nazwała?

Szklane drzwi otworzyły się z hukiem.

Sam i Charlie wzdrygnęły się na ten dźwięk.

Groźnie wyglądający młody mężczyzna maszerował chodnikiem w ich stronę. Niewysoki, ale umięśniony. Krokowi towarzyszył szczeł łańcucha, który łączył portfel z paskiem spodni i zwisał u boku właściciela. Jego strój wpisywał się we wzorzec typowego wieśniaka: od przepoconej bejsbolówki na głowie po czerwono-czarną flanelową koszulę z urwanymi rękawami i podarte brudne niebieskie dżinsy.

Danny Culpepper, najmłodszy syn Zachariaha.

Skóra zdarta z ojca.

Jego buty uderzyły ciężko o ziemię, gdy skokiem pokonał trzy betonowe stopnie. Utkwił świdrujący wzrok w Charlie, ułożył dłoń w geście obrazującym broń i wycelował w nią.

Sam zacisnęła zęby. Próbowwała nie łączyć krępej budowy młodego człowieka z Zachariahem Culpepperem, pyszałkowatym bufonem, który tak obrzydliwie mlaskał grubymi ustami, gdy wyjął z nich wykałaczkę.

- Kogo my tu mamy? - Stał przed nimi z rozłożonymi ramionami, blokując przejście. - Skądś cię znam, paniusiu.

Sam mocniej ścisnęła ramię Charlie. Nie mogła okazać strachu temu bydlakowi.

- Mam - pstryknął palcami. - Widziałem cię na zdjęciu z procesu taty. Wtedy miałaś spuchniętą głowę i kulę w środku.

Sam wbiła paznokcie w ramię siostry. Modliła się w duchu, żeby noga nie odmówiła jej posłuszeństwa, żeby ciało nie zaczęło drzeć, żeby nie wybuchnąć i nie unicestwić tego odrażającego typu przed komisariatem.

- Zejdź nam z drogi - powiedziała.

Nie posłuchał. Zamiast tego zaczął klaskać w dłonie i wybijać rytm stopami, śpiewając przy tym:

Dwie lalunie Quinnów na parkingu stoją.

Jedną zerznąli, drugą w łeb jebnęli.

Culpepperówny zarechotały donośnie.

Sam próbowała go obejść, ale Charlie złapała ją za rękę i osadziła w miejscu, po czym zwróciła się do Culpeppera:

- Trudno zerznąć trzynastolatkę, jeśli kutas nie działa.

- Brednie - prychnął Culpepper junior.

- Twój tatuś na pewno podnosi go dla swoich kumpli w więzieniu.

Zniewaga była ewidentna, ale skuteczna. Culpepper wycelował palec w twarz Charlie.

- Myślisz, że nie wezmę strzelby i nie odstrzelę ci tego szpetnego pieprzonego łba przed komisariatem?

- Tylko podejź blisko. Culpepperowie nie słyną z celności -

rzuciła Sam.

Zapadła cisza.

Sam popukała palcem w bok głowy.

- Na moje szczęście - dodała.

Charlie wybuchnęła nerwowym śmiechem. I nie przestała, aż Danny Culpepper ruszył się gwałtownie i przechodząc obok niej, potrącił ją ramieniem.

- Pieprzone suki - mruknął i zawołał do dziewcząt: - Wsiadać, kurwa, do domu trza jechać!

Sam pociągnęła Charlie za ramię. Bała się, że siostrze nie wystarczy to zwycięstwo i rzuci jakąś jadowitą uwagę, która sprowokuje Danny'ego do powrotu.

- Chodź - szepnęła, szarpiąc mocniej. - Już wystarczy.

Dopiero gdy młody Culpepper usiadł za kierownicą furgonetki, Charlie pozwoliła pociągnąć się dalej.

Ruszyły ramię w ramię w kierunku schodów.

Schody. Sam zapomniała o schodach.

Słyszała za plecami warkot silnika. Danny Culpepper zwiększył obroty. Pokonanie schodów wydawało się Sam trudniejszym wyzwaniem niż realna groźba przejechania.

- Nie dam...

- Trzymam cię. - Charlie nie pozwoliła jej przerwać, zatrzymać się. Wsunęła ramię pod zgięty łokieć Sam, służąc podporą. - Raz, dwa...

Sam przesunęła lewą nogę, wsparła się na Charlie, żeby ruszyć prawą nogą, potem lewa noga przejęła zadanie utrzymania ciała i Sam weszła po schodach.

Nadzieje na przedstawienie prysnęły.

Za nimi rozległ się pisk opon. Dym uniósł się w powietrze. Furgonetka ruszyła do wtóru ryku silnika i pulsującego rapu.

Sam przystanęła, żeby odpocząć. Od drzwi wejściowych dzieliło ją półtora metra. Brakowało jej tchu.

- Skąd się tu wzięli? Przyjechali z powodu taty?

- Gdybym prowadziła dochodzenie w sprawie napadu na tatę, moim pierwszym podejrzanym byłby Danny Culpepper.

- Według ciebie policja nie wezwała go na przesłuchanie?

- Uważam, że nie traktują tej sprawy poważnie albo dlatego, że mają ważniejsze sprawy na głowie w związku ze strzelaniną w szkole, albo im wisi, że ktoś próbował zabić tatę - wyjaśniła Charlie. - Zwykle policja nie pozwala zjawiać się z kuzynkami na komisariacie, jeśli czeka cię przesłuchanie w sprawie usiłowania zabójstwa. W takich przypadkach wyważają drzwi, wywlekają cię z domu za kołnierz i robią wszystko, by napędzić ci strachu i pokazać, że masz kłopoty.

- Więc obecność Danny'ego to przypadek?

Charlie wzruszyła ramionami.

- To diler. Często bywa na komisariacie.

Sam szperała w torebce w poszukiwaniu chusteczki.

- Za to kupił tę jarmarczną furgonetkę?

- Aż tak dobry w dilerce nie jest. - Charlie patrzyła, jak pikap z piskiem opon wjechał pod prąd w jednokierunkową ulicę. - Ceny w Centrum Jarmarcznych Furgonetek są kosmiczne.

- Czytałam o tym w *Timesie*. - Sam osuszyła chusteczką pot na twarzy. Nie miała pojęcia, dlaczego w ogóle podjęła rozmowę z Dannym Culpepperem. Zabrakłoby czasu, żeby

powiedzieć mu wszystko, co chciałyby powiedzieć. W Nowym Jorku robiła, co w jej mocy, żeby zminimalizować skutki swojej niepełnosprawności. Tutaj użyła jej jak broni. Schowała chusteczkę do torebki. – Jestem gotowa.

– Kelly miała książkę pamiątkową. – Charlie zniżyła głos. – Taką kronikę...

– Wiem, co to jest.

Charlie skinęła głową w stronę schodów.

Sam potrzebowała laski, ale trzy metry przeszła bez wspomagania. I wtedy zobaczyła arkusze giętej sklejki leżące na pochyłości po drugiej stronie schodów. Domyśliła się, że to podjazd dla niepełnosprawnych.

– Zapadła dziura – mruknęła pod nosem, opierając się o metalową poręcz. – Co my robimy? – zapytała.

Charlie zerknęła w stronę drzwi, jakby obawiała się, że mogłyby zostać podsłuchane. Odezwała się przyciszonym głosem, prawie szeptem:

– Książka była w pokoju Kelly, schowana na górnej półce w garderobie.

Sam czuła się zdezorientowana. Do przestępstwa doszło ledwie wczoraj rano.

– Czy tata dostał już część dowodów?

Uniesiona brew Charlie wyjaśniła pochodzenie książki.

Sam wydała z siebie odgłos pośredni między westchnieniem a jękiem. Znała skróty, którymi chodził ojciec.

– Co tam było?

– Mnóstwo obrzydliwości o Kelly. Że jest dziwką, że sypia z futbolistami, no, w tym stylu.

- To typowe dla średniej szkoły. Dziewczyny potrafią być okrutne.

- Gimnazjum - poprawiła Charlie. - To było pięć lat temu, kiedy Kelly miała trzynaście lat. To więcej niż okrucieństwo. Strony były wypełnione wpisami. Setkami wpisów. Większość tych ludzi chyba nawet jej nie znała.

- Miejskowa wersja *Carrie*, tyle że bez świńskiej krwi. - Sam skonstatowała oczywisty fakt. - Ale czyjaś krew została przelana.

- Racja.

- To okoliczność łagodząca. Była nękana, pewnie izolowana od reszty. To może ją uratować przed wyrokiem śmierci. To dobrze. Dla taty oczywiście.

Charlie miała w zanadrzu więcej rewelacji:

- Kelly powiedziała coś w holu, zanim oddała Huckowi broń.

- Co? - Sam bolało gardło od szeptania. - Dlaczego mówisz mi o tym przed komisariatem zamiast w aucie?

Charlie machnęła ręką w stronę drzwi.

- Za kuloodporną szybą siedzi tylko jeden tłuścioch.

- Odpowiedz mi, Charlotte.

- Bo byłam na ciebie wściekła.

- Wiedziałam. - Sam chwyciła się poręczy. - Dlaczego?

- Bo jesteś tu dla mnie, chociaż ci powiedziałam, że cię nie potrzebuję i że kłamiesz jak zawsze z powodu tego swojego źle pojętego poczucia odpowiedzialności wobec Gammy, i udajesz, że chodzi o pójscie do sądu, a kiedy wchodziłyśmy po schodach, dotarło do mnie, że nie chodzi o rywalizację między nami i czyje będzie na wierzchu, tylko o życie Kelly. Ona

potrzebuje rzetelnego reprezentanta.

Sam ubodły te słowa.

- Zawsze jestem rzetelna. Traktuję swoje zobowiązania wobec klientów bardzo poważnie.

- To o wiele bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje.

- Więc przedstaw mi fakty. Nie wysyłaj mnie do tego budynku bardziej ślepej, niż jestem. - Sam wskazała swoje oko.

- Musisz przestać używać tego argumentu jako puenty.

Sam w duchu przyznała Charlie rację.

- Co Kelly powiedziała w holu?

- To było po strzelaninie. Chcieli, żeby ona oddała im broń, a ja zobaczyłam, że ona poruszała ustami i Huck to słyszał, ale nie powtórzył tego GBI. Obok stał gliniarz, który też to słyszał, znaczy że ona, Kelly, coś mówi. Powtarzam, że widziałam, ale nie słyszałam Kelly. Cokolwiek ona powiedziała, bardzo go tym zaniepokoiła.

- Powzięłaś nagłą awersję do właściwego używania zaimków? - Sam poczuła się zasypana okruciami informacji, które nie składały się w całość. Charlie zachowywała się jak egzaltowana trzynastolatka opowiadająca z wypiekami na buzi jakąś banalną historyjkę. - Ta informacja jest jeszcze mniej istotna od biadolenia, że trzydzieści lat temu biegałaś na drugiej zmianie?

- Chodzi o Hucka. Jest coś więcej.

- Słucham.

Charlie odwróciła wzrok. Z niewiadomego powodu oczy zalśniły jej łzami.

- Charlie? - Sam czuła, że za chwilę też się rozpłacze. Zawsze z trudem znosiła widok przygnębionej siostry. - O co chodzi?

Charlie spojrzała na swoje ręce. Odchrząknęła.

- Myślę, że Huck zabrał narzędzie zbrodni z miejsca zdarzenia.

- Co?! Jak?

- To tylko przeczucie. Ci z GBI pytali mnie o...

- Zaraz. Przesłuchiwali cię ludzie z GBI?

- Jestem świadkiem.

- Był przy tym adwokat?

- Sama jestem adwokatem.

- Charlie...

- Wiem, wiem, kto jest własnym adwokatem, ma głupca za klienta. Ale spokojnie. Nic głupiego nie powiedziałam.

Sam nie wdawała się w spór o sprzeczność zawartą w wypowiedzi Charlie.

- Ci z GBI pytali, czy wiesz, gdzie jest narzędzie zbrodni?

- Nie wprost. Agentka była bardzo powściągliwa, nie odkrywała kart. Narzędzie zbrodni to rewolwer, prawdopodobnie sześciostrzałowy. Później Huck powiedział mi przez telefon, że pytali go o to samo, tyle że agenci FBI. „Kiedy widział pan broń ostatni raz? Kto ją miał? Co się z nią stało?”. Mam wrażenie, że to Huck zabrał broń. Ale to tylko wrażenie. Nie mogłam tego powiedzieć tacie, bo kazałby go aresztować. Wiem, że Huck powinien znaleźć się w areszcie, ale próbował robić, co należy, a przy zaangażowaniu FBI w sprawę mówimy o ciężkim przestępstwie i... - Westchnęła

ciężko. – To wszystko.

Po słowach Charlie w głowie Sam rozbłysły niezliczone czerwone lampki.

– Charlotte, nigdy więcej nie możesz rozmawiać z Masonem Huckabee, rozumiesz? Ani przez telefon, ani w żaden inny sposób.

– Wiem. – Charlie zwiesiła pięty z brzegu stopnia, balansując na dwóch zdrowych nogach. – Zabroniłam Huckowi kontaktów ze mną i poradziłam wzięcie dobrego adwokata.

Sam popatrzyła na parking. Radiowozy. Nieoznakowane wozy policyjne. Mobilne laboratoria kryminalistyczne. Lincoln Town Car. Wszystko, przeciwko czemu występował Rusty. A teraz Charlie zafundowała sobie jazdę w tym towarzystwie.

– Gotowa? – zapytała Charlie.

– Dasz mi chwilę na ochłonięcie?

Charlie skinęła tylko głową.

Rzadko tylko kiwała. Podobnie jak Rusty, nie umiała zapanować nad językiem, musiała obudować skinienie słowami, dodatkowym objaśnieniem ruchów głowy. Sam chciała zapytać, co jeszcze przed nią ukrywa, kiedy Charlie wyrzuciła z siebie:

– Co Lenore tu robi?

Sam patrzyła, jak czerwony sedan skręca na parking. Słońce odbijało się od przedniej szyby, gdy auto zbliżało się do nich. Kolejny skręt, po czym Lenore zahamowała z piskiem opon.

Opuściła okno i zamachała do nich.

– Odczytanie aktu oskarżenia zaczyna się o trzeciej –

powiedziała.

- Jasny gwint, zostało nam najwyżej półtorej godziny. - Charlie pomogła Sam zejść po schodach. - Kto jest sędzią?

- Lyman. Powiedział, że przyspieszył termin, by uniknąć prasy, ale połowa już czeka w kolejce na miejsca w sali. - Dała im znak, żeby wsiadały. - Sędzia wyznaczył Cartera Graila w zastępstwie Rusty'ego.

- Cholera, on w pojedynkę powiesi Kelly. - Charlie otworzyła tylne drzwi i rzuciła do Lenore: - Weź Sam. Ja postaram się utrzymać Graila z dala od Kelly i dowiem się, co się dzieje. Będzie szybciej, jeśli pobiegnę.

- Szybciej dla... - zaczęła Sam, ale Charlie już zniknęła.

- Grail ma długi język - stwierdziła Lenore. - Jeśli Kelly będzie z nim rozmawiać, wygada się każdemu, kto zechce go słuchać.

- Jestem pewna, że nie dlatego sędzia go wyznaczył. - Sam nie miała wyboru, musiała wsiąść do auta Lenore. Kopulasty gmach sądu znajdował się naprzeciwko komisariatu, ale jednokierunkowa ulica zmuszała do jechania okreśną drogą. Z powodu ograniczonej mobilności Sam, musiały podjechać do świateł, objechać sąd, po czym zawrócić i ponownie wjechać w ulicę od właściwej strony.

Sam patrzyła, jak Charlie przebiega przed furgonetką i przeskakuje betonowy krawężnik. Biegła pięknym stylem: ręce blisko tułowia, głowa prosto, łopatki ściągnięte.

Musiała odwrócić wzrok.

- To nieczysta zagrywka. Przesłuchanie w sądzie miało się odbyć jutro rano - zauważyła.

- Lyman robi, co chce. - Lenore złapała jej wzrok w lusterku. - Skazańcy nazywają Cartera „świętym Graalem”. Jeśli pije przed twoim procesem, przypuszczalnie ocalisz życie.

- To kielich mszalny. W tradycji chrześcijańskiej.

- Wyślę telegram Indianie Jonesowi - rzuciła Lenore, wyjeżdżając z parkingu.

Charlie biegła po trawniku przed sądem. Przeskoczyła niski żywopłot. Pod drzwiami stała kolejka, ale ominęła ją, pokonując po dwa stopnie naraz.

- Mogę cię o coś zapytać? - Sam spojrzała na Lenore.

- Pytaj.

- Od kiedy moja siostra sypia z Masonem Huckabee?

Lenore zasznurowała wargi.

- Tego pytania się nie spodziewałam - odparła w końcu.

Sam też nie myślała, że je zada, ale przecież miało sens. Dystans między Charlie a Benem. Zachowanie Charlie, kiedy mówiła o Masonie.

- Powiedziałaś jej, kim jest ten człowiek? - spytała Lenore, a gdy Sam skinęła głową twierdząco, dodała: - Będzie się czuła okropnie. Gorzej niż do tej pory.

- Nie dlatego, że nie mamy obrońców.

- Mnóstwo wiesz jak na kogoś, kto spędził tu tylko pięć minut.

Lenore skręciła za róg i znalazła się na tyłach sądu. Zatrzymała samochód w miejscu, które wyglądało na strefę wyładunku dla dostawców.

- Wejź rampą. Winda jest po prawej. Zjedź do dolnej

sutereny. Tam trzymają aresztantów. – Odwróciła się do Sam. – Wczoraj Rusty nic od niej nie wyciągnął, ale może Kelly otworzy się przed kobietą. Dowiedz się od niej choćby tylko trochę, cokolwiek. To i tak będzie lepsze niż nic.

– Rozumiem. – Sam rozłożyła laskę. Poczowała się pewniej na nogach po wyjściu z auta. Adrenalina zawsze była jej największym sprzymierzeńcem. W miarę pokonywania rampy dla dostawców hurtowych ilości papieru toaletowego i pojemników na śmieci narastała w niej złość, sprzymierzeniec numer dwa. Woń gnijącego jedzenia z kubłów przyprawiała ją o mdłości.

Wewnątrz sąd wyglądał jak wszystkie inne tego typu instytucje, w których bywała. Z jednym wyjątkiem, czyli nadreprezentacją atrakcyjnych mężczyzn i kobiet w garniturach i garsonkach jak spod igły. Oczywiście byli to reporterzy telewizyjni. Laska posłużyła Sam jako przepustka na początek kolejki. Dwoje zastępców szeryfa stało przy wykrywaczu metali. Sam musiała okazać dokumenty, podpisać listę, położyć torebkę i laskę na pasie transmisyjnym, gdzie zostały prześwietlone, okazać pełnomocnictwo, by mogła zatrzymać przy sobie telefon, a potem czekać, aż zastępczyni szeryfa przeszuka ją od góry do dołu, ponieważ metalowa płytka w głowie uruchomiła alarm, gdy Sam przechodziła przez detektor.

Winda była po prawej stronie. Okazało się, że są dwa poziomy piwniczne, ale ponieważ Lenore kazała zjechać na pierwszy, Sam wcisnęła odpowiedni przycisk i czekała. Kabina była pełna mężczyzn w garniturach. Sam stanęła z tyłu

i oparła się plecami o ścianę, by odciążyć niesprawną nogę. Kiedy drzwi windy się otworzyły, wszyscy mężczyźni rozstąpili się na boki, żeby mogła wyjść pierwsza.

Pewnych cech Południa brakowało jej na Północy.

- Cześć. - Charlie już czekała przy windzie. Trzymała chusteczkę przy nosie, z którego leciała krew. Możliwe, że z powodu biegu. Odetchnęła, po czym zaczęła mówić: - Zawiadomiłam Coina, że jesteś współbrońcą. Nie ucieszył się, Lyman też nie, więc nie próbuj go wkurzyć jeszcze bardziej. Słyszałam, że Grail nie miał szansy porozmawiać z Kelly, ale sprawdź to dla pewności. Jest chora, odkąd ją tu przywieźli. Zapchała toaletę. Słyszałam, że zrobił się bałagan.

- Co jej jest?

- Wymiotuje. Zadzwoiłam do aresztu. Normalnie zjadła śniadanie i lunch, nie miała kłopotów żołądkowych. Nikt inny nie zachorował, więc to nie jest zatrucie pokarmowe. Zwraca, odkąd przywieźli ją pół godziny temu. Nie jest bulimiczką, więc to pewnie nerwy. A to Mo. - Charlie wskazała starszą kobietę siedzącą za biurkiem. - Mo, to moja siostra Samantha.

- Nie pobrudź mi biurka krwią, Quinn. - Mo nawet nie podniosła głowy znad klawiatury. Pstryknęła palcami, dając do zrozumienia, że chce zobaczyć dokumenty Sam. Postukała w kilka klawiszy. Podniosła słuchawkę telefonu. Wskazała rejestr do podpisania.

Był prawie wypełniony. Sam wpisała swoje imię i nazwisko w ostatniej linii pod Carterem Grailem. Ze znacznika czasu wynikało, że spędził z Kelly mniej niż trzy minuty.

- Lyman jest tu od jakichś dwudziestu lat. Wcześniej pracował w Marietcie. Ma hopla na punkcie przestrzegania procedur. Masz w walizce jakąś sukienkę albo spódnicę?

- Po co?

- Nieważne.

- Pewnie, że nieważne. - Mo odłożyła telefon. - Ma pani siedemnaście minut - rzuciła do Sam. - Grail wykorzystał trzy. Będzie pani musiała rozmawiać z nią w celi.

Charlie huknęła pięścią w biurko.

- Kurwa, co to jest, Mo?

- Charlie, zrozumiałam - powiedziała Sam i zwróciła się do Mo: - Jeśli pokój widzeń jest niedostępny, powinna pani poinformować sędziego, że musimy przesunąć pierwsze wysłuchanie, póki nie zapewnicie mi wystarczająco dużo czasu na prywatną rozmowę z moją klientką.

Mo mruknęła coś pod nosem i spiorunowała Sam wzrokiem. Czekwała, aż zmityguje się i wycofa. Kiedy tego nie zrobiła, powiedziała:

- Tak myślałam, że okaże się pani tą mądrzejszą. - Sięgnęła ręką pod biurko i nacisnęła brzęczyk. Puściła oko do Sam. - Pokój po prawej. Szesnaście minut.

Charlie uniosła pięść w górę i pobiegła w stronę schodów. Biegła tak lekko, że ledwie było słychać jej kroki.

Sam przewiesiła torebkę na drugie ramię i wspomagając się laską, podeszła do drzwi. Przystanęła przed drugimi drzwiami, które pozostały zamknięte, póki pierwsze nie zatrzasnęły się za nią ze szczękiem. Rozległ się kolejny brzęczyk i drugie drzwi stanęły przed nią otworem.

W jej nozdrza buchnął dawno zapomniany odór aresztu śledczego, ten kwaśny zapach wymiocin połączony z zapachem potu i uryną, smród ścieków z jedynej toalety służącej około setce użytkowników dziennie.

Sam odepchnęła się laską, gdy wdepnęła w brązową kałużę. Nikt nie sprzątnął zalanej toalety. W areszcie została tylko jedna osoba, starsza bezzębna kobieta siedząca w kucki na długiej betonowej ławce. Pomarańczowy kombinezon sterczał na niej jak koc. Powoli kiwała się w przód i w tył. Spojrzeniem załamanych oczu odprowadziła Sam, która poszła w stronę zamkniętych drzwi po prawej.

Gałka u drzwi przekreśliła się, zanim Sam zdążyła zapukać. Z pomieszczenia wyszła przysadzista zastępczyni szeryfa. Sprawiała wrażenie obcesowej. Zamknęła drzwi i oparła się o matową szybę.

- Pani jest drugim adwokatem? - zapytała.
- Ściśle mówiąc, trzecim. Samantha Quinn.
- Rusty jest najstarszy.

Sam skinęła głową, chociaż zastępczyni szeryfa nie pytała, tylko stwierdziła.

- Przez ostatnie pół godziny aresztowana wymiotowała czterokrotnie. Dałam jej paczkę krakersów pomarańczowych i puszkę coli w styropianowym kubku. Zapytałam, czy potrzebuje lekarza, ale odmówiła. Ma pani piętnaście minut. - Postukała palcem w zegarek na przegubie. - Cokolwiek usłyszę, kiedy wejdę, to usłyszę. Rozumie pani?

Sam wyjęła telefon i ustawiła odliczanie czasu na czternaście minut.

- Cieszę się, że się rozumiemy. - Zastępczyni szeryfa otworzyła drzwi.

Wewnątrz było tak ciemno, że oczy Sam potrzebowały dłuższej chwili, by przystosować się do warunków. Dwa krzesła. Metalowy stół przytwierdzony na stałe do podłogi. Migająca jarzeniówka wisząca krzywo na dwóch krótkich kawałkach starego łańcucha.

Kelly Rene Wilson siedziała wsparta tułowiem o stół. Chowiała głowę w kokonie dłoni. Na dźwięk otwieranych drzwi zerwała się na równe nogi z rękami wzdłuż tułowia i wyprostowanymi plecami, jakby Sam była kapralem każącym stanąć żołnierzowi na baczność.

- Możesz usiąść - powiedziała Sam.

Kelly czekała, aż Sam usiądzie pierwsza.

Sam zajęła puste krzesło przy drzwiach i oparła laskę o blat stołu, po czym wyjęła z torebki notes i pióro oraz zmieniła okulary na szkła do czytania.

- Nazywam się Samantha Quinn. Będę twoim adwokatem na odczytaniu aktu oskarżenia. Wczoraj poznałaś Rusty'ego. To mój ojciec.

- Śmiesznie pani mówi - odezwała się Kelly.

Sam uśmiechnęła się. Dla nowojorczyków miała południowy akcent, a dla południowców mówiła jak Jankeska.

- Mieszkam w Nowym Jorku - wyjaśniła.

- Bo jest pani kaleką?

Sam omal nie wybuchnęła śmiechem.

- Nie, nie dlatego. Mieszkam w Nowym Jorku, bo lubię to miasto. Używam laski, kiedy noga mi się męczy.

- Mój dziadek miał laskę, ale drewnianą. - Kelly Wilson wydawała się rzeczowa, i tylko cichy szcęk kajdanek zdradzał, że nerwowo porusza nogą pod stołem.

- Nie bój się, Kelly. Jestem twoim sprzymierzeńcem. Nie przyszedłem tu, żeby cię łapać za słowa. - Zapisała jej imię i nazwisko oraz datę na górze kartki notesu. Dwukrotnie to podkreśliła. Czuła dziwne skurcze w brzuchu. - Czy rozmawiałaś z panem Grailem, adwokatem, który był tu wcześniej?

- Nie, proszę pani, z racji tego, że wymiotowałam.

Sam uważnie się jej przyjrzała. Mówiła powoli, jakby była odurzona. Sądząc z literki S na przodzie kombinezonu, dali jej mały rozmiar, ale i tak za duży na tak drobne ciało. Wyglądała blado i mizernie. Włosy były tłuste i posklejane wymiocinami. Przy całej swojej chudości miała okrągłą twarz, niemal anielską.

Sam przypomniała sobie, że Lucy Alexander też miała anielską buzię.

- Bierzesz jakieś leki? - zapytała.

- Wczoraj w szpitalu dali mi jakiś płyn. - Kelly pokazała Sam podbiegły krwią ślad po wkłuciu w zgięciu łokcia. - Tędy.

Sam zapisała jej słowa. Rusty będzie musiał wydobyć ze szpitala dokumentację Kelly.

- Myślisz, że dali ci jakiś płyn, nie leki?

- Tak, proszę pani. Tak mi powiedzieli. Z racji szoku.

- Byłaś w szoku? - uściśliła Sam.

- Tak, proszę pani - potaknęła Kelly.

- Czy bierzesz albo jesteś w tej chwili pod wpływem

zabronionych substancji?

- Zabronionych substancji? - powtórzyła Kelly. - Nie, proszę pani. To byłoby niedobre.

Sam znowu zapisała jej słowa.

- Jak się teraz czujesz?

- Chyba dobrze. No, nie tak źle jak przedtem.

Sam spojrzała na nią znad okularów. Kelly nadal trzymała ręce pod stołem. Przygarbione plecy sprawiały, że wyglądała na jeszcze drobniejszą. Sam widziała czerwień plastikowego krzesła po obu stronach tułowia Kelly.

- Czujesz się dobrze czy tylko ci się wydaje, że dobrze?

- Boję się. Tutaj są źli ludzie.

- Ignoruj ich, tak będzie dla ciebie najlepiej. - Sam zanotowała kilka ogólnych uwag na temat wyglądu Kelly: nieumyta, zaniedbana, potargana, obgryzione paznokcie, plamki zakrzepłej krwi na skórkach. - Jak twój żołądek?

- O tej porze dnia mój żołądek tak się zachowuje.

- O tej porze. - Sam zapisała tę uwagę i czas. - Wczoraj też wymiotowałaś?

- Tak, proszę pani, ale nikomu nie mówiłam. Kiedy tak mi się robi, zwykle samo przechodzi, ale tamta pani była miła i dała mi krakersy.

Sam utkwiała wzrok w notesie. Nie chciała patrzeć na Kelly, ponieważ kiedy to robiła, serce jej miękło. Dziewczyna nie pasowała do obiegowego wizerunku zabójcy, a co dopiero do sprawcy strzelaniny w szkole. Być może jednak, pomyślała Sam, doświadczenia z Zachariahem i Danielem Culpepperami wypaczyły mój obraz złoczyńców. Prawda jest inna. Każdy

może zabić.

- Pracuję z moim ojcem Rustym Quinnem, póki nie poczuje się lepiej. Czy ktoś ci powiedział, że jest w szpitalu?

- Tak, proszę pani. Strażnicy w więzieniu o tym mówili. Jak pan Rusty dostał nożem.

Sam wątpiła, by strażnicy mieli cokolwiek dobrego do powiedzenia o Rustym.

- Czy pan Rusty powiedział ci, że pracuje dla ciebie, a nie dla twoich rodziców? I że cokolwiek mu powiesz, pozostanie tajemnicą?

- Takie jest prawo. Pan Rusty nie powtórzy nikomu, co mu powiem.

- Zgadza się. To samo dotyczy mnie. Oboje złożyliśmy przysięgę o zachowaniu tajemnicy. Możesz rozmawiać ze mną, a ja porozmawiam z panem Rustym o tym, co od ciebie usłyszałam, ale my nie możemy nikomu innemu zdradzić twoich tajemnic.

- Czy trudno jest znać tajemnice innych ludzi?

To pytanie zupełnie rozbroiło Sam.

- Nieraz bardzo trudno, ale to część mojej pracy. Kiedy postanowiłam zostać prawnikiem, wiedziałam, że będę musiała zachować tylko dla siebie powierzone mi tajemnice.

- Musiała pani długo chodzić do szkoły.

- Tak. - Sam zerknęła na telefon. Zwykle płacono jej za godzinę. Nie przywykła do skracania czasu. - Czy pan Rusty powiedział ci, na czym polega odczytanie aktu oskarżenia?

- To nie jest proces.

- Zgadza się. - Sam uświadomiła sobie, że moduluje głos,

jakby zwracała się do dziecka. Ta dziewczyna miała osiemnaście lat, nie osiem.

Osiem lat miała Lucy Alexander.

Odchrząknęła i zaczęła wyjaśniać:

- Z pewnymi wyjątkami prawo wymaga, żeby odczytanie aktu oskarżenia nastąpiło czterdzieści osiem godzin od chwili aresztowania. Zasadniczo tyle czasu trwa, zanim sprawa przekształci się z dochodzenia w sprawę karną w sądzie. Odbywa się formalne odczytanie zarzutów albo aktu oskarżenia w obecności oskarżonego, czyli w tym wypadku ciebie, by go poinformować o tym, jakie ciążą na nim zarzuty, i umożliwić złożenie pierwszego wniosku, który zostanie odnotowany. Wiem, że to brzmi bardzo skomplikowanie, ale całość nie potrwa dłużej niż dziesięć minut. - Gdy Kelly tylko zamrugła, Sam spytała: - Rozumiesz, co ci powiedziałam?

- Pani mówi bardzo szybko.

Sam przepracowała setki godzin nad normalizacją tempa mówienia i teraz musiała skupić się, żeby mówić wolniej. Podjęła próbę.

- W trakcie posiedzenia sądu nie będzie ani policjantów, ani świadków. Rozumiesz? - Kelly skinęła głową. - Nie zostaną przedstawione żadne dowody. Nikt nie będzie przesądzał o twojej winie czy niewinności.

Kelly czekała w milczeniu na dalsze wyjaśnienia.

- Sędzia zapyta o twój wniosek, żeby dołączyć go do protokołu. Powiem mu, że nie przyznajesz się do winy, czyli że jesteś niewinna. Później będziesz mogła zmienić stanowisko, jeśli tak zdecydujesz. - Sam urwała. Złapała się na tym, że

znowu przyśpiesza. – Potem sędzia, prokurator i ja omówimy terminy, wnioski i inne kwestie prawne. Poproszę, żeby sąd zajął się tym, kiedy mój ojciec, pan Rusty, wyzdrowieje, czyli w przyszłym tygodniu. Nie będziesz musiała nic mówić. Ja będę mówić za ciebie. Rozumiesz?

– Pani tata powiedział, żebym z nikim nie rozmawiała i nie rozmawiałam. Odezwałam się tylko do strażników, kiedy zrobiło mi się niedobrze. – Skuliła ramiona jeszcze bardziej. – Byli dla mnie dobrzy. Wszyscy dobrze mnie tutaj traktowali.

– Prócz tych złych?

– Tak, proszę pani, źli też byli.

Sam zerknęła w notatki. Rusty miał rację. Kelly była zbyt miła i zgodna. Sprawiała wrażenie, że nie rozumie powagi sytuacji. Powinna zostać przebadana pod kątem możliwości intelektualnych. Sam była pewna, że znajdzie w Nowym Jorku kogoś, kto zrobi to pro bono.

– Pani Quinn, czy mama i tata wiedzą, że tu jestem?

– Tak. – Sam zdała sobie sprawę, że Kelly tkwi tu od dwudziestu czterech godzin. – Twoi rodzice nie mogą cię odwiedzić w areszcie do czasu odczytania aktu oskarżenia, ale bardzo chcą cię zobaczyć.

– Są źli na to, co się stało?

– Martwią się o ciebie. – Sam mogła się opierać tylko na przypuszczeniach. – Bardzo cię kochają. Bez względu na wszystko przejdziecie przez to razem.

Wargi Kelly zadrżały. Łzy popłynęły jej z oczu.

– Ja też ich kocham.

Sam odchyliła się na krześle. Przypomniała sobie Douglasa

Pinkmana, który dopingował ją na każdych zawodach, nawet kiedy była już w szkole średniej. Jej własny ojciec robił to niezmiernie rzadko.

A teraz siedziała naprzeciw dziewczyny, która zamordowała Douglasa Pinkmana.

- Twoi rodzice będą na górze w sali sądowej, ale nie będziesz mogła ich dotknąć ani z nimi rozmawiać. Możesz im tylko powiedzieć „dzień dobry”. - Sam miała nadzieję, że w sali rozpraw nie ma kamer. Musiała zawczasu uprzedzić rodziców Kelly. - Kiedy wrócisz do więzienia, będą mogli cię odwiedzać. Pamiętaj, że wszystko, co powiesz rodzicom albo komuś innemu podczas pobytu w więzieniu, nie będzie tajemnicą. Czy w pokoju odwiedzin, czy przez telefon, ktoś zawsze słucha. Nie mów z nimi o tym, co się wczoraj stało. Rozumiesz?

- Tak, proszę pani, ale czy ja mam kłopoty?

Sam usiłowała znaleźć w twarzy dziewczyny jakieś oznaki przebiegłości czy wyrachowania.

- Kelly, czy pamiętasz, co się stało wczoraj rano?

- Tak, proszę pani. Zabiłam dwoje ludzi. Miałam w rękach broń.

Sam szukała u niej oznak wyrzutów sumienia, ale nie zobaczyła. Miała wrażenie, że Kelly opowiada o tym zdarzeniu, jakby dotyczyło kogoś innego.

- Dlaczego... - Przerwała, żeby odpowiednio sformułować pytanie. - Znałaś Lucy Alexander?

- Nie, proszę pani. Chyba chodziła do podstawówki, bo była mała.

Sam otworzyła usta i wciągnęła w płuca trochę powietrza.

- A pana Pinkmana?

- Słyszałam, jak ludzie mówili, że nie jest złym człowiekiem, ale nigdy nie byłam w gabinecie dyrektora.

Przypadkowość ofiar pogarszała sprawę.

- Zatem oboje, pan Pinkman i Lucy Alexander, znaleźli się w holu w nieodpowiednim czasie?

- Chyba tak. Już mówiłam, że rewolwer był w moich rękach, a potem pan Huckabee schował go w spodnie.

Serce Sam omal nie wyskoczyło jej z piersi. Spojrzała na timer w telefonie. Upewniła się, że za drzwiami nie widać cienia.

- Powiedziałaś mojemu ojcu to co teraz mnie?

- Nie, proszę pani. Wczoraj niewiele powiedziałam pani tacie. Byłam zmartwiona, że trzymają mnie w szpitalu, na dodatek bolał mnie brzuch. Mówili, że chcą mnie zatrzymać na noc, a ja wiem, że to dużo kosztuje.

Sam zamknęła notes, zabezpieczyła pióro nasadką, zdjęła szkła do czytania i włożyła zwykłe okulary.

Była w nietypowej sytuacji. Obrońca nie może dopuścić do zeznań klienta, jeśli wie, że klient będzie kłamał. Ta zasada wyjaśnia, dlaczego adwokaci nigdy nie chcą poznać od swoich klientów całej prawdy. Cała prawda rzadko kiedy służy efektywnej obronie. Wszystko, co powiedziała Kelly, miało pozostać tajemnicą, ale ponieważ nie do Sam należało powoływanie świadków ani przesłuchiwanie świadków strony przeciwnej, nie miała związanych rąk. Mogła po prostu przemilczeć szkodliwe fakty przy relacjonowaniu tej rozmowy

Rusty'emu i pozwolić, żeby on zajął się resztą.

- Mój wujek Shane zmarł w szpitalu i jego żona i dzieci musiały wyprowadzić się z domu, bo rachunek był bardzo wysoki.

- Nie policzą ci nic za pobyt w szpitalu - uspokoiła ją Sam.

Kelly uśmiechnęła się, odsłaniając drobne białe ząbki.

- Czy moi rodzice o tym wiedzą? Na pewno poczują ulgę.

- Dopilnuję, żeby się dowiedzieli.

- Dziękuję, pani Quinn. Doceniam wszystko, co pani i pani tata robicie dla mnie.

Sam bawiła się piórem. Przypomniała sobie coś, co usłyszała w wieczornym serwisie informacyjnym.

- Wiesz, czy w gimnazjum są kamery monitoringu?

- Tak, proszę pani. Jest jedna na każdym korytarzu, tylko ta przed sekretariatem jest uszkodzona i nie pokazuje całego korytarza.

- Na korytarzu jest martwa strefa?

- Nie wiem, czy tak to się nazywa, ale kamera nie widzi tego, co jest dalej za połową holu.

- Skąd wiesz?

Kelly uniosła ramiona, po długiej chwili je opuściła.

- O tym wiedzą wszyscy.

- Kelly, czy masz w szkole wielu przyjaciół?

- Chodzi pani o znajomych?

- Jasne. - Sam pokiwała głową.

- Wydaje mi się, że znam wszystkich. Byłam w tej szkole długo. - Uśmiechnęła się. - Ale nie tak długo, żeby zostać prawnikiem.

Sam odwzajemniła jej uśmiech.

- Czy jest ktoś, z kim znasz się bliżej?

Kelly poczerwieniała.

Sam знаła ten rodzaj rumieńca. Otworzyła notatnik.

- Możesz podać mi jego imię - powiedziała. - Nikomu nie powtórzę.

- Adam Humphrey. - Było widać, że Kelly chce o nim mówić.

- Ma brązowe włosy i oczy, nie jest bardzo wysoki, ale jeździ camaro. Ale już nie chodzimy razem. Już nie jesteśmy parą.

- A dziewczyny? Masz jakieś przyjaciółki?

- Nie, proszę pani. Nie takie bliskie, żeby zapraszać do domu. W podstawówce była Lydia Phillips, ale się wyprowadziła, kiedy jej tatę przenieśli.

Sam zanotowała tę informację.

- Czy są nauczyciele, których znasz lepiej?

- Pan Huckabee pomagał mi w historii, ale już tego nie robi. Doktor Jodie powiedział, że da mi więcej zadań, żebym nadrobiła lekcje z zeszłego tygodnia, ale jeszcze mi ich nie dał. A pan Pinkman... - Kelly szybko spuściła głowę.

Sam dokończyła linijkę i odłożyła pióro. Skupiła się na obserwacji Kelly.

Dziewczyna sprawiała wrażenie nieobecnej.

- Czy pan Pinkman pomagał ci w angielskim?

Kelly nie odpowiedziała, nawet nie podniosła głowy. Włosy zakryły jej twarz. Sam usłyszała pociąganie nosem. Ramiona Kelly drżały. Płakała.

- Kelly, dlaczego płaczesz?

- Bo pan Pinkman nie był złym człowiekiem. - Znowu

pociągnęła nosem. – A ta dziewczynka była dzieckiem.

Sam złączyła dłonie i oparła łokcie na stole.

– Dlaczego wczoraj rano przyszedłaś do gimnazjum?

– Dlatego że... – wymamrotała Kelly.

– Dlaczego?

– Bo przyniosłam broń ze schowka taty w aucie. I miałam ją w ręce, kiedy zabiłam dwoje ludzi.

Prokurator w głowie Sam chciał ją docisnąć, ale nie była tu po to, żeby złamać tę dziewczynę.

– Kelly, na pewno masz już dość, że ciągle to powtarzam, ale to ważne. Nie możesz powiedzieć nikomu tego, co powiedziałaś mnie. Dobrze? Ani rodzicom, ani przyjacielom, ani obcym, a szczególnie nikomu, kogo spotkasz w areszcie.

– Oni nie są moimi przyjaciółmi. Tak powiedział pan Rusty. – Głos Kelly dobiegał stłumiony zza kaskady gęstych włosów. – Mogą wpakować mnie w kłopoty, żeby sami nie mieli kłopotów.

– Racja. Tutaj nikt nie jest twoim przyjacielem. Ani strażniczki, ani koleżanki z celi, ani dozorca, ani nikt inny.

Kelly znowu pociągnęła nosem. Kajdanki ponownie brzęknęły pod stołem.

– Z nikim nie rozmawiałam. Trzymałam to dla siebie i trzymam.

Sam wyjęła z torebki ostatnie chusteczki i podała je Kelly.

– Porozmawiam z twoimi rodzicami, zanim się z nimi zobaczysz. Powiem im, żeby nie pytali cię o to, co się stało. – Zakładała, że Rusty już uświadomił to Wilsonom, ale przed wyjazdem z miasta miała zamiar im to powtórzyć. – Wszystko, co powiedziałaś mi o wczorajszym dniu, zostaje między nami.

Rozumiesz?

- Tak. - Kelly pociągnęła nosem.

- Wydmuchaj nos. - Sam odczekała, aż dziewczyna wykona polecenie. - Opowiedz mi o Adamie Humphreyu. Poznałaś go w szkole?

Kelly potrząsnęła przecząco głową. Sam ciągle nie widziała jej twarzy, tylko patrzyła na czubek jej głowy.

- Poznałaś go poza szkołą? Na przykład w kinie albo w kościele?

Znowu zaprzeczenie.

- Opowiedz mi o kronice klasowej, którą trzymałaś w garderobie.

Kelly raptownie uniosła głowę. Sam spodziewała się złości, ale zamiast niej ujrzała strach.

- Proszę nikomu nie mówić.

- Nie powiem - obiecała Sam. - Pamiętaj, że to tajemnica.

Kelly trzymała chusteczkę w ręce i wytarła nos w rękaw.

- Powiesz mi, dlaczego inni napisali o tobie takie rzeczy? - poprosiła Sam.

- Bardzo złe rzeczy.

- Nie uważam, żeby czyny, które opisywali, były złe. Uważam, że ludzie, którzy o nich napisali, są bardzo okrutni.

Kelly wyglądała na zaskoczoną. Sam nie mogła jej winić. Nie miała czasu na wygłoszenie osiemnastoletniej zabójczynie prelekcji o feminizmie.

- Dlaczego ludzie napisali o tobie takie rzeczy? - powtórzyła.

- Nie wiem, proszę pani. Musi pani ich zapytać.

- Czy niektóre z tych rzeczy to prawda?

Kelly wbiła wzrok w stół.

- Nie tak, jak mówili, ale może coś podobnego.

Sam zastanowiła ta zmiana frazy. Dziewczyna nie była aż tak ograniczona umysłowo, żeby nie móc ściemniać.

- Byłaś zła, że tak się ciebie czepiają?

- Nie. Było mi przykro, bo to osobiste sprawy, a ja nie znałam większości tych ludzi. Ale to było dawno. Większość już mogła skończyć szkołę.

- Czy mama widziała tę książkę?

Kelly otworzyła szeroko oczy. Tym razem wyglądała na przestraszoną.

- Proszę, niech pani nie pokazuje tego mamie.

- Nie pokażę - przyrzekła Sam. - Pamiętasz, jak ci mówiłam, że wszystko, co mi powiesz, jest poufne?

- Nie.

Sam poczuła ukłucie w lewej brwi.

- Kiedy tu weszłam, wyjaśniłam ci, kim jestem, że pracuję z moim ojcem i że oboje złożyliśmy przysięgę zachowania poufności.

- Nie, proszę pani. Nie pamiętam tej ostatniej części.

- Poufność oznacza, że nie mogę zdradzić twoich tajemnic.

- Och tak, dobrze, to samo powiedział pani tata. O tajemnicach.

Sam sprawdziła czas. Zostały niecałe cztery minuty.

- Kelly, słyszałam, że wczoraj rano zaraz po strzelaninie, kiedy pan Huckabee prosił, żebyś oddała mu rewolwer, coś mu powiedziałaś i być może usłyszał to też policjant, który stał

blisko was. Pamiętasz, co powiedziałaś?

- Nie, proszę pani. Po tym wszystkim nie chciało mi się rozmawiać.

- Coś powiedziałaś - nie dawała za wygraną. - Policjant cię słyszał. Pan Huckabee cię słyszał.

- W porządku. - Kelly powoli skinęła głową. - Coś powiedziałam.

Sam była zdziwiona tą szybką zmianą.

- Pamiętasz co?

- Nie wiem. Nie pamiętam, żebym to mówiła.

Sam wyczuwała w Kelly chęć odpowiedzi. Przeformułowała więc pytanie.

- Kelly, wczoraj rano w holu powiedziałaś panu Huckabee i policjantowi, że szafki są niebieskie?

- Tak, proszę pani - Kelly podchwyciła tę sugestię. - Są niebieskie.

Sam zaczęła kiwać głową.

- Wiem, że są niebieskie. Ale to powiedziałaś w tamtej chwili? Naprawdę powiedziałaś im, że szafki są niebieskie? Właśnie to usłyszeli od ciebie pan Huckabee i policjant? Że szafki są niebieskie?

Kelly potakiwała przy każdym pytaniu.

- Tak, to powiedziałam.

Sam wiedziała, że dziewczyna kłamie. W tamtej chwili wczoraj rano Kelly Wilson właśnie zastrzeliła dwoje ludzi. Jej były nauczyciel prosił, żeby oddała narzędzie zbrodni. Policjant na pewno celował jej w głowę z broni służbowej. Kelly nie zatrzymała się, żeby kontemplować wystrój

szkolnego korytarza.

- Pamiętasz, jak mówisz im obu, że szafki są niebieskie?

- Tak, proszę pani. - Kelly wydawała się tak pewna odpowiedzi, że mogłaby oszukać wykrywacz kłamstw.

- Dobrze, więc pan Huckabee tam był - powiedziała Sam, zastanawiając się, jak bardzo może przycisnąć dziewczynę. - I pan Pinkman też. Był tam ktoś jeszcze? Ktoś, kogo nie rozpoznałaś?

- Była kobieta w koszulce z diabłem. - Kelly dotknęła klatki piersiowej. - Diabeł miał niebieską maskę i na tej masce było napisane „Diabły”.

Sam ciągle pamiętała pakowanie rzeczy Charlie po zakończonej katastrofą wizycie w Nowym Jorku. Na każdej koszulce Charlie widniała jakaś wariacja logo Duke Blue Devils.

- Kobieta w koszulce Diabłów. Czy zrobiła komuś krzywdę?

- Nie, proszę pani. Siedziała tam naprzeciwko pani Pinkman i patrzyła na jej ręce.

- Jesteś pewna, że nikogo nie skrzywdziła? To bardzo ważne - powiedziała Sam dobitnie. - Musisz mi powiedzieć, czy kobieta w koszulce z Diabłami zrobiła komuś krzywdę.

- Hm. - Kelly wpatrywała się w twarz Sam w oczekiwaniu na wskazówki. - Nie wiem, czy zrobiła, bo siedziałam.

Bardzo powoli Sam znowu zaczęła kiwać głową.

- Myślę, że widziałaś, jak kobieta w koszulce z Diabłami robi komuś krzywdę, chociaż siedziałaś. Dowód pokazuje, że ją widziałaś. Nie ma sensu kłamać.

Niepewność Kelly wróciła.

- Nie chcę pani okłamywać. Wiem, że chce mi pani pomóc.
- Więc powiedz prawdę. - W głosie Sam była stanowczość.
- Tak, proszę pani. - Kelly też skinęła głową. - Kiedy teraz o tym myślę, to może komuś zrobiła krzywdę.

- Tobie?

Kelly zawahała się. Spojrzała na minę Sam z nadzieją na jakąś odpowiedź.

- Może?

- Nie mogę użyć słowa „może”, żeby ci pomóc, Kelly. - Sam podjęła kolejną próbę. - Widziałas, jak kobieta w niebieskiej koszulce z Diabłami zrobiła krzywdę komuś innemu, kto był na korytarzu.

- Tak, proszę pani. - Kelly robiła teraz wrażenie pewniejszej siebie. Kiwała głową, jakby ten ruch wspomagał proces myślenia. - To widziałam.

- Czy kobieta z Diabłami skrzywdziła panią Pinkman? - zapytała Sam i pochyliła się ku Kelly. - Ponieważ pani Pinkman tam była. Powiedziałaś mi to parę chwil temu. Myślisz, że kobieta z Diabłami mogła skrzywdzić panią Pinkman?

- Tak myślę. - Kelly nie przestawała kiwać głową, ponieważ działała według wzorca. Najpierw zaprzeczała jakiemuś stwierdzeniu, potem przyznawała, że może być prawdą, na końcu uznawała je za prawdziwe. Sam musiała tylko mówić zdecydowanym tonem, podsunąć dziewczynie odpowiedź, skinąć kilka razy, a potem poczekać, aż bezmyślnie powtórzone kłamstwo wróci do niej.

- Według naocznego świadka, Kelly, dokładnie widziałas, co zrobiła kobieta z Diabłami.

- Dobrze, już powiem. Widziałam, że ona ją skrzywdziła.

- Jak kobieta z Diabłami skrzywdziła panią Pinkman? - Sam zamachała ręką, usiłując wymyślić jakieś przykłady. - Kopnęła ją? Uderzyła pięścią?

- Uderzyła ją ręką.

Sam spojrzała na rękę, którą machała w powietrzu, pewna, że ten ruch podsunął Kelly odpowiedź.

- Jesteś pewna, że widziałaś, jak kobieta z Diabłami uderzyła panią Pinkman?

- Tak, proszę pani. Było tak, jak pani mówi. Uderzyła ją w twarz. Słyszałam ten dźwięk. Doleciał do mnie przez cały hol.

Sam zdała sobie sprawę z ogromu kłamstwa. Bezmyślnie wrobiła własną siostrę w napaść.

- Widziałaś na własne oczy, jak kobieta z Diabłami uderzyła panią Pinkman w twarz?

Kelly nieprzerwanie kiwała głową. Miała łzy w oczach. Chciała zadowolić Sam, jakby dzięki temu mogła poznać sekret wyrwania się z tego koszmaru.

- Przepraszam - szepnęła.

- Nic się nie stało. - Sam postanowiła odpuścić, ponieważ przeprowadzone doświadczenie dowiodło jej racji. Naprowadzana pytaniami sugerującymi odpowiedź i zadawanymi odpowiednim tonem, Kelly Wilson najpewniej by powiedziała, że Charlie zamordowała Judith Pinkman gołymi rękami.

Dziewczyna okazała się tak bardzo podatna na sugestię, że można ją było zahipnotyzować.

Sprawdziła czas. Zostało dziewięćdziesiąt sekund plus minuta zapasowa.

- Czy policjanci rozmawiali z tobą, zanim zrobił to pan Rusty?

- Tak, proszę pani. Rozmawiali ze mną w szpitalu.

- Przeczytali ci twoje prawa, zanim zaczęli rozmawiać? - Z miny Kelly wynikało, że nie zrozumiała pytania. - Czy powiedzieli: „Masz prawo zachować milczenie. Masz prawo do adwokata”? Powiedzieli ci coś takiego?

- Nie, proszę pani, nie w szpitalu, bo bym to pamiętała z telewizji.

Sam znowu pochyliła się ku niej.

- Kelly, to bardzo ważne. Czy powiedziałaś coś policji, zanim rozmawiałaś z moim ojcem?

- Mówił do mnie taki jeden starszy pan. Jechał ze mną karetką do szpitala. A potem został w moim pokoju. Chciał być pewien, że wszystko ze mną dobrze.

Sam wątpiła w troskę mężczyzny o zdrowie Kelly.

- Odpowiedziałaś na któreś z jego pytań? Czy cię przesłuchiwał?

- Nie wiem.

- Miałaś na rękach kajdanki, kiedy z tobą rozmawiał?

- Nie jestem pewna. Pyta pani o karetkę?

- Tak.

- Nie, wtedy nie. Nie pamiętam.

- Pamiętasz dokładnie moment, w którym cię skuli?

- W pewnym momencie.

Sam miała ochotę cisnąć piórem przez pokój.

- Kelly, to bardzo ważne, żebyś sobie przypomniała. Czy przesłuchiwali cię w szpitalu przed przyjazdem mojego ojca, który powiedział ci, żebyś nie odpowiadała na żadne pytania?

- Przepraszam panią. Niewiele pamiętam z wczoraj.

- Ale ten starszy facet był przy tobie cały czas?

- Tak, proszę pani. Kiedy musiał iść do łazienki, przyszedł policjant i siedział przy mnie.

- Czy ten starszy facet miał na sobie policyjny mundur?

- Nie, proszę pani. Miał garnitur i krawat.

- Podał swoje nazwisko?

- Nie, proszę pani.

- Pamiętasz, kiedy przeczytali ci twoje... Pamiętasz, kiedy powiedzieli: „Masz prawo zachować milczenie. Masz prawo do adwokata”? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, Sam zapytała jeszcze raz: - Kelly, czy pamiętasz, kiedy usłyszałaś od nich te słowa?

Kelly zrozumiała, że to ważne.

- Może w radiowozie w drodze do więzienia dzisiaj rano?

- Nie w szpitalu?

- Nie, proszę pani. To było dzisiaj rano, ale nie wiem dokładnie kiedy.

Sam odchyliła się na krześle. Na gorąco analizowała sytuację. Jeśli Kelly nie odczytano jej praw aż do dzisiejszego poranka, wtedy wszystko, co powiedziała do tego czasu, nie mogło być dopuszczone w sądzie jako dowód.

- Jesteś pewna, że pierwszy raz pouczyli cię o twoich prawach dopiero dzisiaj rano?

- Dzisiaj rano ten starszy facet to zrobił. - Wzruszyła

szczupłymi ramionami. - Może jeśli zrobił to wcześniej, zobaczy to pani na taśmie wideo.

- Jakiej taśmie wideo?

- Tej, na której nagrali mnie w szpitalu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sam siedziała sama przy stole obrony. Złożoną laskę schowała do torebki, którą postawiła na ziemi. Przeglądała notatki z rozmowy z Kelly Wilson, udając, że nie ma pojęcia o obecności co najmniej stu osób siedzących za jej plecami. Nie miała wątpliwości, że większość obecnych na sali sądowej to miejscowi. Żar ich rozpalonej do białości nienawiści sprawił, że pot ciekł jej strużką po plecach.

Wśród nich mógł siedzieć człowiek, który dźgnął Rusty'ego nożem.

Sądząc po gorączkowych szeptach, domyślała się, że wielu z tych ludzi chętnie i ją potraktowałoby nożem.

Ken Coin zakasłał, zasłaniając usta dłonią. Prokuratorowi okręgowemu towarzyszyła istna falanga: facet o nalanej młodzieńczej twarzy, starszy mężczyzna ze szczotkowanym wąsem i obowiązkowo urodziwa młoda blondynka. W Nowym Jorku tego typu kobieta nosiłaby świetnie skrojony kostium i drogie szpilki. Miejscowa wersja przypominała bardziej katolicką zakonnicę.

Ken znowu zakasłał. Chciał skłonić Sam, żeby na niego spojrzała. Nie miała zamiaru dać mu tej satysfakcji. Zdawkowy uścisk ręki był wszystkim, na co mu pozwoliła. Wdzięczność, na jaką we własnym mniemaniu zasłużył za przyłożenie ręki do śmierci Daniela Culpeppera, rozplynęła się w morzu jego niegodziwości. Sam nie mieszkała w Pikeville i nie zamierzała tu wracać. Nie miała powodu udawać uznania

dla tego odrażającego krętacza. Coin był typem prokuratora, który psuł opinię całemu środowisku zawodowemu. Nie tylko dlatego, że manipulował procedurami. Przede wszystkim z powodu taśmy wideo, którą nagrał w szpitalu.

Cokolwiek było na nagraniu, mogło zaprowadzić Kelly Wilson do celi śmierci.

Trudno było stwierdzić, co powiedziała. Bazując na kilkunastominutowej rozmowie, Sam nie miała wątpliwości, że można skłonić Kelly do przyznania się do zabójstwa Abrahama Lincolna. Kwestią prawną do rozstrzygnięcia, być może najważniejszą z punktu widzenia Rusty'ego, była decyzja o dopuszczeniu na procesie lub odrzuceniu filmu z Kelly. Jeśli Kelly nie odczytano jej praw przed utwaleniem jej odpowiedzi na nagraniu, albo jeśli stałoby się jasne, że ich nie rozumiała, ława przysięgłych nie powinna zobaczyć nagrania.

Z formalnego punktu widzenia tak to powinno zadziałać.

Ale to była kwestia prawna. Są sposoby na obejście takich przeszkód.

Ken Coin dowodziłby, że odczytanie praw nie musiało nastąpić, ponieważ Kelly złożyła oświadczenie dobrowolnie. Na tej ścieżce prawnej istniała jednak gigantyczna przeszkoda. Aby dopuścić nagranie w sądzie, Coin musiał wykazać, że rozsądnie myśląca osoba - na szczęście nie sama Kelly Wilson - przyjęła, że Kelly nie była aresztowana podczas nagrywania oświadczenia. Jeśli Kelly wierzyła, że jest aresztowana, że wkrótce zakują ją w kajdanki, pobiorą odciski palców i zrobią zdjęcie do kartoteki policyjnej, wtedy obecni przy tym policjanci mieli obowiązek poinformować ją

o przysługujących jej prawach.

Zatem nieodczytanie Kelly praw mogło skutkować niedopuszczeniem filmu jako dowodu.

Tak przynajmniej to powinno wyglądać.

W systemie istniały inne słabe ogniwa, włączając nastrój sędziego. Bardzo rzadko w ławach sędziowskich zasiadali całkowicie bezstronni ludzie. Zwykle skłaniali się ku stronie oskarżenia albo stronie obrony. Żaden sędzia nie lubił odwołań od własnych wyroków, ale w miarę jak sprawa przechodziła do wyższych instancji, coraz trudniej było wykazać pomyłkę popełnioną na niekorzyść oskarżonego.

Żaden sędzia nie lubił zmieniać decyzji sędziego niższej instancji.

Sam zamknęła notes i zerknęła przez ramię. Wilsonowie siedzieli z Lenore. Sam rozmawiała z nimi niecałe pięć minut przed wpuszczeniem do sali publiczności. Rozległ się trzask migawek aparatów, gdy fotografowie zauważyli, że nawiązała kontakt wzrokowy z rodzicami zabójczyni. Zabroniono wnoszenia kamer wideo, ale wielu reporterów rejestrowało wszystko pisakami elektronicznymi z funkcją nagrywania.

Te warunki nie sprzyjały posyłaniu dodającego otuchy uśmiechu. Sam ograniczyła się do skinięcia głową najpierw Avie, potem Ely'emu. Oboje odpowiedzieli tym samym. Z zaciśniętymi szczękami siedzieli przywarci do siebie. Mieli na sobie nowe ubrania z zagnieceniami od wieszaków na rękawach i plecach. Pierwsze ich pytanie do Sam dotyczyło samopoczucia Kelly, drugie terminu jej powrotu do domu.

Sam nie potrafiła udzielić im konkretnej odpowiedzi.

Wilsonowie przyjęli ten brak konkretności z rezygnacją, która wydawała się głęboko zakorzeniona w ich duszach. Należeli do zapomnianej grupy biednych wiejskich ludzi. Przywykli do czekania na działanie systemu, zwykle nie na ich korzyść. Ich puste spojrzenia przypominały Sam zdjęcia uchodźców w gazetach. Może istniało między nimi podobieństwo. Ava i Ely Wilsonowie byli kompletnie zagubieni, wrzuceni w środek nieznanego im świata, pozbawieni poczucia bezpieczeństwa, spokoju i tego wszystkiego, co składało się na ich codzienność.

Sam przypomniała sobie, że Lucy Alexander i Douglasa Pinkmana też czegoś pozbawiono.

Lenore pochyliła się ku Avie i coś jej szepnęła, na co Ava skinęła głową. Sam spojrzała na zegarek. Zbliżała się pora wysłuchania.

Nadejście Kelly Wilson oznajmił szcęk łańcuchów, zupełnie jakby po drugiej stronie ściany znalazł się Święty Mikołaj z saniami. Gdy strażnik sądowy otworzył drzwi, strzeliły migawki aparatów, a przez salę przebiegł szmer głosów.

Kelly wprowadziło czterech uzbrojonych strażników. Każdy z nich był tak potężny, że ona sama niknęła wśród tej góry mięśni. Mogła tylko szurać nogami, ponieważ skuli jej nie tylko ręce, ale i nogi. Strażnik po prawej trzymał ją za chude ramię. Palce jego wielkiej dłoni zachodziły na siebie. Muskularny olbrzym mógł jedną ręką unieść Kelly i posadzić ją na krześle.

Sam była zadowolona, że akurat on stał obok Kelly, pod którą nogi się ugięły na widok rodziców. Potężny strażnik uchronił ją przed upadkiem na podłogę. Kelly zaczęła zawodzić.

- Mamo... - Próbowwała wyciągnąć do niej rękę, ale nie mogła, ponieważ ręce miała przykute do tułowia. - Tato! - krzyknęła. - Proszę!

Sam wstała i ku własnemu zdumieniu błyskawicznie znalazła się przy niej. Nie miała pojęcia, jakim cudem przemieściła się tak szybko. Złapała Kelly za rękę.

- Spójrz na mnie.

Kelly nie odrywała wzroku od rodziców.

- Mamo, przepraszam. Tak mi przykro.

Sam ścisnęła jej rękę mocniej, żeby poczuła ból.

- Spójrz na mnie - powtórzyła ostrzej.

Tym razem pomogło. Kelly zareagowała. Miała twarz mokrą od łez, ciekło jej z nosa, szczękała zębami.

- Jestem tutaj - powiedziała Sam, trzymając ją mocno za rękę. - Wszystko w porządku. Patrz na mnie.

- W porządku? - zapytał strażnik sądowy. Był starszym mężczyzną, ale trzymał dłoń na paralizatorze w sposób znamionujący pewność i zdecydowanie.

- Tak, w porządku - odparła Sam.

Strażnicy zdjęli łańcuchy z kostek, nadgarstków i pasa Kelly.

- Nie dam rady - szepnęła.

- Wszystko dobrze - powtórzyła Sam, pragnąc, żeby to była prawda. - Przypomnij sobie, co mówiłyśmy o ludziach, którzy na ciebie patrzą.

Kelly skinęła głową. Wytarła nos w rękaw, nie puszcżając rąk Sam.

- Musisz być silna. Nie martw rodziców. Chcą, żebyś była dzielna. Zgoda?

Kelly ponownie skinęła głową.

- Tak, proszę pani.

- Wszystko dobrze - powtórzyła Sam.

Gdy łańcuchy uderzyły o ziemię, jeden ze strażników podniósł je.

Sam przywarła do ramienia Kelly, gdy zmierzały do stołu. Sam usiadła, strażnik usadził Kelly na krześle obok.

Kelly odwróciła się do rodziców.

- Wszystko dobrze - powiedziała drżącym głosem. -
Wszystko dobrze.

Otworzyły się drzwi, za którymi mieścił się pokój sędziego.

- Proszę wstać, wchodzi sędzia Stanley Lyman -
zaanonsowała urzędniczka sądowa.

Sam skinęła w stronę Kelly, dając jej znak, żeby wstała. Kiedy sędzia szedł na swoje miejsce, Kelly znowu złapała ją za rękę. Miała dłonie mokre od potu.

Stan Lyman był w wieku Rusty'ego, tyle że nie miał w sobie jego sprężystości. Sędziowie reprezentowali rozmaite typy ludzkie. Niektórzy po prostu zajmowali swoje miejsce w ławie sędziowskiej. Inni w chwili wejścia próbowali zaznaczyć swoją przewagę. Stan Lyman zaliczał się do tej drugiej grupy. Z grymasem niezadowolenia na twarzy omiótł wzrokiem galerię i zatłoczony stół strony oskarżającej. Zatrzymał spojrzenie na Sam. Automatycznie otaksował każdą część jej ciała, jakby poddawał ją rezonansowi magnetycznemu. Od ostatniego badania lekarskiego Sam nie była obiektem tego typu męskiej inspekcji wzrokowej.

Lyman uderzył młotkiem w podkładkę, nie spuszczać z niej

wzroku.

- Proszę usiąść.

Sam usiadła, ciągnąc Kelly. Nieprzyjemne harce żołądka wróciły. Zastanawiała się, czy Charlie obserwuje wszystko z galerii.

Urzędniczka sądowa zaczęła:

- Sprawa numer OA 15-925, hrabstwo Dickerson przeciwko Kelly Rene Wilson, postawienie w stan oskarżenia. - Zwróciła się do Kena Coina. - Proszę podać swoje dane w celu zaprotokołowania.

Coin wstał i zwrócił się do sędziego:

- Dzień dobry, Wysoki Sądzie. Kenneth C. Coin, Warren Nickelby, Eugene „Cotton” Henderson i Kaylee Collins w imieniu hrabstwa.

Lyman skinął mu ze srogą miną.

- Dzień dobry.

Sam podniosła się z miejsca.

- Wysoki Sądzie, Samantha Quinn w imieniu obecnej tu panny Wilson.

- Dzień dobry. - Lyman skinął głową z tą samą srogą miną. - Dzisiejsze odczytanie zarzutów będzie uznane za rozprawę wstępną. Panno Wilson, proszę o powstanie. Nastąpi odczytanie zarzutów.

Sam skinęła na Kelly, żeby stanęła obok niej. Dziewczyna znowu cała się trzęsła. Sam nie wzięła jej za rękę. W najbliższych latach Kelly czekały częste wizyty w sądzie. Musiała nauczyć się stać na własnych nogach.

- Pani Quinn. - Lyman wpatrywał się w Sam z wysokości

sędziowskiego stołu. Wyszedł poza schemat działania. – Proszę, żeby w mojej obecności zdejmowała pani okulary słoneczne na sali sądowej.

Sam przeżyła chwilę kompletnej dezorientacji. Od tak dawna nosiła przyciemniane szkła, że w ogóle o tym nie pamiętała.

– Wysoki Sądzie, to moje okulary korekcyjne. Są przyciemnione z powodu stanu moich oczu.

– Proszę podejść – przywołał ją gestem – i mi je pokazać.

Sam poczuła w piersi szaleńcze łomotanie serca. W jej plecy wpatrywało się sto par oczu, aparaty trzaskały, reporterzy notowali każde słowo. Ken Coin znowu zakasłał, ale nie potwierdził jej słów.

Sam zostawiła złożoną laskę w torebce. Kuśtykając do sędziego, przeżywała katusze publicznego upokorzenia. Migawki aparatów brzmiały jak koncert dziesiątek koników polnych pocierających odnóża o odwłok. Te zdjęcia miały wylądować w gazetach, może w internecie, gdzie zobaczą je koledzy Sam. Teksty ilustrowane tymi zdjęciami na pewno będą drażnić temat okularów i szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego Sam musi je nosić. Zapełniający galerię miejscowi chętnie zdradzą interesujące szczegóły. Uważnie obserwowali chód Sam, usiłując ocenić szkody, jakie wyrządziła kula.

Była cyrkowym dziwadłem pokazywanym jako dodatkowa atrakcja.

Drżącą ręką zdjęła okulary. Jaskrawe światło jarzeniówek raziło ją w oczy.

– Proszę uważać, nie mam zapasowej pary – zwróciła się do

sędziego, podając mu szkła.

Lyman wziął je od niej niedbałym ruchem i uniósł na wysokość oczu.

- Czy nie poinformowano pani, że na moich rozprawach obowiązuje stosowny strój?

Sam spojrzała na swoje ubranie, tę samą wariację czarnej jedwabnej bluzki i szerokich spodni, które nosiła na co dzień.

- Słucham?

- Co pani ma na sobie?

- To Armani - wyjaśniła sędziemu. - Czy mogę dostać z powrotem okulary?

Lyman odłożył je na stół z donośnym stukiem.

- Może pani wrócić na miejsce.

Sam sprawdziła, czy na szklach nie ma smug i plam. Włożyła okulary, odwróciła się i poszukała wzrokiem Charlie. Zamiast niej zobaczyła zmienione upływem czasu twarze, które zapamiętała z dzieciństwa.

Powrót był trudniejszy niż podejście do sędziowskiego stołu. Wyciągnęła rękę, żeby wesprzeć się na blacie stołu. W ostatniej chwili zauważyła Bena siedzącego na galerii tuż za Kenem Coinem. Mrugnął do niej i posłał uśmiech, dodając jej otuchy.

Kelly ujęła ją za rękę, gdy stanęła przy niej, i powtórzyła słowa Sam:

- Wszystko dobrze.

- Tak, dobrze. Dziękuję ci. - Sam pozwoliła jej trzymać się za rękę. Była zbyt roztrzęsiona, żeby w tej chwili dać jej swoje wsparcie.

Sędzia Lyman chrząknął kilka razy. Chociaż zorientował się, na co ją naraził, nie było to dla Sam żadnym pocieszeniem. Wiedziała z doświadczenia, że niektórzy sędziowie tuszują własne pomyłki, karząc prawników, którzy stali się źródłem tych pomyłek.

- Pani Quinn, czy odstępuje pani od wysłuchania pełnego tekstu oskarżenia przeciwko panie Wilson?

Sam korciło, żeby zaprzeczyć, ale odstępowanie od procedury przedłużyłoby tylko postępowanie sądowe.

- Tak - odparła krótko.

Lyman dał znak urzędniczce.

- Może pani zapoznać pannę Wilson z aktem oskarżenia i poinformować ją o przysługujących jej prawach.

Urzędniczka ponownie wstała.

- Kelly Rene Wilson, została pani aresztowana pod zarzutem dwukrotnego morderstwa pierwszego stopnia. Czy jest pani gotowa przedstawić wasze stanowisko?

- Wysoki Sądzie, proszę o odnotowanie, że oskarżona nie przyznaje się do winy.

Niedoinformowana publiczność wydała z siebie nerwowy śmiech. Lyman podniósł młotek, ale gwar ucichł, zanim uderzył nim w podkładkę.

Urzędniczka sądowa powiedziała:

- W imieniu oskarżonej złożono oświadczenie o nieprzyznaniu się do żadnego z zarzucanych jej czynów.

Gdy zwróciła się do Kelly, Sam dostrzegła w jej okrągłej twarzy coś znajomego. Pewnie następna zapomniana szkolna koleżanka. Nie ujęła się za Sam, kiedy sędzia zażądał od niej

okularów.

Urzędniczka mówiła dalej:

- Kelly Rene Wilson, ma pani prawo do sprawiedliwego i jawnego procesu. Ma pani prawo do obrony. Ma pani prawo do odmowy zeznań. Te prawa przysługują pani podczas całego procesu.

- Dziękuję. - Lyman opuścił rękę, a Sam kazała Kelly usiąść. Sędzia powiedział: - Podstawową kwestią, panie Coin, jest dla mnie pytanie, czy zostanie sformułowany nowy akt oskarżenia po zwołaniu ławy przysięgłych?

Sam notowała swoje uwagi, gdy Ken Coin podchodził do stołu sędziowskiego, powłócząc nogami. Kolejny podły trik obliczony na zaznaczenie dominacji. Najlepszym wyjściem było ignorowanie go, by nie dawać mu satysfakcji.

- Wysoki Sądzie - Coin oparł łokcie na stole sędziowskim - istnieje taka możliwość.

- Terminy są ustalone? - zapytał Lyman.

- Nie ostatecznie, Wysoki Sądzie. Na powołanie ławy przysięgłych są dwa tygodnie.

- Dziękuję, panie prokuratorze, może pan wrócić na miejsce. - Lyman był starym wygą. Znał sztuczki prawników. - Co z miejscem pobytu pozwanej do czasu procesu?

- Pozwana będzie czekać na proces albo w tutejszym więzieniu, albo w okręgowym, w zależności od tego, które uznamy za bezpieczniejsze dla niej.

- Pani Quinn? - zapytał sędzia.

Sam wiedziała, że nie ma szans na zwolnienie Kelly Wilson za kaucją.

- W tej chwili nie mam żadnych uwag w kwestii miejsca pobytu, Wysoki Sądzie. Chociaż w odniesieniu do wcześniejszego punktu, chcę zrzec się prawa panny Wilson do odczytania zarzutów w obecności ławy przysięgłych. - Kelly już mierzyła się z zarzutami o prawdopodobieństwie popełnienia podwójnego morderstwa pierwszego stopnia. Sam nie chciała powtarzać tego przed ławą przysięgłych. - Moja klientka nie chce opóźniać procedur.

- Bardzo dobrze. - Lyman znowu coś zanotował. - Panie Coin, czy chce pan traktować tę sprawę jako otwartą, to znaczy przekazać zebrane dowody i niczego nie ukrywać?

Coin wznosił ręce niczym uczeń Chrystusa.

- Jak zawsze, Wysoki Sądzie. O ile nie występowały szczególne okoliczności, policja zawsze przestrzegała reguły otwartości.

Sam poczuła wzbierający gniew. Przypomniała sobie, że o kasetę ze szpitala będzie walczył Rusty.

- Czy panią to satysfakcjonuje, pani Quinn? - zapytał Lyman.

- W tej chwili tak, Wysoki Sądzie. Jestem tu dzisiaj jako współbrońca. Wnioski do sądu będzie składał mój ojciec, jak tylko będzie w stanie.

Lyman odłożył pióro. Pierwszy raz w jego spojrzeniu nie było dezaprobaty.

- Jak się czuje pani ojciec?

- Rwie się do zapewnienia jak najlepszej obrony pannie Wilson, Wysoki Sądzie.

Lyman wykrzywił kącik ust, najwyraźniej niepewny tonu jej wypowiedzi.

- Czy jest pani świadoma, że to sprawa o zabójstwo zagrożone karą śmierci, w związku z czym prokurator może zażądać najwyższego wymiaru kary, bo takie przysługuje mu prawo?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Nie znam zwyczajów panujących tam, skąd pani pochodzi, ale tutaj tego rodzaju sprawy traktujemy z najwyższą powagą.

- Jestem z Winder Road, niecałe dziesięć kilometrów stąd, Wysoki Sądzie. Zdaję sobie sprawę z wagi zarzutów.

Lymanowi wyraźnie nie podobały się chichoty wśród publiczności.

- Dlaczego mam wrażenie, że nie działa pani do końca w charakterze współbrońcy jako zastępczyni swojego ojca? - Zrobił szeroki gest ręką. - Innymi słowy, jakby pani nie zamierzała brać dalej udziału w całym procesie.

- Według mnie podobną rolę Wysoki Sąd przypisał panu Grailowi. Zapewniam, że jestem w pełni zaangażowana w tę sprawę i będę wspierać pannę Wilson na wszystkie możliwe sposoby, oczywiście w ramach prawa.

- Dobrze. - Lyman uśmiechnął się. Sam poczuła, jak krew ścina jej się w żyłach, ponieważ wpadła wprost w zastawioną przez niego pułapkę. - Czy ma pani pytanie albo wątpliwość w kwestii zdolności oskarżonej do współpracy z panią czy zrozumienia natury przewodu sądowego?

- W tej chwili nie będę podnosić tego tematu, Wysoki Sądzie.

Lyman nie pozwolił jej tak łatwo się wykręcić.

- Rozweselmy się trochę, pani Quinn. Jeśli zamierza pani

jako współbrońca złożyć...

- Zrobiłabym to tylko na podstawie badań biegłych, Wysoki Sądzie.

- Badań biegłych? - Lyman spojrział na nią krzywo.

- Panna Wilson wykazała podatność na sugestię, Wysoki Sądzie, co prokuratura z pewnością potwierdzi.

Coin zerwał się z miejsca.

- Wysoki Sądzie, nie mogę...

Sam nie dała sobie przerwać.

- Panna Wilson ma ubogie słownictwo jak na osiemnastolatkę. Chciałabym poddać badaniu jej zdolności zapamiętywania wspomnień z zakresu komunikacji wzrokowej i niewerbalnej, posługiwania się językiem, deficytów w umiejętności wydobywania z pamięci słów i informacji oraz określić poziom jej rozwoju emocjonalnego i intelektualnego.

Coin wydał z siebie pogardliwe prychnięcie.

- I hrabstwo ma za to zapłacić?

Sam odwróciła się w jego stronę.

- Przed chwilą usłyszałam, że tutaj sprawy zagrożone karą śmierci traktuje się z najwyższą powagą.

Sala buchnęła gromkim śmiechem.

Dopiero po kilku uderzeniach sędziowskiego młotka publiczność ucichła. Sam poczuła leciutkie drgnięcie kącika ust, kiedy próbowała stłumić własny uśmiech. Sędziowie rzadko bawili się na sali sądowej. Lyman sprawował ten urząd tak długo, że pewnie widział już wszystko, a przynajmniej tak mu się wydawało.

- Wysoki Sądzie - zaczęła Sam, badając grunt - czy mogę

podnieść inną kwestię?

Lyman skinął wspaniałomyślnie głową, pokazując, ile swobody jej daje.

- Proszę.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Rodzice panny Wilson chcieliby wrócić do domu. Dobrze byłoby, gdyby prokuratura podała przybliżony termin opuszczenia domu po wykonaniu wszelkich czynności śledczych.

Ken Coin ponownie zerwał się z krzesła.

- Wysoki Sądzie, jak dotąd hrabstwo nie ustaliło przewidywanej daty zakończenia przeszukania miejsca zamieszkania Wilsonów. - Zdał sobie sprawę, że nie dorównuje Sam formalizmem języka. Odślonił zęby w szerokim uśmiechu adresowanym do Lymana. - Takie rzeczy bardzo trudno przewidzieć, panie sędzio. Potrzebujemy czasu na szczegółowe przeszukanie, starannie wykonane zgodnie z wytycznymi w nakazie.

Sam skłęła się w duchu za niezapoznanie się z treścią nakazu z wyprzedzeniem.

- Oto odpowiedź na pani pytanie, pani Quinn. Taka, jaką mogła pani otrzymać - powiedział Lyman.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. - Sam patrzyła, jak sędzia podnosi młotek. Dumiała nad frazą, jakiej użył, odnosząc się do odpowiedzi Coina. Poczowała przyływ pewności, instynkt podpowiedział jej, że nadszedł właściwy moment. - Wysoki Sądzie?

Lyman odłożył młotek.

- Tak, pani Quinn?

- Co do ujawniania dowodów...
- Tę kwestię już poruszyliśmy.
- Rozumiem, Wysoki Sądzie, ale wczoraj rano pannę Wilson nagrano na wideo, gdy była przetrzymywana w szpitalu.
- Wysoki Sądzie - Coin już stał. - Przetrzymywana?
- Zatrzymana - poprawiła Sam.
- Daj spokój - rzucił Coin z oburzeniem w głosie. - Nie możesz...
- Wysoki Sądzie...

Lyman gestem ręki nakazał im milczenie. Rozsiadł się wygodniej i splótł palce w zamyśleniu. W salach sądowych często zdarzało się, że sędzia wstrzymywał procedurę, by rozważyć zawiałości wniosku. W większości przypadków sędziowie odsuwali problem od siebie, prosili o wnioski na piśmie albo po prostu informowali strony, że dają sobie czas na podjęcie decyzji.

Czasem kierowali pytanie z powrotem do prawników. Trzeba było zatem być przygotowanym na zwięzłe wyłożenie argumentów. W przeciwnym razie człowiek narażał się na niechęć sędziego już do końca sprawy.

Sam czekała w napięciu niczym sprinterka w blokach startowych na otwartym stadionie. Lyman bardzo wczesnie wspomniał o ujawnianiu dowodów, musiał więc mieć świadomość, że Ken Coin będzie trzymał się litery, nie ducha prawa.

Lyman skinął głową w kierunku Sam.

Zaczęła mówić:

- Panna Wilson była pod kuratelą policjanta w cywilnym

ubrani, który towarzyszył jej w drodze z gimnazjum do szpitala. Był z nią w karetce. Został z nią na noc w pokoju szpitalnym. Jechał z panną Wilson radiowozem, który wiozł ją dzisiaj rano do więzienia, i był przy niej, kiedy informowano ją o jej prawach. Jeśli używam słów „zatrzymana” czy „pod kuratelą”, to dlatego, że każdy rozsądny człowiek...

- Wysoki Sądzie - odezwał się Coin. - Czy to procedura postawienia w stan oskarżenia, czy odcinek specjalny „Sposobu na morderstwo”?

Lyman posłał Sam zimne spojrzenie, a jednocześnie dał jej zielone światło:

- Pani Quinn?

- Zgodnie z zadeklarowanym stanowiskiem prokuratora w kwestii ujawniania dowodów, wnoszę o niezwłoczne udostępnienie nam kopii nagrania z panną Wilson, byśmy mogli podjąć decyzję o dalszych krokach.

- O dalszych krokach - powtórzył jak echo Coin, jakby obnażał absurd tego wniosku. - Kelly Wilson powiedziała...

- Panie Coin. - Lyman podniósł głos, by słyhać go było w najdalszym zakątku sali sądowej. Chrząknął kilka razy. - Na pana miejscu starannie ważyłbym słowa.

- Tak, Wysoki Sądzie. Bardzo dziękuję - odparł z fałszywą pokorą.

Lyman wziął do ręki pióro. Powoli przekreślił zbiorniczek, grając na zwłokę, co było obliczone jako dalszy ciąg reprimendy pod adresem Coina. Nawet Kelly Wilson wiedziała, że podczas odczytywania aktu oskarżenia nie przedstawia się dowodów.

- Panie Coin, kiedy kopia nagrania ze szpitala będzie dostępna?

- Nagranie musi zostać przekonwertowane. Zostało zrobione iPhone'em należącym do szeryfa Keitha Coina.

- Wysoki Sądzie? - Sam miała ochotę zazgrzytać zębami. Keith Coin był uosobieniem męskiego autorytetu. Dla niego Kelly skoczyłaby w przepaść. - Dla jasności. Jak Wysoki Sąd wie, nie było mnie tu przez długi czas. Czy szeryf Coin jest bratem prokuratora Coina?

- Wiesz, że jest, Samantho. - Coin pochylił się w stronę sędziego, chwytając rękami brzegów stołu. - Wysoki Sądzie, powiedziano mi, że potrzebujemy specjalisty z Atlanty, który dopilnuje technicznej strony transferu wideo na inny nośnik. Chodzi o jakąś chmurę. Nie znam się na tych rzeczach. Jestem starszym gościem tęskniącym za telefonami, które ważyły pięć kilo i kosztowały dwieście dolarów miesięcznie za wypożyczenie z Ma Bell. - Uśmiechnął się szeroko do Lymana, który był z grubsza w jego wieku. - Wysoki Sądzie, takie rzeczy wymagają pieniędzy i czasu.

- Wydajcie te pieniądze, skróćcie czas - odparł Lyman. - Pani Quinn, czy coś jeszcze?

Sam czuła euforię. Widziała, że sędzia bierze jej stronę. Postanowiła pójść za ciosem.

- Wysoki Sądzie, w kwestii nagrań wideo, chcielibyśmy prosić także o jak najszybsze przekazanie nam nagrań z kamer monitoringu w szkole, by nasi eksperci mieli czas na ich analizę.

Coin oparł się kłykciami o blat. Znalazł się w niekorzystnej

sytuacji.

- To też zajmie trochę czasu, Wysoki Sądzie. Moi ludzie jeszcze nie widzieli tego materiału. Odpowiadamy za zachowanie prywatności innych osób w szkole w chwili strzelaniny. Musimy mieć pewność, że przekazujemy tylko ten dowód, który ma znaczenie dla procesu.

Lyman spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- Dopiero musi pan obejrzeć nagrania, choć zabrano je z gimnazjum wczoraj rano?

Coin uciekł wzrokiem w bok.

- Moi ludzie jeszcze ich nie widzieli.

- Wszyscy pańscy ludzie muszą je obejrzeć?

- Eksperci, panie sędzio. - Tonący Coin chwycił się brzytwy.

- Musimy...

- Wybawię pana z kłopotu - powiedział wyraźnie zirytowany Lyman. - Ile pańscy ludzie potrzebują na obejrzenie tego nagrania? Tydzień? Dwa?

- Nie chcę zgadywać, Wysoki Sądzie. Materiał wymaga...

- Oczekuję pańskiej odpowiedzi na moje pytanie do końca tygodnia. - Lyman podniósł młotek, gotów zakończyć wysłuchanie.

- Czy mogę jeszcze o coś zapytać, Wysoki Sądzie? - odezwała się Sam.

Lyman zakręcił młotkiem na znak, żeby się pośpieszyła.

- Chciałabym zapytać pana prokuratora, czy ja również będę potrzebować eksperta z dziedziny fonoskopii? Znalezienie biegłych o wysokich kwalifikacjach często wymaga czasu.

- Wystarczy wyciągnąć studolarowy banknot na parkingu jakiejś uczelni technicznej. - Lyman strawestował stary dziennikarski dowcip, po którym zaśmiali się niektórzy obecni na sali reporterzy. - Panie Coin?

Ken Coin wstał z ręką na biodrze, w rozpiętej marynarce, przekrzywionym krawacie, ze wzrokiem wbitym w blat stołu.

- Wysoki Sądzie.

Sam czekała na ciąg dalszy. Coin zamilkł.

- Panie Coin, jaka jest pańska odpowiedź w kwestii dźwięku?
- ponaglił go Lyman.

Coin postukał w stół palcem wskazującym.

- Czy dzieciątko nie żyje?

Odpowiedziała mu cisza.

- Czy dzieciątko nie żyje? - powtórzył Coin, stukając palcem przy każdym słowie. - Czy DZIECIĄTKO nie żyje?

Sam nie chciała go powstrzymywać, ale jakby pod przymusem wyartykułowała:

- Wysoki Sądzie...

Zdezorientowany Lyman wzruszył ramionami.

- O to chodzi pani Quinn - stwierdził Coin. - Chciała wiedzieć, co Kelly Wilson powiedziała w holu po zamordowaniu z zimną krwią mężczyzny i dziecka.

Lyman zmarszczył brwi.

- Panie Coin, to nieodpowiednia chwila.

- Dzieciątkiem...

- Panie Coin.

- ...nazywali swoją córkę Lucy jej rodzice...

- Panie Coin.

- ...tak mówiła o niej swoim uczniom Barbara Alexander. Tak mówił Frank Alexander w szkole średniej...

- Panie Coin, to ostatnie ostrzeżenie.

- ...gdzie pan Alexander miał zamiar oblać Kelly Wilson. - Coin zwrócił się w stronę publiczności. - Kelly chciała wiedzieć, czy Dzieciątko nie żyje.

Lyman uderzył młotkiem w podkładkę.

- Tak, Dzieciątko zostało zabite. - Coin skierował te słowa do Kelly.

- Strażnik!

Coin odwrócił się do sędziego.

- Wysoki Sądzie.

- Ja? - Lyman udał zaskoczenie. - Wydawało mi się, że pan nawet nie zauważył mojej obecności.

Tym razem z galerii nie dobiegł nerwowy śmiech. Słowa Coina zrobiły na obecnych wrażenie. Prasa dostała gotowe nagłówki na kilka następnych dni.

- Bardzo przepraszam, Wysoki Sądzie. Właśnie wróciłem z sekcji zwłok małej Lucy i...

- Dość! - Lyman spojrzeniem poszukał strażnika, który był w pogotowiu. - Jak sam pan stwierdził, panie Coin, to odczytanie aktu oskarżenia, nie zaś odcinek „Sposobu na morderstwo”.

- Tak jest. - Coin wsparł się o stół czubkami palców, zbierając się w sobie. - Przepraszam, Wysoki Sądzie. Poniosło mnie.

- A ja mam dość pańskiego grania pod publiczność. - Lyman nie ukrywał wściekłości.

Sam wykorzystała okazję.

- Wysoki Sądzie, czy dobrze rozumiem, że istnieje nagranie audio powiązane z obrazem z kamer szkolnego monitoringu?

- To rozumie chyba każdy na tej sali, pani Quinn. - Lyman oparł policzek na pięści. Analizował konsekwencje tego, co przed chwilą zaszło. Namysł nie trwał długo. - Pani Quinn, jutro o piątej prokurator dostarczy sekretarzowi sądu oraz pani do biura przewidywane terminy...

Dłoń Sam zawisła nad notesem.

- ...rychłego oddania państwu Wilsonom miejsca ich zamieszkania. Przekazania pełnej wersji nagrania ze szpitala. Przekazania pełnej wersji wszystkich nagrań z kamer monitoringu z wnętrza gimnazjum i terenu wokół niego, z sąsiedniej szkoły podstawowej i szkoły średniej po drugiej stronie ulicy.

Coin otworzył usta, ale po zastanowieniu nie zgłosił sprzeciwu.

- Panie Coin - powiedział Lyman - pański raport zaskoczy mnie szybkimi terminami i szczegółowością. Mam rację?

- Oczywiście, Wysoki Sądzie.

Sędzia Lyman w końcu uderzył młotkiem w podkładkę.

- Proszę wstać - zawołał urzędnik sądowy.

Lyman wyszedł z sali, trzaskając drzwiami.

Z piersi zgromadzonych wydobyło się westchnienie ulgi.

Strażnicy przyszli po Kelly. Powoli przygotowali łańcuch, wspaniałomyślnie dając jej chwilę na rozmowę z rodzicami.

Coin nie wyciągnął do Sam ręki, by wymienić zwyczajowy uścisk dłoni. Sam nie zwróciła na to uwagi. Była zbyt zajęta

notowaniem informacji dla Rusty'ego, czego ma się spodziewać jutrzejszego popołudnia, ponieważ na sądową transkrypcję musiałby czekać co najmniej tydzień. Sędzia zażądał wiele, więcej, niż oczekiwała. W końcu musiała notować dookoła wcześniejszych zapisków, które zrobiła w trakcie rozmowy z Kelly.

Nagle przestała pisać.

Spojrzała na podkreślone zdanie:

O tej porze dnia mój żołądek tak się zachowuje.

Przewróciła kartkę, potem następną. Przebiegła oczami zapiski:

(...) Brzuch mnie bolał jak teraz... Zwykle samo przechodzi... Wymiotowałam tak samo jak wczoraj... Nadrabiała nieobecności z zeszłego tygodnia...

- Kelly. - Sam odwróciła się w stronę dziewczyny, która miała już skute stopy. Strażnicy mieli zakuć ją w kajdanki, ale Sam weszła między nich i objęła ją mocno. Pomarańczowy kombinezon marszczył się pod ramieniem Kelly. Jej brzuch przywarł do brzucha Sam.

- Dziękuję, pani Quinn - szepnęła.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała Sam. - Pamiętaj, żeby z nikim nie rozmawiać.

- Tak, proszę pani. Zatrzymam to dla siebie. - Kelly uniosła chude nadgarstki, żeby strażnicy mogli skuć jej ręce. Łańcuch oplótł jej talię.

Sam przemogła chęć powiedzenia im, żeby nie owijali jej łańcuchem zbyt ciasno.

To nie Lucy Alexander była dzieciątkiem, o które martwiła

się Kelly.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sam ostrożnie pokonywała stromą rampę przeładunkową przed sądem. Woń gnijących resztek jedzenia zniknęła, a może jej nos przyzwyczyił się do tego zapachu. Spojrzała w niebo. Pomarańczowa kula słońca muskała wierzchołki odległych gór. Do zmroku zostało parę godzin. Nie wiedziała, gdzie będzie spać, ale musiała porozmawiać z Rustym przed wyjazdem z miasta.

Musiała zdobyć pewność, że Kelly Wilson nosiła w brzuchu motyw swojej zbrodni.

Poranne nudności nie zawsze występowały rano. Czasem zdarzały się po południu, ale kluczowy był fakt, że pojawiały się regularnie podczas pierwszego trymestru. To tłumaczyło nieobecność Kelly na lekcjach. Tłumaczyło też zaokrąglenie jej brzucha, które Sam wyczuła, kiedy ciasno objęła ją i przytuliła do siebie.

Kelly Wilson była we wczesnej ciąży.

Czerwony samochód Lenore zatoczył szeroki łuk i zatrzymał się tuż przy podstawie rampy.

- Sammy! - Charlie wyskoczyła z przedniego siedzenia. - Byłaś fantastyczna! Boże! - Objęła siostrę w pasie. - Pomogę ci.

- Daj mi chwilę - powiedziała Sam. W tym momencie stanie było dla niej łatwiejsze niż siedzenie. - Mogłaś mnie uprzedzić, co to za sędzia.

- Powiedziałam, że to twarda sztuka - odparła lekko

Charlie. - Jezu, sprowokowałaś go do uśmiechu. Nigdy nie widziałam, żeby się uśmiechał. A Coin zaplawał się jak zepsuty zraszacz. Ten złamas przedstawił dowód w trakcie postawienia w stan oskarżenia.

Lenore wysiadła z auta.

- Czy moja starsza siostra nie rozegrała tego koncertowo? - zwróciła się do niej rozpromieniona Charlie.

- Byłam pod wrażeniem - odpowiedziała Lenore niechętnie.

- Ten sędzia... - Sam zdjęła okulary, żeby potrzebować oczy. - Zapomniałam, że...

- Wyglądasz jak wiktoriański Drakula?

- Prawdziwy Drakula żył w piętnastym wieku. To film *Drakula* rozgrywa się w epoce wiktoriańskiej - sprostowała Sam i włożyła okulary. - Rusty powinien w pierwszej kolejności znaleźć biegłego, który przebadają Kelly. Albo jest opóźniona, albo tak sprytna, że znakomicie udaje. Może wszystkich nas oszukuje.

Charlie parsknęła śmiechem.

- Może tatę, ale ciebie nie oszuka.

- A kto mi powiedział, że jestem za mądra, by wiedzieć, jaka głupia jestem?

- Racja. Potrzebujemy specjalisty - stwierdziła Charlie. - Musimy też znaleźć kogoś od fałszywek. Wiesz, może nagranie ze szpitala wykaże nadzieję na korzyść.

- Może. - Sam bała się, że Ken i Keith Coinowie są za sprytni, żeby pokazać swoje działanie. Nadzieja na korzyść czy każda inna zachęta w postaci obietnicy niższego wyroku w zamian za przyznanie się do winy była nielegalna. - Znajdę

eksperta w Nowym Jorku. Ktoś musi sprawdzić, czy była ingerencja w nagrania. Czy Rusty ma jakiegoś detektywa?

- Ma. To Jimmy Jack Little - odparła Lenore.

Sam nie chciała tracić czasu na rozważania o idiotycznym nazwisku.

- Jimmy Jack musi zlokalizować młodego człowieka, który nazywa się Adam Humphrey.

- Dlaczego on? - zapytała Lenore.

- Humphrey może być kimś, komu Kelly ufała.

- Przeleciała go czy on próbował ją przelecieć?

Sam wzruszyła ramionami, ponieważ tylko tyle mogła w tej chwili ujawnić bez nadużycia uprawnień.

- Nie sądzę, żeby Kelly chodziła z nim do szkoły. Może już skończył? Udało mi się tylko dowiedzieć, że Adam jeździ camaro.

- Szykowne - rzuciła Charlie. - Może jest w kronice? Albo jego zdjęcie, albo wpis. Czy Kelly powiedziała, że był jej chłopakiem?

- To nieustalone - odparła Sam. Kelly Wilson mogła nie do końca rozumieć przysięgi dochowania tajemnicy, ale Sam traktowała ją poważnie. - Czy Rusty wie, że ojciec Lucy Alexander był nauczycielem Kelly? - Mógł być drugim podejrzanym w sprawie ojcostwa. Sam zwróciła się do Lenore: - Gdybyś mogła przygotować dla Rusty'ego listę wszystkich nauczycieli Kelly...

- Wiesz, że to ich wersja - powiedziała Charlie. - Kelly była wściekła na Alexandra, że chce ją oblać, więc przyniosła do szkoły broń i zabiła jego córkę.

Zmieniliby wersję, gdyby wyszedł na jaw pozytywny wynik testu ciążowego.

Charlie otworzyła usta.

- Ciii... - Lenore głową wskazała kogoś za nimi.

Po rampie schodził Ben. Z rękami w kieszeniach, z włosami targanymi wiatrem uśmiechnął się szeroko do Sam.

- Kiedy dorosniesz, powinnaś zostać prawnikiem - rzucił wesoło.

- Zastanowię się nad tym - odpowiedziała z uśmiechem.

- Byłaś świetna. - Ścisnął ją za ramię. - Rusty pęknie z dumy.

Sam poczuła, że uśmiech znika jej z twarzy. Ostatnia rzecz, na jakiej jej zależało, to uznanie Rusty'ego.

- Dziękuję.

- Przyćmiła wszystkich, prawda, skarbie? - powiedziała Charlie.

- Tak, była świetna.

Charlie wyciągnęła rękę, żeby poprawić mu włosy palcami, ale Ben już się odsuwał. Kiedy znowu się przysunął, opuściła rękę. Skrępowanie wróciło.

Sam podjęła próbę wybrnięcia z sytuacji:

- Ben, może wszyscy zjemy razem kolację? - zaproponowała.

- Będę zajęty zbieraniem mojego szefa z podłogi, w którą go wdeptałaś, ale dzięki za zaproszenie. - Zerknął na Charlie i znów spojrzał na Sam. - I jeszcze jedno. Nie wiedziałem o wideo ze szpitala. Przez cały dzień byłem wczoraj na komisariacie. Dowiedziałem się o odczytaniu zarzutów pół

godziny przed posiedzeniem. – Wzruszył jednym ramieniem dokładnie tak, jak robiła to Charlie. – Nie stosuję takich chwytów poniżej pasa.

– Wierzę ci – odparła Sam.

– Lepiej już pójdę. – Ben wyciągnął dłoń do Lenore. – Dopilnuj, żeby bezpiecznie dojechały do domu.

Poszedł w górę rampy z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie.

Charlie odchrząknęła. Patrzyła za nim z tęsknotą w oczach, od której Sam krajało się serce. Dzisiaj widziała zapłakaną siostrę częściej niż w dzieciństwie. Chciała ją pociągnąć za Benem i zmusić, żeby błagała go o wybaczenie. Charlie była uparta jak osioł, nigdy za nic nie przepraszała.

– Wsiadajcie – zarządziła Lenore, zajęła miejsce za kierownicą i trzasnęła drzwiami.

Sam rzuciła pytające spojrzenie Charlie, która wzruszyła ramieniem i usiadła na tylnym siedzeniu, zostawiając dla Sam miejsce.

Lenore ruszyła, ledwie Sam zamknęła drzwi.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Charlie.

– Do biura. – Lenore skręciła w główną drogę. Przyśpieszyła i przejechała na żółtym świetle.

– Moje auto stoi na parkingu przed komisariatem. Jest jakiś powód, dla którego jedziemy do biura? – dociekała Charlie.

– Tak – padła lakoniczna odpowiedź.

To najwyraźniej Charlie wystarczyło. Zapadła się na siedzeniu. Spojrzała przez okno. Sam zgadywała, że siostra myśli o Benie. Zapragnęła złapać ją za ramiona i potrząsnąć,

żeby odzyskała rozsądek. Dlaczego Charlie narażała swoje małżeństwo? Ben był jedynym pozytywnym elementem w jej życiu.

Lenore skręciła w kolejną boczną uliczkę. Sam w końcu zorientowała się, gdzie jest. Znalazły się w złej części miasta, gdzie dolary turystów nie napływały. Każdy budynek był równie opuszczony i zrujnowany jak trzydzieści lat temu.

Lenore pokazała im miniaturę statku kosmicznego Enterprise.

- Ben mi to dał - oznajmiła.

Sam nie miała pojęcia, po co miałby dawać Lenore zabawkę. Charlie się domyśliła.

- Nie powinien tego robić.

- Ale zrobił - odparła Lenore.

- Wyrzuć to. Wsadź do blendera.

- Czy ktoś może mi wyjaśnić... - zaczęła Sam.

- To pendrive - powiedziała Charlie. - I zgaduję, że jest na nim coś, co pomoże w naszej sprawie.

- Właśnie - dorzuciła Lenore.

- Wypieprz to, kurwa - powiedziała Charlie, akcentując każde słowo. - On będzie miał przez to kłopoty. Wyleci z pracy. Albo jeszcze gorzej.

Lenore wetknęła pendrive'a za stanik.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. - Charlie uniosła rękę.

- Jeśli przez ciebie Ben straci uprawnienia, nigdy ci nie wybaczę.

- Dodaj to do listy. - Lenore skręciła w kolejną boczną ulicę.

Budynek starej hurtowni artykułów papierniczych uległ

pewnej przemianie. Szkło okienne zostało zabite deskami, w innych oknach pojawiły się mocne kraty, brama w ogrodzeniu była nowa. Sam przypomniała sobie wybieg dla dzikich zwierząt w ogrodzie zoologicznym w San Diego, kiedy po dźwięku brzęczyka brama ustąpiła, otwierając im drogę do otoczonego murem sanktuarium za budynkiem.

- Otworzysz tego pendrive'a? - zapytała Charlie.

- Otworzę - potwierdziła Lenore.

W nadziei na pomoc Charlie zerknęła na Sam, która jednak stwierdziła, wzruszając ramionami:

- Ben chciał nam go dać.

- Nienawidzę was! - Charlie wyskoczyła z auta. Otworzyła drzwi zabezpieczające, potem zwykłe, zanim Sam zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Możemy przejrzeć pendrive'a w moim biurze - zaproponowała Lenore.

Charlie szła korytarzem, zapalając po drodze światła.

Sam nie wiedziała, czy iść za nią, czy dać siostrze czas na ochłonięcie. W kontaktach z nią zachowywała ostrożność, bo Charlie była zmienna. W jednej chwili fetowała jej wystąpienie w sądzie, w drugiej atakowała za robienie tego, co do niej należało. Wyczuwało się u niej podskórny smutek, który w końcu wylał się na zewnątrz.

- Moje biuro jest tam. - Lenore głową wskazała przeciwną stronę budynku.

Sam poszła za nią długim korytarzem, w którym wisiał zapach papierosów Rusty'ego. Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była narażona na bierne palenie. Chyba

w Paryżu przed wprowadzeniem powszechnego zakazu palenia w pomieszczeniach zamkniętych.

Minęły zamknięte drzwi z nazwiskiem Rusty'ego na tabliczce. Sam tylko po zapachu domyśliłaby się, że to jego biuro. Powiew nikotyny od drzwi nie pozostawiał wątpliwości co do tożsamości gospodarza.

- Od lat nie pali w budynku - wyjaśniła Lenore. - Przynosi tę woń na ubraniach.

Sam zmarszczyła brwi. Przy swoich kłopotach zdrowotnych nie potrafiła sobie wyobrazić, że ktoś dobrowolnie rujnuje sobie organizm. Skoro dwa ataki serca nie zadziałały jak sygnał ostrzegawczy, to nic już nie mogło pomóc.

Lenore wyjęła pęk kluczy z torebki, wetknęła ją pod pachę i otworzyła drzwi. Gdy włączyła światła, Sam zmrużyła oczy, które zaprotestowały przeciwko nagłemu rozbłyskowi jasności.

Kiedy wreszcie do niej przywykły, Sam zobaczyła ładną uporządkowaną przestrzeń. W biurze Lenore królował kolor niebieski. Jasnoniebieskie ściany. Ciemnoniebieski dywan. Pastelowobłękitna kanapa z poduszkami w różnych odcieniach niebieskiego.

- Lubię niebieski - przyznała Lenore.

- Bardzo ładne wnętrze - stwierdziła Sam, stając obok kanapy.

- Możesz usiąść.

- Lepiej, żebym stała.

- Jak chcesz. - Lenore usiadła za biurkiem.

- Moja noga...

- Nie musisz się tłumaczyć. - Lenore włożyła pendrive'a do komputera i odwróciła monitor, żeby widziała go Sam. - Mam sobie iść?

Sam nie chciała znów zachować się nieuprzejmie, a nawet jeszcze gorzej niż przedtem, dlatego powiedziała:

- Decyzję zostawiam tobie.

- Zostaję. - Lenore kliknęła w pendrive'a. - Jeden plik. Seria cyfr. Widzisz?

Sam potwierdziła skinieniem głowy. Rozszerzenie pliku brzmiało .mov, co oznaczało, że to plik wideo.

- Otwórz - powiedziała.

Lenore kliknęła w nazwę pliku.

Na ekranie pojawiło się wideo. Lenore powiększyła obraz, żeby zajął cały ekran.

Gdyby nie zmieniające się cyfry w rogu - 07:58:47 - obraz wyglądałby jak zdjęcie. Typowy szkolny korytarz. Niebieskie szafki. Płytki na podłodze. Kamera była skierowana za bardzo w dół. Jej oko obejmowało zaledwie połowę - około piętnastu metrów - otwartej przestrzeni. W najbardziej odległym punkcie widać było smużkę światła, które najpewniej padało z otwartych drzwi. Na ścianach wisiały plakaty. Szafki były upstrzone graffiti. I ani jednego człowieka. Obraz był ziarnisty. Kolory wyblakłe, zbliżone do sepia.

Lenore podkreśliła głośniki.

- Nie ma dźwięku.

- Patrz. - Sam wskazała ekran. Kawałek pustaka odpadł od ściany.

- Strzał - stwierdziła Lenore.

Sam spojrzała na okrągły ślad po kuli.

Na korytarz wbiegł mężczyzna.

Pojawił się zza kamery. Sam i Lenore widziały jego plecy. Biała koszula do smokingu. Ciemne spodnie. Siwe włosy obcięte typowo po męsku, krótkie z tyłu, zaczesane na bok.

Przystanął nagle, zasłonił się rękami.

Nie, nie rób tego.

Lenore wydała z siebie tłumiony okrzyk, kiedy mężczyzna drgnął gwałtownie raz, drugi, trzeci.

Fontanna krwi trysnęła w powietrze.

Upadł na ziemię. Sam zobaczyła jego twarz.

Douglas Pinkman.

Jeden strzał w klatkę piersiową. Dwa strzały w głowę. W miejscu prawego oka ziała czarna dziura.

Wokół niego powiększała się kałuża krwi.

Sam odruchowo zasłoniła usta.

- O Boże - szepnęła Lenore.

Zza rogu wyłoniła się drobna postać. Plecami do kamery.

Warkoczyki podskakujące po obu stronach głowy.

Różowy tornister, buty ze świecącymi podeszwami, machanie rękami.

Zatrzymała się nagle.

Pan Pinkman. Martwy. Na ziemi.

Lucy Alexander upadła szybko, lądując na plecaku.

Głowa jej opadła. Noski bucików na rozrzuconych nogach sterczały w stronę sufitu.

Dziewczynka próbowała unieść głowę, ale nie mogła. Dotknęła palcami otwartej rany na szyi.

Poruszała ustami.

Judith Pinkman biegła ku kamerze. Jej czerwona koszula miała na ekranie odcień matowej rdzy. Pani Pinkman rozłożyła ramiona jak skrzydlata istota zrywająca się do lotu. Minęła swojego męża i opadła na kolana obok Lucy.

- Spójrz - powiedziała Lenore.

Na ekranie w końcu ukazała się Kelly Wilson.

Daleka. Lekko nieostra. W najdalszym miejscu obejmowanym okiem kamery. Ubrana na czarno. Z tłustymi włosami opadającymi w strąkach na ramiona. Szeroko otwartymi oczami. Otwartymi ustami. Z rewolwerem w prawej ręce.

„Jak mówiłam, rewolwer trzymałam w ręce”.

Siedziała na podłodze. Lewa część jej ciała znajdowała się poza zasięgiem kamery. Plecami opierała się o szafki. Rewolwer pozostawał obok. Na ziemi. Patrzyła prosto przed siebie.

- Niecałe jedenaście sekund od chwili, w której kula trafiła w ścianę - zauważyła Lenore, wskazując czas w rogu ekranu.

- Naliczyłam w sumie pięć strzałów. Jeden w ścianę. Trzy w Pinkmana. Jeden w Lucy. Symulacja w mediach wyglądała inaczej. Mówili, że w kierunku Judith Pinkman oddano dwa strzały, oba niecelne.

Sam zebrała się w sobie i znowu przeniosła wzrok na Lucy.

Judith Pinkman uniosła głowę, otworzyła usta i zaczęła krzyczeć.

Sam czytała z ruchu jej warg.

„Pomóżcie mi”.

Gdzieś na terenie szkoły Charlie usłyszała wołanie kobiety. Lenore położyła na biurku pudełko chusteczek.

Sam wyjęła z niego kilka sztuk. Wytarła oczy. Wydmuchała nos. Patrzyła, jak Judith Pinkman wsuwa rękę pod głowę Lucy. Próbowwała zatamować krew wypływającą z otwartej rany na szyi dziewczynki. Przesączyła się jej przez palce, jakby pani Pinkman ścisnęła gąbkę. Widać było wyraźnie, że kobieta łka i zawodzi z bólu.

Charlie pojawiła się nie wiadomo skąd.

Biegła korytarzem w stronę kamery, Lucy i pani Pinkman. Na jej twarzy malowała się panika. Ledwie rzuciła okiem na leżącego Douglasa Pinkmana. Padła na kolana bokiem do kamery, ale z wyraźnie widoczną twarzą. Złapała Lucy Alexander za rękę. Coś do niej mówiła. Kiwała się w przód i w tył, próbując uspokoić ją i siebie.

Sam tylko raz widziała Charlie kiwającą się w ten sposób.

- To Mason - powiedziała Lenore. Głośno wydmuchała nos.

Mason Huckabee stał plecami do kamery. Rozmawiał z Kelly, namawiając ją do oddania broni. Dziewczyna osunęła się niżej na podłogę. Sam nie mogła już dojrzeć jej twarzy. Jedynymi widocznymi częściami ciała Kelly były jej prawa noga i ręka trzymająca rewolwer.

Kolba broni dotykała ziemi.

Mason przyklęknął. Pochylił się ku niej. Wyciągnął rękę z otwartą dłonią. Centymetr po centymetrze przesunął się ku Kelly. Powoli, bardzo powoli. Sam wyobrażała sobie, co mówi. „Oddaj mi broń. Podaj mi ją. Nie musisz tego robić”.

Mason znał Kelly Wilson. Był jej nauczycielem. Mentorem.

Wiedział, że jest podatna na sugestię.

Na ekranie zbliżał się coraz bardziej, aż nagle bez ostrzeżenia Kelly uniosła broń, która zniknęła z pola widzenia.

Żołądek podszedł Sam do gardła.

Mason cofnął się szybko, zwiększając dystans między sobą a Kelly.

- Skierowała broń do siebie - stwierdziła Lenore. - Dlatego nie podniósł rąk, tylko opuścił.

Sam poszukała wzrokiem Charlie. Jej siostra była przy Lucy, naprzeciw pani Pinkman, która miała uniesioną głowę i zamknięte oczy. Poruszała ustami. To musiała być modlitwa. Charlie siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Trzymała ręce na kolanach. Pocierała palce i patrzyła na krew, jakby nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała.

Albo wręcz przeciwnie. Myślała, że już to widziała.

Charlie powoli odwróciła głowę. Spojrzała poza kamerę. Strzelba sunęła po podłodze i zatrzymała się półtora metra od niej. Charlie ani drgnęła. Minęła sekunda. Strzelbę podniósł policjant. Pobiegł korytarzem. Poły kamizelki kuloodpornej latały mu w pasie. Przyklęknął na jednym kolanie i oparł kolbę w zagłębieniu obojczyka.

Celował do Masona Huckabee, nie do Kelly Wilson.

Mason klęczał plecami do Kelly, uniemożliwiając policjantowi strzał.

To wszystko chyba umknęło Charlie. Ciągle patrzyła na swoje ręce, jakby zahipnotyzowana krwią. Kołysała się już ledwie dostrzegalnie. Bardziej przypominało to wibracje przechodzące przez ciało.

- Moja biedna mała - szepnęła Lenore.

Sam musiała odwrócić wzrok od Charlie. Mason nadal klęczał. Policjant mierzył mu w pierś.

„Strzelba była wycelowana w jego pierś”.

Sam przeskoczyła z powrotem ku Charlie. Nie zmieniła pozycji. Nadal się kołysała. Wyglądała, jakby popadła w stan ucieczki histerycznej. Chyba nawet nie zauważyła drugiego policjanta, który przebiegł obok niej.

Sam śledziła jego ruchy. Był odwrócony plecami do kamery, ale widziała broń w jego ręce. Zatrzymał się metr od pierwszego policjanta ze strzelbą.

Strzelba i rewolwer.

Rewolwer i strzelba.

Mason Huckabee okręcił się przez lewe ramię i wyciągnął do Kelly otwartą dłoń. Mówił coś. Najpewniej przekonywał, żeby oddała mu rewolwer.

Policjanci potrząsnęli bronią. Ich postawa wyrażała agresję. Sam nie musiała widzieć ich twarzy, by mieć pewność, że wykrzykują polecenia.

W przeciwieństwie do nich Mason był spokojny i opanowany. Miał niemal kocie ruchy. Wolno poruszał ustami.

Sam spojrzała na Charlie, gdy akurat podniosła wzrok. To był rozdzierający serce widok. Chciała wejść do tego nagrania i przytulić siostrę.

- Przesunęła się - powiedziała Lenore.

Mówiła o Kelly. Dziewczyna prawie wyszła z kadru. Tylko kawałek czarnych dżinsów zdradzał, że jeszcze tam jest. Mason cofnął się razem z nią. Jego głowa, lewe ramię i lewa

ręka stały się niewidoczne. W tym ujęciu kamery jego tułów przecinała przekątna linia.

Policjanci pozostali na miejscach.

Mason się nie ruszał.

Z lufy policyjnej broni wydobył się dym.

Prawe ramię Masona odskoczyło.

Policjant go trafił.

- Boże - szepnęła Sam. Nie widziała twarzy Masona, ale jego tułów ledwie drgnął.

Policjanci robili wrażenie równie zaskoczonych co Sam. Przez kilka następnych sekund stali nieruchomo, potem bardzo powoli opuścili broń. Nastąpiła między nimi wymiana zdań. Ten ze strzelbą odpiął mikrofon z ramienia. Drugi rozejrzał się po korytarzu, spojrział na Charlie i odwrócił się.

Wyciągnął rękę do Masona.

Mason wstał. Drugi policjant ruszył do Kelly Wilson.

Nagle dziewczyna pojawiła się na ekranie z twarzą do ziemi. Policjant przygwoździł ją kolaniem. Rzucił niczym worek.

Sam szukała wzrokiem narzędzia zbrodni.

Nie zobaczyła go w ręku Kelly.

Ani obok niej na podłodze.

Ani w ręku policjanta, który wciskał jej kolano w plecy.

Mason Huckabee stał z pustymi rękami i rozmawiał z policjantem ze strzelbą. Krew zabarwiła rękaw koszuli prawie na czarno. Wyglądało to tak, jakby dyskutowali błędną decyzję sędziego na zawodach sportowych.

Sam omiotła wzrokiem podłogę.

Nic.

Wszystkie szafki pozostały zamknięte.

Żaden z policjantów nie zatknął rewolweru za pasek spodni.

Nikt nie kopnął go po podłodze.

Nikt nie wetknął za płyty sufitowe.

Sam wróciła do obserwacji Charlie. Miała puste ręce. Nadal siedziała na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. I nadal wyglądała na kompletnie oszołomioną. Odwróciła głowę od mężczyzn. Sam zauważyła plamę krwi na jej policzku. Musiała dotknąć twarzy dłonią.

Jej nos był jeszcze cały. Pod oczami nie miała sińców.

Charlie najwyraźniej nie zwróciła uwagi na grupę policjantów biegnących korytarzem z opuszczoną bronią i dyndającymi połamami kamizelek kuloodpornych.

W tym momencie obraz zniknął.

Sam patrzyła na pusty ekran jeszcze przez parę sekund, chociaż niczego więcej nie mogła już zobaczyć.

Lenore wydała z siebie długie westchnienie.

Sam zadała tylko jedno pytanie, które miało w tej chwili sens:

- Co z Charlie?

Lenore zacisnęła usta.

- Był czas, kiedy mogłabym powiedzieć ci o niej wszystko.

- A teraz?

- W ciągu ostatnich paru lat wiele się zmieniło.

Zawały Rusty'ego. Czy Charlie doznała wstrząsu w obliczu możliwej śmierci Rusty'ego? Ukrywanie strachu było w jej stylu. Tak samo jak szukanie autodestrukcyjnych sposobów na

odsunięcie od siebie czarnych myśli. Jak sypianie z Masonem Huckabee. Jak odsunięcie się od Bena.

- Powinnaś coś zjeść. Zrobię ci kanapkę - powiedziała Lenore.

- Dziękuję, ale nie jestem głodna. Potrzebuję miejsca, żeby zrobić notatki dla taty.

- Skorzystaj z jego biura. - Lenore wyjęła klucz z torebki i włożyła jej do ręki. - Zrobię transkrypcję tego nagrania. Upewnię się, że nic nam nie umknęło. Z mediów powinna zniknąć ta tak zwana rekonstrukcja wydarzeń. Nie wiem, skąd wzięli informacje o sekwencji zdarzeń, szczególnie o strzałach, ale na podstawie tego nagrania widać, że się mylą.

- W sądzie Coin dał do zrozumienia, że jest nagranie audio.

- Nie skorygował Lymana - powiedziała Lenore. - Sądzę, że jest jeszcze jedno źródło. Szkołę ledwie stać na opłacenie rachunków za prąd. Kamery mają pewnie kilkanaście lat. Nie zainwestowaliby w wyposażenie monitoringu w nagrywanie dźwięku.

- Bezcelowe, zważywszy na liczbę dzieci na korytarzu podczas każdej przerwy. Wyizolowanie jednego głosu z gwaru byłoby trudnym wyzwaniem. Może telefon komórkowy? - podsunęła Sam.

- Może. - Lenore wzruszyła ramionami i wróciła do komputera. - Rusty się dowie.

Sam spojrzała na klucz leżący na biurku Lenore. Nie miała najmniejszej ochoty na siedzenie w biurze Rusty'ego. Jej ojciec był chomikiem, zanim telewizja spopularyzowała ten rodzaj

zaburzenia. Wyobrażała sobie, że na farmie ciągle stoją nierozpakowane pudła, które Gamma przywiozła ze sklepu z rzeczami używanymi.

Gamma.

Charlie powiedziała, że zdjęcie - TO zdjęcie - stoi na biurku Rusty'ego.

Sam poszła do jego biura. Otworzyła drzwi tylko do połowy, ponieważ blokował je stos śmieci. Pomieszczenie było wielkie, ale panujący w nim bałagan zmniejszał je optycznie. Pudła, papiery, teczki zajmowały prawie każdą płaską powierzchnię. Tylko wąska ścieżka prowadząca do biurka świadczyła o tym, że ktoś tu urzęduje. Ciężkie powietrze przyprawiło Sam o kaszel. Wyciągnęła rękę, żeby włączyć światło, ale zrezygnowała. Ból głowy zelżał tylko trochę od chwili zdjęcia okularów w sądzie.

Zostawiła laskę przy drzwiach. Starannie wybrała drogę do biurka, wyobrażając sobie, że wirtualny spacer po zawiłym mózgu ojca dostarczyłby jej podobnych wrażeń. Jakim cudem był w stanie tu pracować, pozostawało dla niej zagadką. Włączyła lampkę na biurku. Podniosła żaluzje, odsłaniając brudne zakratowane okno. Komputera nie było. Jedyne ukłon w stronę nowoczesności stanowiło radio z budzikiem, które Rusty dostał od Gammy, kiedy Sam była jeszcze dzieckiem.

Biurko było ogromne, z drewna orzechowego. Sam pamiętała, że miało kiedyś podkładkę z zielonej skóry. Pod stosami papierów pewnie zachowała się w nieskazitelnym stanie. Sprawdziła stabilność krzesła. Mebel przechylał się na bok. Ile razy widziała ojca siedzącego, opierał się na prawym

łokciu z papierosem w ręku.

Ostrożnie usiadła na rozchwianym krześle. Skrzypnięcie, jakie wydał z siebie mechanizm regulujący wysokość, było głośnie i niepotrzebne. Parę kropli smaru załatwiłoby sprawę. Podłokietniki można było ustabilizować porcją kleju do gwintów. Wymiana pierścieni ciernych w kółkach poprawiłaby stabilność.

Było jeszcze jedno wyjście. Stary głupiec mógł zamówić w Amazonie nowe krzesło.

Sam przekładała dokumenty i stosy protokołów w poszukiwaniu TEGO zdjęcia Gammy. Korciło ją, żeby zrzucić to wszystko z biurka jednym ruchem ręki, ale w tym szaleństwie Rusty'ego na pewno był jakiś system. Sam nigdy nie doprowadziłaby swojego biurka do takiego stanu, ale gdyby ktokolwiek coś na nim ruszył, zabiłaby bez wahania.

Zerknęła na rzeczy leżące w nieładzie na komodzie przy biurku. Wśród nich leżał zafoliowany żółty brulion. Zerwała folię. Wyjęła z torebki notatki. Zmieniła okulary. Na górze kartki napisała KELLY WILSON. Dodała datę. Sporządziła dla Rusty'ego listę tematów, którymi należy się zająć.

1. *Test ciężowy*
2. *Ojcostwo: Adam Humphrey? Frank Alexander?*
3. *Nagranie ze szpitala; nagranie ze szkolnego monitoringu (audio?)*
4. *Dlaczego Kelly była w gimnazjum? (ofiary są przypadkowe)*
5. *Lista wychowawców/nauczycieli/planów lekcji*
6. *Judith Pinkman - ?*

Przyjrzała się literom tworzącym jej nazwisko.

Kiedy chodziła do gimnazjum, na parterze przed sekretariatem znajdowały się klasy do nauki angielskiego. Judith Pinkman uczyła angielskiego, co wyjaśniało jej obecność tam w chwili strzelaniny.

Myślała nad nagraniem z monitoringu w szkole.

Pani Pinkman pojawiła się na korytarzu, kiedy Lucy Alexander dostała postrzał w szyję. Według Sam minęły niecałe trzy sekundy od upadku Lucy na ziemię do zjawienia się Judith Pinkman na końcu korytarza.

Pięć strzałów. Jeden w ścianę. Trzy w Douglasa Pinkmana. Jeden w Lucy.

Jeśli w rewolwerze było sześć kul, dlaczego Kelly nie wystrzeliła ostatniej do Judith Pinkman?

- Myślę, że była w ciąży. - W drzwiach stała Charlie z kanapką na talerzu w jednej ręce, butelką coli w drugiej.

Sam odwróciła notatki. Próbowwała zachować obojętny wyraz twarzy, żeby się nie zdradzić.

- Co? - zapytała.

- W gimnazjum, kiedy wypisywali o niej te ohydne teksty. Myślę, że Kelly była w ciąży.

Sam poczuła chwilową ulgę, ale nagle dotarł do niej sens słów siostry.

- Skąd to przypuszczenie?

- Z Facebooka. Jedna z dziewcząt z tej szkoły dołączyła mnie do grona znajomych.

- Charlie...

- To fałszywy profil. - Charlie postawiła talerz przed Sam. -

Ta dziewczyna, Mindy Zowada, jest jedną z tych suk, które tak wstrętne pisały o Kelly. Trochę ją podpuściłam. Niby słyszałam plotki, że Kelly puszczała się w gimnazjum. Po dwóch sekundach już wypaplała, że Kelly w wieku trzynastu lat miała aborcję. A raczej „aporcję”, jak napisała.

Sam podparła głowę ręką. Ta informacja rzucała nowe światło na Kelly Wilson. Jeśli dziewczyna była wcześniej w ciąży, na pewno teraz rozpoznała symptomy. Dlaczego więc jej o tym nie powiedziała? Udawała tępą, żeby zyskać jej współczucie? Czy można było ufać słowom Kelly Wilson?

- Ej, ja ci powierzam ponury sekret Kelly Wilson, a w zamian dostaję tylko puste spojrzenie?

- Przepraszam. - Sam wyprostowała się na krześle. - Oglądałaś nagranie?

Charlie nie odpowiedziała na to pytanie, ale знаła problem z dźwiękiem:

- Nie mam przekonania do teorii o komórce. Dźwięk musiał pochodzić z innego źródła. W przypadku aktywnego strzelca obowiązuje procedura przymusowego zakazu opuszczania budynku. Nauczyciele ćwiczą to z uczniami raz w roku. Wszyscy powinni przebywać w zamkniętych na klucz klasach. Jeśli ktoś zadzwonił na numer alarmowy, nie byłoby słyszeć rozmowy w holu.

- Judith Pinkman nie zadziałała zgodnie z procedurą - zauważyła Sam. - Wybiegła na korytarz, kiedy Lucy została trafiona. - Odwróciła z powrotem brulion, ustawiła go pod kątem, po czym dopisała tę uwagę. - Nie podbiegła do męża. Pobiegła prosto do Lucy.

- Było widać, że nie żyje. - Charlie wskazała bok swojej twarzy. Douglas Pinkman miał odstrzeloną szczękę. W oczodole była dziura po kuli.

- W takim razie czy Coin kłamał, twierdząc, że jest nagranie, na którym Kelly pyta o „dzieciątko”?

- To kłamca, a ja wierzę, że kłamcy zawsze kłamią. - Wyglądało na to, że Charlie już nad tym myślała. - Policjant mógł mu powiedzieć. Stał obok, kiedy Kelly powiedziała, co powiedziała. To go poruszyło. Wkurzył się jeszcze bardziej, a już wcześniej był wkurzony.

Sam skończyła notować.

- To ma sens - przyznała.

- A co z narzędziem zbrodni?

- To znaczy?

Charlie zaczęła skubać nitkę w dzinsach, tę samą, której nie dawała spokoju dzisiaj rano.

Sam ugryzła kęs kanapki. Zerknęła przez brudne okno. To był wyjątkowo wyczerpujący dzień, a słońce dopiero chyliło się ku zachodowi.

- Mogę się napić? - Wskazała butelkę coli.

Charlie odkręciła butelkę, postawiła ją na odwróconym brulionie Sam i spytała:

- Powiesz tacie o Hucku i broni?

- Dlaczego to dla ciebie ważne? - Gdy Charlie tylko wzruszyła ramieniem, Sam zadała inne pytanie: - Co się dzieje między tobą a Benem?

- To jeszcze nierozstrzygnięte.

Sam splukała resztki masła orzechowego dużym łykiem coli.

Teraz powinna powiedzieć siostrze o Antonie. Wyjaśnić, że wie, jak działa małżeństwo; rozumie, że błahostki i żale potrafią się nawarstwić. Powinna zapewnić, że to nieważne. Że jeśli się kogoś kocha, trzeba robić wszystko, żeby było dobrze, ponieważ jednego dnia człowiek, którego kochasz najbardziej na świecie, może skarżyć się na bolące gardło, a następnego dnia już nie żyć. Zamiast tego powiedziała:

- Musisz wyprostować sprawy z Benem.

- Ciekawa jestem, jak często byś się odzywała, gdybyś wyeliminowała słówko „musieć” ze swojego słownika? - odparowała Charlie.

Sam była zbyt zmęczona, żeby się kłócić. Ugryzła kolejny kęs kanapki. Przeżuła go wolno i dokładnie.

- Szukałam zdjęcia Gammy - powiedziała.

- Stoi na biurku na farmie.

To rozwiązywało sprawę. Sam nie zamierzała jechać na farmę.

- Jest. - Kciukiem i dwoma palcami Charlie wyjęła książkę w miękkiej oprawie spod pliku teczek bez naruszania konstrukcji stosu.

Podawała książkę Sam, która przeczytała na głos tytuł: *Przewidywanie pogody metodą numeryczną*. Książka wyglądała na starą i zaczytaną. Sam przewertowała strony, szczególnie akapity zaznaczone ołówkiem. Tekst okazał się rozwinięciem tytułu, instrukcją przewidywania pogody na bazie specjalnego algorytmu uwzględniającego wartości ciśnienia barometrycznego, temperatury i wilgotności.

- Czyje to obliczenia? - zapytała.

- Miałam trzynaście lat - odparła Charlie.

- Nie byłaś głupia. - Sam poprawiła jedno z równań. -
A przynajmniej ja tak o tobie nie myślałam.

- To Gammy.

Pióro Sam zawisło nad kartką nieruchomości.

- Zamówiła tę książkę przed śmiercią. Przyszła miesiąc później - powiedziała Charlie. - Za farmą jest stara wieża meteo.

- Tak? - Sam omal nie utopiła się w strumieniu pod wieżą, ponieważ nie miała siły unieść głowy nad wodę.

- Nieważne. Rusty i ja chcieliśmy naprawić przyrządy na wieży, żeby zrobić Gammie niespodziankę. Myśleliśmy, że śledzenie danych sprawi jej przyjemność. Amerykańska Narodowa Służba Oceaniczna i Meteorologiczna nazywa to obywatelską nauką. W kraju są tysiące ludzi, którzy śledzą te dane, ale dzisiaj wszystko załatwiają komputery. Książka dowodzi, że była krok przed nami. Jak zwykle.

Sam przebiegła wzrokiem wykresy i tajemnicze algorytmy.

- Wiesz, że z punktu widzenia fizyki to utopia. W atmosferze panuje krucha dynamiczna równowaga między masą a ruchem.

- Tak, Samantho, każdy to wie. Tata i ja pracowaliśmy nad tymi obliczeniami razem. Co rano spisywaliśmy zarejestrowane dane, umieszczaliśmy je w algorytmie i przewidywaliśmy pogodę na następny dzień. A przynajmniej próbowaliśmy. Dzięki temu czuliśmy się bliżej niej.

- Podobałoby jej się to.

- Wściekłyby się, że nie umiem robić obliczeń.

Sam wzruszyła ramionami, ponieważ Charlie miała rację.

Powoli przewracała strony książki, nie zwracając uwagi na słowa. Myślała o małej Charlie, która przy kuchennym stole odrabiała lekcje z przechyloną głową i wysuniętym językiem. Przy matematyce zawsze nuciła. Przy pracach plastycznych pogwizdywała. Czasem przy czytaniu książek wyśpiewywała na głos linijki tekstu, ale tylko kiedy myślała, że jest sama. Zza cienkiej ściany dzielącej ich pokoje Sam często słyszała niskie operowe zawrozczenie siostry:

Bądź godna miłości,

A miłość nadejdzie!

albo

Bóg mi świadkiem,

Że nigdy więcej nie będę głodna!

Gdzie się podziała ta nucąca, gwizdząca, śpiewająca Charlie?

Zrozumiała, że śmierć Gammy i rany Sam odebrały jej część radości, ale jeszcze w Nowym Jorku Sam widziała w niej dawną wesołość. Charlie żartowała, przekomarzała się z Benem, nuciła, śpiewała i sama dostarczała sobie rozrywki czynionym przez siebie hałasem. Tamto jej zachowanie przypominało Sam, że czasem w pokoju zastawała Fosca, który mruzczał do siebie dla własnej przyjemności.

Kim była ta głęboko nieszczęśliwa kobieta, którą stała się jej siostra?

Charlie znowu skubała nitkę dzinsów. Pociągnęła nosem. Dotknęła go palcami.

- Jezu, znowu krwawię. - Po raz już któryś pociągnęła

nosem, jakby w ten sposób chciała zatamować krew. Na próżno. – Masz chusteczkę?

Kelly Wilson zużyła wszystkie chusteczki Sam, która rozejrzała się po biurze Rusty'ego i otworzyła szuflady biurka.

Charlie nie przestawała pociągać nosem.

– U taty nie znajdziesz chusteczek higienicznych.

W dolnej szufladzie Sam znalazła rolkę papieru toaletowego. Podała ją Charlie.

– Powinnaś zrobić coś z tym nosem, zanim będzie za późno. Przecież spędziłaś w szpitalu całą noc i co?

Charlie delikatnie wycierała krew.

– Boli jak diabli.

– Powiesz mi, kto cię uderzył?

Charlie podniosła wzrok znad zakrwawionego papieru.

– Biorąc pod uwagę sytuację ogólną, to bez znaczenia, ale zrobiło się z tego wielkie halo, o którym nie chcę mówić.

– W porządku. – Sam zerknęła na zawartość szuflady. Zobaczyła pusty segregator. Na egzemplarzu *Zasad i procedur sądowych w stanie Georgia* leżał plik niedbale rzuconych listów. Już miała zasunąć szufladę, kiedy zauważyła adres zwrotny na jednej z kopert.

Odręczne pismo.

Każda litera napisana z pedantyczną starannością.

Jakby ktoś włożył w nią całą swoją wściekłość.

WIĘZIENIE STANOWE W GEORGII

SKRYTKA POCZTOWA 3877

JACKSON, GA 30233

Sam zamarła.

Więzienie stanowe.

Tam siedzieli skazani na karę śmierci.

- Co się stało? - zapytała Charlie. - Znalazłaś jakieś martwe stworzenie?

Sam nie widziała nazwiska nad adresem. Zasłaniała je inna koperta, spod której wystawała tylko połowa pierwszej litery.

Krzywa linia. Może część O, może pośpiesznie napisane I, a może fragment dużej litery C.

Resztę imienia przykrywał katalog reklamowy z wieńcami bożonarodzeniowymi.

- Tylko nie mów, że to porno. - Charlie obeszła biurko i zajrzała do szuflady.

Sam nie mogła oderwać wzroku od koperty.

- To wszystko jest prywatną własnością taty. Nie mamy prawa tu zaglądać - stwierdziła Charlie.

Sam odsunęła piórem jaskrawą kopertę:

CULPEPPER, ZACHARIAH WIĘZIEŃ #4252619

- To pewnie groźba śmierci. Widziałaś dzisiaj Culpepperów. Kiedy tylko wydaje się, że w końcu data egzekucji Zachariaha jest wyznaczona...

Sam podniosła list. Ledwie była w stanie utrzymać go w palcach. Koperta była już otwarta.

- Sam, to prywatna korespondencja - upomniała ją Charlie.

Sam wyjęła pojedynczą kartkę z zeszytu. Złożona podwójnie, żeby zmieściła się do koperty. Pusta z drugiej

strony. Zachariah Culpepper zadał sobie trud, żeby oderwać postrzępiony brzeg kartki wyrwanej z metalowej spirali.

Tymi samymi palcami rozerwał jej powieki.

- Sam - powiedziała Charlie, spoglądając do szuflady. Leżało tam kilkadziesiąt listów od mordercy. - Nie mamy prawa tego czytać.

- Prawa? - oburzyła się Sam. Gniew ścisnął ją za gardło. - Mam święte prawo wiedzieć, co człowiek, który zabił moją matkę, pisze do mojego ojca.

Charlie wyrwała jej list. Wrzuciła go do szuflady i zamknęła ją kopniakiem.

- Świetnie. - Sam upuściła pustą kopertę na biurko i pociągnęła do siebie szufladę, ale nie otworzyła się. Charlie kopnęła ją tak mocno, że wyskoczyła z prowadnic i zablokowała się. - Otwórz ją.

- Nie. My nie musimy czytać niczego, co ten człowiek ma do powiedzenia.

- My - powtórzyła Sam, ponieważ nie uszło jej uwagi, kto dzisiaj parł do konfrontacji z Dannym Culpepperem. - Odkąd to jesteśmy „my”, jeśli chodzi o Culpepperów?

- Co chcesz, do cholery, przez to powiedzieć?

- Nic. Ta dyskusja jest bezcelowa. - Sam znowu spróbowała pociągnąć szufladę, która ani drgnęła. Równie dobrze mogła mieć piórka zamiast palców.

- Wiedziałam, że nadal jesteś na mnie wkurzona.

- Nie jestem nadal na ciebie wkurzona - odparowała Sam. - Dopiero teraz jestem na ciebie wkurzona, bo zachowujesz się jak trzylatka.

- Jasne. Niech ci będzie, Sammy. Mam trzy lata. Dobrze.

- Co się z tobą dzieje?! - Sam czuła, że jej własny gniew karmi się gniewem Charlie. - Chcę przeczytać listy od człowieka, który zamordował naszą matkę.

- Wiesz, co mówią - powiedziała Charlie. - Jesteś w mieście jeden dzień i już słyszałaś to od skurwiela, którego tamten skurwiel spłodził. Kłamałyśmy. On jest niewinny. Zabijamy go z powodu jakiegoś przekłętego długu, którego tata i tak by od nich nie wyegzekwował.

Sam w duchu przyznała siostrze rację, ale to nie zmieniło jej zdania.

- Charlie, jestem zmęczona. Możesz otworzyć tę przekłętą szufladę?

- Nie, póki mi nie powiesz, dlaczego dzisiaj zostałam. Dlaczego poszłaś do sądu. Dlaczego teraz jesteś tutaj.

Sam czuła, jakby na obu ramionach miała kowadło. Oparła się o biurko.

- Dobrze, chcesz wiedzieć, dlaczego zostałam? Ponieważ wierzyć mi się nie chce, jak spieprzyłaś sobie życie.

Charlie prychnęła tak mocno, że krew pociekła jej z nosa. Wytarła ją palcami.

- Bo twoje jest takie kurewsko idealne?

- Nie masz pojęcia, o czym...

- Oddaliłaś się od nas o tysiące kilometrów. Nigdy nie oddzwaniałaś do taty, nie odpowiadałaś na mejle Bena, nigdy nie szukałaś z nami kontaktu. Regularnie latałaś do Atlanty, niecałe dwie godziny drogi stąd, i nigdy nie...

- Ty mi powiedziałaś, że mam się nie kontaktować. „Żadna

z nas nigdy nie pójdzie dalej, jeśli ciągle będziemy spoglądać wstecz”. To twoje słowa. – Charlie potrząsała głową, co tylko potęgowało irytację Sam. – Charlotte, przez cały dzień usiłowałaś sprowokować tę kłótnię. Przestań potrząsać głową, jakbyś miała do czynienia z wariatką.

– Nie jesteś wariatką, tylko pieprzoną żoną. – Charlie skrzyżowała ramiona. – Powiedziałam, że nie powinniśmy patrzeć wstecz. Nie powiedziałam, że nie powinniśmy patrzeć w przyszłość czy próbować iść naprzód razem, jak powinny to robić siostry.

– Wybacz, że nie umiem czytać między wierszami twojej słabo skonstruowanej krytyki naszej nieudanej relacji.

– Byłaś postrzelona w głowę, więc na pewno masz dziurę tam, gdzie wcześniej mieścił się ośrodek przetwarzania krytyki.

Sam splotła ręce. Nie chciała wybuchnąć.

– Mam twój list. Przysłać ci kopię?

– Idź do punktu ksero, zrób dla mnie dwustronną kopię, a potem wsadź ją sobie w swój ściśnięty jankeski tyłek.

– Po co miałabym robić dwustronną kopię jednostronicowego listu?

– Jezu! – Charlie walnęła pięścią w biurko. – Jesteś tu niecały dzień, Sam. Dlaczego moje nieszczęśliwe, żalosne, przygnębiające życie tak bardzo cię nagle obchodzi?

– To nie moje przymiotniki.

– Czepiasz się mnie. – Charlie palcem trąciła Sam w ramię. – Wsadzasz mi szpile jedna za drugą.

– Naprawdę? – Sam zignorowała przeszywający ból przy

każdym dotknięciu Charlie. - Ja się czepiam?

- Pytasz mnie o Bena. - Charlie dźgnęła ją mocniej. - Pytasz o Rusty'ego. - Kolejne dźgnięcie. - Pytasz o Hucka. - I następne. - Pytasz o...

- Przestań! - wrzasnęła Sam i trzepnęła ją w rękę. - Dlaczego jesteś taka kłótliwa?

- A ty czemu jesteś taka wkurzająca?

- Bo miałaś być szczęśliwa! - krzyknęła Sam. Wywrzeszczana prawda zadziałała na jej zmysły jak szok elektryczny. - Moje ciało jest bezużyteczne! Mój mózg... - uniosła ramiona - nie działa jak trzeba. Wszystko, czym mogłam być, uleciało. Nie widzę. Nie mogę biegać. Nie mogę normalnie się poruszać. Nie przetwarzam informacji jak trzeba. Z niczym nie jest mi łatwo. Nie odczuwam wygody, relaksu, przyjemności. Nigdy. I powtarzam sobie codziennie - codziennie, Charlotte! - że to nieważne, bo ty mogłaś uciec.

- Uciekłam!

- Do czego? - Sam zagotowała się z wściekłości. - Żeby prowokować Culpepperów? Żeby zmienić się w Rusty'ego? Żeby ktoś zdzielił cię w twarz? Żeby zniszczyć swoje małżeństwo? - Sam zrzuciła stos czasopism na ziemię. Jęknęła, kiedy ból przeszył jej ramię. Poczowała skurcz bicepsa, a potem całego ramienia. Oparła się ciężko o biurko. Brakowało jej powietrza.

Charlie zrobiła krok naprzód.

- Nie. - Sam nie chciała jej pomocy. - Miałaś mieć dzieci. Miałaś mieć przyjaciół, którzy będą cię kochać. Miałaś mieszkać w cudownym domu ze swoim wspaniałym mężem,

a nie rzucać to wszystko dla takiego nieodpowiedzialnego dupka jak Mason Huckabee.

- To jest...

- Nie fair? Nie w porządku? Nie to stało się z Benem? Nie to stało się w college'u? Nie to działało się za każdym razem, kiedy postanawiałaś uciekać, ponieważ winiłaś siebie, Charlie, nie mnie. Nie winię cię, że pobiegłaś. Gamma chciała, żebyś biegła. Ja cię błagałam, żebyś biegła. Winię cię za co innego. Za chowanie się! Za chowanie się przed życiem, przede mną, przed własnym szczęściem. Uważasz, że ja jestem zamknięta? Uważasz, że jestem zimna? Zzera cię nienawiść do samej siebie. Jesteś nią przesiąknięta. I myślisz, że wkładanie wszystkiego i wszystkich do osobnych szuflad to jedyny sposób na pozбиieranie kawałków.

Charlie milczała.

- Ja jestem w Nowym Jorku. Rusty w swoim krzywym wiatraku. Ben tutaj. Mason tam. Lenore licho wie gdzie. To nie jest życie, Charlie. Nie do takiego życia byłaś stworzona. Jesteś mądra i pracowita, i zawsze byłaś tak irytująco niepowstrzymanie szczęśliwa. - Sam pomasowała sobie ramię. Palący ból rozrywał jej mięśnie. - Gdzie się podziała tamta dziewczyna, Charlie? Przecież pobiegłaś. Uciekłaś.

Charlie wpatrywała się w podłogę. Miała ściśnięte szczęki. Oddychała ciężko.

Sam także. Czuła szybkie unoszenie się i opadanie klatki piersiowej. Jej palce drżały jak zablokowana wskazówka sekundnika w zegarze. Świat wokół niej wirował coraz szybciej. Dlaczego Charlie ją karała? Za co? Do czego

zmierzała?

Lenore zapukała w otwarte drzwi.

- Wszystko w porządku?

Charlie potrząsnęła głową. Krew skapnęła jej z nosa.

- Wezwać gliny? - zapytała Lenore.

- Wezwij taksówkę. - Charlie złapała uchwyt szuflady i pociągnęła do siebie z całej siły. Szuflada wypadła, a listy Zachariaha Culpeppera wysypały się na ziemię. - Wracaj do domu, Samantho. Miałaś rację. To miejsce wzmaga twoją podłość.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Sam siedziała naprzeciw Lenore w boksie pustej restauracji. Powoli zanurzyła torebkę herbaty w gorącej wodzie, którą kelnerka przyniosła do stolika. Czuła, że Lenore ją obserwuje, ale nie wiedziała, co powiedzieć.

- Będzie szybciej, jeśli zawiozę cię do szpitala - zaproponowała Lenore.

Sam potrząsnęła głową. Woląca poczekać na taksówkę.

- Nie musisz tu ze mną siedzieć.

Lenore trzymała kubek kawy w dłoniach. Miała starannie przycięte paznokcie pomalowane bezbarwnym lakierem. Na palcu wskazującym prawej dłoni nosiła prosty pierścionek.

- Mam go od twojej matki - wyjaśniła, gdy złowiła spojrzenie Sam.

Sam pomyślała, że właśnie taki pierścionek nosiłaby Gamma - oryginalny, nieszczerólnie piękny, ale rzucający się w oczy.

- Opowiedz mi o niej - poprosiła.

Lenore uniosła dłoń i przyjrzała się pierścionkowi.

- Lana, moja siostra, pracowała z nią w Fermilab. Nie były zatrudnione w tym samym dziale ani nawet na tym samym piętrze, ale ponieważ w tamtych czasach samotnym dziewczynom nie wolno było mieszkać osobno, zakwaterowano je razem na terenie uniwersytetu. Matka pozwoliła Lanie tam pracować tylko pod warunkiem, że będzie odseparowana od naukowców płci męskiej.

Sam milczała, czekając na ciąg dalszy.

- Lana przywiozła do nas Harriet w okolicy Bożego Narodzenia. Początkowo ją zignorowałam, ale pewnej nocy nie mogłam spać, wyszłam do ogrodu zaczerpnąć powietrza, i ona tam była. - Lenore uniosła brwi. - Patrzyła w gwiazdy. Zawodowo zajmowała się fizyką, ale astronomia była jej pasją.

Sam posmutniała na myśl, że tego o matce nie wiedziała.

- Przegadałyśmy całą noc. Rzadko się spotyka kogoś równie interesującego. Zaczęłyśmy się spotykać, ale nigdy nie było między nami... - Lenore urwała i wzruszyła ramionami, najwyraźniej nie chcąc wdawać się w szczegóły. - Byłyśmy razem nieco ponad rok, chociaż to był związek na odległość. Studiowałam wtedy prawo z Rustym. Dlaczego to nie przetrwało, to zupełnie inna historia. Ale pewnego lata zabrałam twojego ojca do Chicago, a on zawrócił jej w głowie.

- Lenore znowu wzruszyła ramionami. - Wycofałam się. Zawsze byłyśmy bardziej przyjaciółmi niż kochankami.

- Ale ona ciągle była na ciebie wściekła - wtrąciła Sam. - Słyszałam to w jej głosie.

- Zatrzymywałam jej męża, który do późna pił i palił, zamiast spędzać czas z rodziną. Zawsze pragnęła zwyczajnego życia.

Sam nie umiała wyobrazić sobie swojej matki marzącej o czymś tak przyziemnym.

- Daleko jej było do zwyczajności.

- Ludzie zawsze chcą tego, czego nie mogą mieć - stwierdziła sentencjonalnie Lenore. - Harry nigdzie nie pasowała, nawet w Fermilab. Była zbyt osobliwa, do tego brakowało jej wyrobienia towarzyskiego. Dzisiaj pewnie powiedzieliby o niej, że mieściła się w spektrum

różnorodności, ale wtedy uważali ją za zbyt bystrą, zbyt utalentowaną, zbyt dziwną, zwłaszcza jak na kobietę.

- Co było dla niej normalnym życiem?

- Małżeństwo. Konstrukt społeczny. Wy, jej córki. Nigdy nie była tak bardzo szczęśliwa, jak wtedy, kiedy urodziła ciebie, a potem kiedy obserwowała twój rozwój umysłowy, reakcje na nowe bodźce. Zapisywała całe strony w dzienniku.

- Brzmi to tak, jakbym była jej projektem naukowym.

- Twoja matka kochała projekty naukowe. Charlie była zupełnie inna, kreatywna i spontaniczna. Harriet ją uwielbiała, uwielbiała was obie, ale nigdy nie rozumiała Charlie.

- Nie ona jedna. - Sam pociągnęła łyk herbaty. Mleko było chyba zepsute, więc odstawiła kubek. - Dlaczego mnie nie lubisz?

- Zraniłaś Charlie.

- Charlie sama się rani.

Lenore sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej pendrive'a, którego dostała od Bena.

- Chcę, żebyś to wzięła. - Gdy Sam cofnęła się, jakby ten mały przedmiot stanowił fizyczne zagrożenie, Lenore dodała: - Podrzucić to komuś w Atlancie. - Przesunęła miniaturkę statku kosmicznego w stronę Sam. - Zrób to dla Bena. Wiesz, w jakie kłopoty może się wpakować.

Sam nie wiedziała, co robić. Po prostu wrzuciła pendrive'a do torby. Nie mogła go zabrać do Nowego Jorku. Musiała znaleźć kogoś w Atlancie, żeby to zniszczył.

- Możesz rozmawiać ze mną o sprawie - powiedziała Lenore. - Coin nigdy nie powoła mnie na świadka. W takim

stroju zbulwersowałabym każdą ławę przysięgłych. - Sam wiedziała, że Lenore ma rację, chociaż tak nie powinno być. - Kule nie dają mi spokoju. Strzał w ścianę nie ma sensu - mówiła dalej Lenore. - Kelly trafiła Pinkmana trzykrotnie, raz w klatkę piersiową, dwa razy w głowę. Albo to ślepy wybór losu, albo cholernie celny strzał.

- Lucy. - Sam dotknęła boku swojej szyi. - To nie było proste.

- Nie, ale w Pikeville nie musisz być taką kobietą jak ja, żeby umieć posługiwać się bronią. A ja, mimo braku presji i ludzi stojących na linii strzału, nie trafiłabym do tych celów z takiej odległości. Mówimy o osiemnastoletniej dziewczynie, która stoi w holu i czeka na dzwonek. Adrenalina musiała w niej buzować. Albo ma wyjątkowo zimną krew, albo się dzieje tu coś innego.

- Ale co?

- Nie mam pojęcia.

Sam pomyślała o ciąży Kelly. Adam Humphrey. Klasowa książka pamiątkowa. To były elementy układanki, z których prawdopodobnie nie da się poskładać całości.

- Dotąd nigdy nie złamałam klauzuli poufności - przyznała.

Lenore wzruszyła lekceważąco ramionami.

Sam poczuła wyrzuty sumienia, że w ogóle wzięła pod uwagę naruszenie tajemnicy, a jeszcze bardziej czuła się winna, że na powiernicę sekretu nie wybrała swojej siostry.

- Kelly może być w ciąży - powiedziała po długim wahaniu.

Lenore w milczeniu popiła kawę.

- W czasie rozmowy wspomniała o Adamie Humphreyu. To

on może być ojcem. Albo Frank Alexander – ciągnęła Sam. – Mam prawo sądzić, że to druga ciąża Kelly. Jeśli wierzyć plotkom, a akurat tym plotkom wierzę właściwie na sto procent, w pierwszą ciążę zaszła w gimnazjum, gdy miała trzynaście lat, i poddała się aborcji. Charlie wie o tej pierwszej, ale nie wie, że Kelly znów może być w ciąży.

Lenore spojrzała na Sam z nad kubka i stwierdziła:

- Coin powie, że ojcem jest Frank Alexander, a Kelly zamordowała Lucy z mściwości albo zazdrości.

- Ojcostwo można potwierdzić prostym testem.

- Rusty łatwo ich przekona, żeby poczekali do narodzin dziecka w celu uniknięcia nadmiernego obciążenia, bo te testy niosą pewne ryzyko. Sądzisz, że to Adam Humphrey albo Frank Alexander namówili Kelly, żeby przyniosła do szkoły broń z jakiegoś nieznanego nam powodu? Czy zrobiła to z własnej woli?

- Jedyne, czego jestem pewna, to fakt, że Kelly Wilson jest ostatnią osobą, na której można polegać w kwestii ustalenia prawdy. – Sam przycisnęła palce do skroni, usiłując zmniejszyć napięcie. – Widziałam nagrania z fałszywych zeznań na studiach, w telewizji, na filmach dokumentalnych. Trójka z West Memphis, Brendan Dassey, Chuck Erickson. Wszyscy ich widzieliśmy albo o nich czytaliśmy, ale kiedy siedzisz naprzeciw człowieka, który tak łatwo ulega wpływom, który tak bardzo chce cię zadowolić, że pójdzie za tobą wszędzie, dokąd go poprowadzisz, to się wydaje aż nieprawdopodobne. – Sam wróciła pamięcią do rozmowy z Kelly, usiłując ją zanalizować i zrozumieć, co się stało. – Przypuszczam, że tu

wchodzi w grę efekt potwierdzenia. Powtarzasz sobie, że to niemożliwe, by ktoś był aż tak mało pojętny; że na pewno robi cię w konia, ale prawda jest taka, że brak mu przenikliwości i inteligencji, by cię nabrać. Jest zbyt niskofunkcyjny na tego typu fortele, a gdyby był tak wysokofunkcyjny, że udałoby mu się wyprowadzić cię w pole, wtedy nie byłby aż tak głupi, żeby rzucić podejrzenie na siebie. - Sam uświadomiła sobie, że papie jak Charlie. Musiała wyrażać się jaśniej i zwięźlej. - Wmówiłam Kelly Wilson, że widziała, jak Charlie uderzyła Judith Pinkman w twarz.

- Dobry Boże. - Lenore położyła rękę na sercu. Pewnie w duchu zanosila dziękczynne modły, że dysponują nagraniem, które tego nie potwierdzi.

- Łatwo mi to przyszło - przyznała Sam. - Wiedziałam, że jest zmęczona, ma mdłości, jest zdezorientowana, przestraszona i samotna. W niecałe pięć minut namówiłam ją nie tylko do powtórzenia mojej sugestii. Ona ją potwierdziła, a nawet dodała nowy szczegół. Mianowicie policzek był tak głośny, że słyszała go na drugim końcu korytarza. - Sam potrząsnęła głową, ponieważ ciągle nie mogła w to uwierzyć. - Zawsze wiedziałam, że żyję w innym świecie niż większość ludzi, ale Kelly jest na samym dole tej drabiny. Nie chcę być ani okrutna, ani arogancka, po prostu stwierdzam fakt. Jest powód, dla którego właśnie takie dziewczyny gubią się w życiu.

- Chcesz powiedzieć, że schodzą na złą drogę przez innych? - podsunęła Lenore. Sam znowu potrząsnęła głową, nie chcąc przywiązywać się do żadnej teorii, a Lenore dodała: -

Nadałam Jimmy'emu Jackowi tego Humphreya. Pewnie już go namierzył.

- Nie możemy wykluczyć ojca Lucy Alexander - przypomniała Sam. - To, że nie chcemy, by Ken Coin miał rację, nie stawia ojca Lucy poza wszelkim podejrzeniem.

- Jeśli ktoś jest w stanie dotrzeć do przyczyn tej historii, to Jimmy Jack.

Sam zastanawiała się, czy w zarzuconą sieć wpadnie też Mason Huckabee, nie chciała jednak poruszać z Lenore tematu kochanka siostry. Zamiast tego powiedziała:

- Poznanie motywów działania Kelly nie zwróci życia ofiarom.

- Nie, ale ocali trzecią ofiarę przed całą śmiercią.

Sam zasznurowała wargi. Nie była do końca przekonana, że Kelly Wilson jest ofiarą. Wolno myśląca czy nie, przyniosła do szkoły broń i pociągnęła za spust tyle razy, że brutalnie odebrała życie dwojgu niewinnym ludziom. Sam czuła ulgę, że los dziewczyny nie leży w jej rękach. To nie ona oznajmi: winna-niewinna.

Istniał ważny powód, dla którego sędziowie przysięgli powinni być bezstronni. Niestety prawdopodobieństwo znalezienia bezstronnej ławy przysięgłych w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Pikeville było bliskie zeru.

- Zaraz będzie twoja taksówka. - Lenore rozejrzała się po sali i uniosła rękę, żeby przywołać kelnerkę.

Sam obejrzała się. Kobieta siedziała przy kontuarze.

- Można panią prosić?

Kelnerka zeszła ze stołka i podeszła do ich stolika

z wyraźnym ociąganiem. Westchnęła ciężko, zanim zwróciła się do Sam:

- Czego?

Sam zerknęła na Lenore, która potrząsnęła głową.

- Chciałabym zapłacić.

Kelnerka z rozmachem położyła rachunek na stole. Wzięła kubek Lenore kciukiem i palcem wskazującym, jakby obawiała się skażenia.

Sam czekała, aż wredne babsko odejdzie, i zwróciła się do Lenore:

- Dlaczego mieszkasz w tej zacofanej dziurze?

- To mój dom. I ciągle są tu jeszcze dobrzy ludzie, którzy wyznają zasadę „żyj i daj żyć innym”. - Po chwili dodała: - Poza tym Nowy Jork utracił swoją wyższość moralną po ostatnich wyborach prezydenckich.

Sam zaśmiała się smutno.

- Sprawdzę, co u Charlie. - Lenore wyjęła z portfela banknot.

Jednak Sam dała znak, że ureguluje rachunek.

- Dziękuję ci - powiedziała, chociaż mogła tylko się domyślać, ile Lenore zrobiła dla jej rodziny. Zawsze tak bardzo była pochłonięta swoim powrotem do zdrowia, że nie zastanawiała się zbyt nad tym, jak wyglądało życie Charlie i Rusty'ego. Lenore najwyraźniej wypełniła fragment pustki po Gammie.

Dzwonek u drzwi zabrzączał, gdy Lenore wychodziła z restauracji. Kelnerka rzuciła złośliwy komentarz do kucharza. Sam miała ochotę zwrócić jej uwagę, zmiażdżyć ją

celną ripostą, jednak nie miała siły na kolejną już dzisiaj walkę.

Poszła do łazienki. Stała przy umywalce i umyła się pobieżnie, marząc o kąpieli w Four Seasons w Atlancie. Od wyjazdu z Nowego Jorku upłynęło szesnaście godzin. Prawie dwa razy tyle nie spała. Głowa pulsowała bólem jak zepsuty ząb. Ciało nie chciało słuchać poleceń. Spojrzała na swoją zmęczoną, zmiętą twarz w lustrze i zobaczyła gorzkie rozczarowanie Gammy.

Sam rezygnowała z Charlie.

Nie miała wyjścia. Charlie nie chciała z nią rozmawiać, nie otworzyła drzwi swojego biura, do którego Sam kilkakrotnie pukała. Było inaczej niż ostatnim razem, kiedy Charlie uciekła od niej w środku nocy w obawie o własne bezpieczeństwo. Tym razem to Sam błagała, przepraszała – nie wiedząc, za co – i zderzała się ze ścianą milczenia Charlie. W końcu musiała przyznać w duchu to, co powinna wiedzieć od dawna.

Charlie jej nie potrzebowała.

Papierem toaletowym wytarła oczy. Nie wiedziała, czy płacze z powodu bezowocności tej podróży, czy z wyczerpania. Dwadzieścia lat temu zerwanie kontaktu z siostrą nastąpiło – tak się przynajmniej wydaje – za obopólną zgodą. Sam straciła panowanie nad sobą, Charlie nie pozostała dłużna. Skoczyły sobie do oczu, a potem razem uznały, że najlepiej się rozejść.

To zerwanie bardziej przypominało kradzież. Sam złapała w dłonie coś dobrego, coś, co wydawało się prawdziwe, a Charlie wydarła jej to z rąk.

Czy to z powodu Zachariaha Culpeppera?

Sam miała listy w torebce. Przynajmniej część z nich, ponieważ wiele zostało w biurze Rusty'ego. Stała za jego biurkiem i otwierała kopertę po kopercie. W każdej znajdowała taką samą złożoną kartkę zapisaną tymi samymi czterema słowami skreślonymi ciężką ręką:

JESTEŚ MI COŚ WINIEN.

Jedno krótkie zdanie wysyłane co miesiąc na adres biura Rusty'ego.

Telefon Sam ćwierknął.

Zanurzyła rękę w torbie. To nie Charlie. I nie Ben. Korporacja taksówkowa powiadomiła ją esemesem, że kierowca czeka.

Sam osuszyła oczy, palcami poprawiła włosy i wróciła do boksu. Zostawiła na stoliku banknot i z walizką na kółkach ruszyła ku taksówce. Kierowca wyskoczył z auta, żeby włożyć walizkę do bagażnika. Sam zajęła miejsce na tylnym siedzeniu. Patrzyła przez okno, gdy jechali przez centrum Pikeville.

Stanislav miał czekać na nią przed szpitalem. Nie miała ochoty widzieć się z ojcem, ale miała zobowiązania wobec niego i Kelly Wilson. Miała przekazać notatki, podzielić się swoimi spostrzeżeniami i przypuszczeniami.

Lenore miała rację w sprawie kul. Kelly wykazała się w holu świetną celnością. Ze stosunkowo dużej odległości dwukrotnie trafiła Douglasa Pinkmana i raz Lucy Alexander.

Dlaczego więc nie zastrzeliła Judith Pinkman, kiedy wybiegła z klasy?

To kolejna zagadka, którą musiał rozwikłać Rusty.

Opuściła okno w taksówce i spojrzała na gwiazdy skrzące się na niebie. W Nowym Jorku był tak wysoki poziom zanieczyszczenia świetlnego, że zupełnie zapomniała, jak może wyglądać niebo. Księżyc przypominał bladoniebieski sierp. Sam zdjęła okulary. Poczowała na twarzy powiew świeżego powietrza. Zamknęła oczy. Pomyślała o Gammie patrzącej w gwiazdy. Czy ta wspaniała błyskotliwa kobieta naprawdę tęskniła za zwyczajnym życiem?

Żona. Matka. Mąż, którym trzeba się opiekować. Przysięga małżeńska:

...w zdrowiu i w chorobie...

Najtrwalsze wspomnienia Sam o matce wiązały się z poszukiwaniem. Gamma zawsze czegoś szukała. Wiedzy. Informacji. Rozwiązania. Sam przypomniała sobie jeden z wielu dni, kiedy po powrocie ze szkoły zastała Gammę nad kolejnym projektem. Charlie była u koleżanki. Wtedy mieszkali jeszcze w ceglany domu. Sam otworzyła tylne drzwi, rzuciła torbę na podłogę w kuchni i zdjęła buty. Gamma odwróciła się w jej stronę. W ręku trzymała marker. Pisała na wielkim oknie wychodzącym na ogród za domem. Sam zobaczyła równania, chociaż nie rozumiała, czego dotyczą.

- Usiłuję zrozumieć, dlaczego ciasto mi opadło - wyjaśniła Gamma. - Na tym polega problem z życiem, Sam. Jeśli nie powstajesz, upadasz.

Taksówka podskoczyła na wyboju. Sam wróciła do terażniejszości.

Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest.

Włożyła okulary. Minęło prawie pół godziny. Byli już

w Bridge Cap. Nad barami i kafejkami wyrastały kilkupiętrowe biurowce. Plakaty obwieszczały koncerty w parku i pikniki rodzinne. Minęli kino, do którego wybrała się z koleżankami Mary-Lynne Huckabee i gdzie została zgwałcona w łazience.

Tylu brutalnych mężczyzn żyło w tym okręgu.

Położyła rękę na torebce. Czuła, że listy Zachariaha Culpeppera palą jej skórę.

JESTEŚ MI COŚ WINIEN.

Czy obchodziło ją poczucie krzywdy Zachariaha Culpeppera? Prawie trzydzieści lat temu Rusty walczył w sądzie o jego życie. Jeśli już, to Zachariah był coś winien Rusty'emu. I jej. I Charlie. I Benowi.

Odblokowała telefon.

Utworzyła nową wiadomość i wpisała adres Bena. Nie bardzo wiedziała, co napisać w temacie. Imię Charlie? Prośbę o radę? Przeprasiny, że nie naprawiła tego, co popsute?

Tylko co do jednego miała pewność: Charlie była załamana. Z jakiegoś powodu zależało jej, żeby Sam przyjechała do domu. Może chciała, żeby siostra przyparła ją do muru i skłoniła do wyznania czegoś, powiedzenia prawdy o czymś, co ją tak gryzło. Sam nie widziała innego powodu ciągłych prowokacji, naskakiwania, odpychania.

Sam dobrze znała tę taktykę. Po postrzale stała się nieprzewidywalna i zmienna, zirytowana słabością ciała, wściekła na mózg, który nie pracował jak wcześniej, na własną porywczosć, która nie oszczędzała nikogo. Przepisywane przez lekarzy sterydy, antydepresanty i leki

przeciwdrgawkowe tylko rozpały jej emocje. Przez większość czasu czuła wściekłość, a jedynym sposobem na jej osłabienie było skierowanie jej na zewnątrz.

Charlie i Rusty byli celami, w które uderzała najmocniej.

Pół roku, które po rehabilitacji spędziła na farmie, było piekłem dla wszystkich. Sam ciągle była niezadowolona. Ciągle się skarżyła. Dręczyła Charlie wieczną krytyką. Kiedy ktoś sugerował terapię, darła się jak potępieniec. Upierała się, że nic jej nie jest, że zdrowieje i wcale nie jest kurewsko zła, tylko zmęczona i zdenerwowana, i że potrzebuje przestrzeni, czasu i szansy, żeby być sama, żeby się pozbierać i odzyskać poczucie własnej tożsamości.

W końcu Rusty pozwolił jej przystąpić zaocznie do egzaminu GED, będącego odpowiednikiem dyplomu ukończenia szkoły średniej. Dzięki temu mogła wcześniej starać się o przyjęcie na Uniwersytet Stanforda. Dopiero kiedy znalazła się cztery tysiące kilometrów od domu, uświadomiła sobie, że jej złość nie jest demonem przypisanym jedynie do starej farmy.

Przyjrzeć się czemuś dokładnie można tylko wtedy, kiedy stoi się na zewnątrz.

Sam była zła na Rusty'ego za sprowadzenie Culpepperów do ich życia. Była zła na Charlie, że otworzyła drzwi kuchni. Była zła na Gammę, że złapała lufę. Była zła na siebie, że nie posłuchała instynktu, kiedy stojąc w łazience, wzięła do ręki młotek i poszła do kuchni, zamiast uciec tylnym wyjściem.

Była zła. Była wściekła. Piekielnie, kurewsko wręcz wściekła.

Miała trzydzieści jeden lat, kiedy pozwoliła sobie powiedzieć

to głośno. Awantura z Charlie podziałała jak zerwanie strupa. Anton, w swój spokojny i wyważony sposób, był jedyną przyczyną, dla której rana Sam w końcu zaczęła się goić.

Ostatniego dnia roku Sam była u niego w mieszkaniu. Oglądali w telewizji opadającą kulę na Times Square. Popijali szampana, chociaż Sam tylko udawała, że popija.

- Jeśli nie wypijesz, w nowym roku będziesz miała pecha - postraszył ją Anton.

Zbyła to śmiechem. Do tamtej chwili pech towarzyszył jej przez ponad połowę życia. Potem przyznała się Antonowi do czegoś, czego nigdy nie zdradziła nikomu innemu:

- Cały czas się boję, że jeśli coś wypiję albo wezmę, albo wykonam zły ruch, dostanę ataku albo udaru i stracę to, co mi zostało z mojego umysłu.

Anton nie zaserwował jej banałów o tajemnicach życia ani nie zasypał radami, jak rozwiązać ten problem. Zamiast tego powiedział:

- Pewnie od wielu osób słyszałaś, jakie to szczęście, że żyjesz. Według mnie miałabyś szczęście wtedy, gdybyś w ogóle nie została postrzelona.

Sam płakała przez prawie pół godziny.

Wszyscy nieustannie powtarzali jej, jakie ma szczęście, że przeżyła postrzał. Nikt nigdy nie uznał jej prawa do złości na to, jak wygląda jej życie po tym cudownym ocaleniu.

- Proszę pani? - Taksówkarz włączył kierunkowskaz i wskazał biały znak przed nimi.

Byli pod szpitalem. Rusty pewnie leżał w sali i oglądał serwisy informacyjne, mając nadzieję, że mignie gdzieś na

ekranie. I pewnie już wiedział o jej wystąpieniu w sądzie. Znowu poczuła łaskotanie w brzuchu. A potem złażała się, że w ogóle przejmuje się czymkolwiek, co ma związek z Rustym.

Była tu, żeby przekazać mu swoje notatki. Chciała pożegnać się z ojcem, zrobić to osobiście pewnie ostatni raz, a potem pojechać do Atlanty, gdzie jutro rano obudzi się w swoim prawdziwym życiu, odzyskanym jak życie Dorotki po powrocie do Kansas.

Kierowca wjechał pod betonowe sklepienie, wyjął walizkę Sam z bagażnika i wysunął rączkę. Sam pociągnęła walizkę do wejścia i poczuła dym papierosowy.

- Och, jestem igraszka losu! - zagrzemiał Rusty. Siedział na wózku z prawym łokciem na podłokietniku i z papierosem w dłoni. Dwie kroplówki wisiały na stojaku za wózkiem. Cewnik zwisał jak francuski zegar kieszonkowy na łańcuchu. Rusty usadowił się tuż pod znakiem nakazującym palaczom zachować odległość co najmniej trzydziestu metrów od drzwi wejściowych, a jego dzieliło najwyżej sześć metrów.

- To cię zabije - zauważyła kąśliwie Sam.

W odpowiedzi Rusty posłał jej uśmiech.

- Jest balsamiczny wieczór, rozmawiam z jedną z moich pięknych córek, mam nową paczkę fajek. Brakuje mi jeszcze szklaneczki bourbona i mogę umrzeć szczęśliwy.

Sam pomachała ręką, żeby rozrzedzić papierosowy dym.

- Z tym zapachem nie ma mowy o balsamiczności.

Zaśmiał się, a potem zakasłał.

Sam przyciągnęła walizkę do betonowej ławki obok wózka Rusty'ego. Reporterzy zniknęli, pewnie pojechali w miejsce

kolejnej strzelaniny. Usiadła na końcu ławki pod wiatr, by nie leciał na nią dym.

- Słyszałem, że na odczytaniu aktu oskarżenia odbyło się zaklinanie deszczu - zagaił Rusty.

Sam wzruszyła jednym ramieniem. Podchwyciła ten zły zwyczaj od Charlie.

- Czy dzieciątko nie żyje? - głos Rusty'ego zadrżał dramatycznie. - Czy dzieciątko nie żyje?

- Tato, zginęło dziecko.

- Wiem, skarbie. Naprawdę wiem. - Zaciągnął się dymem ostatni raz i zgasił papierosa o podeszwę kapcia, potem wrzucił niedopałek do kieszeni szlafroka. - Proces jest niczym innym jak konkursem na najlepszą opowieść. Kto przeciągnie przysięgłych na swoją stronę, ten wygrywa. A Ken ma do zaprezentowania cholernie dobrą historię.

Sam poskromiła chęć, by zostać cheerleaderką tatusia, i powiedziała Rusty'emu, że gdy się postara, to może przebić Coina swoją wersją tej historii.

- Co o niej myślisz? - zapytał Rusty.

- O Kelly? - Sam zadumała się na moment. - Nie jestem pewna. Może jest bystrzejsza, niż nam się wydaje. Może być jeszcze niżej funkcjonująca, niż nam się wydaje. Można jej wmówić wszystko, tato. Wszystko.

- Zawsze wolałem wariatów od głupców. Głupiec może ci złamać serce. - Rusty zerknął za siebie, upewniając się, że są sami. - Słyszałem o aborcji.

Sam wyobraziła sobie, jak Charlie siedzi w biurze i przez telefon donosi ojcu o aborcji Kelly.

- Rozmawiałaś z Charlie.

- Nie. - Rusty oparł się na łokciu i uniósł dłoń z rozcapierzonymi palcami, jakby ciągle trzymał między nimi papierosa. - Jimmy Jack, mój detektyw, przyniósł te wieści wczoraj po południu. Znaleźliśmy dowody z czasów nauki Kelly w gimnazjum, które wskazują, że działo się wtedy coś złego. Plotki, pogłoski. Wiesz, jak jest. W jednym tygodniu Kelly jest zaokrąglona, potem nie ma jej w szkole i wraca chuda. Wczoraj wieczorem potwierdziła to jej matka. Nadal bardzo to przeżywa. Ojczulkiem był chłopak z drużyny futbolowej. Dawno wyjechał z miasta. Zapłacił za zabieg, a właściwie jego rodzina. Mama zabrała ją do Atlanty. Omal nie straciła pracy, bo wzięła wolne.

- Kelly znowu może być w ciąży - powiedziała Sam, a gdy Rusty uniósł brwi, dokładniej wyjaśniła: - Wymiotuje codziennie o tej samej porze. Opuściła lekcje w szkole. Ma zaokrąglony brzuch.

- Ostatnio zaczęła ubierać się na czarno - stwierdził Rusty. - Jej matka mówi, że nie zna powodu.

Sam przypomniała sobie, o czym jeszcze nie powiedziała Rusty'emu:

- Mason Huckabee jest powiązany z Kelly.

- Tak?

Sam czekała na bardziej szczegółowe pytania, ale Rusty tylko powędrował spojrzeniem w stronę parkingu, zrelacjonowała więc w skrócie:

- Lenore zleciła waszemu detektywowi, żeby to sprawdził, ale jest też chłopak, w którym Kelly się durzyła. Nazywa się

Adam Humphrey. Możesz też przyjrzeć się Frankowi Alexandrowi, ojcu Lucy. – Urwała na moment, po czym dodała: – Albo Masonowi Huckabee.

Rusty podrapał się w policzek. Drugi raz zignorował to nazwisko, stwierdził natomiast:

– Jeśli jest w ciąży, to niedobrze.

– To mogłoby pomóc ci w sprawie.

– Owszem, ale Kelly Wilson nadal pozostaje osiemnastoletnią dziewczyną z dzieckiem w brzuchu i perspektywą spędzenia reszty życia w więzieniu. O ile będzie miała szczęście.

– Myślałam, że jest twoim jednorozcem.

– Wiesz, ilu niewinnych ludzi siedzi?

– Wolałabym nie wiedzieć – mruknęła Sam. – Dlaczego uważasz, że jest niewinna? Czego jeszcze się dowiedziałeś?

– Niczego konkretnego. To idzie stąd. – Wskazał swój brzuch. – Nóż nie uszkodził mojej intuicji, pozostała nietknięta. I mówi mi, że w tej sprawie jest drugie dno, którego jeszcze nie widzimy.

– Ja zobaczyłam całkiem sporo. Czy Lenore powiedziała ci, że zdobyła nagranie z monitoringu?

– Słyszałem też, że ty i twoja siostra omal nie pobiliście się w moim biurze. – Rusty położył ręce na sercu. – Czy ten krąg zostanie przerwany?

Sam nawet nie próbowała tego bagatelizować, nie miała na to najmniejszej ochoty.

– Tato, co z nią jest nie tak? – spytała z wielką powagą w głosie.

Rusty przyglądał się autom stojącym na parkingu oświetlonym jasnymi latarniami.

- Nie ma grzechu i nie ma cnoty. Są tylko rzeczy, które robią ludzie.

Sam nie wątpiła, że Charlie rozpoznałaby ten cytat.

- Nigdy nie rozumiałam, na czym polegają wasze relacje. Oboje gadacie bez przerwy, ale nigdy nie ma w tym treści. - Wyobraziła sobie dwa koguty krążące wokół siebie na podwórku. - Pewnie dlatego zawsze była twoją ulubienicą.

- Obie byłyście moimi ulubienicami.

Sam nie kupiła tego pochlebstwa. Charlie była tą dobrą córką, która śmiała się z jego żartów, podważała jego opinie i która została.

- Zadaniem ojca jest kochać każdą z córek w taki sposób, w jaki potrzebuje być kochana.

Sam skwitowała ten banał głośnym śmiechem, po czym dodała jeszcze słowny komentarz:

- Skoro tak, to jakim cudem nigdy nie zdobyłeś tytułu ojca roku?

Rusty zachichotał.

- Jednym z moich życiowych rozczarowań jest fakt, że nigdy nie dostałem kubka z napisem „Najlepszy tata na świecie”. - Sięgnął do kieszeni szlafroka i wyjął z niej paczkę papierosów.

- Czy Charlotte powiedziała ci o tym, co prywatnie łączy ją z Masonem?

- Porozmawiamy o tym wreszcie?

- Na nasz okrężny sposób.

- To ja powiedziałam jej o Masonie. Nie miała pojęcia, kim

on jest.

Rusty nieśpiesznie zapalił papierosa i zakasłał przy pierwszej porcji wydmuchiwanego dymu. Zdjął z języka drobinę tytoniu.

- Od tamtego czasu nie mogłem już reprezentować gwałciciela.

Sam zdumiało to wyznanie.

- Zawsze powtarzałeś, że każdy zasługuje na szansę.

- Owszem, ale ja nie muszę być tym, który ją daje. - Rusty wykasłał kolejną porcję dymu. - Kiedy patrzyłem na zdjęcia tej dziewczyny, Mary-Lynne, uświadomiłem sobie coś na temat gwałtu, czego wcześniej nie rozumiałem. - Obrócił papierosa między palcami. Patrzył na parking, nie na Sam. - Gwałciciel odbiera kobiecie jej przyszłość. Osoba, którą miała się stać, znika. Pod wieloma względami to gorsze niż morderstwo. On zabił tę potencjalną osobę, odebrał potencjalne życie, a ona nadal żyje i oddycha, i musi znaleźć dla siebie nowe miejsce. - Machnął ręką w powietrzu. - Albo nie. W niektórych przypadkach.

- Podobnie z postrzałem w głowę.

Rusty zakasłał i puścił dym.

- Charlotte zawsze była zwierzęciem stadnym. Nie musi być przywódczynią, ale potrzebuje grupy. Ben był jej grupą.

- Dlaczego go zdradziła?

- Nie do mnie należy mówienie o twojej siostrze.

Sam nie chciała brnąć w niedomówienia i podteksty, choć wiedziała, że Rusty z radością spędziłby na tym całą noc. Wyjęła z torebki notatki.

- Zapisałam kilka innych rzeczy, które powinieneś wyjaśnić. Wygląda na to, że Kelly nie zna ofiar. Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej. - Z perspektywy Sam było gorzej. Nigdy nie była obojętna na przypadkową, ślepo atakującą przemoc. - Musisz zażądać ustalenia sekwencji oraz liczby wystrzelonych naboju. Jest z tym jakieś zamieszanie.

Rusty spojrział na listę.

- Cięża: znak zapytania. Ojcostwo: wielki znak zapytania. Wideo: mamy, dzięki wiesz komu, ale przekonamy się, czy stara podstępna żmija Coin wypełni nakaz sędziego. - Palcem wskazującym stuknął w papier. - Właśnie, dlaczego Kelly znalazła się w gimnazjum? Ofiary są przypadkowe. - Spojrział na Sam. - Jesteś pewna, że Kelly ich nie znała?

Sam pokręciła głową.

- Zapytałam ją. Zaprzeczyła, ale warto to sprawdzić.

- Sprawdzanie to moje ulubione zajęcie. - Rusty zerknął na ostatni punkt listy. - Judith Pinkman. Widziałem ją w telewizji. Cóż za nawrócenie w stylu „nadstawiania drugiego policzka”. - Złożył kartkę i schował do kieszeni. - Kiedy odbywał się proces Zachariaha Culpeppera, sama chciała przestawić włącznik. Wtedy jeszcze wykonywali wyroki na krześle elektrycznym. Pamiętaj, że każdego, kto popełnił zbrodnię przed majem dwutysięcznego roku, można było stracić na krześle na podstawie przepisów przejściowych.

Sam czytała o metodach egzekucji na studiach prawniczych. Uważała je za barbarzyńskie, póki nie wyobraziła sobie Zachariaha Culpeppera tracącego kontrolę nad pęcherzem - jak wtedy Charlie - w oczekiwaniu na pierwszą dawkę tysiąca

ośmiuset woltów.

- Chciała, żeby zabójca Gammy został stracony, a zabójczynię męża chce oszczędzić - powiedział Rusty.

- Ludzie z czasem łagodnieją. - Sam wzruszyła ramionami. - Przynajmniej niektórzy.

- Uznam to za komplement. A co do Judith Pinkman, to powiedziałbym: „Lepiej częściowo mieć rację niż całkowicie się mylić”.

Sam uznała, że to odpowiedni moment na zrzucenie problemów Charlie z powrotem na barki Rusty'ego.

- Kelly powiedziała, że Mason Huckabee schował narzędzie zbrodni za pasek. Przypuszczam, że tak wyniósł broń ze szkoły. Musisz się dowiedzieć, dlaczego podjął tak wielkie ryzyko.

Rusty nie odpowiedział. Palił papierosa i patrzył przed siebie.

- Tato, zabrał narzędzie zbrodni z miejsca przestępstwa. Albo ma z tym jakiś związek, albo jest idiotą.

- Mówiłem ci, że głupota rani serce.

- Szybko do tego doszedłeś.

- Tak?

Sam nie zamierzała przerzucać się zagadkami. Rusty najwyraźniej wiedział coś, czego nie chciał zdradzić.

- Musisz donieść na Masona z powodu tej broni. Wygląda na to, że w przeciwieństwie do Judith Pinkman jest najmocniejszym świadkiem Coina.

- Znajdę inny sposób.

- Słucham?

- Znajdę inny sposób na zneutralizowanie Masona Huckabee. Nie ma potrzeby wsadzać go do więzienia za głupi błąd.

- Musielibyśmy wypuścić połowę więźniów, gdyby to brać pod uwagę. - Sam potarła oczy. Była zbyt wyczerpana, by kontynuować tę rozmowę. - Czujesz się winny? Zadałeś sobie pokutę? Nie wiem, czy odpuszczanie Masonowi czyni z ciebie hipokrytę, czy człowieka o miękkim sercu, ponieważ usiłujesz chronić Charlie kosztem twojej klientki.

- Możliwe, że jedno i drugie - przyznał Rusty. - Wyznam ci coś ważnego, Samantha: wybaczenie jest wartością.

Sam pomyślała o listach, które miała w torebce. Nie była pewna, czy chce wiedzieć, czego chciał od Rusty'ego morderca jej matki, człowiek, który próbował zgwałcić jej siostrę, który patrzył, kiedy jego wspólnik strzelił jej w głowę. Bała się, że ojciec mu wybaczył, a ona nie będzie w stanie wybaczyć Rusty'emu, że ułaskawił sumienie Zachariaha Culpeppera.

- Uczestniczyłaś kiedyś w egzekucji? - zapytał Rusty.

- Po co miałabym to oglądać?

Rusty zgasił papierosa, schował go do kieszeni i wyciągnął rękę do Sam.

- Sprawdź mój puls. - Na widok jej miny dodał: - Popraw humor staremu ojcu przed powrotem do domu.

Sam położyła palce na wewnętrznej stronie chudego nadgarstka. W pierwszej chwili wyczuła tylko grubą linię zginacza promieniowego. Przesunęła palce dookoła, w końcu zlokalizowała jednostajny rytm krwi płynącej w jego żyłach.

- Mam - powiedziała.

- Podczas egzekucji - zaczął Rusty - siedzisz w sali przed przeszkloną ścianą. Z jednej strony rodzina, duchowny, reporter, a z drugiej ty, która temu nie zapobiegłaś.

Rusty położył dłoń na ręce Sam. Pierwszy raz od prawie trzydziestu lat poczuła dotyk ojca, który mówił dalej:

- Rozsuwają kotary i twoim oczom ukazuje się człowiek, żyjąca, oddychająca istota. Czy jest potworem? Może dopuścił się potwornych czynów, ale w tej chwili jest przypięty pasami do łóżka. Ręce, nogi, głowa są w taki sposób unieruchomione, żeby z nikim nie nawiązał kontaktu wzrokowego. Może patrzeć tylko w sufit, i tam też spogląda, w ów sufit, na którym namalowano białe chmury i niebieskie niebo. Obrazek jak z kreskówki. Pewnie namalowany przez jednego z więźniów. To ostatnia rzecz, jaką widzi skazaniec.

Rusty docisnął palce Sam do swojego nadgarstka. Serce biło mu teraz szybciej.

- Widzisz, że jego klatka piersiowa się unosi, kiedy próbuje kontrolować oddech. I wtedy to czujesz. - Lekko popukał palcami w opuszki jej palców. - Bum-bum, bum-bum. Czujesz krew płynącą ci w żyłach. Czujesz własny oddech w płucach.

Sam nieświadomie zsynchronizowała własny oddech z oddechem ojca.

- Potem pytają go o ostatnie słowo. On mówi coś o wybaczeniu, o nadziei, że jego śmierć przyniesie rodzinie spokój, albo że jest niewinny, ale jego głos drży, bo on wie, że to koniec. Czerwony telefon na ścianie milczy. Nigdy więcej nie zobaczy swojej matki. Nigdy więcej nie przytuli swojego

dziecka. To koniec. Śmierć jest bliska.

Sam zacisnęła usta. Nie wiedziała, czy jej serce bije zgodnym rytmem z sercem Rusty'ego, czy po prostu dała się ponieść sugestii.

- Naczelnik więzienia daje znak skinieniem głowy. W sali są dwaj ludzie. Każdy naciska oddzielny guzik, którym uruchamia pompę infuzyjną. Jest ich dwóch, żeby nie było wiadomo, który z nich tak naprawdę zabił. - Rusty milczał przez kilka sekund, jakby przyglądał się scenie naciskania guzików. - Masz w ustach dziwny smak, chemiczny smak, jakbyś smakowała substancją, która zaraz go zabije. Skazaniec najpierw sztywnieje, a potem powoli jego mięśnie rozluźniają się, aż przestaje się ruszać. Wtedy zaczynasz to czuć, to wszechogarniające zmęczenie, jakby śmiertelny koktajl wypełniał twoje żyły. Zaczynasz kiwać głową. Czujesz prawie ulgę, ponieważ przez cały czas żyłaś w napięciu, a potem w oczekiwaniu, i teraz wreszcie już tylko sekundy dzielą cię od końca tej historii. - Rusty znowu urwał. - Serce ci zwalnia. Czujesz, że twój oddech stopniowo słabnie.

Sam czekała na dalszy ciąg.

Rusty milczał.

- A potem? - zapytała.

- Potem już nic. - Poklepał ją po ręce. - Jest po wszystkim. Zaciągają kotary, wychodzisz z sali, wsiadasz do auta, jedziesz do domu, pijesz drinka. Myjesz zęby, kładziesz się do łóżka i gapisz się w sufit przez resztę życia, tak jak skazaniec patrzył w sufit nad głową. - Ścisnął rękę Sam. - To myśli Zachariah Culpepper w każdej sekundzie życia i będzie

myślał, póki nie przywiozą go do tego pokoju i nie rozsuna kotar.

Sam odsunęła się od Rusty'ego. Miała wrażenie, że pali ją skóra dłoni.

- Lenore powiedziała ci, że znalazłyśmy listy.

- Nigdy nie umiałem trzymać was z daleka od moich akt. - Chwycił oparcia wózka i spojrzał gdzieś daleko przed siebie. - Został ukarany. Wiem, że chciałaś, by cierpiał. I cierpi. Nie trzeba nic więcej robić temu człowiekowi. Powinnaś wrócić do Nowego Jorku i zapomnieć o nim. Żyć własnym życiem. To twoja zemsta.

Sam pokręciła głową. Wiedziała, co będzie dalej. Była wściekła na siebie, że zawsze pozwalała Rusty'emu trafić w jej słaby punkt.

- Jeśli nie chcesz zrobić tego dla siebie, zrób to dla siostry - dodał po chwili.

- Próbowałam jej pomóc. Ona nie chce mojej pomocy.

Rusty złapał ją za rękę.

- Posłuchaj mnie, skarbie. Musisz mnie wysłuchać, bo to bardzo ważne. - Czekał, aż Sam spojrzy na niego. - Jeśli teraz pozwolisz Charlotte zafiksować się na Zachariahu Culpepperze, ona nigdy nie wróci z miejsca, w którym się znalazła.

- Co według Zachariaha jesteś mu winien?

Rusty puścił jej dłoń i rozsiadł się wygodniej w wózku.

- Trawestując Churchilla, to zagadka owiana tajemnicą ukryta we wnętrzu kaczk.

- Kaczka to niepotwierdzona informacja albo bajka.

- To też naczynie na mocz dla pacjentów szpitala.

- Rusty - upomniała go Sam. - On wysyła do ciebie te listy, a właściwie jeden list o tej samej treści, regularnie w drugi piątek każdego miesiąca.

- Tak?

- Wiesz, że tak. Tego samego dnia zawsze do mnie dzwonicz.

- Miło mi słyszeć, że wyczekujesz moich telefonów.

Sam pokręciła głową. Oboje wiedzieli, że nie to chciała powiedzieć.

- Tato, dlaczego ciągle przysyła ci list o tej samej treści? - Sam nie dawała za wygraną. - Co jesteś mu winien?

- Niczego nie jestem mu winien. Klnę się na własne życie. - Rusty uniósł dłoń, jakby przysięgał na Biblię. - Policja wie o tych listach. On tym się po prostu zajmuje. To żalosne ścierwo ma za kratkami mnóstwo czasu. W takiej sytuacji łatwiej trzymać się ustalonego planu.

- Więc za tymi listami nic się nie kryje? On jest tylko skazańcem w celi śmierci, który wmówił sobie, że jesteś mu coś winien?

- Ludzie w tej sytuacji często czują, że coś im się należy.

- Tylko mi nie mów, że w przebaczeniu Culpepperowi jest jakaś wartość.

- Warto o nim zapomnieć - uściślił Rusty. - Zapomniałem o nim, żeby móc iść dalej. Mój umysł wyrzucił jego istnienie z mojej świadomości, aczkolwiek nigdy mu nie wybaczę, że odebrał mi bratnią duszę.

Sam miała ochotę przewrócić oczami.

- Kochałem twoją matkę ponad wszystko. Każdy dzień z nią był najlepszym dniem mojego życia, nawet jeśli wrzeszczeliśmy na siebie jak opętańcy.

Sam pamiętała te awantury bardziej niż cokolwiek innego.

- Nigdy nie rozumiałam, co ona w tobie widziała.

- Mężczyznę, który nie wkłada jej bielizny.

Sam zaśmiała się, ale zamilkła z poczucia winy.

- Lenny nas sobie przedstawił. Wiedziałaś o tym? - Rusty nie czekał na odpowiedź. - Zabrał mnie na północ, żebym poznał dziewczynę, z którą się spotykał. Na jej widok poczułem, jakby piorun we mnie trzasnął. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Była najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałem. Nogi po szyję. Krągłe biodra. - Posłał Sam szeroki uśmiech. - I żebyś nie myślała, że tatuś był takim psem na baby, zafascynowała mnie zagadka jej umysłu. Boże, ona tyle wiedziała. Rzuciła mnie na kolana swoją wiedzą. Nigdy nie spotkałem takiej kobiety. Była jak kot. - Wycelował palcem w Sam. - Czy ktoś powiedział to kiedyś o tobie?

- Nie wiem.

- Psy są głupie. To znany fakt. Ale kot... Codziennie musisz zasłużyć na jego szacunek. Stracisz go i... - Rusty pstryknął palcami. - Tym była dla mnie twoja mama. Moim kotem. Dzięki niej mój kompas wskazywał prawdziwą północ.

- Twoje metafory bywają zwodnicze.

- Koty żeglowały z wikingami.

- Żeby łowić szczury, a nie służyć za nawigatora. Mama nie znosiła tego, co robiłaś.

- Nie znosiła ryzyka, jakie było wpisane w moje zajęcie. Nie

znosiła nienormowanego czasu pracy. To pewne. Ale rozumiała, że muszę to robić. I zawsze szanowała ludzi, którzy starali się robić coś użytecznego.

W jego słowach Sam usłyszała głos Gammy.

- Miasto Portland przeciwko Henry'emu Alamedzie - powiedział nagle Rusty.

Sam zaniemówiła.

To była jej pierwsza sprawa.

- Siedziałem z tyłu sali i szczyrzyłem zęby tak bardzo, że mógłbym wskazać kotu właściwy kurs, żeby ominąć skaliste wybrzeże.

- Ale tato...

- Masz wrodzone zdolności, moja droga. Jesteś świetną oskarżycielką. Zapanowałaś nad salą sądową. Nigdy nie byłem bardziej dumny.

- Dlaczego nie...

- Chciałem sprawdzić, co u ciebie. Przekonać się, czy znalazłaś swoje miejsce. - Rusty wyjął z paczki następnego papierosa. - Clinton Cable SA przeciwko Stanley Mercantile spółka z o.o. - Mrugnął do niej, przytaczając z pamięci pierwszą sprawę patentową, którą zajmowała się samodzielnie. - To twoje miejsce, Samantho. Znalazłaś sposób, żeby stać się użyteczna w tym świecie. I jesteś w tej grze najlepsza. - Wetknął papierosa do ust. - Nie mogę powiedzieć, że wybrałbym tę dziedzinę, żeby pochwalić twój wybitny umysł, ale naprawdę jesteś w swoim żywiole, kiedy omawiasz wytrzymałość wzmocnionego kabla na rozciąganie. - Pochylił się ku niej. - Gamma byłaby dumna.

Oczy Sam zaszkliły się łzami. Próbowwała przywołać obraz sali sądowej i siebie, jak odwraca się i widzi ojca siedzącego w ostatnim rzędzie, ale wspomnienie nie wróciło.

- Nie wiedziałam, że tam byłeś.

- Nie wiedziałaś. Chciałem cię zobaczyć. Ty nie chciałaś zobaczyć mnie. - Uniósł rękę na znak, że nie oczekuje od niej usprawiedliwienia. - Zadaniem ojca jest kochać córkę w taki sposób, w jaki potrzebuje być kochana.

Zamiast obśmiać ten banał, tym razem Sam otarła łzy.

- W moim biurze jest zdjęcie Gammy, które chciałbym ci dać - powiedział Rusty.

Zaskoczył ją. Nie mógł wiedzieć, że część dnia spędziła na myśleniu o tym zdjęciu.

- To jedno ze zdjęć, których przedtem nie widziałaś. Przykro mi z tego powodu. Zawsze myślałem, że w końcu pokażę je swoim córeczkom.

- Charlie go nie widziała?

- Nie.

Sam poczuła lekkość w sercu na myśl, że Rusty mówi jej coś, o czym Charlie nie wie.

Wyjął z ust niezapalonego papierosa.

- Gamma stała wtedy na polu. W oddali widać było wieżę meteo. Nie stalową, jak ta na farmie, tylko taką drewnianą, starą i rozchwianą. Gamma patrzyła na nią, gdy Lenny wyjął aparat. Miała na sobie szorty. - Rusty uśmiechnął się na to wspomnienie. - Boże, te nogi... - Wydał z siebie niski, budzący zażenowanie pomruk. - Zdjęcie, które znasz, zostało zrobione tego samego dnia. Byliśmy wtedy na pikniku. Zawołałem ją,

a ona odwróciła się do mnie z uniesioną brwią, ponieważ powiedziałem coś oszałamiająco błyskotliwego.

Sam uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Jest jeszcze jedno zdjęcie. Moje prywatne. Gamma jest zwrócona w stronę obiektywu, ale głowę lekko przekręca w bok, ponieważ patrzy na mnie, a ja patrzę na nią. Kiedy wróciliśmy z Lennym do domu i odebraliśmy wywołane zdjęcia, jeden rzut oka na to mi wystarczył. Powiedziałem wtedy: „To jest moment, w którym się w sobie zakochaliśmy”.

Ta historia podobała się Sam za bardzo, żeby była prawdziwa.

- Czy Gamma podzielała twoje zdanie?

- Moja piękna córka... - Rusty wyciągnął do niej rękę i ujął ją pod brodę. - Twierdzą z całą odpowiedzialnością, że moja interpretacja tej decydującej chwili była jedyną kwestią, co do której twoja matka i ja byliśmy absolutnie jednomyślni.

Sam zamrugnęła, żeby pohamować łzy.

- Chciałabym je zobaczyć.

- Wyślę je pocztą najszybciej, jak się da. - Rusty zakasłał, zasłaniając dłonią usta. - I będę nadal dzwonił, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Sam pokiwała głową. Nie wyobrażała sobie życia w Nowym Jorku bez jego telefonów.

Rusty znowu zakasłał. Mimo rżenia w płucach usiłował zapalić papierosa.

- Wiesz, że kaszel jest symptomem zastoinowej niewydolności serca - powiedziała Sam.

- To też objaw pragnienia - odparował Rusty.

Sam zrozumiała aluzję. Zostawiła walizkę obok ławki i weszła do szpitala. Sklep znajdował się przy wejściu. Znalazła w lodówce wodę. Stała w kolejce za starszą kobietą, która po dojściu do kontuaru postanowiła zapłacić wszystkimi drobnymi z dna torebki.

Sam wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Widziała Rusty'ego na wózku. Znowu siedział podparty na prawym łokciu i trzymał w ręku zapalonego papierosa.

Starsza kobieta wyciągała z torebki kolejne monety, gawędziła przy tym z kasjerką o swojej chorej przyjaciółce, do której przyszła w odwiedzinach.

Sam rozejrzała się po sklepie. Droga do Atlanty potrwa dwie godziny. Powinna poszukać jakiejś przekąski, ponieważ podczas rozmowy z Lenore była zbyt rozstrojona, żeby zjeść coś konkretnego. Rozglądała się za batonem z suszonymi owocami albo orzechami, kiedy zobaczyła na końcu sklepu półkę z kubkami:

NAJLEPSZA MAMA

NAJLEPSZA PRZYJACIÓŁKA NA ŚWIECIE

NAJLEPSZY OJCZYM

NAJLEPSZY TATA NA ŚWIECIE.

Wybrała kubek z napisem:

NAJLEPSZY TATA

Obracając go w dłoniach, uniosła się na palce, żeby zerknąć na Rusty'ego.

Nadal siedział pochylony na wózku. Nad jego głową unosiła się smużka dymu. Odstawiła na półkę kubek z TATA i sięgnęła po OJCZYMA, ponieważ Rusty uznałby to za dobry żart.

Starsza pani płacąca drobnymi odeszła od kontuaru. Sam wyjęła kartę. Czekala, aż terminal zatwierdzi transakcję.

- Odwiedza pani swojego ojczyma? - zagadnęła kasjerka.

Sam skinęła, ponieważ nikt normalny nie uznałby jej tłumaczenia za śmieszne.

- Oby jak najszybciej wrócił do zdrowia. - Kasjerka oderwała paragon wygenerowany przez terminal.

Sam wyszła ze sklepu i przeszła przez hol. Drzwi rozsunęły się przed nią. Rusty ciągle siedział obok ławki. Sam uniosła kubek.

- Zobacz, co mam - powiedziała.

Nie odwrócił się do niej.

- Tato?

Rusty był przechylony w bok, ręka zwisała mu bezwładnie. Dymiący papieros leżał na ziemi.

Podeszła do niego. Spojrzała mu w twarz.

Miał rozchylone wargi. Jego otwarte oczy patrzyły obojętnie na oświetlony parking. Skórę miał woskową, prawie białą.

Przycisnęła palce do jego nadgarstka, potem do szyi. Przyłożyła ucho do jego piersi.

Zamknęła oczy. Nasłuchiwała. Czekala. Modliła się.

Oderwała się od niego.

Usiadła na ławce.

Nie hamowała już łez.

Jej ojciec odszedł.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Sam obudziła się na kanapie u Charlie. Wbiła wzrok w biały sufit. Od wyjazdu z Nowego Jorku zmagala się z bólem głowy. Wczoraj wieczorem nie była w stanie wejść po schodach do sypialni dla gości. Ledwie pokonała dwa schody przed wejściem do domu. Ciało zaczęło odmawiać współpracy, mózg nie chciał albo nie umiał walczyć ze stresem, wyczerpaniem i głębokim smutkiem po znalezieniu martwego Rusty'ego na wózku.

Zazwyczaj na koniec trudnego dnia biła się z myślami, czy dodać więcej farmaceutyków do codziennego koktajlu złożonego z celebrexu na bóle stawów, neurontinu, który przeciwdziała napadom padaczkowym, przeciwdepresyjnej paroksetyny i cyklobenzapryny na skurcze mięśni. Czy potrzebuje jeszcze leku przeciwzapalnego? Czy zaśnie bez kolejnego środka rozluźniającego mięśnie? Czy ból jest na tyle mocny, żeby wziąć pół oksykodonu albo cały percocet?

Wczoraj wieczorem wszystko bolało ją tak bardzo, że siłą powstrzymała się przed zażyciem wszystkiego.

Odwróciła głowę od sufitu i spojrzała na fotografie stojące na kominku Charlie. Wczoraj, zanim zaczęły działać leki, przyjrzała się im dokładnie. Rusty w bujanym fotelu, wsparty na łokciu, z papierosem w ręku, z otwartymi ustami. Ben w śmiesznym kapeluszu na meczu Diabłów. Charlie i Ben na plaży gdzieś na Karaibach. W strojach narciarskich u stóp ośnieżonej góry. Stoją przy jednej z lin podtrzymujących most

wiszący, którego czerwieni nie sposób pomylić z niczym innym. Oczywiście to Golden Gate.

Te zdjęcia były dowodem, że w pewnym momencie ich życia sprawy miały się lepiej.

Sam usiadła z trudem, ciągle oszołomiona lekami. Miała sztywne nogi, w głowie pulsowało, nie mogła skupić oczu na jednym punkcie. Zerknęła na ogromny telewizor zajmujący prawie całą ścianę. Z czarnego monitora spoglądało na nią jej własne odbicie.

Rusty umarł.

Zawsze wyobrażała sobie, że usłyszy tę wieść, gdy będzie na spotkaniu, w innym mieście, w innym świecie. Przypuszczała, że jego śmierć wywoła smutek, ale krótkotrwały. Taki, jaki poczuła, gdy Charlie powiedziała, że Peter Alexander, jej licealna sympatia, zginął w wypadku.

Nie sądziła, że sama znajdzie Rusty'ego i że to ona będzie musiała przekazać tę informację siostrze. I że sparaliżowana bólem przesiedzi na ławce obok Rusty'ego pół godziny, zanim zaalarmuje personel szpitala.

Płakała nad ojcem, którego straciła.

Płakała nad ojcem, którego nigdy nie знаła.

Znalazła okulary na stoliku kawowym. Rozprostowała nogi, zaczynając od kostek, poprzez łydki, mięśnie czworogłowe. Bolały ją plecy. Wyciągnęła ręce przed siebie, uniosła je nad głowę. Tak przygotowana wstała z kanapy. Zrobiła jeszcze kilka ćwiczeń rozciągających, aż rozgrzała mięśnie i mogła poruszać rękami i nogami przy lekkim już tylko dyskomforcie.

Na drewnianej podłodze nie było dywanu. Sam wątpiła, by

Charlie miała matę do jogi. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami obok kanapy i popatrzyła na ogród za domem. W rozsuwanych drzwiach była niewielka szpara, by wpuścić do środka trochę świeżego powietrza. Klatka dla królików, projekt Charlie z czasów skautowskich, stała w tym samym miejscu. Sam była wczoraj zbyt zrozpaczona, by o tym mówić, ale ucieszyło ją, że Charlie i Ben wzniesli swój dom dokładnie tam, gdzie kiedyś stał ceglany dom Quinnów.

Ben nie został na noc. Sam słyszała skrzypienie drewnianej podłogi, gdy wchodził do pokoju Charlie. Nie było krzyku, nie było płaczu, tylko po kilku minutach zszedł cicho po schodach i wyszedł z domu bez pożegnania z Sam.

Wyprostowała kręgosłup i oparła na kolanach wierzchy dłoni. Zanim zamknęła oczy, zobaczyła, jak Charlie pcha taczkę przez ogród. Patrzyła, jak siostra wrzuca siano do klatek. Bezdomne koty pomiaukiwały u jej stóp. W taczce leżały torebki z karmą dla zwierząt. Sucha karma dla psów. Ziarno dla ptaków. Orzechy. Wnioskując po łzawiących oczach, Sam była pewna, że w domu niedawno mieszkał pies.

Zatem tak Charlie spędzała czas - na dokarmianiu zwierzyńca.

Próbowała odsunąć od siebie myśl o kłopotach siostry. Nie przyjechała tu naprawiać jej życia. A nawet gdyby miała taki zamiar, Charlie nigdy by jej na to nie pozwoliła.

Zamknęła oczy i złączyła opuszki palców. Skupiła się na uszkodzonych częściach swojego mózgu. Delikatnych zwojach substancji szarej, przepływie impulsów między synapsami.

Rusty leżący bezwładnie na wózku.

Nie mogła uwolnić się od tego obrazu. Opadnięty lewy kącik ust. Ciało pozbawione iskry, która zawsze w nim była. Jej smutek, kiedy zrozumiała, że umarł.

Potrzeba ukojenia.

Potrzeba skontaktowania się z Charlie.

Nie miała jej numeru telefonu. Wstydziła się przyznać do tego personelowi szpitala, napisała więc mejla do Bena i czekała na jego odpowiedź. I znowu ciężar przekazania Charlie złych wieści spadł na jego barki. Wbrew oczekiwaniom Sam, Charlie nie przyjechała do szpitala, tylko wysłała po nią Bena. Nie zeszła na dół, kiedy Sam zjawiła się u niej w domu, zupełnie jakby miała do czynienia z kimś obcym. Chociaż z drugiej strony, nigdy nie potraktowałyby tak obcesowo żadnego nieznanego.

- Dostałaś udaru?

Charlie stała w otwartych drzwiach. Miała oczy spuchnięte od płaczu, siniaki pod oczami były zupełnie czarne.

- Próbowałam medytować - wyjaśniła Sam.

- Kiedyś też tego próbowałam. Myślałam, że dostanę wścieklizny. - Charlie zdjęła buty. Miała we włosach siano, pachniała kotem. Sam rozpoznała logo na jej koszulce. Był to symbol liczby pi z oplatającym go węzem. Kółko matematyczne. Pytony z Pikeville.

Poprawiła okulary. Źle leżały na nosie, odkąd sędzia poddał je brutalnym oględzinom na sali sądowej. Wstała z mniejszym trudem, niż przewidywała.

- Przez całą noc opos gapił się na mnie zza drzwi - powiedziała.

- To Bill. - Charlie włączyła gigantyczny telewizor. - Mój ukochany.

Sam oparła się o podłokietnik kanapy. Równie szokujące teksty Charlie wygłaszała już jako dziesięciolatka.

- Oposy mogą przenosić krętkowicę, bakterię E.coli, salmonellę. W ich odchodach może znajdować się bakteria, która powoduje wrzody.

- Tacy perwersyjni nie jesteśmy. - Charlie przerzucała pilotem kanały.

- Kawał telewizora - zauważyła Sam.

- Ben nazywa go Eleanor Roosevelt, bo jest duży i brzydki, a mimo to go uwielbiamy. - Znalazła CNN i wyciszyła głos. Czytała biegnące na pasku napisy.

- Dlaczego to oglądasz? - zapytała Sam.

- Chcę zobaczyć, czy będzie coś o tacie.

Sam obserwowała Charlie, gdy ta oglądała wiadomości. Stacja informacyjna nie mogła powiedzieć jej siostrze nic więcej ponad to, co Sam mogła jej przekazać. Ba, sporo mniej, przecież Sam z całą pewnością wiedziała więcej niż dziennikarze. Co powiedział Rusty. O czym mógł myśleć. Że wezwano policję. Że ciało Rusty'ego tkwiło na wózku przez ponad godzinę. Ponieważ był dźgnięty nożem i rany mogły przyczynić się do jego śmierci, zjawili się policjanci z Bridge Gap.

Na szczęście przed przyjazdem policji Sam wyjęła z kieszeni szlafroka Rusty'ego listę dotyczącą Kelly Wilson. W przeciwnym razie jej sekrety wpadłyby w łapy Kena Coina.

- Cholera. - Charlie pogłodziła telewizor.

Głos z offu mówił:

- ...wywiad na wyłączność z Adamem Humphreym, byłym uczniem liceum w Pikeville, który chodził do szkoły razem z Kelly Rene Wilson.

Sam patrzyła na pulchnego pryszczatego chłopaka, który stał przed starym zdezelowanym camaro. Miał skrzyżowane ramiona. Był ubrany jak do kościoła: biała koszula, wąski czarny krawat i czarne spodnie. Kępka włosów udawała kozią bródkę. Na okularach można było dostrzec ślady palców.

- Kelly była w porządku. Tak mi się wydaje. Ludzie mówili o niej różne nieprzyjemne rzeczy, ale ona była, hm... No, trochę wolno myślała. - Popukał palcem w bok głowy. - I co z tego? Nie każdy musi być najlepszym uczniem. Po prostu była miłą dziewczyną. Owszem, niezbyt lotną, ale bardzo się starała.

Na ekranie pojawił się reporter z mikrofonem pod brodą.

- Jak się poznaliście? - zapytał.

- Nie pamiętam. Może w podstawówce? Większość z nas się zna, bo to małe miasto. Nie da się przejść ulicą, żeby nie zobaczyć znajomego.

- Przyjaźniłeś się z Kelly Rene Wilson w gimnazjum? - Reporter miał minę drapieżcy, który wyczuł zapach świeżego mięsa. - Chodzą na jej temat różne słuchy. Zastanawiałem się, czy...

- O nie, w to nie wchodzę. - Adam mocniej przycisnął do siebie założone ręce. - Ludzie chcą usłyszeć złe rzeczy, że była prześladowana czy dręczona. Może niektórzy byli wobec niej złośliwi, ale takie jest życie, a przynajmniej życie

w szkole. Kelly to wie. Wtedy też to wiedziała. Ona nie jest głupia. Ludzie mówią, że jest głupia. Okej, nie jest bystra, to już powiedziałem, ale nie jest idiotką. Takie rzeczy się dzieją, kiedy jest się dzieckiem. Dzieci są okrutne. Czasem stają się podłe i zostają podłe, czasem im to przechodzi, kiedy kończą szkołę. Z tym trzeba żyć. Kelly z tym żyła. Nie wiem, co ją skłoniło do tego czynu, ale na pewno nie to. Nie to, o czym pan mówi. To nieprawda.

- Ale czy Kelly Rene Wilson nie...

- Niech pan nie robi z niej Johna Wayne'a Gacy'ego, dobrze? To po prostu Kelly. Kelly Wilson. Zrobiła straszną rzecz. Nie wiem, dlaczego to zrobiła. Nie mogę snuć domysłów. Nikt nie może i nie powinien. A jeśli próbują, to znaczy że są bandą kłamców. Stało się, co się stało, i tylko Kelly zna powód, ale wy, ludzie z telewizji, musicie pamiętać, że to Kelly. Ci, którzy chodzili z nią do szkoły, niech też pamiętają. To po prostu Kelly.

Po tych słowach Adam Humphrey odszedł, ale reporter nie pozwolił, by jego zniknięcie spowolniło mu pracę. Zwrócił się do prowadzącego w studiu:

- Ron, jak mówiłem wcześniej, typowy strzelec to mężczyzna, samotnik, prześladowany, izolowany, działający z pobudek osobistych. W przypadku Kelly Rene Wilson mamy do czynienia z inną sytuacją, młodą dziewczyną, którą spotkał ostracyzm z powodu jej rozwiązłości i która, jak mówią źródła zbliżone do rodziny Wilsonów, przerwała nieplanowaną ciążę, co w małym miasteczku jest...

Charlie wyłączyła głos.

- Nieplanowana ciąża. Dziewczyna była w gimnazjum. Nie prowadziła kalendarzyka, do jasnej cholery.

- Adam Humphrey byłby dobrym świadkiem. Widać, że nie chce jej oczerniać, co robią inni jej przyjaciele.

- Prawdziwi przyjaciele nie oczerniają - zaprotestowała Charlie. - Założę się, że przed kamerą Mindy Zowada opowiadałaby o miłości i wybaczeniu, ale kiedy czytasz jej jadowite teksty na Facebooku, wyobrażasz sobie, że za chwilę złapie widły i pochodnię, a potem popędzi do więzienia, nawołując do zemsty na potworze.

- Nie dziwi mnie, że ludzie uważają Kelly za potwora. Zabiła...

- Wiem, kogo zabiła. - Charlie spojrzała na swoje dłonie, jakby spodziewała się znaleźć na nich ślady krwi Lucy. - Adam Humphrey niech lepiej postara się o dobrego adwokata. Wersja z *femme fatale* szybko się upowszechni. Będą go łączyć z Kelly, czy miał z nią coś wspólnego, czy nie.

Sam wstrzymała się od komentarza. Miała wyrzuty sumienia, że zwierzyła się wczoraj Lenore, podczas gdy przed własną siostrą nie puściła pary z ust. Jednakże w przeciwieństwie do Lenore, Charlie miała zostać powołana na świadka, więc Sam nie chciała stawiać siostry przed koniecznością wyboru między krzywoprzysięstwem a dostarczeniem dowodu, który da przysięgłym podstawę do głosowania za karą śmierci.

To był jeden z wielu powodów, dla których nie zajęła się prawem karnym. Nie chciała, by jej słowa wyznaczały cienką granicę między życiem a śmiercią.

- Co teraz? - zmieniała temat. - Musimy przygotować pogrzeb taty...

- On już się tym zajął. Z góry wszystko opłacił, dał wskazówki mistrzowi ceremonii, jak ma ją poprowadzić.

- Zrobił to wszystko, a nie spisał testamentu ani DNR?

- Rusty zawsze chciał odejść z fasonem. - Charlie spojrzała na zegar ścienny. - Ceremonia zaczyna się za trzy godziny.

Sam poczuła, jakby dostała nagły cios w splot słoneczny. Spodziewała się, że dzisiaj będzie musiała szukać hotelu.

- Dlaczego tak szybko?

- Nie chciał być zabalsamowany. Mówił, że to poniżej jego godności.

- Jeden dzień chyba nie zrobiłby różnicy?

- Chciał, żeby to się odbyło jak najszybciej, żebyś nie czuła się zobligowana do przyjazdu albo żebyś nie miała wyrzutów sumienia, że nie zdążyłaś. - Charlie wyłączyła telewizor. - Nie lubił, kiedy coś się wlokło w nieskończoność.

- Chyba że była to jedna z jego głupich opowieści.

Charlie skomentowała tę uwagę wzruszeniem ramion.

Sam poszła za nią do kuchni i usiadła przy kontuarze. Patrzyła, jak Charlie uprząta blaty i ładuje naczynia do zmywarki.

- Wydaje mi się, że nie cierpiał - powiedziała.

Charlie wyjęła z kredensu dwa kubki. Do jednego naląka kawy, drugi napełniła wodą z kranu i wstawiła do mikrofalówki.

- Możesz wyjechać po pogrzebie. Albo przed. To bez znaczenia. Tacie i tak wszystko jedno, a ty masz gdzieś opinię

miejscowych.

Sam zignorowała tę celną uwagę, stwierdziła natomiast:

- Ben okazał mi wczoraj wiele życzliwości.

- Gdzie twoja herbata? - Charlie przyniosła torbę Sam pozostawioną na ławce przy drzwiach. - Tutaj, tak?

- W bocznej kieszeni.

Charlie wyjęła woreczek strunowy i posłała go Sam po kontuarze.

- Czy możemy uznać fakt, że Ben tu nie mieszka, i nie dyskutować o tym?

- Robię to od dłuższego czasu - zauważyła Sam, wyjmując z woreczka torebkę herbaty. Rzuciła ją Charlie. - Masz mleko?

- Mleko? Niby po co?

Sam potrząsnęła głową, jednocześnie wzruszając ramionami.

- Nie zapomniałam o tym, że twój organizm nie toleruje laktozy. Myślałam, że może Ben... - Dotarł do niej bezsens tego tłumaczenia. - Spróbujmy przeżyć ten dzień bez kłótni. Albo kontynuujmy kłótnię z wczoraj. Czy jakkolwiek to nazwiemy.

Odezwał się brzęczyk w mikrofalówce. Charlie znalazła podstawkę i postawiła na niej gorący kubek, a z kredensu wyjęła spodek. Sam studiowała tył jej koszulki. Charlie przykleiła do niej żelazkiem litery, które ułożyły się w jej ksywkę z klubu matematycznego:

Lois „Najmniejszy Wspólny Mianownik” Lane

- Co będzie z Kelly Wilson? Sprawę przejmie ten alkoholik

Grail? - zapytała.

Charlie okręciła się na pięcie. Postawiła kubek przed Sam i z niewiadomych powodów zakryła go spodkiem.

- W Atlancie jest pewien facet, nazywa się Steve LaScala. Myślę, że zgodzi się wziąć tę sprawę. Może zadzwonić do ciebie z pytaniem o twoje przemyślenia i sugestie.

- Zostawię ci mój numer.

- Ben go ma.

Sam położyła spodek na kontuarze. Raz po raz zanurzała w kubku saszetkę z herbatą.

- Jeśli LaScala nie zrobi tego pro bono, zapłacę mu.

Charlie prychnęła.

- To będzie ponad milion dolarów.

- Tata chciałby, żebym to zrobiła.

- Od kiedy robisz to, co chciałby tata?

Sam poczuła, że jej z trudem wypracowany spokój oddaje pole irytacji, ale panując nad tonem głosu, powiedziała:

- Tata cię kochał. To była jedna z ostatnich rzeczy, o jakich mówił.

- Nie zaczynaj.

- Martwił się o ciebie, Charlie.

- Mam dość ludzi, którzy martwią się o mnie.

- W imieniu tych ludzi oświadczam, że my też mamy dość. -

Sam podniosła wzrok znad kubka. - Charlie, cokolwiek cię gryzie, nie jest warte twojego smutku i twojej złości.

- Mój ojciec nie żyje. Mąż mnie zostawił. Ostatnie dni były najgorsze w moim życiu, odkąd zabili mamę, a ciebie postrzelili. Przykro mi, że nie jestem szczęśliwa i pełna werwy,

Sam, ale moje „mam to w dupie” nie działa. – Popiła łyk kawy i spojrzała w okno kuchni. Ptaki zleciały się do karmnika.

To była okazja dla Sam, być może ostatnia, żeby powiedzieć siostrze o Antonie. Pragnęła, by Charlie wiedziała, że ona też rozumie, co znaczy być kochaną i jaka wiąże się z tym odpowiedzialność. Mogłyby wymienić się tajemnicami, jak to robiły w dzieciństwie. „Opowiem ci o chłopaku, który mi się podoba, jeśli ty mi powiesz, dlaczego Gamma dała ci szlaban na trzy dni”.

– Rusty mówił, że listy od Zachariaha Culpeppera nic nie znaczą. Policja o nich wie. Gość jest zdesperowany, próbuje nas wkurzyć. Nie pozwól mu wygrać – powiedziała Sam.

– Człowiek w celi śmierci raczej nie ogląda swojej nagrody. – Charlie odstawiła kawę i założyła ręce. – Co jeszcze mówił?

– Opowiedział mi o karze śmierci.

– Kazał ci przyłożyć palce do nadgarstka?

Sam znowu poczuła się oszukana.

– Jakim cudem nie wyrzucili go z miasta za stosowanie tanich sztuczek? – rzuciła zgryźliwie.

– Nie chciał, żebym była obecna przy egzekucji Culpeppera, o ile stan wykona wreszcie swoją robotę. – Charlie pokręciła głową, jakby ze śmiercią człowieka wiązała się drobna niedogodność. – Nie wiem, czy chcę tam iść, ale nic, co mówi... co mówił Rusty, nie będzie miało wpływu na moją decyzję.

Sam miała nadzieję, że to nieprawda.

– Powiedział mi o zdjęciu mamy.

– Tym zdjęciu?

– Innym, którego nigdy nam nie pokazywał.

- Trudno mi w to uwierzyć. Szperałyśmy w jego rzeczach. Nie miał prywatności.

- Według niego zdjęcie jest w jego biurze w domu. Chciałabym je wziąć przed wyjazdem.

- Ben zawiezie cię do Pieprznika po pogrzebie.

Farma. Sam nie chciała tam jechać, ale nie mogła wrócić do Nowego Jorku bez choćby części mamy.

- Pomogę ci to zamaskować. - Wskazała sińce pod oczami Charlie. - Na pogrzeb.

- Po co miałabym to maskować?

Sam nie umiała podać racjonalnego powodu. Pewnie i tak nikt inny nie przyjdzie, przynajmniej nikt, kogo Sam chciałaby zobaczyć. Rusty nie był popularną postacią w miasteczku. Sam pojawi się na pogrzebie, potem pojedzie na farmę, poczeka na przyjazd Stanisława z Atlanty i wyjedzie stąd najszybciej, jak to możliwe.

Pod warunkiem, że zbierze siły, żeby wstać. W jej organizmie krążyła resztką środka rozluźniającego mięśnie. Czowała, jak własny ciężar przygniata ją do ziemi. Obudziła się ledwie piętnaście minut temu i z chęcią znowu zapadłaby w sen. Sięgnęła po kubek.

- Nie pij tego - rzuciła spłoszonym głosem Charlie. - Tam jest pot z cycków.

- Co?

- Pot z cycków. Kiedy nie patrzyłaś, włożyłam torebkę pod stanik i wytarłam nią skórę.

Sam odstawiła kubek. Powinna się zdenerwować, ale wybuchnęła śmiechem.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Nie spodziewaj się racjonalnego wyjaśnienia. Nie wiem, dlaczego znowu zachowuję się jak dziecko, dlaczego cię dręcę, próbuję cię zirytować, zwrócić na siebie uwagę. Zdaję sobie sprawę, że to robię, i nienawidzę tego, co wyczyniam.

- Więc przestań.

Charlie wydała z siebie donośne westchnienie.

- Nie chcę się kłócić, Sam. Tata nie chciałby tego, zwłaszcza dzisiaj.

- Tak naprawdę tata uwielbiał spory.

- Ale nie te przykre i bolesne.

Sam popiła łyk herbaty. Tak bardzo potrzebowała energetycznego kopa, że było jej wszystko jedno, co jest w kubku prócz ulubionego napoju.

- I co teraz? - zapytała.

- Pójdę płakać pod prysznicem, a potem przygotuję się na ekspresowy pogrzeb mojego ojca.

Charlie opłukała kubek po kawie nad zlewem i włożyła go do zmywarki. Wytarła ręce, po czym ruszyła do wyjścia.

- Mój mąż zmarł. - Sam wyrzuciła z siebie te słowa tak szybko, że nie była pewna, czy Charlie je usłyszała. - Miał na imię Anton. Byliśmy małżeństwem przez dwanaście lat. - Charlie otworzyła usta ze zdumienia. Nie była w stanie nic powiedzieć. - Umarł trzynaście miesięcy temu. Rak przełyku - dodała na koniec Sam.

Charlie poruszyła ustami, jakby szukała właściwych słów. Ograniczyła się do dwóch.

- Przykro mi.

- To przez taniny. W winie. To organiczne związki...

- Wiem, czym są taniny. Myślałam, że ten rodzaj raka wywołuje wirus HPV.

- U niego badania nie wykazały obecności tego wirusa. Mogę przysłać ci wyniki.

- Nie trzeba. Wierzę ci - powiedziała Charlie.

Sam nie była pewna, czy nadal wierzy sobie. Zawsze używała logiki do rozwiązywania problemów, ale tak jak pogoda, życie polegało na kruchej i dynamicznej równowadze między masą a ruchem.

Krótko mówiąc, nieszczęścia chodzą po ludziach.

- Chcę pojechać z tobą do domu pogrzebowego, ale nie mogę zostać - powiedziała Sam. - Nie chcę widzieć ludzi, którzy się zjawiają. Hipokrytów, ciekawskich, tych wszystkich, którzy na widok taty przechodzili na drugą stronę ulicy i nie byli w stanie pojąć, że próbował postępować przyzwoicie.

- Tata nie chciał nabożeństwa - powiedziała Charlie. - Żadnych formalnych obrzędów, tylko ostatnie pożegnanie. A potem wszyscy mają iść do Trefnego Raya.

Sam zupełnie zapomniała o ulubionym barze ojca.

- Nie dam rady wysiedzieć wśród bandy starych pijusów raczących się opowieściami z sal sądowych.

- To było jedno z jego ulubionych zajęć. - Charlie oparła się o kontuar, spojrzała na swoje stopy i zobaczyła dziurę w skarpetce. Wystawał z niej duży palec. - Rozmawiałam z nim o pogrzebie całkiem niedawno, przed operacją na otwartym sercu. Tylko ja i on. To wtedy wydał wszystkie dyspozycje. Chciał, żeby ludzie byli szczęśliwi, celebrowali

życie. Brzmi przyjemnie, prawda? Ale teraz, kiedy jestem w środku tego wszystkiego, przychodzi mi do głowy tylko jedno: jakim był głupkiem, skoro zakładał, że będę chciała celebrować życie po jego śmierci. – Otarła łzy. – Nie umiem powiedzieć, czy jestem w szoku, czy to, co czuję, jest normalne.

Sam nie mogła zaoferować wsparcia. Anton był naukowcem wywodzącym się z kultury, która nie idealizowała śmierci. Stała obok pieca krematoryjnego i patrzyła, jak drewniana trumna zsuwa się w płomień.

– Pamiętał pogrzeb Gammy – ciągnęła Charlie. – To był szok. Nikt się tego nie spodziewał. Poza tym byłam przerażona, że Zachariah wyjdzie i po mnie wróci. Że jego rodzina coś zrobi. Że ty umrzesz. Że oni cię zabiją. Przez cały czas kurczowo trzymałam Lenore za rękę.

Podczas pogrzebu Gammy Sam nadal leżała w szpitalu. Charlie na pewno opowiedziała jej o przebiegu ceremonii, ale mózg nie zachował tej informacji.

– Tego dnia tata był dobry. Obecny. Troszczył się o moje samopoczucie, szukał mojego wzroku, przerywał, kiedy niewłaściwa osoba mówiła niewłaściwe rzeczy. Było tak, jak sama to ujęłaś przed chwilą. Trochę hipokrytów. Trochę ciekawskich. Ale byli też inni ludzie. Pani Kimble, sąsiadka z naprzeciwka. I pan Edwards z biura nieruchomości. Opowiadali, jakie dziwne rzeczy czasem mówiła Gamma, jak umiała rozwiązać każdy problem. Dobrze było zobaczyć inną jej część. Tę dorosłą.

– Gamma nigdy nie pasowała do otoczenia.

- Wszędzie jest ktoś, kto nie pasuje do otoczenia. Dlatego inni mogą się czuć wpasowani. - Charlie spojrzała na zegarek.

- Musimy się szykować. Im szybciej to załatwimy, tym szybciej będzie po wszystkim.

- Mogę zostać. - Sam wyczuła jej rezerwę. - Na pogrzebie. Mogę zostać, jeśli...

- Nic się nie zmieniło, Sam - Charlie wykonała swoje zwyczajowe wzruszenie jednym ramieniem. - Ja nadal muszę zdecydować, co zrobić ze swoim zmarnowanym nieszczęśliwym życiem, a ty nadal musisz wyjechać.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Sam patrzyła, jak Charlie przemierza hol domu pogrzebowego. Budynek był nowoczesny z zewnątrz, ale wewnątrz wyglądało jak urządzone przez leciwą miłośniczkę kiczu. Działali efektywnie. W dwóch kaplicach po obu stronach holu odbywały się jednocześnie dwie ceremonie. Dwa identyczne karawany czekały na swoich pasażerów przed wejściem. Sam przypomniała sobie logo domu pogrzebowego widniejące na billboardzie ustawionym przed wjazdem do Pikeville. Reklama przedstawiała beztroskiego nastolatka, a obok złowieszcze słowa:

ZWOLNIJ! NIE CHCEMY ZAROBIĆ TWOIM KOSZTEM

Charlie przeszła obok Sam, machając rękami. Miała na sobie czarną sukienkę i buty na wysokich obcasach. Włosy zaczesła do tyłu i upięła. Nie pomalowała się, nie zamaskowała krwiałków. Nie zrobiła nic, żeby ukryć swoje cierpienie.

- Kto słyszał, żeby czekać w kolejce w domu pogrzebowym?
- wymamrotała pod nosem.

Sam wiedziała, że siostra nie oczekuje odpowiedzi. Niecałe dziesięć minut temu poproszono je, by poczekały. Zza zamkniętych drzwi po drugiej stronie holu dobiegała muzyka. Wyglądało na to, że kiedy jedna ceremonia dobiega końca, druga się zaczyna. Niedługo mogły się spodziewać w holu gromady żałobników.

- Niewiarygodne - mruzczała Charlie, chodząc w tę

i z powrotem.

Sam poczuła wibracje telefonu. Spojrzała na wyświetlacz. Przed wyjazdem od Charlie napisała do Stanislava z prośbą, żeby czekał na nią na farmie. Kierowca był hojnie wynagradzany za każdy kurs, ale nadal w jego odpowiedzi wyczuwała oschłość:

Będę ASAP.

„Najszybciej, jak się da” otrzeźwiło ją. Nagle poczuła przemożną chęć powiedzenia mu, żeby się nie śpieszył. Przyjechała do hrabstwa Dickerson z zamiarem natychmiastowego wyjazdu, ale siła bezwładu zatrzymywała ją tutaj.

A może upór i zawziętość byłyby lepszymi słowami.

Im bardziej Charlie naciskała na jej wyjazd, tym bardziej Sam czuła się wrośnięta w to przeklęte miejsce.

Otworzyły się boczne drzwi. Myślała, że kryje się za nimi garderoba, ale wyszedł z nich starszy mężczyzna w garniturze i krawacie, osuszając dłonie papierowym ręcznikiem. Odchylił się i wyrzucił ręcznik do kosza.

- Edgar Graham - przedstawił się. Najpierw podał rękę Sam, potem Charlie. - Przepraszam, że kazałem paniom czekać.

- Prawie dwadzieścia minut - nie omieszkała wypomnieć Charlie.

- Jeszcze raz najmocniej przepraszam. - Edgar wskazał hol.
- Tędy proszę.

Sam ruszyła pierwsza. Dzisiaj jej noga współpracowała z resztą. Tylko lekko ćmiący ból przypominał, że ulga jest

chwilowa. Słyszała mamrotanie Charlie za plecami, ale nie była w stanie wychwycić słów.

- Pani mąż przywiózł rano strój dla zmarłego - powiedział Edgar.

- Ben? - W głosie Charlie było zaskoczenie.

- Proszę tutaj. - Edgar wyprzedził je, otworzył drzwi i przytrzymał. Napis na drzwiach brzmiał: KAPLICA PAMIĘCI. W środku były cztery fotele klubowe, niski stolik i pudełka chusteczek dyskretnie rozmieszczone między licznymi kwiatami doniczkowymi.

Charlie rzuciła gniewnym wzrokiem na napis. Sam czuła jej buzującą złość. Zwykle napędzały się nawzajem, emocje Charlie potęgowały emocje Sam. Teraz jednak panika i złość siostry były dla Sam impulsem do zachowania spokoju.

Po to tu przyszła. Nie mogła rozwiązać problemów Charlie, ale w tej chwili mogła dać jej to, czego potrzebowała.

- Proszę tu usiąść - powiedział Edgar. - Dzisiaj mamy pełne obłożenie. Proszę wybaczyć, ale nie spodziewaliśmy się pań.

- Nie spodziewaliście się, że przyjdziemy na pogrzeb ojca?

- Charlie - Sam usiłowała ją zmitygować - przyjechaliśmy bez zapowiedzi. Ceremonia zaczyna się za dwie godziny.

- Zazwyczaj udostępniamy kaplicę godzinę przed uroczystością - stwierdził Edgar.

- U nas nie będzie oficjalnej ceremonii. Czyj pogrzeb odbywa się w sąsiedniej kaplicy? Pana Pinkmana? - zapytała Charlie.

- Nie, proszę pani. - Edgar Graham przestał się uśmiechać, ale zachował stoicki spokój. - Pogrzeb Douglasa Pinkmana

odbędzie się jutro. Lucy Alexander pojutrze.

Sam poczuła nieoczekiwaną ulgę. Tak była skupiona na Rustym, że zupełnie zapomniała o dwóch innych ciałach czekających na pochówek.

Edgar wskazał Sam fotel, ale nie skorzystała z oferty.

- Ojciec pań jest na dole. Kiedy dobiegnie końca ceremonia w kaplicy pamięci, przeniesiemy go na górę i umieścimy w sali na podeście. Pragnę zapewnić, że...

- Chcę zobaczyć go teraz - przerwała mu Charlie.

- Nie jest przygotowany.

- Zapomniał nauczyć się do egzaminu?

Sam położyła jej rękę na ramieniu.

- Proszę wybaczyć, że wyraziłem się niejasno. - Edgar trzymał ręce na oparciu fotela, ani na chwilę nie tracąc nieziemskiego spokoju. - Ojciec pań został umieszczony w trumnie, którą sam wybrał, ale musimy przenieść ją na podest, ułożyć kwiaty, przygotować salę. Na pewno chciałyby panie zobaczyć go...

- To niekonieczne. - Sam ścisnęła ramię Charlie, dając jej znak, żeby milczała. Wiedziała, co myśli. Nie mów mi, czego chcę. - Na pewno wszystko pan pięknie zaplanował, ale my chcemy zobaczyć go teraz.

Edgar lekko skinął głową.

- Oczywiście, proszę pań. Oczywiście. Proszę dać mi chwilę.

Charlie nie czekała z komentarzem, aż zamkną się za nim drzwi.

- Co za protekcyjny kutas.

- Charlie - upomniała ją Sam.

- Najgorsze, co mogłabyś teraz powiedzieć, to to, że brzmię jak mama. Jezu! - Powachlowała się dekoltem sukienki. - Gorąco jak w piekle.

- To żal, Charlie. Chcesz kontrolować sytuację, bo czujesz, że straciłaś kontrolę. - Sam starała się nie popaść w mentorski ton. - Musisz nauczyć się sobie z tym radzić, bo te uczucia jutro nie znikną.

- Musisz - powtórzyła Charlie. Wyjęła chusteczkę z pudełka przy fotelu. Otarła pot z czoła. - Wydawało mi się, że przy tych wszystkich nieboszczykach będą utrzymywali niską temperaturę. - Zaczęła chodzić od ściany do ściany. Machała rękami, poruszała głową, jakby sama ze sobą prowadziła rozmowę.

Sam usiadła. Musiała wypić piwo, którego sobie nawarzyła. Obserwowała maniakalno-szaleńczą energię siostry, która objawiała się we wściekłości. Charlie miała rację, że zabrzmiała jak matka. Gamma zawsze uderzała, kiedy czuła się zagrożona. Sam też to robiła. A teraz zrobiła to Charlie.

- Mam w torebce valium - powiedziała.

- To weź je.

- Gdzie Lenore? - Sam nie dała się zbyć.

- Żeby mnie uspokoiła? - Charlie podeszła do okna. Rozgarnęła metalowe żaluzje i wyjrzała na parking. - Nie przyjdzie. Zabiłaby tu wszystkich. Czym smarujesz szyję?

- Co? - Sam odruchowo dotknęła szyi.

- Pamiętam, że szyja Gammy robiła się cienka jak papier. I zaczynała się marszczyć. A Gamma miała wtedy tylko trzy lata więcej niż ja teraz.

Sam uznała, że powinna podtrzymać konwersację.

- Cały czas była na słońcu. Nigdy nie używała kremu z filtrem. Nikt w jej pokoleniu tego nie robił.

- Nie martwi cię to? Teraz jeszcze jest znośnie, ale... - Charlie spojrzała w lustro wiszące przy oknie. Przeciągnęła dłonią po szyi i dekolcie. - Co wieczór nakładam balsam, ale chyba muszę zacząć używać porządnego kremu.

Sam otworzyła torebkę. Pierwsze, co zobaczyła, to kartka, którą dała Rusty'emu. Woń dymu papierosowego przywarła do papieru. Sam powstrzymała się przed melodramatycznym gestem. Nie zanurzyła nosa w kartce, by zapamiętać zapach ojca. Obok pendrive'a od Bena znalazła krem do rąk.

- Proszę. - Podała tubkę Charlie.

Charlie spojrzała na etykietkę.

- Co to?

- Tego używam.

- Ale tu jest napisane „do rąk”.

- Wygooglujemy coś. - Sam sięgnęła po telefon. - Co ty na to?

- Co ja na to? - Charlie westchnęła ciężko. - Chyba zaraz dostanę kurwicy.

- To raczej atak paniki.

- Nie panikuję - zaproponowała Charlie, ale drżenie jej głosu wskazywało, że Sam trafnie oceniła jej stan. - Kręci mi się w głowie. Trzęsę się cała. Mdli mnie. Czy to atak paniki?

- Tak. - Sam pomogła jej usiąść. - Oddychaj głęboko.

- Jezu. - Charlie pochyliła się i włożyła głowę między kolana.

- O Jezu - powtórzyła.

Sam pogłaskała ją po plecach. Szukała słów, które zmniejszą ból, ale ból nie poddawał się logice.

- Nie wierzyłam, że umrze. - Charlie przytrzymała ręką włosy. - Wiedziałam, że to nastąpi, ale nie sądziłam, że to się naprawdę stanie. Inaczej niż kiedy kupujesz los na loterię. Mówisz sobie: eee tam, na pewno nie wygram, ale tak naprawdę myślisz, że możesz wygrać, bo w przeciwnym wypadku po co kupowałabyś ten cholerny los?

Sam nie przestawała gładzić jej po plecach.

- Wiem, że nadal mam Lenore, ale on był... - Charlie wyprostowała się i spazmatycznie wciągnęła powietrze. - Zawsze wiedziałam, że bez względu na wszystko mogę przyjść do niego z każdym problemem, a on nie będzie mnie oceniał, tylko rzuci jakiś żart, uszczypliwy, ale nie złośliwy, rozładuje sytuację, a potem razem poszukamy rozwiązania. - Ukryła twarz w dłoniach. - Nienawidzę go za to, że nie dbał o siebie. I kocham za to, że żył na własnych warunkach.

Sam też doświadczyła tych emocji.

- Nie wiedziałam, że Ben przywiózł jego ubrania. - Nagle Charlie spojrzała na Sam ze strachem w oczach. - A jeśli wymyślił sobie strój błazna?

- Nie bądź głupia. Wiesz, że nie wybrałby niczego z epoki renesansu.

Drzwi salki otworzyły się. Charlie wstała z fotela.

- Kaplica pamięci jest już pusta - oznajmił Edgar. - Jeśli dadzą mi panie jeszcze chwilę, umieszczę waszego ojca w bardziej naturalnym otoczeniu.

- On nie żyje. Tu nic nie jest naturalne - warknęła Charlie.

- Dobrze. - Edgar potarł brodę. - Tymczasowo umieściliśmy go w showroomie. Wstawiłem tam krzesła dla pań wygody i zadumy.

- Dziękuję. - Sam odwróciła się do Charlie, oczekując jej pretensji o krzesła albo ostrego komentarza o zadumie. Zamiast tego zobaczyła, że Charlie płacze.

- Jestem przy tobie - powiedziała, chociaż nie wiedziała, czy dla siostry to pocieszenie.

Charlie zagryzła wargi. Ręce zaciskała w pięści. Cała się trzęsła.

Sam rozprostowała jej palce i ujęła ją za rękę.

Skinęła w stronę Edgara.

Edgar przeszedł na drugą stronę pomieszczenia. Sam wcześniej nie zauważyła drzwi dyskretnie wbudowanych w drewniane panele ściennie. Edgar przekręcił gałkę i Sam zobaczyła jasno oświetlony pokój.

Charlie nie była w stanie poruszać się o własnych siłach. Sam łagodnie poprowadziła ją ku drzwiom. Chociaż Edgar nazwał to showroomem, Sam nie spodziewała się prawdziwego „salonu wystawowego”. Wzdłuż ścian stały lśniące trumny w ciemnych tonacjach. Były przechylone pod kątem piętnastu stopni, miały otwarte wieka, eksponujące jedwabną wyściółkę wnętrza. Reflektory punktowe oświetlały srebrne i złote uchwyty. Na obrotowym stojaku leżały poduszki. Sam zastanawiała się, czy żałobnicy sprawdzali ich miękkość przed podjęciem decyzji o wyborze.

Charlie stała niepewnie na wysokich obcasach.

- Czy tak było, kiedy...

- Nie - odparła krótko Sam. - Anton był skremowany. Włożyli go do sosnowej trumny.

- Dlaczego tata zdecydował inaczej? - Charlie spojrzała na kruczoczną trumnę wyłożoną czarnym aksamitem. - Czuję się jak w opowieści Shirley Jackson.

Sam odwróciła się, pamiętając o obecności Edgara.

- Dziękuję - powiedziała mu bezgłośnie.

Edgar skłonił się i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Sam znowu spojrzała na siostrę. Cała jej fanfaronada uleciała. Stała nieruchomo wpatrzona w drugi koniec sali. Stały tam dwa rozkładane krzesła okryte aksamitem o pastelowo-niebieskiej barwie. Biała trumna ze złotymi uchwytemi na stalowym wózku do przewożenia trumien z dużymi czarnymi kółkami. Wieko było otwarte. Głowa Rusty'ego spoczywała na poduszce. Sam widziała jego włosy koloru pieprz i sól, czubek nosa i intensywnie niebieski odcień garnituru.

- To tata - powiedziała Charlie.

Sam chciała ją chwycić za rękę, ale Charlie już ruszyła ku niemu. Po chwili stanęła jak wryta. Zakryła usta dłonią. Jej ramiona zdrząły.

- To nie tata - wykrztusiła.

Sam rozumiała, o co jej chodzi. To był i nie był Rusty. Miał zbyt różowe policzki, a niesforne za życia brwi zostały poskromione. Włosy, zwykle sterczące na wszystkie strony, były zaczesane jak u Presleya.

- Obiecał, że w trumnie będzie przystojny - powiedziała Charlie.

Sam objęła ją w pasie.

- Kiedy o tym rozmawialiśmy, powiedziałam mu, że nie chcę otwierać trumny, a on obiecał, że będzie przystojny. I wtedy na pewno zechcę się przekonać, jak dobrze wygląda. A on nie wygląda dobrze. - Charlie spojrzała na Sam.

- Racja. Nie jest do siebie podobny.

Patrzyły na ojca. Sam nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała go w bezruchu. A to zapalał papierosa. A to gestykulował teatralnie. A to wystukiwał stopami sobie tylko wiadomy rytm. A to pstrykał palcami. A to kiwał głową, mrużąc albo cmokając językiem, albo pogwizdując melodię, której Sam nie rozpoznawała, ale od której nie mogła się potem uwolnić.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek go takim zobaczył - stwierdziła Charlie i wyciągnęła rękę, żeby zamknąć wieko.

- Charlie! - upomniała ją Sam.

Charlie złapała wieko, które ani drgnęło.

- Pomóż mi zamknąć.

- Możemy poprosić...

- Nie chcę, żeby ten upiorny dupek tu wrócił. - Charlie pociągnęła wieko dwiema rękami, które przesunęło się może o pięć stopni i znieruchomiało. - Pomóż mi - powtórzyła.

- Nie mam zamiaru.

- Co było na twojej liście niemożności? Nie widzisz, nie możesz biegać, mózg ci nie działa jak trzeba? Nie pamiętam, żebyś narzekała, że twoje bezużyteczne ciało nie może pomóc zamknąć pieprzonego wieka trumny twojego własnego ojca.

- To bardziej sarkofag. Trumny są węższe u góry i na dole.

- Niech to szlag! - Charlie rzuciła torebkę na podłogę, zdjęła buty i pociągnęła wieko obiema rękami, prawie się na nim wieszając.

Rozległo się skrzypnięcie, ale wieko pozostało otwarte.

- Ono się nie zamknie. Stwarza potencjalne zagrożenie bezpieczeństwa - powiedziała Sam.

- Chcesz powiedzieć, że to cholerne wieko by go zabiło, gdyby spadło?

- Mogłoby uderzyć cię w głowę albo przytrzasnąć i złamać palce. - Sam przechyliła się nad Rustym, żeby obejrzeć z bliska mosiężne zawiasy. Pokryte materiałem pasy zabezpieczały wieko przed nadmiernym otwarciem, ale mechanizm kontrolujący zamykanie był niewidoczny. - Musi tu być jakiś przycisk zwalniający blokadę.

- Jezu, nie możesz mi po prostu pomóc? - Charlie znowu naparła na wieko całym ciałem.

- Próbuję...

- Sama to zrobię. - Charlie obeszła trumnę. Pchnęła wieko od tyłu. Wózek się przemieścił. Jedno z przednich kółek nie było zablokowane. Charlie naparła jeszcze mocniej. Wózek znowu się przesunął.

- Czekaj, bo zaraz... - Sam zajrzała do środka w poszukiwaniu dźwigni albo guzika.

Charlie podskoczyła, usiłując pchnąć wieko z góry.

- Zaraz zrzucisz trumnę z wózka.

- I dobrze. - Charlie nie dawała za wygraną. Powtórzyła manewr, ale wieko ani drgnęło. Walnęła w nie otwartą dłoń.

- Kurwa! - Walnęła znowu, tym razem zaciśniętą pięścią. -

Kurwa, kurwa, kurwa!

Sam przejechała palcami wzdłuż brzegu jedwabistej wyściółki i znalazła przycisk.

Rozległo się głośnie kliknięcie.

Pompa pneumatyczna zasyczała, gdy wieko powoli opadało.

- Cholera! - wysapała Charlie. Wsparła się rękami o zamkniętą trumnę, zacisnęła powieki i potrząsnęła głową. - Zostawia nam metaforę.

Sam usiadła na krześle.

- Nic nie powiesz? - zapytała ją Charlie.

- Oddaję się zadumie.

Śmiech Charlie przeszedł w szloch, który wstrząsał całym jej ciałem. Łzy kapały na wieko trumny. Sam patrzyła, jak spływają na stalowy wózek, a stamtąd na podłogę.

- Cholera - powiedziała Charlie, wycierając nos wierzchem dłoni. Znalazła pudełko chusteczek za ekspozycją uchwyków. Wydmuchała nos. Wytarła oczy. Ciężko usiadła na krześle obok Sam.

Spojrzały na trumnę. Jarmarczne pozłacane rączki i filigranowe osłonki brzegów. Śnieżnobiała farba lśniła, jakby ktoś dodał do niej brokatu.

- Nie do wiary, jakie to szkaradne - stwierdziła Charlie. Wyrzuciła zużytą chusteczkę i sięgnęła po nową. - Wygląda jak to coś, w czym pochowali Elvisa.

- Pamiętasz nasz wyjazd do Gracelandu?

- Biały cadillac.

Rusty tak omamił strażnika, że pozwolił mu usiąść za kierownicą luksusowego auta. Tamten cadillac fleetwood miał

taki odcień bieli jak trumna Rusty'ego. A brokat dodał jej połysku.

- Tata umiał urobić każdego. - Charlie znowu wytarła nos, oparła się wygodniej i założyła ręce.

Sam słyszała tykanie zegara. Brzmiało jak metronom zsynchronizowany z biciem jej serca. Jej palce nadal pamiętały rytm pulsu Rusty'ego. Spędziła dwa dni na błaganiu Charlie, żeby zwierzyła się i uwolniła się od dźwiganego brzemienia, ale własne przewiny ciążyły jej o wiele bardziej.

- Nie chciałam pozwolić mu umrzeć. Mojemu mężowi. Nie chciałam pozwolić mu odejść.

Charlie w milczeniu bawiła się chusteczką.

- Podpisał DNR, ale nie przekazałam tego lekarzom w szpitalu. - Sam próbowała wziąć głęboki oddech, ale ciężar śmierci Antona przygniatał jej piersi. - Nie mógł mówić za siebie. Nie mógł się ruszać. Mógł tylko patrzeć i słuchać. A widział i słyszał, jak jego żona nie pozwala lekarzom odłączyć go od urządzeń, które przedłużały jego cierpienie. - Sam czuła gotujący się w niej wstyd. - Miał przerzuty do mózgu. W czaszce jest ograniczona przestrzeń. Guzy się rozrastały, wciskając mózg w kręgosłup szyjny. Ból był straszliwy. Podawali mu morfinę, potem fentanyl, a ja siedziałam przy jego łóżku, patrzyłam na jego łzy i nie byłam w stanie pozwolić mu odejść.

Charlie nie przestawała nerwowo miętosić chusteczki.

- To samo zrobiłabym tutaj. To samo powiedziałabym ci z Nowego Jorku. Nie jestem odpowiednią osobą do podejmowania takiej decyzji. Nie umiałam odłożyć na bok

własnych potrzeb, własnej rozpaczy dla jedyne go mężczyzny, którego kochałam. Z pewnością nie postąpiłabym jak należy w przypadku taty.

Charlie zaczęła rozdzielać warstwy chusteczek.

Zegar tykał.

Czas płynął.

- Chciałam, żebyś tu przyjechała, bo chciałam, żebyś tu była.

Sam nie miała zamiaru pogłębiać poczucia winy u Charlie.

- Nie próbuj poprawiać mi samopoczucia.

- Nie poprawiam. Jestem zła, że skłoniłam cię do przyjazdu.

Że wpędziłam cię w tę sytuację.

- Do niczego mnie nie zmuszałaś.

- Wiedziałam, że przyjedziesz, jeśli cię poproszę.

Wiedziałam o tym przez ostatnich dwadzieścia lat i użyłam taty jako pretekstu, ponieważ dłużej nie mogłam tego znieść.

- Czego nie mogłaś znieść?

Charlie zwinęła chusteczkę w kulkę. Zamknęła ją w dłoni.

- W college'u przeszłam poronienie.

Sam pamiętała nieprzyjemną rozmowę telefoniczną sprzed lat, podczas której Charlie domagała się pieniędzy.

- Poczułam wtedy ulgę. Kiedy człowiek jest taki młody, nie myśli, że kiedyś będzie starszy. I że przyjdzie czas, kiedy w takiej sytuacji ulgi nie poczuje.

Sam zamrugała. Łzy napłynęły jej do oczu pod wpływem cierpienia słyszalnego w głosie Charlie.

- Drugie poronienie było gorsze. Ben myśli, że było pierwsze, ale to było drugie. - Skwitowała to oszustwo

wzruszeniem ramion. - Koniec pierwszego trymestru. Byłam akurat w sądzie. Poczułam ten ból. Przypominał skurcze. Musiałam wytrzymać jeszcze godzinę, aż sędzia ogłosi przerwę. Pobiegłam do łazienki. Usiadłam i poczułam, jakby wypływała ze mnie krew. - Urwała i przełknęła ślinę. - Spojrzałam do toalety i to było... właściwie nic. Nie przypominało niczego. Obfita miesięczka, jakaś kulka czegoś nieokreślonego. Czułam, że nie powinnam tak po prostu spuścić wody. Nie mogłam tego tak zostawić. Wyczołgałam się z kabiny pod drzwiami, żeby zostały zamknięte. Zadzwoiłam do Bena. Płakałam tak strasznie, że nie rozumiał, co mówię.

- Charlie - wyszeptała Sam.

Charlie nie skończyła jeszcze swojej opowieści.

- Trzeci raz, który według Bena jest drugi, był gorszy. Osiemnasty tydzień. Grabiliśmy liście w ogrodzie. Zaczęliśmy już szykować pokój. Pomalowaliśmy ściany. Szukaliśmy kołyski. Poczułam te same skurcze. Powiedziałam Benowi, że pójde po wodę, ale ledwie doszłam do łazienki. To ze mnie wypadło. Jakby moje ciało nie mogło się doczekać, żeby się tego pozbyć. - Końcami palców otarła łzy. - Mówiłam sobie, że to się nigdy więcej nie powtórzy, że nie będę ryzykować, ale znowu się stało.

Sam ujęła Charlie za rękę.

- To było trzy lata temu. Odstawiłam pigułki. To było głupie. Nie przyznałam się Benowi, co pogorszyło sprawę, bo go oszukiwałam. Zaszłam w ciążę po miesiącu. Minął następny miesiąc, i kolejny, skończył się pierwszy trymestr, potem drugi, zaczął się siódmy miesiąc i byliśmy tym cholernie

podekscytowani. Tata nie posiadał się z radości. Lenore podsuwała imiona.

Charlie przycisnęła palce do oczu, ale nie zdołała powstrzymać łez.

- Jest taka choroba, która nazywa się zespołem Dandy'ego-Walkera. Brzmi idiotycznie, jak nazwa staromodnego tańca, ale to grupa wad wrodzonych tyłomózgowia.

Sam poczuła ukłucie w sercu.

- Powiedzieli nam o tym w piątek po południu. Cały weekend przesiedzieliśmy z Benem w internecie, czytając o tej chorobie. Jest tam opisana historia dziecka z tym schorzeniem. Żył, uśmiechało się, zdmuchiwało świeczki na urodzinowym torcie, więc powiedzieliśmy sobie: okej, to świetnie, damy sobie radę. Ale inna historia nas zmroziła. Dziecko było ślepe i głuche, przeszło operację na otwartym sercu, operację mózgu i zmarło przed pierwszymi urodzinami. Po przeczytaniu o nim objęliśmy się z Benem i płakaliśmy.

Sam ścisnęła dłoń Charlie.

- Uznaliśmy, że nie możemy się poddawać. To w końcu nasze dziecko, prawda? Pojechaliśmy do specjalisty w Vanderbilt. Zrobił badania, a potem wziął nas do gabinetu. Na ścianach nie wisiało ani jedno zdjęcie. To pamiętam. Wszędzie były zdjęcia dzieci, zdjęcia rodzin. Ale w tamtym gabinecie nie. - Charlie urwała, żeby wytrzeć oczy.

Sam czekała.

- Lekarz powiedział, że nic nie da się zrobić. Płyn mózgowo-rdzeniowy wypływał. Dziecko nie miało... organów. Miałam wysokie ciśnienie krwi. Bali się, że wda się sepsa. Lekarz

stwierdził, że za pięć dni, góra tydzień, dziecko umrze albo ja umrę, a ja... nie mogłam czekać. Nie mogłam chodzić do pracy, jeść, oglądać telewizji, wiedząc, że... – Ścisnęła Sam za rękę. – Postanowiliśmy pojechać do Kolorado. Jedyne miejsce, gdzie to jest legalne.

Sam wiedziała, że siostra mówi o aborcji.

– Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Plus koszty przelotu. Plus pokój w hotelu. Plus urlop w pracy. Nie mieliśmy czasu na wzięcie pożyczki. Nie chcieliśmy, żeby ktokolwiek wiedział, na co nam te pieniądze. Sprzedaliśmy samochód Bena, dołożyli się tata i Lenore. Brakującą kwotę pokryliśmy kartami kredytowymi.

Sam poczuła palący wstyd. Powinna tu wtedy być. Powinna dać im pieniądze, polecieć tam z Charlie.

– Dzień przed wyjazdem wzięłam tabletkę nasenną, bo to i tak nie miało już znaczenia, prawda? Obudził mnie palący ból. Inny niż tamte skurcze. Czułam, że coś mnie rozrywa. Zeszłam na dół, żeby nie budzić Bena. Zaczęłam wymiotować. Nie mogłam dojść do łazienki. Było tyle krwi. Pokój wyglądał jak miejsce zbrodni. Widziałam kawałki... Kawałki... – Charlie pokręciła tylko głową, nie będąc w stanie dopowiedzieć reszty.

– Ben wezwał karetkę. Cięli mnie jak przy cesarce, mam bliznę, ale nie dziecko. Kiedy w końcu wróciłam do domu, dywanu nie było. Ben wszystko uprzątnął. Zupełnie jakby to się nigdy nie stało.

Sam pomyślała o gołej podłodze w salonie Charlie. Po trzech latach nadal nie zastąpili tamtego dywanu nowym.

– Rozmawiałaś o tym z Benem? – zapytała.

- Tak. Rozmawiałam. Poszliśmy na terapię. Poradziliśmy sobie z tym.

Sam nie wierzyła w tę deklarację.

- To była moja wina. Nigdy tego Benowi nie powiedziałam, ale za każdym razem to była moja wina.

- Chyba sama w to nie wierzysz.

Charlie otarła łzy wierzchem dłoni.

- Widziałam kiedyś, jak tata wygłaszał mowę końcową. Mówił o tym, że ludzie mają obsesję na punkcie kłamstw. Potępiają kłamstwa. A nikt nie widzi, że to prawda stanowi rzeczywiste zagrożenie. - Spojrzała na białą trumnę. - Prawda może wywołać gnicie od wewnątrz. I nie zostawia miejsca na nic innego.

- W obwinianiu się nie ma prawdy - stwierdziła Sam. - Natura ma swoje prawa.

- Nie o tej prawdzie mówię.

- Więc o jakiej? - spytała Sam. - Powiedz mi.

Charlie pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach.

- Proszę - powiedziała Sam błagalnie. Nie mogła znieść własnej bezradności. - Powiedz mi.

Charlie wzięła głęboki oddech, wciągając powietrze spomiędzy palców.

- Wszyscy sądzą, że obwiniam się za to, że uciekłam.

- A nie jest tak?

- Nie. Obwiniam się za to, że nie biegłam szybciej.

CO NAPRAWDĘ STAŁO SIĘ Z CHARLIE

- Biegnij! - Sam pchnęła ją mocno. - Uciekaj, Charlie!

Charlie zachwiała się i upadła. Zobaczyła jasny rozbłysk i usłyszała huk pocisku wylatującego z lufy rewolweru.

Sam uniosła się w powietrzu i przekoziółkowała wprost do grobu.

- Cholera - powiedział Daniel. - Jezu Chryste.

Charlie zaczęła cofać się na czworakach, aż plecami trafiła na pień drzewa. Podniosła się. Kolana jej drżały. Ręce drżały. Cała trzęsła się jak osika.

- W porządku, kwiatuszku - rzucił w jej stronę Zach. - Zaczekaj tam na mnie.

Charlie nie odrywała wzroku od grobu. Może Sam po prostu tam się schowała i czeka na odpowiedni moment, żeby stamtąd wyskoczyć i pobiec. Ale nie wyskakiwała. Nie ruszała się, nie mówiła, nie krzyczała, nie dyrgowała wszystkimi.

- Zakop tę sukę. A ja wezmę tę małą na stronę - powiedział Zach.

Gdyby Sam mogła mówić, zaczęłaby wrzeszczeć, wściekła na Charlie, że stoi jak słup soli, marnuje szansę ratunku, nie wykorzystuje rad starszej siostry.

„Nie oglądaj się... musisz ufać, że tam jestem... trzymaj głowę nisko i...”.

Charlie zaczęła biec.

Rękami przecinała powietrze. Szukała oparcia dla stóp. Gałęzie drzew biły ją po twarzy. Nie mogła oddychać,

w płucach miała tysiące kłujących igieł.

Słyszała głos Sam:

„Oddychaj powoli i regularnie. Czekaj, aż ból minie”.

- Wracaj! - wrzasnął Zach.

Ziemia zadrżała od dudniących kroków.

Zachariah Culpepper ją gonił.

Charlie przyciągnęła ręce do tułowia. Zminimalizowała napięcie w ramionach. Wyobraziła sobie, że jej nogi to tłoki w maszynie pracującej na najwyższych obrotach. Wyłączyła ból, jaki sprawiały bosym stopom szyszki i ostre kamyki, na które następowała. Myślała o mięśniach, które wspomagały ruch...

Łydki, mięśnie czworogłowe, ścięgna podkolanowe, napnij środek, chroń plecy.

Zachariah się zbliżał. Miała wrażenie, że goni ją parowóz.

Przeskoczyła zwalone drzewo. Spojrzała w lewo, potem w prawo, wiedząc, że nie powinna biec w linii prostej. Musiała zlokalizować położenie wieży meteo, upewnić się, że biegnie w dobrym kierunku. Wiedziała jednak, że jeśli obejrzy się i zobaczy Zachariah, spanikuje jeszcze bardziej, a wtedy może się potknąć. A jeśli się potknie, to upadnie.

I on ją zgwałci.

Skręciła ostro w prawo. Spod palców wystrzeliły grudki ziemi. W ostatniej chwili zobaczyła następne zwalone drzewo. Przeskoczyła je, ale wylądowała niefortunnie. Wykręciła stopę i kostką dotknęła ziemi. Ból przeszył nogę do pachwiny.

Mimo to biegła dalej.

Stopy miała lepkie od krwi, pot ściekał po ciele. Poszukała

wzrokiem światła, jakiegokolwiek nadziei na bezpieczeństwo.

Ile wytrzyma? Jak długo zdoła jeszcze biec?

Znowu miała w uszach głos Sam:

„Wyobraź sobie linię mety. Musisz chcieć do niej dotrzeć bardziej niż osoba biegnąca za tobą”.

Zachariah czegoś chciał. Ona chciała czegoś innego – uciec, sprowadzić pomoc dla siostry, znaleźć Rusty’ego, który wiedziałby, jak temu wszystkiemu zaradzić.

Nagle szarpnięcie głowy w tył pozbawiło ją równowagi.

Zobaczyła swoje stopy w powietrzu.

Uderzyła plecami o ziemię.

Ujrzała własny oddech gwałtownie wypychany z płuc. I nie była to wyobraźnia.

Zachariah Culpepper przygwoździł ją swoim ciężarem. Czowała na sobie jego ręce. Wszędzie. Łapał ją za piersi. Ciągnął za szorty. Gryzł zaciśnięte wargi. Próbowwała podrapać mu oczy i trafić kolanem w krocze, ale nie mogła zgiąć nogi.

Zachariah uniósł się i usiadł na niej okrakiem. Rozpiął sprzączkę paska. Ciężar jego ciała uniemożliwiał jej oddychanie.

Otworzyła usta. Brakowało jej powietrza na krzyk. Kręciło jej się w głowie, zawartość żołądka paliła gardło.

Zachariah zerwał z niej spodenki i obrócił ją jak piórko. Znowu próbowała krzyczeć, ale przycisnął jej twarz do ziemi. Jedną ręką złapał ją za włosy. Poczwała, jakby coś rozdzierało jej wnętrzności. Wbił jej zęby w ramię. Chrząkał jak świnia, kiedy gwałcił ją od tyłu. Miała w nozdrzach zapach rozkładu, butwiejących liści, smrodu oddechu Culpeppera i tego, co

w nią wepchnął.

Zacisnęła mocno powieki.

Nie ma mnie tu. Nie ma mnie tu. Nie ma mnie tu, powtarzała w duchu.

Za każdym razem, kiedy przekonywała się, że to się nie dzieje, a ona siedzi w kuchni w ceglanym domu i odrabia lekcje, trenuje na boisku albo chowa się w szafie Sam, żeby podsłuchać jej rozmowę telefoniczną z Peterem Alexandrem, Zachariah sprawiał jej ból, który przywracał ją do rzeczywistości.

Jeszcze nie skończył.

Ramiona Charlotte zwisły bezwładnie w powietrzu, gdy przewrócił ją na plecy. Teraz wszedł w nią brutalnie od przodu. Popadła w całkowite odrętwienie. Miała w głowie pustkę. Była świadoma tego, co się dzieje, ale jako obserwatorka. Jej ciało przesuwano się w górę i w dół przy każdym jego pchnięciu. Otworzyła usta. Wepchnął jej język do gardła. Zanurzył palce w jej piersiach, jakby chciał je oderwać od ciała.

Spojrzała w górę. Ponad jego szkaradną wykrzywioną twarzą.

Ponad pochylonymi drzewami. Ponad ich gałęziami.

Nocne niebo.

Błękitny księżyc na tle ciemnego przestworu.

Migocące punkciki gwiazd.

Zamknęła oczy. Pragnęła ciemności, ale ujrzała pod powiekami Sam koziółkującą w powietrzu. Usłyszała głucho bum! towarzyszące upadkowi jej siostry do grobu, zupełnie

jakby wszystko rozgrywało się na nowo. Potem zobaczyła Gamę. Na podłodze w kuchni. Dotykając plecami szafki.

Biała kość. Strzępki serca i płuc. Włókna ścięgien, tętnice i żyły ziejące z otwartych ran, przez które uszło życie.

Gamma kazała jej biec.

Sam kazała jej uciekać.

Nie chciały tego, co jej teraz robił.

Poświęciły dla niej życie, ale nie po to, żeby tak skończyła.

- Nie! - krzyknęła i zacisnęła pięści. Walnęła Zachariaha w klatkę piersiową, a potem z całej siły zdzieliła go w szczękę, aż odrzucił głowę. Krew trysnęła mu z ust. Kapała wielkimi kroplami, inaczej niż u Gammy, która pozostawiła po sobie w łazience krwawe punkciki.

- Pieprzona suka! - Zamierzył się na nią.

Kątem oka Charlotte dostrzegła jakiś ruch.

- Zostaw ją!

Daniel skoczył na Zacha i przygwoździł go do ziemi, a potem zaczął okładać brata pięściami.

- Skurwielu! Zabiję cię! Zatlukę! - wrzeszczał jak opętany.

Charlotte odczołgała się od nich. Podparła się rękami, żeby wstać. Krew ciekła jej po nogach. Pod wpływem skurczów zgięła się wpół. Zatoczyła się, okręciła wokół własnej osi ślepa jak Sam. Nie mogła ustalić swojego położenia. Nie wiedziała, dokąd biec, ale wiedziała na pewno, że musi uciekać.

Kostka bolała ją dotkliwie, gdy ruszyła w głąb lasu. Nie szukała wzrokiem wieży meteo. Nie nasłuchiwała szumu strumienia. Nie próbowała szukać Sam ani kierować się w stronę Pieprznika. Biegła przed siebie, potem szła, potem

poczuła się tak wyczerpana, że miała ochotę się czołgać.

W końcu dała za wygraną. Opadła na kolana, na dłonie.

Wytężyła słuch. Nikt za nią nie biegł. Słyszała jedynie swój ciężki oddech.

Krew wypływała jej spomiędzy nóg. Culpepper zostawił w niej to coś, co teraz niszczyło jej wnętrzności. Zwymiotowała. Wymiociny opryskały jej twarz. Chciała się położyć, zamknąć oczy, zasnąć i obudzić się za tydzień, kiedy będzie już po wszystkim.

Nie mogła.

Zachariah Culpepper.

Daniel Culpepper.

Bracia.

Zobaczy ich martwych. Będzie patrzeć, jak kat przypina ich pasami do drewnianego krzesła, wkłada im na głowę stalowy hełm z mokrą gąbką pod spodem, żeby się nie zapalili, a ona spojrzy w to miejsce między nogami Zachariah Culpeppera, by widzieć, jak moczy się w ostatnich chwilach życia, gdy zrozumie w tej chwili ostatniej, że nie ma już dla niego ratunku.

Wstała.

Zachwiała się, ale odzyskała równowagę. Zaczęła iść, potem truchtać, i truchtała do momentu, w którym zobaczyła światło.

To była druga farma.

Wyciągnęła rękę, jakby chciała jej dotknąć.

Stłumiła szloch.

Kostka bolała przy każdym kroku, kiedy Charlotte pokonywała niedawno zaorane pole. Nie odrywała wzroku od światełka na

werandzie, które stało się dla niej latarnią morską pomocną w ominięciu skał.

Jestem tu. Jestem tu. Jestem tu.

Na werandę na tyłach domu prowadziły cztery schodki. Charlotte patrzyła na nie, starając się nie myśleć, że zaledwie kilka godzin wcześniej pokonała dwoma susami schody w Pieprzniku, zrzuciła pod drzwiami wejściowymi buty i skarpetki, a w kuchni przyłapała Gammę na przeklinaniu.

- Krówka - szepnęła do siebie. - Krówka.

Kostka wygięła się na pierwszym stopniu i Charlotte przytrzymała się rozchwianej poręczy. Zamrugła pod wpływem jaskrawego białego światła na werandzie. Krew spływała jej do oczu. Wytarła ją pięściami. Z leżącej pod drzwiami wycieraczki uśmiechała się do gości okrągła truskawka z krótkimi rękami i nogami.

Stopy Charlotte pozostawiły na niej ciemne ślady.

Podniosła rękę.

Musiała przytrzymać ją drugą ręką, żeby móc zapukać do drzwi. Na białym drewnie zostały krwawe ślady kłykci.

Z domu dobiegł odgłos odsuwane go krzesła. Potem lekkich kroków. Wesóły kobiecy głos zapytał:

- Kto puka tak późno?

Charlotte nie odpowiedziała.

Nie słyszała dźwięku przekręcanych zamków i zdejmowanych łańcuchów. Drzwi się otworzyły. W kuchni stała jasnowłosa kobieta uczesana w luźny koński ogon. Była młoda i ładna. Otworzyła szeroko oczy, potem usta. Złapała się za serce jak trafiona strzałą.

- O Boże - powiedziała. - Boże. Tato! - Wyciągnęła ręce do Charlotte, ale nie wiedziała, gdzie może jej dotknąć. - Wejdz, wejdz!

Charlotte zrobiła jeden krok, potem drugi, i znalazła się w kuchni.

Zadygotała, chociaż w środku było ciepło.

Wszystko było czyste, jasno oświetlone. Na ścianach żółte tapety ze wzorkiem w czerwone truskawki. Na tosterze leżał dziergany ocieplacz do imbryka z herbatą z przyszytą z boku truskawką. Czajnik na kuchence był czerwony. Zegar na ścianie w kształcie kota poruszającego oczami też był czerwony.

- Dobry Boże - wyszeptał starszy mężczyzna na widok Charlotte. Był brodaty, jego oczy za szklami okularów wydawały się zupełnie okrągłe.

Charlotte postąpiła w tył, póki nie oparła się plecami o ścianę.

- Co się stało, na litość boską? - zapytał.

- Po prostu zapukała do drzwi. - Kobieta płakała. Miała głos jak flet pikolo. - Nie wiem, nie wiem.

- To jedna z córek Quinnów. - Mężczyzna rozsunął zasłony i wyjrzał na zewnątrz. - Nadal tam są?

Zachariah Culpepper.

Daniel Culpepper.

Sam.

Gospodarz sięgnął na górę kredensu. Zdjął strzelbę i pudełko nabojów.

- Podaj mi telefon.

Charlotte znowu zaczęła dygotać. Strzelba była długa, lufa wyglądała jak miecz, który mógłby ją rozplatać.

Kobieta zdjęła ze ściany bezprzewodowy telefon. Upuściła go na podłogę. Podniosła. Ręce ciągle jej drżały, miała chaotyczne ruchy. Wysunęła antenę i podała aparat ojcu.

- Zawiadomię policję. Zamknij za mną drzwi.

Córka posłuchała ojca. Niezdarnie przekręciła zasuwę. Potem złączyła dłonie. Spojrzała na Charlotte. Wciągnęła nerwowo powietrze. Rozejrzała się po pokoju.

- Nie wiem, co... - Urwała i zasłoniła dłonią usta. Patrzyła na podłogę.

Charlotte też spojrzała na podłogę. Stała we krwi, która ciekła jej ze środka, spływała po udach, po kolanach, po kostkach, powoli jak strużka z ciekącego kranu w Pieprzniku, jeśli za słabo uderzyło się młotkiem w kran.

Poruszyła stopą. Krew podążyła za nią. Przypomniła sobie, że ślimaki zostawiają za sobą śluzowaty ślad.

- Usiądź - powiedziała kobieta, a jej głos brzmiał mocniej, pewniej. - Już dobrze, kochanie. Możesz usiąść. - Łagodnie położyła dłoń na ramieniu Charlotte i poprowadziła ją do krzesła. - Policja zaraz przyjedzie. Jesteś już bezpieczna.

Charlotte nie usiadła. Kobieta nie wyglądała na taką, która jest pewna, że są bezpieczni.

- Nazywam się Heller. - Kucnęła przed Charlotte. Odgarnęła jej włosy z twarzy. - Ty jesteś Charlotte, prawda?

Charlotte skinęła głową.

- Och, aniołku - pani Heller pogładziła ją po włosach - tak mi przykro. Cokolwiek cię spotkało, bardzo mi przykro.

Pod Charlotte ugięły się kolana. Nie chciała usiąść, ale musiała. Czuła się tak, jakby ktoś dźgał jej nożem wnętrzności. Bolało ją całe siedzenie. Wypływało z niej coś ciepłego, jakby znów bezwiednie oddawała mocz.

- Mogę dostać lody? - zapytała.

W pierwszej chwili pani Heller nie zareagowała, ale potem wstała, wyjęła z lodówki pudełko lodów waniliowych, napełniła nimi miseczkę i postawiła ją na stole, kładąc obok łyżeczkę.

Zapach lodów przyprawił Charlotte o mdłości. Oczekwała, aż atak minie. Złapała łyżeczkę i pochłonęła lody najszybciej, jak mogła.

- Zwolnij, bo się rozchorujesz - upomniała ją pani Heller.

Charlotte chciała się rozchorować. Chciała pozbyć się go ze swojego wnętrza. Chciała się oczyścić. Chciała się zabić.

„Mamo, co by się stało, gdybym zjadła dwie porcje lodów? Naprawdę duże porcje.

Jelita by ci wybuchły i umarłabyś”.

Pochłonęła drugą miseczkę lodów. Jadła rękami, ponieważ łyżeczka wydała jej się za mała. Sięgnęła po pojemnik, żeby nałożyć kolejną porcję, ale pani Heller ją powstrzymała. Wyglądała na przerażoną.

- Co ci się stało? - zapytała.

Charlotte straciła dech w piersiach od tak szybkiego jedzenia. Oddychała przez nos, słysząc własny świszczący oddech. Szorty miała mokre od krwi. Leżąc na krześle poduszka w truskawki całkowicie nią przesiąkła. Charlotte czuła, jak spomiędzy nóg coś z niej kapie. Wiedziała, że to nie tylko krew. To był on. Zach Culpepper. Zostawił w niej

pamiątkę po sobie.

Zawartość żołądka znowu podeszła jej do gardła. Tym razem nie dało się opanować odruchu wymiotnego. Charlotte błyskawicznie zasłoniła ręką usta. Pani Heller pomogła jej wstać. Objęła ją i odholowała do łazienki.

Charlotte wymiotowała tak gwałtownie, jakby za chwilę miał z niej wylecieć cały żołądek. Chwyciła się chłodnych brzegów sedesu. Oczy wychodziły jej z orbit. Gardło ją paliło, tysiące ostrzy rozrywało wnętrzności. Zrzuciła szorty, usiadła na sedesie i poczuła wypływający z niej strumień. Krew. Odchody. On.

Ból był nieznośny. Zgięła się wpół, otworzyła usta i zaczęła rozpaczliwie zawodzić.

Chciała mieć przy sobie matkę. Potrzebowała matki.

- Och, skarbie. - Pani Heller była po drugiej stronie drzwi. Opadła na kolana. Charlotte słyszała jej głos dobiegający przez dziurkę od klucza. - „Obruszył się na nich i powiedział: Pozwólcie dzieciom przyjść do mnie i nie powstrzymujcie ich, bo do takich należy królestwo Boże”^[4].

Charlotte zacisnęła powieki. Popłynęły spod nich łzy. Oddychała ustami. Słyszała odgłos krwi kapiącej do wody w sedesie. To się nie skończy. Nigdy się nie skończy.

- Kochanie, niechaj Bóg weźmie na siebie to brzemię.

Charlotte potrząsnęła głową. Pokryte krwią włosy uderzyły ją po twarzy. Nie otwierała oczu. Widziała Sam koziołkującą w powietrzu.

Krwawą mgiełkę, kiedy kula przeszła jej mózg.

Fontannę krwi, gdy klatka piersiowa Gammy eksplodowała.

- Moja siostra nie żyje - szepnęła.

- Co powiedziałaś, skarbie? - Pani Heller uchyliła drzwi. -
Co się stało?

- Moja siostra nie żyje. Moja mama nie żyje - powiedziała
Charlotte, dzwoniąc zębami.

Pani Heller osunęła się na ziemię, przytrzymując się gałki
w drzwiach.

Milczała.

Charlotte spojrzała na białe płytki na podłodze. Przed
oczami latały jej czarne plamki. Krew kapła z otwartych ust.
Odwinęła trochę papieru toaletowego i przyłożyła go do nosa.
Miała wrażenie, że jest złamany.

Do łazienki weszła pani Heller i odkręciła wodę.

Charlotte próbowała się wytrzeć. Czowała strzępki ciała
wiszące między nogami. Krwawienie nie ustawało. Nigdy nie
ustanie. Podciągnęła szorty, ale zawroty głowy nie pozwalały
jej wstać.

Oparła się o klapę sedesu i wpatrywała się w oprawione
zdjęcie zagonu truskawek na ścianie.

- Już dobrze. - Pani Heller wytarła jej twarz mokrym
ręcznikiem. Ręce jej drżały tak jak głos. - „Dla was zaś, którzy
żyjecie w bojaźni mego Imienia, zajaśnieje słońce
sprawiedliwości, co na swych skrzydłach niesie ocalenie.
Wystąpicie wtedy...”^[5].

Przerwało jej głośnie walenie do tylnych drzwi. I krzyk.

Pani Heller położyła Charlotte rękę na piersi, zatrzymując ją
w miejscu.

- Judith! - krzyknął starszy mężczyzna. - Judith!

Ktoś wyłamał drzwi.

Pani Heller znowu złapała Charlotte w pasie i zamknęła w objęciach. Charlie czuła, że jej stopy odrywają się od podłoża. Wsparła się na ramieniu pani Heller, która ścisnęła ją tak mocno, że omal nie połamała jej żeber.

- Charlotte!

Ten okrzyk brzmiał jak dźwięk wydawany przez konające zwierzę.

Pani Heller przystanąła gwałtownie.

Odwróciła się.

Powoli poluzowała uścisk.

Na końcu korytarza stał Rusty. Opierał się o ścianę. Dyszał ciężko. W ręku miał chusteczkę.

Stopy Charlotte dotknęły ziemi. Kolana ugięły się pod nią, niezdolne utrzymać ciężaru ciała.

Rusty ruszył chwiejnym krokiem w jej stronę. Obił się o jedną ścianę, potem o drugą, wreszcie opadł na kolana i porwał ją w ramiona.

- Moja córeczka - zapłakał. - Mój skarb.

Charlotte czuła, jak z jej mięśni schodzi napięcie. Ojciec zadziałał jak lekarstwo. W jego ramionach mogła zamienić się w szmacianą lalkę.

- Moja córeczka - powtórzył.

- Gamma...

- Wiem! - Zaszlochał, Charlie czuła drżenie jego klatki piersiowej, gdy próbował powstrzymać łkanie. - Wiem, skarbie. Wiem.

Charlotte też zaczęła szlochać. Nie z bólu, ale ze strachu,

ponieważ nigdy przedtem nie widziała ojca we łzach.

- Trzymam cię. - Kołysał ją w ramionach. - Tatuś jest z tobą.
Płacz nie pozwalał Charlotte otworzyć oczu.

- Sam... - zaczęła.

- Wiem. Znajdziemy ją.

- Zakopali ją.

Rusty wydał z siebie ryk rozpaczny.

- To byli Culpepperowie. - Tylko to, że знаła ich imiona i mogła podać je Rusty'emu, trzymało ją przy życiu. - Zach i jego brat.

- Teraz to nieważne. - Pocałował ją w czubek głowy. - Karetka już jedzie. Zajmą się tobą.

- Tato... - Charlotte uniosła głowę i przysunęła usta do jego ucha. - Zach mi to wsadził do środka - wyszeptała.

Ramiona Rusty'ego powoli opadły, zupełnie jakby uszło z niego powietrze. Otworzył usta. Osunął się na podłogę. Popatrzył na Charlotte. Przełknął ślinę. Chciał coś powiedzieć, ale z jego gardła wydobył się tylko jęk.

- Tato - szepnęła znowu.

Rusty położył palce na jej ustach. Zagryzł wargi, jakby nie chciał mówić, ale musiał:

- Zgwałcił cię?

Potaknęła.

Ręka Rusty'ego opadła jak kamień. Odwrócił wzrok. Potrząsnął głową. Pojedyncze łzy zmieniły się w dwa strumienie płynące po twarzy.

Charlotte poczuła wstyd. Ojciec wiedział, jakie rzeczy robią tacy mężczyźni jak Zachariah Culpepper. Teraz nie mógł

nawet na nią patrzeć.

- Przepraszam. Biegłam za wolno.

Spojrzenie Rusty'ego powędrowało w stronę pani Heller, potem z powrotem ku Charlotte.

- To nie twoja wina, skarbie. Słyszysz? Nie twoja wina.

Słyszała, ale nie wierzyła.

- To, co cię spotkało, to nie twoja wina, ale nikomu o tym nie powiemy, dobrze?

Patrzyła na niego bez słowa. Nie musiała kłamać, jeśli coś nie było jej winą.

- To osobista sprawa - ciągnął - i nikomu o tym nie powiemy, rozumiesz? - powtórzył z naciskiem, zerkając na Judith Heller.

- Wiem, jak adwokaci traktują zgwałcone dziewczęta. Nie zamierzam narażać własnej córki na to piekło. Nie chcę, żeby ludzie traktowali ją jak zepsutą. - Otarł oczy wierzchem dłoni i powiedział już silniejszym głosem: - Będą za to wisieć. Ci dwaj młodzi ludzie są mordercami i zapłacą za to życiem, ale niech pani nie pozwoli, by zabrali ze sobą moją córkę. Proszę. To za wiele. Za wiele.

Czekał, nie spuszczać wzroku z pani Heller. Charlie odwróciła się ku niej i napotkała jej spojrzenie, i pani Judith Heller skinęła głową.

- Dziękuję. Dziękuję. - Rusty położył rękę na ramieniu Charlotte. Znowu popatrzył na jej twarz, na krew, kości, patyki i liście, które przykleiły się do jej ciała. Dotknął rozerwanego szwu jej szortów. Oczy znowu mu zwilgotniały, po policzkach pociekły łzy. Myślał o tym, co Culpepperowie zrobili Charlotte, Sam, Gammie. Co on im zrobił, nie chroniąc

ich, gdy tego potrzebowały. Zakrył twarz dłońmi. Jego łkanie przeszło w wycie. Udręczony bólem zatoczył się na ścianę.

Charlotte próbowała przełknąć ślinę. W gardle jej zaschło. W ustach czuła smak skwaśniałego mleka. Miała wrażenie, że coś rozrywa jej wnętrze. Krew ciągle spływała jej po udzie.

- Tato, bardzo przepraszam.

- Nie. - Rusty złapał ją i potrząsnął. - Nie przepraszaj, Charlotte. Słyszysz? Nie przepraszaj.

Wydawał się tak zły, że Charlotte nie odważyła się nic powiedzieć.

- To ja przepraszam - wyjąkał. Ukląkł, położył dłoń na jej potylicy i przysunął twarz do jej twarzy, aż zetknęli się koniuszkami nosów. Charlotte czuła papierosy i piżmową wodę kolońską. - Posłuchaj mnie, misiaczku Charlie. Słuchasz?

Patrzyła mu w oczy. Od niebieskich tęczęwek odchodziły czerwone żyłki przypominające pajęczą sieć.

- To nie twoja wina. Jestem twoim tatą i mówię ci, że nic z tego, co się stało, nie jest twoją winą. - Odczekał chwilę. - W porządku? - zapytał.

- W porządku.

Rusty wziął głęboki oddech i przełknął ślinę. Nie krył płaczu.

- Pamiętasz pudła, które mama przywiozła do domu ze sklepu z używanymi rzeczami?

Charlotte zapomniała o pudłach. Teraz nikt ich nie rozpakuje. Zostali ona i Rusty. Nikogo prócz nich już nie będzie.

- Posłuchaj mnie, skarbie. - Rusty ujął jej twarz. - Chcę,

żebyś wzięła wszystko, co ten podły człowiek ci zrobił, i włożyła do jednego z tych pudełek, dobrze?

Z desperacką miną czekał, aż Charlotte wyrazi zgodę.

Skinęła głową bez słowa.

- Dobrze. A teraz tata weźmie taśmę klejącą i razem zakleimy to pudełko, kochanie. - Głos znowu mu się załamał. Poszukał jej wzroku. - Słyszysz? Zamkniemy je i okleimy taśmą.

Skinęła głową drugi raz.

- A teraz odłożymy to wstrętne pudełko na półkę. I zostawimy je tam. I nie będziemy o nim myśleć ani na nie patrzeć, póki nie dojdziemy do siebie i nie będziemy na to absolutnie gotowi, okej?

Charlotte kiwała głową, ponieważ Rusty tego właśnie chciał.

- Grzeczna dziewczynka. - Pocałował ją w policzek, przyciągnął ją i przytulił do piersi. Słyszała i czuła jego serce bijące pod skórą i żebrami. - Wszystko będzie dobrze, prawda?

Trzymał ją tak mocno, że nie mogła przytaknąć, ale rozumiała, czego oczekiwał od niej ojciec. Miała odwołać się do logiki, tym razem na poważnie. Gamma odeszła. Sam odeszła. Ona musiała być silna. Musiała być dobrą córką, która opiekuje się ojcem.

- W porządku, misiaczku Charlie? - Rusty pocałował ją w czubek głowy. - Damy radę to zrobić?

Wyobraziła sobie pustą garderobę w sypialni starego farmera. Drzwi były otwarte. Zobaczyła pudło na podłodze. Brązowa tektura oklejona taśmą. Zobaczyła nalepkę: ŚCIŚLE

TAJNE. Patrzyła, jak Rusty dźwiga pudło z podłogi, kładzie na górnej półce i przesuwa jak najdalej, by skryło się w ciemności.

- Zrobimy to, skarbie? - zapytał błagalnie. - Zamkniemy to pudełko?

Charlie wyobraziła sobie, że zamyka drzwi garderoby.

- Tak, tatusiu - powiedziała.

Przyrzekła sobie, że tego pudełka nigdy więcej nie otworzy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Charlie nie była w stanie spojrzeć na Sam. Kryła twarz w dłoniach. Siedziała na krześle zgięta wpół. Przez lata nie myślała o obietnicy danej Rusty'emu. Była dobrą córką, posłuszną córką, która odłożyła tajemnicę na półkę i pozwoliła, by czas spowił wspomnienia głębokim cieniem. Ich diabelski pakt nigdy nie wydawał się jej istotnym fragmentem tej historii, ale teraz zobaczyła, że liczy się bardziej niż cokolwiek innego.

- Morał tej historii jest taki, że złe rzeczy przytrafiają mi się na korytarzach.

Poczuła na plecach dłoń Sam. W tej chwili chciała tylko położyć jej głowę na kolanach i płakać w jej objęciach. Zamiast tego wstała i odszukała buty. Wkładając je, oparła się biodrem o trumnę Rusty'ego.

- To była Mary-Lynne. Myślałam, że Lynne to jej nazwisko. Nie Huckabee. - Słabo jej się zrobiło na wspomnienie chłodnej reakcji Hucka na wieść o tym, że jest córką Rusty'ego Quinna.

- Pamiętasz jej zdjęcia ze stodoły?

Sam skinęła głową.

- Miała wydłużoną szyję. Pamiętam, jak pomyślałam, że wygląda jak żyrafa. A wyraz jej twarzy... - Charlie zastanawiała się, czy miała taką samą udręczoną minę, kiedy Rusty znalazł ją na korytarzu u Hellerów. - Myśleliśmy, że nie żyjesz, wiedzieliśmy, że mama nie żyje. Nie mówił tego głośno, ale wiem, że bał się, że jak Mary-Lynne mogę się powiesić

albo zabić w inny sposób. – Wzruszyła ramionami. – Pewnie miał rację. To wszystko mnie przerosło.

Sam milczała przez chwilę. Nigdy nie miała skłonności do nerwowych gestów, ale teraz wygładziła nogawkę spodni.

– Czy lekarze uważają to za przyczynę twoich poronień?

Charlie omal nie wybuchnęła śmiechem. Sam zawsze domagała się naukowych wyjaśnień.

– Po drugim, które w rzeczywistości było trzecim, poszłam na wizytę do specjalistki od płodności w Atlancie. Ben myślał, że jestem na konferencji. Opowiedziałam lekarce, co się stało. Wszystko, nawet to, o czym nie powiedziałam tacie. Że on użył rąk. Pięści. Noża.

Sam odchrząknęła. Zza ciemnych okularów nie było widać wyrazu jej oczu.

– I?

– Zrobiła badania, a potem zaczęła mówić coś o cienkiej ścianie czy zbliznowaceniach na jajowodzie i rysowała to na kartce, ale poprosiłam, żeby powiedziała mi to wprost. Zrobiła to. Dowiedziałam się, że mam niegościnną macicę. – Charlie skwitowała to sformułowanie gorzkim śmiechem. Brzmiało jak frazy używane na portalach turystycznych. – Moje łono nie jest odpowiednim środowiskiem na przyjęcie płodu. Lekarka była zdumiona, że udało mi się dotrzeć do końca drugiego trymestru.

– Powiedziała ci, że to następstwo tego, co się stało?

Charlie wzruszyła ramieniem.

– Stwierdziła, że to prawdopodobne, ale potwierdzić z całą pewnością nie może. Nie wiem, ale jeśli facet wsadza ci

trzonek noża, to chyba logiczne, że nie możesz mieć dzieci.

- Ostatnim razem - zaczęła Sam, która zawsze tropiła błędne rozumowanie - okazało się, że to zespół Dandy'ego-Walkera, który nie ma związku z deformacją macicy. To ma coś wspólnego z genetycznymi uwarunkowaniami?

Charlie nie chciała pójść w tym kierunku.

- Masz rację. To był ostatni raz. Teraz jestem już za stara. Każda ciąża wiązałaby się ze zbyt wysokim ryzykiem. Zegar, który odliczał mój czas, już stanął.

Sam zdjęła okulary. Potarła oczy.

- Powinam być przy tobie, gdy to się działo.

- A ja nigdy nie powinienam prosić cię o przyjazd. - Charlie uśmiechnęła się na wspomnienie słów Rusty'ego sprzed dwóch dni. - Nasz dobrze znany impas.

- Musisz powiedzieć Benowi.

- Znowu to twoje „musisz”. - Charlie wydmuchała nos. Mimo upływu lat nie przestała zauważać apodyktyczności starszej siostry. - Dla mnie i dla Bena już jest za późno. - Te słowa zabrzmiały w jej ustach nonszalancko, ale po jej żalonych próbach musiała w końcu przyznać, że mąż być może już nie wróci. Nie miała wczoraj odwagi, żeby poprosić go, by został na noc. Za bardzo się bała, że znowu odmówi. - Kiedy to się działo, Ben zachowywał się jak święty, i to za każdym razem, naprawdę. Nie wiem, skąd w nim ta dobroć. Nie od matki ani nie od sióstr. Boże, one były okropne. Chciały znać każdy szczegół, jakby chodziło o plotkę. Praktycznie założyły gorącą linię. Nie wiesz, jak to jest być w ciąży, meblować pokój dla dziecka, planować urlop macierzyński, przypominać

ciężarówkę, a tydzień później iść do sklepu i wszyscy, którzy się do ciebie uśmiechali, nie są w stanie patrzeć ci w oczy. Bo zakładam, że nie wiesz?

Sam potrząsnęła głową.

Charlie nie była zaskoczona. Nie wyobrażała sobie, żeby siostra podjęła w swoim stanie ryzyko ciąży i porodu.

- Stałam się jędzą - ciągnęła Charlie. - Słyszałam siebie, słyszę się teraz, słyszałam dziesięć minut temu, wczoraj, każdego poprzedniego dnia, i myślę: zamknij się. Odpuść. Ale nie robię tego. Nie mogę.

- A adopcja?

Charlie siłą woli powstrzymała się przed nerwową reakcją. Jej dziecko umarło. To nie pies, którego bierze się kilka miesięcy po odchorowaniu straty poprzedniego.

- Czekałam, aż Ben poruszy ten temat. Twierdził, że jest ze mną szczęśliwy, że jesteśmy duetem, że podoba mu się myśl o starzeniu się razem. - Wzruszyła ramionami. - Może czekał, aż ja z tym wyjdę. Jak w *Darach magów*, tyle że z toksyczną macicą.

Sam włożyła okulary.

- Mówisz, że z Benem już koniec. Co masz do stracenia, jeśli teraz mu powiesz prawdę?

- Może lepiej wyliczę, co zyskam? Nie chcę jego współczucia. Nie chcę, żeby został ze mną z poczucia odpowiedzialności. - Charlie położyła rękę na zamkniętej trumnie. Mówiła i do Sam, i do Rusty'ego. - Ben byłby szczęśliwszy z inną kobietą.

- Nonsens - zaoponowała Sam. - Nie masz prawa

decydować w jego imieniu.

Charlie czuła, że Ben już podjął decyzję. Nie mogła go za to winić. Wierzyła, że każdy czterdziestoletni mężczyzna będzie szczęśliwszy z gibką dwudziestosześcioletką.

- Ma świetny kontakt z dziećmi. Bardzo je kocha.

- Ty też.

- Ale to nie przez niego nie mam dzieci.

- A gdyby tak było?

Charlie potrząsnęła głową. To tak nie działało.

- Potrzebujesz chwili sam na sam? - wskazała trumnę. -

Pożegnać się?

Sam zmarszczyła brwi.

- Z kim miałabym rozmawiać?

Charlie skrzyżowała ramiona.

- A możesz mnie zostawić na minutkę?

Sam uniosła brwi, ale powstrzymała się od wygłoszenia opinii.

- Zaczekam na zewnątrz.

Charlie odprowadziła wzrokiem wychodzącą siostrę. Dzisiaj nie utykała tak jak wczoraj. Przynajmniej tyle dobrego. Charlie nie mogła znieść jej widoku w Pikeville. Była tu jak ryba wyjęta z wody, taka zupełnie bezbronna. Nie mogła przejść ulicą, nie narażając się na spojrzenia ludzi, którzy wiedzieli, co się stało.

Z wyjątkiem sędziego Stanleya Lymana.

Gdyby Charlie mogła dostać się na podium sędziego i wymierzyć mu siarczysty policzek za upokorzenie siostry, zaryzykowałyby nawet areszt za znieważenie sądu.

Sam zawsze wkładała mnóstwo wysiłku w ukrywanie swoich dolegliwości, ale wystarczyło kilka minut obcowania z nią, żeby dostrzec pewne osobliwości. Nienaturalnie sztywną postawę. Ręce wzdłuż tułowia w trakcie chodzenia. Głowę przekrzywioną pod lekkim kątem z powodu niedowidzenia. Wreszcie precyzyjny, irytująco mentorski sposób mówienia. Sam zawsze mówiła ostrym tonem, ale po postrzale każde jej słowo brzmiało jak przeciągnięte brzytwą. Czasem słysząc było wahanie, kiedy szukała odpowiedniego słowa. O wiele rzadziej oddech, kiedy używała przepony, jak uczył ją logopeda.

Lekarze. Logopedzi. Terapeuci. Wokół Sam zebrał się spory zespół specjalistów. Każdy wyrażał swoje opinie, zalecenia, przestrogi, i żaden nie rozumiał, że Sam wszystko to zignoruje. Nie była normalna. Już przed postrzałem wydawała się odmieńcem, a w trakcie rehabilitacji ta odmienność jeszcze się pogłębiła.

Charlie pamiętała lekarza, który powiedział Rusty'emu, że uszkodzenie mózgu może spowodować u Sam obniżenie ilorazu inteligencji o dziesięć punktów. Charlie omal się wtedy nie zaśmiała. Dla zwykłego człowieka ubytek dziesięciu punktów byłby katastrofą. Dla Sam oznaczał zejście z poziomu geniusza na poziom osoby wyjątkowo inteligentnej.

Dwa lata po postrzale, w wieku siedemnastu lat, dostała propozycję stypendium na Uniwersytecie Stanforda.

Czy jest szczęśliwa?

Charlie słyszała w głowie echo pytania Rusty'ego.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na koszmarną trumnę ojca,

i położyła dłoń na wieku. W rogu zobaczyła odprysk farby, z pewnością efekt jej brutalnych i nieudanych prób zamknięcia wieka.

Sam nie wyglądała na szczęśliwą, ale wydawała się zadowolona.

Z perspektywy czasu Charlie powinna powiedzieć ojcu, że zadowolenie to bardziej chwalebny cel. Sam świetnie się rozwinęła jako prawniczka. W końcu zaczęła panować nad impulsywnością, kiedyś tak nieokiełznaną. Złość, którą nosiła w sobie jak kamień, minęła. Oczywiście nadal była irytująca i pedantyczna, ale to skutek tego, że jest córką Gammy.

Charlie zabębniła palcami w trumnę.

Jak na ironię, ona i Sam poniosły klęskę w kwestii życia i śmierci. Sam nie potrafiła skrócić cierpienia męża, natomiast Charlie nie zapewniła rosnącemu dziecku bezpiecznego schronienia.

- Znowu to samo - mruknęła do siebie, czując napływające łzy. Miała dość płaczu. Nie chciała już płakać. Nie chciała być wredna. Nie chciała czuć smutku. Nie chciała żyć bez Bena.

Trudno było trzymać się różnych rzeczy, ale o wiele trudniej było się ich puścić.

Przyciągnęła do siebie jedno z krzeseł i zerwała niebieski atłasowy pokrowiec, ponieważ nie było to przyjęcie z okazji urodzin słodkiej szesnastolatki.

Usiadła na twardym plastiku.

Zdradziła Sam swój sekret. Otworzyła pudełko.

Dlaczego nie czuła się inaczej? Dlaczego nie nastąpiła cudowna zmiana?

Przed laty Rusty zaciągnął ją na terapię. Miała wtedy szesnaście lat, Sam już mieszkała w Kalifornii. Charlie zaczęła szaleć. Umawiała się z nieodpowiednimi chłopcami, pieprzyła się z nieodpowiednimi chłopcami i przecinała opony w autach, które prowadzili nieodpowiedni chłopcy.

Rusty prawdopodobnie zakładał, że Charlie powie prawdę o tym, co zaszło, tak jak Charlie zakładała, że Rusty oczekuje od niej milczenia w tej kwestii.

Stary, dobrze znany impas.

Terapeuta, rzetelny mężczyzna w wełnianej kamizelce, próbował cofnąć ją do tamtego dnia, do kuchni na farmie, wilgotnego pomieszczenia, w którym Gamma zostawiła na kuchence garnek z wodą i poszła szukać Sam.

Kazał Charlie zamknąć oczy i wyobrazić sobie, jak siedzi przy kuchennym stole i usiłuje zrobić samolocik z papierowego talerzyka. Czyli jak wtedy. Ale zamiast dźwięku auta na podjeździe miała sobie wyobrazić Jezusa przekraczającego próg domu.

Był terapeutą chrześcijańskim. Miał jak najlepsze intencje, był niewątpliwie szczery, ale uważał, że Jezus jest odpowiedzią na wiele spraw.

- Nie otwieraj oczu. Wyobraź sobie, że Jezus cię unosi - mówił.

Miała zobaczyć Jezusa zamiast Gammy chwytającej strzelbę. Zamiast Sam postrzelonej w głowę. Zamiast siebie biegnącej przez las do domu pani Heller.

Posłuchała terapeuty. Zamknęła oczy. Usiadła na dłoniach, żeby zapanować nad ich bezładnymi ruchami. Pamiętała, że

machąca nogami, udając, że ją to bawi, ale zamiast Jezusa idącego jej na ratunek zobaczyła Bionic Woman. Superbohaterka, wykorzystując swoją nadnaturalną siłę, zdzieliła Daniela Culpeppera pięścią w twarz, a kopniakiem trafiła Zachariaha w jądra. Poruszała się w zwolnionym tempie, jej długie włosy tańczyły w powietrzu w rytm bionicznych odgłosów w tle.

Stosowanie się do instrukcji nie było mocną stroną Charlie.

Jednak odczuwała dotkliwe upokorzenie na myśl, że niemodnie ubrana i źle ostrzyżona pracownica opieki społecznej, do której zaciągnął ją Ben, miała rację przynajmniej w jednej kwestii. Straszne zdarzenie, które przeżyła prawie trzydzieści lat temu, do dzisiaj wywiera destrukcyjny wpływ na jej życie.

Wywarło, ponieważ jej mąż oszedł, za kilka godzin siostra wróci do Nowego Jorku, a ona do pustego domu.

W tym tygodniu nawet nie wypadła jej kolej w opiece nad psem.

Patrzyła na trumnę ojca. Nie chciała myśleć o Rustym leżącym w zimnej metalowej skrzyni. Chciała pamiętać go uśmiechniętego. Puszczającego do niej oko. Wybijającego rytm stopą. Bębniącego palcami w każdą płaską powierzchnię. Opowiadającego jedną z wymyślonych historyjek, które słyszała już setki razy.

Powinna była częściej go fotografować.

Powinna była nagrać jego głos, żeby nie zapomnieć modulacji, irytującego sposobu akcentowania niewłaściwych słów.

Były chwile w jej życiu, kiedy modliła się w duchu, żeby Rusty w końcu – kurwa – się zamknął, ale w tej chwili niczego tak nie pragnęła, jak usłyszeć jego głos. Posłuchać jednej z jego opowieści. Rozpoznać cytat, jakim się posłużył. Przeżyć tę chwilę, kiedy docierało do niej, że historia, jedno zdanie, pozornie rzucona od niechcienia uwaga, jest tak naprawdę radą, i zwykle irytująco słuszną.

Wyciągnęła rękę do ojca.

Oparła otwartą dłoń o bok trumny. Było jej głupio, że to robi, ale musiała zadać to pytanie.

- Co mam teraz zrobić, tato?

Czekała.

Pierwszy raz w ciągu czterdziestu jeden lat Rusty nie udzielił jej odpowiedzi.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Charlie przechadzała się po kaplicy z kieliszkiem wina w dłoni. Tylko jej ojciec był w stanie wyraźnie określić, jaki alkohol należy podać na jego pogrzebie. Przy barze serwowano mocne trunki, ale w południe było za wcześnie na większość z nich, co okazało się pierwszym z problemów związanych z planami pogrzebowymi Rusty'ego. Drugi problem przewidziała Sam. Najazd ciekawskich i hipokrytów.

Charlie źle się czuła z tym, że przykłada jedną miarę do swoich dawnych przyjaciół. Nie mogła ich winić, że wybrali Bena. Ona też wybrałaby Bena. Za tydzień, za miesiąc, może za rok ich cicha obecność, życzliwe skinienia głową i uśmiechy coś będą znaczyć, ale teraz mogła się skoncentrować tylko na dupkach i ciemnocie.

Mieszkańcy miasta, którzy piętnowali Rusty'ego za jego liberalne poglądy i czyny, zjawili się tłumnie. Judy Willard, która nazwała go mordercą za reprezentowanie kliniki aborcyjnej. Abner Coleman, który nazwał go kanalią za reprezentowanie mordercy. Whit Fieldman, który nazwał go zdrajcą za reprezentowanie kanalii. Lista była dłuższa, ale Charlie nie miała siły analizować każdego gościa po kolei.

Najgorszy był Ken Coin. Ten zasrany skurwiel stał wśród swoich pachołków z biura prokuratora okręgowego. Brylowała między nimi Kaylee Collins. Młoda kobieta, z którą prawdopodobnie mąż zdradzał Charlie, nie rozumiała, że może tu być niemile widziana. Całe środowisko prawnicze

potraktowało pogrzeb jak wydarzenie towarzyskie. Coin najwyraźniej opowiadał jakąś historię o Rustym, pewnie jedną z anegdot z sali sądowej. Charlie obserwowała, jak Kaylee odrzuca głowę i wybucha śmiechem, odgarniając z oczu długie blond włosy. Wykonała intymny gest, jaki robią kobiety, kiedy dotykają męskiego ramienia w sposób, który tylko żona tego mężczyzny uważa za niestosowny.

Charlie pociągnęła łyk wina, żałując, że to nie kwas, którym mogłaby chlusnąć jej w twarz.

Zadzwoniła jej komórka. Charlie oddaliła się do pustego kąta i odebrała, zanim włączyła się poczta głosowa.

- To ja - powiedział Mason Huckabee.

Odwróciła się plecami do reszty towarzystwa. Poczucie winy objawiło się wstydem.

- Mówiłam, żebyś do mnie nie dzwonił.

- Przepraszam, ale muszę z tobą porozmawiać.

- Nie musisz. Posłuchaj mnie uważnie. To, co zaszło między nami, to największy błąd w moim życiu. Kocham mojego męża. Nie jestem tobą zainteresowana. Nie chcę z tobą rozmawiać. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Jeśli jeszcze raz do mnie zadzwonisz, postaram się o sądowy zakaz zbliżania i nie omieszkam zawiadomić wydziału edukacji, że jesteś notowany za nękanie kobiety. Tego chcesz?

- Nie. Oddzwoń do mnie, dobrze? Proszę. - W jego głosie pobrzmiwała desperacja. - Charlotte, muszę porozmawiać z tobą w cztery oczy. To bardzo ważne. Ważniejsze niż to, co zaszło między nami.

- Mylisz się - wyprowadziła go z błędu. - Najważniejszy

w moim życiu jest mój związek z mężem. Nie pozwolę ci wejść między nas.

- Charlotte, gdybyś mogła...

Rozłączyła się, nie dając mu dokończyć zdania.

Wrzuciła telefon do torebki, poprawiła włosy, dopiła wino i wzięła z baru następny kieliszek. Opróżniła połowę, zanim przestała się trząść. Na szczęście Mason tylko dzwonił. Gdyby przyszedł na pogrzeb, gdyby miasto zobaczyło ich razem, gdyby Ben zobaczył ich razem, Charlie zalałaby falą nienawiści i odrazy do samej siebie.

- Charlotte. - Newton Palmer, kolejny spośród gnuśnych i niemrawych prawników obecnych w kaplicy, złożył jej standardowe kondolencje. - Jak się trzymasz?

Dopiła wino, żeby stłumić cisnące się na usta przekleństwa. Newton był jednym z archetypicznych starszych białych mężczyzn, którzy rządzą większością małych miast w Ameryce. Ben kiedyś powiedział, że muszą po prostu poczekać, aż wszystkie stare rasistowskie i seksistowskie mendy jak Newton wymrą. Nie wziął pod uwagę, że stare mendy produkowały nowe mendy.

- W zeszłym tygodniu widziałem twojego ojca w Rotary. Dynamiczny jak zwykle, opowiedział coś bardzo śmiesznego.

- Cały tata. Dowcipny. - Charlie udawała, że słucha idiotycznej historyjki Newtona z Rotary, szukając wzrokiem siostry.

Sam też wpadła w pułapkę. Osaczyła ją pani Duncan, jej nauczycielka angielskiego z ósmej klasy. Sam uśmiechała się i potakiwała, ale Charlie nie umiała sobie wyobrazić, żeby

siostra wykrzesła z siebie więcej cierpliwości do czczej gadaniny. W tłumie inność Sam jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Nie z powodu jej niepełnosprawności, ale nieprzystawalności do tego miejsca, a może nawet i czasu. Ciemne okulary. Królewskie pochylenie głowy. Strój też nie pomagał wtopić się w tłum, nawet na pogrzebie. Czerń jej stroju nie pasowała do odcieni czerni pozostałych. Ten rodzaj czerni był osiągalny tylko dla jednego procenta. Stojąc obok swojej byłej nauczycielki, Sam wyglądała jak milion dolarów.

- Zupełnie jakbym widziała twoją matkę - rzuciła Lenore. Miała na sobie obcisłą czarną sukienkę i buty na obcasie wyższym niż Charlie. - Panie Palmer - z uśmiechem skinęła Newtonowi.

Newton zbladł.

- Charlotte, pójdę już, jeśli pozwolisz.

Lenore zignorowała go, Charlie również. Przywarła ramieniem do ramienia Lenore i obie obserwowały Sam. Pani Duncan nadal zamęczała ją gadaniem.

- Harriet bardzo zależało na kontaktach z ludźmi, ale nigdy nie rozwiązała poprawnie tego równania - stwierdziła Lenore.

- Nawiązała kontakt z tatą.

- Twój ojciec był aberracją. Oboje byli niezwykłymi ludźmi, którzy najlepiej funkcjonowali razem.

Charlie wtuliła się bardziej w ramię Lenore.

- Nie sądziłam, że przyjdiesz.

- Nie mogłam sobie odmówić tej przyjemności, by ostatni raz zagrać na nerwach tej zgrai łajdaków. Posłuchaj... - Lenore wstrzymała oddech, jakby szykowała się do trudnego

zadania. – Chyba przejdę na emeryturę i wyjadę na Florydę. Będę wśród podobnych do mnie starych kobiet żyjących ze stałego dochodu.

Charlie zacisnęła wargi. Nie mogła znowu płakać. Nie mogła wpędzić Lenore w poczucie winy za to, że robi dla siebie to, co powinna.

– Och, skarbie. – Lenore objęła ją w pasie i zbliżyła wargi do jej ucha. – Nigdy cię nie zostawię. Będę po prostu gdzie indziej. Zawsze będziesz mogła mnie odwiedzić. Przygotuję dla ciebie specjalny pokój gościnny, wiesz, taki ze zdjęciami koni na ścianach, kotami i oposami.

Te słowa odniosły skutek. Charlie się uśmiechnęła.

– Najwyższy czas iść naprzód. Wystarczająco długo walczyłam.

– Tata cię kochał.

– Oczywiście, że mnie kochał. A ja kocham ciebie. – Lenore pocałowała ją w bok głowy. – A skoro mowa o miłości...

Ben przedzierał się przez tłum. Uniósł ręce, omijając starszego mężczyznę, który szykował się do opowiedzenia mu jakiejś historii. Przywitał się z kilkoma znajomymi i zręcznie uniknął kilku namolnych rozmówców, konsekwentnie zmierzając ku Charlie i Lenore. Ludzie zawsze uśmiechali się na jego widok. Charlie też miała ochotę to zrobić.

– Cześć. – Ben wygładził krawat. – Czy to rozmowa tylko dla dziewczyn?

– Właśnie miałam zamiar powkurzać twojego szefa. – Lenore pocałowała Charlie i dyskretnie ruszyła w stronę Kena Coina.

Została jednak dostrzeżona i grupa prokuratora okręgowego rozproszyła się, ale Lenore zdołała dorwać Coina niczym gepard młodego guźca.

- Lenore chce odejść na emeryturę i wyjechać na Florydę - powiedziała Charlie.

Ben nie wyglądał na zaskoczonego.

- Po śmierci twojego taty nic jej tu nie zostało.

- Tylko ja. - Myśl o wyjeździe Lenore była dla Charlie zbyt bolesna. - Ty wybrałeś garnitur dla taty?

- Rusty go wybrał. Wyciągnij rękę.

Charlie wyciągnęła rękę.

Ben wyjął z kieszeni płaszcza czerwoną piłeczkę i włożył jej do ręki.

Spojrzała na czerwony nos klauna i uśmiechnęła się.

- Wyjdźmy na zewnątrz - zaproponował.

- Po co?

Czekał bez słowa, cierpliwy jak zwykle.

Charlie odstawiła kieliszek, włożyła do torebki nos klauna i wyszła za Benem. Najpierw zobaczyła gęstą chmurę dymu papierosowego. Po chwili zorientowała się, że patrzy na więźniów. Źle leżące garnitury nie były w stanie ukryć ani tatuaży, ani muskulatury, jaką można osiągnąć tylko wtedy, gdy przerzuca się żelazo na spacerunku. Mężczyźni i kobiety. W sumie około pięćdziesięciu osób.

To byli prawdziwi żałobnicy. Palili na zewnątrz jak niesforni uczniowie za salą gimnastyczną.

- Charlotte. - Jeden z mężczyzn wyciągnął do niej rękę. - Chcę pani powiedzieć, ile pani tata dla mnie znaczył. Pomógł

mi odzyskać dziecko.

Charlie czuła, że się uśmiecha, ściskając szorstką dłoń nieznajomego.

- Mnie pomógł znaleźć pracę - odezwał się inny. Przednie zęby miał zepsute, ale potraktowane grzebieniem włosy dowodziły, że postarał się dla Rusty'ego.

- Był w porządku - dodała kobieta, rzucając niedopałek do przepelnionej popielniczki przy drzwiach. - Zmusił mojego byłego męża kretyna do płacenia alimentów.

- Daj spokój - powiedział jakiś mężczyzna, najpewniej były mąż kretyn.

Ben puścił do Charlie oko i wszedł do środka. Zastępca prokuratora okręgowego nie był mile widzianą osobą wśród tego tłumu.

Charlie uścisnęła więcej dłoni. Starła się nie kasnąć od dymu. Słuchała historii o Rustym pomagającym ludziom, którym nikt inny nie chciał pomóc. Miała ochotę pójść po Sam, ponieważ siostra na pewno chciałaby posłuchać opowieści tych ludzi o ich skomplikowanym wielowymiarowym ojcu. A może wcale by nie chciała, tylko musiała. Zawsze miała skłonność do postrzegania świata w kategoriach czerni i bieli. Strefa szarości i wszelkich jej odcieni, w której Rusty rozkwitał, zawsze ją zdumiewała.

Uśmiechnęła się do siebie. Paradoksalnie po wyjawieniu Sam swoich największych grzechów czuła, że najważniejsze, co Sam zabierze ze sobą do Nowego Jorku, to informacja, że ich ojciec był dobrym człowiekiem.

- Charlotte? - Jimmy Jack Little doskonale wtapiał się w ten

tłum. Miał więcej tatuaży niż większość z pozostałych, włączając w to wzór na przedramieniu, pamiątkę po odsiadce za napad na bank. W czarnym kapeluszu typu fedora wyglądał jak z innej epoki. Sprawiał wrażenie nieustannie zirytowanego, jakby ciągle nie mógł przeżyć, że nie należy do tych porządnych gości omotanych przez złą kobietę w powieści kryminalnej z lat czterdziestych.

- Dzięki za przyście. - Charlie uściskała go za szyję. Nigdy dotąd tego nie robiła i pewnie już nigdy nie powtórzy. - Tata byłby szczęśliwy, że przyszedłeś.

- Hm, cóż... - Wydawał się poruszony tym fizycznym kontaktem. Nieśpiesznie zapalił papierosa, by odzyskać równowagę i znów włożyć maskę macho. - Przepraszam za te stare łachy. Spodziewałem się, że zginie pod gradem kul.

- Dobrze, że do tego nie doszło - odparła Charlie, ponieważ ojciec dwa dni wcześniej był dźgnięty nożem. Śmierć od kuli była zbyt prawdopodobna, by z niej żartować.

- Wziąłem na celownik Adama Humphreya - powiedział Jimmy Jack, ściągając z warg drobinę tytoniu. - Może i ją bzykał, ale dzisiaj dziewczyny i chłopaki potrafią się przyjaźnić bez bara-bara. - Wzruszył ramionami nad tym niepojętym dla niego fenomenem, jakby mówił o samochodzie autonomicznym albo TiVo. - Co do Franka Alexandra, to jego znam od paru lat. Facet prowadził pod wpływem alkoholu, a Rusty pomógł mu zatrzeć ten wyrok.

- Tata pracował z rodziną Alexandrów? - Charlie zorientowała się, że mówi za głośno. - Co się stało? - zapytała, ściszej głos.

- „Płać, na ile cię stać”. W ich relacji nie było niczego nadzwyczajnego. Co się stało? Frank maczał ogóra nie tam, gdzie trzeba. Zabawił się z kobitką w pewnym motelu, a potem wrócił do żonki, cuchnąc perfumami tamtej. A właściwie próbował wrócić. Zatrzymali go za prowadzenie pod wpływem alkoholu.

Charlie wiedziała, co to znaczy. Frank Alexander dmuchał w alkomat, który wykazał zawartość alkoholu poniżej dozwolonej normy, mimo to został oskarżony o prowadzenie pod wpływem alkoholu, ponieważ policjant uznał, że stwarza zagrożenie na drodze.

- Ta dziewczyna była uczennicą?

- To była agentka nieruchomości, dużo starsza od jego żony, co nie ma sensu. Dobra, ma kasę, ale kobitki to nie wino. Człowiek chce, żeby towar był świeży i jędrny, nie?

Charlie nie chciała wdawać się w dyskusję o subtelnościach zdrad.

- Co się stało z Frankiem Alexandrem?

- Wykonywał prace społeczne, chodził na spotkania złapanych na tym samym. Sędzia usunął to z jego akt, żeby Frank mógł nadal pracować jako nauczyciel. Słyszałem, że prawdziwe problemy pojawiły się w domu. Żona była wkurzona z powodu starszej kochanki. Dlaczego wybrał starszą?

- Była mowa o rozwodzie?

Jimmy Jack wzruszył ramionami.

- Może nie mieli wyjścia. Prowadzenie po pijanemu kosztuje. Kasa na prawnika. Kasa na kurs dla jeżdżących na

podwójnym gazie. Mandaty. Grzywny. Osiem, może dziewięć patoli w plecy jak nic.

Charlie wiedziała, że to duże pieniądze dla każdego, a Alexandrowie byli nauczycielami z małym dzieckiem. Wątpiła, żeby dysponowali taką kwotą.

- Nic tak nie skłania do miłości niż uświadomienie sobie, że do końca życia będzie się jadło chińskie zupki.

- A może kochają się naprawdę i postanowili wszystko naprawić ze względu na dziecko?

- Wzruszające, laleczko. - Jimmy Jack wypalił papierosa do samego filtra i wrzucił go do stojącej przy drzwiach donicy z kwiatami. - Teraz to już nie ma znaczenia. Rusty nie zapłaci mi zza grobu za dokopanie się do tej historii.

- Ktokolwiek przejmie tę sprawę, będzie potrzebował kogoś takiego jak ty.

Skrzywił się, jakby ta myśl sprawiła mu przykrość.

- Nie wiem, czy będę umiał pracować z innym adwokatem niż twój tata. Żaden z obecnych nie wchodzi w rachubę. Ale prawnicy nie regulują rachunków i zwykle są beznadziejnymi ludźmi.

Charlie nie mogła się nie zgodzić z tą diagnozą.

Jimmy Jack puścił do niej oko.

- Dobra, laleczko, wracaj do tych gnojków w środku. Oni nie znali twojego taty. Nie zasłużyli, żeby wynosić po nim nocnik.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się.

Jimmy Jack mlasnął językiem i mrugnął do niej. Patrzyła, jak idzie przez tłum. Poklepał kilka osób po plecach, zrobił parę żółwików w drodze do drzwi. Przypuszczała, że w środku

skieruje się natychmiast do baru. Uchylił kapelusza przed kobietą, której Rusty pomógł odzyskać dzieci. Oparła rękę na biodrze. Charlie pomyślała, że oboje nie będą dzisiejszej nocy samotni.

Rozległ się dźwięk klaksonu.

Wszyscy spojrzeli na parking.

Za kierownicą pikapa siedział Ben. Obok niego była Sam.

Kiedy ostatni raz chłopak trąbił na Charlie, Rusty dał jej szlaban za wychodzenie przez okno w środku nocy.

Ben zatrąbił ponownie i zamachał do niej.

Przeprosiła zebranych, chociaż zakładała, że wielu z nich w pewnym momencie życia biegło do auta czekającego z włączonym silnikiem.

Sam wysiadła i oparła rękę o otwarte drzwi. Z dziesięciu metrów Charlie słyszała krztuszący się tłumik. Datsun Bena miał dwadzieścia lat. Tylko na takie auto mogli sobie pozwolić po niedoszłym wyjeździe do Kolorado. Sprzedali suwa na poczet spłacenia pożyczki, a tydzień później kupiec nie chciał im go odsprzedać. Rusty i Lenore zadeklarowali, że Charlie i Ben mogą zatrzymać pożyczone od nich pieniądze, ale Charlie nie skorzystała z tej oferty. Klinika w Kolorado miała na dniach odesłać pieniądze drogą elektroniczną, ale problemem były inne koszty: odwołanie rezerwacji biletów na samolot, pokoju w hotelu, opłaty dodatkowe za zaliczkę gotówkową z karty kredytowej, rachunki za pobyt w szpitalu po poronieniu, rachunki za zabieg chirurgiczny, za opiekę specjalistów, anestezjologa, radiologa, innych lekarzy, leki, a do tego mnóstwo dopłat i lawina teoretycznie tylko

bezpłatnych usług i świadczeń. Ich dług był tak duży, że cudem wysupłali gotówkę na tego zdezelowanego pikapa.

Cały weekend poświęcili na usuwanie samoprzylepnej flagi konfederatów z tylnej szyby.

- Ben zaproponował, że pomoże mi w ucieczce. Nie byłam w stanie tam wytrzymać - poinformowała Sam.

- Ja też - przyznała Charlie, chociaż wolałaby bratać się ze zbrodniarzami niż znosić sytuację, którą interpretowała jako nieudolną inicjatywę Sam pogodzenia jej z Benem.

Poczuła się niezręcznie, kiedy znalazła się nad dźwignią skrzyni biegów. Zaczęła podciągać sukienkę, żeby usiąść na niej okrakiem, ale ponieważ ubiegłej nocy Ben dał jej jasno do zrozumienia, że nie chce intymności, postanowiła unikać podtekstów erotycznych.

- W porządku? - zapytał Ben.

- Tak. - Skończyła, siedząc bokiem ze złączonymi kolanami i nogami pod kątem niczym Bonnie Blue Butler przed tragicznym upadkiem z kucyka.

Zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały żałośnie, gdy Sam zamknęła drzwi.

- Smar w aerozolu usunąłby ten problem - zasugerowała.

- Używałem WD-40 - odparł Ben.

- To rozpuszczalnik, nie smar - poinformowała fachowo Sam, po czym zwróciła się do Charlie: - Pomyślałam, że możemy spędzić trochę czasu na farmie.

Charlie zareagowała z opóźnieniem. Nie przychodził jej do głowy żaden powód, dla którego siostra chciałaby spędzić choćby kilka sekund w tym obrzydliwym miejscu.

W przeddzień wyjazdu do Stanford Sam rzuciła niepozbowiony racji ponury żart o najskuteczniejszej metodzie spalania Pieprznika do gołej ziemi.

Ben zmienił biegi i ruszył. Nawrócił wśród ciasno zaparkowanych aut. BMW. Audi. Mercedesy. Charlie miała nadzieję, że nikt z prawdziwych żałobników Rusty'ego ich nie ukradł.

- Cholera - mruknął nagle Ben.

Dwa radiowozy policyjne parkowały na środkowym pasie przy wyjeździe. Charlie rozpoznała Jonaha Vickery'ego, Grega Brennera oraz większość pozostałych z gimnazjum. Czekali jako eskorta pogrzebu. Oparci o auta palili papierosy.

Oni też rozpoznali Charlie.

Jonah palcami zatoczył w powietrzu kółka, po czym przyłożył je do oczu. Reszta dołączyła do niego, kwitując hienim śmiechem obwódki pod oczami Charlie, które upodobniały ją do szopa pracza.

- Skurwiele. - Ben opuścił okno.

- Skarbie, nie - powiedziała Charlie, wietrząc kłopoty.

Ben wychylił się z okna z uniesioną pięścią.

- Sukinsyny.

- Ben! - Charlie usiłowała wciągnąć go z powrotem. Ben prawie krzyczał. Co wstąpiło w jej biernego zazwyczaj męża?

- Ben, co ty wypra...

- Pieprzcie się - pokazał im środkowy palec. - Dupki.

Śmiech zamarł gliniarzom na ustach. Mierzyli Bena groźnym wzrokiem, gdy pikap skręcał z parkingu na drogę.

- Odbiło ci? - zawołała Charlie. Z ich dwojga to ona

zachowywała się jak stuknięta. – Mogli skopać ci tyłek.

– Niech skopią.

– Mam pozwolić, żeby cię zabili? Jezu, Ben, oni są niebezpieczni jak rekiny z nożami sprężynowymi.

– Ze sprężynowymi chyba nie. To nielegalne – powiedziała Sam.

Charlie stłumiła jęk.

Ben zasunął okno.

– Mam dość tego zasranego miejsca. – Wrzucił trzeci bieg, potem czwarty, kiedy przyśpieszył po wjeździe na autostradę.

Charlie patrzyła na pustą drogę przed nimi.

Ben nigdy dotąd nie miał dość tego miejsca.

– Hm... – Sam odchrząknęła. – Akurat ja uwielbiam życie w Nowym Jorku. Kulturę. Sztukę. Restauracje.

– Nie mógłbym mieszkać na Północy – odparł Ben, jakby bawił się tą myślą. – Może w Atlancie.

– Na pewno obrońcy z urzędu ucieszyliby się, gdybyś zasilił ich szeregi.

Charlie spiorunowała siostrę wzrokiem. Poruszając tylko ustami, zapytała:

– Co jest, kurwa?

Sam wzruszyła ramionami z trudną do odczytania miną.

Ben poluzował krawat. Rozpiął kołnierzyk pod szyją.

– Już się napracowałem dla wyższych celów. Teraz chcę dołączyć do ciemnej strony mocy.

Charlie miała wrażenie, że za chwilę mózg jej eksploduje.

– Co?!

– Od jakiegoś czasu o tym myślałem. Zmęczyła mnie rola

biednego urzędnika administracji państwowej. Chcę zrobić pieniądze. Chcę mieć łódź.

Charlie zacisnęła wargi, tak jak zrobiła to, kiedy usłyszała od Lenore o wyjeździe na Florydę. Ben zwykle miał luzackie i spokojne podejście do wielu spraw, ale Charlie zdołała dobrze go poznać. Wiedziała, że jeśli coś postanawia, rzadko zmienia zdanie. Najwyraźniej podjął decyzję w sprawie dalszej kariery zawodowej. Może postanowił wyjechać. Było w nim coś innego, coś bliskiego lekkomyślności. Zupełnie jakby pozbył się dźwiganego na barkach brzemienia.

Przypuszczała, że to ona jest tym brzemieniem.

- W Atlancie są firmy, z którymi współpracujemy w przypadku postępowań karnych. Mogę napisać ci listy polecające - zaoferowała Sam.

Charlie znowu posłała jej groźne spojrzenie.

- Dzięki. Dam ci znać, kiedy się trochę rozejrzę. - Ben poluzował krawat jeszcze bardziej. Zdjął go i rzucił za siedzenie. - Na nagraniu ze szpitala Kelly się przyznaje.

- Jezu! - Głos Charlie był tak wysoki, że mógł skruszyć szkło. - Ben, nie możesz nam tego mówić.

- Nadal przysługuje ci przywilej małżeński, a ona... - Ben zaśmiał się. - Boże, Sam, Coin zesrał się ze strachu. Prawie słyszałem, jak popuszcza, kiedy odpierałaś ataki sędziego.

Charlie złapała go za ramię.

- Co z tobą? Mogą cię wylać za...

- Wczoraj wieczorem złożyłem rezygnację.

Ręka Charlie opadła bezwładnie.

- To nagranie... - zaczęła Sam.

- Cholera - szepnęła Charlie.

- Jak sądzisz? Jest winna? - zapytała Sam.

- Nie ma wątpliwości. Technicy to potwierdzili. Testy wykazały obecność prochu na jej dłoniach, rękawie koszuli, kołnierzyku i prawej piersi, czyli tam, gdzie można się było ich spodziewać. - Ben przygryzł koniuszek języka. Jakaś jego cząstka nadal wiedziała, że postępuje nieetycznie. - Nie podoba mi się sposób, w jaki nakłonili ją do przyznania się. Nie podoba mi się wiele rzeczy, które robią.

- Jej można wmówić wszystko - zauważyła Sam.

Ben skinął głową.

- Nie przeczytali jej praw. A nawet gdyby przeczytali, kto wie, czy zrozumiałaby prawo do zachowania milczenia.

- Myślę, że ona jest w ciąży.

Charlie gwałtownie odwróciła się ku siostrze.

- Skąd to przypuszczenie?

Sam pokręciła głową.

- Wiesz, co się stało z bronią? - zwróciła się do Bena.

- Nie. A ty?

- Wiem. Czy Kelly mówi na nagraniu, że знаła ofiary?

- Wiedziała, że Lucy Alexander jest córką Franka Alexandra, ale ta informacja chyba dotarła do niej po fakcie.

- Co do Alexandrów - wtrąciła Charlie - to Jimmy Jack powiedział, że kilka lat temu Frank zdradzał żonę. Został zatrzymany za jazdę pod wpływem alkoholu i sprawa wyszła na jaw.

- Aha, czyli robił to wcześniej - stwierdziła Sam. - To była uczennica?

- Nie, agentka nieruchomości. Bogata, ale starsza, co jest odstępstwem od reguły. Tata reprezentował Franka w sprawie jazdy pod wpływem. Jimmy Jack mówi, że to było rutynowe postępowanie.

- To prawda - powiedział Ben. - Coin już się temu przyjrzał. Skupił się na tym, że Kelly chciała się zemścić na Franku za algebrę. Frank chciał ją oblać. Słyszałyście tę teorię wczoraj. Coin uważa, że dziewczyna z ilorazem inteligencji marchewki tak się wstydzi oblania algebry, że przyniosła do szkoły broń i zabiła dwoje ludzi. Nawiasem mówiąc, do niewłaściwej szkoły.

- To ciekawy punkt widzenia - stwierdziła Sam. - Dlaczego Kelly znalazła się w gimnazjum?

- Judith Pinkman przygotowywała ją do testu z angielskiego.

- Aha - powtórzyła Sam, jakby kawałki układanki w końcu trafiały na właściwe miejsce.

- Judith twierdzi, że w tym tygodniu nie planowała lekcji z Kelly - dodał Ben. - Nie wiedziała nawet, że Kelly jest w holu, póki nie usłyszała strzałów.

- Co jeszcze mówiła? - zapytała Sam.

- Niewiele więcej. Była zdruzgotana. To oczywiste. Jej mąż zginął, potem Lucy, a jeszcze widok Charlie... - Ben zerknął na Charlie, potem znów przeniósł spojrzenie na drogę. - Była naprawdę wstrząśnięta. Musieli podać jej środek uspokajający, żeby umieścić ją w karetce. Wtedy pewnie wszystko do niej dotarło. To znaczy po wyjściu z budynku. Wpadła w histerię. Dosłownie, nie w przenośni. Wyglądała, jakby miała umrzeć z rozpaczy.

- Gdzie była w chwili wybuchu strzelaniny?

- W klasie. Usłyszała strzał. Powinna zamknąć drzwi i ukryć się w kącie na końcu klasy, ale wybiegła na korytarz, bo wiedziała, że zaraz będzie dzwonek, i chciała ostrzec dzieci, gdyby nie została zastrzelona. Wiedziała, że może zginąć, ale powiedziała, że nie myślała o własnym bezpieczeństwie. - Znowu zerknął na Charlie. - Tyle się wtedy działo.

- Utrzymanie łodzi kosztuje - stwierdziła Sam.

- Nie szukam jachtu.

- Ubezpieczenie, opłaty za cumowanie, podatki.

Charlie nie mogła słuchać rozmowy siostry i męża o łodziach. Patrzyła beznamiętnie przed siebie. Usiłowała pojąć, co się stało. Rezygnacja Bena. W tej chwili nie była w stanie o tym myśleć, skupiła się więc na rozmowie z Sam. Ben kłapał językiem jak więzienny kapuś. Sam była bardziej powściągliwa. Cięża Kelly. Zaginiona broń. Była w szkole podczas strzelaniny, widziała część zdarzenia na własne oczy, ale wiedziała mniej niż tych dwoje.

Ben pochylił się ku Sam.

- Powinnaś wziąć sprawę Wilson.

- Nie stać mnie na obniżkę zarobków - odparła ze śmiechem.

Ben zwolnił. Przed nimi jechał traktor zajmujący oba pasy. Ciągnął zepsuty kombajn. Gdy Ben zatrąbił dwukrotnie, farmer zjechał nieco w prawo. Ben wyprzedził go na pasie rozdzielczym.

Sam i Ben wznowili pogawędkę o łodziach. Charlie analizowała pytania Sam, usiłując dociec, dokąd prowadziły.

Sam zawsze była szybsza w rozwiązywaniu zagadek. Szczerze mówiąc, szybsza w wielu innych rzeczach. Na pewno okazała się lepsza na sali sądowej. Charlie była wczoraj pełna podziwu. Dzisiaj nadal pozostawała pod wrażeniem. Sam wyglądała jak kwintesencja wiktoriańskiego Drakuli, od stylowego ubioru po aurę pewności siebie i sposobu, w jaki obnażyła kły i połknęła Kena Coina jak tłustego szczura.

- Ile kul wystrzelono? - zapytała Sam.

Charlie czekała na odpowiedź Bena, ale nagle zorientowała się, że Sam zwraca się do niej.

- Cztery? Pięć? Sześć? Nie wiem. Jestem kiepskim świadkiem.

- Na nagraniu jest pięć - powiedział Ben. - Jedna trafiła w...

- W ścianę, trzy w Pinkmana, jedna w Lucy. - Sam odchyliła się, żeby spojrzeć na Bena za plecami Charlie. - A miejsce obok klasy pani Pinkman? Gdzieś w pobliżu drzwi?

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Dochodzenie trwa od dwóch dni. Technicy ciągle pracują. Jest jeszcze jeden świadek. Mówi, że naliczył w sumie sześć strzałów. Walczył. Można go uznać za wiarygodnego.

Mason Huckabee.

Charlie spojrzała na swoje dłonie.

- A dźwięk?

- Jest niewyraźne nagranie połączenia z komórki z sekretariatu, ale już po strzelaninie. Nagranie, o które pytasz, pochodzi z holu z otwartego mikrofonu na mundurze policyjnym. To stąd Coin wziął „dzieciątka” - dodał Ben. - Nie

nagrały się odgłosy strzałów. Nie mamy, a przynajmniej ja nie mam raportu koronera. W ciałach może być więcej kul.

- Chcę jeszcze raz zobaczyć to nagranie - oznajmiła Sam.

- Nie mam do niego dostępu. W rezygnacji byłem hm, dość szczery. Na pewno nie dostanę referencji.

Charlie miała ochotę wślizgnąć się pod kołdrę i zasnąć. Mieli kredyt hipoteczny. Opłaty za samochód. Pakiet Premium ubezpieczenia zdrowotnego. Ubezpieczenie samochodu. Podatki od nieruchomości. Zaległe rachunki sprzed trzech lat.

- Ja cię polecę. - Sam zanurzyła rękę w skórzanej torebce, której wartość z pewnością wystarczyłaby na spłatę wszystkich rachunków siostry i Bena. Wyjęła pendrive'a Bena w kształcie statku Enterprise. - Czy tata ma komputer?

- Ma wielki telewizor - odparł Ben. Kupili mu ten sam model, jaki sami mieli w domu. To było cztery lata temu, przed Kolorado. Przed łodzią.

Dotarli do Pieprznika, ale Ben nie skręcił w podjazd, zatrzymał się. Krew zabarwiła czerwoną glinę na czarno. W tym miejscu Rusty upadł tego wieczoru, kiedy poszedł wyjąć ze skrzynki korespondencję.

- Uważają, że to wujek dźgnął Rusty'ego nożem - powiedział Ben.

- Faber? - zapytała Sam.

- Rick Fahey. - Charlie pamiętała wujka Lucy Alexander z konferencji prasowej. - Dlaczego sądzą, że to on?

- O tym akurat nic nie wiem. Słyszałem plotki w biurze, potem Kaylee skarżyła się, że późno ją wezwali tego wieczoru.

- Potrzebowali kogoś, kto porozmawia z prawdopodobnym podejrzanym - rzuciła Charlie od niechcienia, udając, że imię kobiety, którą podejrzewała o romansowanie z Benem, nie sprawia jej przykrości. - Myślę, że tata widział napastnika.

- Też tak uważam - powiedziała Sam. - Opowiadał mi bajki o wartości wybaczenia.

- Wyobrażam sobie, że gdyby tata żył, pewnie zaproponowałby Faheyowi reprezentowanie go w sądzie - stwierdziła Charlie.

Nikt się nie roześmiał, ponieważ wszyscy wiedzieli, że to bardzo prawdopodobne.

Ben wrzucił pierwszy bieg. Skręcił w podjazd, jadąc powoli, by uniknąć kolein.

Ich oczom ukazał się Pieprznik. Farba odpadała płatami, część desek przegniła, niektóre okna były wypaczone, ale poza tym nic się nie zmieniło od chwili, kiedy Culpepperowie zapukali do drzwi kuchennych dwadzieścia osiem lat wcześniej.

Charlie poczuła, że Sam poruszyła się nerwowo na siedzeniu. Zbierała siły na konfrontację z przeszłością. Charlie chciała powiedzieć coś pocieszającego, ale zdołała jedynie wziąć ją za rękę.

- Dlaczego nie ma tu krat i bramy? Biuro przypomina fortecę - powiedziała Sam.

- Tata twierdził, że piorun nie trafia dwa razy w to samo miejsce. - Charlie czuła znajome ściskanie w gardle. Wiedziała, że nadzwyczajne środki bezpieczeństwa w biurze Rusty wprowadził z myślą o niej, nie o sobie. Podczas rzadkich

wizyt na farmie, które można policzyć na palcach jednej ręki, nie wysiadała z auta, tylko trąbiła na Rusty'ego, żeby wyszedł, ponieważ sama nie chciała tam wchodzić. Może gdyby przyjeżdżała częściej, ojciec zatroszczyłby się o solidne zabezpieczenia.

- Wierzyć mi się nie chce, że byłem tu w zeszłym tygodniu i rozmawiałem z nim na werandzie - powiedział Ben.

Charlie zapragnęła oprzeć się o niego, położyć mu głowę na ramieniu.

- Przygotujcie się - rzucił. Koła wpadły w dziurę, podskoczyły na wyboju, wyprostowały się. Ben skręcił w stronę stodoły, żeby zaparkować obok niej.

- Podjedź pod frontowe drzwi - poprosiła Charlie. Nie chciała przechodzić przez kuchnię.

- „Kozojebca” - Sam odczytała graffiti. - Podejrzany musiał go znać.

Ta uwaga wzbudziła wesołość Charlie.

Sam pozostała poważna.

- Nigdy nie przypuszczałam, że tu wrócę.

- Nie musisz. Wejdę sama i poszukam tego zdjęcia - zaproponowała Charlie.

Zaciśnięte szczęki Sam zdradzały determinację.

- Chcę, żebyśmy znalazły je razem.

Ben zawrócił i stanął przed werandą od frontu. Trawnik zamienił się w pole chwastów. Jakiś chłopak z sąsiedztwa miał go kosić regularnie, ale Charlie stanęła po kostki w mleczech.

Sam złapała ją za rękę. W dzieciństwie nie dotykały się tak często jak przez ostatnie dwa dni.

Z wyjątkiem tamtego dnia.

- Pamiętam, że przeżywałam wtedy stratę ceglanego domu, ale to był też dobry dzień. - Odwróciła się do Charlie. - Pamiętasz?

Charlie potwierdziła skinieniem głowy. Gamma raz po raz popadała w stan irytacji, ale wszystko szło w dobrym kierunku.

- To mógł być nasz dom.

- Wszystkie dzieci tego chcą, prawda? - powiedział Ben. - Mieć bezpieczne miejsce do życia. - Nagle się opamiętał. - To znaczy...

- Już dobrze - pocieszyła go Charlie.

Ben rzucił marynarkę na tył pikapa i wziął laptop z tylnego siedzenia.

- Wejdę do środka i podłączę go do telewizora.

Sam podała mu pendrive'a.

- Nie zapomnij oddać, żebym go potem zniszczyła.

W odpowiedzi Ben zasalutował.

Charlie patrzyła, jak przeskakuje schody na werandzie. Zdjął z framugi nad drzwiami leżący tam klucz, otworzył drzwi i wszedł.

Mimo odległości Charlie poczuła znajomą woń cameli bez filtra.

Sam przyjrzała się domowi.

- Ciągle przypomina pieprznik - stwierdziła.

- Pewnie go sprzedamy.

- Tata go kupił?

- Stary farmer był podglądaczem i fetyszystą. Jego fetyszem

były stopy. Poza tym ukradł mnóstwo bielizny. – Charlie zaśmiała się na widok miny Sam. – Kiedy umarł, miał mnóstwo niespłaconych rachunków za prawnika. Rodzina przepisała dom na Rusty'ego.

– Dlaczego tata nie sprzedał go dawno temu i nie odbudował starego domu?

Charlie знаła powód. Mieli wtedy mnóstwo rachunków za leczenie Sam. Lekarze, szpitale, terapeuci, rehabilitacja. Znała ogrom kosztów niespodziewanej choroby. Niewiele energii i czasu pozostaje wtedy na odbudowywanie czegokolwiek.

– Myślę, że głównie z powodu inercji. Wiesz, że Rusty nie przepadał za zmianami – powiedziała.

– Możesz zatrzymać dom. Nie prosiłaś o to, ale ja nie potrzebuję pieniędzy. Chcę tylko fotografię mamy. Albo kopię. Oczywiście zrobię też jedną dla ciebie. Albo dla siebie. Możesz wziąć oryginał, jeśli...

– Dogadamy się. – Charlie próbowała się uśmiechnąć. Sam nigdy nie traciła rezonu, a w tej chwili była wyraźnie rozdygotana. – Zrobię to dla ciebie.

– Chodźmy. – Sam skinęła głową w stronę domu.

Charlie pomogła jej wejść po schodach, chociaż Sam o to nie poprosiła. Ben zostawił otwarte drzwi. Słyszała, jak otwiera kolejne okna, żeby wpuścić do środka świeże powietrze.

Byłoby lepiej, gdyby zapieczętowali ten dom jak elektrownię w Czarnobylu.

Dziedzictwo Charlie zajmowało pokój od frontu. Stare gazety. Czasopisma. Egzemplarze *Georgia Law Review*

sięgające lat dziewięćdziesiątych. Segregatory z aktami starych spraw. Sztuczna noga, którą Rusty przyjął jako zapłatę od ochlapusa znanego wszystkim jako Skip.

- Pudła - powiedziała Sam, ponieważ część rzeczy, które Gamma kupiła w sklepie z rzeczami używanymi, nigdy nie została z nich wyjęta. Zerwała wyschniętą taśmę z pudła opatrzonego napisem WSZYSTKO PO 1\$ i wyjęła leżącą na wierzchu fioletową koszulkę z podobizną Enida Stricta jako Church Lady.

Ben wyjrzał zza telewizora.

- W pokoju jest jeszcze jedno pudło. Gdybyście opchnęły jego zawartość na eBayu, mogłybyście zbić fortunę - powiedział, zerkając na Charlie. - Nie *Star Trek*, tylko *Gwiezdne wojny*.

Charlie nie wierzyła, że nawet jako trzynastolatka zdołała rozczarować własnego męża.

- To Gamma wszystko wybrała, nie ja.

Ben schował głowę za telewizor. Próbował podłączyć przewody, które Rusty porozłączał, twierdząc, że od tego migotania dostanie napadów padaczkowych.

- Dobra, jestem gotowa - stwierdziła Sam.

Charlie nie wiedziała, o co chodzi, póki nie zobaczyła, że Sam patrzy w stronę długiego korytarza biegnącego przez cały dom. Na drugim końcu znajdowały się tylne drzwi ze wstawką z matowego szkła. Kuchnia była zaraz obok. Tam stał Daniel Culpepper, patrząc, jak Gamma wychodzi z łazienki.

Charlie nadal pamiętała własną drogę korytarzem

w poszukiwaniu łazienki, swój okrzyk „Krówka!”, który wydała z myślą o mamie.

Układ pięciorga drzwi w korytarzu nie tworzył logicznej całości. Jedne prowadziły do upiornej piwnicy. Drugie do garderoby. Trzecie do spiżarni. Czwarte do łazienki. Piąte do ciasnej sypialni na dole, gdzie umarł stary farmer.

Rusty właśnie ten pokój zamienił w swój gabinet.

Sam ruszyła pierwsza. Z tyłu wyglądała na opanowaną. Trzymała się prosto. Miała uniesioną głowę. Uleciała gdzieś nawet niepewność jej chodu. Zdradzało ją jedno: idąc, dotykała palcami ściany, jakby na wszelki wypadek chciała zapewnić sobie oparcie.

- Tylne drzwi. - Wskazała je gestem. Matowe szkło było pęknięte. Rusty próbował je naprawić żółtą taśmą maskującą.
- Nie masz pojęcia, ile razy śniłam przez lata, że wybiegam przez nie zamiast wejść do kuchni.

Charlie milczała, chociaż sama miewała podobne sny.

- Raz kozie śmierć. - Sam położyła dłoń na gałce w drzwiach, za którymi znajdowało się biuro Rusty'ego. Zrobiła głęboki wdech ustami jak pływak przed zanurzeniem głowy.

Drzwi się otworzyły.

Pomieszczenie wyglądało podobnie jak pokój od frontu, tyle że spowity odorem nikotyny. Wszystko - dokumenty, segregatory, ściany, nawet powietrze - miało żółtawy odcień. Charlie usiłowała otworzyć jedno z okien, ale zaschnięta farba zapieczętowała je na dobre. Czuła, że nadwerżyła sobie nadgarstek od walenia w trumnę ojca. Dzisiejszych kontaktów

z obiektami nieożywionymi nie mogła zaliczyć do udanych.

- Nie widzę tego zdjęcia - powiedziała Sam z niepokojem w głosie. Stała przy biurku Rusty'ego. Przesuwała papiery, podnosiła teczki. - Nie ma go tu.

Omiotła wzrokiem ściany, ale wisiały na nich jedynie szkolne rysunki Charlie. Tylko Rusty mógł przykleić do ściany dzieło ósmoklasistki przedstawiające budowę żuka gnojaka.

- Jest to - powiedziała Charlie, zauważając czarną metalową ramkę, w której od prawie pięćdziesięciu lat znajdowało się znane im zdjęcie. - Cholera, tato. - Rusty pozwolił, żeby słońce wytrawiło twarz Gammy. Pod czarną czupryną widoczne były tylko oczodoły i usta.

- Kompletnie zniszczone - stwierdziła przygnębiona Sam.

Charlie czuła się winna.

- Powinnam zabrać mu je dawno temu i zachować albo zabezpieczyć. Bardzo mi przykro, Sam.

Sam pokręciła głową. Odłożyła ramkę na stół.

- Nie o to mi chodziło. Tata mówił o innym zdjęciu, którego nigdy nam nie pokazał. - Znowu zaczęła przewracać papiery, przeglądając zawartość pudełek. Wydawała się zrozpaczona. Zdjęcie na pewno było ważne samo w sobie, ale było też jedną z ostatnich rzeczy, o których Rusty z nią rozmawiał.

Charlie zdjęła buty, żeby nie nastąpić na coś obcasem i nie skrócić sobie karku. Wyglądało na to, że następny rok życia będzie musiała poświęcić na przeglądanie tego majdanu. Równie dobrze mogła zacząć w tej chwili.

Z rozchwianego składanego stolika zdjęła parę pudeł. Na podłogę posypały się niekompletne warcaby. Odgłos

przypominał rzucane kości.

- Myślisz, że trzymał je w którejś z tych szaf na akta? - zapytała.

Sam spojrzała nieufnie na pięć drewnianych szaf zamykanych na ciężkie zasuwki.

- Jak znajdziemy klucze w tym bałaganie?

- Pewnie miał je przy sobie, kiedy zabrali go do szpitala - zasugerowała Charlie. - To znaczy, że są wśród dowodów.

- Nie znamy nikogo w biurze prokuratora okręgowego, kto mógłby nam pomóc, ponieważ mój mąż wszystkim kazał się gonić. - Charlie pomyślała o Kaylee Collins i dopowiedziała w myślach: może nie wszystkim. - Tata był pewien, że nigdy nie widziałyśmy tego zdjęcia?

- Już ci mówiłam. Powiedział, że trzymał je tylko dla siebie. Uchwyciło moment, w którym on i Gamma zakochali się w sobie.

Charlie wyczuła przejmujący ton uwagi ojca. Posługiwał się zawsze tak irytująco barokowym językiem, że czasem umykało jej prawdziwe znaczenie jego słów.

- Rusty ją kochał - powiedziała.

- Wiem - odparła Sam. - Zapomniałam, że on też ją stracił.

Charlie spojrzała w okno. Wylała już tyle łez, że wystarczyło jej do końca życia.

- Nie wyjadę, póki nie znajdę tej fotografii - oświadczyła Sam.

- Mógł to zmyślić. Wiesz, jak uwielbiał koloryzować.

- W tej sprawie by nie kłamał.

Charlie przemilczała tę uwagę. Nie podzielała zdania Sam.

- Sprawdziłyście w sejfie? - podsunął Ben. Stał na korytarzu z kłębem różnokolorowych kabli na szyi.

Charlie otarła oczy.

- Kiedy tata wstawił sejf? - zapytała.

- Kiedy się zorientował, że ty i Sam czytacie wszystko, co przynosi do domu. - Odsunął nogą stos pudełek, odsłaniając sejf podłogowy sięgający mu do połowy uda. - Znasz szyfr?

- Nawet nie wiedziałam, że ma sejf. Skąd miałabym znać szyfr.

Sam przyklękała i popatrzyła na tarczę zamka szyfrowego.

- To musi być kombinacja liczb, które miały dla taty znaczenie - stwierdziła.

- Ile kosztuje karton cameli?

- Mam pomysł. - Sam kilkakrotnie przekręciła tarczę. Zatrzymała się na dwójce, wróciła do ósemki, potem do siedemdziesięciu sześciu.

Urodziny Charlie.

Pociągnęła za uchwyt.

Drzwi nie ustąpiły.

- Spróbuj swoją datę urodzenia - podpowiedziała Charlie.

Sam pokręciła tarczą, zatrzymując się przy właściwych numerach. Też nic.

- Może urodziny Gammy - zasugerował Ben.

Sam wprowadziła numery. Bez powodzenia. Pokręciła głową, jakby w końcu zrozumiała coś oczywistego.

- Urodziny Rusty'ego.

Wprowadziła datę. Złapała za uchwyt.

Nic.

Zerknęła na Bena.

- Twoje urodziny są następne w kolejności.

- Spróbuj trzy-szesnaście-osiemdziesiąt dziewięć.

Dzień, w którym Culpepperowie stanęli w drzwiach kuchni.

Sam wzięła głęboki oddech. Ustawiła tarczę na zero. Przekręciła ją w prawo, w lewo i znowu w prawo. Położyła palce na uchwycie. Spojrzała na Charlie. Pociągnęła za rączkę.

Sejf się otworzył.

Charlie kucnęła za plecami Sam. Sejf był wypełniony po brzegi. W pierwszej chwili poczuły zapach starych papierów, ale potem pojawił się inny, przypominający damskie perfumy.

- To chyba mydło mamy - szepnęła Sam.

- Różana Rozkosz - przypomniała sobie Charlie. Gamma kupowała je w drogerii. To była jedyna oznaka próżności, na jaką sobie pozwalała.

- To chyba tak pachnie. - Sam musiała użyć obu rąk, by wyciągnąć koperty wetknięte na samą górę sejfu.

Były przewiązane czerwoną wstążką.

Sam powąchała je, zamykając oczy jak kot mruczący na słońcu. Uśmiechnęła się błogo.

- To ona.

Charlie poszła w ślady siostry. Zapach był słaby, ale trudny do pomylenia z jakimkolwiek innym. Tak pachniała Gamma.

- Spójrz. - Sam wskazała adres na kopercie. Russell Quinn, Uniwersytet Stanowy Georgii. - To jej charakter pisma. - Przejechała palcami po idealnych literach napisanych według metody Palmera. - Stempel pocztowy jest z Batavii w Illinois.

Tam jest Fermilab. To muszą być listy miłosne.

- Hm, chyba nie chcecie ich czytać? - wtrącił Ben.

- Dlaczego nie?

- Bo oni naprawdę się kochali.

- Przecież to cudowne - odparła rozpromieniona Sam.

- Czyżby? - Głos Bena zabrzmiał jak u chłopca w czasie mutacji. - Naprawdę chcecie czytać wonne listy przewiązane przez waszego tatę czerwoną wstążką, które pochodzą z pierwszego okresu ich znajomości, kiedy wasi rodzice prawdopodobnie... No wiecie... - Zawiesił znacząco głos. - Zastanówcie się. Wasz tata może się okazać prawdziwym erotomanem.

Na myśl o tym Charlie zrobiło się niedobrze.

- Odłóżmy tę decyzję na później. - Sam włożyła koperty z powrotem do sejfu i wyciągnęła z niego pocztówkę.

Pokazała Charlie zdjęcie Centrum Lotów Kosmicznych w Houston z lotu ptaka.

Przed objęciem posady w Fermilab Gamma pracowała w NASA.

Sam odwróciła kartkę. Charakteru pisma Gammy nie dało się pomylić z żadnym innym.

Charlie odczytała na głos treść wiadomości napisanej do Rusty'ego:

Jeśli widzisz, że coś jest zepsute, to znaczy, że wiesz, jak powinno działać - doktor Seuss.

Sam posłała Charlie znaczące spojrzenie, jakby ich matka udzielała z za grobu małżeńskiej porady.

- Widać, że próbowała porozumiewać się z tatą na jego

poziomie – stwierdziła Charlie.

- Rzeczywiście. - Sam uśmiechnęła się tak samo, jak uśmiechała się w bożonarodzeniowe poranki. Zawsze otwierała prezenty w żółwym tempie, komentując wzorek na papierze prezentowym, ilości zużytej taśmy klejącej, rozmiar i kształt pudełka, podczas gdy Charlie rzucała się na prezenty i darła papier jak chihuahua na dopalaczach.

- Musimy uważnie to wszystko przejrzeć. - Sam usadowiła się wygodniej na ziemi. - Mam nadzieję, że znajdziemy to zdjęcie jeszcze dzisiaj. Jeśli nie, albo nawet jeśli je znajdziemy, masz coś przeciwko temu, żebym zabrała to wszystko do Nowego Jorku? Niektóre z tych rzeczy są bardzo cenne. Mogę wszystko skatalogować i...

- Dobrze - odparła Charlie, ponieważ wiedziała, że Gamma i Sam zawsze mówiły własnym skomplikowanym językiem.

Poza tym ona nigdy nie zrobiłaby katalogu.

- Przywiozę wszystko z powrotem - obiecała Sam. - Spotkamy się w Atlancie albo przyjadę tutaj.

Charlie skinęła głową. Podobała jej się myśl o kolejnym spotkaniu z siostrą.

- Nie wierzę, że tata to zachował. - Sam wzięła do ręki jedno z jej trofeów z zawodów lekkoatletycznych. - Musiał to trzymać w biurze, inaczej wszystko poszłoby z dymem. I... o Boże! - Zobaczyła stos starych prac domowych. - Twój referat o transcendentalizmie. Pamiętasz, jak Gamma wdała się w dwugodzinną dyskusję z twoim nauczycielem? Była wściekła, że zmarginalizował Louise May Alcott. Zobacz, mój wykaz ocen. Miał go podpisać.

Ben gwizdnął, żeby zwrócić uwagę Charlie. Trzymał w dłoni czystą kartkę papieru.

- Twój tata zatrzymał mój rysunek królika w śnieżnej zamieci.

Charlie posłała mu szeroki uśmiech.

- Zaraz, zaraz. - Ben wziął z biurka czarny długopis i zrobił kropkę na środku kartki. - To odbył niedźwiedzia polarnego.

Wybuchnęła śmiechem, ale po chwili zachciało jej się płakać. Tęskniła za jego poczuciem humoru.

- Charlie - odezwała się uszczęśliwiona Sam - chyba trafiłyśmy w dziesiątkę. Pamiętasz notatniki mamy? - Wyjęła z sejfów oprawny w skórę duży dziennik i otworzyła go.

Zamiast stron pamiętnika pełnego równań zobaczyła czeki in blanco.

Charlie zajrzała jej przez ramię. Kartki na spirali. Trzy rzędy na jednym arkuszu. Odcinki kontrolne pozostałe po wypisanych czekach. Czeki były wyemitowane przez Bank of America, ale nazwa firmy - Pikeville Holding Fund - nic Charlie nie mówiła.

Sam wertowała odcinki kontrolne, ale miejsca przeznaczone na zwyczajowe informacje, czyli datę, kwotę i nazwisko beneficjenta, były puste.

- Po co tacie konto czekowe jakiegoś holdingu? - zwróciła się do Charlie.

- Jego rachunek depozytowy jest na Wielmożnego Pana Rusty'ego Quinna. - Większość stron wszczynających spór sądowy miała nieoprocentowane rachunki posiadania, na których deponowano środki na rozliczenia. Z niego adwokat

otrzymywał swoją część, a resztę wypłacał klientowi. - To nie ma sensu. Rachunkami taty zajmowała się Lenore. Przejęła je, kiedy zapomniał o rachunku za energię elektryczną i elektrownia odcięła im prąd.

Ben przeglądał nieotwartą korespondencję na biurku Rusty'ego.

- Bank of America! - zawołał, machając kopertą.

- Otwórz - poleciła Charlie.

Ben wyjął z koperty jednostronicową informację z banku.

- Ja pierniczę. Ponad trzysta patyków.

- Tata nigdy nie miał klienta, który dostał takie odszkodowanie.

- Jest tylko jedna wypłata w zeszłym miesiącu w wysokości dwóch tysięcy. Numer czeku zero trzy cztery zero.

- Zwykle numer pierwszego czeku do konta zaczyna się od trzech zer - zauważyła Sam. - Jaka jest data na ostatnim czeku?

- Tej informacji nie ma, ale został zrealizowany cztery tygodnie temu.

- Drugi piątek każdego miesiąca.

- Co? - Charlie spojrzała na książeczkę czekową. - Znalazłaś coś?

Sam pokręciła głową. Zamknęła skórzaną okładkę.

- Nie żebym chciał się bawić w detektywa amatora, ale może spróbujecie sztuczki z ołówkiem? Zamalujcie ołówkiem czyste чеки pod tymi, które wypisał. Rusty mocno naciskał długopis przy pisaniu.

- Świetny pomysł, skarbie. - Charlie wstała, by poszukać

ołówka.

- Musimy dostać oryginały - powiedziała Sam. - Metoda ołówkowa w niczym nam nie pomoże.

- Dowiemy się, dla kogo wypisywał te czeki.

Sam przycisnęła księgę do piersi.

- Mam parę rachunków w Bank of America. Mogę zadzwonić do nich jutro i poprosić o kopie. Będziemy potrzebować aktu zgonu taty. Charlie, jesteś pewna, że nie napisał testamentu? Powinniśmy go poszukać. Wielu starych ludzi sporządza testament, nie informując o tym swoich dzieci.

Charlie zamarła. Poczła pot spływający po karku. Do domu zbliżał się samochód. Podskoczył na wyboju. Rozległ się chrzęst gumy.

- To pewnie Stanislav, mój kierowca - powiedziała Sam. - Prosiłam, żeby przyjechał tu po mnie. - Spojrzała na zegarek na biurku Rusty'ego. - Sprawił się. Muszę znaleźć jakiś pusty karton i przełożyć do niego to wszystko.

- Ben... - powiedziała Charlie.

- Pójdę - ruszył korytarzem ku drzwiom.

Charlie patrzyła, jak zmierza do kuchni. Wyjrzał przez okno i położył rękę na gałce. Serce tłukło jej się w piersi. Nie chciała, żeby znalazł się w kuchni. Nie chciała, żeby otwierał drzwi.

Ben otworzył drzwi.

Na werandzie stał Mason Huckabee. Zaskoczony spojrzał na Bena. Miał na sobie czarny garnitur, niebieski krawat i czapkę z daszkiem.

Ben nie odezwał się ani słowem. Odwrócił się na pięcie

i poszedł z powrotem korytarzem.

Charlie poczuła mdłości. Podbiegła do Bena i zagroziła mu drogę, rozkładając ręce i dotykając obu ścian.

- Przepraszam - powiedziała.

Ben próbował ją obejść.

Charlie nie ruszała się z miejsca.

- Ben, nie prosiłam, żeby tu przyjeżdżał. Nie chciałam, żeby tu był.

Ben nie zamierzał jej odsuwać. Patrzył na nią bez słowa. Przygryzał koniuszek języka.

- Pozbędę się go. Próbowałam się go pozbyć.

- Ben, pomożesz mi spakować te rzeczy? - zawołała Sam z biura.

Charlie wiedziała, że jej dżentelmeński mąż nie odmówi pomocy.

Niechętnie pozwoliła mu przejść. Ruszyła do kuchni, praktycznie sprintem pokonując korytarz.

Mason zamachał do niej. Z miejsca, w którym stał, widział tył domu. Miał na tyle rozumu, żeby nie uśmiechnąć się na widok biegnącej Charlie.

- Przykro mi - powiedział.

- Jeszcze nie wiesz, jak kurewsko przykro ci będzie - wysyczała Charlie. - Nie blefowałam w kwestii zakazu zbliżania. W dwie minuty rozpierdolę ci życie.

- Wiem. Przepraszam. Naprawdę bardzo mi przykro. Zależało mi na rozmowie z tobą i twoją siostrą.

Zignorowała desperację w jego głosie.

- Nie obchodzi mnie, na czym ci zależało. Musisz stąd wyjść.

- Wpuść go, Charlie.

Odwróciła się na pięcie. W korytarzu stała Sam. Dotykała palcami ściany.

- Tutaj - zwróciła się do Masona i weszła do salonu, zanim Charlie zdołała zaprotestować.

Mason stanął w progu kuchni. Zdjął czapkę, miętosił ją w rękach. Rozejrzał się bez entuzjazmu. Od dnia przeprowadzki Rusty niczego tu nie zmienił. Rozchwiane krzesła, porysowany i podrapany stół pamiętały starego farmera. Brakowało tylko klimatyzatora wiszącego w oknie. Nie dało się usunąć z jego wnętrza szczątków Gammy.

- Tędy. - Charlie spojrzała na korytarz, szukając wzrokiem Bena. Drzwi gabinetu Rusty'ego były zamknięte. Pikap stał przed domem. Ben nie otworzył tylnych drzwi. Pewnie siedział w gabinecie, zastanawiając się, dlaczego jego żona jest dziwką.

- Przykro mi z powodu waszego ojca - powiedział Mason.

Charlie okręciła się gwałtownie.

- Wiem, kim jesteś - rzuciła.

Na twarzy Masona pojawił się niepokój.

- Nie miałam o tym pojęcia, kiedy się spotkaliśmy, ale potem moja siostra powiedziała mi o twojej siostrze i... - Umilkła, szukając właściwych słów. - Bardzo jej współczuję. Tobie i twojej rodzinie też. Ale to, co zaszło między nami, było jednorazowym błędem. Ogromnym błędem. Kocham męża.

- Już to mówiłaś. Rozumiem to i szanuję. - Mason skinął Sam.

Usiadła na krześle o prostym oparciu. Nagranie

z monitoringu zostało zatrzymane. Ben zdołał podłączyć i uruchomić telewizor.

Mason zapatrzył się na ogromny ekran.

- Kto będzie teraz obrońcą Kelly? - zapytał.

- Znajdziemy kogoś w Atlancie - odparła Sam.

- Mogę zapłacić. Moja rodzina ma pieniądze. Moi rodzice mają. Mieli. Prowadzili firmę transportową.

Charlie pamiętała z dzieciństwa znak firmowy na samochodach.

- Usługi Transportowe Huckabee.

- Tak. - Znowu zerknął na zatrzymany obraz. - Czy to nagranie z tamtego dnia?

Charlie nie chciała zaczynać z nim rozmowy.

- Po co przyjechałeś? - zapytała.

- Bo... - Urwał i zamiast wyjaśnić powód swojej niepożądanego obecności, powiedział: - Kelly próbowała się zabić. To oznaka wyrzutów sumienia. Czytałem w internecie, że skrucha ma znaczenie w sprawach zagrożonych karą śmierci. Możesz użyć tego argumentu podczas procesu, żeby przysięgli darowali jej życie albo skazali na dożywocie z szansą na zwolnienie warunkowe. Wiedzą o tym, tak?

- Kto? - zapytała Sam.

- Policja. Prokurator. Wy.

- Uznają, że to było wołanie o pomoc - stwierdziła Charlie. - Oddała broń. Nie pociągnęła za spust.

- Pociągnęła. Trzy razy.

- Co? - Sam wstała z krzesła.

- Nie kłam. Ludzie tam byli. Widzieli wszystko - zaperzyła

się Charlie.

- Nie kłamie. Przyłożyła broń do piersi. Byłaś sześć metrów dalej. Musiałaś to widzieć. Albo chociaż słyszeć. - Zwrócił się do Sam: - Kelly przycisnęła lufę do piersi i nacisnęła spust trzy razy.

Charlie niczego takiego nie pamiętała.

- Słyszałem suche trzaski - mówił dalej Mason. - Założę się, że Judith Pinkman też je słyszała. Nie zmyślam. Ona naprawdę próbowała się zabić.

- Dlaczego po prostu nie odebrałaś jej broni? - zapytała Sam.

- Nie wiedziałem, czy przeładowała. Byłem w piechocie morskiej. Człowiek musi zakładać, że broń jest naładowana, póki nie zobaczy pustej komory.

- Przeładowała - powtórzyła Sam, nadając wagę temu słowu. - Kiedy zaczęła się strzelanina, ile strzałów usłyszałeś?

- Sześć - odparł. - Jeden, po którym nastąpiła pauza, potem trzy pod rząd, potem była krótsza pauza, następny strzał, krótka pauza i kolejny. Razem sześć.

Sam usiadła. Sięgnęła do torebki.

- Jesteś pewien?

- Gdybyś brała udział w tylu walkach w przestrzeniach zamkniętych co ja, szybko nauczyłabyś się liczyć pociski.

Sam położyła notes na kolanach.

- Rewolwer Kelly jest sześcioprowadkowy? - zapytała.

- Tak.

- Był pusty, kiedy go zabrałaś? - wtrąciła Charlie.

Mason zerknął nerwowo na Sam.

- Najwyższy czas, żebyś wyjaśnił, dlaczego wetknąłeś go za pasek spodni.

- Instynkt. - Mason skwitował to wzruszeniem ramion, jakby popełnienie ciężkiego przestępstwa było błahostką. - Gliniarz broni nie wziął, więc wetknąłem ją za pasek. Tymczasowo, aż wszystko się uspokoi, ale potem żaden z gliniarzy o nią nie zapytał, nikt mnie nie przeszukał. Zorientowałem się, że nadal ją mam, kiedy wsiadłem do furgonetki.

Sam nie starała się szukać słabych punktów w tym nieprzekonującym wyjaśnieniu. Zamiast tego zapytała:

- Co zrobiłeś z bronią?

- Rozebrałem na części i powrzucałem do jeziora. Tam, gdzie najgłębiej.

I tym razem Sam nie przyparła go do muru.

- Czy patrząc na broń, można stwierdzić, że jest naładowana?

- Nie - odparł Mason. - To znaczy w pistolecie dziewięćmilimetrowym suwak się cofnie, ale można wysunąć zapadkę i...

- W rewolwerze po wystrzeleniu naboju w bębenu zostają łuski - przerwała mu Charlie.

- Tak - potwierdził Mason. - W cylindrze zostało sześć łusek, więc nie przeładowała broni.

- Czyli wiedziała, że w środku nie ma już naboju, kiedy trzy razy pociągnęła za spust - stwierdziła Charlie.

- Tego nie wiemy - upierał się Mason. - Kelly prawdopodobnie myślała...

- Wróćmy do sekwencji zdarzeń. - Sam wzięła pióro

i zaczęła pisać, jednocześnie mówiąc: - Jeden strzał, długa przerwa, trzy strzały jeden po drugim, krótka przerwa, kolejny strzał, znowu krótka przerwa i następny strzał. Zgadza się?

Mason potwierdził skinieniem głowy.

- Po postrzeleniu Lucy Alexander w szyję był jeszcze jeden strzał - powiedziała Sam.

- W podłogę - odparł Mason. - To znaczy tak zakładam. - Gdy Sam uniosła brew, Mason wyjaśnił: - Zobaczyłem ślad po kuli w podłodze. Gdzieś tutaj. - Wskazał miejsce po prawej stronie ekranu. - Z powodu kąta, pod jakim znajduje się kamera, nie będzie widać tego na nagraniu. To miejsce jest bliżej drzwi, mniej więcej tam, gdzie znajdowała się Kelly, gdy ją skuli.

- Jak wyglądała ta dziura? - zapytała Charlie.

- Na płytce był odprysk, ale brakowało nakrapiania, więc pewnie strzał padł z odległości około metra. Odprysk miał owalny kształt, jak łaża. To znaczy że strzelano z niskiej pozycji i pod kątem. - Kciukiem i palcem wskazującym zaimitował broń. - Może z biodra? Kelly jest niższa ode mnie, ale kąt strzału nie był tak duży. Trzeba by było to sprawdzić. Nie jestem ekspertem, ale miałem wykład o tym w trakcie służby.

- Nie chciała zabić Judith Pinkman, więc ostatni nabój wystrzeliła w ziemię - zasugerowała Sam.

- Może, ale znała Pinkmanów od dawna, co nie przeszkodziło jej zabić Douglasa.

- Znała ich? - powtórzyła Sam.

- Kelly podawała wodę graczom z drużyny futbolowej.

Wtedy zaczęły się plotki o niej i jednym z zawodników. Nie wiem, co się dokładnie stało, ale Kelly przez trzy tygodnie nie chodziła do szkoły, a chłopak wyjechał z miasta... – Mason nie dokończył, ale najwyraźniej nawiązywał do plotek, które znalazły odzwierciedlenie w obrzydliwych wpisach w książce pamiątkowej Kelly.

– Douglas Pinkman był trenerem drużyny, więc musiał znać Kelly Wilson jako wodziankę – stwierdziła Sam.

– Tak. Robiła to chyba przez dwa sezony z inną dziewczyną ze specjalnej grupy. Okręgowy wydział oświaty zarządził integrację uczniów wymagających szczególnej troski w ramach zajęć pozalekcyjnych. Orkiestry dęte, grupy cheerleaderek, koszykówka, futbol. To był dobry pomysł. Niektórym bardzo to pomogło. Kelly najwyraźniej nie, ale...

– Dziękuję. – Sam zajrzała do notatek. Powoli odwracała kartki, uzupełniając zapiski. Nie dała wyraźnie do zrozumienia, że skończyła rozmowę, ale sprawiała wrażenie, że znalazła ciekawsze zajęcie.

Mason zerknął na Charlie z nadzieją na wyjaśnienie.

Mogła tylko wzruszyć ramionami.

– O czym chciałeś z nami rozmawiać?

– Hm... – Zaczął obracać w dłoniach czapkę. – Czy mogę najpierw skorzystać z łazienki?

Irytowało ją, że tak przeciąga sprawę.

– Jest na końcu korytarza.

Skinął jej głową przed wyjściem, jakby znajdowali się w angielskim salonie.

Charlie zwróciła się do Sam, nadal pochłoniętej notatkami:

- Dlaczego z nim rozmawiasz? Musimy się go jak najszybciej pozbyć.

- Możesz spojrzeć na to i powiedzieć, co widzisz? - Sam wskazała prawą stronę ekranu. - Nie ufam swoim oczom. Czy ten cień nie wygląda dziwnie?

Charlie usłyszała, że Masona otwiera, a potem zamyka drzwi łazienki. Na szczęście nie zbłądził przypadkiem do gabinetu Rusty'ego.

- Proszę cię, pomóż mi się go pozbyć - powtórzyła.

- Dobrze, ale spójrz na nagranie.

Charlie stanęła przed wielkim ekranem i zaczęła analizować zatrzymany obraz. Ustawiona pod kątem kamera obejmowała tylko połowę korytarza. Słynna martwa strefa, o której mówił Mason. Palily się górne światła, ale z prawej strony pojawił się dziwny cień. Wąski, długi, prawie jak noga pająka.

- Zaraz - powiedziała Charlie tknięta nagłą myślą. - Skąd on wiedział, gdzie jest łazienka?

- Co?

- Poszedł prosto do niej i otworzył drzwi. - Charlie poczuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa. - Nikt nie trafia od razu do właściwych drzwi, Sam. Tam jest pięćdziesiąt drzwi, pięćdziesiąt bezsensownie rozmieszczonych drzwi. Wiesz o tym. Można się nieźle ubawić, zgadując gdzie co jest. - Serce podeszło Charlie do gardła. - Myślisz, że Mason znał tatę? Że już tu był? I to niejedynym razem, skoro wie bez pytania, gdzie jest łazienka? - Gdy Sam otworzyła usta i zaraz je zamknęła, Charlie dodała szybko: - Ty coś wiesz. Czy tata powiedział ci...

- Charlie, usiądź. W tej chwili nie wiem nic pewnego, ale próbuję złożyć to w całość.

Spokój Sam wzbudził w Charlie niepokój.

- Dlaczego mam usiąść? - zapytała.

- Bo wiesz nade mną jak wojskowy dron.

- Nie potrafisz wymyślić nic subtelniejszego? Choćby kolibra?

- W rzeczywistości kolibry są bezwzględne i brutalne.

Siostrzaną wymianę przerwał krzyk Bena:

- Chuck!

Serce omal nie wyskoczyło Charlie z piersi. Nigdy nie słyszała tak przeraźliwego krzyku swojego męża.

- Chuck! - powtórzył Ben.

Jego kroki zadudniły w korytarzu. Minął w pędzie salon i cofnął się jak oszalały.

- Nic ci nie jest? - zerknął przez ramię na korytarz. - Gdzie on jest?

- Ben, co się... - zaczęła Charlie.

- Gdzie on, kurwa, jest? - Ben wrzasnął tak głośno, że zatkała uszy rękami. - Mason! - Walnął pięścią w ścianę. - Mason Huckabee!

Drzwi łazienki otworzyły się ze skrzypnięciem.

- Ty skurwielu! - krzyknął Ben i ruszył korytarzem w stronę Masona.

Charlie pobiegła za nim. Zatrzymała się, kiedy Ben rzucił Masona na ziemię i zaczął okładać pięściami. Mason zasłaniał twarz rękami.

Charlie patrzyła z przerażeniem, jak jej mąż tłucze innego

mężczyznę. Musiała zareagować.

- Ben! - zawołała. - Ben, przestań!

Sam chwyciła ją w pasie i przytrzymała.

- Muszę... - zaczęła Charlie i urwała. Nie wiedziała, co robić. Mason mógł zabić Bena. Był wyszkolonym żołnierzem. - Sam, musimy...

- On nie oddaje ciosów - odparła Sam niczym narratorka w filmie dokumentalnym. - Spójrz na niego. Nie walczy.

Miała rację. Mason leżał na podłodze, zasłaniając twarz, podczas gdy ciosy Bena trafiały go w głowę, szyję, klatkę piersiową.

- Ty tchórze! Pokaż głowę! - krzyknął Ben.

Mason oderwał ręce od twarzy.

Ben wymierzył mu cios w szczękę. Charlie usłyszała chrupot łamanego zęba. Krew trysnęła z ust Masona. Leżał z rękami wzdłuż ciała i przyjmował ciosy.

Ben nie odpuszczał, walił pięścią bez opamiętania.

- Nie - szepnęła Charlie.

Krew bryzgnęła na ścianę.

Łuk skroniowy Masona pękł w zetknięciu z obrączką na placu Bena.

Wargę miał rozciętą.

Rozorany policzek.

I nadal leżał, nie broniąc się i nie osłaniając.

Ben uderzył go jeszcze raz.

I znowu.

- Przepraszam - bełkotał Mason. - Przepraszam.

- Ty pierdolony... - Ben zamachnął się i zdzielił go pięścią

prosto w szczękę.

Charlie patrzyła, jak skóra na policzku Masona marszczy się niczym woda za płynącą łodzią. Usłyszała donośny chrzęst jak przy odbiciu piłki kijem.

Mason zamrugał.

Krew poleciała mu z ust i nosa.

Nie poruszył się. Wbił spojrzenie w ścianę. Krew kapłała na listwę przypodłogową i spływała na drewnianą podłogę.

Ben przysiadł na piętach, dysząc ciężko.

- Przepraszam - powtórzył Mason. - Przepraszam.

- Pierdol się razem ze swoimi przeprosinami. - Ben splunął mu w twarz. Przechylił się i ramieniem uderzył w ścianę. Ręce mu opadły. Krew kapłała mu ze zdartych kłykci. Już nie krzyczał. Płakał. - Pozwoliłeś... - zaczął łamiącym się głosem.
- Pozwoliłeś mu zgwałcić moją żonę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Charlie zrobiło się ciemno przed oczami. Panika ścisnęła ją za gardło. Słyszała tylko krzyk we własnej głowie.

Ben wiedział.

- Ty mu powiedziałaś? - zwróciła się do Sam.

- Nie.

- Nie kłam, Samantho. Przyznaj się.

- Skupiasz się nie na tym, co trzeba.

Charlie była w stanie skupić się tylko na jednym. Jej mąż wiedział, co ją spotkało. Z tego powodu pobił człowieka niemal do nieprzytomności. Opluł go, powiedział...

„Pozwoliłeś mu zgwałcić moją żonę”.

Pozwoliłeś mu.

Nagle poczuła, że brak jej powietrza. Błyskawicznie zasłoniła dłonią usta, gdy zawartość żołądka podeszła jej do gardła.

- To był on, nie Daniel - powiedział Ben.

- W lesie? - wykrztusiła Charlie. Zobaczyła odrażającą twarz Zachariaha Culpeppera. Uderzyła go tak mocno, że jego głowa odskoczyła, a krew poleciała z ust. A potem Daniel Culpepper przygwoździł go do ziemi i obił pięściami tak, jak przed chwilą zrobił to Ben z Masonem Huckabee.

Tyle że to nie Daniel Culpepper był wtedy w lesie.

- Rzuciłeś się na Zachariaha - powiedziała Charlie. Musiała przełknąć ślinę, zanim dodała: - Spóźniłeś się.

- Wiem. - Mason przewrócił się na plecy i zasłonił oczy

dłonią. – W domu, w lesie, wszędzie się spóźniałem.

Pod Charlie ugięły się kolana. Oparła się ramieniem o ścianę.

– Dlaczego?

Mason poruszył głową w jedną i drugą stronę. Ciężko oddychał, pęcherzyki krwi wydostały mu się z nosa.

– Powiedz im – ponaglił go Ben, ściskając pięści.

Mason wytarł nos wierzchem dłoni. Spojrzał na Bena, potem na Sam i na Charlie.

– Wynająłem Zacha, żeby mi pomógł rozprawić się z Rustym – powiedział w końcu. – Dałem mu wszystko, co zaoszczędziłem na college. Wiedziałem, że wisi Rusty’emu pieniądze, ale... – Głos mu się załamał. – Miałyście być na treningu. Chcieliśmy porwać Rusty’ego, wywieźć go na drogę dojazdową i tam się go pozbyć. Zachariah uwolniłby się od długów i dostał jeszcze trzy tysiące. A ja zemściłbym się... – Znowu spojrział na Sam, potem na Charlie. – Próbowałem go powstrzymać, kiedy się okazało, że waszego taty nie ma, ale on...

– Nie musisz nam przypominać, co zrobił. – Sam powiedziała te słowa ledwie dosłyszalnym głosem.

Mason ukrył twarz w dłoniach. Płakał.

Charlie słuchała jego szlochu i miała ochotę zgruchotać mu pięścią gardło.

– Chciałem wziąć na siebie winę za waszą mamę – ciągnął Mason. – Mówiłem to w lesie co najmniej pięć razy. Słyszałyście to. Nie chciałem, żeby tak się stało. – Głos znowu mu się załamał. – Kiedy zastrzelił waszą mamę, byłem jak

ogłuszony. Nie mogłem w to uwierzyć. Słabo mi się zrobiło, trząsałem się jak galareta. Chciałem coś zrobić, ale bałem się Zacha. Znacie go. My wszyscy się go baliśmy.

Charlie czuła furję narastającą w każdym zakamarku jej ciała.

- Nie mów „my”, ty żałosna gnido. W kuchni nie było „nas” prócz mnie i Sam. To nas zmusiliście do wyjścia z domu. To nas zaciągnęliście do lasu, trzymając na muszce. To nam śmierć zajrzała w oczy. Ty strzeliłeś mojej siostrze w głowę. Ty pogrzebałeś ją żywcem. Ty pozwoliłeś temu potworowi gonić mnie po lesie, zgwałcić, pobić, odebrać mi wszystko. Wszystko. To byłeś ty, Masonie. Wszystko przez ciebie.

- Próbowałem...

- Stul pysk. - Charlie zacisnęła pięści i stanęła nad nim. - Możesz sobie wmawiać, że próbowałeś go powstrzymać, ale nie zrobiłeś tego. Dopuszciliście do tego. Pomogłeś w tym. Ty pociągnąłeś za spust. - Urwała, usiłując złapać oddech. - Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? Za co aż tak nas nienawidziłeś?

- Jego siostra - powiedziała Sam. W jej głosie był grobowy spokój. - O to mu chodziło, kiedy mówił o zemście. Mason i Zachariah pojawili się tego samego dnia, kiedy Kevin Mitchell wywinął się z oskarżenia o gwałt. Zakładaliśmy, że chodzi o długi Culpepperów wobec taty, a tak naprawdę poszło o to, że Mason Huckabee był wystarczająco wściekły, by zabić, ale zbyt tchórzliwy, żeby zrobić to własnymi rękami.

Charlie czuła, że język jej kołowacieje. Znowu musiała oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść.

- To ja znalazłem siostrę - powiedział Mason. - Wisiała w stodole. Miała szyję... - Potrząsnął głową. - Dręczyła się tym, co jej zrobił ten drań. Nie była w stanie podnieść się z łóżka, cały czas płakała. Nie wiecie, jak to jest czuć się bezradnym i bezużytecznym w obliczu takiego cierpienia. Chciałem kogoś ukarać. Ktoś musiał ponieść za to karę.

- I przyszedłeś po mojego ojca? - Charlie poczuła znajome drżenie w dłoniach, które powędrowało w górę ramion i umiejscowiło się w klatce piersiowej. - Przyjechałeś zabić mojego ojca i...

- Tak mi przykro. Bardzo przykro. - Mason znowu się rozplakał.

Charlie miała ochotę go skopać.

- Nie płacz! Strzeliłeś mojej siostrze w głowę.

- To był wypadek.

- To nie ma znaczenia! - wrzasnęła Charlie. - Strzeliłeś! Pogrzebałeś ją żywcem!

Sam uniosła rękę. Uniemożliwiła jej dostęp do Masona i rzuciła się na niego jak Ben.

Ben.

Charlie poszukała go wzrokiem. Siedział na podłodze oparty plecami o ścianę. Zakrwawione okulary leżały mu krzywo na nosie. Raz po raz zginał dłonie, otwierając rany, z których sączyła się krew.

- Dlaczego Rusty wypisywał czeku dla syna Zachariaha Culpeppera? - zapytała Sam.

Charlie oniemiała ze zdumienia. Nie była w stanie nawet sformułować pytania.

- Numery czeków - wyjaśniła Sam. - Dwanaście czeków w każdym roku przez dwadzieścia osiem lat i cztery miesiące daje razem trzysta czterdzieści czeków.

- Taki był numer na ostatnim czeku - przypomniała Charlie.

- Zgadza się - potwierdziła Sam. - Jest jeszcze saldo. - Spojrzała na Masona. - Zaczęło się od miliona, tak?

Z ociąganiem kiwnął głową.

- Jeśli od wyjściowej kwoty miliona dolarów odjąć dwa tysiące miesięcznie przez dwadzieścia osiem lat z okładem, to zostaje ci około trzystu dwudziestu tysięcy - stwierdziła Sam.

- Wszystko stało się jasne, kiedy powiedziałeś, że twoi rodzice mieli pieniądze. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku nikt inny w Pikeville nie miał takiego majątku i takich kontaktów. Kupili twoją wolność za milion dolarów. Wtedy to było mnóstwo pieniędzy. Więcej niż Culpepper ujrzałby w swoim skróconym wyroku życia. Przehandlował swojego brata za swojego nienarodzonego syna.

Mason spojrzał na nią. Ponownie skinął głową.

- Czy mój ojciec był częścią tego planu? Czy pośredniczył w umowie między tobą a Culpepperem?

- Nie.

- Więc co? - Sam nie odpuszczała.

Mason przewrócił się na bok. Dźwignął się i usiadł plecami do drzwi. Taśma maskująca, którą Rusty zakleił pęknięte okno, wyglądała nad jego głową jak błyskawica.

- Nic o tym nie wiedziałem.

Ben rzucił Masonowi miazdzące spojrzenie.

- Zgnijesz w piekle za wciągnięcie Rusty'ego w swoje bagno.

- To nie był Rusty. Nie na początku. - Mason dotknął szczęki i skrzywił się z bólu. - Moi rodzice to załatwili. Tamtej nocy wracałem do domu piechotą, szedłem prawie dziesięć kilometrów. Zach zabrał moje buty i dżinsy, ponieważ była na nich jego krew. Do domu wróciłem półnagi i pokryty krwią. Wyznałem im prawdę. Chciałem iść na policję, ale mi nie pozwolili. Dowiedziałem się później, że wysłali do Zacha jakiegoś prawnika.

- Rusty'ego - podsunął Ben.

- Nie, kogoś z Atlanty. Nie wiem kogo. - Mason poruszył szczęką, aż przeskoczyła mu żuchwa. - Wszystko się działo poza mną. Nie miałem wyjścia.

- Miałeś siedemnaście lat - powiedziała Sam. - Na pewno dysponowałeś autem. Mogłeś sam pojechać na policję albo poczekać, aż staniesz się pełnoletni.

- Chciałem, ale zamknęli mnie w pokoju, a potem przyjechało czterech facetów i zawieźli mnie na północ do akademii wojskowej. Wstąpiłem do piechoty morskiej, kiedy tylko osiągnąłem odpowiedni wiek. - Wytarł krew spływającą do oka. - Byłem w Afganistanie, Iraku, Somalii. Angażowałem się w wolontariat. Chciałem oddać swoje życie innym ludziom, którzy mojej pomocy potrzebowali. Tak chciałem odkupić winę.

Charlie przygryzła wargi tak mocno, że uszkodziła skórę. Nie mógł odkupić swoich win bez względu na to, ile krajów oznaczy szpilkami na swojej mapie świata.

- Poświęciłem na to dwadzieścia lat, wróciłem do domu i zacząłem pracować w szkole. Uznałem, że powinienem dać

coś od siebie temu miastu, tutejszym ludziom.

- Ty draniu. - Ben wstał. Ruszył korytarzem, ciągle zaciskając pięści. Charlie bała się, że wyjdzie tylnymi drzwiami, ale zatrzymał się przy iPhone Masona i rozgniół go obcasem na drobne kawałki.

Kiedy podniósł nogę, z podeszwy spadły okruchy wyświetlacza.

- Daniel Culpepper został zamordowany przez ciebie - rzucił oskarżycielsko.

- Wiem - odparł Mason.

Mylił się. To Charlie napuściła Kena Coina na Daniela.

- Nazwał cię bratem - powiedziała.

- Do wielu ludzi zwracał się per bracie. Faceci tak czasem robią.

- To nie ma znaczenia - odezwał się Ben. - Po pierwsze żaden z nich nie powinien tu być. Wszystko, co stało się później, to wyłącznie ich wina.

- To prawda. Jestem za to odpowiedzialny. Za wszystko - powiedział Mason.

- Jak twoje ubranie i twoja broń znalazły się w przyczepie Daniela? - zapytała Sam.

Mason pokręcił głową, ale odpowiedź nasuwała się sama. Dowody podrzucił Ken Coin. Wrobił niewinnego, a winowajcę puścił wolno.

- Mama powiedziała mi o tej umowie po śmierci taty. Stacjonowałem wtedy w Turcji. Przyleciałem do domu na pogrzeb. Bała się, że coś się stanie i Zach nie dotrzyma swojej części umowy.

- Dla jasności, umowa polegała na tym, że Zach będzie milczał o niewinności swojego brata i twojej winie w zamian za dwa tysiące dolarów co miesiąc od twoich rodziców dla jego syna Danny'ego Culpeppera, czy tak? - zapytała Sam.

Mason skinął głową.

- Nie wiedziałem o tym, póki matka mi nie powiedziała. Zrobiła to po ośmiu latach. Culpepper nadal siedział w celi śmierci. Termin jego egzekucji ciągle odkładano.

Charlie zacisnęła zęby. Osiem lat po zabójstwie. Osiem lat, odkąd Sam wydostała się z własnego grobu. Osiem lat, odkąd ona została rozerwana na strzępy.

Sam zaczęła wtedy studia magisterskie na Northwestern. Charlie ubiegała się o miejsce na studiach prawniczych, mając nadzieję na nowy początek.

- Jak mój ojciec został w to wplątany? - zapytała Sam.

- Przyjechałem do niego, żeby wyznać prawdę. Tutaj, w tym domu. W kuchni. Nie wiem dlaczego, ale łatwiej było mi usiąść przy tym stole i zrzucić z siebie ten ciężar. W miejscu zbrodni. Wyrzuciłem z siebie wszystko, całą prawdę. Jak byłem zdruzgotany losem Mary-Lynne, jak zapłaciłem Zachowi, żeby pomógł mi się zemścić. W młodości wszystko wydaje się prostsze. Człowiek nie rozumie, jak działa świat. Że są konsekwencje, których nie sposób przewidzieć. Że złe wybory, złe uczynki mogą cię zniszczyć. - Kiwał głową, jakby zgadzał się sam ze sobą. - Chciałem wyjaśnić Rusty'emu, co się stało, dlaczego do tego doszło. Jak mężczyzna z mężczyzną.

- Nie jesteś mężczyzną - wypaliła Charlie. Zemdlilo ją na myśl o Masonie i Rustym siedzących w kuchni, w której

zginęła Gamma. I o tym, że to miejsce przyniosło Masonowi rozgrzeszenie zamiast cierpienia. - Jesteś winny usiłowania zabójstwa. Jesteś współnikiem gwałtu. Wspólnikiem zabójstwa mojej matki. Urowadzenia. Włamania i wtargnięcia do cudzego domu. - Nie była w stanie myśleć o wszystkich dziewczynach, które miał; imprezach, na których się bawił; urodzinach, obchodach Nowego Roku, podczas gdy Sam codziennie rano otwierała oczy, modląc się w duchu, żeby móc znowu chodzić. - Służba w piechocie morskiej nie czyni z ciebie dobrego człowieka. Jesteś tchórzem, bo uciekłeś przed odpowiedzialnością. - Mówiła tak głośno, że słyszała echo własnych słów na korytarzu.

- Rusty zmusił go do spisania tego zeznania - oznajmił Ben. Popatrzył na Sam, nie na Charlie. - Znalazłem je w sejfie.

Charlie uniosła głowę do sufitu. Nie wstrzymywała łez. Nie mogła sobie wybaczyć, że Ben nie dowiedział się o tym od niej.

- Chciałem podpisać to zeznanie - sprostował Mason. - Chciałem iść naprzód. Miałem dość tych kłamstw i wyrzutów sumienia.

Sam trzymała się ramienia Charlie, jakby chciała i siebie, i ją osadzić w miejscu.

- Dlaczego tata cię nie wydał? - zapytała.

- Nie chciał kolejnego procesu. Żyłyście swoim życiem, poradziłyście sobie z przeszłością.

- Poradziłyśmy sobie - wymamrotała Charlie.

- Rusty nie chciał tego znowu odgrzebywać - ciągnął Mason.

- Nie chciał, żebyście wróciły do domu, żeby Charlie zeznawała. Nie chciał, żeby musiała...

- ...kłamać - dopowiedziała Sam.

Pudełko, zamknięte dawno temu i odłożone na najwyższą półkę w garderobie, miało tam pozostać. Rusty nie chciał stawiać Charlie przed wyborem: krzywoprzysięstwo albo otwarcie pudełka i pokazanie światu jego zawartości.

Wredne dziewczuchy z rodziny Culpepperów.

Horror, jaki jej zafundowały - i fundowały nadal. Jak by zareagowały, gdyby wyszedł na jaw dowód, że Daniel naprawdę był niewinny?

One miały rację.

Charlie wskazała palcem niewłaściwego człowieka.

- Dlaczego mój ojciec wypisywał czek? - zapytała Sam.

- To był jeden z warunków Rusty'ego. W ten sposób chciał dać do zrozumienia Zachowi, że wie. Że jest ktoś, kto może zerwać umowę, odciąć Danny'emu dopływ pieniędzy, gdyby Zach nie trzymał języka za zębami.

- To uczyniło z niego łatwy cel - stwierdziła Charlie. - Culpepper mógł zlecić jego zabicie.

- Nie, jeśli chciał stałego dopływu czeków dla syna - odparł Mason.

- Myślisz, że naprawdę kocha syna? - zapytała Sam. - Culpepper nękał tatę. Wiedziałaś o tym? Co miesiąc wysyłał Rusty'emu list o treści „Jesteś mi coś winien”. Wypominał mu to. Przypominał, że w każdej chwili może zniszczyć nasze życie, odebrać nam spokój, poczucie bezpieczeństwa.

Mason milczał.

- Wiesz, ile to kosztowało naszego ojca? - powiedziała Sam.

- Okłamywanie nas. Ukrywanie prawdy. Oszustwo nie leżało

w jego naturze. Niósł swoje brzemie. Przeżył śmierć żony, starsza córka omal nie umarła, młodsza została... - Sam nie chciała kończyć tego zdania. - Miał słabe serce. Wiedziałeś o tym? Wiesz, jak bardzo twoje kłamstwa, twoja wina, twoje tchórzostwo wpłynęły na stan jego zdrowia? Może dlatego tyle pił, że chciał zagłuszyć myśli o swoim współudziale, w który ty go wciągnęłaś. Musiał z tym żyć codziennie, co miesiąc, kiedy wypisywał czek, kiedy do mnie dzwonił... - Zdjęła okulary, przycisnęła palce do powiek. - Chronił nas przez te lata z twojego powodu.

Mason pochylił się i schował głowę między kolana. Charlie nie obchodziło, czy znowu płakał.

- Po co tu przyjechałaś? - zapytał Ben. - Myślałaś, że odwiedzisz je od wydania cię?

- Przyjechałem się przyznać. Powiedzieć, jak bardzo mi przykro. Że od tamtej chwili codziennie próbowałem odpokutować swoją winę. Dostałem odznaczenia. - Podniósł wzrok na Sam. - Medale za udział w walce, Purpurowe Serce i...

- Nic mnie to nie obchodzi. Miałeś dwadzieścia osiem lat na przyznanie się do winy. Mogłeś wejść do pierwszego z brzegu komisariatu, złożyć zeznanie i odbyć karę, ale bałeś się, że skończysz w więzieniu albo w celi śmierci jak Zachariah Culpepper.

Mason nie polemizował z jej argumentami. Prawda była oczywista.

- Wiedziałeś, że nigdy nie powiedziałyśmy nikomu o tym, co naprawdę wydarzyło się w lesie - odezwała się Charlie. -

W ten sposób przeciągnąłeś naszego ojca na swoją stronę, tak? Zaszantażowałeś go. Mój sekret za twój.

Mason otarł krew z ust. Milczał.

- Siedziałeś w kuchni, w której została zamordowana moja matka - ciągnęła Charlie - i powiedziałeś mojemu ojcu, że użyjesz pieniędzy swojej rodziny, by uniknąć skazania za morderstwo bez względu na to, kogo to zrani i co wypłynie podczas procesu. Sam musiałaby tu przyjechać. Ja musiałabym zeznawać. Wiedziałeś, że tata na to nie pozwoli.

- Co teraz zrobicie? - zapytał Mason.

- Powiem ci, co ty zrobisz - odparła Sam. - Masz dwadzieścia minut, żeby pojechać na komisariat, bez obecności adwokata przyznać się, że okłamałeś policję i wyniosłeś broń Kelly Wilson z miejsca podwójnego zabójstwa. W przeciwnym razie przekażę szefowi policji twoje spisane przyznanie się do usiłowania zabójstwa i znowę w celu popełnienia zabójstwa. To miasto nie zapomina, Mason. Twoje tłumaczenie, że tylko tam stałeś, że to był wypadek, nie zmienia faktu, że to zabójstwo. Jeśli nie zrobisz tego, co mówię, skończysz w celi obok Zachariaha Culpeppera, gdzie powinieneś siedzieć od dwudziestu ośmiu lat.

Mason wytarł ręce w spodnie. Wyciągnął rękę po rozbitą telefon.

Ben kopniakiem posłał go na drugi koniec korytarza i otworzył tylne drzwi.

- Wynoś się.

Mason wstał, odwrócił się i bez słowa wyszedł z domu.

Ben zamknął za nim drzwi z takim hukiem, że w szybce

pojawiło się kolejne pęknięcie.

Sam włożyła okulary.

- Gdzie jest zeznanie? - zapytała.

- Na sejfie obok listów.

Sam poszła do salonu.

Charlie zawahała się. Nie wiedziała, czy iść za siostrą, czy zostać. Co miałyby powiedzieć Sam, żeby i sobie, i jej przynieść pocieszenie? Człowiek, który postrzelił Sam w głowę i pogrzebał ją żywcem, właśnie wyszedł tylnymi drzwiami, zobligowany do przyznania się do winy jedynie groźbą.

Ben przekreślił zatrząsk w zasuwie.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Charlie.

Zdjął okulary, wytarł krew ze szkieł.

- Nigdy przedtem nie biłem się na serio. Nikogo nie uderzyłem.

- Przykro mi. Przykro mi, że tak się zdenerwowałeś. Przykro mi, że kłamałam. Przykro mi, że zamiast dowiedzieć się ode mnie, musiałeś o tym przeczytać.

- W zeznaniu Masona nie ma ani słowa o tym, co zrobił ci Zachariah. - Ben włożył na nos okulary. - Wiem to od Rusty'ego.

Charlie zaniemówiła. Rusty nigdy nie złamał tajemnicy.

- W zeszły weekend - wyjaśnił Ben. - Nie powiedział o Masonie, ale o wszystkim innym tak. Stwierdził, że najcięższym grzechem, jaki popełnił w życiu wobec innych, było zmuszenie cię do zachowania tajemnicy.

Charlie przeszedł nagły dreszcz. Zaczęła nerwowo pocierać

ramiona, ale chłód pozostał.

- Przykro mi z powodu tego, co cię spotkało, ale nie dbam o to.

Obojętność Bena wywołała ukłucie w sercu Charlie.

- Źle się wyraziłem - zreflektował się Ben. - Przykro mi, że tak się stało, ale to nie ma znaczenia. Nie obchodzi mnie, że kłamałaś. To nieistotne, Chuck.

- To stąd... - Charlie spojrzała na podłogę. Mason Huckabee zostawił po sobie ślady krwi. Pasowały do kontekstu rozmowy.

- Stąd co? - Ben stanął przed nią i ujął ją pod brodę. - Wyduś to z siebie, Chuck. To, że trzymasz to w sobie, zabija ciebie.

Już wiedział. Wiedział wszystko. A ona nadal chciała dać wyraz swoim porażkom.

- Moje poronienia... są rezultatem tego, co mnie spotkało.

Ben położył jej ręce na ramionach. Odczekał, aż spojrzy mu w oczy.

- Kiedy miałem dziewięć lat, Terri kopnęła mnie w jajka. Przez tydzień sikałem krwią.

Charlie chciała coś powiedzieć, ale potrząsnął głową.

- Kiedy miałem piętnaście lat - ciągnął - dostałem w krocze piłką. Kumpel mi to zrobił. Myślałem, że jądra weszły mi w tyłek.

Położył palec na ustach, żeby mu nie przerwała.

- Noszę komórkę w przedniej kieszeni. Wiem, że nie powinienem, bo to obniża jakość nasienia, ale i tak to robię. Nie mogę nosić bokserek. Wiesz, że nienawidzę, kiedy się tak marszczą. Onanizowałem się na potęgę. Teraz tylko trochę,

ale jako nastolatek byłem w ciągłej gotowości. W szkole byłem jedynym członkiem klubu fanów *Star Treka*, zbierałem komiksy i grałem w orkiestrze na trójkącie. Żadna dziewczyna nie chciała na mnie spojrzeć. Nawet taka z trądzikiem. Waliłem konia tak często, że mama zabrała mnie do lekarza. Bała się, że dostanę odcisków.

- Ben...

- Posłuchaj mnie, Chuck. Na studniówkę włożyłem czerwoną bluzę ze *Star Treka*. To nie był motyw przewodni. Byłem jedynym chłopakiem bez fraka. Uważałem, że to takie przymrużenie oka z mojej strony.

Na twarzy Charlie w końcu pojawił się uśmiech.

- Wychodzi na to, że nie jest mi dane się rozmnożyć. Nie mam pojęcia, jakim cudem związałem się z tak seksowną kobietą jak ty, czy dlaczego nie mogliśmy... - Nie dokończył. - Taką kartę wyciągnęliśmy, skarbie. Nie wiemy, czy przyczyną jest to, co zdarzyło się tobie, czy mnie, czy to po prostu selekcja naturalna, ale tak jest i mówię ci, że to nie ma znaczenia.

Charlie odchrząknęła.

- Kaylee mogłaby dać ci dzieci.

- Kaylee zafundowała mi rzeźączkę.

Teoretycznie Charlie powinna poczuć się dotknięta, ale pierwszą jej reakcją była troska. Ben miał alergię na penicylinę.

- Byłeś w szpitalu?

- Przez dziesięć dni jeździłem do Ducktown, żeby nikt stąd się nie dowiedział.

Ta informacja dotknęła Charlie.

- Czyli to świeża sprawa.

- Ostatni raz był prawie dwa miesiące temu. Myślałem, że to tylko problem z oddawaniem moczu.

- I nie pomyślałeś, że trzeba z tym iść do lekarza?

- W końcu to zrobiłem. To dlatego nie... Przedwczoraj. Byłem już czysty, ale uznałem, że będzie nie fair, jeśli ci nie powiem. Chciałem sprawdzić, jak się czujesz, bo się martwiłem. Nie chodziło o akta. Nie było żadnej ugody.

Charlie nie przejęła się tym kłamstwem.

- Jak długo to trwało? - zapytała.

- W ogóle nie trwało. Wszystkiego raptem cztery razy. Za pierwszym było zabawnie, potem zrobiło się smutno. Kaylee jest taka młoda. Uważa, że Kate Mulgrew zaczęła karierę w *Orange Is the New Black*.

- Ojej - rzuciła Charlie, siląc się na dowcip. Inaczej musiałyby się rozplakać. - Jakim cudem skończyła studia prawnicze?

Ben też usiłował zażartować.

- Miałaś rację co do bycia na górze. To mnóstwo wysiłku.

Charlie poczuła mdłości.

- Podziękuj mi na wyobraźnię. Dzięki.

- Spróbuj unikać kichania.

Charlie przygryzła wewnątrz policzka. Nigdy nie powinna podawać mu szczegółów. Żałowała, że to słyszała.

- Idę pomóc Sam w pakowaniu rzeczy.

Charlie skinęła głową, chociaż nie chciała, żeby odszedł, choćby nawet na drugi koniec korytarza.

Pocałował ją w czoło. Wtuliła się w niego, czując jego pot i woń fatalnego proszku, którego użył do prania koszul.

- Będę w biurze Rusty'ego.

Patrzyła za nim, kiedy swoim śmiesznym krokiem oddalał się korytarzem.

Nie wyszedł z domu.

To coś znaczyło.

Nie dołączyła do Sam od razu, tylko zajrzała do kuchni. Otwarte drzwi wisiały krzywo na zawiasach. Czuła lekki powiew wiatru wpadającego do środka. Próbowwała odtworzyć w pamięci chwilę otwarcia drzwi, kiedy spodziewała się ujrzeć za nimi Rusty'ego, a zamiast niego zobaczyła dwóch mężczyzn, jednego na czarno, drugiego w koszulce z podobizną Bon Joviego.

Jeden ze strzelbą.

Drugi z rewolwerem.

Zachariah Culpepper.

Mason Huckabee.

Mężczyzna, który nie zdążył powstrzymać jej gwałciciela, był tym samym, z którym uprawiała szalony seks na parkingu przed barem U Trefnego Raya.

Tym samym, który strzelił jej siostrze w głowę.

Który pochował ją w płytkim grobie.

Który pobił Zachariah Culpeppera, ale dopiero po tym, kiedy ten rozerwał ją na tysiące kawałków.

- Charlie? - zawołała Sam.

Kiedy stanęła w progu salonu, Sam siedziała na krześle o prostym oparciu. Nie rzucała przedmiotami, nie gotowała

się powoli, szykując się do wybuchu. W skupieniu studiowała własne zapiski.

- Co za dzień - rzuciła na widok siostry.

Charlie skwitowała śmiechem oględność tego stwierdzenia.

- Jak na to wpadłaś tak szybko?

- Jestem twoją starszą siostrą. Bystrzejszą od ciebie.

Charlie nie mogła przedstawić niezbitego argumentu na poparcie twierdzenia przeciwnego.

- Myślisz, że Mason zgłosi się na policję, jak mu kazałaś?

- Czy wyglądałam, jakbym nie miała zamiaru spełnić swojej groźby?

- Wyglądałaś, jakbyś była gotowa go zabić, gdyby tylko ktoś dał ci nóż do ręki. - Charlie skrzywiła się na tę myśl, ale tylko dlatego, że nie chciała, by Sam miała prawdziwą krew na rękach. - Okłamał nie tylko GBI. Okłamał agentkę FBI.

- Aresztujący go policjant na pewno ochoczo mu wyjaśni różnicę między wykroczeniem a ciężkim przestępstwem.

Charlie uśmiechnęła się na wieloznaczność tego stwierdzenia, które mogło oznaczać długie lata w więzieniu federalnym albo nadzór sądowy z weekendami w więzieniu okręgowym.

- Skąd w tobie ten nagły spokój? - zapytała.

- Szok? Ulga? - zastanowiła się Sam. - Zawsze czułam, że Danielowi coś się upiekło, że za mało cierpiał. To dziwne, ale czuję swoistą satysfakcję, że Masona dręczyło sumienie i że pójdzie siedzieć na co najmniej pięć lat. Albo na dłużej, jeśli prokuratorzy nie chcą, żebym zatrzymała im życie.

- Sądzisz, że Ken Coin zrobi, co należy?

- Sądzę, że ten człowiek nigdy w swoim życiu nie zrobił tego, co należy. -Uśmiechnęła się pod nosem. - Może jest sposób, żeby strącić go z piedestału.

Charlie nie zapytała o szczegóły. Tacy ludzie jak Coin zawsze umieli wrócić na szczyt.

-To ja wskazałam Daniela. To ja zeznałam, że Zachariah nazwał tego drugiego bratem.

- Nie wiń się za to, Charlie. Miałaś trzynaście lat. Ben ma rację. To by się nigdy nie zdarzyło, gdyby Mason i Zachariah tutaj nie przyjechali - powiedziała Sam, po czym dodała: - To Ken Coin wrobił Daniela i odpowiada za jego śmierć. Nie zapominaj.

- Masz rację. Zachariah mógł wskazać Masona bez szczególnej zachęty. Chciałabym przejąć się Danielem, nawet Masonem, ale nie mogę. Czuję, że to wszystko już za mną. Czy to dziwne?

- Tak. Nie. Nie wiem. - Charlie usiadła na kanapie na miejscu Rusty'ego. Usiłowała przeanalizować swoje emocje, ustalić, co tak naprawdę czuje po słowach Masona. Uświadomiła sobie, że kamień spadł jej z serca. Spodziewała się, że po wyjawieniu Sam prawdy uwolni się od ciężaru, ale tak się nie stało.

Do teraz.

- Co z tatą? - zapytała. - Ukrył to przed nami.

- Próbował nas chronić. Jak zawsze.

Charlie uniosła brwi, zdziwiona nagłym przejściem siostry na stronę Rusty'ego.

- W przebaczeniu jest wartość - stwierdziła sentencjonalnie

Sam.

Charlie nie była tego pewna. Klapnęła na kanapę. Spojrzała w sufit.

- Jestem zmęczona jak więzień podczas zeznań. Zасыpiam. Nie do wiary, ile razy byłam świadkiem, jak w trakcie przesłuchania ludzie zaczęli pochrapywać.

- To ulga - powiedziała Sam. - Czy to źle, że nie mam poczucia winy wobec Daniela, który okazał się taką samą ofiarą jak my?

- Podzielam to uczucie, nawet jeśli jest złe - przyznała Charlie. - Wiem, że Daniel nie zasłużył na taką śmierć. Mogę sobie powtarzać, że jako Culpepper prędzej czy później skończyłby za kratkami albo w grobie, ale powinien mieć luksus dokonywania własnych wyborów.

- Jak widać, tata się z tym uporał - powiedziała Sam. - Większość życia poświęcił na oczyszczanie winowajców z zarzutów, ale nigdy nie oczyścił imienia Daniela.

- Nic nie jest bardziej zwodnicze niż pozór pokory.

- Szekspir?

- Pan Darcy do pana Bingleya.

- Akurat on.

- Jeśli nie przemawiała przez niego duma, to było jego uprzedzenie.

Sam zaśmiała się, ale zaraz spoważniała.

- Cieszę się, że tata nie powiedział nam o Masonie. Teraz sobie z tym poradzę, ale wtedy? - Zamyśliła się na chwilę. - Wiem, że to brzmi strasznie, ponieważ ta decyzja z pewnością bardzo tacie ciążyła, ale kiedy myślę, w jakim stanie byłam

osiem lat po postrzale, to konieczność przyjazdu tutaj i zeznawania zabiłaby mnie. Czy ta hiperbola do ciebie przemawia?

- Jest precyzyjna i trafna, o ile rozszerzysz ją na mnie. - Charlie wiedziała, że proces przyspieszyłby jej upadek. Nie poszłaby na studia prawnicze. Nie poznałaby Bena. Nie siedziałaby tu z Sam i nie rozmawiała z nią. - Dlaczego czuję, że teraz łatwiej mi będzie to znieść? Co się zmieniło?

- To skomplikowane pytanie z równie skomplikowaną odpowiedzią.

Charlie skwitowała te słowa śmiechem. To była spuścizna Rusty'ego. Przez resztę życia będą mogły cytować nieżyjącego ojca cytującego nieżyjących ludzi.

- Tata musiał wiedzieć, że znajdziemy to zeznanie w sejfie - skonstatowała Sam.

Charlie widziała w tym jedną z gier Rusty'ego o wysoką stawkę.

- Założę się, że myślał, że dożyje dnia egzekucji Zachariaha Culpeppera.

- Założę się, że myślał, że sam znajdzie wyjście z tej sytuacji.

Charlie uznała, że być może obie mają rację. Rusty wymykał się wszelkim kryteriom.

- W dzieciństwie uważałam, że tata pomaga ludziom kierowany poczuciem sprawiedliwości. Potem dorosłam i wydawało mi się, że po prostu lubi myśleć o sobie jak o dzielnym bohaterze walczącym w imię dobra.

- A teraz?

- Teraz widzę to tak: tata wiedział, że źli ludzie robią złe rzeczy, ale mimo to wierzył, że zasługują na drugą szansę.

- To bardzo romantyczna wizja świata.

- Mówiłam o tacie, nie o sobie. - Charlie poczuła smutek, że mówią o Rustym w czasie przeszłym. - Zawsze szukał swojego jednorozca.

- Cieszę się, że poruszyłeś ten temat - powiedziała Sam. - Myślę, że znalazł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Charlie stała z nosem kilkanaście centymetrów od ekranu telewizora. Tak długo wpatrywała się w prawy róg zatrzymanego nagrania ze szkolnego monitoringu, że oczy zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Zamrugła i znów spojrzała na całość obrazu. Długi pusty korytarz. Jaskrawoniebieskie szafki, które w starej kamerze wydawały się granatowe. Obiekt był skierowany nieco w dół i obejmował zasięgiem mniej więcej połowę korytarza. Spojrzenie Charlie powędrowało z powrotem do prawego rogu. Były tam drzwi, prawdopodobnie zamknięte, wychodziły milimetr poza ramę obrazu, ale nie ulegało wątpliwości, że są. Światło wpadające przez okno oświetlało jakiś obiekt, którego cień padał na korytarz.

- To cień Kelly? - Wskazała punkt poza telewizorem, jakby stały na szkolnym korytarzu, a nie w salonie Rusty'ego. - Powinna raczej stać tutaj, prawda?

Sam zachowała swoją opinię dla siebie. Odwróciła lekko głowę, by zdrowym okiem objąć całość obrazu.

- Co widzisz?

- To. - Charlie wskazała cień. - Rozmazana, niewyraźna linia. Jak noga pająka.

- Jest w tym coś dziwnego. - Sam zmrużyła oczy. Musiała widzieć coś, czego nie dostrzegła Charlie. - Nie sądzisz, że to dziwne?

- Spróbuję powiększyć. - Charlie podeszła do laptopa Bena,

ale przypomniała sobie, że nie ma pojęcia, jak to zrobić. Wcisnęła przypadkowe klawisze. Musiał być jakiś sposób na powiększenie obrazu.

- Poprośmy Bena o pomoc - zaproponowała Sam.

- Nie chcę, żeby nam pomagał. - Charlie pochyliła się, żeby przestudiować ikonki menu. - To nie może być skomplikowane...

- Ben! - krzyknęła Sam.

- Nie musisz jechać na samolot?

- Beze mnie nie poleci. - Sam obramowała dłońmi część obrazu w prawym górnym rogu. - Coś tu nie pasuje. Kąt się nie zgadza.

- Jaki kąt? - zapytał Ben.

- Ten. - Charlie wskazała cień. - Dla mnie to wygląda jak noga pająka, ale pani Sherlock Holmes widzi psa Baskerville'ów.

- Prędzej studium w szkarłacie - odparowała Sam, ale nadal nie wyjaśniła, o co jej chodzi. - Ben, czy możesz powiększyć górny prawy róg?

Z pomocą magicznej sztuczki na laptopie Ben wyizolował z całości obrazu prawy górny róg, który zajął cały ekran. Ponieważ nie był technologicznym czarodziejem rodem z filmów o Jasonie Bourne, obraz nie wyostrzył się, lecz rozmazał jeszcze bardziej.

- O, teraz widzę. - Ben wskazał włochatą nogę pająka. - Myślałem, że to cień, ale...

- Tu nie mogło być cienia - powiedziała Sam. - W korytarzu palą się światła. W klasie też. Ponieważ trzeciego źródła

światła nie ma, cienie padałyby za drzwiami, nie przed drzwiami.

- Okej - Ben kiwnął głową. - Myślałem, że pada od strony otwartych drzwi, ale wygląda jak skierowany do środka.

- Właśnie - odparła Sam. Zawsze uwielbiała zagadki. Tym razem znalazła rozwiązanie, zanim Charlie zorientowała się, że w ogóle jest jakaś zagadka do rozwiązania.

- Nic nie widzę - przyznała. - Nie możesz po prostu powiedzieć, o co chodzi?

- Lepiej, jeśli oboje niezależnie od siebie potwierdzicie moje podejrzenie.

Charlie miała ochotę wyrzucić siostrę przez okno.

- Według ciebie to odpowiednia chwila na metodę sokratejską?

- Sherlock albo Sokrates. Zdecyduj się - skwitowała Sam i zwróciła się do Bena: - Możesz poprawić kolory?

- Chyba tak. - Ben otworzył piracką kopię Photoshopa, której użył dwa lata temu do wklejenia kapitana Kirka do kartek bożonarodzeniowych. - Nie wiem, czy pamiętam, jak to się robi.

Charlie założyła ręce, by zademonstrować swoje niezadowolenie, ale Sam w takim skupieniu obserwowała poczynania Bena, że nie zwróciła na nią uwagi.

Po kilku próbach kolory na ekranie stały się nasycone nawet za bardzo. Czerń była tak czarna, że pojawiły się na niej szare kropki.

- Użyj niebieskiego na szafkach jako wzorca - podpowiedziała Charlie. - Mają podobny odcień co

pogrzebowy garnitur taty.

Ben otworzył plik z paletą kolorów i kliknął w jedno z niebieskich pól.

- Jest. To ten odcień - powiedziała Charlie.

- Mogę to bardziej wyczyścić. - Ben wyostrzył piksele i zniwelował brzegi. W końcu przybliżył obraz maksymalnie do punktu, za którym stałby się tylko zbiorem plam.

- O cholera - mruknęła Charlie. W końcu to zobaczyła.

Nie nogę, lecz ramię.

Nie jedno ramię, lecz dwa.

Jedno czarne. Drugie czerwone.

Seksualna kanibalka. Śmiertelne ukąszenie.

Nie znaleźli jednorozca Rusty'ego.

Znaleźli czarną wdowę.

Charlie siedziała w pikapie Bena, trzymając spocone ręce na kierownicy. Spojrzała na zegar. Siedemnasta szesnaście. Pogrzeb Rusty'ego powinien zbliżać się do końca. Pijakom w Trefnym Rayu pewnie już skończyły się historie. Maruderzy, gapie, hipokryci plotkowali przez telefon i zamieszczali bzdurne wpisy na Facebooku, oddając hołd zmarłemu.

Rusty Quinn był dobrym prawnikiem, ale...

Charlie wypełniła puste miejsca rzeczami, o których wiedzieli tylko ci, którzy naprawdę go znali.

Kochał swoje córki.

Uwielbiał swoją żonę.

Próbował postępować właściwie.

Znalazł mityczną istotę.

Harpie, jak powiedziała Sam, odnosząc się do pół kobiety, pół ptaka z mitologii greckiej.

Charlie wolała trzymać się pajęczej analogii, ponieważ lepiej pasowała do sytuacji. Kelly Wilson wpadła w misternie utkaną sieć.

Ogrzewanie w aucie działało, mimo to zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Przekręciła kluczyk w stacyjce i wyłączyła silnik. Pikap zatrząsł się i stanął.

Lekko przesunęła lusterko wsteczne tak, żeby zobaczyć swoją twarz. Sam pomogła jej zamaskować sińce. Spisała się świetnie. Patrząc na Charlie, nikt nie domyśliłby się, że dwa dni temu dostała cios w twarz.

Sam też miała ochotę jej przyłożyć.

Sprzeciwiła się planowi Charlie. Ben także.

Mimo to Charlie nie zrezygnowała.

Wysiadła z auta i wygładziła sukienkę, którą miała na pogrzebie. Włożyła buty na obcasach. Wzięła komórkę z deski rozdzielczej. Delikatnie zamknęła drzwi, nasłuchując charakterystycznego kliknięcia zamka. Zaparkowała przed zakretem w pewnej odległości od farmy. Ruszyła ostrożnie, omijając zagłębienia w czerwonej glince. Jej oczom ukazał się dom. Jakiegokolwiek próby porównania go z Pieprznikiem byłyby dla niego ujmą. Ogród wypełniały kolorowe kwiaty i wieloletnie rośliny zimozielone. Deski szalunkowe były pomalowane na śnieżnobiały kolor, listy wykończeniowe na czarno. Dach wyglądał na nowy. W metalowym uchwycie przy frontowych drzwiach wisiała amerykańska flaga.

Charlie nie podeszła do drzwi wejściowych, tylko obeszła

dom dookoła i zobaczyła starą werandę na tyłach. Odświeżona podłoga miała teraz pastelową zielonkawo-niebieską barwę. Zastłonki w kuchni były zaciągnięte. Już nie żółte z czerwonymi truskawkami. Zastąpił je biały adamaszek.

Na werandę prowadziły cztery schody. Charlie wpatrywała się w nie, usiłując odsunąć od siebie myśl o schodach w Pieprzniku, o tym, jak dwadzieścia osiem lat wcześniej pokonała je dwoma susami, zrzuciła buty, zdjęła skarpetki i zastała Gamme klnącą w kuchni.

Krówka.

Na pierwszym schodku trafiła obcasem w otwór w drewnie i przytrzymała się solidnej poręczy. Zamrugła, bo lampa na ganku nawet w gasnącym świetle dnia kłuła w oczy śnieżną bielą. Pot spływał Charlie do oczu. Wytarła go palcami. Wycieraczka pod drzwiami z włókien kokosowych i gumy miała kratkowany wzór. Na środku widniała pochylona litera P.

Charlie uniosła rękę.

Ciągle bolał ją skręcony nadgarstek.

Zastukała trzy razy.

Zza drzwi dobiegł ją odgłos odsuwanego krzesła i lekkich kroków.

- Kto tam? - zapytał kobiecy głos.

Charlie nie odpowiedziała.

Nie słyszała przekręcane zamka ani odsuwanej zasuwki. Drzwi się otworzyły. W kuchni stała starsza kobieta. Włosy bardziej białe niż blond związane w luźny koński ogon. Nadal ładna. Na widok Charlie otworzyła szeroko oczy. I usta. Złapała się za serce jak trafiona strzałą.

- Przepraszam, że przyjeżdżam bez uprzedzenia - powiedziała Charlie.

Judith Pinkman zacisnęła spierzchnięte usta. Jej pokryta zmarszczkami twarz była zaczerwieniona od płaczu. Miała opuchnięte oczy. Odchrząknęła.

- Wejdz, wejdz - zaprosiła Charlie do środka.

Charlie weszła do kuchni. W pomieszczeniu było chłodno, niemal lodowato. Truskawki zniknęły, zastąpiły je blaty z ciemnego granitu, stalowe sprzęty gospodarstwa domowego, złamana biel na ścianach.

- Usiądź, proszę - powiedziała Judith.

Obok szklanki z wodą z lodem leżał telefon komórkowy. Krzesła miały kolor ciemnego orzecha. Charlie usiadła po drugiej stronie stołu i odłożyła telefon, nie podnosząc głowy.

- Podać ci coś? - zapytała Judith.

Charlie pokręciła głową.

- Miałam zrobić sobie herbatę. - Wzrok Judith powędrował ku szklance z wodą. - Napijesz się?

Charlie potaknęła.

Judith zdjęła z kuchenki czajnik. Stalowy, jak wszystko inne. Napełniła go wodą.

- Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca - powiedziała.

- Mnie przykro z powodu pana Pinkmana.

Judith zerknęła na nią przez ramię. Spojrzała Charlie w oczy. Wargi jej drżały, oczy zalśniły od napływających łez. Zakręciła wodę.

Charlie patrzyła, jak stawia czajnik na palniku i przekręca gałkę w kuchence. Rozległo się kilka kliknięć, a potem syk,

kiedy pod czajnikiem pojawił się gaz.

- Co cię tu dzisiaj sprowadza? - zapytała z wahaniem Judith, siadając przy stole.

- Chciałam sprawdzić, co u pani - odparła Charlie. - Nie widziałam pani od tej historii z Kelly.

Judith znowu zacisnęła usta i oparła dłonie na stole.

- To musiało być dla ciebie trudne, a we mnie przywołało pewne wspomnienia.

- Chcę, żeby pani wiedziała, jak bardzo doceniam, ile zrobiła pani dla mnie tamtej nocy. Że się mną pani zajęła. Zapewniła poczucie bezpieczeństwa. Skłamała dla mnie.

Wargi Judith drżały, gdy posłała jej słaby uśmiech.

- Dlatego tu jestem - ciągnęła Charlie. - Za życia taty nigdy o tym nie mówiłam.

Judith Pinkman otworzyła usta. Z jej spojrzenia zniknęło napięcie. Uśmiechnęła się życzliwie. Była tą troskliwą i wielkoduszną kobietą, jaką pamiętała.

- Oczywiście, Charlotte. Oczywiście. Możesz ze mną rozmawiać o wszystkim.

- W tamtych czasach tata reprezentował gwałciciela, który się wywinął, ale jego ofiara powiesiła się w rodzinnej stodole - zaczęła Charlie.

- Pamiętam.

- Zastanawiam się, czy uważa pani, że właśnie dlatego tata chciał utrzymać to w tajemnicy? Z obawy, że zrobię to samo?

- Nie wiem. Przykro mi, ale nie umiem ci odpowiedzieć. Właśnie stracił żonę, myślał, że jego starsza córka nie żyje, zobaczył, co ci się stało i... - Zamilkła. - Ludzie mówią, że Bóg

nie zsyła nam więcej, niż jesteśmy w stanie znieść, ale czasem mi się wydaje, że to nieprawda. A ty jak sądzisz?

- Nie jestem pewna.

- Jest taki werset w Pierwszym Liście do Koryntian: „Wierny jest Bóg i nie dozwoli was kusić ponad to, co potraficie znieść, lecz zsyłając pokusę, równocześnie wskaże sposób jej pokonania, abyście mogli przetrwać”^[6] - powiedziała Judith. - Zastanawiam się nad drugą częścią. Skąd wiadomo, że to właśnie ten sposób? A może mamy go pod ręką, lecz nie potrafimy dostrzec?

Charlie rozłożyła ręce.

- Przepraszam - zreflektowała się Judith. - Wiem, że twoja matka nie wierzyła w Boga. Była na to zbyt inteligentna.

Charlie wiedziała, że Gamma uznałaby tę uwagę za komplement.

- Była aż tak bystra, że trochę się jej bałam - dodała Judith.

- Wydaje mi się, że nie pani jedna.

- Cóż... - Judith pociągnęła łyk wody z lodem.

Charlie obserwowała jej dłonie, spodziewając się wymownego drżenia, ale niczego takiego nie zobaczyła.

- Charlotte. - Judith odstawiła szklanę. - Będę z tobą szczerą co do tamtej nocy. Nigdy nie widziałam tak strasznie załamane go mężczyzny, jakim wtedy był twój ojciec. Mam nadzieję, że nigdy więcej nie będę czegoś takiego oglądać. Nie wiem, jak zdołał się po tym podnieść, naprawdę nie wiem, ale wiem, że kochał cię bezwarunkowo.

- Nigdy w to nie wątpiłam.

- To dobrze. - Judith wytarła palcami oszronioną szklanę. -

Mój ojciec, dla ciebie w tamtych czasach „stary pan Heller”, jak go nazywaliście, był pobożny i kochający, zapewnił mi bezpieczeństwo materialne i bardzo wspierał, a wiadomo, że początkująca nauczycielka potrzebuje wsparcia. – Zachichotała cicho. – Ale tamtego wieczoru zrozumiałam, że mój ojciec nie dbał o mnie tak bardzo jak twój ojciec o ciebie. Nie winię go za to. Ciebie i Rusty’ego łączyła szczególna więź. Chodzi mi o to, że bez względu na powód, dla którego poprosił, żebyś skłamała, kochał cię głęboko i bezwarunkowo.

Charlie spodziewała się, że oczy jej się zaszklą, ale ani jedna łza nie napłynęła jej do oczu. Chyba wypłakała już wszystkie.

– Wiem, że Rusty odszedł – ciągnęła Judith – i że śmierć rodzica skłania do wielu przemyśleń, ale nie powinnaś być na niego zła za to, że nalegał, abys zachowała tajemnicę. Kierował się dobrymi intencjami, które płynęły prosto z serca.

Charlie pokiwała głową. Judith miała rację.

Gdy czajnik zagwizdał, Judith wstała, wyłączyła gaz i podeszła do olbrzymiego kredensu, który Charlie pamiętała sprzed lat. Był wysoki, sięgał prawie do sufitu. Pan Heller trzymał strzelbę na górze, była schowana za listwą wieńczącą. Od tamtego czasu kredens zmienił kolor na ciemnoniebieski.

Judith otworzyła drzwiczki. Na relingu pod półkami wisiały kolorowe kubki. Zdjęła dwa wiszące po obu końcach. Zamknęła drzwiczki i podeszła z powrotem do kuchenki.

– Mam miętę pieprzową i rumianek – oznajmiła.

– Wszystko jedno. – Charlie spojrzała na zamknięte drzwiczki kredensu. Pod listwą wieńczącą było zdanie

namalowane pismem odręcznym. Jasnoniebieskie litery słabo kontrastowały z ciemnoniebieskim tłem. Przeczytała na głos: - „Umieszcza bezdzietną kobietę w domu jako matkę szczęśliwych dzieci”.

Dłonie Judith znieruchomiały na kontuarze.

- To z Księgi Psalmów. Psalm sto trzynasty, werset dziewiąty. Ale nie w wersji Biblii Króla Jakuba.

- A jak brzmi wersja z Biblii Króla Jakuba?

- „Ten, co niepłodnej każe mieszkać w domu jako pełnej radości matce synów”^[7]. - Wyjęła z szuflady dwie łyżeczki. - Nie jestem bezpłodna, więc wolę tę drugą wersję.

Charlie poczuła zimny pot na plecach.

- Na swój sposób jest pani matką swoich uczniów - powiedziała.

- Masz rację. - Judith postawiła przed Charlie kubek i usiadła. - Douglas i ja spędziliśmy ponad połowę życia, zajmując się cudzymi dziećmi. Nie żebyśmy tego nie lubili, ale wtedy w domu człowiek jeszcze bardziej ceni sobie ciszę.

Charlie okręciła kubek dokoła, ale nie podniosła go do ust.

- Ja jestem bezpłodna - powiedziała. To słowo ledwie przeszło jej przez gardło.

- Bardzo mi przykro. - Judith wstała od stołu i wyjęła z lodówki karton mleka. - Słodzisz? - zapytała.

Charlie pokręciła głową. Nie miała zamiaru pić herbaty.

- Nigdy pani nie chciała mieć dzieci?

- Kocham dzieci innych ludzi.

- Słyszałam, że pomagała pani Kelly w przygotowaniu do jakiegoś egzaminu. - Gdy Judith postawiła mleko na stole

i usiadła, Charlie dodała: - Pewnie poczuła się pani zdradzona przez to, co zrobiła Kelly.

Judith bez słowa patrzyła na parę unoszącą się nad kubkiem.

- Ona знаła pana Pinkmana - powiedziała Charlie nie dlatego, że usłyszała o tym od Masona. Sam pokazała jej swoje notatki i dokładnie zapisane słowa Kelly.

„Słyszałam, jak ludzie mówili, że nie jest złym człowiekiem, ale nigdy nie byłam w gabinecie dyrektora”.

Kelly nie odpowiedziała wprost na pytanie Sam. Nie stwierdziła, że nie zna Douglasa Pinkmana. Powiedziała tylko, że nie miał opinii złego człowieka.

- Widziałam nagranie ze szkolnego monitoringu - powiedziała Charlie.

Judith rzuciła jej szybkie spojrzenie, po czym znowu wbiła wzrok w kubek.

- W telewizji pokazywali rekonstrukcję zdarzeń.

- Nie o tym mówię. Widziałam obraz z kamery nad sekretariatem.

Judith wzięła kubek do ręki, podmuchała na parującą herbatę, odczekała chwilę i pociągnęła łyk.

- W którymś momencie kamera została skierowana w dół. Kąt jej widzenia kończy się niewiele ponad pół metra od drzwi pani klasy.

- Tak?

- Czy według pani Kelly wiedziała o kamerze? Że cokolwiek wydarzyło się tuż przed pani klasą, nie było nagrane?

- Nigdy o tym nie wspomniała. Pytałaś policję?

Charlie pytała Bena.

- Uczniowie wiedzieli, że kamera nie obejmuje swoim zasięgiem końca korytarza, ale nie wiedzieli, w którym miejscu przebiega granica między obszarem monitorowanym a niemonitorowanym. Dziwne, że Kelly wiedziała. Kiedy zaczęła strzelać, stała tuż poza zasięgiem kamery. Skąd wiedziała, gdzie stanąć? Chyba że wcześniej była w pomieszczeniu, w którym można zobaczyć obraz z kamer. - Gdy Judith spojrzała na nią zdezorientowana, Charlie dodała: - Była pani w tym pomieszczeniu, prawda? A przynajmniej widziała je pani?

Judith Pinkman milczała, udając, że nic nie wie.

- Monitory znajdowały się w małym pomieszczeniu obok gabinetu pani męża. Drzwi były zawsze otwarte, więc każdy, kto tam wszedł, mógł je zobaczyć. - Charlie dodała kolejny szczegół: - Kelly powiedziała, że nigdy nie była wysłana do gabinetu dyrektora. Ciekawe, że wiedziała o martwej strefie, nigdy nie widząc monitorów. - Gdy Judith w milczeniu odstawiła kubek i położyła dłonie na stole, Charlie spytała: - Jest taki werset z Biblii, prawda? Nie mów fałszywego świadectwa...

Judith rozchyliła usta. Wypuściła powietrze, potem wzięła głęboki oddech.

- To część Dziesięciorga Przykazań. „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu”. Ale sądzę, że nawiązujesz do Księgi Przysłów. - Zamknęła oczy i zaczęła recytować: - „Tych sześć rzeczy w nienawiści ma Pan, a siedem budzi u Niego odrazę: wyniosłe oczy, kłamliwy język,

ręce, co krew... - przełknęła ślinę - ...niewinną wylały, serce knujące złe plany, nogi, co biegną prędko do zbrodni, świadek fałszywy, co kłamie, i ten, kto wznieca kłótnie wśród braci”^[8].

- Imponująca lista.

Judith spojrzała na swoje dłonie, ciągle leżące na stole. Miała krótko przycięte paznokcie, długie i szczupłe palce, które rzucały wąski cień na blacie politurowanego orzechowego stołu.

Niczym noga pająka, którą Sam dojrzała na skraju obrazu.

Kiedy Ben pojął, na co tak naprawdę patrzą, wykonał parę kolejnych magicznych sztuczek na laptopie. Tu zadziałało zjawisko złudzenia optycznego. Kiedy do człowieka dociera, co widzą jego oczy, nie umie już dostrzec w tym obrazie niczego innego.

W zatrzymanym kadrze Kelly Wilson trzymała rewolwer, jak wyznała Sam, ale tak jak w przypadku wielu innych stwierdzeń Kelly, kryło się za tym coś więcej.

Tego dnia Kelly była ubrana na czarno.

Judith Pinkman była ubrana na czerwono.

Charlie przypomniała sobie, że bluzka Judith Pinkman wydała jej się przesiąknięta krwią Lucy Alexander.

Na obrazie z monitoringu dominowała sepia, dlatego dwa ciemne kolory wydały się niemal jednakowe. Kiedy jednak Ben skończył swoje technologiczne czary-mary, ich oczom objawiła się prawda.

Ramię w czarnym rękawie, tuż obok ramię w czerwonym rękawie.

Dwa ramiona mierzące w stronę drzwi klasy.

Dwa palce na spuście.

„Broń była w moim ręku”.

Podczas rozmowy Kelly Wilson powiedziała Sam co najmniej trzykrotnie, że trzymała rewolwer, kiedy Douglas Pinkman i Lucy Alexander zostali zamordowani.

Nie wspomniała natomiast, że to ręka Judith Pinkman go podtrzymywała.

- W szpitalu sprawdzili, czy na Kelly są ślady prochu. Były. Na dłoni, na koszulce. Wszędzie tam, gdzie można było się ich spodziewać.

Judith rozsiadła się wygodniej na krześle, nie spuszczając wzroku z własnych dłoni.

- Te pozostałości są jak talk - ciągnęła Charlie. - Dają się usunąć wodą i mydłem.

- Wiem, Charlotte. Wiem. - Głos Judith był szorstki jak dźwięk, gdy igła pierwszy raz dotyka winylu.

Charlie czekała. Słyszała tykający gdzieś zegar. Czuła leciutki powiew świeżego powietrza przedostającego się z zewnątrz przez nieszczelne drzwi kuchni.

W końcu Judith podniosła wzrok. Oczy jej lśniły w świetle górnej lampy. Przez chwilę przyglądała się Charlie.

- Dlaczego ty? Dlaczego nie policja? - zapytała.

Charlie nie wiedziała, że wstrzymuje oddech, póki nie poczuła napięcia w płucach.

- Woli pani, żeby zjawiała się tu policja?

Judith spojrzała w sufit. Łzy popłynęły jej z oczu.

- To nie ma znaczenia. Już nie.

- Ona jest w ciąży - powiedziała Charlie.

- Znowu. W gimnazjum miała aborcję.

Charlie szykowała się na polemikę w kwestii świętości życia, ale Judith nie wygłosiła żadnego biblijnego cytatu.

Zamiast tego wstała. Urwała kawałek ręcznika papierowego z rolki, otarła twarz i powiedziała:

- Ojcem był chłopiec z drużyny futbolowej. Chyba paru chłopców się z nią zabawilo. Była naiwna, nie miała pojęcia, co jej robia.

- A teraz kto jest ojcem?

- Chcesz to ode mnie usłyszeć?

Charlie potaknęła. W ostatnim czasie nawróciła się na mówienie prawdy.

- Douglas - wyznała Judith. - Rznął ją w mojej klasie. - Mina Charlie na słowo „rznąć” sprawiła, że dodała: - Przepraszam za język, ale kiedy widzisz własnego męża pieprzącego siedemnastoletnią dziewczynę w klasie, w której uczysz gimnazjalistów, to słowo nasuwa się pierwsze.

- Siedemnaście - powtórzyła Charlie. Douglas Pinkman był dyrektorem. Kelly Wilson była uczennicą w tym samym kompleksie szkolnym. Pinkman popełnił przestępstwo uwiedzenia osoby nieletniej. Rznięcie nie miało tu nic do rzeczy.

- Dlatego kamera była pochylona - wyjaśniła Judith. - Douglas był sprytny. Zawsze był sprytny w tej kwestii.

- Były inne uczennice?

- Każda, która się nawinęła. - Judith zgmiotła ręcznik w kulkę. Była wściekła. Pierwszy raz podczas tej rozmowy Charlie przeszło przez myśl, że Sam i Ben mogli mieć rację,

obawiając się o jej bezpieczeństwo.

- To się stało z powodu ciąży Kelly? - zapytała.

- Powód jest inny, niż ci się wydaje. Przepraszam, Charlotte. Widzę, że chciałaś mieć dzieci, ale ja nie. Nigdy ich nie chciałam. Kocham dzieci. Uwielbiam sposób, w jaki działa ich umysł, jak potrafią być zabawne i ciekawe. Ale najważniejsze dla mnie, że mogę zostawić to wszystko w szkole, wrócić do domu i w ciszy poczytać książkę. - Wrzuciła zgnieciony ręcznik do kosza. - Nie jestem desperatką, która nie mogła mieć dzieci i dlatego coś w niej pękło. Brak dziecka był świadomą decyzją. Decyzją, z którą Douglas się zgodził. Tak mi się przynajmniej wydawało, ale... - Wzruszyła ramionami. - Nigdy nie wiesz, jak złe jest twoje małżeństwo, póki się nie skończy.

- Chciał rozwodu?

Judith zaśmiała się gorzko.

- Nie. Ja też nie chciałam. Nauczyłam się żyć z jego permanentnym kryzysem wieku średniego. Nie był pedofilem. Nie wybierał małych dziewczynek.

Charlie uderzyło, z jaką łatwością Judith Pinkman przymknęła oczy na fakt, że Kelly Wilson emocjonalnie była dzieckiem.

- Douglas chciał, żebyśmy zatrzymali to dziecko. Kelly i tak miała rzucić szkołę, nie było takich szans, by skończyła naukę. Douglas planował dać jej pieniądze, skłonić do odejścia i razem ze mną wychować dziecko.

Charlie nigdy by się nie domyśliła, że w przypadku Judith Pinkman akurat to przelało czarę goryczy.

- Co sprawiło, że zmienił zdanie w kwestii posiadania dziecka? - zapytała.

- Coraz bardziej dojmująca świadomość własnej śmiertelności? Pragnienie pozostawienia czegoś po sobie? Arogancja? Głupota? Egoizm? - prychnęła gniewnie Judith. - Mam pięćdziesiąt sześć lat, a Douglas niedługo skończyłby sześćdziesiąt. Powinniśmy planować emeryturę. Nie chciałam wychowywać dziecka innej kobiety... A właściwie nastolatki. - Potrząsała głową nerwowo. - Nie mówiąc już o umysłowych deficytach Kelly. Douglas nie tylko oczekiwał ode mnie wychowywania tego dziecka przez osiemnaście lat. Chciał, żebyśmy utknęli z nim do końca życia.

Po tych słowach odrobina współczucia, jakie w Charlie mogła wzbudzić Judith Pinkman, wyparowała w jednej chwili.

- Co jeszcze Kelly ci powiedziała? - zapytała Judith, a po chwili dodała: - To właściwie nieważne. Miałam zamiar odgrywać męczennicę. Nieszczęsną wdowę oskarżoną o współudział przez niedorozwiniętą morderczynię. Jej słowo przeciwko mojemu? Komu by uwierzyli?

Charlie milczała. Wiedziała jednak, że bez nagrania z monitoringu nikt nie uwierzyłby Kelly Wilson.

Judith energicznie otarła łzy.

- Czy to jest ten moment, w którym wyjaśniam ci, jak to zrobiłam? - Wskazała telefon Charlie. - Upewnij się, że nadal nagrywa.

Charlie odwróciła komórkę, chociaż wierzyła, że Ben zrobił wszystko jak trzeba. Telefon nie tylko nagrywał, ale także przesyłał dźwięk bezpośrednio na laptop Bena.

- Zaczęło się rok temu - powiedziała Judith. - Zobaczyłam ich przez okno w mojej klasie. Douglas myślał, że już wyszłam. Został, żeby wszystko pozamykać. Tak mi przynajmniej powiedział. Wróciłam po jakieś papiery. Jak mówiłam, rznął ją na jednej z ławek.

Charlie przywarła plecami do oparcia krzesła. Złość Judith Pinkman wydawała się narastać z każdym słowem.

- Zrobiłam to, co zrobiłaby każda posłuszna żona. Odwróciłam się na pięcie, poszłam do domu i przygotowałam kolację. Przyjechał Douglas. Tłumaczył, że zatrzymał go rodzic jednego z uczniów. Oglądaliśmy razem telewizję, a we mnie wszystko się gotowało. Całą noc się gotowało.

- Kiedy zaczęła pani uczyć Kelly?

- Kiedy zaczęła znowu ubierać się jak wiedźma. - Judith oparła się o blat krawędziami dłoni. - Tak robiła poprzednio. Zaczęła ubierać się na czarno jak gotka, żeby ukryć brzuch. Na jej widok w czarnym stroju domyśliłam się natychmiast, że znowu jest w ciąży.

- Rozmawiała pani z mężem?

- A niby po co? Byłam tylko żoną. Kobietą, która dla niego gotowała, prasowała jego rzeczy i wywabiała plamy z jego bielizny. - W tonie jej głosu pojawiło się coś zgrzytliwego jak w zegarze z przekręconą sprężyną. - Wiesz, jak to jest być nieważnym? Życ pod jednym dachem z mężczyzną przez prawie całe dorosłe życie i czuć się nikim? Wiedzieć, że twoje życzenia, pragnienia, plany zupełnie się nie liczą? Że każde brzemie, choćby najcięższe, można zrzucić na ciebie, bogobojną kobietę i dobrą chrześcijankę, która udźwignie je

z uśmiechem, ponieważ twój mąż, mężczyzna, który powinien być twoim obrońcą, jest panem twojego domu? – Splotła ręce tak mocno, że kłykcie jej zbieleły. – Oczywiście, że nie wiesz. – Nie czekała na odpowiedź Charlie. – Ciebie rozpuszczali i hołubili przez całe życie. Nawet strata matki, fakt, że siostra otarła się o śmierć, a ojca lżyli wszyscy w tym stanie, sprawiły, że ludzie bardziej cię pokochali.

Serce waliło Charlie jak młot. Nie zdawała sobie sprawy, że wstała z krzesła, póki nie poczuła za sobą ściany.

Judith chyba nie zauważyła piorunującego efektu, jaki wywarły jej słowa.

– Wiedziałaś, że Kelly można namówić do wszystkiego? – spytała.

Oparta o ścianę Charlie nie była w stanie się ruszyć.

– Jest taka słodka, krucha i wątła. Zupełnie jak dziecko. Ona naprawdę jest jak dziecko. Im więcej czasu z nią spędzałam, tym bardziej jej nienawidziłam. – Potrząsnęła głową. Spinka zsunęła jej się z włosów. Miała dzikie spojrzenie. – Wiesz, jak to jest nienawidzić niewinnego dziecka? Skupić całą swoją wściekłość na kimś, kto nie wie, co robi, co się z nim dzieje, ponieważ w jego zachowaniu odbija się twoja własna głupota? Ponieważ widzisz, jak twój mąż to dziecko kontroluje, oszukuje, wykorzystuje w taki sam sposób jak ciebie?

Charlie omiotła wzrokiem kuchnię. W drewnianym stojaku tkwiły noże. Szuflady były pełne rozmaitych przyborów, na kredensie pewnie nadal leżała strzelba pana Hellera.

– Przepraszam – powiedziała Judith, najwyraźniej starając się odzyskać panowanie nad sobą. Podążyła za spojrzeniem

Charlie ku górze kredensu. - Pomyślałam, że wymyślę historyjkę o kradzieży broni. Że niby Kelly ją ukradła. Albo dam jej pieniądze i będę się modlić, żeby zastosowała się do instrukcji i kupiła broń.

- Jej ojciec trzymał rewolwer w samochodzie - powiedziała Charlie.

- Mówiła mi, że używa go na wiewiórki. Ludzie z Holler czasem je jedzą.

- Są tłuste - zauważyła Charlie, próbując jej nie rozdrażnić.
- Mam klienta, który przyrządza z nich potrawkę.

Judith złapała oparcie krzesła. Znowu zbieleły jej kłykcie.

- Nie zrobię ci krzywdy.
- Czy nie to właśnie mówią ludzie, zanim kogoś skrzywdzą?
- Charlie zaśmiała się wymuszenie.

Judith znowu oparła się na blacie. Nadal była zła, ale panowała nad sobą.

- Nie powinnam nawiązywać do twojej tragedii. Przepraszam.

- W porządku.
- Chcesz, żebym nie przerywała mówienia - zauważyła Judith.

- Czy ta strategia działa?

Odpowiedział jej budzący odrazę śmiech.

Ben mówił, że Judith Pinkman histeryzowała, kiedy ratownicy wyprowadzali ją ze szkoły. Musieli podać jej środek uspokajający, żeby wsiadła do karetki. Została w szpitalu na noc. Potem stanęła przed kamerą i błagała o oszczędzenie życia Kelly. Nawet teraz miała oczy spuchnięte od płaczu

i zmizerniała twarz. Mówiła prawdę, brutalną, nieupiększoną prawdę, chociaż wiedziała, że jest nagrywana.

Nie negocjowała, nie błagała, nie próbowała niczego ugrać. Tak zachowywał się człowiek odczuwający prawdziwe wyrzuty sumienia z powodu swoich czynów.

- Kelly sama nie pociągnęłaby za spust. Obiecała, że to zrobi, ale wątpiłam w to. Była zbyt dobra, zbyt ufna, poza tym pewnie i tak by nie trafiła, więc stanęłam w holu za nią, położyłam rękę na jej dłoni i strzeliłam w ścianę, żeby zwrócić uwagę Douglasa. - Popukała wargi opuszkami palców, jakby upominała samą siebie, że powinna panować nad głosem. - Wybiegł z gabinetu. Trafiłam go trzy razy. A potem...

Charlie czekała w napięciu.

Judith przycisnęła rękę do piersi. Jej gniew uleciał. Pozostał chłodny spokój.

- Miałam zamiar zabić Kelly - przyznała. - Taki był plan. Zastrzelić Douglasa, potem Kelly i zeznać, że powstrzymałam ją przed zastrzeleniem innych. Lokalna bohaterka. Dostałabym emeryturę po mężu i pieniądze z ubezpieczenia. Żadnego koszmarnego rozwodu. Więcej czasu na czytanie książek, prawda?

Charlie zastanawiała się, czy Judith chciała strzelić Kelly w brzuch, by mieć pewność, że dziecko też nie żyje.

- Trafiłam go w odpowiednie miejsca - ciągnęła Judith. - Koroner powiedział, że każdy z trzech strzałów był śmiertelny. Pewnie uważał, że mnie to pocieszy. - W jej oczach znowu załśniły łzy. Przełknęła głośno ślinę. - Ale Kelly nie chciała puścić broni. Nie sędzę, żeby domyśliła się reszty planu, czyli

moich zamiarów względem niej. Myślę, że po prostu spanikowała na widok martwego Douglasa. Zaczęłyśmy się szamotać. Któraś z nas pociągnęła za spust. Naprawdę nie wiem, czy to ona, czy ja, ale kula odbiła się rykoszetem od podłogi.

Judith oddychała ciężko ustami. Miała coraz bardziej chrypliwy głos.

- Byłyśmy w szoku, że broń wypaliła - ciągnęła. - Kelly odwróciła się i... Nie mam pojęcia, co się stało. Spanikowałam. Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Pociągnęłam za spust i... - Jej głos przeszedł w zawodzenie, wargi zbieleły, trzęsła się na całym ciele. - Wtedy ją zobaczyłam. Kiedy pociągałam za spust. Wszystko widziałam jak w zwolnionym tempie. Pamiętam, jak pomyślałam: Judith, strzelasz do dziecka, ale nie mogłam tego zatrzymać. Nie zdołałam oderwać palca od spustu i...

Nie była w stanie wypowiedzieć tych słów, więc Charlie dokończyła za nią:

- Zastrzeliła pani Lucy Alexander.

Po twarzy Judith popłynęły strugi łez.

- Uczę z jej matką. Widywałam Lucy na zebraniach. Tańczyła na tyłach pokoju nauczycielskiego. Ciągle coś podśpiewywała pod nosem. Miała słodki głos. Nie wiem, może byłoby inaczej, gdybym jej nie znała, ale znałam.

Charlie nasunęła się myśl, że Judith Pinkman znała też Kelly Wilson.

- Charlotte, bardzo mi przykro, że cię w to wciągnęłam. Nie miałam pojęcia, że jesteś w budynku. Zrobiłabym to

następnego dnia albo w następnym tygodniu. Nigdy z rozmysłem nie postawiłabym cię w takiej sytuacji.

Jakoś nie miała zamiaru jej dziękować.

- Chciałabym móc wytłumaczyć, co mnie naszło. Myślę, że Douglas i ja byliśmy... Nie wiem. Nie był wielką miłością mojego życia, ale sądziłam, że nam obojgu zależy na sobie. Że się szanujemy. Ale po tylu latach wszystko się płacze. Sama się przekonasz. Finanse, emerytura, świadczenia, auta, ten dom, konta oszczędnościowe, bilety, które kupiliśmy na rejs statkiem tego lata.

- Pieniądze - skomentowała Charlie. Rusty miał w zanadrzu tysiące cytatów o destrukcyjnym wpływie żądzy pieniądza i seksu na ludzi.

- Nie chodziło tylko o pieniądze - sprostowała Judith. - Kiedy zapytałam go wprost o ciążę, on jak gdyby nigdy nic przedstawił mi swoją cudowną wizję nas jako starych rodziców. Zupełnie jakby nie czuł wagi tego zobowiązania. Dla niego to nic, bo to ja wstawiałabym o trzeciej, żeby karmić albo zmieniać pieluchy. Może to brzmi niewiarygodnie, ale właśnie to przelało czarę goryczy.

Judith szukała wzroku Charlie, jakby spodziewała się zobaczyć w jej oczach zrozumienie.

- Pozwoliłam sobie na nienawiść wobec Kelly, bo to był jedyny sposób, żeby zrealizować plan. Wiedziałam, że łatwo ulega wpływom. Musiałam tylko szeptać jej do ucha. Czyż nie była złą dziewczyną przez to, że pozwoliła Douglasowi na to, co jej robił? Czyż nie pójdzie do piekła za to, co zrobiła w gimnazjum? Może chciałyby ukarać mojego męża za jego

występki? Może mogłaby powstrzymać go przed krzywdzeniem innych dziewcząt? Zdumiewające, jak niewiele czasu trzeba, by przekonać inną ludzką istotę, że nic nie znaczy. Nic. Jak ja.

Charlie miała spocone dłonie. Wytarła je o sukienkę.

- Jest werset, który pewnie znasz, Charlotte. Musiałaś go słyszeć na filmie albo przeczytałaś w książce. „Wszystko więc, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie! Albowiem na tym polega Prawo i Prorocy”^[9].

- Złota zasada - stwierdziła Charlie. - Nie czynź drugiemu, co tobie niemiłe.

- Zrobiłam Kelly to, co Douglas zrobił mnie. Tak sobie mówiłam. Tak usprawiedliwiłam swoje czyny, a potem zobaczyłam Lucy i zrozumiałam... - Wyprostowała palec wskazujący, jakby miała zamiar coś odliczać. - Wyniosłe oczy przy spoglądaniu przez szybę w drzwiach mojej klasy. - Wyprostowała następny palec. Wyliczała swoje grzechy. - Kłamliwy język wobec męża, wobec Kelly. - W górę poszedł kolejny palec. - Serce knujące złe plany zamordowania ich obojga. Szybki bieg ku zbrodni, kiedy włożyłam jej broń do ręki. Fałszywe świadectwo na policji. Wzniesienie kłótni wśród braci, kiedy z powodu fałszywego świadectwa wywołałam zamęt. - Przerwała wyliczanie i uniosła dłonie. - Ręce, co krew niewinną wylały. - Stała z uniesionymi ramionami i rozcapierzonymi palcami.

Charlie milczała. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Co się stanie z Kelly? - zapytała Judith.

Charlie potrząsnęła głową, chociaż wiedziała, że Kelly

Wilson pójdzie siedzieć. Kara śmierci jej nie groziła, dożywocie też raczej nie, ale bez względu na niski iloraz inteligencji dziewczyna miała rację: to ona trzymała broń.

- Musisz wyjść, Charlotte.

- Ale...

- Weź telefon. - Judith rzuciła jej aparat. - Wyślij nagranie tej kobiecie z GBI. Przekaż jej, że znajdzie mnie tutaj.

Charlie z trudem złapała komórkę.

- Co pani chce...

- Wyjdź. - Judith sięgnęła na górę kredensu. Nie zdjęła z niej strzelby ojca. Trzymała w ręku glocka.

- Jezu. - Charlie cofnęła się o krok.

- Wyjdź, proszę cię. - Judith wyjęła z pistoletu pusty magazynec. - Powiedziałam, że nie zrobię ci krzywdy.

- Co pani chce zrobić? - zapytała Charlie z sercem w gardle. Znała odpowiedź. Wiedziała, co zamierza Judith Pinkman.

- Charlotte, wyjdź. - Judith znalazła pudełko z nabojami, wysypała je na stół i zaczęła ładować magazynec.

- Jezu - powtórzyła Charlie.

Judith przerwała na chwilę.

- Wiem, że to zabrzmie groteskowo, ale nie wzywaj imienia Boga nadaremnie.

- Dobrze - odparła Charlie. Ben słuchał tej rozmowy. Pewnie już był w drodze, biegł przez las, przeskakiwał przez zwalone drzewa, odsuwał gałęzie, próbując do niej dotrzeć.

Jej pozostało jak najdłuższe zagadywanie Judith.

- Proszę, niech pani tego nie robi. Mam do pani pytania o tamten dzień, o...

- Musisz o tym zapomnieć, Charlotte. Zrób to, co powiedział ci tata. Włóż to wszystko do pudełka i zostaw tam. Wierz mi, że nie chciałybyś pamiętać, co ten potwór ci zrobił. - Judith włożyła pełny magazynek do komory. - A teraz naprawdę musisz już iść.

- Błagam, niech pani tego nie robi. - Charlie czuła, jak głos jej drży. To nie mogło się stać. Nie w tej kuchni. Nie tej kobiecie. - Błagam - powtórzyła.

Judith odciągnęła zamek, ładując nabój do komory.

- Wyjdź - ponagliła Judith.

- Nie mogę. - Charlie wyciągnęła ręce w jej kierunku, w kierunku broni. - Proszę, niech pani tego nie robi. Nie mogę dopuścić, żeby...

Biała kość. Strzępki serca i płuc. Włókna ścięgien, tętnic i żyły zięjące z otwartych ran, przez które uszło życie.

- Błagam... - zapłakała Charlie.

- Charlotte. - Głos Judith Pinkman był mocny, zdecydowany jak u nauczycielki stojącej przed uczniami w klasie. - Musisz natychmiast stąd wyjść. Wsiądź do furgonetki, pojedź do domu ojca i wezwij policję.

- Nie mogę.

- Oni przywykli do takich sytuacji, Charlotte. Ty uważasz, że jestem w stanie wziąć to na swoje sumienie, ale ja nie potrafię. Po prostu nie potrafię.

- Błagam panią. - Charlie była już blisko. Mogła rzucić się na Judith i odebrać jej glocka. Była młodsza i szybsza, mogła temu zapobiec.

- Nie. - Judith położyła broń za sobą na kontuarze. -

Powiedziałam, że nie zrobię ci krzywdy. Nie zmuszaj mnie do złamania obietnicy.

- Nie mogę! - załkała Charlie. Czuła, jakby miała w sercu tysiące ostrzy. - Nie mogę wyjść i pozwolić, żeby się pani zabiła.

Judith otworzyła kuchenne drzwi.

- Możesz i pozwolisz.

- Niech pani nie obarcza mnie tym ciężarem.

- Ja cię uwalniam od ciężaru, Charlotte. Twój ojciec odszedł. Jestem ostatnią osobą, która wie. Twój sekret umrze razem ze mną.

- Mój sekret nie musi umrzeć! - krzyknęła Charlie. - Nie dbam o to! Ludzie już wiedzą. Mój mąż. Moja siostra. To nieważne. Proszę, niech pani...

Judith Pinkman skoczyła ku niej bez ostrzeżenia i złapała ją w pasie. Charlie poczuła, że jej stopy odrywają się od podłoża. Naparła z całej siły na ramiona Judith, usiłując wyrwać się z miażdżącego zebra uścisku. Judith przeniosła ją przez kuchnię i wystawiła na werandę.

- Judith, nie! - Charlie siłowała się, próbując wrócić do środka.

Judith zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

Rozległ się cichy szcęk zamka.

- Judith! - wołała Charlie, bębniąc pięścią w drzwi. - Niech pani otworzy!

Z wnętrza domu dobiegł ją głośny trzask.

To nie był odgłos krztuszącego się gaźnika.

Ani fajerwerków.

Charlie opadła na kolana.

Przycisnęła dłoń do drzwi.

Ktoś, kto był świadkiem, jak strzelano do człowieka z broni palnej, nigdy nie pomylił odgłosu wystrzału z niczym innym.

CO SIĘ STAŁO Z SAM

Sam wykonywała w wodzie naprzemienne ruchy ramion, pokonując wąski tor w podgrzewanej wodzie dwudziestopięciometrowego basenu. Zwracała głowę w bok przy co trzecim wymachu rąk i brała głęboki wdech. Nogami robiła nożyce. Czekwała na kolejny wdech.

Lewa-prawa-lewa-wdech.

Wykonała idealny nawrót przy ścianie basenu, nie spuszczać wzroku z czarnej linii wyznaczającej tor. Zawsze lubiła spokój i prostotę stylu dowolnego. A ponieważ skupiała się na prawidłowym rytmie wymachów i pracy nóg, wszystkie inne myśli w tym czasie ulatywały.

Lewa-prawa-lewa-wdech.

Zobaczyła znak na końcu toru i dotknęła palcami ściany basenu. Podgięła kolana i ciężko oddychając, sprawdziła czas. Dwa tysiące czterysta metrów pokonała w tempie stu pięćdziesięciu czterech i dwóch setnych sekundy na sto metrów, co dało trzydzieści osiem i pięćdziesiąt pięć setnych sekundy na jedną długość basenu.

Nieźle. Nie tak dobrze jak wczoraj, musiała jednak przyjąć do wiadomości, że jej ciało porusza się we własnym tempie. Powtarzała sobie, że akceptacja prawdy jest krokiem naprzód.

Jednak po wyjściu z basenu poczuła przyływ ducha rywalizacji. Tylko tępe pulsowanie nerwu kulszowego powstrzymało ją przed ponownym skokiem do wody i walką z samą sobą o poprawienie wyniku.

Szybko zmyła z siebie słoną wodę i wytarła się ręcznikiem z egipskiej bawełny. Przyjrzała się bruzdom na opuszkach palców. To była reakcja skóry na długie przebywanie w wodzie.

W windzie nie zdjęła ochronnych okularów. Na parterze wsiadł starszy mężczyzna z gazetą pod pachą i mokrym parasolem w ręku. Na widok Sam zachichotał.

- Piękna syrena!

Próbowała odwzajemnić jego promienny uśmiech. Rozmawiali o brzydkiej pogodzie, o burzy, która szalała wzdłuż wybrzeża i po południu miała sprowadzić na Nowy Jork jeszcze intensywniejsze ulewy.

- Prawie czerwiec! - powiedział mężczyzna, jakby zaskoczony kalendarzem.

W gruncie rzeczy Sam też była zaskoczona. Nie mogła uwierzyć, że od powrotu z Pikeville minęły zaledwie trzy tygodnie. Gładko wróciła do codzienności i rytmu dnia. W pracy spotykała tych samych ludzi, prowadziła te same spotkania i telekonferencje, studiowała te same schematy pojemników na zużyte podpaski, przygotowując się do rozprawy.

Mimo to wszystko wydawało się inne. Pełniejsze. Bogatsze. Nawet czynność tak prozaiczna jak wstawanie z łóżka zaczęła przychodzić jej z łatwością, jakiej nie doświadczyła od chwili

odzyskania przytomności w szpitalu dwadzieścia osiem lat temu.

Zadzwieczał dzwonek windy. Dotarli na piętro starszego mężczyzny.

- Miłego pływania, piękna syreno! - zamachał jej gazetą na pożegnanie.

Patrzyła, jak idzie korytarzem. Jego zwawy chód przypomniał jej Rusty'ego, zwłaszcza kiedy zaczął pogwizdywać i dzwonić kluczami w rytm melodii.

Drzwi windy zasunęły się cicho.

- Wychodzi, ścigany przez niedźwiedzia - szepnęła do siebie.

W chromowanych drzwiach windy odbijała się kobieta w śmiesznych goglach, która uśmiechała się do siebie. Szczupła, w czarnym jednoczęściowym kostiumie kąpielowym. Przeczesała dłonią krótkie siwe włosy, by szybciej schły. Palcem trafiła na brzeg blizny w miejscu, w którym kula weszła do mózgu. Rzadko wracała do tamtego dnia. Zamiast tego myślała o Antonie. O Rustym. O Charlie i Benie.

Drzwi windy rozsunęły się na jej piętrze.

Za oknami jej mieszkania, sięgającymi od podłogi do sufitu, kłębiły się ciemne chmury. Sama słyszała klaksony, pracujące dźwigi, zwyczajowe odgłosy ulicy tłumione przez potrójne szyby.

Poszła do kuchni, zapalając po drodze światła. Zmieniła okulary pływackie na codzienne szkła, nałożyła jedzenie do kociej miski, napełniła czajnik. Przygotowała zaparzaczkę do herbaty, kubek i łyżeczkę, ale przed zagotowaniem wody

podeszła do maty do jogi w salonie.

Zdjęła okulary. Po łebkach wykonała serię ćwiczeń rozciągających. Chciała jak najszybciej zacząć dzień. Próbowwała medytować, ale nie była w stanie oczyścić umysłu. Fosco, który skończył śniadanie, wykorzystał wyłom w codziennej rutynie. Tak długo trącał ją w ramię, że w końcu się poddała. Zaczęła drapać go pod brodą, słuchając kociego mruczenia. Zastanawiała się znowu, czy nie powinna adoptować drugiego zwierzaka.

Fosco skubnął ją w rękę, dając do zrozumienia, że ma już dość pieszczot.

Patrzyła, jak oddala się bez pośpiechu, a potem kładzie się na boku pod oknem.

Włożyła okulary, wróciła do kuchni i włączyła czajnik. Lunał deszcz, spowijając dolny Manhattan mokrą kołdrą. Sam zamknęła oczy i wsłuchiwała się w dzwonienie tysięcy kropli o szyby. Po otwarciu oczu zobaczyła, że Fosco intensywnie wpatruje się w ścianę deszczu. Miał grzbiet wygięty w literę C, przednie łapy wyciągnął w stronę okien, rozkoszując się ciepłem podgrzewanych płytek podłogowych w kuchni.

Oboje patrzyli za okno, póki czajnik nie wydał z siebie cichego gwizdu.

Sam zalała herbatę wrzątkiem i nastawiła minutnik na trzy i pół minuty, by listki naciągnęły. Wyjęła z lodówki jogurt, dosypała do niego płatków i wymieszała je łyżką. Zdjęła okulary do chodzenia i włożyła okulary do czytania.

Włączyła telefon.

Czekało na nią kilka służbowych mejli, ale w pierwszej

kolejności przeczytała wiadomość od Eldrina. W przyszłym tygodniu wypadały urodziny Bena. Poprosiła swojego asystenta, żeby wymyślił oryginalne życzenia, które spodobałyby się jej szwagrowi. Eldrin zaproponował humorystyczną zabawę słowną. Tam, gdzie powinno być „trouble”, czyli „kłopot”, widniało „tribble”:

That's the tribble with getting older!

Tribble in paradise!

Yesterday, all my tribbles seemed so far away...

Dla Eldrina była to niezła zabawa, bo „tribble” to puszysty stworek ze *Star Treka*, jednak dla Sam był to teren nieznany. Zmarszczyła brwi. Nie bardzo wiedziała, czy jako czterdziestoczteroletnia kobieta nie wygłupi się, wysyłając mężowi siostry taki tekst.

Otworzyła w telefonie wyszukiwarkę, żeby poszukać tego słowa. Na ekranie pojawiła się facebookowa strona Charlie. Sam odwiedzała ją dwa razy dziennie, ponieważ był to najbardziej wiarygodny sposób na zdobycie informacji o poczynaniach siostry i Bena. Oglądanie domów w Atlancie. Rozmowy w sprawie nowych posad. Szukanie odpowiedzi na pytanie, czy można przenieść króliki z gór do miasta.

Zamiast szukania słowa *tribble*, Sam weszła na profil Charlie. Pokręciła głową na widok zdjęcia nowej znajdy. Kundel był umaszczony trójkolorowo jak rasowy bluetick coonhound, ale łapy miał krótkie jak jamnik. Stał w wysokiej trawie w ogrodzie za domem. W komentarzach pod zdjęciem jedna z osób z listy znajomych Charlie, skrywająca się pod pseudonimem Iona Trayler, kąśliwie zauważyła, że mąż

Charlie powinien skosić wybujały trawnik.

Biedny Ben. Spędził długie godziny z Charlie, odgruzowując biuro Rusty'ego i inne pomieszczenia w Pieprzniku. Pakował w pudła rzeczy do oddania za darmo, wystawił na eBaju czasopisma, ubrania i – nie do wiary – także protezę nogi, którą ostatecznie sprzedał za szesnaście dolarów pewnemu mężczyźnie z Kanady.

Fotografii Gammy nie znaleźli. Tej, o której mówił Rusty. Która według niego uchwyciła moment, kiedy on i Gamma zakochali się w sobie. Nie było jej w sejfie. Nie było w papierach Rusty'ego. Nie było w szafach. Ani w biurze w centrum miasta, ani w Pieprzniku.

Sam i Charlie uznały w końcu, że tę mityczną fotografię należało zaliczyć do historii ubarwionych przez Rusty'ego na potrzeby słuchacza i raczej niemających pokrycia w rzeczywistości.

Wirtualna utrata tego nieistniejącego zdjęcia sprawiła Sam ból. Przez lata szukała w świecie nauki wytworów błyskotliwego umysłu swojej matki. Dopiero trzy tygodnie temu uświadomiła sobie, jaka była głupia, że nigdy nie poszukiwała jej twarzy.

Mogła patrzeć w lustro i widzieć podobieństwo. Mogła dzielić się wspomnieniami z Charlie. Tymczasem prócz dwóch suchych akademickich prac nie istniał dowód, że ich matka była pełnym życia i energii człowiekiem.

Pocztówka NASA, którą znaleźli w sejfie Rusty'ego, podsunęła Sam pewien pomysł. Instytut Smithsona we współpracy z Centrum Lotów Kosmicznych dysponowały

archiwami dokumentującymi szczegółowo każdy etap podboju kosmosu. Sam zbadała już grunt. Wysłała zapytania do paru naukowców związanych z lotami kosmicznymi i historyków nauki w sprawie ewentualnych poszukiwań fotografii Gammy w archiwum NASA. Dostała już kilka napawających otuchą odpowiedzi o renesansie zainteresowania i potrzebie uznania zapomnianego wkładu kobiet i przedstawicieli mniejszości w rozwój nauki, technologii, inżynierii i matematyki.

Przeglądanie archiwów byłoby szukaniem igły w stogu siana, ale Sam czuła w głębi duszy, że w zasobach NASA albo w Fermilab jest jakieś zdjęcie Gammy. Pierwszy raz w życiu przyłapała się na tym, że wierzy w przeznaczenie. To, co wydarzyło się dwadzieścia osiem lat temu w kuchni na starej farmie, nie było końcem wszystkiego. Wiedziała, że znowu ujrzy twarz swojej matki. Potrzebowała na to czasu i pieniędzy, ale tego akurat jej nie brakowało.

Sygnał minutnika wyrwał ją z zamyślenia.

Dodała mleka do gorącej herbaty i spojrzała w okno omywane strugami deszczu. Niebo pociemniało jeszcze bardziej. Wiatr się wzmógł. Wyczuwała delikatne poruszenia smaganego wichurą budynku.

Ku swojemu zdziwieniu zaczęła się zastanawiać nad pogodą w Pikeville.

Rusty by wiedział. Okazało się, że kontynuował „Projekt Pogoda”, który zaczął z Charlie. Ben znalazł w stodole sterty formularzy, na których Rusty prawie codziennie zapisywał kierunek i siłę wiatru, ciśnienie atmosferyczne, temperaturę, wilgotność i opady. Nie mieli pojęcia, dlaczego to robił, skoro

stacja meteo, którą zainstalował na wieży, automatycznie przesyłała wszystkie odczyty do Amerykańskiej Narodowej Służby Oceanicznej i Meteorologicznej. Może cała ta zagadka sprowadzała się do faktu, że Rusty był niewolnikiem swoich przyzwyczajzeń. Sam zawsze uważała, że jest podobna do matki, ale w tej kwestii z pewnością przypominała ojca.

Codziennie pływanie w basenie. Kubek herbaty. Jogurt z muesli.

Żałowała, że nie zachowała w poczcie głosowej ostatniej wiadomości, jaką nagrał Rusty w dniu jej urodzin. Żywiołowe powitanie. Informacje o pogodzie. Nawiązanie do historycznego wydarzenia. Nietypowe zakończenie.

Najbardziej brakowało jej śmiechu Rusty'ego. Zawsze był pod wrażeniem własnej inteligencji i dawał temu wyraz.

Pogrążona w myślach nie usłyszała sygnału komórki. Dopiero wibracje telefonu przywróciły ją rzeczywistości. Dotknęła ekranu, potem ikonki z zieloną słuchawką i przyłożyła telefon do ucha.

- Poszła na układ - zakomunikowała Charlie bez zbędnych wstępów. - Mówiłam jej, że możemy ugrać jeszcze kilka lat, ale rodzice Lucy Alexander nie odpuszczali, a Wilsonowie chcą mieć to już za sobą. Wyrok: dziesięć lat w więzieniu o złagodzonej rygorze, możliwość zwolnienia warunkowego po pięciu latach za dobre sprawowanie, co w jej przypadku jest pewne.

Sam powtarzała słowa Charlie w głowie, zanim dotarł do niej ich pełen sens. Siostra mówiła o Kelly Wilson. Sam wynajęła adwokata z Atlanty, by pomógł wynegocjować ugodę.

W obliczu nieoczekiwanej rezygnacji Kena Coina i nagrania Judith Pinkman, które przedstawiła Charlie i które sędzia uznał za równoznaczne z wyznaniem na łożu śmierci, prokurator stanowy chciał jak najszybciej zakończyć sprawę Kelly Wilson.

- Coin nigdy nie poszedłby na ugodę - stwierdziła Charlie.
- Założę się, że zdołałabym go przekonać.

Charlie zaśmiała się z uznaniem.

- Powiesz mi kiedyś, jak skłoniłaś go do rezygnacji?

- To ciekawa historia - odparła Sam, ale nie miała zamiaru zdradzać szczegółów. Charlie nadal odmawiała wyjaśnień na temat złamanego nosa, zatem Sam zachowała dla siebie informację, jak posłużyła się zeznaniem Masona, by zmusić Coina do ustąpienia ze stanowiska. - Zwolnienie warunkowe za pięć lat to dobry układ - ciągnęła. - Kelly będzie miała niewiele ponad dwadzieścia lat, kiedy wyjdzie, a jej dziecko będzie na tyle małe, że nawiąże się między nimi więź.

- To mnie dręczy - powiedziała Charlie.

Sam wiedziała, że siostra nie mówi ani o Kelly Wilson, ani o jej nienarodzonym dziecku, ani nawet o Kenie Coinie. Mówiła o Masonie Huckabee.

FBI przygwoździło Masona za okłamanie agenta federalnego, manipulację dowodami, utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości i poplecznictwo w sprawie podwójnego zabójstwa. Mimo dobrowolnego przyznania się do winy na komisariacie w Pikeville, Mason Huckabee wynajął - czego można się było spodziewać - bardzo dobrego i bardzo drogiego prawnika, który załatwił mu sześć lat więzienia bez

prawa do zwolnienia warunkowego. Więzienie w Atlancie nie było łatwym miejscem do odsiadki wyroku, ale przez ostatnie tygodnie Charlie i Sam zastanawiali się, czy powinni spełnić groźbę Sam i ujawnić jego spisane zeznanie.

Sam powiedziała to, co mówiła zawsze:

- Trzeba iść naprzód, Charlie. To dla nas najlepsze. Tata nie chciałby, żebyśmy pięć, dziesięć, piętnaście kolejnych lat zmitreżyły na przeczołgiwaniu Masona Huckabee przez system sprawiedliwości. Musimy zająć się swoim życiem.

- Wiem - przyznała Charlie z wyraźnym ociąganiem. - Ale wiesz, wkurza mnie, że dostał tylko rok więcej niż Kelly. To nauczka za okłamywanie agentów federalnych. Ale zawsze możemy go dorwać po zakończeniu odsiadki. Kto wie, gdzie będziemy za sześć lat? Nie ma przepisów o przedawnieniu...

- Charlie - upomniała ją Sam.

- Dobrze już, dobrze. Może ktoś go dźgnie pod prysznicem albo nasypie mu szkła do jedzenia.

Sam nie zareagowała, pozwoliła siostrze mówić dalej.

- Nie twierdzę, że powinni go zamordować, ale mógłby stracić nerkę albo poważnie uszkodzić sobie żołądek i do końca życia srać do worka. - Charlie musiała zrobić przerwę na zaczerpnięcie powietrza. - Warunki w więzieniach są opłakane, opieka zdrowotna to fikcja, karmią ich... hm, szczurzymi odchodami, ale nie byłoby przyjemnie usłyszeć, że zachorował na coś równie banalnego jak infekcja zęba i zmarł bolesną śmiercią?

Sam odczekała, by mieć pewność, że Charlie niczego nie chce już dodać.

- Kiedy zamieszkacie z Benem w Atlancie i zaczniecie nowe życie, to wszystko nie będzie już miało znaczenia. I to będzie twoja najśłodsza zemsta. Radość z życia. Docenienie tego, co masz.

- Wiem - powtórzyła Charlie.

- Bądź użyteczna, Charlie. Tego chciała mama.

- Wiem - powtórzyła Charlie po raz trzeci, tym razem z ciężkim westchnieniem. - Zmieńmy temat. Skoro już przekazuję ci najświeższe wieści z kroniki kryminalnej Pikeville, to wypuścili Ricka Faheya.

Zrozpaczony wujek Lucy Alexander. Człowiek, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dźgnął Rusty'ego nożem.

Sam powiedziała to, co Charlie musiała wiedzieć:

- Bez przyznania się do winy nie mają dowodów przeciwko niemu.

- Powtarzam sobie, że tata zobaczył go wtedy wieczorem, wiedział, że to Fahey, ale postanowił odpuścić, więc my zrobmy to samo.

Sam postanowiła oszczędzić siostrze cytatu Rusty'ego o wartości przebaczenia.

- Czy nie tego właśnie chciałaś się nauczyć? Umiejętności odpuszczania sobie różnych spraw?

- A ja myślałam, że ty uczysz się, jak nie być wrzodem na tyłku.

Sam uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Chcę wysłać ci czek za sprzątanie...

- Przestań. - Charlie uparcie odmawiała przyjęcia od niej pieniędzy. - Przed podjęciem nowej pracy chcemy zrobić sobie

wakacje. Wybrać się na kilka dni na Florydę, sprawdzić, co słyhać u Lenore. A potem może przylecielibyśmy w odwiedziny do ciebie?

Od uśmiechu Sam bolały policzki.

- Nie chcesz ode mnie pieniędzy, ale darmowy dach nad głową i posiłek już tak?

- Właśnie.

- To mi się podoba. - Sam powiodła wzrokiem po mieszkaniu. Nagle poczuła, że jest zbyt sterylne. Przed przyjazdem gości powinna kupić poduszki, powiesić jakieś obrazy, może dodać trochę kolorystycznych akcentów. Chciała, żeby siostra poczuła się u niej jak w domu.

- Dobrze, idę zamęczać o to Bena, zanim opadnę z sił. Sprawdź pocztę. W piwnicy znaleźliśmy coś odłotowego.

Sam wzdrygnęła się. Piwnica była królestwem starego farmera.

- Czy to kolejna rzecz, która ma mnie przerazić?

- Sprawdź pocztę.

- Przed chwilą sprawdzałam.

- Sprawdź jeszcze raz, ale kiedy się rozłączymy.

- Mogę sprawdzić w trakcie...

Charlie zakończyła połączenie.

Sam przewróciła oczami. Powrót młodszej siostry do jej życia miał też swoje minusy.

Dotknęła przycisku głównego. Otworzyła pocztę. Przewinęła ekran. Kółeczko kręciło się w trakcie ładowania wiadomości.

Nie pojawiła się żadna nowa wiadomość. Sam jeszcze raz załadowała mejle.

Nadal nic.

Zdjęła okulary i potarła oczy. Przywołała w pamięci wszystkie wstydlive sekrety starego kawalera, na jakie natrafili w piwnicy: różnorodna bielizna, rozmaite buty, ale tylko lewe, i zegar w kształcie nagiej kobiety przemawiającej głosem Kanarka Tweety.

Fosco wskoczył na blat i wyraźnie rozczarowany obwąchał pustą miseczkę po jogurcie. Gdy Sam podrapała go za uszami, zaczął mruścić.

Telefon oznajmił nadejście nowego mejla.

Sam spojrzała na informację:

Ta wiadomość nie ma załącznika.

- Oj, Charlie, Charlie - mruknęła, mentalnie szykując się na cierpki komentarz. Po otwarciu mejla okazało się, że nie jest pusty.

Załącznik był na dole.

Naciśnij, żeby otworzyć.

Kciuk Sam zawisł nad ikonką.

Nazwa pliku znalazła się nad jej paznokciem.

Zamiast dotknąć ekranu, odłożyła telefon na kontuar.

Pochyliła się, przycisnęła czoło do chłodnego marmuru i zamknęła oczy. Splecione dłonie oparła na kolanach. Powoli wciągnęła powietrze, napełniła nim płuca, potem wolno wypuściła. Wsłuchiwała się w szum deszczu. Czekwała, aż motyle w brzuchu odlecą.

Fosco trącił ją w policzek i zamruczał entuzjastycznie.

Sam wzięła kolejny głęboki wdech, wyprostowała się i podrapała Fosca. Kiedy uznał, że ma dość pieszczot,

zeskoczył na podłogę.

Włożyła okulary. Wzięła do ręki telefon. Spojrzała na nazwę pliku.

Gamma.jpg

O ile Charlie była nieodrodną córką Rusty'ego, o tyle Sam czuła się nieodrodną córką Gammy. W dzieciństwie spędziła wiele godzin na obserwacji mamy. Chciała być jak ona – interesująca, mądra, dobra, mająca rację. Po śmierci Gammy, kiedy próbowała przypomnieć sobie jej twarz, nie umiała wypełnić jej emocjami – uśmiechem, zaskoczeniem, zdziwieniem, wątpliwością, ciekawością, zachętą, radością.

Do teraz.

Otworzyła plik i patrzyła, jak ekran wypełnia się obrazem.

Zasłoniła usta dłonią. Nie wstrzymywała łez.

Charlie znalazła zdjęcie.

Mityczne zdjęcie, które utrwaliło narodziny miłości.

Sam wpatrywała się w nie przez długie minuty, długie godziny, by wypełnić białe plamy we wspomnieniach.

Jak mówił Rusty, zdjęcie zrobiono na powietrzu. Na ziemi leżał czerwony koc piknikowy. W oddali było widać starą stację meteorologiczną. Drewnianą, nie stalową jak na farmie. Gamma stała zwrócona w stronę obiektywu. Ręce opierała na szczupłych biodrach. Jedną ze zgrabnych nóg zgięła lekko w kolanie. Widać było, że bardzo stara się nie roześmiać po jakiejś głupiej uwadze Rusty'ego. Uniosła jedną brew. Odśloniła białe zęby. Blade policzki miała usiane piegami. W brodzie pojawił się niewielki dołeczek.

Rusty się nie mylił. Ten kadr uchwycił decydującą chwilę.

Żywe niebieskie oczy Gammy pokazywały kobietę w chwili zakochania. Było coś jeszcze. Ułożenie ust zdradzało świadomość nadchodzących wyzwań, chęć nauki, nadzieję na zwyczajność, na dzieci, na rodzinę, na wartościowe, pożyteczne życie.

Sam wiedziała, że właśnie tak Gamma chciała zostać zapamiętana: z uniesioną głową, prostą sylwetką, zębami odsłoniętymi w wiecznej pogoni za szczęściem.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Kate Elton, mojej redaktorce, która trwa przy mnie od drugiej książki mojego autorstwa. Victorii Sanders, mojej agentce, która jest przy mnie od zawsze. Dziękuję członkom Drużyny Slaughter, którzy skrupulatnie pilnują rozkładu jazdy: Bernadette Baker-Baughman, Chrisowi Kepnerowi, Jessice Spivey i wielkiej czarodziejce Diane Dickensheid. Dziękuję także mojej agentce filmowej Angeli Cheng Caplan, przyjaciółce i orędowniczce moich książek.

Dziękuję Liate Stehlik, Danowi Mallory'emu, Heidi Richter i Brianowi Murrayowi z wydawnictwa William Morrow.

Dziękuję pracownikom wielu oddziałów Harpera na świecie, ale swoje szczególne podziękowania kieruję do zespołów redakcyjnych w Norwegii, Danii, Finlandii, Szwecji, Francji, Irlandii, Włoszech, Niemczech, Holandii, Belgii i Meksyku, z którymi miałam zaszczyt spędzić sporo czasu.

Dziękuję także ekspertom: doktorowi Davidowi Harperowi, który cierpliwie odpowiadał na moje medyczne pytania (uzupełniając swoje odpowiedzi ilustracjami), żebym sprawiała wrażenie mądrzejszej, niż jestem.

W kwestiach prawnych pomógł mi Alafair Burke, absolwent Uniwersytetu Stanforda, były prokurator w Portlandzie, obecnie profesor prawa i utalentowany pisarz, który mimo wielu zajęć odpowiedział na moje pilne pytania w kwestii

procedur prawnych. Bardzo mu za to dziękuję. Dziękuję także Aimee Maxwell, Donowi Samuelsonowi, Patricii Friedman, sędziemu Janowi Wheelerowi i Melanie Reed Williams za bezpłatne konsultacje prawne. Cieszę się, że znam numery waszych telefonów i przeraża mnie myśl, że mogę ich kiedyś potrzebować.

W GBI przeprowadził mnie przez meandry procedur policyjnych zastępca szefa Scott Dutton. Jak zwykle niezwykle pomocni okazali się także Sherry Lange, Dona Robinson i Vickye Prattes. Zawsze mam wyrzuty sumienia, kiedy piszę o złych policjantach, ponieważ mam zaszczyt znać wielu bardzo dobrych policjantów. Dziękuję przewodniczącemu Izby Reprezentantów stanu Georgia Davidowi Ralstonowi za dokonanie prezentacji. Dziękuję dyrektorowi GBI Vernonowi Keenanowi. Mam nadzieję, że zauważył pan, że zawsze przedstawiam was jako porządnych ludzi.

Moja kumpelka i koleżanka po piórze Sara Blaedel pomogła mi z Danishbits. Brenda Allumns i jej wesoła grupa trenerów pomogli mi w kalkulacji czasów i odległości oraz w wielu innych rzeczach, o których nie miałam pojęcia. Dziękuję im za to.

Pozostaję nieustająco wdzięczna Claire Schroeder za jej wsparcie w organizacji wyjazdów i przyjaźń. Dziękuję Gerry'emu Collinsowi i Brianowi za pokazanie mi Dublina. Dzięki Anne-Marie Diffley odbyłam wspaniałą wędrowkę po Dublin Trinity College. Panie Antonella Fantoni z Florencji i MariaLuisa z Wenecji swoją radością i miłością do tych cudownych miast sprawiły, że historia ożyła. Dziękuję im za to,

a także za ich entuzjastyczne podejście do wina.

Szczególnie dziękuję kobietom, które zechciały podzielić się ze mną swoją historią i opowiedziały o swojej stracie. Jeanenne English rozmawiała ze mną o urazowych uszkodzeniach mózgu. Margaret Graff z ociąganiem zagłębiła się na powrót w tajniki fizyki, by pomóc mi w niektórych fragmentach książki. Chiara Scaglioni z włoskiego oddziału HarperCollins pomogła mi wymyślić fantazyjną nazwę wina. Melisa LaMarche oferowała hojną dotację bibliotece publicznej w hrabstwie Gwinnett w zamian za to, że jej nazwisko znajdzie się w tej książce. Bill Session jako pierwszy wskazał mi cytat Flannery O'Connor, który wydał mi się idealny do oddania rozterek wybitnej kobiety. Przykro mi, że te podziękowania składam pośmiertnie. Bill Session był utalentowanym gawędziarzem i niezwykłym nauczycielem.

Pomocnym źródłem okazała się praca Lewisa Frya Richardsona „Weather Predictions by Numerical Process” z 1922 roku. Drugie wydanie z 2007 roku autorstwa Petera Lyncha, profesora meteorologii na Uniwersytecie w Dublinie, rozjaśniło jeszcze temat. Wszelkie błędy leżą oczywiście po mojej stronie.

Jak zwykle największe podziękowania kieruję do mojego taty, który pilnuje, żebym nie umarła z głodu i nie zamarzła w trakcie pisania, oraz do DA, mojej miłości, która zawsze wita mnie w domu w kojącym otoczeniu wzgórz.

Tę opowieść dedykuję Billie. Czasem świat przewraca się do góry nogami i wtedy potrzebujesz kogoś, kto pokaże ci, jak chodzić na rękach, zanim znowu mocno staniesz na własnych

nogach.

- [1] Emily Dickinson, 254, tłum. Stanisław Barańczak.
- [2] Emily Dickinson, 254, tłum. Stanisław Barańczak.
- [3] Ewangelia według św. Mateusza, 6, 14. Przekład Jakuba Wujka. Biblia, Warszawa 1950, reprint edycji krakowskiej z 1599 r.
- [4] Ewangelia według św. Marka, 10, 14. Biblia, Wydawnictwo Świętego Wojciecha, Warszawa 2009.
- [5] Księga Malachiasza, 3, 20, jw
- [6] Pierwszy List do Koryntian, 10, 13. Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, 1990.
- [7] Księga Psalmów 113, 9. Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, 1990. Cytat oddaje sens zawarty w Biblii Króla Jakuba.
- [8] Księga Przysłów 6, 16-19. Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, 1990.
- [9] Ewangelia według św. Mateusza, 6,12. Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, 1990.

Tytuł oryginału: The Good Daughter
Pierwsze wydanie: HarperCollins Publishers LLC, Nowy Jork, USA, 2017
Projekt okładki: Diego Riviera
Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media
Redaktor prowadzący: Grażyna Ordega
Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski
Korekta: Małgorzata Narewska

© 2017 by Karin Slaughter
Fragment listu „To A” Flannery O’Connor. © 1997 by Regina O’Connor, druk za zgodą Mary Flannery O’Connor Charitable Trust via Harold Matson Co., Inc. All Rights reserved.
Fragmenty wywiadu Dr. Seuss z L.A. Times przytoczone za zgodą Dr. Seuss Estate.
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2017

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Dreamstime, Shutterstock. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN: 978-83-276-3066-7

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.